

# ZDANIE

„Trzech na jednego”  
z ANDRZEJEM MENCWELEM

Marek Tabin	Ziad Abou-Saleh
TRAKTAT O PODDANYCH	SYRYJSKI DRAMAT
Adam Komorowski	Jerzy S. Łątka
MEDYTACJE KAJDANIARSKIE	ZACHOWALI SIĘ JAK TRZEBA?
Nina Kraško	Marian Stępień
ZYGMUNT BAUMAN. CZŁOWIEK I DZIEŁO	DWÓR MIŁOSZA W KRAKOWIE

1-2 (172-173) 2017





- ◆ Zapraszam do Krakowa na 41. Międzynarodowe Targi Sztuki Ludowej:  
10-27 sierpnia 2017 r., Rynek Główny, koło Wieży Ratuszowej
- ◆ Zapraszam do Krakowa na kolejny Kiermasz Pogranicza Kultur:  
6-15 października 2017 r., Mały Rynek
- ◆ Zapraszam do Warszawy na imprezę pod nazwą „Kraków i Małopolska  
na Chmielnej w Warszawie”: 27-28 maja 2017 r.
- ◆ Zapraszam do Sopotu na Cepeliadę: 22-27 lipca 2017 r., molo

Spodziewamy się zgłoszeń twórców ludowych, rzemieślników,  
czekamy także na oferty handlowe kupców (wyroby ludowe i artystyczne).

**Z poważaniem**

**Józef Spisak**

Dyrektor Biura Międzynarodowych Targów Sztuki Ludowej w Krakowie

**Kontakt:**

**Biuro Międzynarodowych Targów  
Sztuki Ludowej Fundacji „Cepelia”**  
ul. Słowiańska 3, 31-141 Kraków,  
tel./fax 12 422 19 22,  
e-mail: [tsl@cepelia.krakow.pl](mailto:tsl@cepelia.krakow.pl)

**Dyrektor Biura**  
Józef Spisak, tel. 601 854 613  
[spisak@cepelia.krakow.pl](mailto:spisak@cepelia.krakow.pl)  
**Zastępca Dyrektora ds. handlu**  
Lucyna Batko, tel. 601 739 124  
[www.cepeliakrakow.pl](http://www.cepeliakrakow.pl)  
[www.facebook.com/cepelia.tsl](http://www.facebook.com/cepelia.tsl)



**Fundacja**

**Cepelia®**

**Polska Sztuka i Rękodzieło**

**Biuro Międzynarodowych Targów Sztuki Ludowej**

# ZDANIE

PISMO STOWARZYSZENIA >>KUŹNICA<<

1–2 (172–173) 2017

## OD REDAKTORA

„Kuźnica” pamiętała o 60. rocznicy Października’56, organizując konferencję na ten temat. W numerze drukujemy wystąpienia prezesa Andrzeja Kurza i prof. Andrzeja Romanowskiego. Dziś trudno uwierzyć, że na spotkanie z Gomułką na Placu Defilad przyszło prawie milion ludzi, aby poprzeć „polską drogę do socjalizmu”. I w przeciwieństwie do wcześniejszych i późniejszych „masowych wyrazów poparcia” nikt ich wtedy, w październiku 1956 roku, do uczestnictwa w tym największym wiecu politycznym w historii PRL-u nie zmuszał. Niestety, z zapowiadanych zmian i reform władze rychło się wycofały, albo je pozorowały. Trwałą zdobyczą Października okazała się nowa polityka kulturalna, która umożliwiła powstanie wielu wybitnych dzieł we wszystkich odmianach sztuki.

Kilku autorów zmierzyło się z bardzo ważnymi, a zarazem aktualnymi problemami, takimi jak relacje władza – spo-

łeczeństwo, odpowiedzialność polityczna, zmiany strukturalne a wyniki wyborów, jakość i bylejakość w sferze publicznej. Szczególnie polecam medytacje Adama Komorowskiego na temat tych, „co nie mają nic do stracenia” i ich roli w tzw. procesie dziejowym. Prof. Nina Kraśko rekonstruuje życie i dzieło swojego Nauczyciela – profesora Zygmunta Bauma-  
na, który był także naszym autorem i rozmówcą (*Trzech na jednego*). Syryjski dramat przedstawia mieszkający w Polsce Ziad Abou-Saleh. Temat „żołnierzy wyklętych” kontynuuje w historycznym reportażu Jerzy Łątka. Zachęcam także do lektury pozostałych tekstów, bo są tego warte.

W cyklu *Trzech na jednego* prof. Andrzej Mencwel, laureat Kowadła „Kuźnicy” uzasadnia, dlaczego „w takiej Polsce nie czuje się u siebie”.

EDWARD CHUDZIŃSKI

ANDRZEJ MENCWEL W TAKIEJ POLSCE NIE CZUJĘ SIĘ U SIEBIE ( <i>Trzech na jednego</i> )	3
Stanowisko »Kuźnicy« RATUJMY POLSKĘ I EUROPE	13
Marek Tabin TRAKTAT O PODDANYCH	14
Adam Komorowski MEDITACJE KAJDANIARSKIE	20
Edward Karolczuk O ODPOWIEDZIALNOŚCI POLITYCZNEJ I JEJ KONTEKSTACH	23
Henryk Domański ZMIANY STRUKTURALNE A WYNIKI WYBORÓW	31
Tomasz Goban-Klas JAKOŚĆ I BYLEJAKOŚĆ W SFERZE PUBLICZNEJ	34
Andrzej Kurz PAŹDZIERNIK’56 – PO SZEŚCZDZIESIĘCIU LATACH	37
Andrzej Romanowski ZAPOMNIANI BOHATEROWIE PAŹDZIERNIKA	41
Jerzy S. Łątka ZACHOWALI SIĘ JAK TRZEBA?	43
Ziad Abou-Saleh SYRYJSKI DRAMAT	51
Nicholas Williams KRYZYS FINANSOWY, PIENIĄDZ I OSZCZĘDZANIE	57
Nina Kraśko ZYGUNT BAUMAN: CZŁOWIEK – UCZONY – PROFETA	62
Paweł Kozłowski WŁADYSŁAW MARKIEWICZ (1920-2017)	68
Marcin Kula KWIATKI NA PLACU WILSONA, DAWNIEJ KOMUNY PARYSKIEJ...	69

72	Urszula Glensk MIĘDZY OBRAZEM A POLITYKĄ
74	Krzysztof Mroziewicz OPOWIEŚCI O POWIEŚCI
80	Stanisław Gębała PEDAGOGIKA BEZWSTYDU
83	Wit Jaworski, Marek Wawrzyński WIERSZE
84	Paweł Sękowski ZYGUNT BAUMAN O „PŁYNNEJ NOWOCZESNOŚCI”
88	Andrzej Pacuła WOJTEK BELLON – WĘDROWIEC W LABIRYNCIE MIASTA
93	Krzysztof Miklaszewski NIEZALEŻNE, CZYLI JAKIE?
100	Tadeusz Bujnicki SIENKIEWICZ <i>CONTRA</i> SIENKIEWICZ
105	Marian Stępień DWÓR MIŁOSZA W KRAKOWIE
114	Jarzy Stefan Ossowski ZEROMSKI – NASZ BLIŹNI?
118	Jacek Wojciechowski LITERACKIE IMPRESJE Z ROSJI
122	Ryszard Stemplowski RACJA STANU – CO TO TAKIEGO? ( <i>Listy</i> )
123	Jan Güntner DYBUK – PRZEŚLADOWCA? POKUTNIK? ALBO TO TRZECIE...
126	Paweł Kozłowski DZIENNIK PROFESORA NADZWYCZAJNEGO
129	Krzysztof Komornicki MUHA RUHA CARALUHA
130	Tomasz Goban Klas STÓŁ Z POWYŁAMYWANymi NOGAMI
131	Sceptyk KLĘSKA, CZYLI ZWYCIĘSTWO





Fot. Grzegorz Kozakiewicz



# trzech na jednego

JEDEN:  
**ANDRZEJ MENCWEL**  
 TRZECH:  
**EDWARD CHUDZIŃSKI**  
**ADAM KOMOROWSKI**  
**FILIP RATKOWSKI**

# W TAKIEJ POLSCE NIE CZUJĘ SIĘ U SIEBIE

**EDWARD CHUDZIŃSKI:** Jesteś pierwszym rozmówcą „Zdania”, który napisał swój życiorys z myślą o jego publikacji w internecie. I powstał w ten sposób „życiorys własny”, tym razem inteligenta, bo „życiorys własny robotnika” Jakuba Wojciechowskiego liczy już sobie prawie sto lat i zapisał się w dziejach naszego piśmiennictwa.

**ANDRZEJ MENCWEL:** Do dzieła Jakuba Wojciechowskiego mi daleko, może kiedyś mu sprostam. Tak zwane życiorysy naukowe pisze się wielokrotnie, nawet jako emeryt musiałem go napisać... Ten, który przywołujecie, wynikał z decyzji, by prowadzić własną stronę w internecie. W jego skład wchodzi też rozmowa z Karolem Modzelewskim o moich perypetiach z 1968 roku, których nie chciałem ukrywać. Dodatkowym motywem był wymierzony we mnie internetowy bandytyzm. Nie masz na niego żadnego wpływu, jeśli nie chcesz ciągać się po sądach, a ja nie mam na to czasu. Polega on na tym, że publikuje się różne zmanipulowane teksty, aby cię oczernić. Są tacy, co nie tyle z tego żyją, co się tym żywią. Byłem świadom zresztą, jak na taki „hejt” reaguje moje środowisko studenckie i naukowe, ale ktoś wreszcie powiedział mi, że świat nie składa się wyłącznie z ludzi

mojego kręgu i jeśli nie ma twojego głosu, liczy się to, co jest dostępne.

**CHUDZIŃSKI:** Chciałeś po prostu ten ważny w swoim życiu epizod umieścić w odpowiednim kontekście.

**MENCWEL:** Naturalnie! On należy do mojego życia i nie zamierzam go wymazywać czy się go wypierać, natomiast mam prawo przedstawić go w moim doświadczeniu. I tam ono jest zapisane tak, jak potrafiłem to uczynić. Karol bardzo mi pomógł i jestem mu za to wdzięczny.

**CHUDZIŃSKI:** Faktem jednak jest, że w środowisku „komandosów” znalazłeś się jako swego rodzaju ciało obce. Dwa lata temu rozmawialiśmy z Andrzejem Sewerynem, który był w sytuacji podobnej...

**MENCWEL:** Nie śmiałbym porównywać swojego życiorysu z życiorysem Andrzeja.

**CHUDZIŃSKI:** Do tego wrócimy, natomiast w życiorysie bardzo skrótowo potraktowałeś okres dzieciństwa i szkolnej edukacji...

**ADAM KOMOROWSKI:** ...a przecież to bardzo ważny etap. Myślę, że szkoła średnia najmocniej kształtuje osobowość.

**MENCWEL:** Moja historia dzieciństwa jest dość skomplikowana i przeznaczona do innej opowieści,

którą mam nadzieję napisać. Po pierwsze, moja mama zmarła przy moim urodzeniu, po drugie – ojciec wkrótce ożenił się po raz drugi, po trzecie – to mu się bardzo nie udało. Po wojnie zamieszkaliśmy w Jeleniej Górze. Zajmowaliśmy pół kamienicy, w której ojciec prowadził dobrze prosperujący zakład krawiecki i został szefem rzemiosła w tym mieście, nawet okręgu. Wyglądało to bardzo okazale, wręcz powieściowo, ale w 1948 roku się skończyło: rzemiosło zdegradowano, nastąpił rozpad małżeństwa, ojca zamknięto, a ja znalazłem się, szczęśliwie, pod opieką, mojej siostry Letosławy w Żarach; właśnie 20 stycznia skończyła 93 lata. Jest w dobrej formie i za tydzień do niej pojedę. Jak wielokrotnie, przy różnych okazjach wspominałem, była nauczycielką, potem, choć zawsze bezpartyjna i prawowierna katoliczka, została dyrektorką szkoły, wybudowanej wówczas „1000-latką”, a w III RP wybrano ją honorowym obywatelem miasta. Jak się mówi o obywatelach PRL-u, to trzeba mówić o takich ludziach, a nie o aparatczykach. Są ich tysiące, setki tysięcy, jeśli nie miliony, to oni budowali Polskę, a teraz zniknęli jako podmiot historii.

**FILIP RATKOWSKI: Razem z całymi Ziemiami Zachodnimi!**

**MENCWEL:** A ja jestem stamtąd i to tworzy inną perspektywę na wiele, wiele rzeczy. A wracając do Żar... Ja chodziłem do liceum w najgorszych latach 1953-1957. Październik złapał nas w ostatniej klasie. Mimo tego stalinizmu było to liceum świetne pod kilkoma względami. Po pierwsze, było kilku nauczycieli przedwojennych, którzy mieli szczególne właściwości. Nasz profesor łaciny i geografii, niezapomniany „dzia-dek” Władysław Karwiński, lwowiak, umiał na lekcjach łaciny, propagować republikę.

**RATKOWSKI: Był w kontrze do Cezara?**

**MENCWEL:** Bez żadnych bezpośrednich nawiązań, a i tak wiedzieliśmy, o czym mowa! Ponadto było to liceum niewielkie, liczące 150 uczniów. Z tego grona wywodzi się wiele interesujących osobowości, których za całe 70 lat nie wyliczę. Moim przyjacielem z liceum jest Włodek Herman, współtwórca „Kalambura”, reżyser teatralny w Danii i w Europie, który wydał właśnie po polsku książkę autobiograficzną. Dla przypomnienia dodam, że jego najbardziej znanym osiągnięciem było pierwsze wystawienie *Szewców* Witkacego (w 1965 roku), przez krytyków uznane za jedną z najlepszych realizacji Witkacego w historii teatru. Zresztą wystawienie tego dramatu wówczas było sztuką samą w sobie. Chcę też wspomnieć Janka Mozrzymsa, wybitnego fizyka i rektora Uniwersytetu Wrocławskiego, niestety już nieżyjącego, Michasia Sachanbińskiego, również wrocławskiego uznanego geologa oraz zmarłego dopiero co (w grudniu zeszłego roku) Janka Werstlera, żarskiego poetę i animatora kultury. Znamienne jest też to, że uczniów było nas 150, a 153 członków liczyła sekcja szachowa...

**RATKOWSKI: Nawet w czasach stalinowskich, a może wtedy szczególnie, szachy były dobrze widziane. Nijak nie można im było stawiać zarzutów natury politycznej.**

**KOMOROWSKI: A skąd się wzięło tych trzech?**

**MENCWEL:** Nie wiem. To pewnie byli absolwenci... Wystawialiśmy do rozgrywek wojewódzkich dwie drużyny dziesięcioosobowe, ja grałem w drugiej dzie-

siątce i byłem z tego dumny! Janek grał w pierwszej na pierwszej szachownicy, a Włodek na drugiej.

**KOMOROWSKI: O pewnym fakcie dziś zapominamy, albo celowo jest on marginalizowany. Otóż my, ucząc się w tych ciężkich czasach, mieliśmy przynajmniej połowę nauczycieli przedwojennych, z zupełnie innej formacji!**

**MENCWEL:** Nie wszystkich! Byli marni młodzi nauczyciele po tzw. studiach pierwszego stopnia, ale mieliśmy też świetnego historyka z „nakazu pracy”, którego potem spotkałem jako profesora na UW oraz urodziwą biologickę, w której się podkochiwaliśmy. Dla niej biegaliśmy na wyścigi po „Przekrój”, który zniknął z kiosku zaraz po dostarczeniu.

**RATKOWSKI: Więc jak ta szkoła kształtowała?**

**MENCWEL:** Na wiele różnych sposobów, a na pewno niespójnie. Oficjalna indoktrynacja chyba nie działała, a na tak odległą prowincję wszystko docierało wolniej. Nie miałem też wtedy większego pojęcia o literaturze współczesnej, socrealizm właściwie mnie ominął, czytałem namiętnie Balzaka i klasyków realizmu, pamiętam natomiast Marka Hłaskę oraz wrażenie, jakie wywarło na mnie opowiadanie Kafki *Przemiana*...

**KOMOROWSKI: Drukowane w „Przekroju”...**

**MENCWEL:** ...i z rysunkami Daniela Mroza, które do dziś widzę przed sobą! Wtedy odbywało się coś, co bym mógł nazwać osobistym „oświeceniem”. Odegrał w tym znaczną rolę Włodek Herman, kolega starszy o dwa lata, więc poważny. Byliśmy razem na obozie wędrownym w Karkonoszach i doznałem wtedy pewnego olśnienia. Rzecz się dzieje w 1954 roku, w okresie stalinizmu, a obóz miał wyraźnie harcerski charakter. Prowadził go świetnie nauczyciel z Zielonej Góry, nazywał się Kidawa i mieliśmy wrażenie, jakby był z Szarych Szeregów. Nigdy go już potem nie spotkałem, choć ciągle mam nadzieję. Na tym obozie było dwóch liderów: Włodek – marksizujący wtedy ateista i Edek Borecki, który był światłym katolikiem. Przy wieczornych ogniskach oni toczyli ze sobą długie i skomplikowane dyskusje, jak to się wówczas nazywało – światopoglądowe. Dla mnie było to zupełnie nowe doświadczenie, bo z niczym takim się przedtem nie zetknąłem, choć sam byłem wcześniej ministrantem...

**RATKOWSKI: Niebo w płomieniach?**

**MENCWEL:** Coś w tym rodzaju... A w jedenastej klasie (1957) wróciła religia do szkół i ten sam proboszcz, u którego ministrantem być przestałem, zaczął uczyć nas religii, zaś ja jako jedyny uczeń wychodziłem z tych lekcji. Gdy spotykaliśmy się na ulicy, to ja kłaniałem mu się z rewerencją, a on zdejmował przede mną manifestacyjnie kapelusz. W takim małym mieście wszyscy to widzieli!

**CHUDZIŃSKI: Czy to miałeś na myśli przyznając w życiorysie, że w czasach szkolnych sprawiałeś siostrze kłopoty?**

**MENCWEL:** Nie tylko. Parokrotnie wyrzucali mnie z tego liceum. Byłem bardzo dobrym uczniem, ale też anarchicznym rozrabiaką i pod koniec roku wręczano mi świadectwo ze stopniem dostatecznym z zachowania oraz uchwałę rady pedagogicznej, żebym sobie szukał miejsca w innej szkole.

**KOMOROWSKI: Na litość boską! Co też musia-  
łeś nawyrabiać?**

MENCWEL: Byliśmy rozwydrzonymi sztubakami, zaś autorytaryzm ówczesnej szkoły nas podniecał. Na przykład pojawiła się polonistka, taka po pierwszym stopniu ówczesnych studiów, merytorycznie słaba, nie radząca sobie z doktrynerskim programem, w dodatku krucha, delikatna kobieta. Zmawialiśmy się na złośliwe pytania i uwagi, doprowadzając ją do rozpaczliwej bezradności. Przyjechała jakaś wojewódzka komisja i przeniosła ją do szkoły podstawowej, a mnie właśnie wtedy zwolnili z obowiązku dalszego uczęszczania do tego liceum. Miewałem też pecha. Był czas, że graliśmy na przerwach namiętnie w koszykówkę. Dzwonek pogonił nas do klasy i biegnąc trafiłem w progu na piłkę, którą upuścił jeden z kolegów. Kopnięta przeze mnie trafiła oczywiście w portret Bieruta, który spadł i się potłukł. Akuratnie ujrzał to wychodzący z kancelarii dyrektor... Znowu znalazłem się na wylocie, ale ponieważ innego liceum w Żarach nie było, więc po interwencji siostry w województwie – jej powojenny maturalny kolega był szefem oświaty – przyjmowali mnie z powrotem. Zresztą okresami cieszyłem się w szkole pewnym uznaniem i redagowałem nawet gazetkę szkolną. Miałem tam komentarz: *Naszym zdaniem* – jak w „Trybunie Ludu”. Przesadziłem z wolnością słowa i zdjęto mnie z funkcji.

**CHUDZIŃSKI: Czy z tego redaktorowania wzięł się pomysł pójścia na studia dziennikarskie?**

MENCWEL: Nie. Trzeba by zacząć od tego, że mój ojciec, który po 1948 roku za jakieś „domiary” trafił do więzienia, wyszedł z niego szczęśliwie i po 1956 r. prowadził skromną pracownię w Jeleniej Górze. Wspierał mnie finansowo, więc miał pewną formalną władzę nade mną. A był to człowiek światły, wykładał na różnych kursach, działał społecznie i politycznie w Stronnictwie Pracy, co mu raczej zaszkodziło. Jego mieszczański, poznański i pragmatyczny sposób myślenia prowadził go do wniosku, że ja powinienem zostać mecenasem. Czyli studiować prawo, najlepiej w Poznaniu.

Zarówno ze strony ojca, jak i ze strony matki jestem Wielkopolaninem, chociaż nigdy tam nie mieszkałem. Ale moja kultura osobista i domowa, także dzięki siostrze, jest głównie stamtąd. W 1939 roku rodzice zostali wysiedleni z Rawicza do Generalnej Guberni, do Tarnobrzegu i tam się urodziłem.

**CHUDZIŃSKI: Jak tam trafiliście?**

MENCWEL: Pytanie brzmi w istocie – dlaczego mój ojciec nie został rozstrzelany? Był przecież nie tylko powstańcem wielkopolskim, ale nawet prezesem Koła Powstańców w Rawiczu. W każdym wielkopolskim miasteczku, z reguły na ratuszu, jest przecież tablica upamiętniająca rozstrzelanych przez Niemców, obywateli polskich. Do stycznia 1940 roku na Pomorzu i w Poznańskim rozstrzelano kilkanaście tysięcy osób należących do lokalnych elit. Jak ktoś niedawno napisał – był to pierwszy Katyń.

**CHUDZIŃSKI: Wiem coś o tym, bo z Pomorza pochodzę.**

MENCWEL: Dlaczego mój ojciec zachował głowę? Jego zdaniem uratowało go to, że powstańcy w Rawiczu przez całe dwudziestolecie opiekowali się na równi grobami swoimi, jak i niemieckimi.

**KOMOROWSKI: Ale wróćmy do wyboru studiów.**

MENCWEL: Jak zdałem maturę, pani profesor Wierzbicka „od matematyki”, też przedwojenna i chy-

ba warszawianka, wzięła mnie na poważną rozmowę. Znała mnie dość dobrze, bo matematykę traktowałem serio i chodziłem na zajęcia kółka matematycznego. Powiedziała: nie na prawo – w stronę literatury! To było mi bliskie i umocniło w oporze wobec ojca. Pojechałem do niego i po całonocnym sporze wywalczyłem swój wybór. Był rok 1957, wszyscy rozczytywaliśmy się w „Po prostu”, stąd dziennikarstwo i stąd Warszawa, bo jedynie tam ono istniało. Ale akurat, gdy pisałem swoje podanie, Uniwersytet Warszawski nie ogłosił rekrutacji na ten kierunek.

**KOMOROWSKI: Łądujesz więc na polonistycę, chodzisz na wykłady Żółkiewskiego, dostajesz stypendium, akademik...**

MENCWEL: Dostaję wszystko, bo inaczej nie mógłbym studiować. To oczywiście było za mało, żeby bez problemów żyć, ale się nie umierało. Jednak pecha miałem nadal. Moja buntarska natura dała znowu o sobie znać i dwa razy wyrzucano mnie ze Studium Wojskowego, za drugim razem – skutecznie. Nie wzięli mnie do wojska, bo miałem 17 lat. Powtarzałem więc pierwszy rok studiów, mając wszystko zaliczone, prócz wojska. Rektor, a nawet komendant Studium Wojskowego potraktowali mnie jakoś ulgowo, dość że choć straciłem stypendium, nie odebrano mi akademika. I wtedy zacząłem studiować na uniwersytecie, czyli chodziłem na to, na co chodzić chciałem. Musiałem jednak zacząć zarabiać.

**CHUDZIŃSKI: Wybór padł na prasę?**

MENCWEL: Różnie bywało, sporo pracowało się własnymi rączkami, ale dość szczęśliwie trafiłem do tygodnika „Od Nowa”, który był jakąś kontynuacją „Po prostu”. No bo skoro to pismo zamknęli, to trzeba próbować „od nowa”. Spotkałem tam kilku interesujących ludzi; kierownikiem działu reportażu był Edek Bernstein, późniejszy reżyser filmowy znany jako Edward Żebrowski, grafikiem redakcyjnym Zbyszek Makowski, oryginalny, ceniony malarz, dział literacki objął poeta Marian Grześczak, z którym razem przeszliśmy do „itd”... Dość szybko zacząłem też pisać o literaturze, szkice oraz recenzje i drukować je także we „Współczesności”.

Równocześnie swobodnie chodziłem sobie po uniwersytecie, zainteresowało mnie seminarium filozoficzne Baczyki, uczyłem się też na zajęcia Kołakowskiego, potem Pomiana, nawet zapisałem się na filozofię jako drugi kierunek, ale ostatecznie z niego zrezygnowałem. A na polonistycę sprowokowaliśmy Żółkiewskiego, żeby otworzył swoje seminarium. Miał już wówczas więcej czasu, bo przestał być ministrem, choć ciągle obracał się w kręgach władzy jako redaktor naczelny „Nowej Kultury”, członek KC, poseł i przewodniczący różnych komitetów.

**RATKOWSKI: A nie przeszkadzało wam utożsamienie Żółkiewskiego z socrealizmem? W końcu to on był jego czołowym apologetą...**

MENCWEL: To już był czas „realizmu bez granic”, byliśmy tego ciekawi, a mnie przynajmniej jego lewicowe poglądy nie przeszkadzały. Byłem przecież generalnie „za”! Miałem, podobnie jak wielu studentów, świadomość, że PRL umożliwił mi studia i tym samym awans społeczny.

**CHUDZIŃSKI: Dzięki swoim zainteresowaniom obracałeś się w kręgu ówczesnej intelektualnej eli-**



ty, ale oni wszyscy stanowili już wówczas „bastion rewizjonizmu”.

MENCWEL: To był raczej mój początkowy staż w tym środowisku. Ja wtedy żyłem z pióra, całkiem zresztą nieźle. Pisywałem reportaże „z terenu”, za które dostawałem nie tylko honorarium, ale także zwrot kosztów wyjazdów, rozliczanych nieraz podwójnie. Starczało pieniędzy nie tylko na wynajęcie pokoju, ale też na bary dzienne i nocne. Moje pisanie się poszerzało i zanim skończyłem studia, już publikowałem we „Współczesności” (z którą byłem bliżej związany) i w „Nowej Kulturze”, a potem także w „Twórczości” i „Dialogu”. Odchodziłem stopniowo od reportażu i skupiałem się na krytyce literackiej i publicystyce kulturalnej. A kiedy Żółkiewski zaproponował mi u siebie staż asystencki za tysiąc złotych miesięcznie, musiałem podjąć trudną decyzję: albo nieźle zarabiać pisaniną, albo wybrać drogę naukową. Zdecydowałem się na naukę i rzeczywiście zacząłem w to naukowe środowisko wchodzić, a był to bardzo dobry okres dla polskiej humanistyki. W obrębie tego co nazywamy działalnością naukową czy intelektualną, panowała jeszcze duża swoboda. Jeżeli bezpośrednio nie odnosiłeś się do jakichś spraw ustrojowo-politycznych, dużo było wolno, w odróżnieniu od wszystkich krajów sąsiednich razem wziętych. I wtedy miałem takie poczucie, że nie tylko nie jestem ograniczany, ale mam bardzo dużo do nadrobienia i niemal wszystko jest dostępne! Przykładem były Międzynarodowe Targi Książki w Warszawie, przez lata prawdziwy spektakl kulturalny. Literatury jawnie antykomunistycznej wprawdzie nie dopuszczano, ale w nowoczesnych humanistach można sobie było przebierać, a nawet kupować książki, jeśli kogoś było stać. Do dziś mam zresztą kilka pozycji, które zdobyłem w tamtym okresie.

CHUDZIŃSKI: **Także w bibliotekach naukowych dostęp do tzw. resów pracownicy wyższych uczelni mieli ułatwiony.**

MENCWEL: Jako doktorant Żółkiewskiego miałem dostęp do biblioteki Instytutu Badań Literackich, który Żółkiewski założył i bez problemów mogłem sięgać na przykład po wydawnictwa paryskiej „Kultury”. To oczywiście był przywilej, a nie zasada, ale uprzywilejowani zwykle uważają się za normalnych.

RATKOWSKI: **Jako prosty magistrant z Krakowa dostawałem bez stosownego pisma od promotora wszystkie „resy” w bibliotece Uniwersytetu Warszawskiego. Widać ktoś mądry uznał, że nie będę do Krakowa jeździł po potrzebne papierki.**

CHUDZIŃSKI: **A zagraniczna prasa w dość reprezentatywnym wyborze dostępna była także w „empikach”!**

MENCWEL: Pole do zagospodarowania było otwarte, tylko czasu i sił brakowało, żeby to sobie przyswoić. W nauce wyraźnie zaznaczały swoją obecność dwie szkoły humanistyczne, wywodzące się z Uniwersytetu Warszawskiego i Pałacu Staszica, czyli z Instytutu Badań Literackich i Instytutu Filozofii i Socjologii PAN. Pierwszą, zwaną warszawską szkołą strukturalną, na UW tworzyli Maria Renata Mayenowa, z którą na pierwszym roku miałem zajęcia z poetyki i Kazimierz Budzyk. Ich uczniami byli Janusz Sławiński, Aleksandra Okopień-Sławińska, Michał Głowiński i Teresa Kostkiewiczowa. I to była

jedna linia. Ich głównym hasłem była autonomia dzieła – przekonanie, że literatura jest bytem samoistnym, a nie projekcją ideologii, że jej opis wymaga zatem odrębnego języka i język ten z powodzeniem tworzyli. Ja sytuowałem się na skraju tej szkoły, bo wydawało mi się, że jej *credo* nie wyczerpuje złożoności problematyki literatury. Szczęśliwie się złożyło, że była też szkoła humanistyczna, dziś ją zwiemy szkołą historyków idei, która wykraczała poza wąski zakres filozoficzny, czego przykładem mogą być książki Baczki, Kołakowskiego, Walickiego, Szackiego, Pomiana sytuujące się na pograniczach filozofii, literatury, myśli społecznej – i to mnie coraz bardziej pociągało. Na seminariach u Baczki spędziłem chyba z osiem lat, pracę magisterską natomiast pisałem o Gombrowiczu u Żółkiewskiego...

RATKOWSKI: **O Gombrowiczu, który dziś znów jest niesłuszny!**

MENCWEL: Na Brzozowskiego z kolei, z którym spędziłem potem, z przerwami, całe lata, otworzyło mnie poświęcone mu roczne seminarium Baczki w roku akademickim 1964-1965. Pośrednio, bo przeze mnie, inspirowało ono specjalny numer „Twórczości” wydany w roku następnym (nr 6, 1966).

KOMOROWSKI: **To co teraz mówisz, stoi w pewnej sprzeczności z treścią różnych donosów z tamtej epoki. W agenturalnych opisach środowiskowych spotkań filozofów czy literatów jesteś przedstawiany jako ten, który w latach 60. wygłasza bardzo krytyczne opinie o poziomie życia intelektualnego w Polsce.**

MENCWEL: Rzeczywiście, przypominam sobie, że na jakimś seminarium w Zakopanem, któreśmy razem organizowali, wygłosiłem ostrą przemowę przeciw „sentymentalizmowi”, którą Leszek Kołakowski był stropiony i zaczął się nawet tłumaczyć, że on nie jest wcale taki sentymentalny. Zresztą, choć wiek prawie mija od tamtych lat dziecińczych, jestem nadal krytyczny wobec naszej współczesności i to z podobnych przyczyn. Nie widzę mocnej, postępowej alternatywy wobec triumfującego, pospolitego tradycjonalizmu. Wtedy miałem podobne odczucie. Kołakowski jako autor robił na mnie wielkie wrażenie, ale czegoś mi w jego pracach brakowało...

RATKOWSKI: **Może marksizmu, z którym się rozstawał? A *propos*: co dziś zostało z marksizmu?**

MENCWEL: Z Marksa – antropocentryczna i społeczna wizja świata. Marksizmów natomiast było wiele, w tym także twardy ekonomizm.

RATKOWSKI: **A kwestia formacji społeczno-ekonomicznych?**

MENCWEL: Kapitalizm istnieje niewątpliwie, a co więcej – właśnie się globalizuje, co Marks zresztą przewidział. Ale to nie jest żaden „koniec historii”, to jest raczej zmierzch prehistorii. A wracając do kwestii społecznych – klasy istnieją naprawdę, zaś nowoczesne narody nie są homogeniczne. Każde rozwinięte społeczeństwo jest wewnętrznie zróżnicowane, bo inaczej nie byłoby „rozwinęte”, choć same klasy społeczne nie wystarczają do objaśnienia jego złożoności, gdy się je jednak pomija, to nieuchronnie popada się w fałsz.

CHUDZIŃSKI: **Do Żółkiewskiego zbliżyłeś się chyba z powodu marksizmu, lecz Twoje relacje z mistrzem ewoluowały...**

MENCWEL: ...Żółkiewski nie był moim mistrzem, lecz nauczycielem, do którego zawsze miałem pewną ambiwalencję. Z jednej strony bywał świetny – przychodził na seminarium i mówił przez półtorej godziny o tym, co wyczytał w *La pensée sauvage* Levi-Straussa, które się właśnie ukazało. A jednocześnie tkwił w politycznym aparacie, w pewnym sensie „od urodzenia”, bo do PPR-u wstąpił jeszcze przed Stalingradem, kiedy na pewno nie był to wybór koniunkturalny. Za „moich”, że tak powiem, już czasów, o wielu sprawach myślał ciągle z pozycji wewnątrzpartyjnych. Wyka pisał o nim, że działał jak „dzwonnik”, wrażliwy na rzeczy istotne i je ogłaszający – to potwierdzam. Jednak różne jego książki, takie jak *Kultura i polityka*, były wyraźnie „upartyjnione”.

**CHUDZIŃSKI: Ale w późniejszych pracach już tego nie widać.**

MENCWEL: Pewnie – jak go po 68 roku wyeliminowali z kręgów partyjnych, to zaczął uprawiać niezależną krytykę i badania.

**CHUDZIŃSKI: Na X Zjeździe Polonistów (studentów) w Krakowie przewodziłeś „silnej grupie” z UW, która ostro atakowała, z pozycji marksistowskich, referaty koleżanek z Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego. W kuluarach mówiło się o was: „to są chłopaki od Żółkiewskiego”! Tak Cię zapamiętałem z tego zjazdu, którego byłem współorganizatorem.**

MENCWEL: Bardzo dobrze, że ja tego nie pamiętam. Z tamtego zjazdu nie pamiętam prawie niczego, poza wędrówką sporej grupy skupionej wokół Kazimierza Wyki po nocnym Krakowie. Niedawno z Jankiem Pieszczachowiczem sobie to przypominaliśmy.

**CHUDZIŃSKI: No i parę lat później z tych lewicowych pozycji wszedłeś w ostry konflikt z władzą.**

MENCWEL: Nie jestem w stanie dziś całego tego procesu odtworzyć. Zaczynało się od seminariów filozoficznych Baczki i Kołakowskiego; Krzysztof Pomian miał seminarium o Witkacym, chyba w 1966 roku, i pojawiały się już wówczas jakieś wzajemne przenikania, jak to wśród młodych ludzi bywa, ale – jak pamiętam – „komandos” na te seminaria nie chodzili.

**KOMOROWSKI: Bo oni pod szyldem ZMS-u „poszukiwali sprzeczności”...**

MENCWEL: Jako pierwszy z tego środowiska, wśród moich znajomych, znalazł się Adam Michnik, którego poznałem chyba na wspomnianym zakopiańskim seminarium w 1965 roku, tak obszernie opisanym w raportach bezpieki. Ważną osobą był Janek Lipski, który pracował w Instytucie Badań Literackich i żadnych zajęć nie prowadził. Zapraszaliśmy go jednak do Koła Polonistów, razem z Januszem Maciejewskim, a potem na zimowe sympozjum w Samotni koło Karpacza, które organizowałem i na które byli też zaproszeni Andrzej Walicki i Janusz Szpotański. Z tamtego spotkania raportów jeszcze nie ujawniono.

W tym czasie ukazuje się w „Twórczości” miazdząca recenzja Tomka Burka z książki Inki Brodzkiej o „nowym realizmie”, z którą ja zdecydowanie polemizuję, na co z kolei Burek odpowiedział esejem *Na ostrzu noża*. Teksty te zostały odczytane przez wielu jako „antyrządowe”, choć ja nie zdawałem sobie z tego sprawy. Samo w sobie jest to ciekawy przyczynek do tego, co i jak pisaliśmy i jak to czytano w tamtym czasie.

Moje związki z tym środowiskiem zaczęły się więc jakoś od wiosny 1965 roku i stawały się coraz silniejsze, także z powodu osobistego – z mojego zauroczenia Ireną Grudzińską. W dodatku przyjaźniłem się wtedy z Jankiem Grossem, jej późniejszym mężem.

To wszystko zostało opisane w książce Andrzeja Friszke o „komandosach”, więc tam odsyłam, chcę tylko podkreślić moją ówczesną ambiwalencję wobec tego środowiska. To było środowisko ekscytujące swoim elitarnym położeniem i polityczną temperaturą, ja byłem jednak „chłopcem z akademika”, pisywałem w „prasie reżimowej”, często pozytywnie, na przykład o kulturze studenckiej, miałem poczucie wspólnego awansu. Oni natomiast coraz ostrzej manifestowali swoją opozycyjność. Pierwszy raz miałem do czynienia z „opozycyjnym” wyborem, bodaj w 1966 roku, gdy Adasiowi Michnikowi zrobili dyscyplinarkę i znalazłem się wśród tych, którzy podpisali protest w tej sprawie. No to na rozmówkę zaproszono i mnie, ale skończyło się po kilku minutach, bo w komisji dyscyplinarnej znaleźli się profesorowie, którzy rozmawiali ze mną tak, żeby nie było żadnej sprawy.

Owszem, byłem jakoś opozycyjny, ale ciągle uważałem, że w istniejących warunkach mam jeszcze wiele do zrobienia, wiele mogę się nauczyć i nikt mi nie zabrania interesować się tym, na co mam ochotę. Odczuwałem też różnicę sytuacji społecznej. Ja zarabiałem na siebie i zarabiał musiałem, a oni przeważnie mieli dobre oparcia rodzinne. Dlatego pewnie byłem przeciwny radykalizacji, choć zachowywałem solidarność z represjonowanymi. Po 8 marca, kiedy wszystkich prawie z tego kręgu pozamykano i zostałem podwójnie sam, bez środowiska, w wynajętym pokoju, to napięcie urosło do rozmiarów mnie przerażających.

**CHUDZIŃSKI: Do powszechnej świadomości przebiła się tylko jedna wizja Marca – ta antysemitcka.**

MENCWEL: To zrozumiałe, bo ze strony władz wszczęto brudną kampanię i zmuszono do emigracji kilkanaście tysięcy ludzi. Ale do historycznej dramaturgii Marca należą również masowe protesty studenckie w imię demokratyzacji, wolności słowa, przeciw kłamstwom i represjom. Myśmy, z Jadzią Staniszkis i Kubą Karpińskim nie napisali końcowej Deklaracji Ruchu Studenckiego, jak można przeczytać w niektórych opracowaniach – myśmy ją zredagowali, bo opieraliśmy się na stosie rezolucji z różnych uczelni całego kraju.

**CHUDZIŃSKI: To doświadczenie zapisało się w świadomości pokolenia, które wtedy było na studiach i z niego wyrosła studencka kontrkultura, czyli takie spektakle jak *Spadanie Teatru STU*, *Jednym tchem Teatru Ósmego Dnia* i *Koło czy tryptyk Teatru 77*. Bez zrozumienia głębokości i wielowymiarowości doświadczenia Marca '68 wiele zjawisk w kulturze polskiej lat 70. nie da się wytłumaczyć. A w dzisiejszej opowieści – albo żeby być w zgodzie z modą: narracji – o Marcu są tylko „moczarowcy”, „komandos”, kampania antysemitcka i walka o władzę...**

**RATKOWSKI: O Marcu '68 można by długo, ale na tym może poprzestańmy.**

MENCWEL: Popieram!

**CHUDZIŃSKI: W jakich okolicznościach wracasz do pracy naukowej i jakimi problemami się zajmujesz?**

MENCWEL: Przez kilka lat po Marcu żyłem z jakichś robótek, które mi przyjaciele i koledzy podrzucali – z korekt, indeksów, przekładów, redakcji książek, a moja własna *Sprawa sensu* wyszła w 1971 roku, choć złożona została cztery lata wcześniej; „zapis” na mnie działał, dopiero Andrzej Wasilewski go odrzucił. Chciałem wrócić do pracy naukowej, której zresztą nigdy nie zarzuciłem. Pracowałem wcześniej nad doktoratem o początkach nowoczesnej powieści w Polsce i byłem bliski jego ukończenia przed 1968 r. Coś takiego się jednak stało, że do tamtego tematu wrócić nie mogłem, straciłem kontakt z tamtą problematyką. Wtedy życzliwy mi Andrzej Walicki zaproponował, że bym napisał do trzytomowej pracy zbiorowej o „myśli polskiej” studium o Brzozowskim. Wyszło mi tego ponad sto stron i uprzytomniłem sobie, że Brzozowski jest dla mnie ciągle ważny, ale że w ten sposób już też o nim pisać nie mogę! Tamten tekst był napisany właściwie w języku idei Brzozowskiego i uświadomiłem sobie, że muszę się zdobyć na inne, nowe ujęcie.

Antropologiczno-kulturowe ciągoty miałem wcześniej. Jeszcze w roku 1963 napisałem artykuł *Pochwała antropologii kultury* inspirowany książką Chałasińskiego o kulturze amerykańskiej, skąd o tej dziedzinie wiedzy się dowiedziałem. Nie wystarczała mi już historia literatury ani strukturalizm, ani historia idei, z której się wywodziłem i właśnie tamten tekst o Brzozowskim to poświadczał. Miałem silną potrzebę całościowego, kulturowego ujmowania zjawisk i tak zaczęło mi się rysować nowe ujęcie Brzozowskiego. Poprzez interpretację osobowości, rodziny, środowiska – i tak dalej. Zaczęłem iść w tę stronę, wgłębiając się w lekturę z kręgu antropologii. I jak widać po książce z 2014 roku (*Stanisław Brzozowski. Postawa krytyczna. Wiek XX*) zajęło mi to prawie pół wieku....(śmiech).

Doktorat na szczęście napisałem wcześniej – pracę zatytułowaną *Stanisław Brzozowski. Kształtowanie myśli krytycznej* (wydanie 1976). Żółkiewski nie mógł być moim promotorem, bo nie pracował już na UW, a ja chciałem bronić się na uniwersytecie i promotorem została prof. Jadwiga Kulczycka-Saloni, która zajmowała się Brzozowskim i modernizmem. Chętnie przyjęła to, co jej przedstawiłem, a obrona z recenzjami Walickiego i Libery też się udała.

**CHUDZIŃSKI: W tym samym mniej więcej czasie pracujesz nad dwutomową antologią *W kręgu socjologii literatury*, która ukazuje się drukiem w 1976 roku.**

MENCWEL: Te dwie książki robiłem równolegle, żeby mieć dwie mocne nogi, skoro chciałem wrócić do pracy na UW. Zawsze zresztą interesowały mnie społeczne konteksty pisarstwa i twórczości artystycznej, a socjologia literatury była wówczas dobrze rozwinięta. Stało się jakoś tak, że przy finalizacji doktoratu pojawiła się możliwość zatrudnienia mnie w Katedrze Teorii Literatury, której kierownikiem był wówczas Andrzej Lam, zaś w 1976 r. powstała Katedra Kultury Polskiej, do której przeszliśmy w trójkę: Zbyszek Osiński, Roch Sulima i ja, jako że od teorii literatury byliśmy już daleko...

**KOMOROWSKI: Szukając dla siebie miejsca w nauce, szukasz jednocześnie jakiegoś klucza, by po „gramsciańsku” odmienić widzenie kultury?**

MENCWEL: Trafienie w środek tarczy, tylko musimy je odpowiednio pomniejszyć, bo książka, którą opublikuje Wydawnictwo Literackie (*Nad chłopską trumną. Pożegnanie przyjaciela*), jest może moją pierwszą w pełni samodzielną wypowiedzią, choć *Wyobraźnia antropologiczna* (2006) do niej prowadziła...

Mówiąc bardzo poważnie i bardzo osobiście – ja w tej Polsce dzisiejszej nie czuję się u siebie. Ona jest mi obca w panującej symbolice i frazeologii, a także – co wychodzi na to samo – w antysymbolice i antymowie. Jedna i druga są społecznie nijakie, nic nie jest należycie określone, nie wiadomo, kto jest kim i skąd się wziął. Dominuje nad tym jedna, bezprzymiotnikowa, więc jakoś wyrażona „niepodległość”, i jedyni wyróżnieni, lecz zakłamanymi bohaterowie. Tę huczną pułstotę ja źle znoszę, ale dość podobnie jak w latach 60. nie uważam, że wystarczy się z niej śmiać! Jak się nie wypełniło i nie upowszechniło innej wizji Polski, to nie ma się z czego śmiać. Przypominam, że dwadzieścia lat temu wydałem książkę pod tytułem „*Przedwiośnie*” czy „*Potop*”, więc ja przewidywałem wcześniej tę dramaturgię.

**KOMOROWSKI: Magma, to Twoje stare określenie, które tu nieźle pasuje.**

MENCWEL: Potrzebne są inne wyraźne idee i wizje. Niedawno odbyła się w Fundacji Batorego dyskusja o tożsamości, w której brałem udział. I mówię w pewnej chwili: „kiedy byłem pierwszy raz w Paryżu i akurat było to 1 maja, to zobaczyłem co najmniej dwie Francje. Jedna szła od Łuku Triumfalnego, w dół Polami Elizejskimi, a druga idzie co roku od Placu Republiki do Placu Bastylii! Tam wiadomo, kto jest kim i na tym polegają rozwinięte, rozczłonkowane społeczeństwa, że ich członcy są identyfikowalne. A u nas niczego takiego nie ma!”. Alik Smolar wtedy powiedział, że to i tam się kończy, różnica jednak jest taka, że u nas się jeszcze nie zaczęło!

**RATKOWSKI: Lekkomysłnie pozbyliśmy się marksizmu i brakuje innych narzędzi opisu rzeczywistości.**

MENCWEL: Gorzej! Pozbyliśmy się myślenia społecznego..

**KOMOROWSKI: A może wydaje się nam, że nie ma potrzeby wyraźnej artykulacji tych spraw i wzięcia za nią odpowiedzialności?**

MENCWEL: Wyraźna artykulacja jest konieczna, ale ja nie mam takich złudzeń, żeby to mogło być zadanie indywidualne. Mam jednak już dość lat i dość doświadczeń, żeby mówić i pisać to, co myślę i odczuwam.

**CHUDZIŃSKI: Spróbujmy jednak ponazywać, a Ty takie próby parokrotnie podejmowałeś, te główne nurty myślowe, które naszą polską świadomość kształtowały. Inna rzecz, że ostatnimi czasy można je sprowadzić do dwóch... „narracji”!**

MENCWEL: Właściwie do jednej! Przecież kult „żołnierzy wyklętych” inicjował prezydent Komorowski! „Narracja” wówczas panująca należała do tego samego odspołecznionego paradygmatu, tylko była bardziej „miękką”, czyli słabszą; ta obecna, PiS-owska jest twarda, przeto bardziej nachalna. Przecież nie



chodzi w niej tylko o to, aby oddać należną część rotmistrzowi Pileckiemu i jemu podobnym, którą każdy świadomy Polak podziela. Zadaniem tego kultu jest symboliczne unieważnienie powojennych reform społecznych oraz zmuszenie do milczenia wszystkich ich zwolenników.

**RATKOWSKI: Chodzi o narzędzia służące do wskazania, że strona przeciwna jest „drugim sortem”, którego istnienie poprawia samopoczucie „sortu pierwszego”.**

MENCWEL: Unieważnia się tymi zakłamaniami wszystkich tych, którzy przez niemal pół wieku porządnie dla Polski pracowali, jak moja siostra. Nie wiem, w jakiej mierze ona, wtedy dwudziestoletnia dziewczyna, zdawała sobie sprawę z tego, co jest historycznie słuszne, ale tacy ludzie jak Kwiatkowski, Gieysztor, Dąbrowska, Estreicher i inni dość jasno to sobie uświadamiali. Bolszewicy owszem wkroczyli, wnosząc stalinowskie przymusy, lecz obszar działania był znacznie większy niż za caratu, więc dlaczego tego nie wykorzystają? Jest to oczywiście pozytywistyczna motywacja, zapewne nie jedyna, ale przecież owocna, przynosząca narodowi realne korzyści.

**RATKOWSKI: Królestwo Kongresowe przez 15 lat też miało swój sejm, polskie wojsko, znaczący rozwój gospodarczy...**

MENCWEL: Pośrednio więc wmawia się dziś dzieciom i młodzieży, że ich dziadkowie i ojcowie byli kolaborantami, bo powinni byli kryć się w lesie i wysadzać pociągi wożące cegłę na odbudowę Warszawy. I co ważniejsze, unieważnia prawdziwe zdobycze społeczne, a taką zdobyczą była reforma rolna, na którą w Polsce czekano od pokoleń. W Michałowicach pod Warszawą jacyś „państwo” wystąpili o zwrot 350 hektarów, na których jest dzisiaj miasto z drogami, szkołami, przedszkolami, zabudową miejską...

**RATKOWSKI: I tylko wyjątkowo jacyś właściciele stają się beneficjentami „reprivatyzacji”, bo na niej tuczy się cała masa różnych cwaniaków. To opisywał już Balzac. Czy konsekwentnie, na tej samej zasadzie, rządzący oddadzą Ziemię Zachodnie – Niemcom?**

MENCWEL: Zmiany terytorialne były dla Polski zbawienne! Rozumieją to nawet prawdziwi „zabuzanie”, dziś mieszkający właśnie na tych Ziemiach Zachodnich.

**CHUDZIŃSKI: A tymczasem większość potomków tych, co dostali ziemię z reformy rolnej, która – jak dobra poradziwiłowska pod Krakowem – warta jest dziś setki tysięcy złotych, głosuje na PiS! O tym, że dostali tę ziemię od „komuny”, nie pamiętają.**

MENCWEL: Nieprzypadkowo też znani dziś politycy nazywają się Duda, Szydło, Rydzyk, Szyszko itp... To państwo opiera się na ludziach z awansu społecznego, o rodowodach plebejskich, pławi się zaś w symbolice martwej szlachetczyzny. Jest w nim zasadnicza sprzeczność, dlatego w jakimś momencie to się załamie – albo trzeba będzie zmienić repertuar i osoby dramatu. Bo przecież apologetyka destruktywnego terroru nie może wspierać mentalnie budowy i rozwoju!

**CHUDZIŃSKI: W hagiografii „żołnierzy wyklętych” nie ma słowa o terrorze z ich strony. Ten**

**aspekt sprawy jest skrzętnie pomijany, a eksponuje się wyłącznie ofiary bezprawia i terroru stalinowskiego. Na tych łamach przypomnieliśmy niedawno liczby zamordowanych przedstawicieli władz i ludzi, którzy w większym czy mniejszym stopniu te władze popierali i byli to liczby dwukrotnie większe od „żołnierzy wyklętych”, którzy zginęli w walce lub wykonano na nich wyroki śmierci. Tylko ofiar cywilnych wśród szeroko rozumianego powojennego obozu władzy jest 6,5 tysiąca.**

**Polska Ludowa mieści się w cezurach 1944-1989. A jakie cezury wcześniejsze są ważne w naszej historii najnowszej?**

MENCWEL: Gdy pytamy o przemiany kulturowe, przekształcenia substancji społecznej, trzeba zacząć od „ziemi obiecanej”, czyli od lat 90. XIX stulecia. Partia Proletariat powstaje wcześniej, lecz nie ma wielkiego zaplecza społecznego, natomiast w programie „Głosu” z końca lat 90. „lud”, rozumiany jako lud wiejski, jest głównym problemem społecznym w Polsce. Od „ziemi obiecanej” pojawia się nowy podmiot – klasa robotnicza nazywana „proletariatem”, która jest niewątpliwie miejska. Potem są lata 1904-1906, choć pokutuje ciągle sowiecka periodyzacja 1905 roku: od styczniowej „krwawej niedzieli” w Petersburgu do grudniowego powstania robotników moskiewskich. Zarzewie rewolucji w Polsce jest wcześniejsze, od buntów przeciw mobilizacji na wojnę japońską, przez sprawę Marcina Kasprzaka, powszechny strajk budowlanców w Warszawie z pierwszym robotniczym komitetem strajkowym, po listopadową „manifestację Grzybowską”. Dążenia niepodległościowe, wojskowe i cywilne, następnie odzyskanie niepodległości w 1918 roku, jednoczenie kraju i jego obrona to są, oczywiście fakty podstawowe. W perspektywie historii kultury najważniejsze jest wprowadzenie obowiązku szkolnego w języku polskim, a także w językach mniejszościowych, choć z jego realizacją mieliśmy problemy, w niektórych województwach wschodnich analfabetyzm sięgał 70 procent...

**CHUDZIŃSKI: W województwie stanisławowskim 80 proc., a w powiecie tarnobrzesckim i jego sąsiedztwie, w centrum Polski – 50 proc.**

MENCWEL: Wierzyć mi się nie chce, żeby tak było w mieście mojego urodzenia... Chodzi mi jednak o realne przekształcenia społeczne, do których przyczyniała się widoczna walka klasowa. Powszechnie „unarodowienie” chłopów z kolei wiąże się z ich upolitycznieniem, służbą wojskową oraz masowym oporem przeciw okupantowi, co nigdy wcześniej na taką skalę nie miało miejsca. Nigdy przedtem nie było tak licznej partyzantki chłopskiej skierowanej przeciw najeźdźcy.

**CHUDZIŃSKI: Kropkę nad i postawił już Chałasiński dowodząc, że proces unarodowienia warstwy chłopskiej miał swój finał w czasie okupacji hitlerowskiej. Dlaczego jednak piszesz o roku 1948 jako granicznym?**

MENCWEL: ...bo doceniam skutki reformy rolnej oraz pierwszego powojennego „umiastowienia”, czyli masowej migracji do miast, a zwłaszcza na Ziemię Zachodnie. Natomiast tak zwane „zjednoczenie ruchu robotniczego” było aktem stalinizacji, która instytucjonalnie trwała bardzo długo. Mimo wielu ważnych

wydarzeń społecznych, ruchów oddolnych i wstrząsów politycznych jak Październik 1956, instytucjonalna struktura państwa z „kierowniczą rolą partii” trwała do Sierpnia 1980 i po nim. Do 1948 r. mamy jeszcze pewien pluralizm polityczny i rzeczywiste artykułacje interesów różnych grup – autentyczny PSL i ekspansywny PPS oraz paletę prasy, która – choć poddana cenzurze – wypowiada różne stanowiska. Równocześnie następują też głębokie przekształcenia struktury społecznej. Z przeludnionej przed wojną wsi wychodzi do miast ponad 2 mln ludzi. Wbrew stereotypom kulturalnym, to nie są tylko przesiedleńcy z Kresów Wschodnich, lecz także z Małopolski, Kielecczyny, Podlasia, Wielkopolski... Dla mojego ojca przesunięcie „na Zachód”, jak to się wówczas nazywało, było oczywiste. Ekipy obejmujące poniemieckie miasta, co wiem od mojej siostry, która w takiej się znalazła, były formowane na terenach przygranicznych – w Poznaniu, Lesznie, Rawiczu. Nowa Huta i inne „wielkie budowle” lat pięćdziesiątych to dopiero druga fala tego masowego ruchu ludności.

**CHUDZIŃSKI: A 1956 rok? Nawet historycy zaślugujący na to miano, jak Paczkowski, powiadają, że dla nich to nie jest żadna ważna data, bo w sensie ustrojowym nic się nie zmieniło.**

MENCWEL: Rozumiem kogoś, kto zajmuje się historią ustroju politycznego i tak patrzy na tę datę, ale takie spojrzenie pomija to, co stało się na poziomie społecznym.

**RATKOWSKI: Są i tacy jak Kaczyński, którzy twierdzą, że do dziś nie zmieniło się nic i dopiero „dobra zmiana” odmieni Polskę.**

MENCWEL: Warto sobie uprzytomnić, jak władze traktowały tę rocznicę. Owszem, obchodzono rocznicę „poznańskiego Czerwca”, bo należało oddać hołd ofiarom, ale wymuszano „apel smoleński”. Sam polityczny „Październik” został oficjalnie przemilczany, gdyż okazał się niedogodny – to masowy ruch społeczny zmieniał przecież Polskę, a nie „chłopczy z lasu”. Na szczęście z publikacjami było lepiej, jednak do dziś brak książki, która by pokazywała przemiany środowisk robotniczych i ich dojrzewanie w całym okresie PRL. Kto dziś na przykład pamięta, że zaraz po wojnie robotnicy spontanicznie przejmowali fabryki? Niezależnie od tego, co forsowały władze partyjne, powstawały rady robotnicze w 1956 roku, choć przetrwały zaledwie półtora roku, żądania niezależnych związków zawodowych pojawiły się w 1970. Przez całe powojenne półwiecze toczyły się ważne procesy społeczne, dokonywała się zmiana substancji narodowej i uświadczenie pracujących, a teraz, skoro PRL skreślono, to ich też nie ma! Podobnie jest z ważnymi dyskusjami wewnątrz „Solidarności”, które dziś sprowadza się do kwestii „Bólka”.

**RATKOWSKI: 21 stocznioowych postulatów nikt nie przypomina...**

MENCWEL: Podobnie jak w PRL-u nie przypomina treści *Manifestu Lipcowego*.

**CHUDZIŃSKI: No i przez cały ten okres, dzięki bezpłatnej oświacie i upowszechnianiu kultury, następował awans kulturalny społeczeństwa...**

MENCWEL: Gdyby uwzględnić tylko osiągnięcia artystyczne, to symbolicznego znaczenia mógłby nabrać wczorajszy wieczór w TVP. Najpierw o 20.30 pokazano

świąteczny *Ożenek* Gogola z 1976 roku, z Kwiatkowską, Wołhejką, Brusikiewiczem, Pokorą, młodą Anną Seniuk, a o 22.30 dopiero rocznicowy koncert poświęcony pamięci ofiar kopalni „Wujek”. Musiał być tak słaby, że utrudniono jego oglądanie!

**RATKOWSKI: Właśnie ukazało się w śladowym nakładzie wydawnictwo poświęcone realizowanym w Krakowie spektaklom Teatru Telewizji – to jednak wielka pochwała telewizji z epoki PRL, pokazująca jak na dłoni obecną mizериę TVP...**

MENCWEL: To są kulturowe konsekwencje tego, że w kapitalizm weszliśmy bez żadnych zabezpieczeń, czego przykładem jest właśnie TVP, która nie ma żadnych podstaw finansowych. Przez ćwierć wieku nie zdołano wypracować odpowiednich mechanizmów amortyzacji, a dotyczy to szerszych obszarów kultury. Kiedy podczas reform Balcerowicza zapewniano nas, że „wykonaliśmy skok do królestwa wolności”, napisałem w „Polityce” artykuł *Uwaga: kultura!* Mógłbym go teraz przedrukować i adresować do obecnych decydentów.

Gdy jednak myślimy o roku 1989 i uwzględniamy wskazane już daty wcześniejsze, z dodatkiem Ursusa i Radomia 1976, to obejmują one czas, w którym klasy pracujące osiągnęły podmiotowość, jakiej dotąd nie miały. Temu się nie da zaprzeczyć. Najpierw „klasa robotnicza” zmieniła władzę drogą masowych wystąpień, potem stworzyła organizację, która nie miała precedensu w dziejach świata – czyli „Solidarność”.

Co się dzieje z tym wszystkim po 1989 roku, po czymś, co nazwano transformacją, a co było, moim zdaniem, restauracją kapitalizmu, tylko na wyższym niż przed wojną poziomie, co jest oczywiste, w odniesieniu do trwającego przecież pół wieku rozwoju „Zachodu”.

**CHUDZIŃSKI: Ale restaurowaliśmy także kapitalizm XIX wieczny...**

MENCWEL: Wprowadzaliśmy różne kapitalizmy. Mógłbym przytoczyć przykład mojego rodzinnego miasta, czyli Żar. Od XIX wieku żyło ono z czterech fabryk przerabiających wełnę, len, bawełnę i produkujących odzież. Wszystkie naraz upadły!

**RATKOWSKI: Ale to przede wszystkim efekt globalizacji, przed którą chroniły nas resztki „żelaznej kurtyny”.**

MENCWEL: Nie, nie! To efekt przeprowadzenia reformy bez amortyzacji. Jakies pięć tysięcy ludzi w 30-tysięcznym mieście straciło pracę, co wraz z rodzinami daje ponad połowę mieszkańców. Jaki był tego rezultat? Stan Tymiński, czyli nikt, w pierwszej turze wyborów prezydenckich dostał tam 45 proc. głosów. Pytam więc, używając języka Brzozowskiego, czy od tamtego czasu nasze społeczeństwo „odpoznało się w swoim jestestwie”, czy się „nie odpoznało”? Czy my, czyli humaniści, intelektualści „odpoznanie” to mu ułatwiliśmy, czy utrudniliśmy? Nikt przecież nie wytłumaczył wystarczająco, dlaczego w kolejnych wyborach nie brała udziału więcej niż połowa uprawnionych. Ta połowa Polaków to dla nas jacyś „bliscy nieznanymi”, nie wiemy, kim oni są, z kim mieszkamy w jednej dzielnicy albo i kamienicy...

**KOMOROWSKI: Restytucja dóbr zyskała w Polsce wielkiego sojusznika w Kościele. Proteżę dla wsparcia restytucji była kościelnie ukie-**



Fot. Grzegorz Kozakiewicz

**runkowana religia, w której znaleziono protezę ciągłości.**

MENCWEL: To zbyt zwięzłe, żeby mogło być całkiem prawdziwe. W swojej nowej książce poświęcam polskiej religijności trochę uwagi. Sądzę otóż, że obraz klerykalnego, zrytualizowanego i obyczajowego katolicyzmu polskiego jest fałszywy. Pochodzi on z saskiego, sarmackiego, szlacheckiego tłumu, a przypisuje się go współcześnie chłopom. Owszem, jest on nadal widzialny, ale chłopci, którymi się zajmuję, łatwej indoktrynacji się nie poddają; są samodzielni w swoich ocenach i postawach, także gdy idzie o Kościół dzisiejszy. Moi znajomi nie będą przemawiać za Polską Ludową, ale nie będą też na nią pluli, choć w wyborach część z nich odda głos na PiS. To jest pluralizm – tylko niespójny.

Za wiele uproszczeń współczesnych odpowiadają elity – jeśli przez dziesięciolecia używa się nazwy PRL czy komunizm wyłącznie jako inwektywy, bez należytej refleksji analitycznej, to nie ma się co dziwić, że przyjdą tacy, którzy uczynią z tego oręż propagandowy i polityczny skierowany przeciw tym elitom.

**CHUDZIŃSKI: I mamy tego rezultaty. Do 2005 roku głównym celem ataku był SLD jako synonim postkomuny. Z tej strony widziano największe zagrożenie dla transformacji ustrojowej, dlatego straszono PRL-em bis. Z prawicą licytowały się w krytyce, a nierzadko w dyskredytowaniu totalnym lewicy „postkomunistycznej” środowiska postsolidarnościowe o orientacji liberalno-demokratycznej i „Gazeta Wyborcza”. Historia sobie z nich zaordynowała. Dziś to one są głównym celem ataku PiS!**

**RATKOWSKI: SLD może mieć schadenfreude, ale ja się z tego powodu nie cieszę.**

MENCWEL: Najgorsze, że na tak zwanej scenie politycznej właściwie nie ma dziś lewicy. Kto za to odpowiada, długo by mówić, ale w znacznej mierze obciąża to również SLD. Można rozumieć zaniechania społeczne, gdy pierwszoplanowe było wejście do Unii Europejskiej i do NATO, czyli koncentracja na celach państwowych, ale porzucenia problematyki socjalnej nie da się usprawiedliwić.

**RATKOWSKI: I zrezygnowano z prób stworzenia własnego, innego niż neoliberalny, opisu świata.**

MENCWEL: To bodaj na którymś z eseldowskich sejmowych spotkań, organizowanych zresztą przez Andrzeja Kurza, po wysłuchaniu kolejnych ataków na prawicową politykę historyczną, zapytałem skromnie: A dlaczego żadnej polityki historycznej nie zostawiły po sobie rządy lewicowe? Przez politykę historyczną nie rozumiem doraźnych wystrzałów propagandowych, jak z owym festynem Gierka, lecz wizję nowoczesnej polskiej przeszłości i przyszłości, wraz z rekonstrukcją tradycji demokratycznej, wskazaniem miejsc pamięci, określeniem socjalistycznej tożsamości... Nic. Nawet prób nie było. Kim jest dla nas Tadeusz Kościuszko i czy Uniwersał Połaniecki jest ważniejszy od Konstytucji 3 maja? W niektórych wsiach, jak na przykład w Długosiodle, stoją jeszcze pomniki Tadeusza Kościuszki, który coś dla wolności chłopskiej uosabiał. Czym jest dla nas dzisiaj cała nowoczesna tradycja socjalistyczna i co z niej uważamy za trwałe?



Inne, równie ważne pytania: dlaczego kwitły wówczas umowy „śmieciowe”? Dlaczego dopiero rząd PiS-u określił płacę minimalną i wprowadził znaczące zasiłki dla rodzin wielodzietnych? Dlaczego nie można było zrobić tego wcześniej i dlaczego SLD nie uczynił z tych kwestii swego podstawowego programu społecznego, który zakotwiczyłby go wśród pracobiorców?

**CHUDZIŃSKI: A czy nie można było wytyczyć „polskiej drogi do kapitalizmu”, choćby przez analogię do gomułkowskiej „polskiej drogi do socjalizmu”? Był przecież prof. Kowalik i grupa podobnie myślących ekonomistów, proponujących jako pewien wzorzec model skandynawski. W odpowiedzi słyszymy, że błędy były nieuniknione, bo nikt dotąd nie zwracał z drogi prowadzącej w stronę komunistycznej utopii...**

**MENCWEL:** Nie było nawet odpowiedzialnej nad tym refleksji. Lewica powinna była się zdobyć na podstawową, systemową opiekę nad ludźmi, którzy za transformację zapłacili najwyższą cenę. Socjaldemokracja, która o nich nie myśli, na to miano nie zasługuje.

Oczywiście, sprawa lewicy nie jest przegrana, ponieważ sprawa socjalizmu nie jest przegrana, choć ja nie myślę o lewicy w perspektywie „elektoralnej”. Plebejski zasadniczo rodowód naszego społeczeństwa daje do myślenia – nie jest możliwe w dłuższej perspektywie, żeby przynajmniej jego zasadnicza część nie odnalazła się w etosie lewicy. Dziś zajmuje to miejsce populizm, ale on ma krótki zasięg. Populista może rozdawać pieniądze i doraźnie wspierać słabszych, ale nie wezwie ich, żeby „nie czekali zmiłowania”. Nie pobudzi więc ich wszechstronnej emancypacji, a do niej nasze społeczeństwo dojrzało. Sprzyjającą przemianę okolicznością jest wielość lewicowych skupisk mniej lub bardziej zorganizowanych, rozsianych w wielu miejscach. Pytanie, czy wszyscy, którzy do nich należą, rozumieją podstawowe historyczne zadanie i stworzą skutecznego sojuszu? – pozostaje pytaniem. Na razie niestety wygląda na to, że wolą przytopić sąsiada, ale muszą oprzytomnieć i ustalić przynajmniej jakieś wspólne minimum programowe.

**RATKOWSKI: Czy takim minimum nie powinno być przeciwstawienie się nacjonalizmowi? To jeden z elementarnych punktów, które różnią lewicę od populizmu!**

**MENCWEL:** Lewica musi być wrażliwa na to, co się dzieje na całym świecie z biednymi i krzywdzonymi, ale nie można przeciwstawić abstrakcyjnego internacjonalizmu tożsamości narodowej. A ona jest społecznie demokratyczna – przypomnijmy sobie *Historię demokracji polskiej* Bolesława Limanowskiego i całą tradycję socjalistyczną. Nie chodzi o to, że ona jest „lewicowa” – ona jest istotnie i po prostu prawdziwa.

**CHUDZIŃSKI: Lewica w Polsce, jak i w Europie koncentruje się albo na sprawach socjalnych, mając za konkurenta populizm, albo skupia się na kwestiach światopoglądowych.**

**MENCWEL:** Ale orientacje zwane „światopoglądowymi” są wtórne. Prawa związków homoseksualnych mogą wyprzedzać socjalnych praw rodzin wielodzietnych. W przeciwnym razie jasna hierarchia celów społecznych zostaje zniweczona.

**KOMOROWSKI: Jeśli feministki żądają, żeby kobiety miały w wojsku prawa równe z mężczyznami, to pytam, czy jest to narracja lewicowa? Czy może militarystyczny?**

**MENCWEL:** Każde żądanie emancypacyjne jest lewicowe, gdy jest sprawiedliwe, ale są ważniejsze i mniej ważne stopnie emancypacji. Najważniejsza jest oczywiście sytuacja pracobiorców.

**CHUDZIŃSKI: Jaka jest pozycja istniejących w Polsce lewicowych bytów? Czy „Razem” ma szansę stać się liczącą się partią?**

**MENCWEL:** W dziedzinie prognoz politycznych – jestem słaby. Mogę mówić o nadziejach – większe pokładam w „Razem”, bo oni właśnie pracują na poziomie pracobiorców.

**RATKOWSKI: Czy można dziś pracobiorców traktować w kategoriach marksistowskich klas?**

**MENCWEL:** Na pewno ciągle istnieje klasa robotnicza w kopalniach, hutach i fabrykach, a może też przy kasach hipermarketów. Jako „klasa dla siebie” jednak to ona się dopiero objawi.

Jest klasa średnia, składająca się z zaradców, wolnych zawodów, drobnych przedsiębiorców, a ci ostatni, jak gdzieś czytałem, wytwarzają 60 proc. produktu krajowego. Nie wiemy jednak, jakie ta klasa ma cele i czy ona sama to wie. Jest klasą zasklepioną „w sobie”, a od niej w znacznej mierze zależy nasza przyszłość. Gdy ona sobie siebie uświadomi, to będzie musiała powiedzieć, jakie chce mieć państwo i jaką tożsamość narodową: państwo świeckie czy wyznaniowe, społeczne czy rynkowe, tożsamość etniczną czy polityczną... Mamy także klasę wyższą – milionerów i im podobnych, których nie jest mało.

**CHUDZIŃSKI: Ostatnio na blogu komentowałeś listę ośmiu najbogatszych ludzi na świecie, których majątek jest równy zasobom połowy tzw. ludzkości, jakby powiedział Witkacy. Nas dotknęło jeszcze inne nieszczęście, a mianowicie korporacjonizm. W Polsce o swoje interesy potrafią zadbać korporacje zawodowe, gospodarcze, finansowe, medialne. Jak na te zjawiska powinna reagować lewica? Czy istnieje jeszcze jej etos, o którym napisałeś książkę.**

**MENCWEL:** Dla lewicy najważniejszy jest prymat celów społecznych. Jak się ich nie wskazuje i nie realizuje – robi to populizm i na tym zyskuje. Niemniej ważna jest wizja emancypacyjna, obejmująca kwestie centralne, ale i peryferyjne. I wreszcie samoorganizacja społeczna, niezbywalna zdobycz lat przełomu i III RP. Właśnie wyłania się kolejny podstawowy konflikt – między koncepcją społeczeństwa upaństwowionego a wizją państwa uspołecznionego. Nie mam wątpliwości, za czym powinna się opowiedzieć lewica, ale jak dotąd nie słyszę jej głosu i nie wiem, gdzie ona stoi. Jak Marcin Luter – czyli nie do ruszenia.

**Rozmawiali:**  
Edward Chudziński  
Adam Komorowski  
Filip Ratkowski

Kraków, 31 stycznia 2017 r.

# RATUJMY POLSKĘ I EUROPE, SZUKAJMY POROZUMIENIA

„Kuźnica”, stowarzyszenie ludzi kultury, wiedzy i edukacji od ponad 45 lat zaangażowane w działalność na rzecz polskiej racji stanu i praw człowieka, europejskich wartości postępu, cywilizacji i kultury, zwraca się – zaniepokojone – do ludzi dobrej woli, ich organizacji i związków, do polskiego społeczeństwa.

**Państwo nasze od dłuższego czasu zmierza w złym kierunku. Odchodzimy od zasad współżycia w przyzwoitości, kulturze i światłości, od porządku konstytucyjnego i poszanowania prawa, od zbowiennych dla Polski związków z Unią Europejską, od przyjaznej współpracy z wszystkimi sąsiadami.**

A były to i są nadal sprawy najważniejsze, decydujące o naszym bezpieczeństwie i dobrostanie, o naszej przyszłości i samym wręcz istnieniu jako państwa pomyślnie się rozwijającego, przyczyniającego się do pokojowego współżycia w Europie i świecie.

Od czasów kompromisu Okrągłego Stołu, do którego my, ludzie „Kuźnicy”, dążyliśmy ze wszystkich sił, przez wiele następnych lat czuliśmy, że Polska rozwija się pomyślnie. Struktury państwa demokratycznego, wartości społeczeństwa obywatelskiego dzięki postawie i wysiłkowi większości umacniały się, przezwyciężając stare wady i zapóźnienia. W narodowych referendumach przyjęliśmy dobrą Konstytucję III Rzeczypospolitej oraz podjęliśmy decyzję o przystąpieniu do Unii Europejskiej. Polityka oparta na porozumieniu podstawowych ugrupowań partyjnych umocniła nasze bezpieczeństwo i pomyślność rozwoju poprzez porozumienie ze wszystkimi sąsiadami, przez udział w Trójkącie Weimarskim i Grupie Wyszehradzkiej.

Wydawało się, że uporczywie nawracające zło zjawiska i tendencje do naruszania umów przez zwyciężające w demokratycznych wyborach siły polityczne, zwłaszcza posolidarnościowe oraz odejście episkopatu Kościoła katolickiego od roli mediatora nie naruszają istoty dobrych przemian. I to mimo ciągłego ataku kłamstw na przeszłość Polski, szczególnie na okres Polski Ludowej, przewrotnego idealizowania własności prywatnej i usprawiedliwiania społecznych nierówno-

ści, fałszywych oskarżeń o komunizm i postkomunizm, psucia publicznych mediów i państwowego systemu oświaty i sprawiedliwości.

Jednak polskie lęki, kompleksy i frustracje, ożywione przez światowy kryzys gospodarczy i wielkie konflikty etniczne, kulturowe i religijne, wybuch terroryzmu i masowe ruchy migracyjne naruszyły pomyślnie dla Polski tendencje. Zachwianie procesów europejskiej jedności, zwątpienie w siłę europejskiej wspólnoty narodów i państw przerwały naszą drogę dobrego rozwoju, kształtowania się społeczeństwa obywatelskiego.

Ugrupowania rządzące prowadzą od roku politykę konfliktu i zarządzania przez konflikt, bezmyślnych ataków na sąsiadów Polski, jej europejskich sojuszników, na cały dorobek III Rzeczypospolitej, na zasady parlamentarnej demokracji i praworządności. Następuje grożące tragicznymi skutkami rozdarcie polskiego społeczeństwa. powrót do języka nienawiści i poczucia zagrożenia przez obcych, wyzwolenie ducha agresji, ksenofobii i wręcz rasizmu.

**Zagrożona została polska racja stanu, polski ład konstytucyjny i prawa obywatelskie.**

**W tej sytuacji zwracamy się do wszystkich współobywateli, którzy czują te zagrożenia i chcą je przezwyciężyć:**

- ograniczmy ataki wzajemne w środowiskach demokratycznej opozycji, skupmy się na wspólnym dążeniu do zmiany władzy w Polsce;
- zaniechajmy wzajemnych ataków i niechęci w środowiskach uważających się za lewicowe, wydzwignijmy to, co nas łączy;
- ratujmy Polskę i Europę od szata ekstremizmów, narodowych egoizmów, etnicznych i religijnych konfliktów;
- szukajmy na drodze kompromisów porozumienia ze wszystkimi naszymi sąsiadami i z partnerami w Unii Europejskiej i Pakcie Atlantycznym

Kraków, styczeń 2017 r.

Rada „Kuźnicy”

MAREK TABIN

# TRAKTAT O PODDANYCH

W pierwszym okresie po 1989 roku uważało się, że dwa główne obozy polityczne w Polsce to postkomuniści i postsolidarnościowcy. Moim zdaniem, postkomuniści jako formacja polityczna nie istnieli. Była to nazwa zbiorcza na:

- grupę kilkuset byłych działaczy PZPR, którzy czuli się niesprawiedliwie oskarżani, a ich działalność polityczna polegała wyłącznie na walce o dobre imię,

- grupę aktywnych polityków o proveniencji PZPR-owskiej i o programie chaotycznie neoliberalnym z chwytającym tylko za serce frazesem o „sercu po lewej stronie”,

- grupę fachowców i działaczy z reguły niechętnie ustosunkowanych do PRL, zajmujących wysokie i średnie stanowiska w administracji przemysłowej i państwowej, na które łakomie patrzyli nowi władcy. Gdyż postsolidarnościowcy oczywiście istnieli i coraz wyraźniej dawali do zrozumienia, że interesuje ich posiadanie władzy, a nie skutki jej sprawowania.

Konflikt między tymi grupami żywił się przez pewien czas zaciekleścią postsolidarnościowców, spowodowaną chyba uświadomieniem sobie, że rządzenie idzie im znacznie gorzej niż poprzednikom i że ustrój nie jest uniwersalnym kluczem do sukcesu, co zresztą było zaskoczeniem dla wszystkich Polaków. Ewoluuując, obozy te szybko przekształciły się w plemiona, czyli grupy wrogie sobie z zasady, poszukujące tylko sposobów zniszczenia przeciwnika i nie uznające istnienia żadnej z nim wspólnoty (na przykład państwowej, narodowej, religijnej czy ludzkiej) – aż wreszcie prawie zanikły. Zastąpił je inny podział, również dychotomiczny, również plemienny, który po poprzednim odziedziczył jedynie zaciekłość.

Dziś jedno z tych plemion – nazwiemy ich Europejczykami pisanymi małą literą, gdyż nie chodzi o kontynent pochodzenia, lecz o ideologię – to ludzie bardzo wysoko ceniący sobie żywą, odczuwalną na co dzień przynależność do najwyższej rozwiniętej części świata, a intelektualnie dobrze się do tego świata nadający. Godzą się na status „tego gorszego” we wspólnocie krajów rozwiniętych, czyli na status ucznia i wstydzają się, gdy ci z ostatnich ławek są niegrzeczni i puszczają latawce, za to są dumni, gdy Pani ich pochwali. W latach 90. minionego stulecia okazywali dumę nawet wtedy, gdy stwierdzali istnienie w Polsce zjawisk skądinąd negatywnych – takich jak na przykład mafie i grupy gangsterskie – gdyż były one dla nich dowodem przynależności do Zachodu. Ich patriotyzm jest raczej pozytywistyczny, oparty na pracy, ofiarności na rzecz kraju i uczciwości, a nie na kulturowych elementach wspólnoty, takich jak język czy religia.

Ale ten pozytywizm patriotyzmu nie sięga tak daleko, by chcieli oni być dumni z tego, że my, Polacy, zbudowaliśmy sobie wysoki standard codziennego życia – wolą ten standard od razu, w postaci gotowej, importować – bez względu na koszty. Dla znacznej ich części patriotyzm jest w ogóle pojęciem z przeszłości. Są mentalnie przystosowani do globalizacji, nie widzą problemu własności w przemyśle, kapitale – ich zdaniem – nie ma narodowości, choć jednocześnie zakład przemysłowy koncernu zagranicznego położony na terenie Polski uważają za zakład polski. Ich silnie paternalistyczny styl rządzenia jest przez przeciwników słusznie odbierany jako lekceważenie. Utrata władzy przez postsolidarność w 1993 roku była właśnie tą zarozumiałością spowodowana. Uważani są, niezupełnie słusznie, za tych, którym się udało. Obecnie grupują się głównie wokół Komitetu Obrony Demokracji.

Członkowie plemienia drugiego, pisowcy, przeciwnie, mają być „tymi, którym się nie udało”. Mimo że niszczą Lecha Wałęsę, ich mottem są jego słowa z lat 90.: „obaliliśmy komunizm, a jak będzie trzeba, to kapitalizm też obalimy”. Pisowcy to oczywiście stały elektorat Prawa i Sprawiedliwości, ale także wcześniejszych podobnych partii, jak PC, ZChN, AWS, czy LPR; pisowcy istnieli jeszcze przed PiS-em, co najmniej od I Zjazdu NSZZ „Solidarność”. Są to konserwatyści, nacjonałści i polityczni katolicy, może nie zawsze szczególnie głęboko rozumiejący swe ideowe przywiązania, za to z reguły popierający polityczną działalność Radia Maryja. Mają silny i uzasadniony kompleks słabości intelektualnej, a ich demonstracje niepodległości i niezależności przybierają podwórkową formę. Preferują patriotyzm oparty na tradycyjnych symbolach i nie zauważają, że dziś nikt już z nimi nie zamierza walczyć, gdyż czasy przymusowych germanizacji i rusyfikacji minęły.

W dziedzinie polityki gospodarczej są kontynuatorami socjalizmu i za główne źródło siły przemysłowej uważają wielkie państwowe inwestycje, a za główny czynnik pożądaných zmian społecznych – państwo i jego mądrych (jakże by inaczej!) przywódców. Plemię to „opowiada się za inną wizją Polski i jej rozwoju. Ten rozrój opiera się na większym zakresie suwerenności, odwołaniu do naszej tożsamości kulturowej, na większej dozie sprawiedliwości społecznej” (słowa wicepremiera Piotra Glińskiego). Dodajmy: także na wrogości wobec plemienia pierwszego („wykształciuchy”, „złodzieje w białych rękawiczkach”), odwzajemnianej nie tylko wrogością, ale i lekceważeniem.



Przywódców obu tych plemion łączy nieodwzajemniona miłość do ideologii, oczywiście różnych, oraz uznanie, że to właśnie głoszone (niekoniecznie praktykowane) idee, a nie potrzeby kraju powinny być głównym kryterium oceny podejmowanych działań.

Europejczycy i pisowcy nadają ton naszemu życiu polityki, ale jako elektorat są w sumie znacznie mniej liczni niż kategoria trzecia, poddani. Są to wyborcy labilni partyjnie, do niedawna niechętnie odnoszący się do PiS, gdyż osoby polityków tej partii budziły u nich poważne i zrozumiałe wątpliwości. W końcu niechęć do plemienia pierwszego w postaci Platformy Obywatelskiej u znacznej ich części przeważyła. Do PiS przekonała ich obietnica likwidacji wad rządów PO, czyli pierwsza w wolnej Polsce merytoryczna (to nie znaczy, że uczciwa!) kampania wyborcza – poprzednie były albo potokami infantylnych i ogłupiających hasłek, albo nierealnymi obietnicami. Ich poparcie dla PiS w 2015 roku zdecydowało o zwycięstwie tej partii.

Dojście do władzy polityków oficjalnie reprezentujących plemię drugie, czyli PiS, było logicznym skutkiem wcześniejszej polityki innych partii w całym ćwierćwieczu III RP. Skręt ku populizmowi (w niektórych publikacjach pisano nawet o profaszyzmie) przewidywano już kilka lat po upadku socjalizmu i uważano taki obrót wydarzeń za rezultat połączenia arogancji aktualnej władzy z jej nieudolnością w administrowaniu krajem. Właściwie należy się dziwić, że doszło do tego dopiero w 2015 roku.

Krytyka zastanego stanu służy zdobyciu władzy. Jest sugestią, że po zdobyciu władzy to co złe, zostanie naprawione. Sugestia bierze się z przekonania, że obecnie rządzący nie naprawiają zła, gdyż go nie widzą, albo są z natury źli, a to zło jest dla nich korzystne. Jest to założenie błędne. Nikt lepiej nie widział nędzy gospodarki socjalistycznej przed 1989 rokiem niż rządzący. Z jakich przyczyn nie wyciągali z tego trafnych wniosków – to oddzielny, szeroki problem. W 1989 roku władzę objęli ludzie, którzy bardzo trafnie krytykowali ówczesną rzeczywistość, ale mieli nieadekwatne do sytuacji w kraju – bo czapkujące i bezmyślne – pomysły na jej naprawienie. Po 26 latach od obalenia rządów socjalistycznych okazało się, że hasło radykalnej zmiany ustroju jest nadal nośne i to z tych samych przyczyn. A Prawo i Sprawiedliwość stało się następnym ogniwem naszej tradycji: trafna krytyka w czasach pozostawania w opozycji oraz przeciwnie skuteczne działania po objęciu rządów.

Poniżej przedstawię krótką charakterystykę zasadniczego elementu świadomości politycznej poddanych oraz pewne uwagi dotyczące genezy tej grupy. Chodzi tu nie o przywiązania partyjne, czy nawet ideowe – takie jak lewica, czy prawica – ale o postawy głęboko zakorzenione w osobowości i warunkujące decyzje wyborcze tych osób, które nie zaliczają się do stałych – czyli z konieczności mało refleksyjnych – elektoratów. Podkreślam, że chodzi wyłącznie o postawy warunkujące zachowania polityczne w Polsce po roku 1989. Analiza innych zachowań – na przykład wspólnotowych – wyglądałaby zupełnie inaczej.

#### Zasada jednego centrum

Gdy w społeczeństwie pojawia się różnica zdań na jakiś ważny temat – a jest to sytuacja naturalna i częsta – możliwości, mocno upraszczając, są trzy:

– albo rozpoczynają się debaty i negocjacje, wcześniej czy później doprowadzające do uzgodnienia stanowisk lub powstania partii o przeciwnych programach – i to jest przypadek doskonałego społeczeństwa obywatelskiego,

– albo zaczynają się potępięcze swary wykorzystujące wszystkie – głównie nieuczciwe, a zawsze szkodliwe dla kraju – możliwości pokonania „wroga”, czyli tych, którzy reprezentują odmienne stanowisko – i to jest przypadek Polski i naszego nieustającego festiwalu podwójnej moralności,

– albo jedno centrum kierownicze podejmuje decyzję, od której w zasadzie nie ma odwołania. PRL bardzo starała się funkcjonować według tego modelu, z coraz gorszym skutkiem. Po 27 latach III RP pamięć o klęsce tamtego modelu osłabia, a grupa akceptujących centralizm, czyli gotowych do poddaństwa, powiększyła się na tyle, że razem z pisowcami wygrali oni wybory w 2016 roku.

Zasada jednego centrum kierowniczego, a najlepiej po prostu jednego przywódcy, jest, jak sądzę, centralnym elementem światopoglądu poddanych. Tęsknotę tę widać w rozmowach, w internetowych komentarzach do wydarzeń politycznych, czasem w publicystyce, choć nie należy ona do kanonu poprawności politycznej. Uwodzieleńska logika takiego rozwiązania jest prosta. W każdym kraju jest zawsze wiele różnych problemów od ogólnogospodarczych i ogólnopolitycznych do drobnych przekrętów w pewnym sklepie lub prześladowań w pewnym zakładzie pracy. Wydanie polecenia przez osobę uprawnioną do decydowania na tym poziomie, na którym pojawił się problem, i realizacja polecenia przez aparat wykonawczy kończą sprawę szybko i sprawnie – tak się przynajmniej wydaje.

Natomiast wikłanie się w procedury prawne, wysłuchiwanie wszystkich stron sporu i próby uwzględnienia całości argumentacji oraz ogólnych zasad postępowania w państwie demokratycznym zawsze wydłużają sprawę, dają niesłusznie przewagę osobom o złej woli i w gruncie rzeczy sprzyjają złu – tak się w każdym razie poddanym wydaje. W Polsce ten rodzaj przewlekłości, czasem wręcz niemożności, zyskał określenie „imposybilizmu prawnego”. Włodzimierz Lenin określał to jako kretynizm prawniczy, a drugi nasz sąsiad wymyślił jako rozwiązanie Fuehrerprinzip. Wódz potrafi natychmiast ukarać winnych, natychmiast zażądać modyfikacji stanu uznanego – często słusznie – za niewłaściwy i nie waha się przed wymierzaniem ostrej kary – nawet jeśli jest ona niesprawiedliwa, to wzbudza lęk u innych kandydatów do niedbalstwa czy przestępstwa. Ale to też jedynie się wydaje, bo bywa prawdą co najwyżej na krótką metę. Za to wzbudza w społeczeństwie poczucie, że „dobry szeryf czuwa”. Centralnym punktem tego sposobu myślenia jest odpowiedzialność, która, zdaniem poddanych, jest możliwa do wyegzekwowania tylko w ustrojach autokratycznych. W systemach „imposybilizmu prawnego” odpowiedzialność istnieje tylko teoretycznie, co akurat w odniesieniu do Polski sprzed (także po, ale to już inna sprawa) zwycięstwa PiS jest bardzo bliskie prawdy.

Bardzo interesujące jest, że wszystkie odmiany komunistycznej doktryny państwowej są bezwzględnie wrogie idei jednego przywódcy (lub centrum przywódczego) mającego pełną władzę. Zamiast tego podkre-

śla się istnienie organizmów demokratycznych, jak na przykład rad – w Rosji porewolucyjnej były to Rady Robotnicze i Żołnierskie. Mitologia rządzenia przez lud za pośrednictwem demokratycznie wybieranych rad lub innych instytucji trwa zwykle w centrum warstwy propagandowej, ale całkowicie poza głównym nurtem politycznych decyzji – choć czasem może zawędrować nawet do nazwy państwa takiej jak Związek Radziecki. Wąskie, często jednoosobowe centrum przywódcze to wynalazek praktyki ustrojowej w czasach po zwycięstwie rewolucji, która była skierowana przeciwko jednowładztwu, ale spotkała się z trudnościami rządzenia takimi, jak Polska po 1989 r. lub Rosja po 1917 r. oraz po grudniu 1991 r.

Perspektywa, że jakaś decyzja nie będzie wykonana z powodu zasadniczego sprzeciwu, jest dla poddanych nie do zniesienia. Stąd wzięło się założenie sprzeczne z tysiącami lat doświadczeń politycznych: że obecność „swoich ludzi” na wszystkich stanowiskach zapewnia wykonywanie poleceń „góry” aż do samego „dołu”. W rzeczywistości, na wyższych stanowiskach zarządzanie nie oparte na przymusie wykonania polecenia może być efektywne jedynie wówczas, gdy obie strony: wydającego polecenie i wypełniającego je – wiąże jakaś wspólna wartość, w imię której odbywa się działanie. Dla współczesnych polityków taką wartością może być tylko pomyślność kraju i – jak wykazało ostatnich 27 lat – w Polsce nią nie jest. Dopiero ostatnio (choć po 1918 roku również) widać, że XIX-wieczny nacjonalizm państwowotwórczy w Polsce zagościł jedynie mimochodem, w postaci działalności pozytywistów, będącej niestety nie najważniejszą częścią historii XIX wieku. Natomiast działania władców PRL, jeśli potraktować je jako usiłowanie budowy nowoczesnego narodu, były niezdarne i pełne sprzeczności. Z tego uwielbienia dla centralizmu biorą się takie pomysły, jak koronacja Jezusa Chrystusa na króla Polski czy, ogólniej, poparcie dla partii monarchicznych pomijające fakt, że monarchia to przede wszystkim wielki i złożony system społeczno-ideologiczny, a nie tylko osoba wszechwładnego króla zajmującego się sprawiedliwie wszystkimi sprawami kraju.

Aktualnie w Polsce politykę taką prowadzi głównie Prawo i Sprawiedliwość, czyli jednak nie ci, których określam jako poddanych. Myślę jednak, że poddani taki obrót wydarzeń w pełni akceptują i uważają, iż nowa władza „ma prawo” wymieniać kadry i to w każdym zakresie.

Tu nie miejsce na wykazywanie merytorycznej błędności tego stanowiska; poświęcono już temu tematowi dziesiątki tysięcy stron i są to przede wszystkim dzieje upadku organizmów społecznych opartych na zasadzie jednego centrum decyzyjnego. Warto jednak zauważyć, że większość tych krytyk, przynajmniej państw współczesnych, podkreśla niezgodność takiego systemu z zasadami demokracji. To oczywiście prawda, ale dla poddanych jest to prawda bez znaczenia. Nabiera ona znaczenia czasami i na krótko – w takich momentach jak 1980 rok, kiedy to znaczna część Polaków zapragnęła wziąć odpowiedzialność za swoją własną sytuację.

Stwierdzenie niedemokratyczności systemu politycznego ma dużo mniejsze znaczenie społeczne niż sądzą obrońcy demokracji. W rozumieniu ludowym ter-

min „demokracja” oznacza bardzo różne stany pożądane. Pomijając najczęstszy, że „ma być dobrze”, mamy jeszcze warianty: „ja i ci, których popieram, mamy zawsze rację”, oraz „wygrane wybory upoważniają do wszystkiego” (patrz rozumienie demokracji przez Prawo i Sprawiedliwość). Najrzadziej chyba demokracja rozumiana jest jako chęć uczestniczenia w decyzjach politycznych choćby tylko przez oddanie głosu w wyborach. Natomiast zrozumienia dla demokratycznych mechanizmów kontroli i równoważenia władz raczej w ogóle nie ma, a Polska nie jest w tym zakresie wyjątkiem.

Oznacza to, że nie ma wśród poddanych zrozumienia dla istnienia i funkcjonowania mechanizmów ustrojowych zabezpieczających przed zdobyciem niekontrolowanej władzy przez jedno ugrupowanie polityczne. Do skutecznego rządzenia konieczny jest przywódca mający w zasadzie nieograniczone kompetencje. Jeśli okazują się one niewystarczające, jest to wina samego przywódcy, który nie potrafił ich zdobyć lub niesłusznie sam się ograniczać. Zgodnie z tym poglądem jedynie w ten sposób można zapobiec patologiom w aparacie państwowym: nicnierobieniu pod pozorem niemożności, penetracji grup nacisku, czy działalności agentów obcych mocarstw. Poddani żądają od władzy skuteczności, a nie swego współudziału, czy zgody na bycie kontrolowaną. Coraz silniejsza profesjonalizacja rządzenia pogłębia ten trend.

Okazuje się, że nawet niedawne, socjalistyczne doświadczenia niewydolności – a w gorszym okresie także zbrodniczości – takiego systemu nie powstrzymują przed tęsknotą za powtórką. Hasło „komuno, wróć!” w latach 90. ubiegłego wieku było złośliwością pod adresem nowych elit politycznych (jakże zasłużoną!), ale jednak nie było autentyczną tęsknotą za systemem politycznym, który upadł w 1989 roku. Dowodzą tego wszystkie ówczesne badania opinii publicznej. Dziś – jak się wydaje – sytuacja się zmienia. Świadomość decydującej roli systemu politycznego ustępuje przed nadzieją, że przecież nowy władca nie musi być taki, jak na przykład Stalin, może być sprawiedliwy, troskliwy, a także sprawny. Elity okresu 1989–2015 zdawały się mówić: jesteśmy beznadziejnie nieudolni, niekompetentni i moralnie lepcy, i tak właśnie ma być w demokracji. W proteście przeciwko temu w 2016 roku doszło do władzy ugrupowanie, które wady poprzedników bardzo krytykuje, a jednocześnie ma je w stopniu znacznie wyższym niż oni. Jest to paradoks charakterystyczny dla krajów, w których wystarczająco duża grupa ludzi uważa: „ja uczciwie pracuję i tego samego oczekuję od elit władzy” – czyli krajów bez kultury obywatelskiej.

Dlatego z punktu widzenia skuteczności propagandy politycznej wątpliwe jest stałe podkreślanie przez przeciwników PiS, że najważniejsze decyzje podejmuje człowiek, który nie ma do tego żadnych uprawnień, bo jest jedynie szefem partii. Dla całego elektoratu PiS – czyli zarówno pisowców jak poddanych – jest to zaleta, nie wada aktualnego systemu politycznego.

I jeszcze jedna sprawa. W mentalności poddanych mieści się również przekonanie, że władza to opiekun, a rządzenie to przede wszystkim obiecywanie i dawanie. Władza jest opiekunem narodu tak, jak ojciec jest opiekunem dziecka. Relacje narodu wobec władzy należy opisywać w kategoriach wierności, zaufania,

wdzięczności. Wierność dobremu przywódcy jest podstawą sukcesu kraju (definicja dobrego przywódcy: ten, którego ja popieram). Jej brak przynosi same złe skutki. Relacje w drugą stronę, to odpowiedzialność, troska o naród, trafne odczytywanie jego potrzeb. W sumie jest to oczywiście zaprzeczenie partnerstwa społeczeństwa i władzy, czyli społeczeństwa obywatelskiego.

Rządzenie to rozdawanie. Należy je praktykować jak najszerzej, by wszyscy byli zadowoleni. To rozdawanie dotyczy wielkich kategorii ludzi, ale pewne „podarunki” indywidualne również wchodzi w grę i nie są przez poddanych (ani przez władzę) odczuwane jako niewłaściwość. W rezultacie dawanie sobie samemu lub kolegom staje się głównym przedmiotem zainteresowania polityków. Oczywiście jest ono skrzętnie ujawniane i krytykowane przez opozycję, ale poddani traktują to zjawisko pobłażliwie.

Przekonanie o zasadniczej roli dawania w polityce zdarza się w różnych orientacjach politycznych. W sprawozdaniu z obrad lewicowego Kongresu Progressywnych Organizacji Pozarządowych (maj 2016, Kraków) postulowano: „zaczniemy od wspólnych działań na rzecz obniżenia wieku emerytalnego, podwyższenia uposażeń, rent i emerytur, wprowadzenia godzinowej płacy minimalnej i nadaniu nowych praw organizacjom pracowniczym”. Jeśli nawet to dawanie jest czasem projektowane z intencją wprowadzenia pozytywnych zmian w funkcjonowaniu społeczeństwa, to priorytetem jest w każdym razie idea „dać”. Praktycznie zawsze jest to dawanie ryby, nie wędki.

I znów: ideologia dawania narodowi przez władzę jest najgłębiej sprzeczna z ideą społeczeństwa obywatelskiego. Afirmuje oczekiwanie, aż „dadzą”, nawet jeśli oczekiwaniu temu towarzyszy uczciwa praca. A jest ona uczciwa coraz rzadziej, bo jeśli dawanie jest główną ideą władzy, to na pewno nie uda się procesu dystrybucji zorganizować tak, by wszyscy uważali, że każdy otrzymał sprawiedliwie. Im większy jest w społeczeństwie nacisk na sprawiedliwość, tym więcej osób uważa, że zostały potraktowane niesprawiedliwie. To oznacza coraz silniejsze pokłady żalu i pretensji i coraz mniejszą identyfikację ze wspólnotą, a coraz większą tendencję do roszczeniowości i chęć wyrwania dla siebie jak najwięcej.

### **Życie w przeciagu**

Afirmacja jednoosobowego przywództwa oraz przekonanie, że rządzenie polega na dawaniu, to cechy spotykane w każdym społeczeństwie, choć pewnie rzadziej niż w Polsce. Nie sprzyjają one społeczeństwu obywatelskiemu, ale nonsensem byłoby traktowanie ich jako patologii. Specyfiką naszego kraju jest nakładanie się ich na cechy wynikające z faktu, że pańszczyznę zniesiono na terenach polskich stosunkowo niedawno, a także z jeszcze bardziej współczesnej historii.

Mentalność poddanych jest mentalnością ludzi słabych, podchodzących do świata z zamiarem przystosowania się, a nie dostosowania go do własnych celów i idei. Odziedziczyli oni po swych XIX-wiecznych pradiadach przekonanie, że należy koncentrować się na podstawowych, egzystencjalnych wartościach. Ich przynależność do wspólnoty narodowej zaczęła się wyjątkowo pechowo, bo wolność dali im zaborcy, czyli wrogowie Polski, a stało się to ze szkodą dla po-

siadaczy ziemi, czyli ludzi będących ostoją polskości. Mentalne pozostałości systemu pańszczyźnianego są wciąż widoczne, do nich właśnie centralistyczny ustrój PRL był idealnie dostosowany. W ten sposób mamy nie tylko antysemityzm bez Żydów, ale także feudalizm bez chłopów i panów. W rezultacie rozwój cywilizacyjny kraju już od dziesiątków lat wcale nie przekłada się na kulturę obywatelską, co w krajach zachodniej Europy zachodziło właściwie automatycznie i żadna działalność organizacyjna nie była do tego potrzebna. W Polsce – przeciwnie: politycy głosząc peany na cześć społeczeństwa obywatelskiego jednocześnie pielęgnują mechanizmy powodujące odnawianie się (a może i wzrost – ?) populacji osób zdecydowanie nie nadających się do obywatelskości, której istotą jest – moim zdaniem – zdolność do tworzenia, akceptowania i kontrolowania elit.

Natomiast ta niedawna historia, to bezustanne przeciągi dziejowe wywiewające wszystkich, którzy zbyt zidentyfikowali się z aktualnym porządkiem i nie zauważyli, że znowu „idzie nowe”. Wieje głównie za granicę, często w niebyt społeczny, czasem pod ścianę. Po 1945 r. wiało na wszystkich powiązanych z władzami przedwojennymi i Armią Polską na Zachodzie, a w szczególności na oficerów tej armii, czyli na inteligencję. Po 1989 roku wiało na kadry PRL-owskie, czyli też głównie na nową inteligencję. W większości przypadków ofiarą tego ostatniego wiania padli i wciąż padają ludzie niezwiązani z PRL-owskimi represjami politycznymi, jak większość milicjantów, wywiad i kontrwywiad. Wianie ostatnie, po 2015 roku, dotyczy kadr z okresu 1989–2015, a także wcześniejszych, w tym hodowców koni.

Bezpośrednią ofiarą wiania padają niektórzy, pośrednią – wszyscy, którzy to widzą i na tej podstawie kształtują swój stosunek do kraju i do życia. Możliwe reakcje są dwie. Pierwsza, to trwanie przy dotychczasowych identyfikacjach niezależnie od konsekwencji. Ta reakcja dotyczy obu grup skrajnych, o których tu piszę, czyli europejczyków i pisowców. Przy wszystkich między nimi różnicach łączy ich poczucie związku z krajem i chęć życia z sensem tak jak oni sami ten sens widzą, nawet gdyby miało to być kosztowne. [Tu zmuszony jestem zaznaczyć, że słowa te dotyczą tak zwanego twardego elektoratu PiS, ale nie czołowych działaczy tej partii].

Pozostali uważają, że eksponowanie swych przywiązań światopoglądowych jest sprawą wtórną wobec przeżycia, a także wobec przeżycia na przyzwoitym poziomie. To są właśnie poddani. Czasem stosują oni taktkę zaszycia się jak najgłębiej i rezygnują z wszelkiej widoczności społecznej. Częściej zdarzają się oportunizm i cwaniactwo. Nie wykluczają się one, przeciwnie, wspierają i z reguły występują razem. Cwaniactwo pozwala zdobywać, oportunizm – utrzymywać to, co zdobyte.

Końcowy okres rządów Platformy Obywatelskiej wręcz obfitował w przykłady oportunistów ze strony przedstawicieli średniego aparatu, którzy już przewidywali zwycięstwo PiS: awantura o laptop w redakcji „Wprost”, głosowanie za utrzymaniem immunitetu Mariusza Kamińskiego przez parlament zdominowany przez Platformę Obywatelską, sędziowie czy prokuratorzy umarzający sprawy o posługiwanie się symbolami



hitlerowskimi lub o rasistowską agresję, dziennikarze usprawiedliwiający obrońców pedofilów i traktujący poważnie ich argumenty, że „dzieci same wchodzą dorosłym do łóżka” – to tylko niektóre przykłady oportunistycznego z tamtego okresu.

Źródłem oportunistycznym są właśnie porywy historii powodujące strach przed lustracją. Ten ostatni termin rozumiem tu bardzo ogólnie: jako tępienie ludzi „obciążonych” jakąkolwiek formą współpracy z poprzednimi władzami lub choćby tylko ich akceptowaniem – formami takimi jak przynależność do organizacji politycznych, czy stanowisko kierownicze w zakładzie pracy, nie mówiąc już o zajmowaniu stanowisk w aparacie represji czy sprawiedliwości. Jeśli po upadku systemu politycznego następcy zaczynają obciążać zwolenników i funkcjonariuszy poprzedniego systemu wszystkimi możliwymi grzechami, to aktualny aparat wyciąga z tego wniosek, iż wkrótce oni sami mogą stać się przedmiotem represji, a przynajmniej organizowanej nienawiści. Ergo – nie należy się zbyt angażować, a już na pewno nie należy za bardzo represjonować tych, którzy są przeciwko aktualnemu systemowi. W okresie stalinizmu w Związku Radzieckim cykl wiania trwał czasem tylko kilka lat. Zmniejszanie się zapędu do represji było też doskonale widoczne w końcu lat 70. w działaniach Służby Bezpieczeństwa. Ale dopiero wtedy, gdyż wcześniej poczucie wieczności socjalizmu było górą.

W III RP zachowania oportunistyczne zaczęły się dużo szybciej: niektóre przejawy przewidywania upadku rządów solidarnościowych widoczne były już w latach 90. w postaci łagodnych wyroków dla mafii, ostrzejszych dla osób poszkodowanych przez przestępców.

Po odzyskaniu niepodległości w 1918 roku żadnej oficjalnej lustracji nie było. Nieoficjalna zaś, czyli „towarzyska”, jeśli nawet była, to nieczęsto, gdyż raczej nie znalazła odzwierciedlenia w pamiętnikach czy innych tekstach z tego okresu. Ci, którzy współpracowali z państwami zaborczymi, z reguły byli przyjmowani z otwartymi ramionami przez nowo powstałą Rzeczpospolitą.

I na tym tradycja postawy chrześcijańsko-państwowotwórczej w Polsce się kończy. Okres stalinowski był świadkiem lustracji obejmującej nie tylko pracowników aparatu państwowego i sił zbrojnych II Rzeczypospolitej, ale także takie grupy, jak kułacy, czy inteligencja. Co prawda wyróżniono kategorię „inteligencji pracującej”, która była „dobra” i nie zasługiwała na wyrzucanie z pracy, ale w praktyce nie od inteligenta zależało, czy należy do inteligencji pracującej.

Szaleństwa lustracji stalinowskiej skończyły się w zasadzie już po 10 latach. To jednak wystarczyło, by zaszczepić Polakom strach przed lustracją, przed tym, że przyjdzie jakaś nowa władza i to, co dziś jest zgodne z prawem, jutro będzie uznane za współpracę z dawnym, „niesłusznym” ustrojem.

Rok 1989 to nowy spazm lustracyjny. Ta solidarnościowa lustracja trwa już – w różnych formach – ćwierć wieku. Choć w swych skutkach personalnych jest znacznie łagodniejsza niż stalinowska, to jednak paradoksalnie sytuacja osób, które chciałyby dziś wyróżnić się jakąś pozytywną aktywnością, jest trudniejsza niż przedtem. W czasach stalinowskich, a także podczas

późniejszego socjalizmu realnego odgadnięcie, jak należy się zachowywać, by nie „podpaść” było raczej proste: żadnych własnych poglądów i własnego zapędu, żadnych poglądów anty, żadnej krytyki przełożonych, żadnych nadmiernych sukcesów czy niepotrzebnej przemysłowości – i to zwykle wystarczało. Teraz jest trudniej, bo nie wiadomo, jaki ustrój będzie przyszłym jedyne słusznym. Na przykład w latach 90. w prasie (szczególnie w listach do redakcji), publicystyce i w rozmowach prywatnych przewijało się kilka przewidywań, między innymi rządy jawnych gangsterów i bandytów, powtórka okresu stalinowskiego w rodzimym wydaniu oraz powtórka rozbiorów.

Z państwowego punktu widzenia sytuacja obecna wydaje się szczególnie trudna, gdyż selekcja do organów władzy i represji zrobiła się jeszcze bardziej negatywna niż wcześniej. Młody człowiek zastanawiający się nad swym przyszłym zawodem, oglądając telewizję i czytając gazety widzi przede wszystkim to, że nie było w historii naszego kraju grupy, która zapisała się gorzej niż UB, a później SB. W każdym razie nie byli taką grupą faszysty, SS, Wehrmacht, Gestapo, NKWD ani szlachta, która doprowadziła do rozbiorów. Prace w organach bezpieczeństwa wewnętrznego wybierze on chyba tylko wówczas, gdy do żadnej innej nie będzie się nadawał.

Ktoś – na przykład naiwny państwowiec – mógłby zauważyć, że on w tym wszystkim jakoś nie widzi poważnego traktowania państwa, a w szczególności statusu urzędnika państwowego. Istotnie, tego nie widać, bo tego nie ma. Jest tylko strach przed lustracją. Kolejne lustracje – a najbardziej chyba obecna, gdyż aktualny system wyrósł w 1989 roku z wielkich nadziei i olbrzymiego poparcia społecznego – spowodowały, że praca na rzecz jakichś ideałów, czy choćby po prostu dla państwa bardzo straciła na znaczeniu.

Urzędnik państwowy – a więc na przykład każdy pracownik aparatu przymusu i sprawiedliwości, a także nauczyciel – ma przed sobą przynajmniej cztery rodzaje lojalności, które nierzadko są w konflikcie. Jedna, to lojalność wobec przełożonych, która teoretycznie winna przekładać się na lojalność wobec państwa. Druga, lojalność wobec swego zawodu, czyli względem norm profesjonalnych. Trzecia, wobec tej lub innej ideologii, religii czy partii politycznej, czyli chodzi tu o jego lojalność bardziej jako obywatela niż jako urzędnika. Wreszcie czwarta, wobec siebie samego, swej kariery i ewentualnie także swej rodziny. Trudno nie zauważyć, że ten czwarty rodzaj lojalności dominuje coraz bardziej, z wielką szkodą dla jakości pracy, a także dla zadowolenia samego urzędnika. Trudno też byłoby się temu dziwić w sytuacji, gdy reprezentując którykolwiek z pierwszych trzech rodzajów lojalności można stać się łatwym celem najbliższej lustracji.

Od kiedy istnieje prawo, istnieją również spory między tymi, którzy chcą, by było ono zbiorem zasad nadrzędnych, regulujących całość życia społecznego i opartym o jakieś wyższe wartości – choćby to nawet była religia, czy ubóstwienie narodu – i tymi, dla których jest ono narzędziem bieżącego zarządzania. W pierwszym przypadku sędzia musi określić, czy oskarżony zawinił w stosunku do danej normy, a w drugim – jak wyinterpretować przepisy prawa, żeby oskarżonego skazać lub właśnie nie skazać, co i tak już zostało

postanowione. W Polsce ten drugi sposób gra coraz większą rolę, również w sprawach, gdzie nikogo się nie osądza, ale tworzy prawo w celu zarządzania społeczeństwem. Ale traktowanie prawa jako narzędzia do zarządzania i skazywania bardzo sprzyja strachowi lustracyjnemu: wystarczy, że jakaś kolejna ekipa uchwali, że to, co było dobre, od teraz jest złe (wstecznie!!!) i zaczyna się kolejna lustracja.

Większość krajów Trzeciego Świata oraz byłe kraje „drugiego świata” z Polską włącznie są najlepszym dowodem na to, że tak być musi, jeśli przez demokrację rozumiemy system, w którym nie ma obywateli, jest jedynie elektorat i rotacja personalna elit władzy poprzez wybory. Ale takie rozumienie demokracji nie zapewnia akceptowalnego funkcjonowania systemu politycznego, gdyż sama w sobie załatwia ona bardzo mało. Może jedynie bezpieczeństwo osobiste - przynajmniej do czasu pojawienia się tajnych zbrojnych grup (Argentyna) albo do czasu upadku państwa i pojawienia się na tym terenie innego państwa, które demokracji nie obiecywało. No, i jeszcze warto wspomnieć o dobrym zaopatrzeniu sklepów. Natomiast wtedy, gdy demokracja zostaje uzupełniona przez takie czynniki, jak kultura polityczna, społeczeństwo obywatelskie, czy opinia publiczna (nie chodzi o słupki poparcia!!!) okazuje się, że rzeczywistość jest świetnym wynalazkiem.

Przeziągi dziejowe mają jeszcze jedną właściwość. Każdy nowy tajfun czuje się w obowiązku zaznaczyć, że jest nowy, ma swoje imię i że teraz będzie zupełnie inaczej, oczywiście nieporównanie lepiej. Oznacza to zakomenderowanie kolejnego okresu „odnowy” i określenie poprzedniego jako okresu błędów i wypaczeń. Skutek jest taki, że w zasadzie wszyscy Polacy od 1945 roku począwszy żyli i żyją przez cały czas w „niewłaściwej” Polsce. O każdym okresie swego życia dowiadawali się wcześniej czy później, że był on rezultatem działania ludzi złych, nieporozumieniem, błędem i wypaczeniem.

Autor tekstu żył w sześciu takich okresach, przy czym okresy zasadniczo odmienne były trzy (socjalizm, III RP, kaczyzm), a osoby starsze mogą do tego jeszcze doliczyć II RP. O każdej Polsce dowiadujemy się z czasem, że była to zła Polska i bardzo szybko przestajemy wierzyć, że ta następna będzie dobra choćby dlatego, że „odnowiciele” natychmiast popełniają te same błędy i niegodziwości, co poprzednicy. W przypadkach, gdy między „złą” przeszłością, a „dobrą” przyszłością istnieje ciągłość personalna, mamy do czynienia z przeprosaniem za przeszłość, z reguły zdawkowym i bez wskazania osób lub zjawisk winnych oraz istoty zła (patrz przeprosiny Grzegorza Schetyny na zjeździe Platformy Obywatelskiej w październiku 2016 r. lub przeprosiny Aleksandra Kwaśniewskiego za socjalistyczną całość w latach 90.).

Jak wpływa ta sytuacja na patriotyzm – nietrudno się domyślić. Nie bardzo można kochać kraj – cokolwiek miałyby te słowa znaczyć – który raz po raz zostaje przez swoich przywódców uznany za nieporozumienie. W okresie międzywojennym wrogi nam państwa określały Polskę jako „bękartą iraktatu wersalskiego”. Wydaje się, że te państwa zrezygnowały już z tego określenia, ale myśl podjęli polscy politycy, którzy raz po raz, od 1945 roku począwszy, ogłaszają, że teren między Odrą a Bugiem to nie jest poważna

sprawa, to jest kraj bez dziejów, kraj wiecznych pomyłek ustrojowych, gospodarczych i personalnych. Propagandziści wymyślają różne sposoby na wzmocnienie uczuć patriotycznych w polskim społeczeństwie (co rzeczywiście wydaje się bardzo potrzebne!) nie zwracając uwagi na to, że należałoby najpierw usunąć czynniki niszczące takie uczucia. Życie w kraju wiecznych błędów i wypaczeń nie jest jedynym takim czynnikiem, ale jest przyczyną bardzo ważną. Zamiast tego proponuje się indoktrynację młodzieży – kiedyś dawało to efekty wprost przeciwne, ale teraz młodzież patrzy wyłącznie w ekran swojego smartfona, więc...??? – hollywoodzkie produkcje historyczne, ogłoszenia, hasła i inne tego rodzaju pomysły. Innymi słowy – proponuje się produkcję następnych pokoleń poddanych.

### Zakończenie

Infantylnizm polityczny to szczególnie rodzaj infantylizmu. Bardzo dobrze opisał tę doktrynę Janusz Korczak w opowiadaniu *Król Maciuś Pierwszy*. Jej główną cechą jest egocentryzm – ślepe parcie w wyznaczonym sobie kierunku, czasem pełnym szlachetnych zamiarów, równie często bardzo partykularnym, bez zwracania uwagi na sens tego kierunku, zakres poparcia i koszty płacone przez ludzi i państwo. Jest idealnym przeciwieństwem pragmatyzmu w rządzeniu. U Korczaka najbardziej wyrazistym przykładem takiej postawy jest główny bohater, a osobą najciekawszą poseł sejmu dziecięcego, który walczy o prawny zakaz całowania dzieci, ponieważ ma wiele ciotek. Przyznać muszę, że wszystkie decyzje podejmowane w ciągu ostatniego roku przez rząd Prawa i Sprawiedliwości wywoływały mi w pamięci tego młodego człowieka.

Przerabiamy ten sposób rządzenia stale od 1945 roku i chyba to potrwa. Pomysł ustrojowy z 1989 roku był początkowo dość powszechnie akceptowany, gdyż sprzeciwiał się socjalizmowi realnemu. To poparcie wygasa, gdyż coraz wyraźniejsze są skutki dzikiej i superdoktrynalnej realizacji tego pomysłu: depopulacja, deindustrializacja, demoralizacja oraz neutralizacja i kompromitacja jedynej siły społecznej, która jeszcze trochę zajmowała się stanem ducha Polaków, czyli Kościoła.

To, że w poprzednim zdaniu aż trzy słowa zaczynają się od „de” nie jest przypadkiem. Główną ideą przywódców III RP, mimo różnicowań przynależności partyjnej, była likwidacja stanu zastanego połączona z brakiem zainteresowania dla budowy czegoś alternatywnego (nie uwzględniam tu hasła „budujemy kapitalizm” czy „budujemy klasę średnią”, świadczących jedynie o tym, że ich autorzy myślenia społecznego i politycznego uczyli się w socjalizmie, nie później). Natomiast pomysły twórców IV RP są niezdarą kopią skądinąd też niezdarne PRL i trochę boję się przewidywać działania lustratorów, którzy przyjdą po Jarosławie Kaczyńskim. Innych pomysłów, poza zakładaniem nowych partii i demonstracjami przeciwko – nie ma.

ADAM KOMOROWSKI

# MEDYTACJE KAJDANIARSKIE

Ostatnie zdania *Manifestu komunistycznego*: „Niechaj drżą panujące klasy przed rewolucją komunistyczną. Proletariusze nie mają w niej nic do stracenia prócz swoich kajdan. Do zdobycia mają cały świat. Proletariusze wszystkich krajów łączcie się!”, jak się zdaje, utraciły swoją perswazyjność. Marksowski projekt zniesienia wyzysku, sprawiedliwości społecznej i równości być może okazał się nie do zrealizowania nie dlatego, że był utopią, ale miał niewłaściwego adresata. Adresatem i wykonawcą projektu mieli być „nie mający nic do stracenia prócz kajdan”. Marks był przekonany, że w sytuacji historycznej nawarstwiających się nierówności i zniewolenia wygenerowani przez nią „nie mający nic do stracenia” desperaci stają się podmiotem zmiany, rewolucji. Jeśli dobrze wyczytać się w Marksa, to okazuje się, że ostatecznie nie pogłębianie się sprzeczności pomiędzy siłami wytwórczymi i stosunkami produkcji prowadzi do upadku zastanej formacji i zastąpienia jej inną, ale powiększanie się masy krytycznej „nie mających nic do stracenia”.

Leninowska rewizja marksizmu wynikała z głębokiej niewiary w takie rozumowanie. Dla Lenina adresatem i wykonawcą radykalnego projektu emancypacji i „zrzućcia kajdan” mogła być tylko kadrowa partia. Historię marksizmu należałoby pisać jako systematyczny proces odchodzenia od uznania podmiotowości „nie mających nic do stracenia” na rzecz „partii”. Partii, która, by utrzymać się u władzy, może oprzeć się jedynie na tych, którzy mają już coś do stracenia. Dzieje realnego socjalizmu cechuje odwrócenie marksowskiego paradygmatu. Władzę partii w realnym socjalizmie mogli wspierać jedynie ci, którzy mieli już coś do stracenia, w ostatnim okresie był to już głównie aparat.

W kwestii aktywnego podmiotu zmiany formacji, jak zauważył Stanisław Rainko (*Marks. Dwie filozofie*) Marks zdawał się nie zauważać, że bynajmniej nie społecznie podporządkowani i wyzyskiwani obalali formacje. Niewolnictwa nie obalili niewolnicy, a feudalizmu nie obalili chłopci. Nie za bardzo wiadomo dlaczego akurat kapitalizm miałby obalić proletariąt. Z punktu widzenia marksowskiej koncepcji historii wskazanie na proletariąt jako podmiot dokonujący rewolucyjnej zmiany formacji było aberracją.

Marks oddał pytanie, czy w społeczeństwie są tacy, którzy nic do stracenia nie mają. Skądinąd wiadomo, że mający niewiele bardziej obawiają się to stracić, niż ci, którzy doświadczyają nadmiaru. Burżuazja obalała feudalizm właśnie dlatego, że miała bardzo wiele do stracenia.

Wyróżnienie kategorii „nie mających nic do stracenia” dokonuje się u Marksa w oparciu o relacje władzy. W praktyce tymi, którzy „nie mają nic do stracenia” nie-

koniecznie są nic, poza kajdanami nie mający, ale ci, którzy pozbawieni są władzy nad innymi, nad którymi inni mają władzę. Tym, co ma przynieść rewolucja, jest emancypacja rozumiana jako odzyskanie/zdobycie podmiotowej suwerenności przez tych, którzy byli jej pozbawieni. Marks nie dopuszcza do siebie myśli o możliwości „dobrowolnej niewoli” (E. De la Boetie) czy „ucieczce od wolności” (E. Fromm), zniewoleniu jako dobru. Zapomina o niesymetryczności jako niezbędnej ingrediencji autentycznej relacji erotycznej, która tak zaprzętała pisarzy jego czasów. Stodycz zniewolenia kochanka czy kochanki, która nieustannie powraca w poezji Charles’a Baudelaire’a czy A.C. Swinburne’a, którego „serce się raduje, że ty, depcząc, obracasz je w popiół i w nicość...” („beating harder with pleasure/ To feel you tread it to dust and death”). Jakkolwiek nie mamy świadectw potwierdzających, by Marks i Engels czytali wzmiankowanych poetów, to sytuacje, w których rezygnacja z odpowiedzialności i poddanie się wpływowi może być traktowana przez podmiot jako uwolnienie, musiały im być znane.

Marks w *Manifestie komunistycznym* nie do końca pamiętał o heglowskich analizach stosunku Pana i Niewolnika. Tymczasem Hegel wyraźnie podkreśla, że niewolnik ma wiele (choćby utratę aspiracji do bycia Panem, w świecie bez Panów) do stracenia. Hegłowski Niewolnik, znajdując swoją wolność w woli Pana i służeniu mu, „i w kajdanach przy całej zależności jednostkowego istnienia” może mieć poczucie wolności. Dla Hegla w zrzućciu kajdan zawarty jest element utraty. Zrzućcie kajdan, traktowane jako wyzwolenie indywidualnej woli od zewnętrznej zależności, katapultuje jednostkę z dotychczasowego świata sensów do świata abstrakcyjnych form dobra, piękna, sprawiedliwości, cnoty i prawdy. Są one jednak pozbawione pośredniczonych w codzienności treści. Powiedzenie „Prawda was wyzwoli” nie zawiera w sobie niezbędnego elementu negatywności, którym mogłoby być przeciwstawienie konkretnemu konkretowi. W obszarze konkretnego każda rewolucja może jedynie obiecywać naśladownictwo; Niewolnik będzie jak Pan. To oczywista sprzeczność, bowiem logika mówi, że w świecie bez niewolników nie może być panów.

By tego uniknąć, potrzebujemy odpowiedzi na pytanie nie o to, czego kajdani nas pozbawiają, ale tego, co kajdanom zawdzięczamy. Bez tego abstrakcyjny świat wolności jawi się jako „królestwo nudy”. W praktyce ruchów rewolucyjnych próbowano obejść problem związku wolności z nudą, proponując spektakl odpłaty. Bunt wobec *status quo* bywał mylony z resentymentem.

Marcello Flores w swoich analizach szerzenia się sympatii i solidarności z rewolucją bolszewicką na Za-



chodzie, zwrócił uwagę na dość szczególny fakt – niesłychanej popularność narracji o rewolucji spisanych przez francuskich guwernerów i guwernantki, którym udało się umknąć z rewolucyjnej zawieruchy. Narracje te opisywały krzywdy, jakich doświadczali „państwo”, jednostki dotychczas uprzywilejowane dzięki pozycji społecznej i ekonomicznej. Sentymentalne obrazy deklasacji, zdaniem Floresa, odegrały w rewolucyjnej propagandzie na Zachodzie większą rolę aniżeli rewolucyjne manifesty i teoretyczne rozważania. Rewolucja stawała się atrakcyjna nie jako alternatywna wizja przyszłości, ale spektakl odpłaty, w którym najistotniejsze jest zakładanie kajdan innym. W zamierzeniu mające budzić strach przed rewolucją i komunizmem, wbrew woli autorów i wydawców czyniły ją atrakcyjną.

Rola spektaklu odpłaty jako rekompensaty za nudę ładu jest stanowczo niedoceniana. Pewną nadzieją jest, że atrakcyjność spektaklu odpłaty, którym może być gilotyna, gułag czy choćby lustracja, jest krótkotrwała. Stalinowska teza o zaostrzeniu się walki klasowej była rozpaczliwą próbą jego przedłużenia. Kiedy Stalin stwierdził: „Klasy obumierające stawiają opór nie dlatego, że stały się silniejsze niż my. Lecz dlatego, że socjalizm wzrasta szybciej niż one, one zaś stają się słabsze niż my. I właśnie dlatego, że stają się słabsze, przeczuwają kres swojego istnienia, zmuszone są stawiać opór ze wszelkich sił, wszelkimi środkami”. Klasy panujące stawały się naprawdę groźne, gdy pozbawione materialnego oparcia i pozycji w strukturach władzy „nie miały nic do stracenia”. W tej kwestii Stalin pozostawał wierny Marksowi. Podobnie wierzył, że najgroźniejszymi dla systemu są „ci, którzy nie mają nic do stracenia”. Im więcej ich w ZSSR przybywało, tym częściej trafiali do Gułagu. W konsekwencji spektakl odpłaty tracił atrakcyjność.

Atrakcyjność i perswazyjność spektaklu odpłaty pokazuje, że rzucenie kajdan nie oznacza ich likwidacji, ale właśnie podkreśla ich realność. Kajdany stają się czymś realnym, kiedy możemy zakładać je innym. Nieporozumienie polega na traktowaniu kajdan jako czystej negatywności.

Pomysł, że istnieją ludzie, którzy nie mają nic do stracenia, a wszystko do zyskania, do tego stopnia zdominował dyskurs rewolucyjny, że stał się mantrą subwersyjnej myśli, *sine qua non* możliwości zmiany *status quo*. Tak jest praktycznie do dziś, najbardziej krytyczni myśliciele lewicy skupiają się na poszukiwaniu owej fantasmagorii, którą są ci, którzy nie mają nic do stracenia. To „biali murzyni”, ludzie zbędni, wykluczeni, imigranci czy homoseksualiści albo lesbijki. Jest tak jakby delegitymizacja istniejącego ładu miała rację bytu jedynie w wypadku wskazania nie mających nic do stracenia.

W proroczym i często przywoływanym fragmencie *Preludium* Williama Woodswortha jest scena, kiedy bohater poematu przechadza się w towarzystwie francuskiego przyjaciela po wsi francuskiej w czasie rewolucji. Oczywiście rozmawiają o rewolucji, bohater-narrator-poeta Woodsworth, jak na Anglika przystało, jest nieco sceptyczny wobec rewolucyjnej egzaltacji swojego towarzysza, francuskiego oficera. Ale oto mijają nędznie ubraną dziewczynkę, która pasie utrzymaną na postronku krowę. Wtedy Francuz wskazuje na nią i wygłasza słynną kwestię: „nie będzie wykluczenia”. To wystarczy, by przekonać Woodswortha do rewolucji, ba

– jest on przekonany, że powtarzając te słowa przekonał także do rewolucji francuskiej swoich czytelników. Przytaczam ten znany fragment wielkiego poematu romantycznego, by dowiedzieć, że wskazanie przyszłych beneficjentów rewolucji ma zawsze charakter arbitralny. Stanowi część projektu włączenia arbitralnie uznanych za wykluczonych do traktowanego linearnie procesu rozwoju, traktowania postępu jako dostępu do czegoś, co naszym zdaniem zostało komuś odmówione. W przypadku pasterki z *Preludium* jest to zapewne szkoła czy schludny strój. Rewolucja w tym kontekście jawi się jako radykalny projekt emancypacji grup uznanych za wykluczone. Wykluczony to ten, który czegoś nie ma, choć zdaniem rewolucjonisty powinien to mieć lub przynajmniej mieć do tego dostęp.

Marks poszedł jeszcze dalej postulując łączenie się tych, którzy są wykluczeni. U Lenina zajęć się tym miała kadrowa partia. Ale są też tacy, dla których rewolucja jest nie tyle warunkiem emancypacji, co projektem stworzenia „nowego człowieka” (najwyraźniej u Lwa Trockiego, Mao Tse-tunga i Che Guevary).

W praktyce „realnego socjalizmu” dominował projekt emancypacji, traktowania rewolucji jako „przyspieszonej modernizacji”. Kiedy wczytujemy się w wystąpienia Stalina, Chruszczowa czy Gomułki nietrudno dostrzec, że najczęściej legitymizują rewolucyjną władzę doścignięciem i prześcignięciem kapitalizmu Zachodu. To ciągłe wyliczanie pogłowia świń, produkcji stali i elektryczności, wydajności z hektara (tak genialnie parodiowanych w Piwnicy pod Baranami przez Wiesława Dymnego) itp. stanowiło niedzowną część dyskursu, o czym dziś często zapominamy. Emancypacja w praktyce realnego socjalizmu przestaje być rozumiana jako marksofskie rzucenie kajdan. W praktyce emancypacja miała polegać na naśladownictwie i prześcignięciu bogatszych krajów kapitalistycznego Zachodu. W tym właśnie aspekcie możemy mówić o komunistycznym projekcie jako utopii. W lasach Syberii i kopalniach Kolymy, na odkulaczanych wsiach ludzie ginęli nie w imię rzucenia kajdan, ale przyspieszonej modernizacji, której głównym celem było zapewnienie ZSRR zrównania z Zachodem. To właśnie, a nie alternatywność systemu, było utopią.

W kontekście tych rozważań rewolucja komunistyczna przestaje jawić się jako subwersja istniejącego ładu, ale jest jego korektą. Emancypacją wykluczonych w takim stopniu, by linearność rozwoju historycznego zagarnęła wszystkich. Być może powszechna emancypacja, przy równości dostępu do tego, co uważa się za zdobycze cywilizacji, jest utopią, ale jest zarazem potwierdzeniem linearności rozwoju historycznego. Jest utopią, ponieważ proponuje świat lepszy, lecz nie inny, wręcz odmawia innym światom prawa do istnienia. Jest utopią, ponieważ zakłada możliwość kooptacji wszystkich do dobrodziejstw nowoczesności.

W pierwszej części *Manifest komunistyczny* jest wielkim peanem i apologią kapitalistycznej kooptacji, miejscami przesyconą pogardą dla tych, którzy niezbyt wierzą w jej dobroczynne skutki, kiedy Marks mówi o „idiotyzmie życia wiejskiego”.

Zażalenie i odrzucenie projektu komunistycznego nie było więc skutkiem jego alternatywności wobec pogłębiającej się linearności procesu historycznego, w latach sześćdziesiątych nazywanego procesem kon-

wergencji, a obecnie globalizacją, ale wynikiem niewydolności systemu w osiągnięciu tej nowoczesności, która miała go legitymizować.

Stajemy przed pytaniem: dlaczego to się nie udało. W tym miejscu najbardziej interesujące wydają się intuicje, które znajdujemy u późnego Karela Kosika. W 1993 roku pisał on: „Ideologia oficjalna potępia »realny socjalizm« jako biurokratyczną i i policyjną dyktaturę, które były z nim związane, pieczętując je wspólną etykietką »komunizmu«. Pozwala jej to ukryć istotę alternatywy, ponieważ w jej mniemaniu Marks jest definitywnie martwy”.

U Kosika, nieprzejednanego krytyka przemian po „aksamitnej rewolucji”, pojawia się intuicja, że „realny socjalizm” stworzył obszar, w którym kiełkowała jakaś alternatywność. Tym obszarem była codzienność realnego socjalizmu. Wbrew modernizacyjnemu naciskowi biurokracji i tajnej policji w codziennym życiu, w realnym socjaliźmie istniały, jego zdaniem, obszary krystalizacji tego co nazywa „otwarcie ku nowej codzienności”. W pewnym sensie intuicje Kosika potwierdza zgryźliwa uwaga Kisiela z lat 70.: „To, że jesteśmy w dupie, to jasne. Problem w tym, że zaczynamy się w tej dupie urządzać”.

Jak wiadomo, u Kosika jedynym obszarem, na którym dokonuje się rzeczywista subwersja istniejącego ładu, może być tylko codzienność. To nie przypominać sobie o bycie, innowacyjność czy konkurencyjność burzą ład, ale alternatywna wizja codzienności. Dla Kosika zmorą marksizmu była właśnie tyrania pseudo-konkretności. Ale przy wszystkich swoich niedogodnościach, stałej obecności przemocy, realny socjalizm okazał się ciekawym miejscem dla pojawienia się zwiastunów codzienności alternatywnej, innej. Kosik nigdzie nie mówi, że ta codzienność realnego socjalizmu była lepsza, była inna i nieco inaczej aniżeli w gospodarce kapitalistycznej urządził się w niej swoje życie. W koncepcji Kosika nie aparat przemocy czy oficjalna ideologia powinny być przedmiotem największego zainteresowania po implozji realnego socjalizmu, ale właśnie te alternatywne wobec hegemonicznych na kapitalistycznym Zachodzie *modus vivendi*. Bez tego nie zrozumiemy pogłębiającej się nostalgii za realnym socjalizmem, której egzorcyzmowanie jak najbardziej realnymi koszmarami przemocy politycznej jest całkowicie nieskuteczne. Brak wolności słowa był faktem, ale faktem była też pewna odporność na kompulsywną konsumpcję i wyzwolone z obaw konkurencyjności kontakty międzyludzkie.

W tym miejscu rodzi się pytanie o przyczynę oporu w traktowaniu realnego socjalizmu jako obszaru w dużym stopniu spontanicznych punktów krystalizacji jakiejś alternatywnej codzienności. Alternatywność ta, często zredukowana do pojęcia *homo sovieticus*, została w hegemonicznym dyskursie przestonięta. Jeszcze raz za Kosikiem chciałbym powtórzyć, że nie chodzi tutaj o jakąś nostalgiczną idealizację realnego socjalizmu, na przykład jako krainy pewnej beztroski, której tak wspaniałe obrazy znajdujemy u Hrabala czy wczesnego Kundery. Rzecz nie w nostalgicznej idealizacji, ale w stwierdzeniu, że to właśnie obrazy codziennego chaosu i małych codziennych wolności (choćby przy hrabalowskim kuflu piwa) w największym stopniu kwestionowały hegemoniczny oficjalny dyskurs realnego socjalizmu. Korzystając z pewnej intuicji Zygmunta Freuda można stwierdzić, że realny socjalizm dowartościował

i zachował znaczenie w procesie socjalizacji wspólnot defekacyjnych, której modelem dla Freuda była wspólnota żołnierzy gromadzących się w okolicach latryny. Realny socjalizm tworzył wiele takich miejsc alternatywnej socjalizacji i nawet najbardziej represyjna tajna i jawna policja polityczna nie mogła temu zaradzić. W Polsce ich największym piewcą był pisarz uważający się za zdecydowanego antykomunistę, Marek Nowakowski. Te obszary wraz z upadkiem realnego socjalizmu utraciły swoją funkcję w subwersji istniejącego ładu. Linearność rozwoju historycznego na swojej drodze likwiduje nie tyle kajdany, co oazy chaosu.

W tym momencie musi pojawić się pytanie o to, co stanowi podstawę represyjnego charakteru istniejącego ładu, likwidującego na swojej drodze miejsca samorganizacji alternatywnych wobec niego wspólnot defekacyjnych. Warto zacytować Gunthera Andersa: „To prawda, sytuacja XX wieku (a możemy to rozciągnąć na wiek XXI) fundamentalnie różni się o tej w wieku XIX. Jeśli jednym z najsłynniejszych stwierdzeń XIX wieku była konkluzja, że większość ludzkości ówczesnej »nie miało do stracenia nic poza kajdanami«, to dziś należy powiedzieć, że większość wierzy, iż posiada wszystko dzięki kajdanom (o których nie pamięta). Uwzględniwszy fakt, że do natury tych kajdan należy bycie niezauważanym przez tego, kto je nosi, to oczywiście nie dochodzi się nigdy do lęku przed ich utratą”.

Dla Andersa ta nowa sytuacja związana jest z hegemonią techniki, nowymi wyznacznikami tożsamości i jej instrumentalizacji. W świecie dominacji techniki jednostka, by rewindykować swoją tożsamość, zmuszona jest do zanegowania różnicy pomiędzy swoim Ja i jego funkcją, co jest równoznaczne z zanegowaniem różnicy pomiędzy swoim Ja i aparatem technicznym.

Zdecydowana odmowa przyznania resyntementowi pożyteczności w przełamaniu istniejącego ładu, tak wyraźna np. u Nietschego, nie przekreśla jego subwersyjnej roli w jego podważaniu. Resentyment, z czym należy się zgodzić, nowego ładu nie stworzy, nie można go na nim oprzeć. To zamiana, która jest powtórzeniem, ale zarazem podważa bezkrytyczną afirmację *status quo*, podważa teleologię hegemonicznego dyskursu władzy.

Nasza sytuacja jest nieco inna. W czasach dominacji techniki stosunki osobowe, stosunek Pan – Niewolnik przemieszczają się ku depersonalizacji Ja z aparatem techniki. Istotna jest nie osobista wolność, ale bycie rozpoznanym i uznanym w jakiejś roli przez anonimowy aparat, biurokrację, mechanizm rynkowy. Anders utożsamia rynek z mechanizmem, w którym potwierdzenie tożsamości jest jednoznaczne z przyjęciem określonej roli. Gratyfikacją nie jest wolność, ale uznanie roli. Sukces to uznanie mnie w określonej roli, potwierdzenie mojej niezbędności dla tej roli. Ideałem jest bycie niezbędnym funkcjonariuszem korporacji.

W świecie techniki stawką nie jest wolność, ale niezbędność. W świecie techniki nie ma już „nie mających nic do stracenia”, są tylko „ludzie zbędni”. W takim kontekście można potraktować epizod realnego socjalizmu jako rodzaj rezerwatu, historycznej aberracji, gdzie tożsamość Ja nie była wyznaczana przez model i wzór kajdanów, które zakładamy, jeśli nie chcemy zgodzić się na status „ludzi zbędnych”.

ADAM KOMOROWSKI

EDWARD KAROLCZUK

# O ODPOWIEDZIALNOŚCI POLITYCZNEJ I JEJ KONTEKSTACH

Podjęcie decyzji przybiera coraz bardziej kolektywny charakter, a symbolicznym wyrazem tego stała się „burza mózgów”, praktykowana nawet w politycznych gremiach kierowniczych. Mimo tego wybieranych monarchów, prezydentów, premierów, przewodniczących, prezesów, dyrektorów itd., itp., czyni się odpowiedzialnymi za niepowodzenia lub pozwala dłużej czy krócej żyć w nieprzyzwoitym luksusie w przypadku sukcesów. Dlatego niekiedy niektórzy politycy ponoszą odpowiedzialność za nie tylko swoje decyzje polityczne, ale też ich konsekwencje moralne, polityczne i prawne.

Obecnie rządząca ekipa musi zdawać sobie sprawę z tego, że wcześniej czy później również ona stanie przed problemem odpowiedzialności politycznej, mimo że dzisiaj podejmuje działania związane z tworzeniem „nowej elity” i zabezpiecza się tak, jakby nie zamierzała oddać władzy, nawet jeśli przegra kolejne wybory parlamentarne. Na razie, dzięki posiadanej większości parlamentarnej może ona unikać odpowiedzialności za łamanie prawa i konstytucji, a np. Antoni Macierewicz nie ponosić żadnej odpowiedzialności za głoszenie absurdalnych poglądów na temat katastrofy samolotu w Smoleńsku i pomawianie o spisek poprzednich władz. Nie ponoszą również odpowiedzialności ci, którzy mu te androny podsuwają i „teoretycznie” uzasadniają.

## Pogląd Romana Ingardena

Roman Ingarden (1893-1970) rozważając problem ontycznych podstaw odpowiedzialności wskazywał na jej trzy elementy: 1) ktoś jest za coś odpowiedzialny, ponosi odpowiedzialność w wyniku swojego sprawstwa; 2) ktoś bierze na siebie odpowiedzialność, ktoś czuje

się odpowiedzialny za skutki własnych działań; 3) ktoś zostaje pociągnięty do odpowiedzialności przez innych<sup>1</sup>. Ktoś może być za coś odpowiedzialny tylko wówczas, gdy jest „istotą świadomą”. Taka osoba musi być odpowiednio „ukwalifikowana” i musi „spełniać pewne określone warunki, by mogło dojść do odpowiedzialności”<sup>2</sup>. „Jest się odpowiedzialnym za coś, co się wydarza i co przez to wydarzenie się zostaje zrealizowane”.

Działanie człowieka musi być aktywne i świadome co do jego aksjologicznych wartości – „dobre” lub „złe”. Dopiero wtedy można rozpatrywać odpowiedzialność za coś dobrego lub złego. Jeśli zachodzą okoliczności, które zwalniają kogoś z odpowiedzialności, to czyn jego nie jest ani dobry, ani zły. „Jeśli jednak ponosi on odpowiedzialność, to wówczas ciąży na nim również obowiązek wzięcia jej na siebie, tzn. bycia gotowym do zadośćuczynienia następstw popełnionego czynu. Może to jednak zmierzać zasadniczo w rozmaitych kierunkach. Może, mianowicie, polegać w pierwszym rzędzie na usunięciu i naprawieniu wyrządzonej szkody czy uczynionej komuś krzywdy, bądź, z drugiej strony, na przyjęciu uznanej za słuszną kary, resp. – w przypadku, gdy czyn był »dobry« – należnego wówczas sprawcy »wynagrodzenia« czy wyrażenia uznania. Wynika to z idei sprawiedliwości oraz z postulatu jej urzeczywistnienia. Wypływa z niej domaganie się jakiegoś wyrównania pomiędzy powstałą wartością negatywną a wartością pozytywną, która powinna tamtą wyprzeć. Sprawiedliwość domaga się, by ciężące na sprawcy »zawinienie« złego czynu zostało przez niego samego naprawione, a to poprzez akt »skrucy«, która sama w sobie jest czymś pozytywnie wartościowym, oraz poprzez wytworzenie pewnego pozytywnie wartościowego stanu rzeczy”<sup>3</sup>. Trudno spodziewać się zadość-



uczynienia po obecnej większości polityków. Prędeż zejść się z przywoływanym Bogiem, niż przyznają się do błędu.

Roman Ingarden uważał, że warunkiem koniecznym sensowności i rzeczywistej odpowiedzialności jest istnienie systemu wartości. Sprawca musi posiadać znajomość tych wartości. Ale odpowiedzialnym pozostaje nawet wówczas, gdy nie zna lub udaje, że nie dostrzega tych wartości. Sprawca musi zachowywać swoją „tożsamość”. „Czyn, za który sprawca ma być odpowiedzialny, nie może być »wymuszony« przez coś zewnętrznego. [...] Inaczej mówiąc: każdy człowiek odpowiedzialny jest za własne czyny jedynie wtedy, kiedy w ich spełnianiu jest »wolny«<sup>4</sup>. „Innymi słowy, trzeba poszukiwać rozwiązania sporu pomiędzy determinizmem, odnoszącym się wprost do świata realnego, a indeterminizmem, według którego czyn byłby tylko wtedy »wolny«, kiedy nie jest przyczynowo uwarunkowany”<sup>5</sup>.

Rozważania powyższe odnoszą się do pewnej modelowej, a z tego powodu utopijnej sytuacji. Niemniej jednak rozróżnienie przez Romana Ingardena trzech warstw odpowiedzialności pozwala na wyodrębnienie jej obiektywnych i subiektywnych aspektów. Własne sprawstwo (punkt 1) stanowi obiektywny aspekt odpowiedzialności. Ale jeśli idzie o branie na siebie odpowiedzialności i pociąganie do odpowiedzialności (punkt 2 i 3), to obciążone one są mniejszą lub większą dozą subiektywizmu. Ktoś może czuć się odpowiedzialnym niezależnie od skali faktycznego sprawstwa, a tylko w wyniku poczuwania się do odpowiedzialności np. w wyniku biernego współuczestnictwa czy koleżeńskie solidarności. Albo też sprawstwo jego może być niewątpliwe, zaś poczucie własnego sprawstwa i gotowość poniesienia konsekwencji – żadne. W polityce również pociągnięcie do odpowiedzialności nie musi być związane z rzeczywistym sprawstwem, a może być wynikiem „zapotrzebowania politycznego”, chęci ukrycia faktycznych sprawców, przyczyn wydarzeń, potrzeb dokonania manipulacji niezadowolonymi masami ludzi i może sprowadzać się do znalezienia „kozła ofiarnego” w celu spacyfikowania nastrojów niezadowolenia.

Antoni Macierewicz kierując likwidacją wojskowych służb informacyjnych, chociaż niejednokrotnie dopuścił się do złamania prawa, nigdy nie poczuwał się do odpowiedzialności. Dopiero sąd przyznając rację wielu poszkodowanym oficerom musiał mu to uświadomić. Jeśli stanowiska powierza się osobom nieświadomym, „nieukwalifikowanym”, chorym psychicznie, to odpowiedzialność spada na tych, którzy podejmują decyzje o powierzeniu im tych funkcji.

### Sprzeczności pojęcia odpowiedzialności

Z powyższego wynika, że w pociąganiu polityków do odpowiedzialności występują dwie sprzeczne tendencje. Z jednej strony, z uwagi na postęp techniczny i uspołecznienie procesów decyzyjnych, następuje rozmycie indywidualnej odpowiedzialności w „globalnej plazmie” zwłaszcza wśród osób bezpośrednio związanych z podejmowaniem decyzji, gdyż mają oni pełną świadomość rzeczywistego przebiegu procesu decyzyjnego i jego uwarunkowań, a z drugiej strony następuje obwinianie wybranych osób pasujących do pewnych

stereotypów społecznych i narodowych oraz poszukiwanie „kozłów ofiarnych” przez tych, którzy chcą uciec od jakiegokolwiek odpowiedzialności, pomimo faktycznego udziału w decyzjach i działaniach.

W sprawie pierwszej tendencji profesor Wiesław Sztumski pisał: „Anonimowość danej jednostki rośnie proporcjonalnie do liczebności grupy społecznej, w jakiej funkcjonuje. Narastanie anonimowości postępuje w szczególności wśród elit władz sterujących przebiegiem wydarzeń w świecie i kontrolujących je. W odczuciu opinii publicznej – a jest to odczucie w dość dużym stopniu uzasadnione nie tylko na gruncie spiskowej teorii dziejów – światem rządzą w coraz większym stopniu i coraz skuteczniej rozmaite układy skryte, podobne do łóz albo mafii działających zazwyczaj w zmożeniu, przede wszystkim nieformalne grupy finansistów i monopolistów. Są to faktyczne motory ukryte, które napędzają światową gospodarkę, technologię itp. i działają na przykład w postaci tzw. niewidzialnej ręki rynku, a także kreują »na zamówienie« różne kryzysy światowe. One nigdy nie ujawniają się; są w istocie nieznanne społeczeństwu, a co najwyżej niektórzy ludzie domyślają się, o kogo chodzi, chociaż nie zawsze zgodnie z prawdą. Ich anonimowe działania są właściwie samowolne i pozostają poza kontrolą społeczną. Dlatego decydenci wchodzący w skład elit rzeczywistości rządzących światem, będąc anonimowymi wymykają się od odpowiedzialności przed społeczeństwem. To odnosi się także do decydentów działających w »układach« na mniejszą skalę; oni też na wzór gangów albo mafii starają się być jak najbardziej tajemniczymi, jak tylko to jest możliwe, żeby mogli unikać odpowiedzialności. Bez wątpienia, postęp techniczny w dziedzinie łączności i komunikacji ułatwia anonimowe funkcjonowanie. Między innymi rozwojowi odpowiedzialności anonimowej sprzyja swoista blokada informacji, czyli nieformalna cenzura realizowana za pomocą nowoczesnych urządzeń i środków technicznych”<sup>6</sup>.

Zdaniem Wiesława Sztumskiego „nadal postępuje proces przekształcania się odpowiedzialności jawnej w anonimową, czyli enigmatyczną. A wzrostowi odpowiedzialności anonimowej sprzyja umasowienie odpowiedzialności zbiorowej. [...] Odbija się to negatywnie w postawach moralnych prominentów i ich odnoszeniu się do podwładnych. Mogą bez skrupułów etycznych i sankcji dokonywać różnego rodzaju eksperymentów na żywych organizmach społecznych, na ludziach, ze szkodą dla nich”<sup>7</sup>.

Zdaniem profesora w warunkach narastającej anonimowości mamy do czynienia nie ze wzrostem odpowiedzialności, ale z jej zmniejszeniem. W łonie samego pojęcia odpowiedzialności rozwijają się liczne sprzeczności wewnętrzne: między odpowiedzialnością aktualną i potencjalną, między odpowiedzialnością jednostkową i zbiorową, między odpowiedzialnością jawną i anonimową, konkretną i abstrakcyjną, bezpośrednią i pośrednią, podmiotową i przedmiotową oraz rzeczywistą i fikcyjną. „Okazuje się, że za sprawą postępu technicznego te przeciwieństwa rozmywają się. Dokonuje się również zamiana jednych w drugie. [...] Stopniowo odpowiedzialność przestaje być instrumentem służącym do wymuszania postępowych zachowań etycznych”<sup>8</sup>.

Rozmycie się odpowiedzialności sprawia, że odpowiedzialnym może być każdy lub nikt. W takich warunkach

kach wskazanie osoby odpowiedzialnej może odbyć się zarówno w rezultacie zażartej walki politycznej jak i zupełnie przypadkowo.

Wiesław Sztrumski pisał, że jeśli już ktoś nie może uniknąć odpowiedzialności, to pozostaje mu jej maksymalne osłabienie, aby „odpowiadać wobec czegoś nieuchwytnego”. Przywódcy polityczni chętnie odwołują się do odpowiedzialności przed „Bogiem i historią”, czy „innymi bytami urojonymi o statusie ontologicznym hipostaz. Są one ponadczasowe oraz niematerialne i dlatego nieuchwytnie i nierzeczywiste. Czyniąc się odpowiedzialnymi przed takimi bytami ucieka się od odpowiedzialności rzeczywistej do urojonej i pozornej. Tworzy się tym samym naprawdę tylko fikcję odpowiedzialności. W rzeczywistości chodzi o zwykłe mydlenie oczu masom społecznym i uspokojenie własnego sumienia”<sup>9</sup>.

W Polsce wśród prawicowych polityków w dobrym tonie jest dodawanie podczas ślubowania przy objęciu funkcji, formuły „tak mi dopomóż Bóg”. Jest to branie Boga na „wspólnika” swoich działań, a więc również pomniejszanie własnej odpowiedzialności. Kwestią otwartą pozostaje odpowiedź na pytanie: po czyjej stronie był Bóg, skoro tak ślubujący polityk przegrywa w następnych wyborach? Czy zwycięzcy są muzułmanami, ateistami czy wysłannikami demona? Formuły wyznaniowe są perfidnym wykorzystywaniem religii w celach politycznych, pozyskiwaniem przychylności religijnych i niezbyt zorientowanych w polityce mas.

Ale okazuje się, że do takiego pozbycia się odpowiedzialności dążą nie tylko politycy, ale również część kadr kierowniczych w gospodarce. Np. prezesi giełdowej spółki *Energia* oddali firmę pod opiekę „opatrności Bożej”. Uroczysta msza święta odbyła się w kościele Opatrzności Bożej w Gdańsku-Zaspie. Przybyło na nią 250 prezesów, członków rad nadzorczych oraz kluczowych pracowników. Podczas nabożeństwa kościół udekorowano barwami i logo spółki, a przed wejściem ustawiono flagi koncernu. W nabożeństwie uczestniczyło ośmiu duchownych z biskupem Wiesławem Szlachetką i krajowym duszpasterzem energetyków księdzem Sławomirem Zyga. Wyrazy pamięci przesłał arcybiskup Sławoj Leszek Głódź<sup>10</sup>. Z poparciem dla działań Energy wystąpił nawet zarząd Państwowej Wytwórni Papierów Wartościowych, co pokazuje, że jest to pewna szersza i mająca głębsze przyczyny, tendencja.

Společný charakter życia ludzi sprawia, że istnieje sprzeczność pomiędzy jednostką ludzką i społeczeństwem, a na konkretnym etapie rozwoju społecznego przejawia się ona jako sprzeczność pomiędzy interesami poszczególnych klas i warstw społecznych. Odpowiedzialność ma zatem również swój sprzeczny charakter. Edmund Husserl zaproponował rozróżnienie samoodpowiedzialności jednostki i samoodpowiedzialności wspólnoty. Nie są one oddzielone od siebie niewidzialnym murem. „Wspólnota może [...] odpowiadać za siebie jedynie w poszczególnym podmiocie osobowym”. Jednostka odpowiada za wspólnotę, a wspólnota za jednostkę – „rozumne rozważenie sensu i możliwych sposobów takiego samoodpowiadania za pewną wspólnotę nie jest czystą sumą wydarzających się w pojedynczych osobach samoodpowiedzialności spleta intencjonalnie jedną z drugą i wytwarza między nimi wewnętrzną jedność. [...] Moja samoodpowiedzialność

rozpościera się w głąb wszystkich innych [...], z którymi współdziałam lub na których oddziałuję bądź chcę oddziaływać, i na odwrót”<sup>11</sup>.

W wielu krajach funkcjonują *think tanki*, z założenia pozarządowe organizacje stanowiące niezależne komitety doradcze, zajmujące się badaniami i analizami dotyczącymi spraw publicznych. Poszukują one sposobów rozwiązania problemów społecznych i biorą udział w debacie publicznej. Przedkładają propozycje rozwiązań dla poszczególnych partii politycznych i rządów. W rzeczywistości pod płaszczykiem nauki prowadzą zamaskowany *lobbying* polityczny, a źródła ich finansowania często są niejasne. Z formalnego punktu widzenia nie mają żadnego umocowania w konstytucjach, nie podejmują żadnych decyzji. W związku z tym trudno pociągnąć je do jakiegokolwiek odpowiedzialności, chociaż wpływy ich na bieżące decyzje są trudne do przecenienia. *Think tanki* z krajów wysoko rozwiniętych, wywierają niejednokrotnie znaczny wpływ na rządy krajów słabo rozwiniętych. Wielu ludzi jest skłonnych do obciążania Leszka Balcerowicza odpowiedzialnością za wszelkie zło na początku gospodarki kapitalistycznej. Nie dostrzegają, że wśród jego doradców znajdowały się zagraniczne *think tanki*.

W warunkach szczególnego kryzysu lub zaostrzenia sprzeczności społecznych, pomimo postępującego procesu zaniku i rozmywania się odpowiedzialności wygodnie jest nadal odpowiedzialnymi czynić jednostki – przywódców stojących formalnie na czele partii politycznych, rządu czy państwa, i czynić z nich „kozły ofiarne”. Decydują o tym interesy tych wszystkich, którzy uczestniczyli w podejmowaniu decyzji i ponosili współodpowiedzialność faktyczną, a czynią tak w imię trwałości całego systemu czy układu, by można było dalej uczestniczyć w jego ramach i realizować interesy swoje i swojej klienteli. Im ostrzejsze sprzeczności społeczne i im większa chęć ukrycia ich przyczyn i rzeczywistych interesów, tym silniejsza jest pokusa znalezienia „kozła ofiarnego” w osobie jakiegoś polityka.

### Uwikłanie

Rozważając rolę przywódców w rozmaitych strukturach władzy czy zarządzania, często pomija się ich społeczne uwikłanie. Tymczasem człowiek, który działa w jakichkolwiek strukturach decyzji politycznej, znajduje się dłużej lub krócej w sytuacji uwikłania<sup>12</sup>, czyli swego i specyficznego ograniczenia tożsamości i suwerenności własnych decyzji i działań. Powstaje sprzeczność pomiędzy – z jednej strony – celami stawianymi sobie przez jednostkę, swoimi wartościami, interesami i poglądami, naciskami własnej bazy społecznej, a z drugiej – pomiędzy faktycznie realizowanymi wartościami, interesami w wyniku podejmowania decyzji przez dane gremium i realizowaną w praktyce ogólną polityką.

Uwikłanie może mieć charakter strukturalno-funkcjonalny (np. przynależność do danej wspólnoty kulturowo-etnicznej, rasowej, rodowej, klasowo-warstwowej, ideowo-politycznej), sytuacyjny (związane z jednostkowymi, konkretnymi wydarzeniami) lub manipulacyjny (kiedy jednostka znalazła się w asymetrycznej zależności od grupy w wyniku jakiejś prowokacji, intrygi lub pułapki). Wskutek uwikłania powstaje sprzeczność

pomiędzy tym, jak dana jednostka wyobrażała sobie swój udział w danym gremium decyzyjnym, a tym, jaka jest praktyka jego funkcjonowania. Jednostka uczestnicząca w decyzjach takiego gremium ma trzy główne możliwości: może próbować walczyć „o swoje”; czuć pewien dyskomfort i przemyślać nad zmianą swojej roli po zmianie sytuacji; lub trwać i godzić się z taką sytuacją i swoją w niej rolą, zadawalając się w najlepszym wypadku znikomym wpływem.

Klasyczny opis uwikłania w polityce znajdujemy w pracy Engelsa, analizującego doświadczenia wojny chłopskiej w Niemczech z początku XVI wieku. Engels, widząc analogie i podobieństwa pomiędzy rewolucją z roku 1525 w Niemczech a rewolucją lat 1848-1849, analizując udział Tomasza Münzera w Wiecznej Radzie i praktyczne kierowanie nią przez niego, doszedł do wniosku, że „Dla wodza skrajnej partii nie ma nic gorszego, jak być zmuszonym do przejścia władzy w epoce, kiedy ruch nie dojrzał jeszcze do panowania klasy, którą reprezentuje, ani do realizacji posunięć, których panowanie tej klasy wymaga”<sup>13</sup>.

Może się więc zdarzyć tak, że splot szczególnych okoliczności wyniesie do władzy reprezentanta najbardziej radykalnej grupy społecznej. Ale to, na ile będzie on w stanie realnie wykorzystać udział we władzy (rządzie), zależy nie od jego chęci i intencji, ale od wielu obiektywnych i subiektywnych czynników. Bowiernie nie tylko obecność poszczególnych przedstawicieli radykalnej grupy społecznej w rządzie, ale nawet jego oprowadzenie przez nich nie określa w sposób ostateczny charakteru rewolucyjnych zmian. O charakterze danej rewolucji decyduje całokształt dokonujących się przeobrażeń ustrojowych, do których realizacji dojrzało dane społeczeństwo.

Chociaż na charakter rewolucji wpływał skład socjalny rządu, to jednak nie był on czynnikiem decydującym i rozstrzygającym. Zdaniem Engelsa obecność autentycznych przedstawicieli proletariatu w rewolucyjnym rządzie burżuazyjnym była czynnikiem, który mógł ułatwić realizację zadań rewolucji, ale sama przez się nie zmieniała charakteru rewolucji, nie pozwalała pomijać obiektywnych prawidłowości jej rozwoju ani przeskakiwać jej etapów. Prawidłowości tych nie byli w stanie zmienić nawet najlepsi i najwybitniejsi przedstawiciele proletariatu w tymczasowym rządzie rewolucyjnym. Dlatego Engels dalej pisał: „To co zrobić może, nie zależy od jego woli, lecz od poziomu, jaki osiągnęło przeciwieństwo między różnymi klasami, i od stopnia rozwoju materialnych warunków bytu, stosunków produkcji i wymiany, na których zasadza się każdorazowy stopień przeciwieństw klasowych”<sup>14</sup>.

W sytuacji, gdy przywódca nie rozumie rzeczywistych interesów reprezentowanej przez siebie klasy czy grupy społecznej w konkretnych warunkach historycznych, nie potrafi ocenić charakteru dokonujących się przemian, albo gdy klasa nie dojrzała jeszcze do politycznego panowania – pojawiają się rozbieżności i sprzeczności pomiędzy obiektywnymi możliwościami a chęciami, wyznawanymi teoriami i głoszonymi hasłami. Przywódca staje „wobec nie dającego się rozwiązać dylematu: co zrobić może, sprzeciwia się całemu jego dotychczasowemu postępowaniu, jego zasadom i bezpośrednim interesom jego partii; to zaś co zrobić powinien, jest nie do przeprowadzenia”. Reprezentuje

„nie swoją partią, nie swoją klasę, lecz klasę, do której panowania ruch właśnie dojrzał. W interesie samego ruchu musi realizować interesy obcej mu klasy i zbywać swą własną klasę frazesami i obietnicami zapewniając ją, że interesy owej obcej klasy są jej własnymi interesami. Kto znajdzie się w takim fałszywym położeniu, jest bezpowrotnie zgubiony”<sup>15</sup>.

Powyższe problemy ujawniają się obecnie w sprzeczności pomiędzy programami w wyborach parlamentarnych a późniejszą praktyką po dojściu do władzy lub wejściu w jakąś koalicję. Dlatego np. z postulatu PiS „500+” na każde dziecko, urodziła się decyzja „500+”, ale od drugiego dziecka itd., itp.

Zdaniem Mirosława Karwata „Mechanizm uwikłania zmusza do rewizji stereotypowej alternatywy »albo – albo«. Albo jest się po prostu podmiotem własnego działania, a wtedy działa się z własnej woli i inicjatywy, samodzielnie i zgodnie z własnym interesem i własną naturą, tożsamością; albo też jest się czymś narzędziem (np. figurantem), a wtedy działa się nieświadomie na rzecz cudzych interesów, a na własną szkodę, bądź też działa się pod przymusem, czyli z konieczności, z obawy przed niebezpieczeństwem, stratami i cierpieniami, co najwyżej wybierając mniejsze zło, lecz działając wbrew sobie samemu”<sup>16</sup>. Dla osób będących na zewnątrz takiego gremium dylematy uwikłanej jednostki nie muszą być znane i istotne, sama obecność w tym gremium może być interpretowana jednoznacznie i moralnie potępiana, a uczestnictwo traktowane jak współsprawstwo. Aby określić stopień winy i pociągnąć do odpowiedzialności, należy zatem zbadać obiektywne warunki, w których przyszło działać jakiemuś przywódcy, istniejące stosunki społeczne, układ sił politycznych i stan świadomości społecznej, ponieważ one przesądzają o możliwościach działań polityków. Dopiero po określeniu tych warunków można odpowiedzieć na pytanie, jaki był kierunek działania przywódcy i na ile realizując go uwzględniał istniejące możliwości, a w jakim zakresie nie chciał z nich skorzystać. To, na ile przywódca może uwzględniać warunki, często też nie jest zależne od niego osobiście, ale od struktury władzy, w której on funkcjonuje. Struktura ta może hamować jego najlepsze intencje, ale może też wyposażyć w kompetencje, których osobiście nie posiadał. Uwikłanie Wałęsy (i nie tylko) oddaje powiedzenie: „Nie chcę, ale muszę”.

Problem uwikłania w strukturę władzy rozważał Jan Kurowicz<sup>17</sup> w nawiązaniu do przykładu mianowania przez cesarza rzymskiego Kaligulę swego konia senatorem i zamiaru uczynienia go konsulem. Przypadek ten z pozoru absurdalny, świetnie wyjaśnia istotę problemu.

### Paradoks konia Kaliguli skrajnym przypadkiem uwikłania

Sprzeczność pomiędzy potrzebą racjonalnego zarządzania państwem a niekompetencjami urzędników miała w starożytnej Grecji strukturalny charakter. Ówczesnym urzędnikom, z uwagi na przypadkowość losowania, trudno było przypisywać określoną opcję polityczną czy niekompetencję, łatwiej było wszystko zrzucić na wolę bogów.

Obecnie większość urzędników, polityków, filozofów i tzw. inteligencji również nie chcą zaakceptować



społeczno-politycznego uwikłania swoich poglądów, stara się to nawet ukrywać, akcentując jedynie swoje kompetencje „fachowe”. Nie chcą oni uznać tezy, że stanowią klasę sług wobec głównych klas społecznych związanych z określonymi typami własności środków produkcji i wymiany.

Wydaje się, że wyższy poziom świadomości sprzeczności pomiędzy kompetencjami urzędników a stosunkami społeczno-ekonomicznymi i politycznymi miał cesarz Kaligula, który mianował swego konia senatorem i chciał później uczynić go Pierwszym Konsulem Imperium. Paradoksem jest to, że ten z pozoru bezsensowny czyn miał swoje logiczne i polityczne uzasadnienie. Również w dniu dzisiejszym istnieją stosunki społeczno-polityczne, które stanowią mechanizmy pozwalające na awansowanie ludzi bez jakichkolwiek kompetencji fachowych. Korzystają z niego wszystkie opcje polityczne.

Na nic zdały się argumenty przeciwników tej nominacji, że koń jest zwierzęciem i nie ma rozumu politycznego czy administracyjnego, że nie ma odpowiednich manier, nie umie zachowywać się przy stole, że nie ma odpowiedniego stosunku do religii, tradycji czy prezencji zewnętrznej. Dla Kaliguli koń miał jednak jedną niepodważalną zaletę, był niezdolny do intrygantstwa, pozostawał lojalny i wierny, był mądry mądrością wszystkich doradców.

Nawet w czasach współczesnych wielu urzędników, szczególnie pochodzących z wyborów powszechnych, podobnych jest do konia. Z uwagi na ogrom dziedzin podlegających władzy administracji państwowej i gospodarczej, posiadają w niektórych podległych sobie dziedzinach kompetencje na miarę rozumu końskiego, chociaż nie jedzą owsa czy siana. Ale w związku z tym, jak zauważył J. Kurowicki, „Nic nie musi iść na opak, a podejmowane decyzje będą na miejscu i kompetentne, gdy otoczy go odpowiednio ukształtowana struktura rządzenia czy zarządzania. Każda bowiem decyzja może być w jej obrębie odpowiednio przygotowana i podsunęta do zatwierdzenia; każdy też, za przeproszeniem, koński czyn, czy gest władcy [...] może dojść (lub nie dojść) do skutku zależnie od tego, jaka jest otaczająca go struktura (zaplecze) i stopień, w jakim je kontroluje”<sup>18</sup>.

Objęcie jakiegoś stanowiska przez osobę niekompetentną nie stanowi więc tragedii. Zdaniem Kurowickiego „Pozwała to zakwestionować oświeceniowe złudzenie, jakoby o efektywności władzy decydowały kompetencje, rozum i wola tych, co ją bezpośrednio z najwyższego szczebla sprawują. Więcej! Nawet najbardziej kompetentne i rozumne działania owych sprawujących władzę są zawsze (bezpośrednio lub pośrednio) determinowane przez konkretne układy sił w obrębie ich zaplecza”<sup>19</sup>.

Wypływają z tego wnioski dla sprawujących władzę, podległych im urzędników i służących radą uczonych doradców. Przywódca/kierownik, który nie będzie zdawał sobie sprawy z uzależnienia od swego otoczenia i zaplecza, nawet jeśli będzie najbardziej kompetentny i wykształcony, zostanie obalony przez swoje otoczenie i przestanie pełnić przywódczą/kierowniczą rolę. Podwładny zaś i doradca, który będzie manifestacyjnie okazywał swoją kompetencję i wyższość intelektualną w stosunku do przywódcy i otoczenia, zostanie usunięty

również ze swego stanowiska. Podwładny, aby zająć pozycję i utrzymać ją, musi zatem wykazać się sprytem i umieć wykorzystywać nadarzające się sprzyjające okoliczności dla realizacji swoich propozycji. Kiedy sytuacja tego wymaga powinien zarazem być gotowy do wykazania się kompetencjami fachowymi lub w najlepszym razie udać, że nie widzi nic złego.

O pozycji osób przewodzących i podwładnych decyduje więc nie tylko wiedza, ale również wyobraźnia historyczna i socjologiczna, a przede wszystkim zdolność do reprodukcji stosunków w najbliższym otoczeniu, zapewnienie warunków do reprodukcji kapitalistycznych stosunków społeczno-ekonomicznych i politycznych.

Nawet gdyby kandydat do urzędu był niekompetentny lub nijaki, ale zdolny do służenia celowi zasadniczemu, zostanie przez system wyposażony w te cechy, których osobiście może nie mieć. Stąd też wystarczyło, że PiS wygrał wybory parlamentarne, a natychmiast pojawili się ludzie z odpowiednimi „kwalifikacjami” – czy to członkowie partii, czy członkowie ich rodzin, czy znajomi z parafii, czy przypadkowymi ludźmi z dyskoteki. Zaczęto wyprowadzać ze stajni wszystkie konie poprzedniej ekipy i wszystkie boksy w stajni zaczęto natychmiast ponownie zapełniać, ale własnymi już końmi...

Idealny podwładny, zdaniem Kurowickiego, nie jest, wbrew powszechnym mniemaniom, ten kto posiada doskonałe kwalifikacje do zajmowania danego stanowiska oraz odpowiednie cnoty moralne i obywatelskie. W rzeczywistości „Działają [...] zgodnie z obowiązującymi w danej strukturze normami i zasadami, zadowolając się swym miejscem w danej strukturze. Przy czym nie przesuwają się oni w hierarchii struktury ani w górę, ani na boczny tor, ale też starają się nie spaść w dół. Gdyby bowiem mieli (i ujawnili) ambicje awansu, idealnymi podwładnymi już by nie byli. Stwarzaliby zagrożenie tym, co bezpośrednio nimi kierują lub dostarczali pretekstu do posądzenia, że działają nie z nakazu czystej sumiennosci, dla »sprawy«, a dla kariery, by być zauważonym i wyniesionym. Wystarczy tedy, aby dbali o to jeno, by ich nie zdegradowano albo przesunięto na boczny tor. [...] Na przykład, gdy zauważy, że »góra« ma kwalifikacje na poziomie konia i popełnia oczywiste błędy, nie tylko nie wolno mu wprost zgłaszać zastrzeżeń do jej decyzji, ale, jeśli tylko może, tak musi wpływać na działania tej »góry«, by skutki nie szkodziły strukturze. Inaczej zagrozi sobie i swojej pozycji. Jest więc (wraz z innymi) ogonem, który czasami musi machać koniem”<sup>20</sup>.

Idealny podwładny, zdaniem Kurowickiego, nie powinien wynosić się ze swoimi kwalifikacjami ponad równych sobie stanowiskiem, jak i niżej stojących. Powinien chcieć żyć i dawać żyć innym, jeżeli ktoś nie kwestionuje jego kompetencji i nie podważa jego statusu. Dlatego zawsze będzie po stronie silniejszych w danym układzie, nawet gdyby to pociągało za sobą konieczność podejmowania działań czy decyzji niekompetentnych lub wymagało nie dostrzegania ich. Sam zaś występować będzie przeciwko słabszej mniejszości, nawet jeśli po jej stronie będą racje merytoryczne i będzie z nią nieoficjalnie sympatyzował. Ponadto te racje i prawdę przedłoży bowiem własną obecność w strukturze na danym stanowisku.

Nie omieszka natychmiast przyłączyć się do mniejszości, gdy tej uda się zwyciężyć. Musi przy tym zawsze manifestować swoją partnerskość, otwartość, życzliwość i chęć służenia pomocą każdemu. „Konsekwencją tego wszystkiego jednak jest (bo być musi) coś paradoksalnego: obecność licznych, niekompetentnych działaczy lub decyzji idealnego podwładnego. I to mimo jego najdoskonalszych kwalifikacji! Co więcej: podjęte zostaną one przez niego z pełną świadomością. Te bowiem niekompetentne działania czy decyzje mają charakter nie podmiotowy, lecz strukturalny. Z jednej oto strony musi ów podwładny działać kompetentnie, bo [...] tego wymaga jego status; z drugiej musi niejednokrotnie o swych umiejętnościach zapominać, jeśli chce utrzymać się w strukturze. Sprzeczność między jednym i drugim sprawia wszakże, że tylko drobna część jego działań będzie na miarę jego możliwości. Reszta zaś to ostanianie końskich kwalifikacji szefa, przemykanie oczu na błędy równych sobie lub niżej postawionych”<sup>21</sup>.

Istnieje więc pewna analogia pomiędzy kompetencjami konia Kaliguli i osób losowanych na stanowiska przez starożytnych Ateńczyków. Osoby losowane w odróżnieniu od konia mogły nabywać doświadczenie i uczyć się bycia końmi. Koń zaś nie musiał uczyć się urzędowania i był „koński” z natury. Trwałość demokracji wymaga, by miała ona swoje stajnie i swoje zaprzęgi konne, niezależnie od tego, że podlegają one okresowej krytyce i czystce.

Przy dochodzeniu do odpowiedzialności polityków trzeba więc pamiętać, że odpowiedzialność jednostki jest w rzeczywistości odpowiedzialnością za funkcjonowanie całej struktury władzy. Zaś rola jednostki w strukturze władzy jest często kwestią bardzo skomplikowaną. Zatem aby nie pogрузić całej struktury i aby sprawy pozostały takimi, jakimi były, popularną metodą rozliczeń pozostaje poświęcanie „kozłów ofiarnych”, rozszady kadrowe lub reorganizacje. A po to, aby nie powiedzieli tego, jak rzeczywiście było, izoluje się ich i zamyka usta na różne sposoby. Zdesperowane masy pociągając „kozła ofiarnego” do odpowiedzialności, zyskują pozór wpływu na procesy społeczno-ekonomiczne i polityczne właśnie po to, aby nic w tych sprawach się nie zmieniło.

### Odpowiedzialność albo rezygnacja lub śmierć

Ostateczne rozwiązanie sprzeczności i dylematów związanych z uwikłaniem w strukturach decyzyjnych nie realizujących w pełni wartości, potrzeb i interesów uwikłanej jednostki, możliwe jest tylko poprzez jej rezygnację z udziału w pracach takiego gremium decyzyjnego. Jean-Paul Sartre (1905-1980) rozpatrywał kwestię odpowiedzialności w powiązaniu z wolnością. Przedstawiając pewną skrajną koncepcję odpowiedzialności domagał się konsekwentnego rozliczenia hitlerowców, ale można ją rozciągnąć na inne sytuacje i przedstawicieli innych ruchów politycznych. Pisał, że „człowiek, skazany na to, by być wolny, dźwiga na swych ramionach ciężar całego świata: jest odpowiedzialny za świat i za siebie samego (pojętego) jako sposób bycia”<sup>22</sup>.

Wolność manifestuje się poprzez odpowiedzialność. Absolutna odpowiedzialność jest konsekwencją naszej wolności. Człowiek ma zawsze jakiś wybór – je-

śli nie popełnia samobójstwa lub nie dezertuje w momencie wybuchu wojny, czyni wojnę „swoją”, jakby ją sam wywołał, przyjmuje na siebie odpowiedzialność za jej skutki. W sytuacji granicznej człowiek musi wybierać między rozstrzelaniem – decyzją sądu wojskowego za odmowę wykonania rozkazu, a powieszeniem na mocy wyroku sądu cywilnego za zbrodnie wojenne już po zakończeniu wojny.

Ktoś, kto funkcjonuje w jakichś strukturach decyzyjnych nie może tłumaczyć się, że czegoś nie wiedział, bo nie był poinformowany. Nigdy nie można wykluczyć, że czegoś nie chciał wiedzieć, bo było mu to z różnych względów niewygodne. Dlatego ktoś, kto nie składa dymisji i pozostaje w określonych strukturach – kolegiach kierowniczych czyni je również „swoimi” i w zmienionej sytuacji ponosi odpowiedzialność za ich funkcjonowanie i skutki ich decyzji. Wiara w to że jest „dobry car i źli urzędnicy” ma coraz mniej zwolenników.

### Mechanizm kozła ofiarnego

Mechanizm kozła ofiarnego René Girard wywodzi z starożytnej tradycji judaistycznej, w której społeczność przenosiła swoje winy na przeznaczone na krwią ofiarę zwierzęta. Kapłan świątyni w Jerozolimie kropił kilkakrotnie różne miejsca w jej wnętrzu krwią złożonych w ofierze byka i kozła, a następnie kładł rękę na głowie wybranego kolejnego kozła, na którego symbolicznie przenosił w ten sposób winy za przestępstwa dotyczące wszelkich grzechów całego ludu. Wybierany człowiek zabierał kozła i, według *Starego Testamentu*, wypędzał go na pustynię. W ten sposób kozioł zabierał z sobą wszystkie winy społeczności żydowskiej do „ziemi bezpłodnej”.

Zdaniem René Girarda mechanizm kozła ofiarnego stosowany był i jest przez poszczególne grupy społeczne w momencie naruszenia ich równowagi wewnętrznej, dezintegracji lub zagrożenia. Ludzie mają bowiem skłonność do obciążania odpowiedzialnością innych za wszelkie przeciwności losu i konflikty społeczne. W celu przywrócenia stanu homeostazy grupa obiera sobie kogoś na winną wszystkiego ofiarę, która staje się obiektem agresji, wykluczenia i najczęściej zbiorowego mordy ze strony bezmiennego tłumu. Wykorzystaniu tego mechanizmu towarzyszy sprzeczność w działaniach instytucji politycznych, gdyż poprzez zakazy prawne starają się powstrzymać ludzi przed zachowaniami konfliktogennymi, ale jednocześnie poprzez rytualne naruszanie tych zakazów i zarządzanie kryzysami starają się świadomie rozładowywać kryzysy i nagromadzony potencjał agresji oraz ukierunkować ją na konkretnego kozła ofiarnego.

René Girard pisał, że chociaż prześladowcy w przeszłości kłamali na temat swoich ofiar, a z późniejszego punktu widzenia zarzuty ich stawiały się irracjonalne, to jednak byli oni zawsze przekonani o czystości swego sumienia. „Kontekst zdarzeń niewiarygodnych potwierdza wiarygodność pozostających, zmieniając tę wiarygodność w prawdopodobieństwo. I *vice versa*. [...] Dostrzegamy tu działanie wyobraźni, to pewne; lecz nie działa tu jakaś nieokreślona wyobraźnia, ale wyobraźnia ludzi żądnych przemocy”<sup>23</sup>. W oskarżeniach prześladowczych zawsze mieszają się stwierdzenia prawdziwe i wymaginowane, ale problem jest tym

większy, że często nawet oskarżonym, ze względu na własne przekonania, trudno je odróżnić. Wszak stare powiedzenie mówi, że ludzie zmieniliby nawet pewniki w matematyce, gdyby przeczyły ich interesom.

Prześladowcy zarzucają ofiarom najcięższe zbrodnie: pedofilię, ojcobójstwo, kazirodztwo, terroryzm, profanowanie symboli najwyższego autorytetu, łamanie tabu danej kultury, religii, podkopywanie fundamentów kulturowego porządku, wywoływanie kryzysów. Dodatkowo wrogom przypisuje się ułomność, kalectwo, choroby psychiczne, odrażający wygląd, nieprawdopodobne bogactwo. Wśród sprzecznych przyczyn prowokujących przemoc tłumu wobec tych, którym wyznacza się rolę kozła ofiarnego, Girard wymienia zarówno skrajną zamożność, jak i ubóstwo, wielki sukces lub porażkę, piękno lub brzydotę, rozwiązłość albo skrajny rygorizm moralny.

Te sprzeczne cechy przypisywane kozłom ofiarnym świadczą o tym, że przyczyny generowania kozłów ofiarnych nie tkwią wewnątrz uosabiających je jednostek, ale w stosunkach społecznych, poza konkretnymi jednostkami-ofiarami. Zdaniem Girarda istnieje bowiem „transkulturowy schemat kolektywnej przemocy i że łatwo naszkicować z grubsza jego zarys”<sup>24</sup>.

Kolektywnie realizowany nacisk na ofiary i społeczność jest tak silny, że ofiary nie mają szans udowodnienia swej niewinności. Dzieje się tak nawet wówczas, gdy prześladowcy zdają sobie sprawę z tego, że brak jest jednoznacznych dowodów na to, że ofiara popełniła zarzucany jej czyn. Wytworzona niechęć otoczenia społecznego do kozła ofiarnego jest czynnikiem wystarczającym do rozstrzygnięcia wszystkich wątpliwości na jego niekorzyść.

Wspólnota ma sprzeczny stosunek do swojej ofiary: z jednej strony przypisuje jej możliwość wszechmocnego szkodliwego działania, a z drugiej przypisuje jej zamordowaniu zbawienny wpływ, czyli nadaje jej moc nadprzyrodzoną. Kozioł ofiarny przed jego sakralizacją ma możliwość czynienia wszelkiego zła, a po zamordowaniu go – pojawia się możliwość czynienia przez niego dobra, co jest podstawą do sakralizacji.

Wspólnota po zamordowaniu kozła ofiarnego odzyskuje spokój, chociaż kozioł ofiarny nie likwiduje ani kryzysu i jego przyczyn, ani powodzi, ani zarazy, ani suszy. „Kozioł ofiarny oddziaływa wprawdzie tylko na stosunki międzyludzkie, zepsute na skutek kryzysu, lecz wywołuje wrażenie, iż działa także na przyczyny zewnętrzne, zarazy susze oraz inne obiektywne nieszczęścia”<sup>25</sup>.

W wyniku zamknięcia swego umysłu w „prześladowczym złudzeniu”, wspólnota nie rozumie prawdziwych przyczyn odzyskanego spokoju, bowiem jest przekonana, że zło zostało pokonane w wyniku fizycznego unicestwienia wcielającej to zło ofiary, czuje się cudownie ocalona w wyniku ingerencji siły nadprzyrodzonej. Dlatego skłonna też jest, by usprawiedliwić się, do przyjęcia, że śmierć ofiary była zamierzona przez nią samą, jako forma odkupienia swoich win. Paradoks polega na tym, że prześladowający tłum łączy w zamordowanej osobie zarówno cechy zbrodnicze, jak i dobroczynne. To powoduje zmianę stosunku pomiędzy prześladowcami a ich ofiarą.

Właśnie w tym powszechnym zjawisku, jakim jest mordowanie niewinnych kozłów ofiarnych, Girard widzi

podstawę kształtowania się w wyniku długiego i złożonego procesu wszelkich religii i powstania rytuału okresowego poświęcania kozłów ofiarnych w imię interesów wspólnoty. „Skoro ofiara może zsyłać z zaświatów dobra na tych, którzy ją zabili, znaczy, iż jest wskrzeszona albo nie umarła naprawdę. Przyczynowość kozła ofiarnego jawi się z taką siłą, że nawet śmierć nie może jej powstrzymać. Żeby nie zrezygnować z ofiary jako przyczyny, mechanizm kozła ofiarnego wskrzesza ją, jeśli trzeba, unieśmiertelnia – co najmniej na jakiś czas – wymyśla to, co zwiemy transcendentnym i nadprzyrodzonym”<sup>26</sup>.

To kolektywna i anonimowa przemoc sprzyja fabrykowaniu mitów. Analiza tych mitów pozwala dla Girarda wyciągnąć szerszy wniosek dotyczący interpretacji religii i roli bogów: „Pod postacią bogów-uzdrowicieli zawsze kryją się ofiary, zaś ofiary zawsze mają w sobie coś z lekarzy. Podobnie jak w przypadku Żydów czarownice zawsze denuncjują ci, którzy zabiegają o ich usługi. Wszyscy prześladowcy przypisują swoim ofiarom szkodliwość, która tak łatwo przekształca się w użyteczność i *vice versa*”<sup>27</sup>.

Prześladowcy dochodzą do wniosku, że to niewielka grupa czy nawet pojedyncza jednostka mimo swej słabości jest w stanie zagrozić całej wspólnotie.

W mitologii prześladowczej występuje pomieszanie tego co ludzkie, z tym co zwierzęce. W średniowieczu czarownicom przypisywano powinowactwo z kozłem, oglądano podejrzanym nogi i obmacywano czoła w poszukiwaniu najmniejszych śladów rogów, przypisywano pośrednictwo z zaświatami ich zwierzętom domowym. Obecnie swoim wrogom nie szczędzi się zwierzęcych karykatur.

Girard postawił pytanie o to, co sprawia, że świadomi ludzie przekształcają się w tłum dokonujący linczu, że zachowują się jak stado zwierząt, skoro nie zostali do tego zmuszeni przez siły zewnętrzne? W odpowiedzi posługuje się przykładem świni i owiec. Ta siła nazywa się „instynktem stadnym” lub „owczym pędem”, „nieodpartą skłonnością” do mimetyzmu, czyli skłonnością do upodabniania się do innych. „Po przekroczeniu pewnego mimetycznego progu, tego, który określa stan opętania, cała grupa natychmiast odtwarza wszelkie – w jej mniemaniu normalne – zachowania. Zjawisko to jest zbliżone do zjawiska mody w tak zwanych społeczeństwach rozwiniętych. [...] Najmniejsza mimetyczna podnieta porusza zbity tłum. Im cel będzie bardziej znokomo, ulotny, więcej – tragiczny w skutkach, tym jego otoczka stanie się bardziej tajemnicza i tym większą wywoła pożądlivość”<sup>28</sup>.

Trudno oprzeć się wrażeniu, że chęć zapanowania nad „instynktem stadnym”, „owczym pędem” i „skłonnością do mimetyzmu”, przy znajomości teorii i techniki kontroli umysłu, były główną przyczyną przejęcia przez PiS ścisłej kontroli nad publicznymi środkami masowego przekazu.

Girard nie podaje obiektywnych kryteriów, na podstawie których można dokonać wyboru kozła ofiarnego. Ważny dla niego jest sam mechanizm jego wyboru i skutki społeczno-polityczne dokonanego mordu. Wyjaśnia je odwołując się do mimetyzmu czy syndromu Panurga, ale w poszukiwaniach tych nie sięga głębiej. Nie dostrzega istniejących sprzeczności interesów warunkujących walki społeczne, lecz jedynie obowiązują-



ce „inności” kulturowe, ważna staje się przynależność partyjna czy polityczny życiorys. Te „inności” oczywiście przejawiają się w toczących się konfliktach, ale nie są ich czynnikami sprawczymi, lecz jedynie z całą premedytacją są wykorzystywane przez przywódców poszczególnych sił społeczno-politycznych, chcących uniknąć dyskusji programowych, odwrócić uwagę od niewygodnych problemów, dążących do samooczyszczenia i odwrócenia uwagi opinii publicznej od własnej odpowiedzialności za dotychczasowe działania polityczne lub zmobilizowania siebie i własnych sojuszników.

### Misiewiczce a koń Kaliguli i kozły ofiarne

Środki masowego przekazu opozycyjnie nastawione wobec polityki Prawa i Sprawiedliwości stosunkowo dużo uwagi poświęciły nominacji Bartłomieja Misiewicza i jego odznaczeniu przez Antoniego Macierewicza. Co jakiś czas pojawiają się też bulwersujące informacje o zajmowaniu stanowisk rządowych, urzędniczych i w radach nadzorczych przez ludzi młodych, nie mających żadnego doświadczenia czy stosownego wykształcenia.

Niektórzy krytycy tej polityki kadrowej zachowują się tak, jakby nominacje te traktowali jako przypadkowe lub obarczone błędem czyjegoś niedopatrzenia. Tymczasem one świetnie nadają się do odwracania uwagi od ważniejszych spraw społeczno-ekonomicznych czy politycznych, a poza tym tacy „niekompetentni” nominaci są niesamodzielnymi i posłusznymi w wykonywaniu poleceń swoich szefów. Dlatego przykład konia Kaliguli, chociaż sam w sobie jest szokujący i wydaje się nieprawdopodobny, bardzo dobrze opisuje istotę ich nominacji i roli.

Osoby te świetnie też nadają się do odegrania w przyszłości roli „kozła ofiarnego”. Same, niestety, z uwagi na doraźne niezastąpione znaczne apanaże, obecnie nie są w stanie zrozumieć swojej roli i planów wobec nich. W najlepszym razie po zmianie układu sił politycznych będą mogły jeszcze odwołać się do przykładu Konrada Wallenroda i mówić później, że zawarły pakt z diabłem, aby poznać jego zwyczaje i łatwiej go pokonać. Gdy nastąpią pierwsze tąpnięcia w nastrojach, dadzą się z pewnością słyszeć ich kontrowersyjne i niejasne wypowiedzi.

Na razie całe to grono ma już przygotowaną jedną osobę do roli „kozła ofiarnego” – Jarosława Kaczyńskiego, bo reszta chwilowo ustawia się w roli konia Kaliguli i zajada owies ze żłobu, do którego się dorwała. Zapominają, że po zamordowaniu Kaliguli, jego koń Incitatus został pozbawiony przez Klaudiusza przywilejów. Musiał opuścić stajnię o ścianach pokrytych freskami, zrezygnować ze żłobu z kości słoniowej, owsa z dodatkiem płatków złota, kosztownych okryć i specjalnych stajennych. Po zmniejszeniu mu dochodów, Incitatus nie mógł dłużej być członkiem senatu. Zabrały mu trzy lata do awansu na konsula, czego wymagało ówczesne rzymskie prawo.

- 1 Roman Ingarden, *Ontyczne podstawy odpowiedzialności*, [w:] *Filozofia odpowiedzialności XX wieku. Teksty źródłowe*. Wybór, tłumaczenie, redakcja: Jacek Filek, Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego, Kraków 2004, s. 166.
- 2 Tamże.
- 3 Tamże, s. 167.
- 4 Tamże, s. 170.
- 5 Tamże, s. 171.
- 6 Wiesław Szumski, *Postęp techniczny i definicja odpowiedzialności*, „Transformacje. Pismo interdyscyplinarne” 2015, nr 1-2 (84-85), s. 172-173.
- 7 Tamże, s. 173.
- 8 Tamże, s. 169.
- 9 Tamże, s. 173.
- 10 <http://www.msn.com/pl-pl/wiadomosci/polska/energa-zawierzona-opatrno%C5%9Bci-bo%C5%BCej/ar-AAmCfPK?li=AA4W-VW&ocid=spartandhp>, 8.02.2017.
- 11 Edmund Husserl, *Medytacja o idei życia – indywidualnego i wspólnotowego – w absolutnej samoodpowiedzialności*, [w:] *Filozofia odpowiedzialności XX wieku. Teksty źródłowe*. Wybór, tłumaczenie, redakcja: Jacek Filek, Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego, Kraków 2004, s. 20-21.
- 12 Szerzej o zjawisku uwikłania patrz: Mirosław Karwat, *Uwikłanie jako korelat i koszt uczestnictwa* [w:] Bohdan Kaczmarek (red.), *Metafory polityki*, DW ELIPSA, Warszawa 2013, s. 322-344.
- 13 Fryderyk Engels, *Wojna chłopska w Niemczech*, [w:] K. Marks, F. Engels, *Dzieła* (MED, t. 7, Książka i Wiedza, Warszawa 1963, s. 471.
- 14 Tamże, s. 471-472.
- 15 Tamże, s. 472.
- 16 Mirosław Karwat, *Uwikłanie jako korelat i koszt uczestnictwa* [w:] Bohdan Kaczmarek (red.), *Metafory polityki*, DW ELIPSA, Warszawa 2013, s. 340.
- 17 Jan Kurowicki, *Figury i maski w praktykach ideologicznych*, Instytut Wydawniczy Książka i Prasa, Warszawa 2013, s. 108-143. **Incitatus** – ulubiony koń wyścigowy cesarza Kaliguli. Władca ofiarował mu marmurową stajnię, żłób z kości słoniowej, purpurowe czapraki, naszyjniki z drogich kamieni. Koń miał do dyspozycji niewolników i meble, żeby mógł przyjmować gości, których do niego zapraszano. W czasie uczt cesarz pijał jego zdrowie ze złotych pucharów.
- 18 Tamże, s. 123.
- 19 Tamże, s. 124.
- 20 Tamże, s. 125-126.
- 21 Tamże, s. 128-129.
- 22 Jean-Paul Sartre, *Wolność a odpowiedzialność*, [w:] *Filozofia odpowiedzialności XX wieku. Teksty źródłowe*. Wybór, tłumaczenie, redakcja: Jacek Filek, Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego, Kraków 2004, s. 133.
- 23 René Girard, *Kozioł ofiarny*, Wydawnictwo Łódzkie 1987, 1991, s. 13.
- 24 Tamże, s. 32.
- 25 Tamże, s. 68.
- 26 Tamże, s. 69.
- 27 Tamże, s. 73. „W religiach mityczno-rytualnych nie ma niczego, co by logicznie nie wynikało z mechanizmu kozła ofiarnego, funkcjonującego na wyższych parametrach niż w historii. Dawna etnologia miała rację mówiąc, iż mity i rytuały są ze sobą ściśle powiązane, lecz nigdy nie wyjaśniła tajemnicy owego powiązania, bowiem nie dostrzegła w fenomenach prześladowczych modelu i antymodelu każdej instytucji religijnej. Widziała to w mitach, to w rytuałach pierwszą daną, której druga była jedynie odbiciem. Wskutek kolejnych porażek etnologowie zaniechali zadawania sobie pytań co do natury i podobieństw instytucji religijnych”. Tamże, s. 83. René Girard wskazał zależność pomiędzy rytuałem a mitem: „Rytuały najdziksze ukazują nam nieuporządkowany tłum, w którym narasta stopniowo niechęć do ofiary i który w końcu się na nią rzuca. Mit opowiada nam historię o groźnym bogu, który ocalał wiernych poprzez jakąś ofiarę lub własną śmierć, sprowadzając jednak przedtem społeczny nieład. Wierni owych kultów twierdzą zgodnie, że w rytuałach odtwarzają to, co działo się w mitach, zaś my nie rozumiemy sensu tego, co mówią, bowiem w rytuałach widzimy rozprzężony tłum krzywdzący ofiarę. Natomiast mity mówią nam o wszechmocnym bogu panującym nad wspólnotą. Nie rozumiemy, że w obu wypadkach idzie o tę samą osobę, ponieważ nie zdołaliśmy pojąć prześladowczych zniekształceń, wystarczająco silnych, aby sakralizować ofiarę”. Tamże, s. 84. Etnologowie „Nie pojmują, iż jeden i ten sam epizod kolektywnego gwałtu będzie znacznie bardziej przypominał to, czym rzeczywiście był, w rytuale niż w micie. W rytuałach wierni będą w istocie odtwarzać akty kolektywnego gwałtu swoich przodków, będą naśladować ów gwałt, natomiast przedstawienie, które sobie prokurują z tego, co się dzieje, nie wpływa na ich zachowanie”. Tamże, s. 85.
- 28 Tamże, s. 267-268.

HENRYK DOMAŃSKI

# ZMIANY STRUKTURALNE A WYNIKI WYBORÓW

Wynik wyborów parlamentarnych z października 2015 roku postawił kwestię walki politycznej w centrum uwagi. Bardziej niż w przeszłości. Rzecz jasna, nie dotyczy to całego społeczeństwa polskiego. Nie powoduje, że, powiedzmy, osoby interesujące się polityką żyją w większym stopniu sprawami Trybunału Konstytucyjnego i zachowaniem posłów na sali sejmowej, niż problemami związanymi z pracą zawodową i sprawami rodziny. Niemniej, utrzymujący się stan podwyższonego konfliktu rzutuje w jakimś stopniu na zachowania i strategie życiowe. Tak więc, gdy zastanawiamy się nad kierunkami zmian w Polsce, gdy próbujemy uchwycić stojące za nimi prawidłowości i formułujemy prognozy, warto przeanalizować mechanizmy nasilenia się tego konfliktu.

Pytanie jest następujące: czy zjawiska te są konsekwencją zmian dokonujących się w strukturze społecznej? A więc, czy ludzie popierając PiS, a odmawiając poparcia PO, zareagowali na zmiany, które się musiały dokonać, albo mówiąc dokładniej – które w niewielkim stopniu zależą od woli jednostek? Można by do nich, przykładowo, zaliczyć wzrost nierówności społecznych lub formowanie się elit. Zjawiska te podporządkowane są określonej logice, której trudno zapobiec. Trudniej jest bowiem doprowadzić do wykreowania klasy wielkich kapitalistów niż pójść do lokalu wyborczego, żeby zagłosować na partię opozycyjne w celu wymiany starego obozu rządzącego na nowy.

Spójrzmy na kształtowanie się struktury społecznej całościowo. Najważniejszymi ogniwami tego procesu są: nierówności edukacyjne, ruchliwość międzypokoleniowa (lub dziedziczenie pozycji rodziców), wpływ wykształcenia na lokowanie się w hierarchii społeczno-zawodowej i kształtowanie się nierówności dochodów. Wymienione zjawiska decydują o otwartości struktury społecznej, barierach awansu, poziomie stopy życiowej i możliwościach konsumpcji. Na nich więc się skoncentruję, żeby następnie przejść do rozważenia zmian w sferze świadomościowej.

## Oddziaływanie zmian w strukturze społecznej

Z badań prowadzonych w latach 1988-2015 wynika, że w okresie tym ponad dwukrotnie zmniejszył się w Polsce odsetek rolników (z 21-23 do 8 proc.) i robotników (w przypadku robotników wykwalifikowanych z 26 do 15 proc.). Z drugiej strony, zwiększyła się liczba prywatnych przedsiębiorców poza rolnictwem (z 3 do 7-9 proc.), a najbardziej – kategoria szeregowych pracowników handlu i usług, obejmująca teraz około 15 proc. ogółu dorosłych Polaków. Można na tej podstawie sformułować ogólniejszy wniosek, że kształtowanie się struktur rynkowych było czynnikiem sprzyjającym przechodze-

niu od społeczeństwa zamkniętego (z epoki komunistycznej) do społeczeństwa klasy średniej. Pociągało za sobą zmiany statystycznego rozkładu podstawowych segmentów stratyfikacji społecznej. Struktura społeczna przesunęła się w „górze”, upodabniając styl życia Polaków do społeczeństw zachodnich, co mogło się w jakimś stopniu przyczynić do wzrostu tolerancji obyczajowej, liberalizmu i demokratyzacji. Świadectwem tego może być wzrost popierania aborcji i wyjątkowo silne poparcie społeczne dla członkostwa Polski w Unii Europejskiej, a zatem otwieranie się na kulturę zachodnią.

Jednak dla rozumienia źródeł obecnego konfliktu istotniejsze są zmiany w mechanizmach nierówności społecznych. Największy sprzeciw wzbudzają nierówności edukacyjne i rozwarstwienie dochodów. Podłożem nierówności edukacyjnych jest wpływ pochodzenia społecznego na pokonywanie kolejnych progów selekcji – w postaci szans przechodzenia ze szkół podstawowych (gimnazjów) do szkół średnich, ze średnich do ponad-średnich i wyższych, itd. Otóż w Polsce siła tej zależności utrzymuje się na mniej więcej stałym poziomie.

Największe szanse awansu edukacyjnego mają osoby pochodzące z rodzin o wyższym statusie, dzieci specjalistów i inteligencji. Były one zawsze nadreprezentowane na wyższych szczeblach kształcenia w porównaniu z dziećmi robotników, a zwłaszcza rolników, uczęszczały do lepszych szkół i do bardziej prestiżowych uczelni. Nie uległo to zmianie od 1990 roku, mimo postępującego wzrostu liczby absolwentów szkół wyższych – odsetek osób z wyższym wykształceniem zwiększył się w latach 1988-2015 z 7 do 20 proc.

Wydaje się mało prawdopodobne, żeby utrzymywanie się nierówności edukacyjnych miało wpływ na wyniki wyborów. Po pierwsze, było tak zawsze, więc niby dla czego utrzymywanie się wpływu barier pochodzeniowych miało w 2015 roku zadziałać na opinię publiczną. Po drugie, na utrzymywanie się tej zależności wskazuje się w większości krajów, w których te badania prowadzono, stąd też odnotowany dla Polski wpływ statusu społecznego rodziny na bariery selekcji szkolnej nie odbiega od normy. Przede wszystkim zaś nierówności edukacyjnych nie widać. Mechanizm ten nie funkcjonuje w świadomości społecznej. Jest to raczej hasło wyborcze rzucane przez polityków i rozpowszechniane przez media.

Obiektywnie rzecz biorąc, nie stwierdzono również większych zmian pod względem nierówności dochodów. Nie dokonał się wzrost rozwarstwienia między wyższą klasą średnią a klasami niższymi. Brak jednokierunkowych tendencji powinien osłabić potencjalny wpływ tego czynnika na preferencje wyborcze, ale mogło być również odwrotnie. Po pierwsze, sprawy położenia ma-

terialnego są najbardziej odczuwalne, drażliwe, a poza tym są one najbardziej wymiernym wskaźnikiem standardu życiowego i możliwości konsumpcji. Przekonanie o zwiększeniu się nierówności dochodów wzrosło w latach 1992-2015 z 72 do 93 proc. Po drugie, dla polityków jest to instrument walki z przeciwnikami, który warto nagłaśniać, co potęguje emocje i przemawia do serca wyborców. Po trzecie, pewien wpływ na ocenianie klasy rządzącej pod kątem walki z nierównościami miało wyłonienie się kategorii ludzi zamożnych i elity biznesu. Klóci się to z egalitaryzmem Polaków, podobnie jak ostentacyjna konsumpcja i widoczne oznaki bogactwa.

Równocześnie, łatwiejsza do uchwycenia niż kiedyś jest kategoria ludzi ubogich. Chociaż należy podkreślić, że pod względem kontrastów społecznych, które są uniwersalnym zjawiskiem, nie jesteśmy ewenementem w porównaniu z innymi krajami. Po czwarte, czynnikiem sprzyjającym oddziaływaniu nierówności na sympatie wyborcze może być uwydatnienie tego problemu przez obecny obóz rządzący. Prawo i Sprawiedliwość konsekwentnie podkreślało fakt występowania w Polsce podziałów klasowych. Przybierają one formę polaryzacji, gdzie po jednej stronie, sytuuje się establishment, który czerpie korzyści z wyzysku, po drugiej – społeczeństwo, które należy obronić. Żaden poprzedni rząd tak tego nie robił. PiS traktuje nierówności jako instrument w walce z partiami opozycyjnymi. Pozwala mu to uzasadnić swoje decyzje i przekonywać wyborców do reform.

Zgodnie z teorią socjologiczną, podstawą demokracji jest równość szans. Wskaźnikiem tego zjawiska jest wysoka ruchliwość międzypokoleniowa, co oznacza, że o możliwościach awansu nie decyduje pochodzenie społeczne, ale kwalifikacje, talent i inne cechy jednostek. Z badań wynika, że wzrost ruchliwości sprzyja rozwojowi gospodarczemu, obsadzaniu pozycji zawodowych zgodnie z kwalifikacjami i motywuje do przedsiębiorczości. Jest to również czynnik legitymizacji systemu politycznego, a w szczególności zwiększa poparcie dla rządu, ponieważ zasada równości szans jest akceptowana przez ogół. Otóż z analiz prowadzonych w odniesieniu do Polski w latach 1982-2013 wynika, że ruchliwość międzypokoleniowa uległa pewnemu zwiększeniu. Dokonał się również pewien wzrost otwartości mierzonej osłabieniem siły barier blokujących możliwości zawierania związków małżeńskich między inteligencją, robotnikami, rolnikami i właścicielami poza rolnictwem.<sup>1</sup> Mogło się to w jakimś stopniu przekładać na stwierdzone, w większości badań, tendencje do poprawy zadowolenia z życia, pozytywnej oceny poziomu materialnego i możliwości konsumpcji. Spadek dziedziczenia pozycji społecznej powinien znaleźć odzwierciedlenie w kolejnym sukcesie wyborczym PO, ale tak się nie stało. Być może zmniejszenie się siły barier międzypokoleniowych było zbyt małe, żeby ludzie je mogli uchwycić. Innym powodem mogą być negatywne aspekty wychodzenia z własnych środowisk i trudności w akulturacji do nowych. Związane z tym napięcia i stresy mogły neutralizować pozytywne aspekty zmniejszania się dystansów społecznych.

Ujmując rzecz całościowo, bardziej realny wpływ na decyzje wyborcze, powinno mieć inne zjawisko, a mianowicie obniżenie się wpływu wykształcenia na obsadza-

nie pozycji społecznych. Chodzi o malejącą siłę kapitału edukacyjnego jako kanału rekrutacji do stanowisk i ról zawodowych. Problem jest ważny, ponieważ w systemach opierających się na regułach merytokracji poziom wykształcenia jest kluczowym wyznacznikiem kariery i możliwości awansu. Tymczasem od początku lat 90. siła tej zależności systematycznie się zmniejsza. Uzyskanie dyplomu wyższej uczelni zapewnia coraz mniej szans dostępu do wysokich stanowisk, podważając tym wiarę w zasadę merytokracji, czyli wynagradzania ludzi proporcjonalnie do zasług.

Nie byłoby z tym większego problemu, gdyby obniżenie się tej zależności miało charakter przejściowy. Pierwsze oznaki tego procesu pojawiły się w Stanach Zjednoczonych w latach 1970. – interpretowano to wtedy jako cykliczne wahnięcia wynikające z nadprodukcji absolwentów wyższych uczelni<sup>2</sup>. Z nowszych badań wynika, że prawdopodobnie jednak zjawisko to stało się nieodłącznym elementem funkcjonowania współczesnych społeczeństw rynkowych. Występowanie go odnotowano m.in. w Wielkiej Brytanii. Według najbardziej rozpowszechnionej interpretacji, malejący wpływ wykształcenia na obsadzanie pozycji związany jest z ekspansją edukacyjną, która prowadzi do obniżenia wartości rynkowej dyplomów wyższych uczelni. Z kolei, według *structural lag-theory*, która jest pewnym wariantem teorii „ekspansji”, mamy do czynienia z efektem przyspieszonego rozwoju. Efektem skokowego przyrostu wyższego wykształcenia (czego przykładem jest Polska) może być jego dywersyfikacja, tzn. zróżnicowanie pod względem jakości na szkoły lepsze i gorsze. Powoduje do „niedostosowanie” młodszych roczników do istniejących ról zawodowych – różne rodzaje wykształcenia są niedostosowane do potrzeb.

Odnosząc te wyjaśnienia do Polski można by sformułować hipotezę, że obniżenie się ceny rynkowej wykształcenia jest źródłem napięć społecznych. Na ogół ludzie traktują wykształcenie jako inwestycję, która powinna się zwrócić. Dobrze jest, jeżeli się zwraca. Niedobrze, gdy oczekiwania te zderzają się z możliwościami ich realizacji. Taki stan rzeczy sprzyja negatywnemu stosunkowi do systemu politycznego i klasy rządzącej. Co do perspektyw, to kategoria ludzi zawiedzionych powinna się zwiększać w miarę jak wzrasta liczba absolwentów szkół wyższych. Nie przedstawię empirycznych dowodów, że związane z tym (jak zakładam) frustracje i stresy przerodziły się w przegraną wyborczą PO, chociaż nie można tej możliwości wykluczyć. Byłby to niezawiniony skutek dynamiki mechanizmów rynkowych, której trudno zapobiec.

## Prestiż społeczny

Jak wykazywał Max Weber, a potwierdzają to m.in. wyniki badań dla Polski, nierówności prestiżu są niezależnym wymiarem stratyfikacji społecznej.<sup>3</sup> Zanim przejdę do rozważenia wpływu tego czynnika na zachowania polityczne i strategie życiowe, należy je zdefiniować. Prestiż jest zjawiskiem świadomościowym – kształtuje się na podstawie oceniania ludzi ze względu na posiadanie przez nich różnych cech, wykonywanie ról i zaj-

1 Wynika to z analiz nad ruchliwością międzypokoleniową i nad wzorami zawierania małżeństw, prowadzonych przeze mnie na danych ogólnopolskich w latach 1982-2015.

2 Featherman D. L. i R.M. Hauser, 1978, *Opportunity and Change*. New York: Academic.

3 Chodzi tu o badania, które przedstawiłem w książce *Prestiż* z 2002 roku.



owanie pozycji. Chodzi zarówno o cechy osobiste, np. uczciwość, jak i cechy związane z zajmowanymi pozycjami społecznymi, np. z wykonywanym zawodem. Oceniane są: poziom wykształcenia, zamożność, spędzanie wolnego czasu, władza i inne wartości. Zabieganie o oznaki prestiżu wynika z uniwersalnej potrzeby uzyskiwania szacunku. Chodzi tu również o legitymizację zachowań, stanowisk i postaw – ze strony krewnych znajomych i społeczeństwa jako całości. Uogólniając, powiem, że znaczenie prestiżu bierze się z potrzeby posiadania norm, które porządkują systemy społeczne i umożliwiają ich funkcjonowanie.

Jeżeli w społeczeństwach stanowych, prestiż szlachty był normą wymuszoną przez prawo, to w systemie kapitalistycznym trzeba o niego zabiegać. Wyjaśnijmy, dlaczego? Ludziom zawsze zależało na podkreśleniu własnej wyjątkowości i wyższości społecznej. Jednak podczas gdy prestiż szlachty opierał się na monopolizowaniu symboli wyższości (pański ubiór, wykwintne maniery), to kultura masowa działa na rzecz przejmowania tych symboli przez członków klas niższych. Nie dokonuje się to z dnia na dzień, ale w dłuższej perspektywie czasowej. Faktem jest, że w systemie demokratycznym nie można ludziom zabronić naśladowania kategorii o wyższym statusie społecznym, jeżeli kogoś stać na to.

Widać, jakie są mankamenty demokracji (feudalizm miał jednak pewne zalety). Wzrost otwartości prowadzi do uniformizacji – próbujemy tego unikać. Ludzie rywalizują o oznaki prestiżu w rodzinie, pracy i na forum publicznym – zaczynając od najwyższych pięt drabiny społecznej. Na szczycie hierarchii społecznej walczą o prestiż politycy i elita biznesu, nieco poniżej lokują się w tym rankingu celebryci i twórcy kultury. Popularną metodą jest udzielanie się w modnym towarzystwie, bywanie na imprezach, uroczystościach, galach, wernisażach, festiwalach, wystawach i pokazach mody. Szczególny ton nadają celebryci, która to kategoria jest typowym produktem kultury masowej. Celebrytami są przedstawiciele różnych zawodów, chociaż głównie reprezentanci szeroko rozumianej kultury: znani aktorzy, piosenkarze, artyści plastycy, reprezentanci innych dziedzin sztuki, sportowcy, dziennikarze, literaci, filmowcy, prezenterzy TV, przy czym niektórzy z nich wykonują kilka tych ról naraz. Celebrytów pokazuje się w telewizji, zaprasza do radia, występują oni na okładkach czasopism.

Powstaje pytanie, jak oddziałuje to na strukturę społeczną. Można to zilustrować na przykładzie Stanów Zjednoczonych, gdzie starano się te zależności uchwycić. W opinii C.W. Millsa przełomowe znaczenie dla rywalizacji o prestiż miał wzrost prosperity w latach 1940. Po II wojnie światowej gospodarka amerykańska zaczęła się szybko rozwijać. Wzrost stopy życiowej doprowadził, jego zdaniem, do ujednoczenia stylu życia i wzorów konsumpcji. W społeczeństwie masowym zrodziło to poczucie zagrożenia atomizacją, a w konsekwencji pojawiło się zjawisko, które Mills określił mianem „paniki prestiżu”. Klasa średnia stanęła pod presją ideologii sukcesu, którego oznakami miały być awans zawodowy, bogacenie się i zamożność.<sup>4</sup> Prestiż stał się cenioną wartością, testem na dostosowanie się do wolnej konkurencji i potwierdzeniem sukcesów życiowych. Pojawiało się coraz więcej ofert, które rozszerzyły pole rywalizacji

na wiele aspektów. Negatywną konsekwencją paniki prestiżu w skali makrosocjalnej była trywializacja ambicji ekonomicznych, ucieczka od polityki i oderwanie się od problemów związanych z nierównościami.

Przejdźmy do społeczeństwa polskiego. Należałoby stwierdzić, że weszło ono na tory rywalizacji o prestiż w latach 90. W systemie komunistycznym możliwości konsumpcji były ograniczone, nie wypadało się chwalić zamożnością, a władza kontrolowała życie publiczne. Obecnie ludzie zabiegają o prestiż dla przyjemności, poprawy samopoczucia i podniesienia statusu. Cytowane powyżej badania wskazują, że można go również uzyskiwać z tytułu bogactwa, chociaż ważniejszymi atrybutami są zdolności, posiadanie wyższego wykształcenia i talent. Nakłada się na to prestiż osobisty. Ludzie obdarzani są estymą społeczną za uczciwość, pracowitość i skłonność do niesienia pomocy. Strategią pozyskiwania prestiżu jest ostentacyjna konsumpcja. W poprzednim systemie należało tego unikać.

Nic nie wskazuje, żeby wystąpiły negatywne konsekwencje uniformizacji w postaci „paniki prestiżu”, a w szczególności żeby rzutowało to na postawy wyborcze. Panika prestiżu jest reakcją na szybki wzrost zamożności. Właśnie z tego bierze się dążenie do uzyskiwania szacunku. Wyodrębnienie się od ludzi podobnych ze względu na położenie społeczne jest sposobem na podniesienie samooceny, udowadnianie swej użyteczności, przekonywanie o tym sobie i innych. Otóż Polacy nie dorównują pod względem zamożności mieszkańcom krajów zachodnich. Nie żyjemy pod presją atomizacji w takim stopniu jak Brytyjczycy czy Niemcy. W dalszym ciągu ważniejsze od zagrożenia atomizacją są potrzeby materialno-bytowe.

Podsumowując, panika prestiżu wydaje się co najwyżej kwestią przyszłości. Z punktu widzenia konfliktu politycznego ważniejsze znaczenie ma strategia partii rządzącej. Prawo i Sprawiedliwość od początku zapowiadało, że jego celem jest walka o podniesienie prestiżu klas niższych, ludzi ubogich, a ogólnie – niedostosowanych do systemu wykreowanego przez III RP.

Należy przyznać, że obniżenie się prestiżu klasy robotniczej było jedną z konsekwencji upadku systemu komunistycznego i formowania się struktur rynkowych. Robotnicy wykwalifikowani w Polsce komunistycznej sytuowali się na znacznie wyższych pozycjach w hierarchii prestiżu zawodów w porównaniu do krajów zachodnich. Odzyskanie prestiżu przez ludzi pokrzywdzonych przez system rynkowy stało się w ręku tej partii ideologicznym instrumentem w rozgrywkach o władzę, co podtrzymuje (jak sądzę) podział na jej zwolenników i wrogów.

Wróćmy do problemu sformułowanego na wstępie: czy mechanizmy stratyfikacyjne oddziałują na preferencje polityczne niezależnie od konkretnych wydarzeń i woli jednostek. Otóż stratyfikacja prestiżu może być łatwiej sterowana przez polityków niż nierówności edukacyjne, bariery ruchliwości międzypokoleniowej czy dziedziczne pozycje. Można powiedzieć, że sukcesy wyborcze Prawa i Sprawiedliwości były wypadkową uwarunkowań zewnętrznych, decyzji polityków i wydarzeń losowych. Utrzymanie władzy przez PiS zależy od właściwego rozłożenia tych wszystkich akcentów. Trzeba przyznać, że jest to wniosek ogólnikowy, a przez to mało skuteczny.

<sup>4</sup> Mills C.W., *Białe kolnierzyki. Amerykańskie klasy średnie*, Warszawa 1965, Książka i Wiedza.

TOMASZ GOBAN-KLAS

# JAKOŚĆ I BYLEJAKOŚĆ W SFERZE PUBLICZNEJ

„Pojęcie przestrzeni publicznej jest w centrum partycypacyjnego podejścia do demokracji. Sfera publiczna jest areną, gdzie obywatele spotykają się, wymieniają opinie dotyczące spraw publicznych, dyskutują, deliberują, a w rezultacie tworzą opinię publiczną. Ta arena może być specyficznym miejscem, gdzie zbierają mieszkańcy (na przykład wysłuchanie publiczne), ale może to być także – i współcześnie zwykle jest – infrastruktura komunikacyjna, dzięki której obywatele przekazują i odbierają informacje i opinie. **Sfera publiczna jest kluczowym elementem dobrego zarządzania, *governance*.** Bez funkcjonującej i demokratycznej sfery publicznej urzędnicy nie mogą być pociągnięci do odpowiedzialności za swoje czyny, a obywatele nie będą mogli wywierać wpływu na decyzje polityczne”<sup>1</sup>.

To nie są słowa wzięte z rozprawy politologicznej, socjologicznej czy medioznawczej, nie są też wzięte od którejś z niezliczonych NGO, organizacji pozarządowych, choć mogłyby być. Zapożyczyłem je z dokumentu Banku Światowego poświęconego jakości **good governance**, pod tytułem *Public Opinion, the Public Sphere, and Quality of Governance: An Exploration*, liczącego – bagatelka – 551 stron! Twierdzi się w nim, że siła opinii publicznej jest zasadniczym czynnikiem (*critical factor*) zapewnienia *good governance*. Dodam, że nie jest nim siła władzy suwerennej, bo nie jest ona ani wszechwiedząca, ani nieomylna, a nawet nie jest wszechmocna. Nie jest też taką opinią publiczną *per se*, daleko jej od tych cech, lecz tylko w toku procesu konsultacji i deliberacji lepsza jakość *governance* może zostać osiągnięta.

Opinia publiczna oczywiście istnieje, ale jest wypaczona przez fałszywe informacje, błędne podsuwane w wielkiej liczbie i skali oceny, zanik autorytetów na rzecz celebrytów znanych tylko z tego, że są znani. Dlatego nie jest słuszne fetyszycowanie opinii publicznej w sensie kolektywnym – jako stanowiska obywateli, ani w sensie dystrybucyjnym – jako agregatu opinii poszczególnych osób<sup>2</sup>.

**Demokratyczna, narodowa sfera publiczna opierać się musi na następujących filarach:**

- 1 <http://siteresources.worldbank.org/EXTGOVACC/Resources/PubSphereweb.pdf>
- 2 Vox populi, vox Dei - ta popularna sentencja, zwykle cytowana aprobatywnie, nie była taką pierwotnie. Wyrażenie „Vox populi, vox Dei”, które symbolizuje apoteozę władzy opinii publicznej w państwie, znalazło się pierwotnie w liście Alkuina, anglosaskiego teologa i filozofa, do Karola Wielkiego i miało w nim zupełnie inne znaczenie. Lud nie jest tutaj „głosem Boga”, lecz synonimem pospolitego tłum, którego sądom nie należy ufać; czyli: „Lud winno się prowadzić zgodnie z Bożymi normami, a nie kroczyć jego śladami; a na świadków wybierać raczej osoby szczególnie uczciwe. Nie trzeba też łatwo dawać posłuchu temu, kto mówi „Głos ludu - głosem Boga”, gdyż zamieszki państwa zawsze bliskie są głupocie” (tłum. K. Klauza). Zob. Robert Szwed, *Reprezentacje opinii publicznej w dyskursie publicznym*, Wydawnictwo KUL, Lublin 2011, przypis 17.

- zagwarantowanych konstytucyjnie wolnościach obywatelskich, w szczególności wolności wypowiedzi, opinii i zebrań;
- wolnym, bez cenzury, systemie medialnym, pluralistycznym, niezależnym od kontroli państwowej (w tym istotne jest też istnienie niezależnych nadawców publicznych na wzór BBC);
- dostępie do informacji oficjalnych (czyli wolność ustawodawstwa informacyjnego i kultura jawności i otwartości);
- kulturze politycznej swobodnej publicznej debaty oraz dyskusji na temat kwestii będących przedmiotem wspólnego zainteresowania;
- równym dostępie do sfery publicznej dla różnych głosów, mających coś do powiedzenia, zwłaszcza ochrona praw wypowiedzi i działania mniejszości.

Uczestnicy demokratycznej sfery publicznej obejmują obywateli, osoby mieszkające w danym kraju, państwo i jego organy, agendy zagraniczne (przez dyplomację publiczną, inicjatywy międzynarodowe), instytucje biznesowe z misją odpowiedzialności społecznej, ruchy społeczne oraz wszelkie inne organizacje społeczeństwa obywatelskiego<sup>3</sup>.

Demokratyczna sfera publiczna jest powiązana z następującymi zasadami:

- odwoływanie się do racjonalnych argumentów w wysuwaniu preferencji politycznych (Kant 1784);
- otwartość wobec argumentów racjonalnych (jakkolwiek ludzie zawsze będą używać też argumentów emocjonalnych);
- respektowanie faktów i dowodów w debacie publicznej;
- zdolność do kompromisów;
- prawo do odpowiedzi medialnej i inne zasady sprawiedliwej debaty publicznej;
- zasady społecznie odpowiedzialnych mediów, takie jak prawdomówność, rzetelność, dokładność i obiektywizm<sup>4</sup>.

Kluczowe dla demokratycznej sfery publicznej są media masowe (włączając tu internet), jakkolwiek nie są one jedynym jej konstytutywnym elementem, a nawet nie były historycznie najważniejsze. Niemniej, jak to wykazał już Jürgen Habermas w swym przełomowym studium *Strukturalne przeobrażenia sfery publicznej*<sup>5</sup> są one dzisiaj zasadnicze dla sprawnego funkcjonowania sfery publicznej.

- 3 Sina Odugbemi, *Public Opinion, the Public Sphere, and Quality of Governance: An Exploration*, World Bank, 2008, str. 30 <http://siteresources.worldbank.org/EXTGOVACC/Resources/PubSphereweb.pdf> World Bank, str. 29.
- 4 Denis McQuail, *Teoria komunikowania masowego*, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa
- 5 Jürgen Habermas, *Strukturalne przeobrażenia sfery publicznej*, przeł. Wanda Lipnik, Małgorzata Łukasiewicz, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 2007.

Już wielcy ojcowie-założyciele Stanów Zjednoczonych doceniali rolę mediów w demokracji: Thomas Jefferson: „Gdyby ode mnie zależało zdecydowanie, czy lepiej jest mieć rząd bez prasy informacyjnej, czy prasę bez rządu, nie wahałbym się opowiedzieć za drugą ewentualnością”<sup>6</sup>. Jednak już wówczas był krytyczny wobec jej niskiej jakości: „Człowiek, który nic nie czyta, jest bardziej oświecony niż człowiek, który nie czyta nic, poza gazetami”.

A więc jakość sfery publicznej to w pierwszym rzędzie jakość systemu medialnego, w tym najważniejszego – nadal masowego: prasy, radia, telewizji. Na ten temat mówiłem już w 2009 roku na konferencji prof. Tadeusza Wawaka o jakości w zarządzaniu<sup>7</sup>, przedstawiając projekty polepszania jakości informacyjnych produktów medialnych, w tym prasy informacyjnej.

Był to przystawiony głos wołającego na puszczy. Jakość mediów ogólnie się nie poprawia, raczej pogarsza, choć zdarzają się chwalebne wyjątki. Kanały komunikacji społecznej są zamulane przez trywialne wiadomości, bzdurne opinie, emocje, a nie argumenty. Media stały się lichym pomocnikiem w kształtowaniu obywatelskości. W tym względzie panuje zgoda nie tyle samej opinii publicznej, co innej formy opinii – *opinio communis*, czyli opinii ludzi kompetentnych. Nawet niektórzy odbiorcy mediów odrzucają dezinformacyjną rolę dziennikarstwa stabilizowanego i takiejże informacji. Oto wpis na blogu jednego z oświeconej mniejszości:

**Czytam i wiem, że nic nie wiem**

*Wiem, że Ewa Farna tyje, ale nie wiem, kto rządzi Chinami.*

*Wiem, że nowy iPhone jest dłuższy niż stary, a nie wiem, kto rządzi Chinami.*

*Wiem, że Depardieu został obywatelem Rosji, a nie wiem, kto rządzi Chinami.*

*Wiem, że jak wygląda Marta Grycan, a nie wiem, kto rządzi Chinami.*

*Wiem, że Krzysztof Ibisz napisał książkę, a nie wiem, kto rządzi Chinami.*

*Wiem, że dziewczyna Lewandowskiego trenuje karate, a nie wiem, kto rządzi Chinami.*

*To długa lista. Nie wiem też, kto rządzi Brazylią, Indiami, Iranem, czy Australią. Oglupiali mnie długo i – o zgrozo – skutecznie.*

*Jestem idiotą!*<sup>8</sup>

Można uznać, że jest to trafne rozumienie przemian we współczesnym dziennikarstwie. Nie ma w nim czasu na głębsze myślenie i analizę zjawisk, więc pierwszeństwo ma zawsze to, co hałaśliwe i emocjonalne. Refleksja i analiza nie wchodzi w rachubę. Znakomicie rozwinął temat dziennikarstwa w epoce nowych mediów red. Michał Olszewski w powieści *#Upa!* (Znak, Kraków 2016) ukazującej gorączkę pracy redakcyjnej w internetowym portalu gazetowym.

Dwa lata temu pisałem o dokonującej się „twórczej destrukcji dziennikarstwa” odwołując się do koncepcji Schumpetera radykalnej zmiany pod wpływem nowych technik i wynalazków (*Twórcza destrukcja dziennikar-*

*stwa: od zwartej do rozproszonej postaci*, w: *Zawód dziennikarza wobec współczesnych wyzwań*, red. Tadeusz Kononiuk, Ksenia Kakareko, Aspra, Warszawa 2016). Wskazywałem wówczas, iż dobitym przykładem takiej konstruktywnej destrukcji będzie zmiana charakteru i czytelnictwa „The New York Times”, ikony prestiżowego i poważnego dziennikarstwa, wersyfikacji źródeł, lektur elit politycznych i intelektualnych. Nastąpi jego destrukcja, gdy pewnego dnia wykupi go np. Google, tak jak to się już stało z ikoną dziennikarstwa śledczego „The Washington Post” wykupionego przez Amazon, firmę handlową. „Post” odnotowuje coraz częściej kompromitujące wpadki rzetelności dziennikarskiej, zwanych dzisiaj post-prawdą, powodowane szukaniem sensacji za wszelką cenę dla zwiększenia tzw. klikalności.

Problemem zatem dzisiaj nie jest wolność mediów, bo nowe technologie niejako nam ją dają, ale jakość mediów, tzn. jakość tzw. kontentu. Upadek mediów jakościowych, w tym publicznych, przekształconych u nas w tzw. narodowe, a w istocie partyjno-ideologiczne, oznacza upadek sfery publicznej przez pozbawienie jej dopływu dobrze i profesjonalnie selekcionowanych przez profesjonalnych i niezależnych od władz i kapitału dziennikarzy istotnych obywatelsko treści. Zamiast forum, mamy co najwyżej Hyde Park, harmider opinii, fajków i post-prawd, gdzie żadne głosy autorytetów ze swoich dziedzin przebić się nie mogą.

Susan Jacoby w artykule *The Dumbing Down of America (Oglupianie Ameryki)*<sup>9</sup> tłumaczy, jak internet ogłupił ludzi, odbierając im zdolność do skoncentrowania uwagi na czymkolwiek dłuższym i bardziej wymagającym niż wideo o chrapiącej pandzie. I jak wyniósł na piedestał jednostkę, tworząc kulturę wszechmocnego ja, które nie musi się oglądać na establishment, hierarchię czy tradycyjne struktury, aby zaistnieć. Jeśli w Ameryce gadających godzinami o niczym vlogerów na YouTube oglądają setki tysięcy widzów, a na status „pierwszej rodziny” zasłużyła zdaniami magazynu „People” rodzina Kardashianów, która funkcjonuje w przestrzeni publicznej tylko dlatego, że wystawiła swoje życie prywatne na widok milionów widzów, to czemu prezydentem nie miałby zostać biznesmen, fan *wrestlingu* i gwiazda *reality show*?

Wiele do poprawienia w działaniach na rzecz jakości sfery publicznej mają politycy. Przede wszystkim dlatego, że dzisiaj nie są tylko działaczami politycznymi, ale także, a niekiedy przede wszystkim pierwszoplanowymi aktorami (niekiedy określanymi jako celebryci polityczni) sceny medialno-publicznej. Przewijają się od rana do wieczora w studiach radiowych i telewizyjnych, udzielają wywiadów prasie, radiu i telewizji, twitują. Jednak częściej psują sferę publiczną, niż polepszają.

**Wymiary bylejakości sfery publicznej**

Na bylejakość medialnej sfery publicznej, bo do niej ograniczę dalsze wywody, składa się wiele elementów, czynników, zaniedbań. Tutaj wskażę tylko cztery wymiary czy rodzaje:

**Matematyka.** Do tej kategorii zaliczam zastępowanie rzetelnych obliczeń, w tym i porządnej statystyki, epatowaniem liczbami, żonglowaniem danymi, tworzeniem grafik, tablic.

6 Źródło: list Tomasza Jeffersona do Edwarda Carringtona, cyt. za: Zofia Libiszowska, *Tomasz Jefferson*, Ossolineum, Wrocław 1984, s. 155.

7 Tadeusz Wawak (red), *Komunikacja i jakość w zarządzaniu*, Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego, tom 2, s. 555-568

8 Krzysztof Stanowski, <http://weszlo.com/2013/01/04/oglupialimnie-dlugo-i-o-zgrozo-skutecznie-jestem-idiot/>

9 <http://www.washingtonpost.com/wp-dyn/content/article/2008/02/15/AR2008021502901.html>



Dostrzegał już ten niecny proceder Mark Twain pisząc „Są trzy rodzaje kłamstw: kłamstwa, bezczelne kłamstwa i statystyki”. I tak działa marketing handlowy, gdzie 499 złotych jest dużo mniejsze niż 500 złotych, analogicznie – choć odwrotnie – w marketingu politycznym 500 złotych to dużo więcej niż 499 złotych.

**Logika** to druga kategoria. Miejsce racjonalnego rozumowania oparte go choćby na starożytnych poprawnych sylogizmach, zastępuje się niepoprawnym perorowaniem, ułomnymi sylogizmami, błędami logicznymi, itd. Na wołowej skórze nie da się spisać tych pospolitych ułomności, przyjmowanych z dobrodziejstwem inwentarza. Interesująco przedstawia je *Przybownik filozofa. Kompendium metod i pojęć filozoficznych* Juliana Bagini i Petera S. Fosta (rozdział *Podstawowe narzędzia argumentacji*)<sup>10</sup>.

**Retoryka**, choć już wprowadza element emocjonalny w przekonywaniu, może też przybierać formę wypaczoną, jak w takim przykładzie:

„Ponad 251 tysięcy – tyle ludzi umiera każdego roku w Stanach Zjednoczonych w wyniku błędów lekarskich. To więcej niż z powodu zawałów serca czy wypadków drogowych. Najczęstsze błędy to niewłaściwa diagnoza, niewłaściwe dawki leków i błędy podczas zabiegów. Wstrząsające dane opublikowali naukowcy z John Hopkins University” – informował materiał programu *24 godziny*<sup>11</sup>.

Wrzucanie do jednej kategorii zgonów w tak różnych okolicznościach (zabiegi, diagnoza, leki) zakłada co najmniej przesłankę możliwej bezbłędnej i skutecznej diagnozy i terapii w niemal każdym z miliardów działań medycznych. Ale dane są wstrząsające, więją grozą i wzbudzają obawę przed wizytą lekarską, skoro może ona okazać się potencjalnie tak śmiertelna.

Czwarta kategoria to **sposób prowadzenia komunikacji** (rozmowy, dialogu, debaty) na forum publicznym (i na poły publicznym, na przykład w gronie sąsiedzkiem). Z jednej strony wzorem i ideałem jest debata oksfordzka, oparta na solidnej i spokojnej argumentacji, bez żadnych wtrętów *ad homines*, z drugiej erystyczna kłótnia, skierowana nie na rozmówcę, ale na potencjalnych słuchaczy. Jej celem nie jest przekonanie, ale pozyskanie, *per fas et nefas*.

### Bylejakość pracy dziennikarskiej

Analiza pracy dziennikarskiej przynosi codziennie setki przykładów wszelkiego rodzaju ułomności i braków – od ortografii, gramatyki, stylu, do niesprawdzonych źródeł, prostackich morałów, korzystania z tendencyjnych przecieków, jawnej stronniczości, intrygowości, itp.

Pojawienie się informacyjnych kanałów telewizyjnych 24/7, czyli transmitujących wiadomości całą dobę przez 7 dni w tygodniu, utrudnia dbanie o jakość ich serwisów. Analogicznie jest w internecie, gdzie troski o jakość i wartość informacyjną wiadomości nie sposób się dopatrzeć. Nawet jeśli poznajemy tzw. prawdę z tych mediów, to ona nie wyzwala, ale zniewala. Zniewala informacjami trywialnymi, bezwartościowymi. A skoro

jedna wiadomość zaprzecza poprzedniej na ten sam temat, to odbiorca może się i czuje na bieżąco informowany, ale w istocie jest zawirowany biegiem wydarzeń.

Politycy przejęli najgorsze wzory PR-u tabloidnego dziennikarstwa, nakręcając spiralę erystyki. Jednakże w prawdziwie demokratycznym państwie taka bylejaka sfera publiczna jest wręcz zabójcza dla samej demokracji i dla życia społecznego.

Demokratycznym ideałem są obywatele, którzy w sporze politycznym bezstronnie ważą racje rywalizujących stron. To jest dobra idea, ale rzeczywistość skrzeczy.

Znany dziennikarz i reporter, Wojciech Jagielski zapytany: „Czy nie ma pan wrażenia, że przez ostatnie kilkanaście lat media zajmowały się głównie masową produkcją głupoty? I oto mamy tego efekty – odbiorców wychowanych na tej głupocie. Czy można jakoś odwrócić ten proces?” jest sceptyczny: „Wolny rynek wymusił na gazetach, rozgłośniach radiowych i telewizjach, by zajmowały się przede wszystkim zajmowaniem uwagi czytelników, widzów i słuchaczy. Ale czy to uprawnia, by nazwać to zjawisko pielęgnowaniem głupoty na masową skalę? Moim zdaniem to pewien proces i jego skutki uboczne”<sup>12</sup>.

Ale nie mamy wyjścia – nie ma innej drogi do poprawy *governance* ani tym bardziej do *good governance*, aniżeli poprawa funkcjonowania opinii publicznej oraz jej stanu, a to wymaga rozwiniętej demokratycznej sfery publicznej. Problem wygląda zatem na zakłętę koło, mamy takie media, jakich odbiorców, i takich odbiorców, jakie media, a także taką sferę publiczną, jakich odbiorców mediów, a to znaczy jakie społeczeństwo, bo media są odbierane przez wszystkich.

Co gorsze, gdy psuje się sfera publiczna, nie tylko psuje się jakość *governance* na wszystkich szczeblach, ale rodzi się niebezpieczeństwo sięgania po pozakomunikacyjne narzędzia – siłę i przemoc. Przemysław Czapliński wskazuje: „Gdy ludzie tracą zdolność do porozumiewania się, gdy czują, że ich głos nie ma szansy przebiccia się, sięgają po medium ostateczne, przemoc jako narzędzie ekspresji”<sup>13</sup>.

Mocno wyraził to znany hiszpański reporter wojenny, pisarz i dziennikarz, Arturo Pérez-Reverte: „Nie łudź się, by pisanie na murach mogło czemuś służyć. Coraz bardziej zaczynam wierzyć w kałasznikowa, a coraz mniej w spray”<sup>14</sup>.

Niech te słowa będą ostrzeżeniem dla strażników sfery publicznej nie tylko w Polsce, ale obecnie w całej Europie, a może nawet poza nią.

### TOMASZ GOBAN-KLAS

10 Julian Bagini, Peter S. Fost, *Przybownik filozofa. Kompendium metod i pojęć filozoficznych*, pryek.: Danuta Chabrajska, Instytut Wydawniczy PAX, Warszawa 2010.

11 <http://tvn24bis.pl/24-godziny,140,m/ogromna-cena-lekarskich-bledow-co-roku-w-tym-kraju-umiera-251-tysiecy-osob,647104.html>

12 <http://ksiazki.wp.pl/tytul,Wojciech-Jagielski-Dzihadysta-czy-terorysta-nie-zostaje-sie-z-dnia-na-dzien-to-proces,wid,21637,wywiad.html>

13 [http://antymatrix.blog.polityka.pl/2016/05/29/duma-i-wstyd-przemyslaw-czaplinski-w-natarciu/?nocheck=1&sso\\_ticket=Rld5dAJRoGWv2KYazuc3C9Tf19AxiA4z1A-8WO9AZ8Cey-s58Vc4GOB7tW38CDmNGSvOSTKfd4WfiZlpbr\\_6n\\_j2-ij9Msa-drXhLIPUNUk](http://antymatrix.blog.polityka.pl/2016/05/29/duma-i-wstyd-przemyslaw-czaplinski-w-natarciu/?nocheck=1&sso_ticket=Rld5dAJRoGWv2KYazuc3C9Tf19AxiA4z1A-8WO9AZ8Cey-s58Vc4GOB7tW38CDmNGSvOSTKfd4WfiZlpbr_6n_j2-ij9Msa-drXhLIPUNUk)

14 [http://wyborcza.pl/magazyn/1,143555,17567560,Arturo\\_Perez\\_Reverte\\_Nadchodzi\\_nowy\\_swiat\\_Burzy.html](http://wyborcza.pl/magazyn/1,143555,17567560,Arturo_Perez_Reverte_Nadchodzi_nowy_swiat_Burzy.html)

ANDRZEJ KURZ

## PAŹDZIERNIK '56 – PO SZEŚĆDZIESIĘCIU LATACH

Wydarzeniami decydującymi o współczesnym kształcie i perspektywach rozwojowych Polski jako państwa i społeczeństwa były w dziejach najnowszych: odzyskanie, po 123 latach niewoli i kilku latach narodowego wysiłku zbrojnego, niepodległości i suwerenności państwowej w wyniku I wojny światowej; II wojna światowa, jej przebieg i europejskie konsekwencje; przemiany związane z kryzysem stalinizmu i polskim Październikiem '56; rewolucja „Solidarności”, Okrągły Stół i kryzys Związku Radzieckiego; wstąpienie Polski do Unii Europejskiej i do NATO. Czyli procesy i zjawiska o charakterze i znaczeniu międzynarodowym, a także krajowym w ich wzajemnym oddziaływaniu i jedności.

Skoncludujmy zatem: Polska racja stanu, czyli to co decyduje o samym istnieniu państwa i jego znaczeniu dla bezpieczeństwa i dobrostanu polskiego społeczeństwa w zasadniczej mierze zależały od czynnika międzynarodowego, od geopolityki i od umiejętności głównych sił politycznych Polski – harmonizowania jej długofalowych interesów z interesami państw sąsiednich i wielkich potęg światowych.

A sześćdziesiąt lat temu rozgrywały się wydarzenia, które przybrały symboliczną nazwę Polskiego Października i które nadały polskiej racji stanu nowy kształt, optymalny w ówczesnych warunkach.

Zwycięskie w II wojnie światowej mocarstwa (a Polska mimo wojennych klęsk i poddana ludobójczej okupacji, należała jednak do obozu zwycięzców) zdecydowały o podziale światowych stref interesów. Polska znalazła się bezdyskusyjnie w obszarze interesów i dominacji Związku Radzieckiego. To sprawiło, że władzę w niej mogły zdobyć i utrzymać tylko te siły, które tę konieczność uznały, tzn. partie polityczne, które polski interes chciały i potrafiły harmonizować z decyzjami mocarstw i z dominacją Związku Radzieckiego w tej części Europy. Tylko te siły polityczne mogły bowiem dla dobra wycieńczonego, znieczulonego na śmierć, przemoc i bezprawie i wewnętrznie rozbitego społeczeństwa tę sytuację optymalnie wykorzystać.

Przez pierwsze powojenne lata były to nieliczne początkowo, ale uzbrojone i zdeterminowane, a popierane przez aparat przemocy Związku Radzieckiego siły polskiego komunizmu skupione w Polskiej Partii Robotniczej. Obok nich także aktywne, pozostające przed wojną w politycznej opozycji, a w czasie wojny cieszące się rosnącym autorytetem siły socjaldemokracji skupione w Polskiej Partii Socjalistycznej oraz siły ruchu ludowego, wielkiego, lecz mocno zróżnicowanego przed wojną, radykalizującego się w okupacyjnym podziemiu, a w pierwszych latach powojennych pozostające pod wpływem byłego premiera rządu emigracyjnego, zaś po wojnie wicepremiera Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej Stanisława Mikołajczyka. Był on zresztą w latach 1945-1947 jedynym politykiem powszechnie rozpoznawalnym.

W tych też powojennych latach toczyły się walki o charakterze wojny domowej, jednak niepodtrzymywanej przez zmęczone społeczeństwo, a przede wszystkim dokonywały się pozytywne, często spontaniczne, ale ogarniane i firmowane przez nowe władze procesy odbudowy życia Polaków, obiecujące sprawiedliwą społecznie przyszłość. Równocześnie władza sprawowana była przy użyciu terroru, zastraszania i ideowej manipulacji. Doprowadziło to do opanowania państwa, jego instytucji i polityki przez komunistów. Najpierw wyeliminowali z życia publicznego ludowców Mikołajczyka, a następnie, przy użyciu argumentów geopolitycznych i różnych form przemocy osłabiali socjalistów i włączyli ich do wspólnej partii – powstałej pod koniec 1948 PZPR.

Także z samej PPR został brutalnie wyeliminowany jej nurt narodowy (a więc *ex definitione* niekomunistyczny), ukształtowany w okupacyjnym podziemiu i skłonny wtedy do kompromisu z Polskim Państwem Podziemnym a reprezentowany przez Władysława Gomułkę. Nurt ten uznany został przez stalinowskie kierownictwo międzynarodowego ruchu komunistycznego już na wiosnę 1948 za prawicowy i nacjonalistyczny.

Procesy intensywnej stalinizacji PZPR i polskiego systemu państwowego trwały aż do śmierci Józefa Stalina w marcu 1953 r. Jego fizyczne odejście oznaczało koniec religijnego kultu bożka żywego, zawsze zwycięskiego, bezbłędnie przewidującego przyszłość i zapobiegającego klęskom, a następnie zachwianie całym systemem radzieckiej dominacji. Ujawniła się także powierzchność komunistycznych przeobrażeń w społeczeństwie polskim i żywiołowy przeciw nim opór.

W samej PZPR jej nurt komunistyczny podległ głębokiemu wstrząsowi i erozji, szczególnie po ujawnieniu przez Nikitę Chruszczowa na XX Zjeździe Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego ogromu stalinowskich okrucieństw i zbrodni (choć przecież tylko ich części). Wraz z tym nie tylko zachwiała się dawna, quasi-religijna wiara polskich komunistów, ale znikł także bardzo silny czynnik strachu, oddziałującego na nich w konsekwencji fizycznej likwidacji przez Stalina przedwojennego aktywisty Komunistycznej Partii Polski i zagrożenia przez aparat stalinowskiej przemocy życia tych, którzy ocalili.

Zachwianie, po śmierci Stalina i rozstrzelaniu jego pomocnika Ławrentego Berii, szczególnej pozycji aparatu terroru w Związku Radzieckim przyniosło osłabienie roli jego odpowiednika w Polsce. Przez kilka następnych lat chęć uniknięcia odpowiedzialności za nadużycia władzy i polityczne zbrodnie prowadziła do wzajemnych oskarżeń i przetasowań w grupach kierowniczych PZPR, a nawet wywoływała wolę ustanowienia pewnego rodzaju praworządności. Nastąpiło znaczne zmniejszenie liczebności aparatu urzędów bezpieczeństwa, zmiana jego struktur i wymiana kadry aż do kierowniczej włącznie, a także radykalna redukcja i osłabienie działalności agencji

bezpieki w zakładach pracy i środowiskach. Do końca 1956 r. zwolniono od odbywania kary niemal wszystkich więźniów politycznych. Odwołano radzieckich doradców (a naprawdę nadzorców) w aparacie bezpieczeństwa i w wojsku. Zarazem i w społeczeństwie mała strach przed policyjnym terrorem, a rosły domaganie zadośćuczynienia nieprawościom.

Tak więc już okres pierwszych trzech lat po śmierci Stalina, zwany odwilżą, cechował się w Polsce głębokimi przewartościowaniami w myśleniu i postawach aktywu PZPR – zarówno jej trzonu komunistycznego jak i odsuniętego na bok nurtu socjaldemokratycznego.

Przejawem zmiany postaw ludności miejskiej był wybuch robotniczego buntu i żywiołowe wydarzenia uliczne z udziałem kilkudziesięcioletniego tłumu w Poznaniu w czerwcu 1956 r., a o głębokości żywiołowego procesu zachodzącego w całym społeczeństwie, o niespotykanej dotąd (zresztą także i później) jego masowości i o organizowaniu się jego nurtów świadczyć mogą dwie olbrzymie manifestacje. Pierwsza – zorganizowane przez Kościół *Ślubowanie jasnogórskie*, które w sierpniu 1956 r. zgromadziło w Częstochowie, przed pustym fotelem internowanego jeszcze wówczas prymasa Stefana Wyszyńskiego ok. 400 tysięcy pielgrzymów i druga – wiec w Warszawie, na który w dniu 24 października 1956 r. przybyło ok. 400 tysięcy manifestantów, aby poprzeć Władysława Gomułkę i wyrazić swoje nadzieje.

Ale szczególnie symptomatyczna była zmiana zachowań rzesz studenckich. Zaczęło się od niezwykłego ożywienia i zmiany zachowań obyczajowych środowisk młodzieży, i przełomowych, zrywających z doktryną realizmu socjalistycznego, manifestacji kulturalnych o wielkiej wartości artystycznej i ideowej, związanych z przygotowaniem i przebiegiem warszawskiego Światowego Festiwalu Młodzieży i Studentów w lipcu 1955 r.

W lecie 1956 odbyły się w Krakowie przełomowe w swej wolnościowej i radosnej atmosferze wielotygodniowe, spokojnie przebiegające Juwenalia. A wkrótce po nich powołanie i działania w tym mieście Studenckiego Komitetu Rewolucyjnego. W październiku stał się on inspiratorem i mediatorem głębokich zmian, przede wszystkim personalnych w instytucjach władzy politycznej i administracyjnej w przedsiębiorstwach i organizacjach społecznych Krakowa i całego województwa, wykazując zadziwiający umiar i odpowiedzialność. Komitet studentów z udziałem aktywu Nowej Huty zorganizował i dostarczył walczącym powstańcom Budapesztu pomoc materialną, głównie medyczną i przeprowadził wielotygodniowy, milczący marsz solidarności z walczącymi Węgrami (5 XI 1956). Później Komitet Rewolucyjny główną uwagę poświęcił przeobrażeniom upadającego Związku Młodzieży Polskiej i tworzeniu nowych, ideowych struktur młodzieżowych, a także wprowadzeniu wskazanych przez siebie kandydatów w wyborach do Sejmu – w obu sprawach z mniejszym już powodzeniem.

Wszystkie te zjawiska były wyprzedzane przez ferment ideowo-intelektualny w środowiskach twórczych – kulturalnych i naukowych, które w Polsce Ludowej cieszyły się wielkim autorytetem, rosły liczebnie, lecz równocześnie poddawane były szczególnie dotkliwemu nadzorowi ideologicznemu i politycznemu. Już w styczniu 1952 r. ukazał się w krakowskim tygodniku „Życie Literackie” artykuł Ludwika Flaszena *Nowy Zoil czyli o schematyźmie* krytykujący schematyzm i ideologiczny banał

panoszący się w ówczesnej literaturze. Spowodował falę urzędowej krytyki, ale i prawdziwej dyskusji. Prawdziwy wstrząs moralny, ale i polityczny wywołał opublikowany w sierpniu 1955 r. na łamach warszawskiego tygodnika „Nowa Kultura” *Poemat dla dorosłych* Adama Ważyka. Utwór o wielkiej wartości artystycznej ukazywał ciemną stronę tzw. budownictwa socjalistycznego w obrazach doli i przeżyć robotników Nowej Huty – opiewanego w licznych, optymistycznych reportażach „pierwszego miasta socjalistycznego”.

Ale już od 1954 r. przejawy przemocy, naruszania ludzkiej godności i fałszowania narodowej historii stały się przedmiotem rosnącej krytyki w środowiskach twórczych i w mediach. Słabła polityczno-partijna cenzura, a także narastała niepewność i wewnętrzny paraliż organów przemocy. Przede wszystkim zaś w następnych latach rosnącą rolę odgrywał tygodnik „Po prostu” ukształtowany od września 1955 jako pismo studentów i młodej inteligencji.

Dziś już wiemy dostatecznie dużo o procesach politycznych i walkach personalnych zachodzących wewnątrz ośrodków władzy Polski Ludowej i ich odniesieniach do zachowań społeczeństwa. Szczególnie wiele prawdy ujawnił zapis rozmów między ówczesnym kierownictwem PZPR (z udziałem przewidywanego na I sekretarza Komitetu Centralnego Władysława Gomułki) z przybyłą niespodziewanie do Polski delegacją kierownictwa KPZR z Nikitą Chruszczowem na czele (i przy udziale marszałka Iwana Koniewa) w dniach obrad VIII Plenum KC PZPR – 19 i 20 października 1956 r. Dokument ten został opublikowany w Polsce najpierw w miesięczniku „Dziś” w roku 2008, a następnie, choć z licznymi skrótami, ale za to w stuosobnym nakładzie, przedrukowany przez „Gazetę Wyborczą” w jej cotygodniowym dodatku „Ale historia” w roku 2015, pod pomniejszającym wagę wydarzenia tytułem *Awantura z Chruszczowem*. (Główne polskie media zupełnie zignorowały ten najbardziej fundamentalny dla wiedzy o naszych dziejach dokument.). Widać z niego jednoznacznie, że Władysław Gomułka i kierownicza grupa w PZPR (Edward Ochab, Roman Zambrowski, Józef Cyrankiewicz, Adam Rapacki, Stefan Jędrzychowski) podjęli desperacką walkę o suwerenność Polski, nie przestraszyli się gróźb zbrojnej interwencji radzieckiej i już realizowanej jej próbie. Świadczy zarazem o odwadze osobistej i patriotycznej determinacji Władysława Gomułki i wymienionej grupy kierowniczej, a także skupionych wokół niej działaczy Warszawy oraz niektórych dowódców wojskowych.

Okazało się w owych dniach, że Władysław Gomułka i uznający jego przywództwo mają za sobą nie tylko entuzjazm społeczeństwa, a w tym szczególnie załóg zakładów przemysłowych, środowisk młodzieży, a także wpływowych środowisk twórców kultury i nauki oraz mediów, ale dysponują również dyplomatycznym poparciem sprzeciwiającego się sowieckiej interwencji w Polsce kierownictwa Komunistycznej Partii Chin.

Wewnątrz PZPR rozgrywały się wówczas konflikty dwóch podstawowych nurtów w jej aktywie centralnym i aktywach lokalnych. Charakterystyczne jest, że zarysowały się one nie wokół idei powrotu do zaledwie od ośmiu lat pozostających w jednym organizmie partii PPR i PPS, lecz wokół spraw narodowej niezależności i konstytucyjnej praworządności, wokół idei liberalizacji, ale także przejawów populistycznej demagogii i ksenofobii.



Wydaje się, że przyczyna braku poważniejszych inicjatyw powrotu do samodzielnej PPS wynikała z tego, że Władysław Gomułka już przed zjednoczeniem partii wyrażał szczególny szacunek do niepodległościowego dorobku PPS i jej koncepcji polskiej drogi do socjalizmu, a sprzeciwiał się przyspieszonej stalinizacji narzucanej także za pośrednictwem powołanego wówczas Biura Informacyjnego Partii Komunistycznych i Robotniczych (tzw. Kominformu). Zaś cieszący się dużym autorytetem w powojennej PPS Józef Cyrankiewicz zdawał sobie sprawę, że powrót do dwóch konkurencyjnych partii w jednym z krajów bloku sowieckiego byłby zupełnie nie do przyjęcia przez kraje pozostałe i zakończyłby się katastrofalną interwencją w Polsce.

Za Gomułką szedł mit tego, który sprzeciwił się Stalinowi, był przez stalinizm prześladowany i zagrożony śmiertelnym wyrokiem, i w dodatku działaczem i przywódcą wyrosłym w czasie okupacji w kraju, a nie przybyłym ze Związku Radzieckiego. Ten mit dawał mu w pierwszym popaździernikowym okresie pozbawione jakichkolwiek wątpliwości zaufanie całego społeczeństwa, które można porównać tylko z późniejszym o prawie dwa pokolenia działaniem mitu Wałęsy.

Na przebiegu żywiołowych w znacznie mierze procesów społecznego buntu i nad jego szczególnymi związkami ze świadomym działaniem grup partyjnego aktywu kierowniczego (ale jego manipulacje nie osiągnęły charakteru zorganizowanych frakcji) zaważyło wiele okoliczności szczególnych. Wstrząs spowodowany powszechnym zapoznaniem Polaków z początkowo tajnym referatem Chruszczowa na XX Zjeździe zbiegł się ze śmiercią Bolesława Bieruta w Moskwie, w kilka dni po zakończeniu obrad tego Zjazdu. Powstała zupełnie nowa sytuacja personalna w kierownictwie PZPR. Zachwiała się pozycja dwóch najbliższych współpracowników Bieruta, skądinąd nadzorujących wraz z nim także aparat bezpieczeństwa – Jakuba Bermana i Hilarego Minca. Wraz z trzecim bardzo wpływowym członkiem Biura Politycznego – Franciszkiem Mazurem odeszli oni z jego składu wkrótce po śmierci Bieruta.

Ważną rolę w wyborze na następstwo po Bierucie przedwojennego i ortodoksyjnego komunisty Edwarda Ochaba – działacza dość bezbarwnego i pozbawionego żądy władzy, ale różniącego się od popieranego przez kierownictwo radzieckie Aleksandra Zawadzkiego poziomem wykształcenia i kulturą – odegrały zabiegi Romana Zambrowskiego, od początku Polski Ludowej członka Biura Politycznego i faktycznego kierownika struktur partyjnych PPR i PZPR oraz Józefa Cyrankiewicza – premiera i byłego przywódcy PPS. W następnych miesiącach społecznego i politycznego ożywienia, ale i po poznańskim buncie robotniczym, pozycja Ochaba jeszcze osłabła, a zamyślane przez Zambrowskiego zastąpienie go przez Cyrankiewicza stało się niemożliwe po odmowie Gomułki objęcia stanowiska premiera. W tej sytuacji Cyrankiewicz z Zambrowskim poprowadzili Biuro Polityczne do decyzji zasadniczej zmiany składu partyjnej grupy kierowniczej i postawienia na jej czele Władysława Gomułki.

W tych miesiącach mit Gomułki rósł w siłę we wszystkich środowiskach społecznych i politycznych. Również nurt populistyczny i skłonny do prosowieckiego serwilizmu w PZPR, nazywany Natolinem, widział w Gomułce jedyną nadzieję na utrzymanie się przy władzy. Sam zaś Gomułka ze swą przeszłością i nowymi przemyśleniami

zachowywał odrębność i samodzielność z niezmienną skłonnością do autorytaryzmu. Umiejętnie wykorzystując różnice w Komitecie Centralnym PZPR, umacniał swą pozycję także w międzynarodowym ruchu komunistycznym.

Za cel nadrzędny swej polityki stawiał Gomułka integralność państwa polskiego i jego granic, wewnętrzny spokój społeczny i rozwój gospodarczy oparty na państwowym przemyśle, indywidualnym rolnictwie, oświacie (przypomnijmy o ogromnym, a w pełni realizowanym programie budowy tysiąca szkół na Tysiąclecie) oraz na postępie technicznym w pewnym stopniu otwierającym się na tendencje światowe. Nie stać jednak było Gomułki, chyba wskutek ograniczonej w tej dziedzinie wiedzy i wyobraźni, na głębokie zmiany w systemie gospodarczym, możliwe nawet w warunkach przewagi państwowej własności i centralnego planowania. Instynktownie obawiając się żywiołowych nacisków na szybki wzrost konsumpcji, a wraz z tym tendencji inflacyjnych, opierał się propozycjom większej samodzielności przedsiębiorstw i poszerzaniu obszarów gospodarki towarowej wypracowanym przez Radę Ekonomiczną powołaną po Październiku przy premierze. Gromadziła ona grono ekonomistów najwyższej światowej próby i obywatelskiej odpowiedzialności jak Oskar Lange, Michał Kalecki, Czesław Bobrowski, Edward Lipiński czy młody wówczas Włodzimierz Brus. Opierał się również propozycjom robotniczej samorządności na wzór jugosłowiański i na tym tle odsunął od działalności publicznej wyrosłego na fali październikowych wydarzeń autentycznego robotniczego przywódcę – Lechosława Goździka. Już nigdy później środowisko robotnicze nie znalazło lidera o równym mu talencie, godności i kulturze.

Wiele tłumaczy oczywiście nacisk Związku Radzieckiego i państw jego obozu na solidarny udział Polski w wysiłku zbrojeniowym w warunkach zimnej wojny i wynikające z tego wykrzywienie rozwoju gospodarczego, zwłaszcza ograniczanie przemysłu konsumpcyjnego i usług.

Autentyczne obawy przed zagrożeniem terytorialnej integralności Polski przez oficjalnie głoszoną w Niemczech Zachodnich wolę rewizji poczdamskich granic narzucały polityce Gomułki uzależnienie od radzieckich gwarancji, a więc i wpływów. Jednakże cały czas (wraz z Józefem Cyrankiewiczem) poszukiwał sposobu porozumienia z tymi siłami politycznymi wewnątrz Republiki Federalnej Niemiec, które skłonne były uznać ostateczny charakter zachodnich granic Polski. I po kilkunastu latach, w ostatnich tygodniach przed swym politycznym upadkiem doprowadził do urzeczywistnienia tego najważniejszego celu swej polityki, do podpisania przez kanclerza Willego Brandta i premiera Józefa Cyrankiewicza umowy Polski z RFN.

Takie rozumienie polskiej racji stanu było zresztą bliskie także prymasowi Stefanowi Wyszyńskiemu, i to do końca jego życia (zm. 28 V 1981), a więc również w czasach Gierka i Jaruzelskiego. A natychmiastowe po dojściu Gomułki do władzy zwolnienie prymasa Wyszyńskiego z trzyletniego internowania, zgoda na powrót do poprzedniej postaci krakowskiego „Tygodnika Powszechnego” a także na powstanie politycznego, związanego z prymasem, ugrupowania „Znak” i jego na wiele lat wchodzenie do Sejmu szczególnie umocniło wspólne rozumienie polskiej racji stanu. Wzbogacało działanie na rzecz spokoju społecznego, a także miejsca Polski

w Europie o idee tak wybitnego myśliciela politycznego jak historyk Stanisław Stomma i tak szlachetną postawę obywatelską jak pisarza Jerzego Zawieyskiego.

Jednak od swych październikowych założeń w sprawie demokratyzacji, praworządności i społeczeństwa obywatelskiego zaczął Gomułka odchodzić już z początkiem roku 1957, kiedy zrezygnował z ustalonej wówczas zasady swobodnego głosowania w wyborach do Sejmu w ramach jednej, wynegocjowanej przez prosystemowej siły polityczne listy i wezwał do głosowania bez skreśleń, a nawet przekonał do poparcia tego hasła prymasa Wyszyńskiego. Pewnym wytłumaczeniem takiego postępowania był wybuch (także pod wpływem październikowych wydarzeń w Polsce) i późniejszy tragiczny przebieg węgierskiego powstania antykomunistycznego (październik – listopad 1956) pozbawionego jakiegokolwiek pomocy ze strony państw zachodnich, ale i zdolności poruszania się w determinantach geopolitycznych.

Później nastąpiła rezygnacja Gomułka z głoszonych w październiku'56 zasad ideowych (np. używał już od roku 1964 – od czasu sławnego listu Kuronia i Modzelewskiego – organów państwowej przemocy do walki wewnątrzpartyjnej), zgoda na wzmocnienie roli aparatu bezpieczeństwa i jego pozaprawnych poczynań i na udział Polski w interwencji zbrojnej przeciw pokojowym przemianom w Czechosłowacji, szukanie utraconej popularności w masach ludowych poprzez sprzyjanie antysemickiej awanturze grupy Moczara i wreszcie osobista katastrofa zakończona śmiercią polityczną przez użycie zbrojnej przemocy wobec buntu robotników Wybrzeża w grudniu 1970.

Po październikowych przemianach pozostały jednak w Polsce zjawiska i struktury, nawyki i obyczaje o trwałej wartości politycznej, obywatelskiej i kulturowej.

Nastąpiło utrwalenie własności chłopskiej i stały choć utrudniane przez biurokrację rozwój gospodarki towarowej w rolnictwie. Także gospodarka spółdzielcza, choć ograniczana i wypaczana przez państwo, wykazywała pewną trwałość, a nawet rozwój, szczególnie w dziedzinie mieszkalnictwa. Zwiększyła się wymiana towarowa i technologiczna z Zachodem, a przede wszystkim rozwinęły się z nim w skali bardzo znacznej kontakty naukowe i kulturalne. Kościół stał się ważnym moderatorem wydarzeń społecznych, a wpływ intelektualny i moralny katolickich ugrupowań świeckich nie słabł przez dziesięciolecie. Na trwałe ugruntowały się swobody twórcze w środowiskach naukowych i artystycznych, choć przy stałej skłonności do bezprawnych ingerencji cenzury w życie i publikacje tych środowisk.

Zupełne dziś niezrozumienie w szerokiej opinii kształtowanej przez media i system szkolny budzi zjawisko związane z przemianami październikowymi niezwykłego rozwoju polskiej twórczości kulturalnej. Załedwie przyciszona przez krótki, mniej więcej czteroletni okres narzucania tzw. realizmu socjalistycznego, a już od czasów przedpaździernikowej odwilży eksplodująca we wszystkich dziedzinach sztuka osiągnęła nieznanymi ani przedtem, ani po okresie Polski Ludowej rozmach i wyżyny w dziedzinie filmu, teatru, muzyki, malarstwa, plakatu i wzornictwa, ale także przecież w literaturze i ruchu wydawniczym, nie wspominając o sporcie, zdobywając międzynarodowe zainteresowanie i uznanie. Można tu przytoczyć dziesiątki wielkich nazwisk twórców i ich dzieł. Rozwinęła się równocześnie silna więź wewnątrz-

na tych środowisk i ich poczucie obywatelskiej wagi, często wyrażającej się w krytyce i przeciwstawianiu próbom politycznej manipulacji i dyktatu. Trwało to ze zmiennym nasileniem, ale bez przerwy, aż do wielkiej zmiany ustrojowej, tzn. niemal przez dwa pokolenia.

Przed wszystkim zaś państwo polskie stało się po Październiku'56 podmiotem w polityce międzynarodowej – nie tylko w tzw. obozie socjalistycznym, lecz i w Stanach Zjednoczonych i krajach Zachodu i świata. W tym sensie polski Październik stał się (uświadamianym i nieuświadamianym) punktem odniesienia wszystkich późniejszych okresów liberalizacji, przeplatanych krótszymi paroksyzmami tendencji poststalinowskich sięgających po przemoc i agresję, populistyczną i nacjonalistyczną demagogię i nietolerancję.

Wydaje się, że wpływ polskiego Października można zauważyć aż do okresu Okrągłego Stołu, personifikowany przez takich działaczy jak Mieczysław Rakowski, Kazimierz Barcikowski, Janusz Reykowski, Józef Tejchma czy też Tadeusz Mazowiecki, Bronisław Geremek, Jacek Kuroń i Karol Modzelewski, a także kardynał Józef Glemp starający się kontynuować linię Stefana Wyszyńskiego.

Można więc mówić o trwałej wartości ukształtowanej w okresie Października'56 postaci polskiej racji stanu, w sposób istotny dopiero wzbogaconej i zmodyfikowanej przez wejście Polski w pełni suwerennej do Unii Europejskiej i NATO.

Ale trzeba też uznać, że największą klęskę poniosła, załedwie podniesiona w Październiku'56, idea praworządności, czyli powszechnego poszanowania prawa. Jej słabość w polskim społeczeństwie, po wielopokoleniowych złych doświadczeniach zaborów (zwłaszcza rosyjskiego), wojen i okupacji, wreszcie panowania populizmów (tych postługujących się demagogią lewicową i tych, które mieszają się z fundamentalizmem prawicowo-ksenofobicznym) wciąż pozostają nieprzezwyciężone.

\* \* \*

Wydarzenia polskiego Października przebiegały ze szczególnym napięciem i konsekwencjami w wielkich ośrodkach miejskich, środowiskach robotniczych i inteligentkich oraz młodzieży studenckiej. Sięgnęły najgłębiej i najtrwalej w tkankę społeczną Warszawy i Krakowa, choć przy wyraźnych różnicach regionalnych.

Wydaje się, że w Krakowie i województwie krakowskim zaangażowały się w ruch przemian ze szczególną inwencją środowiska młodzieżowe i postPPS-owskie. Miało to niewątpliwy związek z siłą i znaczeniem organizacji PPS w Krakowskim w czasie okupacji hitlerowskiej i w pierwszych latach po wojnie. Obok tego niezależność i poczucie odpowiedzialności wykazywało krakowskie środowisko studenckie i jego wyrosli na uczelniach i na fali żywiołowych wydarzeń liderzy. Do tego dochodziło wrzenie w gwałtownie kształtującym się i wciąż rosnącym liczebnie z zaciągu w całej Polsce środowisku budowniczym Nowej Huty i pracowników Huty im. Lenina, olbrzymim i kulturalnie nieukorzenionym, ale świadomym swego znaczenia.

### ANDRZEJ KURZ

(Rozszerzona wersja wystąpienia na konferencji zorganizowanej przez Stowarzyszenie „Kuźnica” w 60. rocznicę Października '56.)

ANDRZEJ ROMANOWSKI

# ZAPOMNIANI BOHATEROWIE PAŹDZIERNIKA

W grudniu 2001 roku przeprowadzałem jeden z moich wywiadów ze Stanisławem Stomą. Przeprowadzałem go jednak nie sam, lecz z kolegą, który w pewnym momencie zapytał: „Czy komuniści byli zdrajcami?”.

Stomma był politykiem katolickim, liderem ruchu ZNAK, antykomunistą z przedwojennym jeszcze stażem. Odpowiedział w ten sposób: „Nie, nie można tak powiedzieć. W Polsce w roku 1945 władzę musiało objąć takie ugrupowanie, któremu Stalin ufał, i tylko temu ugrupowaniu mógłby przekazać Ziemie Zachodnie. Gdyby władzę przejął Mikołajczyk, to byśmy tych ziem nie dostali, a wtedy byśmy żyli w nowym Księstwie Warszawskim”. Czy więc komuniści byli zdrajcami? „W przypadku stosunków z Niemcami – mówił Stomma – władze PRL w pełni respektowały polską rację stanu, do granic możliwości. Mówię to z całą odpowiedzialnością”. Wywiad został opublikowany w „Tygodniku Powszechnym” prawie rok od jego przeprowadzenia, 10 listopada 2002 r.

Właśnie w kontekście tych słów Stanisława Stomy pragnę przypomnieć kilka postaci Polskiego Października. O tym, jaka wtedy była sytuacja, sporo od początku wiedziano, bo znany był początek wizyty w Polsce Nikity Chruszczowa, gdy ostentacyjnie nie przywitał się on z przywódcami polskiej partii. Dziś wiemy już o wiele więcej, bo został opublikowany protokół z rozmów polsko-radzieckich, sporządzony wówczas przez Jana Dzierżyńskiego. Natomiast wciąż pozostają w cieniu postaci drugiego szeregu, których znaczenie w tym czasie też mogło być kluczowe.

W ogromnej większości byli to ludzie pochodzenia żydowskiego. I w ogromnej większości byli to przedwojenni komuniści. A o członkach KPP można powiedzieć wiele, ale na pewno nie to, że byli to patrioci II Rzeczypospolitej. KPP była partią nielegalną, która – obok wszelkich innych celów – dążyła do tego, by wschodnią część II Rzeczypospolitej oddać Sowietaom, a jej część zachodnią – Niemcom. Wszystko w imię „proletariackiego internacjonalizmu”. Dlatego również w roku 1956 ludzie ci nie mieli żadnego powodu biograficznego, by bronić Polski. A czy w dodatku mogliby jej bronić przed ZSRR – „ojczyzną światowego proletariatu”?

Przyjrzyjmy się tym postaciom. Oto Stefan Staszewski. Urodzony w 1906 r. jako Gustaw Szuster.

W latach 1947–54 kierownik Wydziału Prasy i Wydawnictw KC PPR, potem KC PZPR. Według Jerzego Andrzejewskiego „jeden z najgorszych satrapów rządzących prasą”. Jesienią 1954 oddelegowany przez partię do spraw rolnych, nadzorował w Poznańskim przymusowe dostawy zboża. Za jego sprawą 800 osób trafiło wtedy do więzienia. Był nienawidzony – nazywano go „blond bestią”.

A oto generał Wacław Komar. Rocznik 1909, nazwisko rodowe Mendel Kossoj. Syn żydowskiego rymarza, uczestnik wojny domowej w Hiszpanii. Po wojnie pracował w „bezpiece”, prowadził wywiad wojskowy. Od sierpnia 1956 stał na czele „wojsk wewnętrznych”, czyli Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego i Wojsk Ochrony Pogranicza.

Generał Juliusz Hibner. Rocznik 1912, pierwotne nazwisko Dawid Szwarc. Syn żydowskiego sklepikarza, również weteran wojny w Hiszpanii. Po wojnie walczył z „żołnierzami wyklętymi”. Od sierpnia 1956 był podsekretarzem stanu w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, sprawował nadzór nad „wojskami wewnętrznymi”.

Konradmirał Jan Wiśniewski. Rocznik 1925, warszawiak, jedyny w tym gronie „nie-Żyd”. Zbyt młody, by działać przed wojną w KPP, zdążył jednak odbyć wieloletnie szkolenia w ZSRR. On też walczył z „żołnierzami wyklętymi”.

Wreszcie postać piąta – może najciekawsza – generał Jan Frey-Bielecki. Urodzony w roku 1916 w Łodzi w rodzinie polsko-niemiecko-żydowskiej. Odbywał szkolenia w ZSRR, w 1939 roku służył w „czerwonej milicji”, potem w Armii Czerwonej, przeszkolenie przeszedł również w NKWD. Po wojnie szef UB w Krakowie – to on prowadził akcję rozpracowania Józefa Kurasia „Ognia” i to on 3 maja 1945 r. rozbijał w Krakowie demonstracje studenckie, bo to jego ludzie kierowali lufy karabinów w stronę tu obecnego dzisiejszego prezesa „Kuznicy”, Andrzeja Kurza. W r. 1954 Frey-Bielecki został na własną prośbę przeniesiony do LWP i wkrótce powierzono mu stanowisko zastępcy dowódcy wojsk lotniczych.

Co robią ci ludzie w roku 1956? Staszewski po XX Zjeździe KPZR przeżywa coś, co Władysław Machejek w „Życiu Literackim” uznał wtedy za „moje trzęsienie ziemi”. To Staszewski w marcu 1956 rozpowszechnił



tajny referat Chruszczowa i to za jego – może mimowolnym – pośrednictwem referat ten przedostał się do prasy zachodniej. W październiku 1956 Staszewski (cytuje *Polski Słownik Biograficzny*, biogram opracowany przez Alicję Pacholczykową) „wspólnie z Wacławem Komarem uzbroił robotnicze grupy bojowe i straż fabryczne największych zakładów przemysłowych Warszawy”.

Nie jest to informacja w każdym szczególe pewna. Andrzej Leon Sowa, autor monumentalnej historii powojennej Polski, pisze tak: „Do obrony Gomułki i reformatorów przygotowywali się robotnicy zmobilizowani przez Komitet Warszawski PZPR. Do dzisiaj nie udało się zweryfikować pogłosek, jakoby do podobnych działań szykowali się dowódcy „wojsk wewnętrznych”, w tym KBW, z generałem Hibnerem i generałem Komarem na czele”. W pogłoski tego typu jeszcze mocniej wątpi autor monografii o roku 1956, Paweł Machcewicz. Jakkolwiek jednak patrzeć, takie informacje pojawiały się wtedy w przestrzeni publicznej i nikt ich nigdy nie zdementował. Gdyby były wyssane z palca i miały służyć skompromitowaniu paru towarzyszy, to powinno być potem prowadzone jakieś dochodzenie – te plotki były zbyt poważnym obciążeniem. A o dochodzeniu nic nie wiadomo.

Lucyna Tychowa, córka Jakuba Bermana, z którą niedawno przeprowadziłem „wywiad-rzekę”, wspomina w naszej wspólnej książce, że gen. Hibner, skądinąd zaprzyjaźniony z domem Bermanów, opowiadała, jak to w październiku 1956 „armię radziecką powstrzymywał”. Oczywiście, powstrzymywał bez strzelaniny, bo inaczej mogliśmy podzielić los Węgier, zresztą szczegółów moja rozmówczyni nie знаła. Takie powstrzymywanie stosował też ponoć kontradmirał Wiśniewski, który swoimi okrętami zablokował Zatokę Gdańską i nie dopuścił do wpłynięcia na jej wody radzieckich okrętów wojennych.

I wreszcie Frey-Bielecki. W roku 1956 był – jak się rzekło – zastępcą dowódcy wojsk lotniczych. A dowódcą był sowiecki generał Iwan Turkiel – nie-Rosjanin zresztą, a Ukrainiec. I tu osobiste wspomnienie: mój ojciec był lekarzem wojskowym, wówczas bodaj w stopniu kapitana. Po latach, w 1962 roku, opowiadał mi, że Turkiel wezwał Freya i wydał mu rozkaz podporządkowania wojsk lotniczych działaniom oddziałów radzieckich idących na Warszawę. Frey miał oświadczyć, że takiego polecenia nie wykona. Turkiel podobno krzyknął: „To jest rozkaz!”, na co Frey odpowiedział: „Zanim zostałem generałem, byłem Polakiem”.

Znów: czy to wszystko jest prawdą, trudno rozstrzygać. Można dyskutować na temat szczegółów działań Staszewskiego, Komara, Hibnera, Wiśniewskiego czy Freya. A jednak ich postawa ogólna w Październiku raczej nie ulega wątpliwości. Więc co sprawiło, że – według wszelkiego prawdopodobieństwa – byli oni gotowi położyć głowę pod topór? Bo że musieli się liczyć z karą śmierci – co do tego nie mogli mieć wątpliwości. Jeżeli rzeczywiście gotowi byli podnieść rękę na „ojczyznę światowego proletariatu”, to ona umiała sobie z takimi radzić – co już sprawdzono w Kronsztadzie w roku 1921. I tę lekcję rzeczywiście odrobi niebawem na Węgrzech Imre Nagy.

Jaką więc mogli mieć motywację? Można tu przywołać jeden element z ich życiorysu – element, o któ-

rym dotąd nie wspominałem: represje stalinowskie. Dotknęły one dwóch spośród tych ludzi: Staszewskiego i Komara. Staszewski spędził siedem lat na Kołymie. Od roku 1938, gdy rozwiązano KPP, do roku 1945, gdy Armia Czerwona opanowała Polskę, był łagiemnikiem. Z obozu wyciągnął go Bierut. A brat Staszewskiego, Adolf, został w ZSRR rozstrzelany. Staszewski miał prawo nie mieć złudzeń do systemu, choć może nie miał wyobrażenia o skali represji.

Komar, usunięty z wojska w 1950, został w listopadzie 1952 r. uwięziony. Poddawano go torturom, próbując wymusić fałszywe zeznania. Zwolniono go po ponad dwóch latach, ale on też miał prawo nie mieć złudzeń. A może oni obaj, tak ciężko doświadczeni, uznali, że i tak nie mają już nic do stracenia?

Ale to wszystko nie jest jeszcze odpowiedzią. Wszak Staszewski służył stalinizmowi także po Kołymie. Po zwolnieniu z więzienia służył komunizmowi także Komar. Co jednak zrobić z Wiśniewskim, Hibnerem, Freyem-Bieleckim? Oni nie byli represjonowani.

Pojawiają się więc dwie możliwe odpowiedzi. Pierwsza to motywacja ludzi, którzy po wojnie budowali w Polsce socjalizm. Myśleli zapewne tak: owszem, będziemy wznosili „ustrój sprawiedliwości społecznej”, ale może jednak inaczej niż w Sowietach. Ci ludzie własnymi nozdrzami czuli przecież przelaną tam niedawno krew.

I druga odpowiedź: ci ludzie otrzymali po wojnie państwo polskie i w rezultacie, niejako automatycznie, stali się polskimi patriotami. Więc jeżeli przed wojną skłonni byli oddać Śląsk Niemcom, to teraz z determinacją bronili Ziemi Zachodnich. To była bowiem ich Polska i oni – tak jak Stomma, choć pewnie z innych pobudek – bali się wizji „Księstwa Warszawskiego”. Determinacji Gomułki w tych sprawach, aż do podpisania traktatu Polska-RFN w 1970 roku, nawet najbardziej radykalna prawica nie jest w stanie zanegować.

Takich ludzi było na pewno wielu, ale zasługi wspomnianej piątki wydają się wyjątkowe. Jakkolwiek jednak wątpić, osłabiać, czy bagatelizować jej rolę, to dalsze jej losy dają sporo do myślenia. Stefan Staszewski już w lutym 1957 roku został usunięty z funkcji I sekretarza KW PZPR w Warszawie. Jan Wiśniewski w roku 1958 został usunięty z marynarki wojennej. Wacław Komar w roku 1959 został usunięty z dowództwa wojsk wewnętrznych. Juliusz Hibner w roku 1959 został przeniesiony w stan spoczynku.

Dłużej utrzymał się Frey-Bielecki – po odesłaniu do ZSRR Turkielu dowódcą polskich wojsk lotniczych. Ale w r. 1962 również Frey został usunięty z funkcji, a rok później wydalony z wojska. Historia, jaką mi wtedy opowiadał ojciec, wyraźnie wskazuje, że odejście generała wiązano w wojsku z wydarzeniami Października.

Tak, pewności nie ma, dokumentów nie ma. Ale – jak widać – „ojczyzna światowego proletariatu” na wszelki wypadek o tych ludziach nie zapomniiała. Szkoła, że zapomniiała o nich Polska.

#### ANDRZEJ ROMANOWSKI

Autoryzowany zapis wystąpienia na konferencji zorganizowanej przez Stowarzyszenie „Kuznica” w 60. rocznicę Października'56.

JERZY S. ŁĄTKA

# ZACHOWALI SIĘ JAK TRZEBA?

Motto:

***O tej zbrodni niewielu chce pamiętać.***

***Zamieszanych w nią było za dużo tych prawdziwych z AK  
i bandytów podszywających się pod AK.***

Mieszkanka Brzozowej

Problem żołnierzy niezłomnych, nazywanych także wyklętymi, a nawet przekłętymi, to temat modny i wywołujący skrajne emocje, w zależności od pamięci zbiorowej środowisk, w jakich wzrastali autorzy ogłaszanych sądów. Bowiernie pamięć zbiorowa w znacznym stopniu kształtuje nasze postawy. Jako etnograf z wykształcenia i nie w pełni spełniony etnolog, daję się czasami ponieść pasji zrozumienia historyczno-kulturowych zjawisk poprzez wiedzę, którą uzyskałem na Alma Mater UJ. Stąd teksty m. in. o fascynującym dla etnologa fenomenie akowskiego *kaprała* (owszem, BCh-owskiego *porucznika czasu wojny*, także bezprzymiotnikowego *porucznika UBP*) Józefa Kurasia<sup>1</sup>.

Przed laty napisałem, i to podtrzymuję: „Každy ma takiego bohatera na jakiego zasłużył”. Obecność rycerzy (przede wszystkim harcerzy) głoszących hasło: „Major (!) Kuraś naszym bohaterem jest” zmniejsza się ostatnio w naszej przestrzeni społecznej. Za sprawą jednego z prezydentów RP (aby nie było wątpliwości przypominam, że był to z wykształcenia historyk, Bronisław Komorowski) pojawili się bowiem żołnierze wyklęci.

Nie byłoby tego wstępu, gdyby nie lektura tekstu Sceptyka w ostatnim numerze „Zdania”. Dowiedziałem się z niego, że nasz urzędujący prezydent podczas pobytu w amerykańskiej Częstochowie, przy okazji poświęcenia tam pomnika żołnierzy wyklętych, pod ich adresem wypowiedział gloryfikującą frazę, że „zachowali się jak trzeba”.

Aby nie było wątpliwości, tytuł tego reportażu to nie zasługa Sceptyka, tylko właśnie cytowanego przez niego Urzędującego Prezydenta. Z tego co wiem, to częściej chwali się on swą harcerską przeszłością niż studiami na przyzwoitej uczelni, co poniekąd tłumaczy również fascynację żołnierzami... No właśnie... Jakimi?

Otóż od kilku miesięcy bardzo intensywnie pracuję nad ustaleniami okoliczności nie w pełni skutecznej akcji fizycznego zlikwidowania jednej rodziny w miejscowości Brzozowa w powiecie tarnowskim, przez rodzimych byłych akowców, później bardzo aktywnych członków WiN-u. Niby w oparciu o wyrok sądu Państwa Podziemnego.

## ZLIKWIDOWAĆ!

Przechodzę zatem do meritum. Z publikacji Zdzisława Zblewskiego wynika, że kierowana przez Stanisława Pyzika placówka WiN w Gromniku należała do najaktywniejszych w Tarnowskim. Zorganizowana na wzór wojskowy „dysponowała liczącą około pięćdziesięciu osób grupą dywersyjną, dowodzoną osobiście przez Pyzika oraz jego zastępcę Feliksa Leśniowskiego LARSONA. Placówka posiadała także dobrze rozwiniętą siatkę informatorów, do której należeli m.in. komendant posterunku MO w Gromniku Jan Zięcina oraz jego zastępca Andrzej Kras „Gałąź”, GRUSZECKI. Placówka zakończyła działalność w październiku 1946 r. wraz z wyjazdem zagrożonego aresztowaniem Pyzika na Dolny Śląsk”<sup>2</sup>.

Maria Żychowska w książce wydanej przez Komisję Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu IPN ludzi Pyzika nazywa organizacją<sup>3</sup>. I pisze: „Zasadniczym zadaniem organizacji było podtrzymywanie morale społeczeństwa wobec nowej sytuacji przez kolportaż nielegalnej prasy, ochronę zwłaszcza własnych członków przed represjami, gromadzenie broni na spodziewany czas III wojny światowej, wykonanie kar na osobach sprzyjających Niemcom, poszerzanie własnych szeregów. 17 stycznia 1945 r., a więc bezpośrednio po opuszczeniu terenu przez Niemców, dwaj byli żołnierze AK z miejscowej Placówki, Józef Gągola ps. VIS i Eugeniusz Nicpoń ps. GRANIT dokonali aktu zemsty (!) na zdrajcy, 22-letnim Stanisławie Wójciku, który wydał par-

1 J. S. Łątka, *Major Kuraś naszym bohaterem jest*, „Zdanie”, 2008, 1-2 (138-139), s. 85-88; J. S. Łątka, *Bohater na nasze czasy? Józef Kuraś, Ogień z Waksmundu – porucznik czasu wojny*, Kraków 2007; J. S. Łątka, *Głos etnologa w sprawie porucznika czasu wojny Józefa Kurasia z Waksmundu*, w: J. S. Łątka, *Ten, który był w Turcji*, Kraków 2015, s. 111-120.

2 Z. Zblewski, *Tarnowska organizacja Zrzeszenia „Wolność i Niezawisłość” w latach 1945-1948*, „Pamięć i Sprawiedliwość” 3.1 (5), 133-159, 2004.

3 M. Żychowska, *Represje komunistyczne w Tarnowskim, 1945-1956*, tom 1, *Miasto i powiat Tarnów*, Kraków 2013.

tyzancki oddział AK por. „Radomyśla” 31 października 1944 r. Ponieważ Stanisława wówczas nie było na miejscu w Brzozowej, zemsta dotknęła jego rodzinę. Akowcy podpalili zabudowania Antoniego Wójcika (przebywającego na robotach w Niemczech), a Nicpoń zastrzelił jego żonę, córkę i syna”.

Uzupełnię, że postrzelone były jeszcze dwie siostry, które przeżyły. Pijany oprawca strzelając z parabelum do matki z niemowlęciem trzymanym przy sercu postrzelił w lewe udo niespełna dwumiesięczną Jadwigę oraz w lewą stopę stojącą obok 12-letnią Irenę. Obie żyją. Irena nadal z kulą w stopie.

Tak się składa, że ich ojciec Antoni Wójcik po tragedii w Brzozowej poślubił wdowę z Siemiechowa. Od jego nowego siedliska do Gromnika droga prowadziła obok domu moich rodziców. W ziemie na skróty, przez nasz ogród. Nie miałem pojęcia, że w dowodzie osobistym miał on wpisane nazwisko Wójcik. Dla całej mojej rodziny był i pozostał, Pytlem. Wiśka Pytlusionka (z bliźną po kuli na lewym udzie), jego najmłodsza córka, przez kilka lat była moją młodszą koleżanką szkolną. Toteż Pytlowie, z szacunku dla naszych wspólnych korzeni pozostaną dla mnie Pytlami.

Nie wiem jak powyższe dokonania miały wpłynąć na podtrzymywanie morale społeczeństwa. Poza tym młody Pytel już się nie ukrywał. Dla niego wojna się skończyła. Pod własnym nazwiskiem podjął pracę w pobliskim Grybowie, w tej samej instytucji, w której pracował sprawca jego ujęcia, sierżant Czesław Kita. Szczęśliwy z powodu zakończenia wojny (nie musi ukrywać się przed Niemcami) czynił przygotowywania do swego ślubu. Gdyby miał coś na sumieniu, to by z narzeczoną wyjechał na Ziemię Zachodnie. Taka była wtedy praktyka.

Maria Żychowska uchodzi za historyka, a historyk nie powinien popełnić błędu podmiany pojęcia „lager” (obóz pracy) na „roboty w Niemczech”. Pytel nie pracował w Niemczech, tylko w Gromniku przy budowie umocnień przeciwko Armii Sowieckiej. Był skoszarowany, a w noc podpalenia jego domu był prowadzony przez uciekających Niemców wraz z innymi uwięzionymi Polakami w stronę Zakliczyna.

Z tych około 50. podkomendnych Pyzika i Leśniowskiego interesowali mnie tylko podpalacze Pytlów i sprawcy śmierci ich syna Stanisława. Aktywni miejscowi podpalacze to: Eugeniusz Nicpoń, ps. GRANIT vel RYŚ, Bronisław Mruk, ps. BYSTRY, Gągola Józef, ps. VIS, no i pochodzący ze wschodu FRANEK z bliźną. Główni sprawcy linczu Stanisława – to GOLIAT, czyli Czesław Gągola (1916-1945), mieszkaniec Brzozowej, podporucznik, płatnik I batalionu BARBARA oraz jego koledzy z AK: Czesław Kita, Stanisław Pyzik, Czesław Gągola i Mikołaj Baczkowski.

Spalenie zagrody Pytlów było nie tyle zemstą braci Gągolów i Nicponia, a więc ziomków z Brzozowej, ale wyrównywaniem sąsiedzkich porachunków, jakie w realiach polskiej wsi (czy tylko polskiej?) zdarzały się nie tylko w okresie totalnego bezkrólestwa. Niemcy już się wycofali, Sowieci jeszcze nie dotarli. Miejscowi leśni bohaterowie czuli się włodarzami.

Staszka dopadli pięć miesięcy później. Starał się o pracę w miejscu zamieszkania narzeczonej, w Grybowie, miasteczku oddalonym od Gromnika o około 25 km. Tamtejszy posterunek wysłał do Gromnika funkcjonariusza w celu uzyskania o nim opinii. To spowodowało spro-

wadzenie go do Gromnika. Niby w celu złożenia zeznań. Maria Żychowska: „Komendant Posterunku, Czesław Kita, współpracujący z organizacją Pyzika powiadomił go o tym fakcie. Tego samego dnia w godzinach wieczornych stawili się na posterunku MO, oddelegowani [!?] z placówki AK [!] w Gromniku - Gągola Józef i Baczkowski Mikołaj, którzy, po otrzymaniu kluczy od Kity Czesława, otworzyli drzwi aresztu i zastrzelili z posiadanej broni przebywającego tam Stanisława Wójcika. Ciało zamordowanego zakopali w drewni należącej do posterunku”.

Dokonano się to 19 czerwca 1945 roku. Ponadto sprawcą tego mordu był wprawdzie Gągola, ale nie Józef, lecz jego starszy brat Czesław. Żychowska nie doczytała się w aktach sprawy, że zanim Pytel został zastrzelony, zapytał nieproszonych gości: „Co wy koledzy chcecie ode mnie? Co ja wam winien?” Nie wspomina także faktu dowodzącego o intencjach „kolegów” Pytla. Został przez nich pobity do utraty przytomności. Ktoś wezwał księdza, który go wyspowiadał i udzielił ostatniego namaszczenia.

Komendant Kita, w tej sprawie był przepytany, ale „co do księdza, to myśmy go nie wzywali, a czy był, to sobie nie przypominam”.

Księdzem tym był zapewne wikariusz Jan Skiba pełniący posługę w Gromniku od listopada 1943 do września 1945. Zastąpił później jako kapelan, który pozostawił »sugestywną relację na temat wykonywania egzekucji w więzieniu we Wrocławiu w latach 1946-1947”. Był wówczas wikariuszem parafii św. Bonifacego we Wrocławiu<sup>4</sup>.

\* \* \*

Jedyny żyjący świadek wydarzeń Zofia Ferencowa (lat 97): „Tak było. Co Staszek miał z partyzantami, tego nie wiem. Oni go szukali. Partyzanci, bandyci, różni byli. Raz obierał u nas ziemniaki, za co miał dostać ich część. Pojawili się partyzanci, ale były otwarte drzwi z tyłu, zdążył uciec”.

Co mieli Gągolowie i Nicpoń, ziomkowie Staszka, do niego, także nie udało mi się ustalić. Na pewno nie był lubiany przez partyzantów. Uchodził za przystojniaka. Matka, znakomita krawcowa szyła mu gustowną odzież. Dziewczyny za nim szalały. To mogło wnerwiać niedowartościowanych na wojnie miejscowych kawalerów. Dziewczyny takich bohaterów nie lubią.

Ale wiem, co było pretekstem do podpalenia.

Partyzant Zdzisław Krogulski nie ma wątpliwości. „31 października 1944 roku rano Niemcy, podprowadzeni przez miejscowego kolaboranta leśną drogą od Ciężkowic, zaatakowali zniemacką chłopską zagrodę, a naszą partyzancką kwaterę we wsi Słona koło Zakliczyna”<sup>5</sup>.

Nie ma on także wątpliwości kto był tym miejscowym kolaborantem. „Stanisław lat 22, odwiedzał jarmarki w okolicznych miasteczkach pod pretekstem zakupu konia, a de facto popijał bimber i »nadstawiał ucha« dla Niemców. Po tragedii plutonu »Radomyśla« 31 października 1944 Stanisław W. (którego ludzie widzieli, gdy szedł obok oficera oddziału żandarmerii z Ciężkowic przez Jastrzębię do Słonej) znikł tego samego dnia z okolic. Po dokładnym konspiracyjnym śledztwie wy-

4 <http://cud1920.pl/1312.bylo-ich-piecioro-swiaadectwo-ks-jana-skiby>  
5 Z. Krogulski, *Ostatnie chwile oddziału RADOMYŚLA*, „Gazeta Południowa.” nr 209/1978.



miaru sprawiedliwości Polskiego Państwa Podziemnego – zapadł zaoczny wyrok śmierci<sup>6</sup>.

Za partyzantami takie myślenie reprezentują historycy piszący o tragedii Pytlów. Niby konspiracyjne śledztwo wymiaru sprawiedliwości Polskiego Państwa Podziemnego to była informacja GOLIATA, czyli Czesława Gągoli z Brzozowej. GOLIAT wcześniej przyczynił się do likwidacji w nocy z 5 na 6 października 1944 roku żony i córki sołtysa wsi, Tomasza Jasnochy. Na skutek złośliwej plotki. „Ktoś (można się domyślać kto) puścił plotkę, że po aresztowaniu Tomasza Jasnochy jego żona i córka poszły na skargę na policję niemiecką do Ciężkowic. Według relacji naszego kolegi Józefa Bajorka<sup>7</sup> Jasnochowa nie mogła być w Ciężkowicach, gdyż tej nocy była u niego o godzinie 23.00 i prosiła o uwolnienie męża, a potem o 4.00 rano znowu była u niego. Nie jest więc możliwe, by kobieta w ciągu 5 godzin mogła przebyć po 15 kilometrów w obie strony i do tego w nocy” – tyle Edward Cieśla.

Sołtysowa od czasu do czasu udawała się do Ciężkowic z córką, ale towarzyszyła nieletniej, która uczęszczała na tajne doksztalcanie się. Ich nazwiska, Zofia Jasnocha (nr 35) i Emilia (36) znajdują się na liście uczestników tajnych kompletów w ośrodku w Ciężkowicach<sup>8</sup>. To była konspiracja, Jasnochowie nie mieli powodów, aby rozgłaszać przyczyn 7,5-kilometrowych (w jedną stronę) spacerów matki z córką wieczorową porą. Ale „trójka” o tym wiedziała. „Ale wtedy życiem kierowały twarde prawa wojny i nikt tego nie dochodził. Żona sołtysa i jego córka zostały rozstrzelane<sup>9</sup> – sprawę podsumował Edward Cieśla.

Szerzej o tym niebawem w książce *Zemsta zza grobu*.

W sprawie Staszka Pytla była, owszem, dyrektywa komendanta AK obwodu Tarnów-Południe majora JAGODY (Stanisław Marek), która brzmiała: „w wypadku stwierdzenia winy niezwłocznie zlikwidować pałac równocześnie jego gospodarstwo”. Stan na dziś mojej wiedzy jest taki, że winę stwierdził jednoosobowo Czesław Gągola.

Krogulski, także JAGODA, nie zadał sobie pytania, w jaki sposób 22-latek mógł uzyskać informację o miejscu postoju partyzantów. Stanisław Pytel nie był członkiem AK, a w organizacji tej obowiązywała konspiracja. Informacje o wszelkich partyzanckich bazach były najbardziej strzeżone, nawet w korespondencji z przelożonymi używano kryptonimów zamiast nazwisk i nazw lokalnych.

Krogulski uwierzył, że Pytel był kolaborantem, gdyż go widziano, jak szedł obok „oficera oddziału żandarmerii z Ciężkowic drogą”. To, że szedł na pewnym odcinku obok oficera niemieckiego i z nim rozmawiał, to jeszcze nie dowód, że był kolaborantem. Gdyby nie znał niemieckiego, to by z nim nie rozmawiał. Pewno by przeżył. Dziś miałby nieco ponad 90 lat.

Nie mam podstaw, aby sądzić, że nie było tak, jak napisała Irena Dera: „Tej nieszczęśliwej nocy z 30 na 31

października 1944 r. szedł ukryć konia w Jastrzębi, bo tam już Niemcy konie pozabierali i w związku z tym miał nadzieję, że koń tam będzie bezpieczny. Wracając przez las, natknął się na Niemców i został aresztowany. Jako więzień musiał iść pod lufami ich pistoletów tam, gdzie Niemcy go prowadzili. W pewnym momencie Niemcy zaatakowali partyzantów, a brat wykorzystał chwilę ich nieuwagi i uciekł. Wrócił do domu bardzo zgnębiony i powiedział, że Niemcy pobili naszych w Słonej, a on musi ukryć się gdzieś dalej, bo mogą go tu Niemcy szukać. Niemcy istotnie przychodzili często w poszukiwaniu brata. Przy okazji zabrali do łagru najstarszą siostrę Marię, potem ojca z zaprzęgiem, chociaż mama jeszcze leżała po porodzie, a ojciec jako inwalida z I wojny światowej był kulawy<sup>10</sup>.

Tak się składa, że Jan Gądek, sąsiad mieszkający przy drodze do Jastrzębi, widział młodego Pytla jak szedł z koniem w stronę tej wsi. Ukrywanie koni przez przeprowadzenie ich do gospodarzy w innej miejscowości było normalną praktyką. Pytlowie mieli dwa konie. Wcześniej 12-letnia Irena Dera jednego z nich zaprowadziła do Stanisława Łabuza w Siemiechowcie.

#### KTO BYŁ ZDRAJCĄ?

Kwaterą oddziału RADOMYŚLA (por. Zbigniew Matula) od 26 października 1944 roku było gospodarstwo Józefa Bochenka w Słonej. W materiałach ppłk Włodzimierza Musiałek-Łowickiego znajduje się meldunek sytuacyjny dowódcy obwodu AK Tarnów – Południe JAGODY (mjr Stanisław Marek), obejmujący dni od 28 października do 4 listopada 1944 roku, z którego m.in.: wiadomo, że 31 października o godzinie 9:00 oddział ten został zaatakowany przez kompanię niemieckiej żandarmerii w sile około 80 ludzi. Informacja dotarła do JAGODY od KMICICA. Nie wiadomo, kto używał tego partyzanckiego pseudonimu. Wiadomo, że był on żołnierzem plutonu RADOMYŚLA, starszy strzelec i w wyposażeniu miał stena 57219, dwa magazynki i 40 sztuk amunicji.

Ktoś Niemcom przekazał informację o kwaterze oddziału RADOMYŚLA! Z tym zgadzam się w pełni. W piątą dobę po „przeprowadzce” partyzanci zostali zaatakowani. Logika nakazuje sądzić, że Niemcy wiadomość o miejscu schronienia oddziału RADOMYŚLA nie uzyskali od jarmarcznego plejboja, tylko ze sprawdzonego źródła. Do akcji ściągnęli 80, a być może 100 ludzi, według akowskich raportów sytuacyjnych. Są mocne poszlaki, iż niemiecki konfident był żołnierzem zaatakowanego oddziału.

Krogulski nie wspominał, że Niemcy do tego ataku byli dobrze przygotowani. Z meldunku JAGODY wynika, że oddział RADOMYŚLA stacjonujący w zabudowaniach gospodarskich był ubezpieczony od strony drogi i wsi. Dowódca nie wystawił żadnej czujki w lesie. I wróg nie niepokoiony przez nikogo podszedł pod kwaterę RADOMYŚLA na odległość „huraganowego strzału”. Może Niemcy wiedzieli, że z tej strony ubezpieczenia nie ma?

Tak w 1967 roku Zygmunt Krogulski wspominał ten atak: „Było około godz. 8-jej rano dnia 31.X.1944 r. Wszyscy zdrożeni spali jeszcze mocno, tylko 1 żołnierz z RKM-em stał na warcie. Nagle od strony zbawczego zwykle lasu, rozszalała się niezwykła strzelanina. Nieustanny terkot broni maszynowej, krzyki atakujących

6 Z. Krogulski, *Wina i kara*, „Gazeta Krakowska” nr z dn. 31 X-1 XI 1990.

7 Józef Bajorek, Edward Cieśla i Ludwik Cetera byli członkami tzw. trójki w Brzozowej, konspiracyjnej cywilnej struktury Państwa Podziemnego.

8 Cz. Sterkowicz, *Tajne nauczanie w Tarnowskim w latach 1939–1945*, Tarnów 1985, s. 222.

9 E. Cieśla, *Mój udział w historii ruchu ludowego na terenie wsi Brzozowa i sąsiednich*, Brzozowa 1975, maszynopis w zbiorach prywatnych.

10 [http://www.brzozowa.eu/index.php?option=com\\_content&view=article&id=244&Itemid=58](http://www.brzozowa.eu/index.php?option=com_content&view=article&id=244&Itemid=58)

Niemców, szczekanie policyjnych psów robiły niesamowite wrażenie na zaskoczonych we śnie partyzantów. Zrywam się z klepiska na równe nogi, widzę, że górna warstwa słomy na bandzie już się pali... Już pierwsze pociski zapaliły słomiany dach stodoły i snopy żyta w przegrodzie. Żołnierze kłębiąc się w panice i dymie na klepisku, usiłowali odnaleźć w słomie swoje karabiny. Osmolony wyskakują na zewnątrz. Ktoś dostał w brzuch pociskiem i strasznie jęczy. Krowy ryczą, świnie kwiczą, potworny zamęt... Jeden z naszych przeskakując przez płot dostał serię w pośladek i zawisł na płocie”<sup>11</sup>.

W artykule w „Gazecie Krakowskiej” Krogulski przytacza ostatni rozkaz RADOMYŚLA: „Wszyscy rozproszyc się w łubinie, będę was osłaniał!” Pachnie mi to harcerskimi manewrami. Dobrze widoczny przez atakujących natychmiast dostał serię, z której jedna kula trafiła Krogulskiego w prawe kolano.

W książce Derusa jest informacja, że zginęło czterech partyzantów, rannych zostało siedmiu. Czterech rannych oraz łączniczka dostali się do niewoli. W cytowanym meldunku JAGODY więcej informacji: „Pozostali żołnierze plutonu, w czasie wycofania rozproszyli się i do dzisiejszego dnia, mimo poszukiwań nie odnaleziono ich. Są pogłoski, że przeszli na zach. brzeg Dunajca. Co się stało z bronią dokładnie nie wiem; część jej zabrali Niemcy wraz ze wszystkimi zapasami i op[nieczyt.]. Reszta broni znajduje się prawdopodobnie przy zbiegach”.

Z meldunku JAGODY wiadomo, że Niemcy zaleźli przy zwłokach RADOMYŚLA „większą gotówkę i dokumenty angielskie”, które zabrali. Zarówno w meldunku, jak i partyzanckich wspomnieniach brak informacji o stratach niemieckich. Zaskoczenie partyzantów było tak duże, że można przypuszczać, iż żandarmeria niemiecka, nie frontowe przeciw wojsko, odniosło sukces bez straty jednego człowieka.

Być może Niemcy posiadali nie tylko informację o miejscu partyzanckiej meliny, ale także o zadaniach, jakie dowództwo postawiło RADOMYŚLOWI. Takie informacje mógł przekazać Niemcom dobrze mi znany z *Osełki masła*<sup>12</sup> podchorąży Zdzisław Brycki, ps. ŻUCZEK, vel ŻUK z drużyny 6, batalionu BARBARA.

Cytowany już JAGODA w meldunku sytuacyjnym z 1 grudnia 1944 roku informował: „ŻUK brał udział w BURZY, skąd został wyrzucony jako alkoholik i rabujący na własną rękę. W ostatnim czasie grasował w okolicy z dobraną do siebie szajką i rabował. Znał on wielu ludzi z terenu PRAKSEDY oraz prawie wszystkie meliny żywnościowe BURZY. Obecnie sypie. Na razie wsypał strz. KMICICA [!] z PRAKSEDY. Inni zainteresowani są ostrzeżeni, zachowują ostrożność. Wymienionego poleciłem zlikwidować, jednak aresztowanie [przez Niemców] uprzedziło ten fakt”.

Fakt, iż Brycki został usunięty z batalionu BARBARA z powodu alkoholizmu i rabunków, potwierdził dowódca batalionu kpt. Eugeniusz Borowski (LELIWA). W swych zeznaniach przyznał się, że dopiero po wojnie w 1946 roku BRATEK „opowiadał mi o dokonaniu morderstwa na dwóch żydówkach zamieszkałych w Lichwinie w okresie okupacji w 1944 roku. Mordu tego miał dokonać ŻUK-ŻUCZEK usunięty przeze mnie z oddziału

i zabranii mu broni z powodu dokonywania wymuszeń – z bronią w rękę – wódki. Więcej o nim nie wiedziałem.

Prawda, że Brycki został (niby?) usunięty po zabójstwie Mycińskich (połowa lipca 1944), ale 12 września 1944 roku znajdował się w oddziale RADOMYŚLA, o czym pisze Derus.

Brycki pojawia się w raporcie JAGODY jeszcze raz, trzy tygodnie później (21 XII 44) „ŻUK został przez Niemców wypuszczony podając, że uciekł w czasie wywozu więźniów z Tarnowa. Jest to niewątpliwie konfident”. Zatem byli konfidenti w batalionie BARBARA. Nie trzeba ich szukać wśród miejscowych chłopów.

W raporcie JAGODY z 10 listopada jest jedna poważna nieścisłość w porównaniu do późniejszych ustaleń. Donosił on, że drugim zabitym, obok dowódcy, był jego zastępca, strzelec Zaranski, podchorąży ze Lwowa. Tymczasem z późniejszych ustaleń wynika, że drugim poległym był, owszem zastępca RADOMYŚLA, ale pochodzący z Koszyc Tadeusz Stasik ps. DOKTOR.

No i jeszcze jeden intrygujący drobiazg. Trudno mi uwierzyć, aby dowódca oddziału, wyszkolony w Anglii cichociemny, nie wystawił od strony „zbawczego” lasu żadnego zabezpieczenia. Nasuwa mi się tylko jedno niepodparte żadnym dowodem przypuszczenie. Nie wiadomo, kiedy Brycki zniknął z oddziału RADOMYŚLA. Może dopiero w noc poprzedzającą atak Niemców. RADOMYŚL być może zrozumiał, co tak naprawdę się dzieje. I sam podjął się osłaniać swych żołnierzy.

Wiadomo tylko... Jak sam JAGODA ustalił, Brycki był konfidentem niemieckim i znał meliny partyzanckie. Wg jednego z raportów zastępcą RADOMYŚLA miał być podchorąży ze Lwowa. Brycki pozostawał w oddziale RADOMYŚLA co najmniej do 12 września 1944 roku. W dniu tym, wg relacji Tadeusza Szeligiewicza (ŻBIK) brał on udział w akcji pod dowództwem RADOMYŚLA przeciwko Niemcom, w okolicach Szczepanowic. Szeligiewicz podaje jego nazwisko jako pierwszego po dowódcy. Można przyjąć, iż Brycki był we wrześniu zaufanym człowiekiem RADOMYŚLA.

Być może Brycki używał także nazwiska Zarański. Dotąd nie udało mi się ustalić jego tożsamości. Najczęściej nazywany był PODCHORAŻAKIEM. Mógł być przez jakiś uważany za zastępcę RADOMYŚLA, co zapamiętał informator JAGODY.

Brycki, podejrzany także o związki z NKWD, został zlikwidowany w Pleśnej w styczniu 1945, już po wkroczeniu Sowietów, przez kolegów z 6 kompanii batalionu BARBARA.

#### BRZOWA, 17 STYCZNIA 1945 ROKU

Z zeznania Jana Pytla, brata Antoniego. Popołudnie 17 stycznia 1945 roku – siedł on z Janiną Studzińską i Bronisławą Kaczorowską, aby zmieścić zboże na chlebową mąkę i koło stodoły Jana Gniadka zobaczył Józefa Gągole i Eugeniusza Nicponia. Gągole schronił się w krzakach zaś Nicpoń podszedł do Pytla, „zahatował, wylegitymował po rusku” i przyłożył mu rewolwer do głowy. Pytel, jak i kobiety zaczęły Nicponiowi mówić po imieniu, że go poznają i żeby się nie wygłupiał. Nicpoń powiedział wtedy, żeby wracali do siebie. Nicpoń z kompanem udali się zaś w stronę domu Antoniego Pytla. Po drodze odwiedzili Jana Gniadka. Nicpoń zażądał pół litra wódki, dostał tylko ćwiartkę. Wypili. Wychodząc Nicpoń zabrał worek znajdujący się w sieni.

11 St. Derus, *Szli partyzanci*, Limanowa 2012, s. 343.

12 J. S. Łątka, *Osełka masła*, „Zdanie” 2011, 1-2 (138-139), s. 85-88; Tenże, *Osełka masła, okupacyjny i powojenny wymiar jednej zbrodni*, Kraków 2014.

Świadek Mieczysław Potępa na rozprawie 28 lutego 1947 roku zeznał, że tego popołudnia Nicpoń miał mówić: „dzisiaj zrobią porządek z Pytlami”.

Na półtorej godziny przed podpaleniem OŁÓW (FRANEK z bliźną) odwiedził Marię Pytlównę. Uchodził za Ukraińca, miejscowi nazywali OŁOWIEM, bo miał zwyczaj żartować – chcesz ołów? Po jakimś czasie do izby, w której siedzieli, wszedł Eugeniusz Nicpoń. Nie powiedział ani słowa, zabrał ze stołu budzik w marmurowej obudowie i bez słowa wyszedł. FRANEK to zrozumiał, niebawem wyszedł za nim z Marią.

Irena Dera pamięta ten wieczór, jakby to było wczoraj. Ściemniało się, Zosia już spała, pozostali grzali się przy kuchni. Niemcy już się wyprowadzili, Rosjanie nie dotarli. Panami byli uzbrojeni partyzanci. Podpalenie było planowane. Kompan podpalaczy Józef Duliński uprzedzał Pytlową. Żyła w napięciu. Miała spakowane walizki. Co mogła zrobić w środku zimy z taką gromadką dzieci, sama bez męża, który z całym łagrem prowadzony był w stronę Zakliczyna? Przez okno widziała, że u Siaków gromadzą się jacyś podejrzani.

Szesnastolatek Edward okupacyjną nudę zabijał grą w karty. Tym razem Pytlowa zachęciła go: „Ty idź do Siaków i popatrz, co to za polska armija tam się gromadzi”. Zofia Ferenc do dziś pamięta, że Siakowie jej opowiadali, że schlanych jak świnie bohaterów jego widok rozjuszył. 16-latek został pobity, może nawet postrzelony. Włożyli go do worka i zabrali idąc podpalić dom Pytlów. Gniadkowa (Siakowa) na kolanach prosiła ich, aby tego nie robili. Odtrącili ją i poszli.

„Edka niosą” – usłyszała Irena głos matki, która podeszła do kotłyski i wzięła Jadwigę na rękę. „Niemcy nie uderzyliby matki z dzieckiem na rękę” – tłumaczyła mi Irena. W ciągu kilku minut nastąpiło piekło.

Pożar na wsi to powszechna mobilizacja wszystkich. Każdy biegnie gasić. Tym razem także sąsiedzi chcieli ratować dobytek Pytlów. Bolesław Potępa (1905-): „Wybiegłem z domu z zamiarem gaszenia. Gdy dobiegłem około 200 metrów od pożaru, zostałem zatrzymany przez jakiegoś osobnika o nieznanym mi nazwisku, osobnik posiadał broń palną grożąc mi, abym natychmiast powrócił do domu, co też z obawy uczyniłem”.

Mieczysław Potępa (ur.1903) zeznał podczas rozprawy w 1947 roku: „Z chwilą wybuchu pożaru ludność zbliżała się do obrony, lecz w około 100 metrów byli obstawieni bandyci i jak ktoś się zbliżał, to odpędzali grożąc zastrzeleniem”. Na pytanie „jaka była ilość bandytów”, padła odpowiedź: „Tego mi nie wiadomo, mniej od ośmiu nie było, gdyż wszystkie drogi były obstawione”.

Jak wykazała rozprawa w 1947 roku, podpalenia dokonał Józef Gągola i Eugeniusz Nicpoń. Wiadomo, że do matki i Ireny strzelał Nicpoń, także później do Marii, która przybiegła ratować dobytek rodziców.

Pijani bohaterowie, mimo że walczyli z kobietami i dziećmi, nie spisali się. Postrzelona w stopę 12-letnia Irena wyprowadziła z palącej się chaty dwóch młodszych braci, którzy wraz z nią schronili się u Ferenców. Marysia, która powróciła zobaczywszy, że dom płonie, po drodze była zatrzymywana przez Nicponia. No i otrzymała serię.

Dotarła do palącej się chaty. Dla zahamowania krwotoku przewiązała się ręcznikiem i choć sama ciężko ranna, wyniosła z ognia mamę i ułożyła na pierzynach przed płonącym domem. Wyniosła kotłyskę z Jadwigą

i postawiła z dala od palącej się chaty. Któryś z oprawców ją znalazł i przez otwarte okno wrzucił do wnętrza płonącego domu. Wtedy Marysia wyniosła Wiškę bez kotłyski i położyła obok konającej matki, która zdążyła jeszcze podać jej pierś. Póki żyła, swym ciepłem ogrzewała maleństwo.

Dopiero teraz Maria usłyszała jęki Edwarda, chwilę go szukała. Był w worku przywiązany drutem do płonącej obory. Druć był rozgrzany, parzył, ale uwolniła brata z worka, potem odciągnęła go od ognia. Niestety postrzelony i poparzony zmarł. Maria dowlokła się z Zosią do Wróblów. Ta odniosła najmniejsze obrażenia. Miała tylko poparzony paluszek.

Najbliższa sąsiadka Matylda Wróbel, żona Leopolda, gdy zobaczyła pożar wybiegła z domu. Stefania Pytlowa zobaczywszy ją resztkami sił wołała: „Matyldzia ratuj”. Nie została jednak dopuszczona do leżącej na pierzynach Stefanii przez osobnika z potężnym kijem. Prawdopodobnie przez Józefa Gągole, który, jak sam zeznał, nie miał broni, tylko „pałę”. Wspomnienie tego wydarzenia prześladowało Wróblową przez całe życie.

Wróblowie sprowadzili księdza do Marii, który po wysłuchaniu jej spowiedzi powiedział zebranych: „Tak ginie niewinne bohaterskie dziecko”.

Żar od płonących zabudowań utrzymał się do rana. Dzieki temu nie zamarzyła nakarmiona mlekiem umierającą matkę niespełna dwumiesięczna Wiška. Nad ranem Ferencowa idąc do Wróblów po mleko usłyszała płacz już zgłodniałego dziecka. Znalazła ją przy już sztywnych zwłokach matki i zabrała pod swój dach.

Przeżyła piątka rodzeństwa Pytlów dzięki pomocy sąsiadów. Nie tylko sąsiadów. Dramatyczny epizod pomocy uzyskanej z najmniej oczekiwanej strony opisała Irena Dera (z d. Pytel) w liście na portalu *800 lat Brzozowej*: „Mnie i Marysię pan Bolesław Potępa, mimo wielu niebezpieczeństw, zawiózł do szpitala wojskowego. Trzeba było przejechać przez Dunajec, a most był wysadzony. Pan Potępa postanowił przejechać rzekę, ale wóz zaczęło znosić, więc skoczył do lodowatej wody i mocno trzymał konie. Z pomocą pospieszyło mu czterech żołnierzy radzieckich, którzy wynieśli wóz na drugi brzeg. Wieczorem, 18 stycznia 1945 r. znalazłyśmy się w szpitalu wojskowym. Marysię zaraz wzięli na operację, bo miała 7 kul w brzuchu. Po operacji żyła jeszcze 4 dni, mnie pewnie dano coś uspokajającego, bo obudziłam się już w innym szpitalu cywilnym w Zakliczynie. Byłam tu do zagojenia rany, a potem zabrał mnie stryj Jan z Kopruchówki. Ponieważ wciąż skakałam na jednej nodze, ks. Józef Boduch postarał się dla mnie o miejsce w szpitalu w Gorlicach, gdzie podobno był dobry chirurg. W marcu wrócił nasz ojciec z łagru i zawiózł mnie do Gorlic. Tu też nie podjęto się operacji, więc kulę mam w nodze do dziś<sup>13</sup>.”

Antoni Pytel, prowadzony z całym łagrem wraz z uciekającymi Niemcami w pewnym momencie korzystając z nieuwagi najbliższych strażników wskoczył do rowu przy drodze i udawał martwego. Jeden z eskortujących chciał go zastrzelić, ale inny kopnął „denata” i rzekł do kolegi: „co będziesz marnował kulę widzisz, że nie żyje”. Do Brzozowej Pytel dotarł, po 6 tygodniach pobytu w łagrze, 21 stycznia. Na pogorzelsku nie miał czego szukać. Udał się do Jana Gniadka. Właśnie chodził ksiądz Józef Boduch po koledze i mu poradził – jak



zeznał Pytel – „abym uciekał z tej wioski, gdyż banda tutaj dalej grasuje i mogą mnie zastrzelić, abym w przyszłości nie szukał sprawiedliwości”. Skorzystał z tej rady i i udał się do brata Wojciecha mieszkającego w Krynicy.

Pogrzebem Pytlowej i Edwarda zajęli się Franciszek Wójcik i Jan Pytel. Pochowali ich 22 stycznia, być może nocą, w tajemnicy przed oprawcami. Sąsiadów nie poinformowano. Nawet Ferencowa nie pożegnała Stefani. Istniała obawa, że oprawcy, gdyby dowiedzieli się o terminie pochówku, nie dopuściliby do niego.

Marysia pochowana została 24 stycznia. Cztery dni po jej pogrzebie Irena wróciła ze szpitala. Z kulą w stopie.

## SPRAWCY

Do tej wyjątkowej zbrodni doszło na skutek niefortunnego zbiegu okoliczności. Po Słonej gorycz kłeski była ogromna. Dodatkowo kompromitacja. Był dobry kandydat na próbę wyjścia z twarzą. Mniej ważne było ustalenie winy. Tak jak w przypadku Jasnochowej i Jansoszanki. Ważny był autorytet wojska.

Dla mnie nie ulega wątpliwości, że mjr JAGODA nie powinien wydawać pochopnie, bez upewnienia się czy „ustalenia” GOLIATA są rzetelne, dyrektywy „niezwłocznie zlikwidować pałac równocześnie jego gospodarstwo”. Ta niefortunna decyzja stworzyła pole działania dla Gągólów i Nicponia. Zachowanie GOLIATA wobec Pytlusioka nie budzi wątpliwości. Był zainteresowany jego likwidacją tak samo, jak wcześniej rozstrzelaniem sołtysa, mimo że został uniewinniony przez GOLIATA 8 stycznia 1945 roku. O zamordowaniu Jasnochy przez nieznaną sprawców raportował JAGODA w meldunku sytuacyjnym z dnia 12 i 13 stycznia 1945 (33.504.3). Z komentarzem: „To morderstwa prawdopodobnie porachunki osobiste”.

Pobudki JAGODY nakazujące „zlikwidować” oraz dodatkowo „pałac równocześnie jego gospodarstwo” wyjaśnia dalsza część jego raportu: „a wykonanie wyroku, wraz z odpowiednim ostrzeżeniem ludności, ogłosić w całym obwodzie”.

JAGODA poszedł za przykładem kpt. LELIWI, który rozkaz rozstrzelania żony i nieletniej córki sołtysa opatrzył komentarzem: „Plagą wprost są różne wiejskie puszczające się dziewczki, które w czasie pracy przy fortyfikacjach mizdrzą się do Niemców i wszystko im donoszą. Kara zostanie rozplakatowana we wszystkich wsiach dla odstraszenia innych”.

Nie wiadomo w jakiej formie i komu dyrektywa JAGODY została przekazana. S. Derus, autor książki *Szli partyzanci* poinformował: „Rozkaz wykonania wyroku otrzymał kapral Franciszek Pyrek z Zakliczyna, ale do wykonania wyroku już nie doszło. Tym niemniej zdrajca zginął wraz z całą [!] rodziną, a dom jego został spalony”.

W powyższym cytacie tylko jeden fragment jest prawdziwy. „Do wykonania wyroku już nie doszło”. Wyroku na niby – zdrajcy. No i to, że zagroda jego rodziców została spalona. Niby – zdrajca został zakatowany pełne pięć miesięcy później.

Józef Duliński, kamrat Nicponia, w 2006 roku przekonywał swe kuzynki Irenę i Jadwigę, że Sąd Polski Podziemnej wydał wyrok spalania całej rodziny. Duliński w AK nie był i skąd on mógł to wiedzieć? Czy on w to wierzył? Po latach, powtarzając, może nawet uwierzył w to, co mówił. Ale są podstawy, iż oczywista jego niechęć do kuzynostwa wynikała z osobistych pobudek.

Piękna kuzynka Maria sprzyjała raczej umizgom FRANKA niż jego. Stąd opinia Dulińskiego, że Marysia była puszczalska. Chciał uczestniczyć w podpaleniu dobytku swej ciotki, ale matka mu nie pozwoliła.

Być może rzeczywiście dyrektywa mjra JAGODY została odebrana jako rozkaz spalania nie tylko dobytku, ale także ludzi. Bo było jasne, że spalanie gospodarstwa, które było źródłem utrzymania całej rodziny, łączyło się ze skazaniem jej na powolną śmierć. Ktoś opracował plan akcji, otoczono zagrodę uzbrojonymi ludźmi i nie dopuszczono sąsiadów do ratowania dobytku Pytlów z pożaru. Sąsiadom idącym na ratunek grożono. Czy mjr JAGODA to przewidział?

Spalenie zagrody Pytlów można uznać za zemstę byłych akowców, ale obecność Stanisława Pyzika (ARWIŃSKI, KWIETNIEWSKI) przy linczu Pytlusioka obciąża konto WiN-u. Jego organizacja – jak pisze Żychowska – początkowo finansowana była z resztek pozostałej kasy po AK. Wiadomo, że przy RADOMYSŁU Niemcy znaleźli „większą gotówkę”. Czesław Gągola był płatnikiem batalionu BARBARA. Nie sądzę, aby nie zadbał o swych ziomków z Brzozowej.

Żychowska o tym dosyć wstydliwym nadal aspekcie partyzanckiej rzeczywistości pisze tak: „Poza tym organizacja zdana była raczej wyłącznie na siebie, stąd przeprowadzano tzw. »akcje ekspropriacyjne«, polegające na zdobywaniu funduszy z instytucji państwowych czy spółdzielczych. Zdarzały się jednak czasem i wypadki dokonywania takich akcji na osobach cywilnych, co było raczej wynikiem samowoli członków tych grup. Na konto działalności grupy Pyzika wpisywano np. wszystkie w okolicy napady rabunkowe dokonywane przez czteroosobową grupę Eugeniusza Nicponia”.

Wpisywano na konto grupy Pyzika, bo Nicpoń pozostawał dowódcą drużyny w Brzozowej, podlegającej pod II pluton organizacji bojowej WiN. Poza tym niełatwe czy „akcje ekspropriacyjne” dokonywał GOLIAT, czy ARTWIŃSKI, czy Nicpoń było to – co wynika z treści tego sformułowania – przymusowe pozbawienie własności bardzo dokuczliwe dla biednej wiejskiej ludności, zubożałej pięcioletnią okupacją i grabieżą nie tylko ze strony Niemców. Toteż w Brzozowej nikt „chłopców z lasu” nie kochał.

Na skutek licznych aresztowań wśród członków WiN-u, Pyzik wyjechał na Ziemię Zachodnie i osiadł w pow. wałbrzyskim. Po latach uczył w szkole rolniczej w Jugowicach. Ujawnił się ze swej działalności 20 marca 1947 r. w PUBP w Wałbrzychu. Broń zamelinowaną w Gromniku z jego polecenia oddał UBP Władysław Łazarczyk ps. PAW. Poszukiwany przez PUBP Tarnów, został „tajnie aresztowany” przez wałbrzyski PUBP 30 października 1948 r. i przywieziony do WUBP w Krakowie, gdzie podał skład podległego mu oddziału<sup>14</sup>.

Oficer śledczy, Władysław Czyż (ten sam, co spotykał się Józefem Kurasiem)<sup>15</sup>, prosił WUBP 15 grudnia 1948 r. o dalszą decyzję, co do tej sprawy. Ponieważ Pyzik ujawnił się wcześniej ze swojej konspiracyjnej działalności, postanowiono 17 grudnia 1948 r. o umorzeniu śledztwa. Nic nie wiadomo, że był przez nową władzę później przesładowany. Wniosek – akceptował nastąpiła rzeczywistość

14 IPN Kr, 056/1, t. 13, Raport sprawozdawczy za okres 1-31 X 1948 r., k. 194-197.

15 J. S. Łątka, *Bohater na nasze czasy? Józef Kuraś, Ogień z Waksundu – porucznik czasu wojny*, Kraków 2007, s 37-67 passim.

Czy Pyzik w ocenie poniekąd tytułowej postaci tego reportażu, byłego harcerza i ministranta to człek, któremu należałoby rzec: zachowałeś się jak trzeba?

Znane lepiej są powojenne losy zastępcy i następcy Pyzika. Feliks Leśniowski urodził się 8 marca 1905 roku w Siemiechowie. Miał wykształcenie podstawowe i 3 klasy szkoły zawodowej. Z zawodu kowal i ślusarz. Od 1942 roku był w BCh dowódcą plutonu Po „wyzwoleniu” nie ujawnił się, zachowując broń, wstąpił do MO pełniąc służbę na Posterunku MO w Gromniku. 28 lutego 1945 roku zwolnił się z MO, potem przebywał u teściów, a następnie został wtajemniczony przez BRATKA w organizującą się sieć ROAK. Wraz ze S. Pyzikiem od nowa współtworzyli placówkę, do której zwerbowali funkcjonariuszy z posterunku MO w Gromniku. Podobno niezwykle ruchliwy i aktywny, ścigany przez UB zbiegł w rejon Nowego Sącza, gdzie tworzył kolejne struktury organizacji. Ujawnił się 4 kwietnia 1947 roku w PUBP Tarnów jako dowódca plutonu NSZ.

LARSEN był cennym dla UBP obiektem werbunkowym. Miał znajomości i znał teren. Starszy referent Jan Pytlik z tarnowskiego UBP przekonał go do współpracy. Wymagane zobowiązanie podpisał dnia 16 maja 1947 roku przyjmując nietypowe pseudonimy „Nr 14” i „K.J. 14”. Jako zadanie miał wysledzić wszystkich, którzy się jeszcze nie ujawnili i nie oddali broni. Podjął pracę w Oddziale Komunikacji Zakładów Azotowych w Mościcach.

Zychowska: „Leśniowski bardzo wiele ujawnił w PUBP; przyznał się też, że to on strzelał do Wł. Lorenca w Siemiechowie (czł. PPS), chociaż sam też był członkiem tej partii. Podał, kto – według niego – miał jakąś broń, a nawet maszynę do pisania. Podał nazwiska wykonujących karę chłosty na członkach PPR”.

Czynnym informatorem Leśniowski pozostawał przez kilka lat. „Na tyle dla UB użytecznym – ocenia Zychowska – że był często wynagradzany finansowo (były to głównie zwroty kosztów podróży na służbowe spotkania). Funkcjonariusze mieli jednak do niego stałe różne zastrzeżenia w rodzaju: nie jest słowny, nie przychodzi na spotkania, nie chce nic podać o członkach, których ujawnił. Gdy coś mówi, to daje się zauważyć, że się boi, by go nie aresztowano za coś, czego nie podał przy ujawnianiu”.

Postawię znów tytułowe pytanie. Czy LARSEN zachował się jak trzeba? Kusi mnie pytanie, czy dalsze wzajemne zabijanie się miało sens? A ci, którzy padli w boju? Pierwszy poległ Czesław Gągola, GOLIAT z batalionu BARBARA. Nie była to śmierć bohaterska. Nikt znający dzieje tego batalionu, nie będzie podważał opinii, że był on prawym żołnierzem. Przynajmniej za takiego uchodził. Do czasu likwidacji sołtysa Jasnochy, no i młodego Pytla. Nawet gdyby wierzył, że sąsiad ze złotym zębem przekazał Niemcom informację o miejscu stacjonowania oddziału RADOMYŚLA, to dlaczego nie poczekał, aż wymiar sprawiedliwości wymierzy mu należną karę? Osobiście angażował się w działania, które doprowadziły do bestialskiego samosądu? Poczucie patriotycznej wyższości? On zasłużony partyzant... a ten bandyta... – tak go nazwał. Skąd wiedział, że najbardziej pożądanym przez miejscowe dziewczyny był bandytą?

GOLIAT, zdaniem Derusa na skutek donosu miejscowych ludzi, został 8 sierpnia 1945 roku zastrzelony przed własnym domem przez funkcjonariuszy UB.

W kwestionariuszu osobowym Czesława Gągoli (GOLIAT-MŚCIWY) z kartoteki WiN-u jest informacja, że został zastrzelony we wsi Słona podczas napadu rabunkowego „bojówki WiN pod dowództwem Nicponia Eugeniusza ps. GRANIT. Przy zabitym znaleziono pistolet sztajer<sup>16</sup> maskę do charakteryzacji i lewą kenkartę na nazwisko Gajewski Zenon”.

Jeśli to prawda, to by znaczyło, że GOLIAT wpadł w przygotowaną na niego pułapkę. Kto ją mógł przygotować? Wiadomo – miejscowi. Mieli go dosyć.

W wyrażonej w 1975 roku opinii brzozowskiego ludowca Edwarda Cieśli, dotąd nigdzie nie publikowanej, jego przyjaciel z czasów okupacji „Czesław Gągola i inni nie złożyli broni i zginęli marnie, a mogliby przydać się ojczyźnie. Winę za to ponosi szczególnie rząd londyński przygotowując partyzantów do trzeciej wojny”.

No i właśnie. Zginął marnie, ale poległ. Czy... ???

Następni polegli: Nicpoń i FRANEK z bliźną. Pierwszy miał narzeczoną, kuzynkę Staszka Pytla. Opowiadali o nim, że pod groźbą użycia rewolweru zamykał jej rodziców w jednej izbie, a sam z Hanią urzędował w drugiej. Ale bliższych szczegółów tego urzędowania brak. Może gdyby był się ożenił, nie podzieliłby losu GOLIATA.

Nicpoń nie miał żadnych szans na życie w pokojowych warunkach. Przejawiał cechy sadysty i zachowywał się jak psychopata. Dowód opublikowała córka Ferenców, Dorota Kapusta w wspomnieniach o swym ojcu: „Tata z mamą postanowili adoptować 3-letnią Zosię [Pytlównę], ale i to się nie udało. Przyszedł do domu rodziców Gienek Nicpoń, złapał dziecko i posadził gołą pupą na gorącej blasze - tata mówił, że można było tylko zacisnąć zęby i nie można było nic zrobić, ponieważ był uzbrojony”.

Adolf Ferenc zeznał, że Nicpoń podczas jednej z wizyt przestrzegł go, że jeśli będzie przetrzymywał dzieci Pytla, to z jego domem stanie się to samo, co z Pytlowym.

Ukrainiec FRANEK z bliźną vel BOHUM vel CZAK, dowcipniś pytający przestraszonych mieszkańców „chcesz ołów?” W aktach figuruje także jako FRANEK od Buby. Jest dosyć dokładny jego rysopis: „Lat około 26, wzrost wysoki, tęgiej budowy ciała, twarz okrągła, szrama na twarzy długości 3 cm na prawym policzku aż do wargi, ubrany w kurtkę z koca popielatego, rajtki z flekami, trzewiki wojskowe sznurowane, owijacze lub pończochy zielone”. Ten sam, który w bitwie pod Słoną, jako żołnierz radziecki został ranny w twarz (Derus). Na zeznania tego żołnierza, naocznego świadka powołuje się JAGODA. Derus dodaje, że był „przechowywany i żywiony przez rodzinę Mieczysława Potępy z Brzozowej”. Może stąd przypisywane mu jest nazwisko Potępa. Nieznany bliżej anonimowy CZEK figuruje na liście żołnierzy 3 kompanii batalionu BARBARA.

Nicpoń i FRANEK to trzon grupy terroryzującej Brzozową i okolicę przez dwa lata. Z akt sprawy czternastki osądzonej w 1947 roku wynotowałem udział Nicponia w zorganizowanych napadach. Wiosną 1945 roku o godz. 23 dom Stanisława Potępy z Gromnika otoczyło kilku uzbrojonych osobników. Obwieścili mu, że jak nie zostaną wpuszczeni, to wejdą i go zastrzelą. Weszło tylko dwóch. Jeden ubrany po wojskowemu w czapce połowce rogatywce i w płaszczu wojskowym, drugi

16 Steyr-Hahn, austro-węgierski pistolet samopowtarzalny konstrukcji z lat 80. XIX wieku.

po cywilnemu. Zażądali 50 tys. zł. Potępa usłyszał, że jak nie da, to zostanie zastrzelony. Miał tylko 8 tysięcy i je wręczył. To było dla nich za mało. Dokonali rewizji i zabrali: 11 sukienek damskich, dwa płaszcze damskie, 2 zegarki na rękę, materiał (na ubranie?) nowy, skóry na buty 4 pary, buty z cholewami, pas skórzany do kieratu, bieliznę, pościel, chusteczki do nosa, chustki na głowę, maszynkę do mięsa, trzy maszyny do szycia- same głowy, dwa złote pierścionki, noże stołowe, pasy na konie, słoniny 25 kg.

Potępa napadu nikomu nie zgłosił, ale od Maniaka, szewca z Gromnika dowiedział się, że został okradziony przez Czesława Gągołę. Od kogoś innego otrzymał informację, że – jak zeznał – „jakbym dał dwa tysiące złotych do Nicpoń z Brzozowej powiedziałby mi, kto mnie okradł, bo on też był na tem rabunku”. Z rady nie skorzystał.

25 listopada 1945 roku wraz z m.in. FRANKIEM z bliźną, Mrukiem i innymi bojownikami dokonali napaści na dom Edwarda Maniaka z Siemiechowa i zabrali: 6 ubrań męskich, 5 sukienek, 2 kostiumy damskie, 4 swetry, bieliznę męską i damską, 7 par butów, główkę do maszyny do szycia wiele rzeczy użytku domowego.

W grudniu 1945 r. ta wspomagająca się trójka wraz z kolegami z WiN uczestniczyła w najściu na dom Juliana Gądka w Wróblowicach. Po sterroryzowaniu gospodarzy bronią palną, zabrano i skonsumowano na miejscu 5 litrów bimbrowa i 6 kilogramów kiełbasy. Z końcem grudnia 1945 r. tych trzech, wraz innymi podkomendnymi Leśniowskiego złożyło wizytę w Jastrzębi żołnierzowi WP Franciszkowi Wierzchowcowi, któremu po sterroryzowaniu zabrali broń.

Początek stycznia 1946. Napad na dom Podlasiewicza w Siemiechowie. Tym razem zadowolili się tylko 2 litrami bimbrowa. 1 lutego 1946 roku, pod dowództwem Stanisława Pyzika napaść na dom Jana Kusia w Gromniku, któremu zabrano pistolet parabellum wraz z pasem i futerałem. Był to prawdopodobnie ostatni wspólny występ trójki brzozowskich „muszkieterów”. Pozostający w ubezpieczeniu FRANEK z bliźną zastrzelił milicjanta Stanisława Tomaszewicza, który przypadkowo znalazł w pobliżu. To nie było w programie. Dowodzący akcją Pyzik nie krył niezadowolenia. Wygląda na to, że zastrzelenie Tomaszewicza to był wyrok śmierci na FRANKA i Nicponia. W ankiecie członków WiN-u jest informacja: „Przypuszczalnie zginął w potyczce z MO Gromnik wraz z Nicponiem” 9 września 1946”.

Znaleźli się tacy, że w konkretnej sytuacji zachowali się jak trzeba, niezależnie od różnic politycznych. W aktach Kazimierza Kwieka ps. KUREK, zwerbowanego przez Feliksa Leśniowskiego jest zeznanie, że brał udział w dwóch akcjach. W pierwszej w kwietniu 1946 był w Rzepienniku po karabin. „Drugim raz byliśmy w Brzozowej, gdzie zabilismy[!] Nicponia Eugeniusza”. Wraz z ziomkiem z Siemiechowa Stanisławem Wojtanowiczem oraz Andrzejem i Stanisławem Krasami, funkcjonariuszami MO z Gromnika.

Dlaczego KUREK zeznał „zabiliśmy”. Z reguły żołnierze zeznawali zastrzelili, wykonaliśmy wyrok? Kulisy tej akcji rozpracowała Żychowska. „Szczególne zagrożenie bezpieczeństwa miejscowej ludności z powodu bezkarnie grasujących band rabunkowych skłoniło byłego dowódcę placówki »Gertruda« Edwarda Brońka ps. »Bratek«, potem także komendanta MO w Tuchowie do zabrania głosu w tej sprawie. Na zebraniu organiza-

cyjnym w domu Karoliny Fijor w Siemiechowie, dnia 20 czerwca 1945 r. nawoływał do współpracy żołnierzy AK razem z MO w tępieniu złodziei, aby nie kompromitować AK. I do takiej współpracy MO z WiN dochodziło”.

Do wniosku BRATKA pozytywnie odniósł się Stanisław Pyzik. Złożył w tarnowskiej Radzie WiN wniosek o ich likwidację, który zatwierdzony został przez zastępcę kierownika Rady WiN Tarnów Bolesława Kalacińskiego (TRAWKA) jako wyrok śmierci na Eugeniusza Nicponia i FRANKA. 15 lipca 1946 r. przyjechał do Brzozowej dowódca grupy dywersyjnej tarnowskiego WiN Jan Jandziś (SOSNA) wraz z Tadeuszem Puchałą, Augustynem Kurkiem i Wojciechem Rajskim. Nazajutrz doszło do spotkania w Siemiechowie w domu Kazimierza Kwieka ze skazanymi. Okazało się, że Nicpoń i FRANEK są ich towarzyszami broni z batalionu BARBARA. Dodatkowo Józef Gągola zaręczył za nich, że zaniechają uprawiania procederu. Wówczas Jandziś odstąpił od wykonania wyroku<sup>17</sup>.

Kalaciński ponownie nalegał na wykonanie wyroku, ale ekipa ta odmówiła jego wykonania. Kalaciński nie znalazł innych wykonawców.

Nie próżnował natomiast, ponaglany przez swych zwierzchników, komendant posterunku MO w Gromniku, Jan Zięcia. W lipcu 1946 r. poprosił Pyzika o współpracę. Otrzymał pomoc nie tylko informacyjną, jak wsparcie jego podkomendnych. 8 września 1946 r. na wiadomość, że Nicpoń przebywa na chrczinach w Brzozowej, ekipa składająca się z dwóch milicjantów z Gromnika i dwóch WiN-owców z Siemiechowa obstawiła dom uczujących. Andrzej Kras wezwał Nicponia do wyjścia, ten otworzył ogień i uciekał w stronę lasu. Wówczas funkcjonariusz rzucił granat. Celnie.

O likwidacji zabójców milicjanta przy współpracy z MO zeznał Stanisław Pyzik w 1948 roku: „Do działalności naszej należało [...] i tępienie bandytów i w wyniku tejże dopomożono Milicji Obywatelskiej do zlikwidowania dwóch [!] bandytów z naszego terenu, którzy byli obwinieni o zastrzelenie milicjanta”<sup>18</sup>.

Nicpoń nie miał takiego szczęścia jak Józef Gągola. Owszem jest w kartotece żołnierzy wykłętych (WiN). Nie stanął jednak obok Gągoli jako oskarżony w procesie „czternastki”. I nie stał się jednym bohaterów wystawy IPN w Krakowie w 2008 roku *Skazani na karę śmierci przez Wojskowy Sąd Rejonowy w Krakowie*. Kara śmierci Gągoli była karą częściową. Na mocy amnestii z 22 lutego 1947 r. złagodzone wyrok do 15 lat więzienia.

Po odsiedzeniu części wyroku skazany do Brzozowej nie wrócił.

Brzozowa została uwolniona od trzech tu niechętnie wspominanych miejscowych bohaterów. Pamięć o ich niezbyt chwalebnych czynach jednak pozostała.

## JERZY S. ŁĄTKA

17 M. Wenklar, *Organizacja „Wyzwolenie” Feliksa Leśniowskiego „Larsona” (1945–1947)*, w: Dawid Golik (red.), *Masz synów w lasach, Polsko... Podziemie niepodległościowe i opór społeczny na Sądeczyźnie w latach 1945–1956*.

18 IPN Kr., op.cit., k. 10.



ZIAD ABOU-SALEH

# SYRYJSKI DRAMAT

## Struktura etniczno-religijna społeczeństwa syryjskiego

Spółeczeństwo syryjskie jest niejednorodne etnicznie i religijnie. Zróżnicowanie tego typu istniało od początków państwa syryjskiego, obecnie uległo jednak dramatycznemu pogłębieniu. Dominują Arabowie (90 proc. ludności), pozostali to przede wszystkim Kurdowie i Ormianie. Etniczną strukturę społeczeństwa syryjskiego dopełnia kilka innych mniejszości, spośród których stosunkowo najliczniejsi są sunnicy Turkmeni – lud spokrewniony z Turkami wywodzący się z Azji Centralnej.

Zdecydowana większość społeczeństwa – 92,8 proc. – to wyznawcy islamu, spośród których największą grupę (60 proc. mieszkańców Syrii) stanowią sunnici. Mimo małej liczebności – dwa i pół miliona ludzi (11 proc. populacji) – niezwykle ważną pozycję zajmują alawici. Przed laty zyskali duże wpływy w wojsku, co ułatwiło im przejęcie władzy należącej do tej mniejszości rodzinie Assadów. Wyróżnia ich religia oparta na islamie, ale znajdują się w niej także liczne elementy starzych wierzeń hellenistycznych oraz różnych kultów astralnych.

W Syrii mieszka niewielka, licząca 5,2 proc. grupa chrześcijan, wśród których przewagę mają wyznawcy prawosławia (należą do wielu Kościołów obrządku wschodniego; w sumie 2,9 proc.) i katolicy (2,1 proc.)

wobec bardzo skromnej społeczności protestanckiej (0,2 proc.). Brak religijnego zaangażowania deklaruje 2 proc. Syryjczyków.

## Świat arabski – historia zależności i rządów autorytarnych

Przez wiele wieków Arabowie poddani byli władzy Turcji osmańskiej, państwa charakteryzującego się wówczas z jednej strony fanatyzmem religijnym, z drugiej zaś skrajnym despotyzmem. Tego typu polityczna, militarna i ekonomiczna dominacja miała niebagatelny wpływ na dynamikę, kierunek i zakres rozwoju społeczności arabskiej. W okresie podległości z trudem zdobywała doświadczenie w tworzeniu i realizowaniu samodzielnej polityki.

Rozpad imperium osmańskiego nie wpłynął znacząco na wzrost arabskiej autonomii politycznej i kulturowej. Działania prowadzone na szeroką skalę przez Francję i Anglię doprowadziły do powstania na Bliskim Wschodzie i w Afryce północnej organizmów państwowych o cechach kolonialnych lub półkolonialnych. Mimo braku niezależnych państw arabskich właśnie tutaj ruchy antykolonialne podejmowane od początku XX wieku były pierwszym masowymi inicjatywami społecznymi zmierzającymi do budowy społeczeństwa demokratycznego w świecie, który dotychczas nie znał takich rozwiązań.

Nawet pobieżny rzut oka na mapę daje wyobrażenie o geopolitycznym znaczeniu tego regionu. Z oczywistych względów Bliski Wschód od dawna jest polem rywalizacji o wpływy polityczne i militarne państw europejskich, a z czasem także Stanów Zjednoczonych. Nie bez znaczenia było także powstanie w tym regionie Izraela i trudne sąsiedztwo żydowsko-arabskie. W oczywisty sposób sytuację dodatkowo komplikują zabiegi światowego biznesu o możliwie najbardziej korzystny dostęp do znajdujących się tutaj bogactw naturalnych, a zwłaszcza zasobów ropy naftowej i gazu. Kraje arabskie wydają się leżeć nieco na uboczu, ale wszak od nich jest blisko do Afryki, Azji i Europy. A najbliżej właśnie do złóż energii. Jakkolwiek cynicznie by to zabrzmiało, Syria stała się rekwizytem w wielkiej politycznej rozgrywce. Jest dziś też jedną z największych ofiar na ołtarzu petrozysków z budowy kolejnych rurociągów z Kataru, Iraku, Iranu i Turcji do bezpiecznych i stabilnych państw Europy Zachodniej.

### Dynamika protestów społeczno-politycznych na Bliskim Wschodzie

Jeśli jest możliwe wskazanie jednego wydarzenia jako inicjującego złożony proces społeczny czy historyczny, to w wypadku tak zwanej Arabskiej Wiosny za takie często uważane jest samospalenie dokonane 17 grudnia 2010 roku przez ulicznego sprzedawcę w Sidi bou Saïda (Tunezja). W kraju doszło do demonstracji i bardzo emocjonalnych wystąpień ludności. Fala niezadowolenia społecznego szybko rozlała się po krajach Maghrebu i Bliskiego Wschodu.

W Syrii pierwsze masowe protesty nastąpiły w styczniu 2011 roku w miejscowościach Al Hasaka, Daraa, Hums. Szybko zwiększała się ich ilość i społeczne poparcie dla nich praktycznie w całym kraju. Obiektem krytyki stał się w szczególności prezydent Syrii Baszar al-Assad, którego rodzina od blisko pół wieku rządzi Syrią. Przejęła ona władzę w wyniku dwóch zamachów stanu (zdaniem jednych) lub rewolucji (w opinii drugich), które nastąpiły pod przywództwem Hafiza al-Assada na przełomie w lat 60. i 70. XX wieku. Jako prezydent przez 30 lat kierował państwem i przewodził partii BAAS. Potem władzę przejął jego syn Baszar al-Assad.

Bardzo silna pozycja armii oraz jej liczne związki z ekipą rządzącą uczyniły z niej szczególnie ważny element sprawowania władzy państwowej. W przekonaniu, że dzięki represjom – podobnie jak wielokrotnie wcześniej – uda się opanować sytuację, do tłumienia protestów użyto także wojsko. Spowodowało to jednak nasilenie rozruchów społecznych, a wydarzenia w Syrii stały się częścią dążącego do reform ogólnoarabskiego ruchu społecznego i politycznego. Wiadomości o wydarzeniach zaczęły pojawiać się w mediach krajowych, ale niebawem również światowych. Na potrzeby przekazów reporterskich i publicystycznych omówień stworzono tyleż chwytliwe, co nieprecyzyjne i dalece upraszczające określenie: **Arabska Wiosna** czy **Syryjska Wiosna**.

Syryjski wewnętrzny konflikt militarny u swych początków miał charakter spontanicznego powstania ludowego. Nie było ono przygotowane pod względem organizacyjnym, brak było zarówno dowódców merytorycznie kompetentnych pod względem wojskowym jak

i politycznych przywódców, jasno wyznaczonych zadań, a w dłuższej perspektywie czasowej – rozstrzygnięć strategicznych. Już w pierwszych tygodniach zaczęli napływać bojownicy z całego świata. Część z nich – lepiej przygotowana i doświadczona organizacyjnie – zaczęła wpływać na przebieg *Syryjskiej Wiosny*. Także dzięki temu siłę oddziaływania zyskały ugrupowania fundamentalistyczne, a szczególnie al-Kaida oraz jej modyfikacje (Islamic State of Iraq and Sham ISIS, Państwo Islamski PI, DAESH). Dziś w Syrii walczy cały świat – Amerykanie, Rosjanie, Turcy, Irańczycy, Irakijczycy, ochotnicy z Arabii Saudyjskiej, Kataru, Libii, Tunezji, Czeczenii... Jest też polski ślad w postaci pochodzących z Polski najemników. Współczesna wojna to miejsce pracy dla zawodowców. W spotkaniu z nimi amatorzy, którzy pod wpływem impulsu chwycili za broń, by walczyć o swoje sprawy, są całkowicie bez szans.

Rejony walk są praktycznie niedostępne dla dziennikarzy i obserwatorów organizacji pokojowych i humanitarnych. Trudno jest więc z wiarygodnym prawdopodobieństwem oszacować straty narodu syryjskiego. Tym bardziej iż nadal giną ludzie i trwa *exodus* ludności do ościennych państw – głównie Turcji, Jordanii, Libanu – oraz do UE. Nic nie wskazuje na to, aby w najbliższym czasie mogło dojść do jakiegoś przesilenia politycznego, które doprowadzi do pokoju i stabilizacji. Wbrew nadziei zwykłych mieszkańców *Syryjska Wiosna* stała się *Syryjską Jesienią*.

### Stosunek Syryjczyków do Arabskiej Wiosny

W badaniach socjologicznych (między innymi w formie ankiety internetowej) poproszono Syryjczyków o wskazanie czynników, które ich zdaniem zadecydowały o wybuchu rewolucji w świecie arabskim. Rozkład odpowiedzi respondentów – przebywających w ogarniętym wojną kraju i żyjących na emigracji – był następujący: skorumpowanie rządów – 90 proc., wola Boga – 88 proc., kryzys światowy – 81 proc., negatywna reakcja na oddziaływanie mediów – 78 proc., nierówności społeczne i niesprawiedliwość – 77 proc., brak pracy – 62 proc., rywalizacja mocarstw światowych – 57 proc., zła sytuacja ekonomiczna – 49 proc., działania Zachodu i NATO – 43 proc., analfabetyzm wśród Arabów – 32 proc., kolonialna przeszłość i jej skutki – 31 proc.

Jak widać, dominowały wskazania charakterystyczne dla silnych zaburzeń społecznych, czyli skorumpowanie rządów i nierówności społeczne. Można je nazwać przyczynami wewnętrznymi. Podkreślano również znaczenie czynników zewnętrznych – kryzys światowy, rywalizacja światowych mocarstw czy też oddziaływanie państw Zachodu i NATO. Bardzo dużo ankietowanych uznało za przyczynę wybuchu niezadowolenia społecznego wolę Boga, a więc przyczynę niezależną od woli i działań człowieka.

Na pytanie bardziej szczegółowe „Jakie czynniki miały decydujący wpływ na wybuch *Arabskiej Wiosny* w Syrii?” – 88 proc. ankietowanych za najważniejszy uznało wybuch rewolucji w innych krajach arabskich (Tunezji, Egipcie, Libii i Jemenie), dostęp do środków masowego przekazu (85 proc.), podziały i nierówności społeczne (80 proc.), korupcja i patologie w sprawowaniu władzy (75 proc.), złe gospodarowanie zasobami ekonomicznymi (51 proc.), stosunki międzynarodowe Syrii (33proc.) i czynniki religijne (14 proc.).

Jednocześnie respondenci – aż 66 proc. – byli przekonani, że najślabszy wpływ na doprowadzenie do wybuchu społecznego miała religia, a 20 proc. uznało, iż religia miała zaledwie średni wpływ. Zdaniem badanych dużej roli nie odegrały też stosunki Syrii z innymi państwami regionu. Ich związek z wybuchem tak zwanej *Arabskiej Wiosny* w Syrii dostrzegło w małym stopniu 20 proc. ankietowanych, w stopniu średnim 47 proc. odpowiadających, a 33 proc. uznało, że był to jeden z decydujących czynników.

Z przytoczonych danych można wysnuć wnioski, iż w świadomości Syryjczyków główną przyczyną zaistnienia i eskalacji konfliktu społecznego aż do jego rewolucyjnej manifestacji były sprawy wewnętrzne. Jakkolwiek najczęściej ankietowanych wskazało na przyczynę protestów społecznych w Syrii ich wybuchy w innych krajach arabskich, to jednak należy ten pogląd interpretować w tym duchu, iż zdaniem respondentów były one jedynie impulsem, który doprowadził do wybuchu *Arabskiej Wiosny* w Syrii, a nie jej bezpośrednią przyczyną. Wyraźnie nie doszło tutaj do swoistego „eksportu rewolucji” z innych państw świata arabskiego.

Na uwagę zasługuje bardzo wysoki odsetek osób uznających za jedną z głównych przyczyn *Wiosny Syryjskiej* dostęp do środków masowego przekazu. Wskazanie to należy postrzegać dwojako. Na poziomie podstawowym mamy do czynienia z oddziaływaniem informacji o wydarzeniach wewnątrz kraju i w jego najbliższym sąsiedztwie. W ujęciu szerszym – chyba istotniejszym – widoczny jest wzrost świadomości medialnej odbiorców, ich umacniająca się potrzeba swobodnego kontaktu z rzetelną informacją i publicystyką. Elektroniczny dostęp do różnorodnych mediów, odmiennych także pod względem ideologicznego bądź biznesowego zaangażowania, przyczynił się do zakwestionowania informacyjnego monopolu syryjskiego reżimu. Dzięki temu w materiałach prezentowanych w publikacjach podległych al-Assadowi bardziej widoczny stał się dla Syryjczyków brak obiektywizmu, występowanie w interesie władzy czy manipulowanie faktami.

### **Syryjska Wiosna – aspekt polityczno-ekonomiczny**

Współczesny świat arabski jest ekonomicznie bardzo niejednorodny, co powoduje między innymi jego polityczną niestabilność. Za kluczowe dla zrozumienia genety, dynamiki i istoty obecnych napięć społecznych w tym regionie trzeba uznać niewielkie zainteresowanie bogatych państw arabskich wspieraniem ekonomicznie uboższych kulturowych pobratymców. Wzrost inwestycji w mniej rozwiniętych krajach arabskich korzystnie wpłynęłyby nie tylko na ogólną sytuację na Bliskim Wschodzie, ale miałyby też – jak należy przypuszczać – niebagatelne znaczenie dla rozwiązania lub przynajmniej złagodzenia części problemów społecznych i politycznych tego rejonu świata.

Gospodarka arabska korzysta głównie z surowców i w bardzo niewielkim stopniu związana jest z najnowszymi technologiami. Państwa arabskie próbują samodzielnie znaleźć sobie lepsze miejsce w międzynarodowym podziale pracy. Stosunkowo dobrze – dzięki korzyściom z ropy naftowej oraz dodatkowych profitów wynikających z regulowania poziomu jej wydobycia i kształtowania dystrybucji – udaje się to krajom zamożnym. Inne takiej możliwości są pozbawione. Rozdź-

więk, jaki istnieje pomiędzy światową czołówką gospodarczą a większością państw arabskich, doprowadza ich obywateli do niechęci, często zaś także do wrogości wobec lepszego, bogatego świata (w dużej mierze – zważywszy na skrajnie interesowne zaangażowanie ekonomicznych potentatów – uzasadnione).

Poczucie indywidualnej frustracji może prowadzić do kumulacji emocji. Gdy jest doświadczeniem dość powszechnym, sprzyja narastaniu napięć społecznych. Brak spójnej, zewnętrznej polityki arabskiej i świadomości wagi jej tworzenia, doprowadził do – obejmujących coraz większy obszar – społecznych i politycznych zaniedbań, zaniechań i konfliktów. Brak jest inicjatyw, które byłyby rzeczywiście w stanie im skutecznie przeciwdziałać. Nie ma też organizacji reprezentującej i realizującej wobec Zachodu wspólne arabskie cele. Z czasem wytworzyła się szczególna próżnia, którą obecnie w coraz większym zakresie zawiadują ugrupowania fundamentalistów islamskich, a zamiast prób rozwiązywania problemów oferuje się ideologię. Czyni tak na przykład al-Kaida przedstawiająca się jako obrońca współczesnego Araba (ale też muzułmanów pochodzących z innych krajów Trzeciego Świata) przed ekspansją polityczną, gospodarczą i kulturową Zachodu. Uniwersalnym społecznym lepiszczem, swoistym panaceum, ma być religia, postrzegana przez zwolenników tej wizji nie jako wspólnota duchowo-kulturowa, lecz narzędzie walki. Stąd tak silny przekaz o *świętej wojnie* (*dżihad*).

Państwa arabskie – jak dotychczas – nie stworzyły realnej politycznie i społecznie akceptowalnej przeciwwagi dla radykalizujących się różnych odmian wojującego islamu. *Syryjska Wiosna* była ruchem spontanicznym, typowym powstaniem ludowym. Buntem przeciw niesprawiedliwości władzy, ale również przeciwko światu procesów globalizacji, w którym marginalizacji ulegają społeczności i narody. Proces ten wzbudza coraz powszechniejsze zaniepokojenie. Być może – wraz z powiększającymi się dysproporcjami własnościowymi – stanowi zagrożenie nie tylko dla najbliższej ekonomicznej i politycznej przyszłości świata, ale również dla możliwości pokojowego rozwoju ludzkości i dalszego funkcjonowania demokracji w znanym nam obecnie kształcie. Wiadomo nie od dziś, że skutki głębokich podziałów w sferze ekonomicznej i społecznej przenoszą się na płaszczyznę polityczną, powodując otwarte i niezwykle silne konflikty. Banalność tej konstatacji w niczym nie umniejsza jednak jej prawdziwości.

### **Polityka międzynarodowa, a wojna w Syrii**

Trzeba przyznać, że międzynarodowa społeczność już we wczesnym stadium syryjskiego konfliktu podjęła działania, które miały – jak sądzono – osłabić skalę dramatu. Sprawę czynnej interwencji w Syrii rozpatrywała Rada Bezpieczeństwa ONZ, jednak *вето* stałych członków – Rosji i Chin – udaremniło przyjęcie takiego postanowienia. Gdyby odpowiednio wcześniej, gdy byłyby jeszcze duże szanse na uzyskanie porozumienia wewnętrznego, użyto wojsk ONZ do rozdzielenia walczących stron, być może nie doszłoby do eskalacji przemocy. Stało się jednak inaczej, czego tragicznym efektem są setki tysięcy ofiar, miliony osób pozbawionych domostw i osamotniona Syria niszczone przez skrajne ugrupowania i pogłębiający się terroryzm. Wo-



bec sprzecznych interesów światowych mocarstw iowości działań dyplomatycznych, zwłaszcza zaś warunkowań ekonomicznych, stanowiących istotne tło dla politycznych deklaracji oraz odbywającej się na jeszcze dalszym planie rywalizacji militarnej, nikną nadzieje na lepsze, pokojowe życie narodu syryjskiego.

Wielcy i mniejsi polityczni gracze rozdają swoje znaczone karty. Rosja była i jest w dobrych stosunkach z rządem Assadów. Posiada w Syrii bazę wojskową i od wielu lat umacniała tutaj swoje wpływy. Z punktu widzenia interesów Rosji jako eksportera ropy naftowej i gazu ziemnego stabilizacja polityczna na Bliskim Wschodzie nie jest priorytetem. Niepokój w tej części świata oznacza bowiem wyższe ceny ropy naftowej. Zwłaszcza teraz, gdy *Arabska Wiosna* okazała się być pełna burz.

Inna jest perspektywa widzenia konfliktu w Syrii przez Amerykanów. Zaangażowanie się na tym terenie dużych sił al-Kaidy, ISIS i ich odłamów oddała zagrożenie terrorystyczne z ich strony od przeciętnego mieszkańca Stanów Zjednoczonych. Ostatnie ogromne zbrojenia Arabii Saudyjskiej, która w 2013 roku wydała na ten cel 9 proc. PKB, czyli 67 mld USD, też nie napawają optymizmem. Skrajną naiwnością byłoby przeświadczenie, że jeśli dokonuje się tak ogromnych zakupów, to zgromadzona broń nie zostanie niebawem użyta. Czy nie tutaj? Czy podczas już rozgrywanego się bądź dopiero planowanego konfliktu?

Jest zrozumiałe, wręcz oczywiste, że prowadzi to do kryzysu zaufania wobec instytucji międzynarodowych. W powszechnym przekonaniu zwykłego syryjskiego obywatela nie są one w stanie działać skutecznie na rzecz stabilizacji politycznej w Syrii. Świadczą o tym wyniki badań ankietowych, podczas których zadano pytanie: „Do jakich struktur o międzynarodowym oddziaływaniu miałbyś zaufanie w sprawie pośrednictwa w rozwiązaniu konfliktu w Syrii?”. Ze wskazań respondentów wynika, że najgorsze notowania w tym szczególnym rankingu ma Liga Państw Arabskich. Negatywna ocena wynika – jak można z dużą dozą pewności przypuszczać – z zawieszenia w 2012 roku członkostwa Syrii w tej organizacji. Uzasadniane to było krwawym tłumieniem przez władze protestów społecznych, lecz decyzja ta została bardzo źle przyjęta przez Syryjczyków.

Nie zaskakuje też niski poziom zaufania do Rady Współpracy Zatoki Perskiej. Jest to bowiem organizacja lokalna zrzeszająca sześć najbogatszych państw arabskich i – zdaniem wielu Syryjczyków – skupia się na zagadnieniach, które nie wiążą się z codziennymi problemami przeciętnego mieszkańca Bliskiego Wschodu. Nieco podobnie traktowana jest grupa G-8. Tworzą ją najbardziej uprzemysłowione kraje świata (Stany Zjednoczone, Niemcy, Wielka Brytania, Francja, Włochy, Japonia, Kanada i Rosja), jest więc reprezentantem interesów kapitału zachodniego, a zatem nie będzie autentycznie zaangażowana w rozwiązanie napięć w innym rejonie globu. Tym bardziej że nadające ton Stany Zjednoczone są tutaj traktowane jako sojusznik Izraela.

Ocena ONZ wynika z realnych możliwości podjęcia przez nią konstruktywnych działań prowadzących do rozwiązania konfliktu syryjskiego. Prawo weta przyznane światowym potęgom naraża Radę Bezpieczeństwa

na uwikłanie w doraźne rozgrywki polityczne i ekonomiczne. W praktyce czyni więc tę organizację bezradną wobec takich napięć polityczno-militarno-społecznych.

Spośród wymienionych dziewięciu podmiotów polityki międzynarodowej tylko dwa osiągnęły poziom zaufania przekraczający 50 proc.: Organizacja Konferencji Islamskiej oraz Stolica Apostolska. Organizacja Konferencji Islamskiej skupia obecnie 57 państw oraz grupę państw będących obserwatorami lub kandydatami. Jest to największa organizacja państw muzułmańskich i chociażby z tego powodu cieszy się dużym autorytetem w świecie muzułmańskim, w tym też u obywateli państw arabskich. Największym jednak zaufaniem cieszy się Watykan, co w dużej mierze obala stereotyp Araba/Syryjczyka jako człowieka, który nie jest otwarty na dialog i porozumienie z przedstawicielami innych religii.

### Syryjska Wiosna Arabska w światowych mediach

Docierające dzięki mediom relacje o konflikcie zbrojnym w Syrii nawet w części nie oddają złożoności obecnego kryzysu. Dominują przekazy, które ukazują straty materialne. Marginalnie traktowana jest sfera emocji. Ograniczenie się do statystyk odwraca uwagę opinii publicznej od tragedii Syryjczyków jako przede wszystkim mężów, matek i dzieci. Nie uzmysławia skali panującej tam brutalności, rzeczywistości zabójstw w imię wolności; mordów dla zarobku, z zemsty, głodu czy wreszcie z gniewu; ulicznych rabunków i napadów na domy; porwań dla okupu czy handlu narządami ludzkimi; przemocy stosowanej przez wojsko, dezertów, terrorystów, al-Kaidę, ISIS czy zwykłych bandytów. Zło nie zamyka się w ramach granic kraju ogarniętego najgorszą, bo bratobójczą, wojną – dopada również szukających schronienia w obozach uchodźców w Turcji, Libanie, Jordanii i Iraku.

Współczesne media – zwłaszcza ich odmiany elektroniczne – podporządkowane są wymogom skrótu i atrakcyjności. Dlatego nie powinniśmy oczekiwać od nich wnikliwych analiz omawianych wydarzeń. Przydałyby się jednak choćby pogłębione komentarze, bez których materiały z Syrii są tylko zbiorem wyrwykowych, zwykle niespójnych i pobieżnych informacji. Na ich podstawie często można odnieść wrażenie, iż różnica między szatanem a aniołem jest grubości włosa, a rację mają silniejsi. A tu wszystko jest tak rozgrywane, by silniejszego nie było – wszyscy mają słabnąć w takim samym stopniu, zabijać się też proporcjonalnie. Do politycznej nieskończoności.

Wiele ciekawych wniosków dała obserwacja funkcjonowania i roli mediów w czasie wojny domowej w Syrii. Zwłaszcza zaś analiza prezentowanych materiałów pod kątem kreowania obrazu zdarzeń i wpływania na postawę odbiorców. Skupiono się na elektronicznych – dostępnych w internecie – wersjach najważniejszych serwisów informacyjnych nadawanych w państwach Bliskiego Wschodu i krajach sąsiednich, ale również mediów o znaczeniu ponadregionalnym.

W kręgu zainteresowania znalazły się zatem al-Jazeera (Katar), al-Arabiea (Arabia Saudyjska), TRT (Turcja), CNN (USA), France24 (Francja) oraz BBC (Wielka Brytania). Zazwyczaj są one krytyczne wobec polityki prowadzonej przez prezydenta Syrii al-Assada. Sprzyjają jej natomiast syryjska TV al-Dunia, irańska

al-Alam oraz rosyjska Russia Today. Tę grupę dopełnia al-Jadeed z Libanu, którą na tym tle można uznać za umiarkowaną. Wszystkie poświęcają dużo miejsca relacjom z wydarzeń syryjskich, różnią się doświadczeniem, dorobkiem, zakresem międzynarodowej popularności oraz ukierunkowaniem na odmiennego odbiorcę. Jednak przede wszystkim trzeba uwzględnić orientację ideologiczną, polityczną ich właścicieli i głównych sponsorów. Nie zawsze musi to prowadzić do przekazywania informacji w prymitywnie stroniczy sposób, ale często można wskazać, jak rozkładają się sympatie osób je przygotowujących.

Kwerendy przeprowadzono w latach 2012 (w każdy piątek od marca do listopada – 37 dni obserwacyjnych) oraz 2014 (od stycznia do maja, w każdą sobotę i niedzielę – 38 cykli badawczych). Dzięki temu możliwe stało się uchwycenie dynamiki zmian. Porównano między innymi liczbę wypowiedzi w poszczególnych – wyodrębnionych na potrzeby badań medioznawczych – grupach zagadnień. O ile w roku 2012 takie wydarzenia jak śmierć i eksplozje były tematem doniesień we wskazanych mediach 358 razy, to w dwa lata później już 865; terroryzm i al-Kaida – 591 do 998 w 2014 roku; cierpienie, krzywda, gwałty – odpowiednio 98 i 983.

Niewątpliwie wiązało się to z zaostrzeniem konfliktu syryjskiego – postępującą determinacją i bezwzględnością jego uczestników, których zachowania przeszły w fazę bardziej dynamiczną, podczas której działania zbrojne przybrały bardziej groźną formę. Blisko dwukrotnie częściej mówi się przy tym o roli, jaką odgrywa w tych wydarzeniach al-Kaida, ISIS i inne ugrupowania skrajnie radykalne. W latach następnych ilościowy przyrost informacji we wszystkich przywołanych tutaj grupach był jeszcze bardziej gwałtowny.

W ocenie relacji o rewolucji syryjskiej istotnym kryterium jest stosunek mediów do prezydenta Syrii Baszara al-Assada oraz jego ojca i poprzednika na tym stanowisku – Hafiza al-Assada. Umiarkowane opinie na ich temat, dość powszechnie formułowane jeszcze przed kilku laty przez dziennikarzy i komentatorów politycznych, zaczęły się zmieniać po wybuchu *Syryjskiej Wiosny*. Bardzo krytycznie był przyjęty siłowy sposób rozwiązania konfliktu społecznego. Większość uznanych mediów zajmujących się problematyką Bliskiego Wschodu, uznawała też, że jednym z efektów sytuacji w Syrii jest polityczna śmierć jej prezydenta. W roku 2012 al-Jazeera (Katar) pisała o tym 104 razy, al-Arabia (Arabia Saudyjska) – 91, TRT (Turcja) – 68, CNN (USA) – 43, France24 (Francja) – 37 razy, BBC (Wielka Brytania) – 35, Russia Today (Rosja) – 36 i al-Jadeed (Liban) – 18 razy. Syryjska TV al-Dunia i al-Alam z Iranu nie wypowiadały się w tej sprawie.

Przełom nastąpił na początku 2015 roku – zaprzestano wszelkich wypowiedzi na ten temat. Stało się bowiem jasne, że wraz ze wzrostem aktywności ISIS i umacnianiem się jego pozycji na coraz większym obszarze wojna w Syrii może przestać być lokalnym konfliktem o przewidywalnym przebiegu. Wobec takiej perspektywy wielu polityków, a także dziennikarzy zachodnich i bliskowschodnich nieoczekiwanie zaczyna widzieć w Baszarze al-Assadzie gwaranta skutecznej walki z Daeszem. Jeszcze niedawno potępiany, okazuje się znowu być potrzebny. I tak oto z przeciwnika demokracji stał się – w przekazie wielu mediów – jej ostoją.

Zmiana stosunku do prezydenta al-Assada wyda się zatem być powiązana z dynamiką postrzegania przez światowe media znaczenia PI (DAESZ) w konflikcie syryjskim. W pierwszym roku rewolucji światowe media pisały o al-Kaidzie 591 razy. Natomiast tylko w pierwszym kwartale 2015 r. nastąpił niezwykle radykalny wzrost tej wielkości do poziomu 2368 razy. Mamy tutaj do czynienia z oczywistym przeformułowaniem opisu rzeczywistości.

W ciągu kilkunastu miesięcy nastąpiła zmiana medialnego obrazu konfliktu syryjskiego – przekaz o autentycznym powstaniu ludowym dążącym do zmian politycznych w kraju zanika na rzecz relacji z wojny z terrorystami, którzy przejęli przywództwo *Syryjskiej Wiosny*. Interpretacyjna ewolucja prowadzi m.in. do złagodzenia oceny władzy sprawowanej przez rodzinę Assadów i jej sprzymierzeńców. Inną konsekwencją jest uproszczenie relacji z wydarzeń syryjskich i pogłębiająca się u odbiorców stereotypizacja postrzegania uczestników tego konfliktu. Oczywiście, jest faktem, iż po obu stronach rewolucji syryjskiej nastąpiła radykalizacja postaw. Pozostaje jednak kwestią otwartą, czy rzeczywiście odbywało się to w zakresie i natężeniu, o jakim świadczyć by mogły informacje medialne?

#### **Ekonomiczne uwarunkowania relacji: Zachód/Europa – Bliski Wschód/Syria**

W bardzo uproszczonym przekazie medialnym (dotyczy to także Polski) radykalizm postaw uczestników *Arabskiej Wiosny* wynika z ortodoksyjności islamu, która jest skutkiem zapóźnienia cywilizacyjnego społeczeństw arabskich. Niekiedy wprost mówi się, że radykalizm islamski jest formą religii muzułmańskiej w swojej istocie antydemokratycznej, pełnej nietolerancji i wrogości wobec reszty świata; szczególnie zaś społeczeństw ukształtowanych na fundamencie chrześcijaństwa. Stąd już blisko do konkluzji, iż islam z samego faktu istnienia jako doktryny religijnej stanowi zagrożenie dla cywilizacji europejskiej, a konflikt i walka byłyby wówczas immanentną cechą kultury i tradycji islamu. Taka geneza radykalizmu islamskiego jest nie tylko nieprawdziwa, ale również, niestety, dość powszechna. Co gorsza – nie odpowiadając na żadne z ważnych pytań – jeszcze dodatkowo pogłębia konflikt społeczny. Postrzeganie go przede wszystkim na płaszczyźnie cywilizacyjnej zafałszowuje w świadomości społecznej ogląd rzeczywistości.

Media światowe, kompletnie nie rozumiejąc istoty fenomenu, jakim jest ISIS, starają się sprowadzić przyczyny konfliktu jedynie do sfery świadomości społecznej – czyli właśnie konfrontacji odmiennych cywilizacji. Tymczasem tak zwane Państwo Islamskie nie powstało jako spełnienie marzeń kilku ortodoksyjnych muzułmanów o opartym na Koranie średniowiecznym społeczeństwie. Przywódcy ISIS, tworząc państwo wyznaniowe, wyznaczają równocześnie formalne ramy agresji ukierunkowanej na obalenie współczesnego porządku politycznego i gospodarczego, z którego korzystają nieliczni. Nie są jednak w stanie prowadzić walki ani na poziomie militarnym, ani gospodarczym z tak definiowanym przez siebie wrogiem. Jedyłą płaszczyzną, na której ta rywalizacja ma szansę realnie zaistnieć, jest zatem ideologia. Ścisłej zaś – religia, gdyż odwołując się do niej, można sformułować prze-

kaz najbardziej zrozumiały dla przeciętnego mieszkańca Bliskiego Wschodu.

ISIS jest ustrukturyzowanym protestem, rodzajem rewolucji, w ramach której – przy instrumentalizacji walki z niewiernymi – świat biednych przeciwstawia się światu bogatych. Ortodoksyjny islam jest tylko formą, swoistym narzędziem wykorzystywanym przy realizacji tego celu. Tym samym Allah został podporządkowany przywódcom kalifatu. Stał się jednym z bojowników i logo tej rewolucji.

Najsilniejsze źródła narastania tendencji radykalnych w społeczeństwach islamskich wyływają – moim zdaniem – ze zjawisk i procesów ekonomicznych. Dopiero ich skutki uwidaczniają się w formie konfliktu cywilizacji. W ten sposób objawia się społeczny bunt przeciwko wyzyskowi i ogromnemu zróżnicowaniu poziomu życia. W znanej od dawna formie znów nastąpiło dramatyczne skanalizowanie niezadowolenia. Metaforycznie możemy uznać, że to bomba z opóźnionym zapłonem, która eksploduje determinacją społeczeństw pozostawionych na pastwę biedy. Niekiedy może to przybrać postać pozornie mniej dramatyczną, lecz w konsekwencjach równie tragiczną – zaniku aktywności i dominacji postaw izolacyjnych, co w wymiarze społecznym nieuchronnie prowadzi do upadku.

Uważam, że obecne napięcia w Syrii i na Bliskim Wschodzie są wynikiem globalnej polityki i rozwiązań je możliwych wyłącznie na poziomie globalnym, dokonując istotnych zmian w zasadach dostępu do światowych bogactw. Negatywne skutki procesów gospodarczych najsilniej odczuwają przede wszystkim ekonomicznie najmniej wydolne państwa i słabsze ogniwa gospodarki światowej. Zazwyczaj bagatelizuje się znaczenie tej prawidłowości. Nie kontroluje się tego typu procesów ani nie wpływa się na osłabienie ich dynamiki, ponieważ uważa się je za „naturalne”.

Jedną z tendencji charakterystycznych dla współczesności jest dynamizujące się bogacenie zamożnych przy drastycznym ubożeniu pozostałych. Uprawnione jest przypuszczenie, że ekonomiczne dysproporcje będą się pogłębiać. Zapewne czeka nas więc w niedalekiej przyszłości fala wstrząsów politycznych – „biedny świat” nie chce bowiem żyć w nędzy i umierać z głodu. Ani w Syrii, ani w USA, ani w Europie.

W cieniu politycznej gry toczy się dramat milionów ludzi, których jedyną „winą” jest to, że przyszli na świat nie we Wrocławiu, Nowym Jorku i Moskwie, lecz w Damaszku czy Aleppo. Trwające od sześciu lat dyplomatyczne przetargi stają się zasłoną, za którą w najlepsze trwa targ narzędziami zabijania. Drobne rodzinne szczęścia, poczucie zadowolenia i bezpieczeństwa mają jednak niewielką wartość rynkową, są argumentem mniej istotnym niż dostęp do ropy naftowej. Wyznawcy „Religii Zysku” chyba rzeczywiście wierzą, że Bóg władający giełdami i bankowymi kontami powierzył im zarządzanie światem.

### **Syryjska Wiosna Arabska – ludzka tragedia**

Podobno każdy z nas musi poznać istotę prawdziwego bólu, by móc normalnie żyć i z większą intensywnością odczuwać szczęście. Jeszcze kilka lat temu syryjscy muzułmanie, chrześcijanie, druzowie, Ormianie, Kurdowie czy Turkmeni żyli obok siebie w tym samym kraju, mieście, budynku dostrzegając nie odmienną

religijną czy polityczną, ale przede wszystkim innego człowieka, który też ma problemy, wątpliwości i pragnienia. Nie potrzebowali doświadczenia wojny, by cieszyć się codziennością. To Piękna Przeszłość.

Obecnie życie w Syrii polega na przetrwaniu od eksplozji do eksplozji. Nie martwią mnie ogromne zniszczenia materialne, bo na pewno zgłoszą się chętni do odbudowania kraju za dobrą amerykańską, rosyjską, chińską, irańską, turecką lub arabską walutę. Przerazają mnie przede wszystkim straty społeczne i ludzkie – zgłiszcza uczuciowe, duchowe, moralne. Ich odbudowa będzie musiała trwać znacznie dłużej; bez gwarancji trwałości i solidności. Czy ludziom, którzy dziś ze sobą walczą, uda się o tym kiedyś zapomnieć i znów uwierzyć, że najdroższym skarbem jest życie, czy jeszcze zdołają odzyskać pewność, że są lepsze sposoby trafienia do nieba niż poprzez śmierć na wojnie. Nie wiem, co może uratować nasze dusze przesiąknięte strachem, nienawiścią, nieufnością i zmęczeniem.

Żadna muzyka nie jest w stanie złagodzić echa bomb i zniszczeń. Żaden artysta nie stworzy obrazu oddającego całe zło, okrucieństwo i głupotę wojny. Nie wiadomo, czego najpierw pragnąć – gazu, prądu, chleba czy zapomnienia. Nie ma mowy o tym, by uwolnić się od strachu i niepewności. Syryjczycy mocno ufają przeznaczeniu, znajdują nadzieję w nikłej radości z przeżycia kolejnego dnia. Jeszcze wierzą, że kiedyś wróci spokój, że będą syci, że odnajdą się zaginieni bliscy, a ciała zmarłych zostaną godnie pochowane.

Sam pragnę znaleźć ciało mojego zabitego brata Imada, który był intelektualnym przeciwnikiem rządzących. Był liberalnym demokratą wierzącym w wolność i sprawiedliwość. Życzyłbym sobie, naszej mamie i wszystkim innym smutnym matkom, by mogły w spokoju pożegnać swoje dzieci. Ludzie w Syrii nie dążą do postawienia winnych przed sądem, nie zależy im na prymitywnej zemście. Chcą budzić się rano, napić się cudownej, pachnącej arabskiej kawy i mieć wszystkich najbliższych obok siebie.

Miliony Syryjczyków podjęło trud opuszczenia ojczyzny. Część kierowała się własną oceną sytuacji, szacowała przewidywane niebezpieczeństwa tułaczki i grozę pozostania w swoich domach. Za innych decyzję podjęli politycy, piloci samolotów bombowych i artylerzyści, zamieniając całe dzielnice i miasta w zgłiszcza. Informacje o życiu w obozach dla uchodźców są równie przerażające, jak widok trupów w rzekach, łzy matek i własna bezsilność. Nie sposób rozstrzygnąć, gdzie zagrożeń jest więcej. Nawet ci, którzy pozostali, zdają sobie jednak doskonale sprawę, że takim samym szaleństwem jest tkwić w miejscu, gdzie nie ma życia, radości i szczęścia.

Sytuację Syrii można porównać do zatłoczonego okrętu, który został pozbawiony steru i własnej bandery. Jeszcze długo będzie się błąkał między wielkimi, groźnymi skałami, bo świat i politycy nie pozwolą mu ani zatonać, ani płynąć prosto, a tym bardziej dobić do bezpiecznego brzegu... To los małego kraju znajdującego się na drodze cudzych korzyści, planów i potężnych przemian.

**ZIAD ABOU-SALEH**



NICHOLAS WILLIAMS

# KRYZYS FINANSOWY, PIENIĄDZ I OSZCZĘDZANIE

## Mowa końcowa obrońcy wzrostu gospodarczego

Podstawowa konstatacja, że żyliśmy ponad stan, tak jak i Grecy, i teraz po imprezie mamy kaca, jest powszechnie znana. Ból jest potrzebny, bo, jak to się mówi, za głupotę trzeba płacić. Wydźwięk tych słów działający jak kac moralny, jest przekonujący. W podstawowych założeniach neo- i ordoliberalnych dogmatów gospodarczych jest coś niespójnego, ale także bardzo wymownego dla krajów dawnego Układu Warszawskiego.

Polska, podobnie jak inne kraje regionu, przeżyła w 1990 roku terapię szokową, której elementy są podobne do programów oszczędnościowych uruchamianych dzisiaj: cięcia świadczeń socjalnych, masowe zwolnienia w sektorze publicznym, wzrost podatków. Ale ani Polska, ani kraje bałtyckie, ani Rosja, ani kraje Ameryki Łacińskiej, które podobne programy wprowadziły w latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych, nie uczestniczyły w wielkim przyjęciu, w którym uczestniczyła większość populacji Zachodu. Powinno również wprawiać w zdumienie, że zarówno po neo- jak ordoliberalnej stronie na prawie każde wyzwanie gospodarcze zawsze stosowano te same recepty niezależnie od tego, czy problemem było wysokie bezrobocie, stagnacja wzrostu gospodarczego czy kryzys zadłużenia.

Niemniej jednak, konieczność utrzymania odpowiedniego poziomu życia oraz powrotu do normalności po okresowych ekscesach zawsze wymieniana była jako powód i moralne uzasadnienie konieczności wprowadzenia programów oszczędnościowych. Czy było to uzasadnione? Prawdą jest, że niektórzy w sposób bardzo wyraźny żyli ponad stan. Prawdą jest również, że stały deficyt strukturalny jest nieuzasadniony ekonomicznie. Ale w jaki sposób ten dług został zaciągnięty i czym tak w ogóle jest pieniądź? Co doprowadziło do tych ekscesów i jaka jest w tym wszystkim rola Niemiec? Bez próby odpowiedzi na te pytania nasza wiedza nie będzie kompletna.

### Podejście ordoliberalne i jego geneza

Dominującym dyskursem teorii ekonomicznej w Niemczech jest ordoliberalizm, wariant neoliberalizmu. Gdy neoliberalizm całkowicie oparł się na sile rynków, by regulować kwestie gospodarcze, niemiecki wariant,

zasadniczo reprezentowany przez Waltera Euckena (1891–1950), opierał się na swoistym dyskursie opartym bardziej na państwie niż klasyczny neoliberalizm. W tym wariacie silne państwo wprowadza porządek, czyli ogranicza czynniki zakłócające handel<sup>1</sup>. W przeciwieństwie do socjaldemokratycznych i liberalnych teorii, państwa nie powinny zatem powstałej niesprawiedliwości rekompensować poprzez rynki, lecz tylko zagwarantować funkcjonowanie rynku na podstawie wspólnych zasad oraz stosowanie tychże zasad. Natomiast według klasycznej, neoliberalnej interpretacji rynkowej, nie jest to konieczne.

Wyznawcy Miltona Friedmana i ich otoczenie wychodzą z założenia, że rynek jest najlepszym regulatorem, bez żadnej interwencji rządu. W Niemczech państwo troszczyło się o stabilne warunki gospodarcze według zasad ordoliberalizmu i w tę logikę wpisuje się tradycyjna stabilność monetarna niemieckiej marki, na długo przed wprowadzeniem euro jako europejskiej waluty. Stabilna marka niemiecka miała szczególne znaczenie jako ważna europejska waluta, kluczowa dla poprzednika strefy euro, czyli tzw. europejskiego systemu wymiany walut, na przykład dla mechanizmu kursowego<sup>2</sup>. Markę niemiecką utrzymywano na możliwie najstabilniejszym poziomie, jako, cokolwiek by mówić, najważniejszą walutę w europejskim mechanizmie kursowym, w celu ograniczenia wahań kursów walut w Europie, a także w ramach działań na rzecz europejskiej unii gospodarczej i walutowej. Z systemem walutowym sporadyczne problemy miały inne kraje, takie jak Włochy, ale również operująca „twardą walutą” Wielka Brytania, która w pewnym momencie musiała wycofać się z niego z powodu kryzysu spekulacyjnego w stosunku do funta<sup>3</sup>.

1 Achim Pollert, Bern Kirchner, Javier Morato Polzin, *Das Lexikon der Wirtschaft. Grundlegendes Wissen von A bis Z*, Mannheim 2004, s. 34, 35, 38.

2 W koszyku europejskich walut, które wprowadziły mechanizm wymiany, ustalono punkty ciężkości i ustalono wzajemną relację poszczególnych walut. Tak np. niemiecka marka osiągnęła wartość ok 50 proc. większą niż druga najsilniejsza waluta w Europie – frank francuski. Zob.: Rolf Caspers, *Zahlungsbilanz und Wechselkurse*, München, 2002, s. 185.

3 George Soros przygotował się do kryzysu walutowego w 1992 r. robiąc zakłady w stosunku do funta, w odniesieniu do ponad miliarda funtów szterlingów. W ten sposób prawie jedna trzecia kosztów

Szczególny niemiecki wkład w stabilność monetarną miał jednak również swoje inne przyczyny – wystarczy spojrzeć na historię XX wieku. W 1923 r., gdy wojska francuskie i belgijskie zajmowały Zagłębie Ruhry, niemiecki rząd wydrukował pieniądze na sfinansowanie biernego oporu przeciwko francuskiej okupacji. Samo zajęcie Zagłębia Ruhry było z kolei rezultatem niewywiązywania się przez Niemcy z zapisów traktatu wersalskiego w zakresie spłaty potwierdzonych jednoznacznie przez komisję reparacyjną uznanych przez Niemcy odszkodowań. Po tym jak wojska francuskie wkroczyły do Zagłębia Ruhry, rząd Wilhelma Cuno wezwał do biernego oporu, który obejmował również strajk generalny. Aby sfinansować strajkujących, rząd Cuno wydrukował pieniądze, co doprowadziło do galopującej inflacji. W ten sposób rząd upiekł dwie pieczenie na jednym ogniu: mógł teoretycznie sfinansować strajk (nawet jeśli pieniądze były prawie nic nie warte), zaś długi wobec własnych obywateli pozostały. Wynikały one z obligacji wojennych z czasów pierwszej wojny światowej, a także z zadłużenia wobec wszystkich tych, którzy przed okresem hiperinflacji swoje inwestycje finansowali poprzez zadłużenie (którzy mogli dzięki kryzysowi odnieść korzyści w związku z tym, że ich długi właściwie się skończyły)<sup>4</sup>.

W rzeczywistości inflacja była w dużej mierze poza kontrolą już od 1914 roku. Możliwości działania rządu zostały – w związku z zewnętrznymi zobowiązaniami płatniczymi na mocy traktatu wersalskiego – w znacznym stopniu zredukowane bądź to do drukowania pieniędzy, bądź do dostarczenia ich przez środki oszczędnościowe. Ewentualnie można było przywrócić paritet złota dla marki i próbować zrównoważyć budżet. To działanie pociągałoby za sobą poważne konsekwencje (co próbował robić rząd Heinricha Brüninga w czasie następnego kryzysu), co przewidywał już w 1918 roku Friedrich Bendixen, który pisał, że „żaden polityk nie weźmie na siebie odpowiedzialności za przeprowadzenie zniechęconej polityki cięcia płac”<sup>5</sup>.

W pamięci zbiorowej pozostały jednak obrazy ludzi z taczkami wypełnionymi pieniędzmi. Szybko wykupywano najpotrzebniejsze rzeczy, zanim już po kilku godzinach owe pieniądze stracą na wartości i staną się tak naprawdę nic nie warte. Nic dziwnego, że to zagadnienie zajęło na trwałe miejsce w zbiorowej świadomości Niemców, a „inflacja” stała się synonimem „katastrofy”. To, że rząd spowodował tę inflację celowo, zakotwiczyło się w pamięci zbiorowej do tego stopnia, iż priorytet stabilności walutowej stał się szczególną niemiecką formą polityki pieniężnej – jest to interpretacja Marka Blytha<sup>6</sup>. Można dodać, że podobnie wiele osób żyje w przekonaniu, iż ich oszczędności, np. zainwestowane w obligacje skarbowe, rozplywają się w krótkim czasie. To z kolei wzbudza przekonanie, że państwa są dobrym dłużnikiem tylko wtedy, gdy ich budżety są możliwie jak najbardziej zrównoważone i gdy utrzymują inflację w ryzach.

kryzysu została poniesiona przez brytyjskiego podatnika. Jest to piękna ilustracja, w jaki sposób zyski są prywatyzowane, podczas gdy straty zostają uspołecznione.

4 Richard J. Evans, *The Coming of the Third Reich. How the Nazis Destroyed Democracy and Seized Power in Germany*, London 2004, s. 103–109.

5 Carl-Ludwig Holtfrerich, *The German Inflation 1914–1923*, München - New York 1984, s. 127–134. Cyt. za: tamże, s. 124.

6 Mark Blyth, *Austerity: The History of a Dangerous Idea*, Oxford 2013, s. 56, 57, 193.

### Pochodzenie pieniądza i państwo jako dłużnik

Wszystko to prowadzi nieuchronnie do pytania: czym jest dług publiczny i jak on powstaje. Na ten temat pisał bardzo klarownie Mark Blyth, laureat nagrody dziennikarstwa gospodarczego przyznawanej przez Fundację im. Friedricha Eberta. Według Blytha nowoczesne państwo, rozwijająca się istota, która przenika swoją działalnością coraz więcej dziedzin życia, staje przed odwiecznym dylematem, jak znaleźć na to środki finansowe czy to na wojnę, do której doprowadziło, jak na jego wewnętrzną ekspansję.

W jaki sposób to wszystko sfinansować? Opodatkowanie mas miało mniejszy sens aniżeli opodatkowanie czegokolwiek innego. To, co zdobyła bogata mniejszość, zostało przepuszczone na koszty władzy i zdobywania wpływów w walce z opodatkowaniem. Z perspektywy „bogatego” nie było problemu. W kategoriach opisowych bogaty kupiec tkanin czy przypraw w XVII-wiecznej Anglii oczekiwał od państwa, że jego własność będzie chroniona, jako że wszędzie tam, gdzie występuje bogactwo, jest również chciwość. Kupiec chciał oczywiście także, aby jego szlaki handlowe i dostęp do surowców były przez państwo chronione. Jednocześnie nie miał on żadnego interesu w tym, aby państwo stało się mocne, bo to dawało mu siłę, aby kupca opodatkować. Jak pisze Blyth, przed liberalnym państwem stoi dylemat: „Złe jest razem z nim, jeszcze gorzej bez niego, a najgorzej jest, kiedy je trzeba utrzymywać”<sup>7</sup>.

Kwestią tą zajmowali się filozofowie i ekonomiści już w XVII i XVIII stuleciu. John Locke odczuł skutki oddziaływania prawa własności. Nie znalazło ono jego poparcia, gdyż uznał je za bezprawie. Zatem państwo powinno ograniczać się do pełnienia roli stróża nocnego i ograniczyć koszty utrzymania. Tak narodziła się idea polityki oszczędnościowej. David Hume, szkocki kupiec ekonomista i filozof, zbudował na tej podstawie teorię, że należy skupiać się tylko na kupcach (jak on sam), jako najbardziej pożądanej w społeczeństwie warstwie społecznej, ponieważ tylko kupcy są zdolni do zwiększania aktywności gospodarczej, a tym samym do generowania kapitału, czego nie potrafią lekarze czy prawnicy. Interesom kupców w pierwszej kolejności zaszkodzić może państwo, wobec którego stawiane są żądania, by ściągało kapitał bądź emitowało weksle. Z tego powodu długi są z gruntu złe. Problemem było to, że kiedy państwo nie nakładało już żadnych podatków, mogło co najwyżej zaciągać długi. Była to bardzo atrakcyjna opcja pozbycia się dylematu, o którym mowa wyżej, bowiem dzięki temu koszty mogły być przekazywane z pokolenia na pokolenie, zaś minister odpowiedzialny za finanse, którego to bezpośrednio dotyczyło, mógł umacniać swoją pozycję, jako że znalazł źródło finansowania suwerena i to bez konieczności prowadzenia niepopularnej polityki podatkowej. Jednak – zdaniem Hume’a –właśnie w tym miejscu tkwił problem: fakt, iż obligacje są atrakcyjne dla emitentów oznacza, że były one wyżej oprocentowane aniżeli inne stopy procentowe na rynku kapitałowym. Wywołuje to efekt ssania kapitału. Kapitał zostaje wycofany z rynku i z jego gospodarczych sektorów wytwórczych, dług publiczny nie przestaje rosnąć. W istocie przekonanie to utrzymywało się bez większych zmian aż do dzisiaj.

7 Tamże, s. 106.

I jeśli brzmi to dla kogoś spośród czytelników znajomo, np. w odniesieniu do obecnego kryzysu zadłużenia w Grecji, to prawdopodobnie nie jest to przypadek<sup>8</sup>.

Do argumentacji Hume'a nawiązał współczesny mu Adam Smith, który wielokrotnie cytował teoretyków kapitalizmu. Wcześniej obowiązujące było również przekonanie, że znajdująca się aktualnie w obiegu ilość pieniądza stanowi sumę wartości towarów i usług danego obszaru walutowego. Z perspektywy Adama Smitha wyglądało to inaczej. Bankier cieszył się na tyle wystarczającym zaufaniem swoich klientów, by wydawać więcej pieniędzy papierowych niż posiadał w złocie – tak narodziła się koncepcja dźwigni finansowej. Prawdziwe złoto umożliwiło wkrótce dokonywanie zakupów z importu.

W modelu gospodarczym Smitha stawalo się teraz bardziej istotne, jakiego rodzaju były towary z importu: czy składały się z dóbr konsumpcyjnych i były bezwartościowe, ponieważ promowały tylko bezczynność, czy też wynikały z recyklingu surowców lub towarów, które mogą być dalej przetwarzane, tak by mogły być odsprzedawane za jeszcze wyższą cenę. Odpowiada to szkockiej oszczędności i gospodarności, i zostaje zaakceptowane przez Adama Smitha jako jedyne i słuszne, ponieważ przyczynia się do wzrostu gospodarczego. Ale przecież Smith nie był tylko ekonomistą, lecz również filozofem moralności i to właśnie moralny osąd (oszczędzanie jest dobre, a wydawanie złe) był tym czynnikiem, który wydrążył skałę. Słynna szwabska gospodyni domowa, której szwabski gospodarz zamiast sznyclem rozkoszuje się kromką chleba z masłem, żyje według zalecenia Adama Smitha, nawet o tym nie wiedząc<sup>9</sup>.

Co to wszystko ma wspólnego z Niemcami *Anno Domini 2016*? Wraz z postępującym kryzysem w Grecji z czerwca 2015 roku można było przeczytać w brytyjskich gazetach, iż w języku niemieckim, inaczej niż w angielskim, słowo „dług” związane jest ze słowem „wina” i budzi etyczne skojarzenia, podczas gdy w sprzyjającej ruchom liberalnym Wielkiej Brytanii, żadnemu człowiekowi nie przyszło do głowy że słowa „wina” (*Schuld*) i „dług” (*Schulden*) są zasadniczo podobne. Być może to dlatego osobiste bankructwo w Niemczech umieszcza dłużnika w gorszej oszczędności na co najmniej dwa, a maksymalnie trzy lata, podczas gdy w Wielkiej Brytanii dłużnik przez jeden rok jest zwolniony z długu, co doprowadziło do istnej turystyki długów<sup>10</sup>. Model ekonomiczny, który nakreślił Smith, w istocie odzwierciedla zorientowaną na eksport, opartą na relatywnie niskich płacach niemiecką gospodarkę, która musi również kupować swoje zasoby z zewnątrz.

Oszczędzanie uważane jest za moralnie dobre, wydawanie za moralnie złe. Długo pomagała Niemcom niedoceniana marka niemiecka – jeszcze bardziej ułatwiała eksport, i to jest to, co pozostało w czasach euro. Tymczasem model ten zawiera błąd. Moralitet, zgodnie z którym oszczędzanie byłoby dobre, a wydawanie niegodziwe, nie funkcjonuje w rzeczywistości, ponieważ salda dodatnie (oszczędności) po stronie jednych stanowią salda ujemne (zadłużenie) po stronie innych i odwrotnie. Co gorsza, taka postawa zostanie wykorzy-

stana, jak ostrzega „The Economist”, do postrzegania zasad *Ordnungspolitik* jako dogmatu wywodzącego się z najlepszej niemieckiej tradycji: lepiej ogłosić upadłość w uporządkowanym stanie rzeczy, niż zmieniać zasady, które nie przystają do realiów gospodarczych<sup>11</sup>.

Wspomniany wyżej model kreacji pieniądza oparty na dźwigni, autorstwa Adama Smitha, trwa w zasadzie do dzisiaj i prowadzi nas do pytania, w jaki sposób pieniądz rzeczywiście powstaje. W większości przypadków panuje błędne przekonanie, że ilość gotówki w obiegu nadal stanowi o ilości towarów i usług danego obszaru walutowego. Klienci deponują swoje pieniądze w banku, który następnie pożyczka je na bazie własnych stóp procentowych i czerpie zyski z różnicy stóp procentowych między wysokością oprocentowania kont oszczędnościowych a oprocentowaniem kredytów, które są ich zyskiem. Nic bardziej mylnego. Po pierwsze, to klient dostarcza pieniądze na kredyty. Klient pożyczka pieniądze z banku, co zostaje odnotowane na jego koncie, bez względu na to, czy bank rzeczywiście te środki posiada. W ten sposób pieniądz został „wykreowany”. Ponieważ bank posiada licencję bankową, ma prawo to robić, w ramach określonych zasad.

To sam bank decyduje, w dużej mierze samodzielnie, ile pieniądza bank komercyjny pożyczka od banku centralnego na utrzymanie płynności. Na przykładzie brytyjskim, to właśnie stanowi o różnicy między zobowiązaniami osób fizycznych i przedsiębiorstw wobec banków komercyjnych, utrzymujących 97 proc. podaży pieniądza. Mimo że obecnie nadal angażujemy się w gospodarkę kapitalistyczną i kapitalistyczne teorie, faktem jest, że nasze pieniądze są w zasadzie długiem.



Wyraźnie to widać, gdy przyjrzymy się banknotom brytyjskim, które pod tym względem są bardzo mocną walutą. Zdobi ją wizerunek królowej Elżbiety II, która posiadaczowi nominału £5, obiecuje, że na jego żądanie, płaci mu kwotę pięciu funtów szterlingów<sup>12</sup>.

Pieniądz, jak wiemy, jest ostatecznie niczym więcej, jak po prostu wekslem wystawionym przez państwo. Podobnie zostało to zilustrowane na banknocie amerykańskiej. W celu przywrócenia zaufania do światowej waluty, państwo powinno już przestać przywoływać zupełnie nieamerykańskie zalecenie skupienia uwagi na Bogu: *In God we trust* – „W Bogu pokładamy nadzieję”. Niemniej, związek między naszymi walutami a naszymi długami jest całkiem realny, również na poniższym banknocie 20 \$. Informacja,

8 Tamże, s. 107–108.

9 Tamże, s. 109–110.

10 *Abhauen und Tee trinken*, „Süddeutsche Zeitung” z 17 maja 2010.

11 *Of Rules and Order*, „The Economist” z 9 maja 2015.

12 *I promise to pay the bearer on demand the sum of five pounds* – głosi napis na banknocie.



iz stanowi on legalny środek płatniczy, którym wszystkie prywatne i publiczne długi mogą być spłacone, jest wręcz umieszczona na samym banknocie, który jest w końcu kwitem dłużnym: *This note is legal tender for all debts private and public.*



### Kryzys finansowy

Następstwa osłabienia systemu opartego na tego rodzaju zobowiązaniach monetarnych i finansowych można zaobserwować od czasu kryzysu finansowego w 2007 roku. Miało to wiele przyczyn, ale w uproszczeniu rzecz ujmując: wyżej opisana konstrukcja działa tak długo, jak długo utrzymuje się zaufanie wobec banków. Jeśli zostanie ono utracone w wyniku pęknięcia bańki na rynku nieruchomości w USA i klienci indywidualni lub firmy (włączając fundusze inwestycyjne) chcą zwrotu swoich depozytów, w dodatku dzieje się to na dużą skalę, chociaż wspomniane depozyty nie mają pokrycia, to wówczas mówi się o „panic bankowej” czy „szturmie na bank” (*Bank Run*). Może być on zaraźliwy, a wtedy system finansowy, jeśli nie znajdzie w porę środków zaradczych, rozpadnie się jak domek z kart. W USA odpowiadał za to między innymi kryzys rynku kredytów hipotecznych (*Subprime Crisis*).

Obok szerzenia się w sektorze bankowym „firm krzaków”<sup>13</sup>, kombinacja niskich stosunkowo stóp procentowych i pozornie nieustannie rosnących cen nieruchomości (co złym inwestycjom pozwoliło ujrzyć światło dzienne, jako że każdy zakup nieruchomości, dzięki stałej podwyżce cen, był na dłuższą metę rentowny) oraz zwiększony apetyt na ryzyko wśród banków doprowadziły do bańki. Destrukcyjny wpływ miało przede wszystkim zogniskowanie się rzekomo wzajemnie ze sobą nie skorelowanych źródeł ryzyka. Chodzi o to, że kiedy dwa wzajemnie niepowiązane zagrożenia zostają połączone, utrata stabilności jednej inwestycji jest rekompensowana przez stabilność innej.

Tak mogły być powiązane ryzykowne kredyty hipoteczne z innymi hipotekami. Częściowa lub całkowi-

ta awaria po jednej stronie była amortyzowana przez transakcję po drugiej stronie, tak aby łączną wartość inwestycji można było uznać za „bezpieczną”. Upadek tej spirali w jednej chwili wydawał się niemożliwy w świetle normalnego rozkładu ryzyka według Gaussa. Wadą tego systemu było to, że różne ryzyka zostały umieszczone w tym samym portfelu ryzyk wzajemnie ze sobą skorelowanych. A jednak zdarzenie, którego prawdopodobieństwo wydawało się znikome, a mianowicie pęknięcie tej bańki wskutek zogniskowania się poszczególnych ryzykownych przedsięwzięć, nadeszło. Ziścił się najgorszy możliwy scenariusz<sup>14</sup>.

A jak jest w Europie? Tu chętnie wierzy się, że nasze banki są stabilne, że kryzys finansowy był wyłącznie ekscysem kapitalizmu anglosaskiego, który tu zawinił. Również ta teoria jest nieprawdziwa. Jeszcze przed wprowadzeniem euro, stopy procentowe obligacji rządowych krajów Europy południowej gwałtownie spadły. W oczekiwaniu na unię monetarną, inwestorzy byli pewni, że długi banków jednego z członków strefy euro były spłacane przez innych, co również się zdarza. Jednocześnie banki szukały dochodów, gdyż załamał się lukratywny interes budowania zysków na spadku oprocentowania obligacji skarbowych. Jako że, jak widać, banki potrafią w zasadzie „znaleźć” pieniądze, których nie posiadają, odpowiedź znalazła się w tłumie. Nawet nieco wyższe oprocentowanie w peryferyjnych krajach czyniło ich obligacje bardziej opłacalnymi od tych w starych krajach Unii Europejskiej.

Niektóre banki, w tym Deutsche Bank, zupełnie nie były w stanie wypełnić bilansu płatniczego za pomocą greckich obligacji skarbowych. Ostatecznie, z punktu widzenia pozostałych państw członkowskich UE, za pomocą pierwszych dwóch (a także trzeciego) „pakietów ratunkowych” zostały oddane gwarancje, którymi państwo greckie mogło spłacać swoje długi wobec banków, przede wszystkim niemieckich i francuskich. Do 90 proc. „płatności pomocowych” zostało wykorzystanych na ten cel. Początkowo dług stanowił fikcyjną pozycję w księgowości banków. Teraz są to zobowiązania greckich podatników. Natomiast w Hiszpanii i Irlandii kryzys przebiegł podobnie jak w Stanach Zjednoczonych, ponieważ w pierwszej kolejności chodziło o bańkę na rynku nieruchomości<sup>15</sup>. Nie można zaprzeczyć temu, że europejski sektor bankowy stoi na mocniejszych nogach: dzięki zastosowaniu dźwigni, wartość aktywów trzech największych francuskich banków razem wziętych stanowi ponad 250 proc. francuskiego PKB, a aktywa największych czterech brytyjskich banków wynoszą nawet blisko 400 proc. PKB<sup>16</sup>.

Powyższe czynniki doprowadziły do masowych akcji ratunkowych, co po raz kolejny wynikało z tego, że zyski zostały sprywatyzowane, zaś rachunek został wystawiony podatnikom, którzy w znacznej większości nigdy nie zostali zaproszeni do udziału w wielkiej uczcie. Należy do tego dodać trudne do oszacowania koszty wielu operacji ratowania banków. Poszczególne liczby są mniej istotne, jeśli zrozumiemy jest zasada: banki mogą pożyczać pieniądze, których nie mają, a dzięki wielu etapom deregulacji będą interweniować dopiero wtedy, gdy dziecko

13 Chodzi tu o instytucje finansowe i fundusze inwestycyjne, które działały podobnie jak banki, ale bez licencji, co było możliwe dzięki deregulacji rynków finansowych. Zob.: Paul Krugman, *The Return of Depression Economics and the Crisis of 2008*, New York 2009, s. 170–172.

14 M. Blyth, *Austerity...*, s. 23–29. Na temat ryzyk, zob.: Tamże, s. 33–37.

15 Tamże, s. 53–69.

16 Tamże, s. 6, 83.

zostanie już wylane z kąpielą. Taki model gospodarczy, a także taki model finansowy, jest podatny na kryzysy i w perspektywie długoterminowej jest nie do utrzymania.

### Drogi wyjścia z kryzysu?

W jaki sposób można rozwiązać obecny kryzys zadłużenia? Problem wspólnej waluty – takiej, jak euro – polega na tym, że niektóre instrumenty reagowania kryzysowego nie mogą być w tym przypadku stosowane. Za wszelką cenę należy unikać stanu upadłości, co mogliśmy zaobserwować w Grecji, ponieważ stwarza on ryzyko zarażenia innych krajów w kryzysie, a w końcu całej strefy euro. Drugą możliwością mogłaby być dewaluacja własnej waluty w celu obniżenia cen swoich produktów na rynkach światowych, lecz w przypadku państw strefy euro jest on wykluczony. Państwo – członek unii monetarnej nie może bowiem w relacjach z głównymi partnerami handlowymi zdewaluować swojej waluty. Trzeci sposób – ustanowienie wyższego celu inflacyjnego, aby pozbyć się przynajmniej wewnętrznych długów poprzez dewaluację, dzięki czemu obywatele zostaliby wywłaszczeni – także odpada. Państwo nie ma już więcej fabryki pieniędzy. Co było opcją dla Włoch, to w przypadku Niemiec już od 1914 roku było wykluczone. Również Thomas Piketty stwierdza, że umiarkowana inflacja – mówi on o 5 proc. – może być pomocna w spłacie długu, nawet jeśli nie może to być jedyny instrument działania<sup>17</sup>.

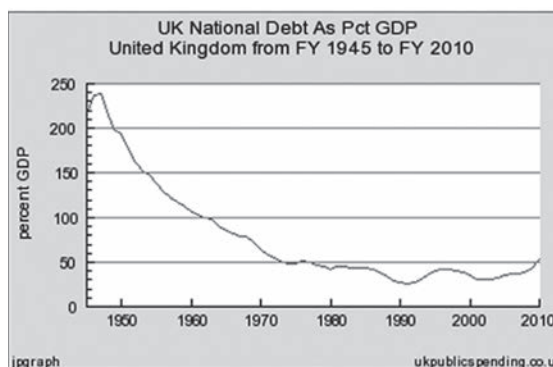
Pozostaje próba działania poprzez deflację. Chodzi o to, że aby uzyskać oszczędności, które powstały wskutek różnych okoliczności, względnie wskutek znacznego wzrostu długu publicznego – należy ten dług trzymać pod kontrolą. Istnieje niewiele, może nawet tylko kilka przykładów, gdzie to się udało. Przy bliższym przyjrzeniu się sprawie upada twierdzenie, że neoliberalna *success story* spełni się kolejny raz, tym bardziej, że środki oszczędnościowe zostały złagodzone. Za wspomniany rzadki wyjątek Piketty uważa Wielką Brytanię, która po wojnach napoleońskich osiągnęła dług krajowy w wysokości 200 proc. PKB. Minęło prawie sto lat, zanim dług ten został znacząco zredukowany poprzez środki oszczędnościowe, a odsetki obciążały budżet państwa bardziej niż wydatki na edukację<sup>18</sup>. Taka droga jest długa, wyboista i niewarta świeczki, ponieważ w istocie nie jest to żadna *success story*.

Piketty w swojej książce *Capital in the Twenty-First Century* proponuje przede wszystkim przywrócić zarówno przychody rządowe, jak i sprawiedliwość poprzez opodatkowanie własności. Sedno jego hipotezy brzmi następująco: nierówność będzie wzmocniana tak długo, jak zyski z kapitału będą wyższe od tempa wzrostu gospodarczego – wówczas zawsze najbogatsze warstwy dostaną jeszcze większy kawałek tortu.

Idąc dalej tym tokiem myślenia, zwiększa się wpływ i potencjał kapitału do ukierunkowywania decyzji politycznych, a efekt staje się jeszcze bardziej dynamiczny. Tam gdzie ludzie, których dochód składa się głównie z inwestycji, oczekują najmniej działań ze strony państwa i w transakcjach transferowych nie mają żadnego interesu, idea państwa jako stróża nocnego wydaje się optymalna tak długo, jak ich własność jest nadal chroniona.

Wracamy więc znowu do dylematu liberalizmu. Dla tej grupy „polityka oszczędnościowa” czy też rygorystyczna polityka fiskalna wydaje się idealnie skrojona. Nie jest jej potrzebne państwo opiekuńcze, ale takie, które chroni ich aktywa, a poza tym trzyma się z daleka od jej interesów.

W ten sposób wracamy znowu do Adama Smitha, który stwierdził, iż rząd, trwa dopóty, dopóki chroni własność, i w istocie jest w stanie chronić bogatych przed biednymi, względnie tych, którzy chcą mniej posiadać wobec tych, którzy nie mają niczego<sup>19</sup>. Z kolei Blyth twierdzi, że tylko wzrost może wyprowadzić z kryzysu. Wystarczy rzut oka na zadłużenie publiczne Wielkiej Brytanii, wyrażone w stosunku procentowym do PKB, aby przyznać mu rację. Po drugiej wojnie światowej i zwycięstwie w wyborach Partii Pracy pod przewodnictwem Clementa Attlee – wbrew wszelkim przewidywaniom – w sposób masowy inwestowano w budownictwo mieszkaniowe, budowę krajowego systemu opieki zdrowotnej, edukację i infrastrukturę.



Po krótkim okresie wzrostu, związanym z inwestycjami, krzywa długu znacząco spada; gospodarka rośnie, a dług spłaca się prawie sam właśnie dlatego, że gospodarka rośnie. Kwota zadłużenia zmniejsza się znacząco w stosunku do gospodarki i w 1940 roku stanowi prawie 250 proc. PKB, co stanowi od nieco mniej niż 100 proc. i do nieco więcej niż 100 proc. zadłużenia w roku 1960. Wraz ze wzrostem produkcji gospodarczej mnożą się wpływy podatkowe, państwo może spłacać dług. Problem rozwiązuje się<sup>20</sup>.

Punkty widzenia Piketty'ego i Blytha nie wykluczają się wzajemnie. Wręcz przeciwnie. Powrót wzrostu gospodarczego powyżej zwrotu z inwestycji, tak, aby zmniejszyć nierówność i poprzez wzrost zmniejszyć dług publiczny proporcjonalnie do wyników ekonomicznych jest możliwy.

### NICHOLAS WILLIAMS

(niemiecko-brytyjski historyk, doktor historii najnowszej Uniwersytetu Paris Sorbonne oraz Uniwersytetu w Saarbrücken)

### Tłumaczenie z języka niemieckiego:

Paulina Styczeń

Ostateczna redakcja w języku polskim:

Paweł Sękowski

17 Thomas Piketty, *Capital in the Twenty-First Century*, London 2014, s. 544.

18 Tamże, s. 545.

19 Zob.: Adam Smith, *Wealth of Nations*, Book V, Chapter I, Part II: *On the Expence of Justice*.

20 [http://www.ukpublicspending.co.uk/spending\\_chart\\_1945\\_2010UKp\\_09c1li001mcn\\_G0t\\_UK\\_National\\_Debt\\_As\\_Pct\\_GDP](http://www.ukpublicspending.co.uk/spending_chart_1945_2010UKp_09c1li001mcn_G0t_UK_National_Debt_As_Pct_GDP) (dostęp: 16.02.2017).

NINA KRAŚKO

# ZYGMUNT BAUMAN

## CZŁOWIEK – UCZONY – PROFETA

Profesor Zygmunt Bauman był najbardziej znanym i uznanym socjologiem polskim w świecie w ostatnich kilku dekadach. Jest autorem około sześćdziesięciu książek, z których większość została przetłumaczona na wiele języków. Był zapraszany z wykładami do znanych ośrodków naukowych w wielu krajach. Jeden z ostatnich referatów wygłosił na spotkaniu w Asyżu zorganizowanym przez stowarzyszenie św. Idziego *Pragnienie pokoju. Religie i kultury w dialogu*.

Otrzymał wiele znaczących nagród naukowych i tytułów honorowych, m.in. 1989 – AMALFI (The European Amalfi Prize for Sociology and Social Sciences) za pracę *Nowoczesność i Holocaust*; 1998 – ADORNO (Theodor W. Adorno Award); 2005 – Premio Capri San Michele za pracę *Globalizzazione e glocalizzazione*; 2006 – nagroda Fundacji VISION 97 Dagmary i Vac-lava Havlów (dyplom i pastorał); 2010 – PRINCE OF ASTURIAS AWARD for communication and humanities dla Alaina Touraine i Zygmunta Baumana.

Był doktorem honorowym około dwudziestu uniwersytetów, m. in. West England (Bristol), Oslo, Kopenhaga, Londyn, Leeds, Uppsala, Göteborg, Laponia (Rimmini), Praga i Sofia. Uniwersytet Leeds w 2011 roku utworzył Instytut Baumana w ramach Szkoły Socjologii i Polityki Społecznej, którą Profesor wcześniej kierował.

19 listopada 2010 roku, w 85. urodziny, ówczesny minister kultury i dziedzictwa narodowego wręczył mu Złoty Medal „Zasłużony Kulturze” Gloria Artis. W 2012 roku został wyróżniony tytułem doktora honoris causa Uniwersytetu Artystycznego w Poznaniu. W 2013 r. prywatna Dolnośląska Szkoła Wyższa we Wrocławiu przyznała Baumanowi swój pierwszy honorowy doktorat. Prawicowe organizacje wezwały do bojkotu uczelni. Profesor postanowił nie przyjąć wyróżnienia. Władze uczelni nie przyjęły odmowy. Zrezygnowano tylko z publicznych uroczystości.

Zygmunt Bauman urodził się w Poznaniu 19 listopada 1925 roku. Mieszkał tam przez trzysta lat. Podobno pierwsze lata życia kształtują charakter człowieka. Jeśli tak, to właśnie wówczas ukształtowały się podstawy jego systemu wartości. Jego ojciec, Maurycy Bauman był kupcem, sklepikarzem. Rodzina mieszkała na Jeżycach – to jedna z lepszych dzielnic w ówczesnym Poznaniu. Zygmunt był jedynym dzieckiem żydowskim w okolicy i jedynym Żydem w szkole. Żył w ciągłym strachu, że ktoś go zaatakuje, pobije, co często się zdarzało zarówno po drodze do szkoły jak i w szkole. Nie uprawiał sportów, bowiem gdyby pojawił się na boisku, to nie on kopałby piłkę, ale chłopcy kopa-

liby jego. Bardzo chciał mieć psa, ale rodzice odmówili mu, wyjaśniając, że musiałby z psem chodzić na spacer, a to było niebezpieczne ze względu na agresję okolicznych dzieci.

Zamożność Baumanów należała raczej do przeszłości. Ania Sfar, córka Zygmunta, pisze, że bogaty był jej pradziadek, czyli dziadek jej ojca. Mieszkanie na Jeżycach pochodziło z tamtych czasów. Dziadek miał dwóch synów i jednemu z nich postanowił zapewnić wykształcenie, a drugi miał objąć sklep, przejąć jego interesy i prowadzić je odnosząc kolejne sukcesy. Niestety źle wybrał, ten drugi syn chciał się uczyć, nie rozumiał handlu i nie potrafił prowadzić sklepu. W roku 1930 Maurycy Bauman zbankrutował. Wierzy-ciele zabrali mu wszystko, zaczęły się wizyty komorników, rekwirovano meble. Nie mogąc sobie poradzić z kłopotami materialnymi, próbował popełnić samobójstwo. Bauman mówi: „To moje pierwsze wspomnienie z dzieciństwa. Pierwsze i jedyne, bo przecież na ogół nie pamięta się rzeczy, które zdarzyły się do szóstego, siódmego roku życia. A tego ja nie zapomnę: walenia do drzwi, ojca wodorostami oblepionego, ociekającego wodą, na noszach”<sup>1</sup>.

Wybuch wojna, rodzina Baumanów, jak wiele innych rodzin żydowskich ucieka do Związku Radzieckiego. Tam rodzice dostają pracę. Matka pracuje jako kucharka, ojciec jako księgowy. Zygmunt kończy szkołę średnią (10-latkę) i dostaje się na studia (zaoczne). Zostaje powołany do milicji, żeby, jak wspomina, regulować ruch uliczny w Moskwie, bo starsi mężczyźni poszli na front. Mając 19 lat zgłasza się do polskiego wojska.

Jak twierdzi Bauman, świadomość, że świat jest źle urządzony, pojawiła się w dzieciństwie, kiedy ojciec zbankrutował, a on był obiektem prześladowań ze strony rówieśników. Wówczas po raz pierwszy zapragnął, żeby świat był urządzony sprawiedliwie, żeby ludzie nie bankrutowali, żeby mogli utrzymać rodzinę i nie byli zmuszeni do samobójstwa.

Te dziecięce odczucia nie były podbudowane realnymi danymi, znajomością problemów, z którymi musiała uporać się Polska. Jego świadomość polityczna zaczęła się kształtować dopiero w wojsku. Czwarta Dywizja Piechoty, jak sam mówił, była zorganizowana na podstawie narodowej, a nie ideowej – żołnierzami byli obywatele przedwojennej Polski, a oficerami najczęściej Rosjanie pochodzenia polskiego. Pojawiały się wszelkie punkty widzenia i elementy różnorodnych programów politycznych i społecznych. Bauman porówny-

<sup>1</sup> T. Kwaśniewski, *Ignoranci i impotenci*, „Gazeta Wyborcza” – „Duży Format” 2010-XI-21.



wał i oceniał wszystkie rozwiązania, o których słyszał i o których rozmawiano.

Najbliższy jego wyobrażeniom o sprawiedliwości wydawał się program komunizmu, obiecywał bowiem równość społeczną, ziemię chłopom (a przecież na wsi było jawne i ukryte bezrobocie), fabryki robotnikom (skończy się bezrobocie, każdy otrzyma pracę i utrzyma rodzinę) i powszechne bezpłatne wykształcenie (co wydawało się szczególnie pozytywne), a także odrzucał wszelką dyskryminację i upokorzenia. Te zasady były bardzo ważne dla Baumana: „Widziałem przecież, jak można ludzi upokarzać, i nadal widzę”. Pamiętał przedwojenną sytuację i był pewny, że ten świat, który istniał, zawiódł kompletnie. Właściwie wszystko się zawaliło. Cała struktura, która miała zabezpieczać ludzką egzystencję, skompromitowała się i pilnie potrzebne były nowe rozwiązania. A Związek Radziecki, w którym zapoczątkowano budowanie nowego ustroju, odnosił zwycięstwa w walce z Hitlerem. Baumanowi podobał się Manifest Lipcowy i zawarty tam program rozwoju Polski. Uważał, że nie można w nim było zakwestionować choćby jednego zdania. Powojenne odgruzowanie Warszawy i odbudowa Starego Miasta pokazywały, że Polska zmierza w dobrym kierunku.

W walkach o Wał Pomorski został ranny, na własne życzenie wypisał się ze szpitala, żeby walczyć w Berlinie na zakończenie wojny. Za bitwę o Wał Pomorski został odznaczony Krzyżem Walecznych za odwagę.

Po zakończeniu działań wojennych Czwartą Dywizję Piechoty w całości wcielono do formowanego w czerwcu 1945 roku Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Bauman rozpoczął tam służbę w stopniu podporucznika jako zastępca dowódcy Piątego Samodzielnego Batalionu Ochrony KBW do spraw polityczno-wychowawczych. W roku 1950 ukończył Akademię Nauk Politycznych. W tym samym roku awansował na stanowisko Szefa Oddziału Propagandy i Agitacji Zarządu Politycznego KBW. Miał wówczas 25 lat. Jego przełożonym, popierającym awans, a zarazem mentorem i partnerem do rozmów został jego przełożony pułkownik Zdzisław Bibrowski; Bauman podkreślał, że był to człowiek dobrze wykształcony, inteligentny, „Był zarazem bardzo krytyczny wobec świata, który współbudował, jak i przekonany, że przy wszystkich wadach tego świata jednak trzeba się starać, by on realizował swoje zadeklarowane cele”<sup>2</sup>.

Służbę w wojsku zakończył w marcu 1953 roku. Formalnym powodem odejścia z wojska stały się zarzuty utrzymywania kontaktów z rodziną, przede wszystkim z ojcem, który nie akceptował zmian zachodzących w Polsce i chciał wyjechać do Izraela.

W tym samym roku Bauman został przyjęty na studia filozoficzne UW. Trudno uznać rok 1953 za choćby zapowiedź politycznej odwilży. Nowy student pojawił się na uczelni w mundurze wojskowym KBW (podjął studia jeszcze służąc w wojsku). Będąc przekonany marksistą i komunistą, demonstrował swoje przekonania, przez co wywoływał lęk wśród pracowników i zapewne kolegów, którzy obawiali się, że nowy student będzie pełnił rolę nadzorca politycznego. Dopiero z czasem uprzedzenia się zmniejszały, a Bauman zdo-

był uznany u takiego autorytetu naukowego, jak Stanisław Ossowski.

Od 15 lutego 1953 roku zaczął pracować w Katedrze Materializmu Dialektycznego i Historycznego Adama Schaffa, w kierowanym przez Juliana Hochfelda Zakładzie Materializmu Historycznego, początkowo na etacie asystenta, a następnie (od 1 stycznia 1955 roku) adiunkta. W roku 1954 obronił pracę magisterską. Recenzenci Schaff, Hochfeld i Roman Suszko zwrócili uwagę na jego wielkie zdolności – jak stwierdzono: dysertacja znacznie przekraczała wymagania stawiane normalnym rozprawom magisterskim.

Julian Hochfeld skupiał wówczas wokół siebie grupę osób interesujących się socjologią marksistowską jako dziedziną odrębną od filozofii społecznej. Pracownicy jego zakładu zajmowali się teorią marksistowską i analizowali problemy społeczeństwa socjalistycznego z marksistowskiej perspektywy. Rozpoczęto badania empiryczne w FSO na Żeraniu nad społecznymi problemami klasy robotniczej, w których brali udział pracownicy zakładu mający za sobą ukończone studia socjologiczne lub Studium Nauk Społecznych. Po odtworzeniu w Uniwersytecie Warszawskim w 1957 roku studiów i katedr socjologicznych, zlikwidowanych z powodów politycznych pod koniec lat czterdziestych, Julian Hochfeld objął Katedrę Socjologii Stosunków Politycznych. Tam w 1957 roku Bauman obronił doktorat rozprawą pt. *Socjalizm brytyjski: Źródła, filozofia, doktryna polityczna*, a w 1960 roku uzyskał habilitację na podstawie wysoko ocenionej pracy *Klasa – ruch – elita. Studium socjologiczne dziejów angielskiego ruchu robotniczego*<sup>3</sup>.

W 1961 roku został etatowym docentem w Katedrze Socjologii Politycznej (nazywanej często Katedrą Socjologii II). W 1962 roku powierzono mu jej kierownictwo (po wyjeździe Hochfelda do pracy w UNESCO). Od grudnia 1962 roku objął samodzielny etat w Wyższej Szkole Nauk Społecznych przy KC PZPR. W 1964 roku, po reorganizacji katedr socjologicznych, Bauman został kierownikiem Katedry Socjologii Ogólnej (przekształconej z Katedry Socjologii Polityki). W 1966 roku miał wrócić do kraju Hochfeld i sądzono, że obejmie ponownie stanowisko kierownika katedry. W porozumieniu z Baumanem postanowiono powołać dla niego Zakład Antropologii Społecznej. Z wnioskiem wystąpiło kierownictwo Sekcji Socjologicznej Wydziału Filozoficznego UW, a Rada Wydziału wniosek poparła. Niespodziewana śmierć Hochfelda zahamowała jego tworzenie, a wydarzenia marcowe w 1968 roku przerwały organizowanie zakładu. Bauman pozostał kierownikiem katedry do 25 marca 1968 roku.

Już w pierwszej połowie lat sześćdziesiątych Bauman stał się jednym z najbardziej znanych i wpływowych polskich socjologów. W 1961 roku ukazała się jego książka *Socjologia na co dzień*, z której większość kandydatów na studia dowiadywała się, co jest przedmiotem tej nauki. W kolejnym roku wyszedł *Zarys socjologii. Zagadnienia i pojęcia*, a w 1964 roku *Zarys marksistowskiej teorii społeczeństwa*. Dla kilku roczników studentów różnych wydziałów z lat sześć-

2 T. Kwaśniewski, *Bauman, Dałem się uwieść*, „Gazeta Wyborcza – Magazyn Świąteczny” 2013-VI-28.

3 „Przed chwilą wróciłem z Klubu Uniwersyteckiego, gdzie „oblewaliśmy” habilitację Baumana. Praca habilitacyjna bardzo poważna i utrzymana na wysokim poziomie, prawie bez śladu dawnego stylu”. 4.VI.1960 w: *Intymny Portret uczonych. Korespondencja Marii i Stanisława Ossowskich* Warszawa 2002, SIC!

dziesiątych, socjologia oznaczała zakres wiedzy (tematykę, analizę i metodologię) przedstawiony w *Zarysie*. Bauman był już wówczas płodnym autorem. W ciągu kilkunastu lat wydał czternaście książek, w tym sześć naukowych (najważniejsze to *Klasa, ruch, elita*, 1960 i *Kultura a społeczeństwo*, 1966). Pozostałe to wydawnictwa popularnonaukowe. Napisał wiele artykułów, z których tylko część trafiła również do wydań książkowych: *Wizje ludzkiego świata*, 1964. W 1968 roku miała ukazać się kolejna praca Baumana *Szkice z teorii kultury*, ale wydarzenia marcowe, jego odejście z partii oraz wyjazd z kraju spowodowały, że już wydrukowana książka poszła na przemiał (ukazała się dopiero w 2016 roku nakładem wydawnictwa Scholar).

Był członkiem PZPR, kierownikiem, a później członkiem powołanego przez Wydział Nauki KC PZPR Zespołu Socjologów pełniącego rolę opiniodawczą dla władz centralnych PZPR w sprawach nauk społecznych, ich rozwoju i organizacji instytucji naukowych. Oczywiście ani Bauman, ani zespół nie mieli kompetencji decyzyjnych, ale tą drogą można było oddziaływać na tych, którzy takie decyzje podejmowali, czyli przedstawiciele Wydziału Nauki KC lub rządziej władz ministerialnych. W 1961 roku, w dużym stopniu dzięki staraniom Baumana, ukazał się pierwszy numer „Studiów Socjologicznych”, a on sam został redaktorem naczelnym pisma.

Zainteresowania naukowe Baumana obejmowały prawie wszystkie tradycyjne zagadnienia teorii marksistowskiej (z wyłączeniem problematyki ontologicznej). Marksizm dla Baumana oznaczał traktowanie społeczeństwa jako pewnej całości i badanie zależności między jego poszczególnymi elementami i czynnikami rozwoju.

Pisał o formacjach politycznych, analizował systemy społeczno-ekonomiczne, ale także sytuację społeczno-polityczną, głównie państw zachodnich. „Świat przeżywa dziś okres ostrej reakcji przeciw ideologii budowanej na modelu «rynku doskonałego»” – pisał<sup>4</sup>. Kapitalizm współczesny zdecydowanie różni się od kapitalizmu klasycznego: rozszerza się zasięg wielkich organizacji funkcjonujących w poszczególnych dziedzinach życia społecznego, następuje koncentracja kapitału, powstają gigantyczne monopole, wzrasta znaczenie banków, pojawia się kadra zarządzająca różna od właścicieli. Rynek przestaje być wystarczającym instrumentem regulacji produkcji. Fakt ten został zaakceptowany przez ideologię i ruchy polityczne, które nie identyfikowały się z marksizmem i stał się składnikiem wszystkich niemal programów społeczno-gospodarczych<sup>5</sup>. Poszczególne koncerny, korporacje i spółki starają się przewidywać i planować swój rozwój.

Bauman podjął też niedokończoną próbę analizy ustroju socjalistycznego, wiążąc nadzieje z planowaniem, które pozwoli usunąć zagrożenia występujące w społeczeństwach rynkowych. Zwracał uwagę, na ograniczenia planu i pisał, że plan w socjalizmie obejmuje w większym zakresie sferę produkcji przemysłowej i dystrybucji dóbr, w mniejszym zaś funkcjonowanie instytucji kulturalnych i naukowych, z natury rzeczy trudniej poddających się przewidywaniom: „Granicą

planu jest zawsze granica własności czy organizacji jednostek”<sup>6</sup>.

Marksizm, zdaniem Baumana, stwarzał możliwości integracji różnych koncepcji socjologicznych, ponieważ charakteryzował się na tyle ogólnymi założeniami, że inne teorie, przynajmniej w pewnym zakresie, można było uzgodnić z założeniami tego podejścia. Poświęcił oddzielne opracowania koncepcjom teoretycznym takich autorów jak Vilfredo Pareto, Talcott Parsons, George Lundberg, C. Wright Mills czy Antonio Gramsci. Teorie te traktował jako pewne wizje społeczeństwa, ukazywał specyfikę każdego podejścia podkreślając wartość tych, które, jego zdaniem, w jakimś stopniu mogły uzupełnić teorię marksistowską, prezentowały bowiem wrażliwość społeczną, ujmowały zjawiska w rozwoju i traktowały społeczeństwo jako system, a nie zbiór elementów.

Najbliższy był mu C. Wright Mills, u którego cenil zainteresowania problematyką przemian społecznych, jego demaskatorskie spojrzenie na społeczeństwo kapitalistyczne, w szczególności tezę o związku biografii z historią.

#### Po marcu 1968

Bauman był jednym z pięciu samodzielnych pracowników Uniwersytetu Warszawskiego wyrzuconych zeń 25 marca 1968 roku. Ze względu na żydowskie pochodzenie, dotychczasową aktywność w PZPR i identyfikację z marksizmem, Bauman został potraktowany jako dwulicowiec i stał się obiektem szczególnie uwłaczającej nagonki władz politycznych, a przede wszystkim środków masowego przekazu. Jego nazwisko pojawiało w publikacjach prasowych jako nazwa ogólna, pisywano je z małej litery i w liczbie mnogiej. Wkrótce wyjechał w ramach tak zwanej „emigracji marcowej” z Polski (musiał zrezygnować z polskiego obywatelstwa). Po kilkuletnim pobycie w Izraelu, w 1971 roku został profesorem socjologii w Leeds.

Nazwisko Baumana i jego prace zniknęły z publikacji socjologicznych w Polsce. Zapis cenzury na nazwisko spowodował, że po wyjeździe Baumana z Polski przestano cytować i odnosić się do jego prac, nie tylko pozytywnie, ale i krytycznie. Jego podręczniki wycofano z programów socjologii dla studentów szkół wyższych. Sam Bauman w niewielkim stopniu uczestniczył w polskim życiu intelektualnym, był współpracownikiem emigracyjnego „Aneksu”, lecz zamieścił tam zaledwie kilka artykułów.

Kolejnym powodem nieobecności Baumana w nauce polskiej była zmiana sposobu uprawiania socjologii. Socjologia w Polsce stała się nauką wąsko empiryczną, przedstawiającą teorie średniego zasięgu. W mniejszym stopniu interesowano się problematyką historyczną i teoriopoznawczą. Podejście marksistowskie w socjologii oznaczało teraz zainteresowanie problematyką różnicowania społecznego, wpływem czynników położenia materialnego na poglądy i opinie ludzi. Marksistowska socjologia zrezygnowała z ambicji światopoglądowych.

Względy cenzuralne, nieobecność w kraju i w jego życiu politycznym, społecznym i intelektualnym – wszystkie te czynniki sprawiły, że Bauman przestał być obecny w polskiej socjologii.

4 Z. Bauman, *Kultura a społeczeństwo. Preliminaria*, PWN, Warszawa 1966, s. 453.

5 Tamże, s. 453.

6 Z. Bauman, *Zarys marksistowskiej teorii społeczeństwa*, PWN, Warszawa 1964, s. 189.

### Zwyczajny brytyjski profesor

Bauman w latach 1971–1990 pracował na stanowisku profesora na uniwersytecie w Leeds. W tym czasie napisał jedenaście książek. Problematyki ustroju socjalistycznego dotyczyły dwie prace: *Socialism: The Active Utopia* (1976) i *Stalin and the peasant revolution: a case study in the dialectics of master and slave*. (1985), a także kilka artykułów zamieszczonych w „Aneksie”. Tezy o wyższości systemu socjalistycznego nad kapitalizmem nie zastąpił poglądem przeciwnym. Bauman podkreślał, że społeczeństwo socjalistyczne stanowi odmienny od innych, swoisty typ ustrojowy. Jeśli badacz koncentruje się na tych aspektach funkcjonowania systemu, które są różne od ustroju państw zachodniej demokracji parlamentarnej, to *eo ipso* rezygnuje z poszukiwania tego, co jest faktycznie istotne, odrębne i specyficzne<sup>7</sup>.

Drugim tematem była kwesta poznania i interpretacji zjawisk społecznych. Do tej kategorii należy m.in. praca *Hermeneutics and Social Science* (1978) będąca rozwinięciem *Wizji ludzkiego świata*, a później *Legislators and interpreters: On Modernity, Post-Modernity, Intellectuals* (1987):...

W tym okresie powstało jedno z najlepszych, moim zdaniem, dzieł Baumana *Modernity and the Holocaust* (1989), w którym analizując doświadczenia Niemiec hitlerowskich i zagładę Żydów dowiódł, że zjawisko Holokaustu nie da się wytłumaczyć samym antysemityzmem, że nie jest to zjawisko patologiczne i jednostkowe odbiegające od „normalności”, że wykorzystało ono możliwości, jakie dawała organizacja i technologia społeczeństw nowożytnych i bez niej nie byłoby możliwe.

### Emerytura – wolność – profetyzm przestroga ostrzeżenie

W 1990 roku zgodnie z brytyjskim prawem Zygmunt Bauman przeszedł na emeryturę. Emerytura okazała się dla niego czasem najbardziej twórczym i pozwoliła na rozwinięcie własnych przemyśleń. Nie mając obowiązków dydaktycznych i organizacyjnych oddał się pisaniu – opublikował co najmniej dwadzieścia dwie książki autorskie, a w czternastu zbiorowych zamieścił artykuły. O ile dotychczas starał się oddzielać naukę od eseistyki czy publicystyki, teraz te wszystkie granice przekraczał. Jego późne prace można było zaliczyć do eseistyki lub beletrystyki. Trudno też powiedzieć, że pozostał socjologiem, czy też występował w roli antropologa. Przedstawiał zmiany zachodzące społeczeństwie zarówno jakby z oglądu zewnętrznego, jak spoglądając na nie z punktu widzenia jednostki, realizując postulat C.R. Millsa o związku biografii z historią.

Wcześniej zwracał uwagę na przemiany społeczeństw nowoczesnych, przede wszystkim zachodnich, teraz zaczął opisywać przeobrażenia tych zmian.

Podstawowe pojęcia, którymi posługiwał się opisując te nowe zjawiska, to modernizm (będący ideologią), nowoczesność, globalizacja, postmodernizm (ideologia), ponowoczesność (Bauman szukał nazwy tego typu zjawiska, czasami mówiąc o późnej nowoczesności, a ostatecznie zatrzymał się na pojęciu płynnej nowoczesności), konsumeryzm i moralność. Opisywał

je przeciwstawiając ich charakterystyce społeczeństwa nowoczesnego, rynkowego.

Spółeczeństwa nowoczesne nazywał Bauman „społeczeństwami producentów”. Były dwie zasady organizujące produkcję: jedna to państwa zachodnie z rynkiem jako zasadą regulującą produkcję i dystrybucję, druga zaś to państwa bloku radzieckiego, gdzie o organizacji produkcji i dystrybucji decydowało centralne zarządzanie i plan. W każdym dokonania produkcyjne dawały państwu większy prestiż, a ludziom wyższy szacunek i wynagrodzenia.

Początek nowoczesności to początek uprzemysłowienia, szczególnie w Anglii, a więc ogromna nierówność, wyzysk i praca stająca się jedynie sposobem zapewnienia utrzymania sobie i rodzinie. Rozwój przemysłu wyłonił rzeszę ludzi niepotrzebnych. Dużą część nich nie miała zatrudnienia; włóczędzy, przestępcy skazywani byli na karę śmierci, więzieni lub wysyłani do kolonii.

Tworzenie i działalność organizacji robotników (związków zawodowych) przekształciła spontaniczny opór w opór zorganizowany. Dzięki temu stopniowo ograniczono czas pracy, podnoszono płace, a pracownicy otrzymywali płatne urlopy, ubezpieczenie i emerytury.

W rozumieniu Baumana we wczesnej „solidnej” nowoczesności za stosunki między pracownikami i pracodawcami odpowiadało państwo, ograniczając wolność pracodawców i pracobiorców, decydując zarazem, jaki poziom żądań każdej ze stron jest słuszny. Ustalenia bywały zmieniane, gdy zmieniały się warunki lub gdy to, co w danym momencie wydawało się możliwe do przyjęcia przez każdą ze stron, po pewnym czasie dla jednej z nich mogło okazać się niezadowolające.

Państwa były organizacjami obejmującymi całość spraw obywateli – sprawy ekonomiczne, polityczne, społeczne i kulturalne. Zajmowały one określone miejsce w przestrzeni zbiorowej; na swoim terytorium miały prawo ustalać i narzucać zasady i normy nadające spójność różnym aspektom funkcjonowania zbiorowości: stosunkom produkcji, dystrybucji, konsumpcji, a także środkom służącym realizacji tych zadań.

Celem społeczeństw nowożytnych stało się państwo opiekuńcze i sprawiedliwe, co wymagało takiego wychowania członków społeczeństwa, by spełniali normy „dobrego społeczeństwa”. Najprościej było, za uważał Bauman, wymagania wobec poszczególnych jednostek, grup i organizacji uregulować ustawowo. „Społeczeństwo nowoczesne miało nienasycony głód stanowienia przepisów, ustalania norm, określania zasad: pragnienie piękna, dobra, prawdy, przyzwoitości, użyteczności szczęścia”<sup>8</sup>. Owa nadregulacja czasami niebezpiecznie zbliżała się do rozwiązań totalitarnych, obejmujących wszystkie aspekty życia człowieka, stąd zainteresowania Baumana państwami takimi jak ZSRR, Chiny, Korea.

Taka sytuacja była niesprawiedliwa, bo państwa biedne nie potrafiły zapewnić odpowiedniego poziomu życia swoim obywatelom i nie miały środków umożliwiających szybkie rozwiązanie problemu.

Równolegle następował rozwój technologii, a automatyzacja produkcji zastępowała pracę ludzką pracą

7 Por. Z. Bauman, *Socjalizm drugiego pokolenia*, „Aneks” 1973, 2, s. 38.

8 Z. Bauman, K. Tester, *O pożytkach z wątpliwości. Rozmowy z Zygmuntem Baumanem*, Warszawa 2003, s. 96.



maszynową. Nowa sytuacja sprzyjała szybkiemu przycuczeniu do pracy pracowników bez kwalifikacji. Korporacje z państw bogatych i rozwiniętych zaczęły przenosić produkcję do krajów przeludnionych i zacofanych. W efekcie zmniejszało się jawne i ukryte bezrobocie, ludzie mogli otrzymać pracę i poprawić swoje położenie, a korporacje otrzymywały tanią siłę roboczą. Wydawało się, że znaleziono rozwiązanie problemu ubóstwa. Co więcej, udało się to bez rozwiązań totalitarnych, z zachowaniem norm demokracji.

Światowe uznanie zdobył Francis Fukuyama, amerykański politolog i ekonomista, który obwieścił koniec historii, co oznaczało zwycięstwo gospodarki rynkowej, wolnego rynku i handlu, „demokracji ekonomicznej” nad wszystkimi innymi, głoszonymi do tej pory ideologiami, które dotychczas były uznawane na całym świecie. „Nie ma ucieczki od wolnego rynku”, pisał Fukuyama<sup>9</sup>. Ustały konflikty między wielkimi systemami politycznymi, ustroje totalitarne przegrały, od tej pory wszystkie społeczeństwa będą dążyć do liberalnej demokracji.

Bauman był jednym z pierwszych myślicieli, który stwierdził, że prognoza Fukuyamy nie ziści się, a „nowoczesność może jednak okazać się zjawiskiem historycznym, a nie końcem historii”<sup>10</sup>.

Faktycznie, zjawisko globalizacji oznaczające wolny rynek i konkurencję objęło cały świat i wszystkie aspekty ludzkiego życia. Bauman podkreśla, że zjawisko to jest czymś różnym od teorii uniwersalizacji czy konwergencji. W wypadku tych ostatnich chodziło o zbudowanie takiego społeczeństwa światowego, które objęłoby wszystkie państwa narodowe i miało wyrównać warunki życia, i tym samym szanse życiowe osób z niższych klas społecznych.

Globalizacja oznacza jednakże nieprzewidziane i niezamierzone globalne skutki działań ludzkich. Jest skutkiem rozwoju technologii i wolnego rynku, pozwalającego na przemieszczanie kapitału, handlu i produkcji. Globalizacja likwiduje przeszkody w wyborze miejsca zamieszkania, a także miejsca pracy. Świat staje się dostępny dla każdego człowieka.

Produkowanie stało się łatwe – problemem jest nie tyle wyprodukowanie towarów, co możliwość znalezienia na nie nabywców, czyli konsumentów, którym wyprodukowane towary będą potrzebne. W czasach nowoczesnych produkty wyższej klasy przede wszystkim charakteryzowały się lepszym wykonaniem, czyli większą trwałością. Przy obecnej łatwej produkcji taka długowieczność stała się niepotrzebna, chodziło przede wszystkim o możliwość wymiany danego przedmiotu na nowy. Przestała opłacać się naprawa urządzenia, bo nowe kosztuje prawie tyle samo. Podstawową rolą człowieka stała się rola konsumenta. Konsumpcja może obejmować wszystko: domy, samochody, zegarki, podróże, wypoczynek, towarzystwo, itd. Pracuje się, żeby móc pozwolić sobie na konsumpcję na wyższym poziomie.

Państwo przestało być gwarantem umów między pracownikiem a korporacją. Korporacje wprowadziły wewnętrzne reguły zarządzania. Umowy straciły gwarancję państwa. Pracownik, który jest z jakiegoś powodu potrzebny korporacji, może uzyskać o wiele lepsze warunki w porównaniu z inną osobą o tych sa-

mych kwalifikacjach. Pracownika niepotrzebnego korporacja łatwo się pozbywa. Sytuacja na rynku popytu i podaży na stanowiska warunkuje, czy znajdą zatrudnienie. Każdy zaczyna odpowiadać za siebie, nie ma zbiorowej odpowiedzialności. Bauman zwraca uwagę, że jeżeli w czasach twardej nowoczesności bezrobocie było troską państwa, w czasach ponowoczesnych, skoro ludzie mogą zmienić miejsce zamieszkania, brak pracy staje się przede wszystkim ich zmartwieciem.

Wolny handel, otwarcie granic i rezygnacja z niezależnej polityki gospodarczej i społecznej jest warunkiem niezbędnym do otrzymania pomocy finansowej światowych banków i funduszy monetarnych. „Stabe państwa to właśnie dokładnie to, czego Nowy Porządek Świata, który podejrzanie często wygląda na jego nowy nieporządek, potrzebuje, by zapewnić sobie trwanie i reprodukcję. Stabe niby-państwa łatwo dają się sprowadzić do pozytywnej funkcji okręgów policyjnych, zapewniających odrobinę porządku potrzebnego do prowadzenia interesów; nie trzeba się natomiast obawiać, że mogłyby skutecznie ograniczyć swobodę firm i przedsiębiorstw”<sup>11</sup>.

Analizy Baumana zjednywały mu rzesze zwolenników. On sam mówił: „dochodzę do wniosku, że moje dzieje intelektualne są historią rozczarowań. Po kolei lokowałem nadzieje w różnych miejscach i wszystkie mnie zawodziły. Nie znalazłem jak dotąd modelu społecznego, który byłby wolny od wad: trochę jak z przysłowiową przykrótką kołdrą – albo nos marznie, albo nogi ziębną”<sup>12</sup>.

Ale pewnie chciał, żeby jego przemyślenia jakoś zmaterializowały się, żeby pomogły rozwiązywać problemy, o których pisał. I znalazł sojusznika – nie w byle kim, bo w papieżu Franciszku. Dał temu wyraz w licznych publikacjach i wywiadach. W wywiadzie dla „L'Osservatore Romano”, wyznał, że jest oczarowany Franciszkiem. W „Newsweek Polska” podkreślał: „Jest Franciszek jedyną postacią publiczną i mężem stanu, mającym dość odwagi na to, by te prawdy pyszałkowatemu światu jasno wyłożyć i bez ogródek wyłożyć, a i dość autorytetu, by być słuchanym, a i posłuchanym. Nie tylko sumieniem świata jest Franciszek, ale i jego nadzieją”<sup>13</sup>. Faktycznie, papież Franciszek wyraźnie zwrócił uwagę na problemy biedy, wykluczenia społecznego. *Adhorracja apostołska Ewangelii Gaudium – O głoszeniu ewangelii we współczesnym świecie* jest tego najlepszym dowodem.

### Lustracja – polskie piekło

Zygmunt Bauman z żoną Janiną w 1988 roku, dwadzieścia lat po wyjeździe z kraju, odwiedzili Polskę. Po 1989 roku wizyty powtarzały się dość często. Profesor już wtedy był znany i cytowany w świecie, i wiedza o tym dotarła do Polski. W Polsce był zapraszany na spotkania do różnych uniwersytetów, zaczęły się masowo ukazywać jego książki. W 2004 roku został rektorem Uniwersytetu Powszechnego im. Jana Józefa Lipskiego w Teremiskach k. Białowieży, prowadzonego przez Fundację Edukacyjną Jacka Kuronia.

11 Z. Bauman, *Globalizacja i co z tego dla ludzi wynika*, PIW, Warszawa 2000, s. 82.

12 *Trzech na jednego* z Z. Baumanem, „Zdanie”, 1-2 (148-149) 2011.

13 Z. Bauman, *Franciszek chciałby, aby w Kościele kłękano przed biednymi*, „Newsweek Polska”, 18.12.2016

9 F. Fukuyama, *Koniec historii*, Zys i S-ka, Poznań 1997.

10 Z. Bauman, K. Tester, *O pożytkach z wątpliwości.*, op.cit., s. 97.

W 2006 roku dwa instytuty socjologiczne działające na Uniwersytecie Warszawskim (Socjologii i Stosowanych Nauk Społecznych) popierane przez rady wydziałów wystąpiły do senatu UW o odnowienie doktoratu. Odnowienie doktoratu dla macierzystego uniwersytetu w Warszawie jest odpowiednikiem doktoratu *honoris causa*. Jest to wielkie wyróżnienie i bardzo wielkie święto dla samej uczelni. Kandydat do odnowienia doktoratu musi spełnić trzy warunki. Po pierwsze – musi mieć osiągnięcia na poziomie światowym, po drugie – charakteryzować się nienaganną postawą moralną. Trzeci warunek z przyczyn biologicznych usuwa wielu pretendentów – od czasu doktoratu do odnowienia musi upłynąć pięćdziesiąt lat; pretendenci mogą nie dożyć do tego wieku, ponadto musi zachować pełną świadomość i jasność umysłu.

Senat UW odrzucił wniosek, nie pomogło odwołanie. Niektórzy członkowie twierdzili, że dorobek Zygmunta Baumana nie spełnia kryteriów naukowych, jest to publicystyka, a nie nauka. Inni przypomnieli z własnego doświadczenia, albo raczej z opowiadań (fizycy), że kiedy Bauman przychodził w mundurze na uniwersytet, to się go bali. Ale dużą rolę odegrał też artykuł Piotra Gontarczyka, pracownika Instytutu Pamięci Narodowej.

Inicjatywa odnowienia doktoratu pojawiła się, kiedy od roku w Polsce rządziło Prawo i Sprawiedliwość. Program wyborczy tej partii zapowiadał m.in. „Przywrócimy pamięć historyczną, pokażemy, kto był kim. Przypomnimy, na czym polegała istota komunizmu i PRL”<sup>14</sup>.

Zapewne jedną z pierwszych odpowiedzi na pytanie „Kto był kim?” dał właśnie Piotr Gontarczyk. „Biuletyn IPN”, nr 6 z 2006 zamieścił jego artykuł *Towarzysz «Semjon» nieznanego życiorys Zygmunta Baumana*<sup>15</sup>. Ten sam artykuł znalazł się w efemerycznym piśmie „Ozon”. Autor opracowania korzystając z archiwów Instytutu Pamięci Narodowej<sup>16</sup> – tak uzasadniał ilustrację osoby emerytowanego profesora Uniwersytetu w Leeds: „Bez względu bowiem na objętość różnych biogramów Baumana, widać w nich pewną asymetrię. O ile informacja na temat jego usunięcia z UW w czasie antysemitycznych rozgrywek w PZPR w 1968 roku pojawia się zawsze, o tyle szczegółów na temat działalności Baumana w latach 1945-1953 doszukać się nie sposób”<sup>17</sup>.

Gontarczyk wiedzę o Baumanie czerpał z dwóch podstawowych źródeł: jednym, była opinia jego przełożonego Zdzisława Bibrowskiego popierającego wniosek o awans na stanowisko szefa Oddziału Propagandy i Agitacji Zarządu Politycznego KBW. Drugim – dokument mówiący o współpracy z Informacją Wojskową.

Opinia Bibrowskiego zachowała się w całości, natomiast teczka o współpracy z Informacją Wojskową „była brakowana (zniszczona) jeszcze w latach czterdziestych” i jak widać, pozostały z niej szczątki.

Trudno zarzucić Gontarczykowi, że nie przedstawił rzetelnie źródeł. To co rzuca się w oczy, to literalne

traktowanie każdego zdania i przyjmowanie za prawdę obiektywną. Każda wzmianka jest oskarżeniem. O współpracy z Informacją Wojskową pojawiły się dwie różne opinie: jedna pozytywna (z punktu widzenia Informacji Wojskowej i Gontarczyka): „przydatne źródło wiadomości”, druga krytyczna: „cennych materiałów nie dał”. Ale skoro napisano, że był informatorem i rezydentem, znaczy był ważnym donosicielem.

Bibrowski pisze: „Jako Szef Wydziału Pol-Wych operacji bierze udział w walce z bandami. Przez 20 dni dowodził grupą, która wyróżniła się schwytaniem wielkiej ilości bandytów”. Mimo że brakuje informacji kiedy i gdzie były walki, i w jakim charakterze brał w nich udział „podsądny”, Gontarczyk pisze, że walczył z bronią w rękę. Dalej cytuje Marię Turlejską: „To właśnie jednostki KBW ścigały po wojnie najstławniejsze oddziały polskiej partyzantki: Piątej Wileńskiej Brygady AK mjr. Zygmunta Szendzielarza «Łupaszki» na Białostocczyźnie, mjr. Hieronima Dekutowskiego «Zapory» na Lubelszczyźnie czy Józefa Kurasia «Ognia» na Podhalu”<sup>18</sup>, co sprawia wrażenie, jakoby Bauman brał udział w walce z każdym z tych oddziałów. U Bibrowskiego czytamy: „odznaczony Krzyżem Walecznych”, a Gontarczyk pisze, że Bauman Krzyż Walecznych otrzymał za walkę ze zbrojnym podziemiem<sup>19</sup>. Bauman miałby zatem dwa Krzyże Walecznych – jeden za udział w bitwie o Wał Pomorski, drugi za walkę ze zbrojnym podziemiem.

Tezy Gontarczyka podchwyciła polska prawica: Obóz Radykalno-Narodowy, Narodowe Odrodzenie Polski, Młodzież Wszechpolska, Solidarni 2010. W opinii tych środowisk znaczenie Baumana w walce ze zbrojnym podziemiem wzrastało niebotycznie, a jego osiągnięcia naukowe w oczach tych ludzi właściwie przestawały istnieć. Członkowie tych organizacji, razem z tzw. „kibolami” zaczęli zakłócać wykłady Baumana. Tak było we Wrocławiu i Poznaniu w czerwcu 2013 roku. W 2016 roku spalono fotografię Baumana i Rafała Dutkiewicza, prezydenta Wrocławia, który spowodował ukaranie osób zakłócających wykład.

W ostatniej dekadzie polska prawica, a za nią też władze państwowe rehabilitowały powojenne podziemie zbrojne. Żołnierze Wyklęci stali się symbolem oporu, wzorami patriotyzmu. Nie mówi się już o wojnie domowej, ani o tym, że często oddziały Żołnierzy Wyklętych mordowały niewinnych ludzi, o czym zresztą wiadomo z wydanych przez IPN prac.

W świecie prace Zygmunta Baumana są traktowane jako rzetelna diagnoza zagrożeń współczesnej cywilizacji, są przedmiotem debat, analiz i poszukuje się sposobów pozwalających rozwiązać wskazane problemy. W Polsce natomiast dominuje sprowadzanie całego życia i twórczości do kilkuletniego okresu młodzieńczego, o którym zresztą nie ma wystarczających oficjalnych danych.

## NINA KRAŚKO

14 IV Rzeczpospolita. Sprawiedliwość dla wszystkich. Prawo i Sprawiedliwość, program 2005.pdf, s. 16, 17. Biuletyn Informacji Publicznej Partii Prawo i Sprawiedliwość.

15 P. Gontarczyk, *Towarzysz «Semjon» nieznanego życiorys Zygmunta Baumana*, Biuletyn IPN, nr 6/2006.

16 Ustawa z 18 grudnia 1998 r. o Instytucie Pamięci Narodowej - Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu, Dz.U. 1998 nr 155 poz. 1016.

17 P. Gontarczyk, *Towarzysz «Semjon»...*, Biuletyn IPN nr 6/2006

18 Zob. *Z walk przeciwko zbrojnemu podziemi 1944-1947*, red. M. Turlejska, Warszawa 1966.

19 AIPN, 0193/8207, część III, k. 7-7v (zob. dokument nr 2).

# WŁADYSŁAW MARKIEWICZ

## (1920 – 2017)

Żył długo, a powinien żyć dłużej. Umówiliśmy się na stulecie urodzin, zamierzaliśmy wtedy zrobić to, czego Julian Tuwim zalecał nigdy nie odkładać. Władysław Markiewicz 18 stycznia 2017 roku złamał przyrzeczenie bodaj jedyny raz w życiu.

Urodził się 2 stycznia 1920 roku w Ostrowie Wielkopolskim w rodzinie robotniczej. Wszystko okazało się ważne, bo każdy z tych faktów wpłynął na Jego postawę, światopogląd i działalność. Z Wielkopolską był związany szczególnie, Poznań jest chyba najważniejszym dla niego miejscem. Na Uniwersytecie Poznańskim odbył studia socjologiczne, w 1959 roku uzyskał doktorat (promotorem był Tadeusz Szczurkiewicz) oraz wszystkie kolejne stopnie naukowe. Tam kierował Katedrą Socjologii, a później był dyrektorem Instytutu Socjologii UAM. Współtworzył Instytut Zachodni, w 1966 roku został jego dyrektorem. Przeniósł się do Warszawy. Tutaj pracował na uniwersytecie, ale szczególnie mu bliska stała się Polska Akademia Nauk. Został jej członkiem w 1971 roku, a później wiceprezesem. Przewodniczył Komitetowi Badań i Prognoz Polska 2000 PAN. Wtedy, wraz z Juliuszem Goryńskim, uczynił z tej instytucji miejsce nadzwyczaj znaczące: wolnej, intelektualnej troski o Polskę i jej perspektywy.

Aktywność naukowa i obywatelska cechowała całe Jego życie. U jej podstaw leżała chęć zrozumienia świata i poprawy losu ludzi społecznie upośledzonych. Dlatego uprawiał socjologię i z tych powodów należał do kręgu lewicy. Zawsze i do końca.

W czasie okupacji niemieckiej cztery lata był więziony. Najdłużej w obozie koncentracyjnym Mauthausen Gusen. Po uwolnieniu przez wojska amerykańskie służył we Włoszech w II Korpusie, następnie znalazł się w Anglii. Do Polski wrócił w sierpniu 1947 roku. Wspominał, że nie przeżywał wahań związanych z tą decyzją. Tutaj, u siebie i u nas, próbował zrozumieć barbarzyństwo nazizmu. Nie mógł go pojąć. Ale zarazem zbliżenie polsko-niemieckie stało się jednym z głównych zadań jego życia. Należał do współtwórców i ze strony polskiej przewodniczył Polsko-Niemieckiej Komisji Podręcznikowej. Inne kraje (zwłaszcza Japonia) korzystały z przykładu tej nowatorskiej instytucji. Prezydent RFN nadał Władysławowi Markiewiczowi

Wielki Krzyż Zasługi Orderu Zasługi Republiki Federalnej Niemiec. Miał wśród Niemców wielu bliskich.

W socjologii zajmował się zagadnieniami kluczowymi: narodem i państwem, polityką i kulturą polityczną, procesami uprzemysłowienia i modernizacji, integracją Ziem Zachodnich, polską emigracją, etosem obywatela i inteligenta.

Dobrze znał socjologię niemiecką i wielokrotnie o niej pisał. Reprezentował naszą dyscyplinę w świecie. Kontaktował się z wieloma największymi.

Umiał patrzeć, słuchać, czytać i rozumieć. Przeżył kilka ustrojów i w każdym z nich poszerzał granice wolności i zakres bezpieczeństwa, mając w tym działaniu na myśli przede wszystkim nie siebie. Klasyczna postać spolegliwego opiekuna. Niezawodny, pomocny, pozbawiony ekstrawagancji czynów, cierpliwy, wyrozumiały, ale nie uległy. Chronił instytucje, którym przewodził, ludzi i środowiska. Charakteryzował się ciągłością poglądów i trwałością postawy. Nie przeżywał ani olśnienia, ani apostazji. Głupotę uważał za naszą najgroźniejszą przypadłość. Był człowiekiem inteligentnego etosu, wytrwały w pracy organicznej, odpowiedzialny, oddany słabszym i podopiecznym. Pozbawiony maksymalizmu, ostentacji i autoheroizmu, zrobił dlatego właśnie, jako obywatel, inteligent, uczonej i zarządzający nauką tak dużo.

Do końca był w świetnej formie intelektualnej, czytał, pisał i publikował. Spacerował i rozmawiał. Niedawno skończył wykłady w Górnośląskiej Wyższej Szkole Handlowej im. Wojciecha Korfańskiego w Katowicach. Już jako nestor socjologii polskiej na jubileuszowym spotkaniu PAN powiedział: „Zalecałbym pielęgnowanie jako wartości wyjątkowo cennej i niezastąpionej uczucie przyjaźni, które daje poczucie bezpieczeństwa i pewności życiowej, ubarwia powszednie bytowanie, wzbogaca i poszerza horyzonty pojmowania i odczuwania świata”. Dodał: „bezustannie pielęgnowmy w sobie zdolność empatii. Dla socjologa jest to właściwie nieodzowny element warsztatu badawczego, ale ponadto jest to jedyny sposób, aby polubić ludzi i czuć się wśród nich dobrze”. Władysław Markiewicz lubił nas, a my czuliśmy się z nim dobrze.

**PAWEŁ KOZŁOWSKI**  
21 stycznia 2017 roku



MARCIN KULA

# KWIATKI NA PLACU WILSONA, DAWNIEJ KOMUNY PARYSKIEJ...

*I do dzisiaj pod płaczu beczką  
wciąż powtarza: „Nie, nie, sąsiedzie,  
to jest tylko smutne miasteczko,  
ono sobie kiedyś pojedzie...”  
I nie mylił się facet miły,  
pierwsze wozy jakby ruszyły  
i niemało już odjechało,  
ale drugie tyle zostało...*

Wojciech Młynarski, *Smutne miasteczko* (fragment)

PRL nie może spokojnie odejść. Jedni wciąż z nią walczą, a inni widzą jej ślady w przyjmowanych dziś rozwiązaniach. Gdyby rozważać tę sprawę na poważnie, to na pytanie o trwanie PRL w życiu Polaków odpowiedzi trzeba by udzielić, biorąc pod uwagę różne poziomy organizacji życia społecznego – poczynając od kwestii stopnia przekształceń strukturalnych, w tym zmian struktury instytucji. Należałoby przyjrzeć się ewolucji poszczególnych grup społecznych, w tym zawodowych. Także – funkcjonowaniu sfery publicznej czy zmianom, powiedzmy, w gospodarstwie domowym. Ograniczę się jednak do paru spraw, które dostrzegam bez wielkich analiz – patrząc na siebie i dookoła siebie.

Powiedziano już nam, że jesteśmy „wykształciuchami”, że idziemy w marszach KOD-u jako przegrana elita, także – iż jesteśmy skażeni wpływem naszych profesorów-marksistów... Może tak jest, nikt nie jest sędzią we własnej sprawie. Sam, rozglądając się dookoła, widzę jednak trwanie PRL w sferach innej natury. Gdy na przykład w mniej czy bardziej publicznej toalecie widzę rolę papieru, której nikt nie kradnie, ogarnia mnie wzruszenie. Gdy rezygnowałem ze stacjonarnego telefonu, trzy razy przemyślałem sprawę – pamiętając, jak kiedyś się o niego starałem. Gdy przejeżdżam granicę, wciąż nie mogę się nadziwić banalności tego „wydarzenia”.

Zdarzają mi się też analogiczne reakcje w poważniejszych sprawach. Gdy przed wakacjami mój doktorant obronił pracę doktorską, skłoniłem go do odebrania dyplomu bez czekania parę miesięcy na stosowną

uroczystość. Z czasów PRL mam zakodowane, że jak „władza” daje, to trzeba szybko brać. Przyznany paszport odbieraliśmy jak najszybciej, by „oni” się nie rozmyślili. Niby mogli go wycofać w każdej chwili, ba, mogli zawrócić samolot, ale takie działania zdarzały się rzadko. Oczywiście, na zdrowy rozum prawdopodobieństwo, by dyrektor odmówił dziś podpisania dyplomu doktorskiego, jest praktycznie żadne, ale ja mam w głowie zakodowane inne czasy. Koledze, z którym chciał się zobaczyć prokurator, by zapytać o coś niewinnego, powiedziałem, że do prokuratury nie chodzi się bez formalnego wezwania, a i to sprawdzonego u adwokata od strony kompletności.

Reakcje takie, jak moje przytoczone, miną wraz z przemianą pokoleniową – jeżeli, oczywiście, nie zostaną ponownie wzmocnione przez bieg wydarzeń. W końcu, jeżeli Prezydent mógł odmówić podpisu pod nominacjami sędziów z argumentem „bo nie”, to może się zdarzyć, że dyrektor instytutu nie podpisze też dyplomu. Prokuratura łatwo może przestać wzbudzać zaufanie.

\* \* \*

W innej dziedzinie spraw trwanie PRL długo widziałem i widzę w totalnym sprzeciwie wobec jej rozwiązań – choć brzmi to paradoksalnie. W znakomitej większości owe rozwiązania z pewnością nie były dobre. Niemniej jednak różne ich reformy bywały motywowane nie tyle analizą sensu, ile przekonaniem, że trzeba

wszystko zmienić, a najlepiej wrócić do dwudziestolecia. Nie wiem, czy przywrócenie gimnazjów było dobrym rozwiązaniem, ale nie zostało poprzedzone analizą pedagogiczną. Prywatyzację prowadzono bardzo niedoskonale i ułomnie, ale w niejednej sprawie była ona motywowana prostym odrzuceniem PRL. Krajowe teksty naukowe i publikacje spadły na plan dalszy niżby to wynikało z realnej potrzeby umiędzynarodowienia nauki polskiej. Oóż PRL przestanie trwać, gdy przestanie warunkować obecne działania, nawet te jej przeciwne. Neronem nikt się już nie przejmuje, a w Rzymie istnieje nawet forum jego imienia. Niestety ten przykład wskazuje, że do osiągnięcia takiego stanu rzeczy trzeba będzie jeszcze długo poczekać.

\* \* \*

Widzę grupę stosowanych rozwiązań, które mnie przypominają PRL, ale nie sposób powiedzieć, czy ich twórcy, ukształtowani dawniej, mają zakodowane w głowach ówczesne pomysły, czy stosują rozwiązania wyrastające z nowych czasów. Historycy przywiązują przesadną wagę do genezy zjawisk. W końcu w każdym autorytaryzmie występują rzeczy podobne. Mówienie, że imigranci przynoszą choroby, nie jest kontynuacją tezy, w myśl której Żydzi to wszy i tyfus plamisty – ale jest podobne. Roszczeniowość ludzi może być spadkiem po PRL, ale występuje teraz po trochu wszędzie z uwagi na dużą rolę państwa i jego częstą niesprawność.

Mnie wprowadzenie wyjaśniającej pogadanki przed filmem *Ida* kojarzy się „ustawiającymi” wstępami do książek za PRL. Gdybym był jeszcze trochę starszy, to kojarzyłoby mi się zapewne z pogadanką z 1954 r., poprzedzającą *Wesele*: „Sojusz chłopów i panów – mówi Wyspiański – nie prowadzi do niepodległości narodu. Innego wyjścia poeta nie widzi, dlatego zakończenie utworu brzmi dla niego tragicznie. My jednak wiemy, że wyjście istniało. Wyjściem była rewolucyjna walka, łącząca sprawę narodową z wyzwoleniem społecznym. Wyspiański nie dostrzegł siły walczącego proletariatu...”<sup>1</sup> Różne takie działania „ustawiające” kulturę kojarzą mi się z PRL. Mogą one jednak wynikać z chęci elity władzy do wzięcia możliwie licznych sfer oraz środowisk pod kontrolę.

Dla mnie cała „polityka historyczna” jest kontynuacją PRL. Prawda, że wektory dzisiejszej polityki są skierowane w inną stronę, nawet jeśli i tę sprawę można skomplikować (na przykład, wbrew pozorom, komunizm też często był nosicielem nacjonalizmu, a nie internacjonalizmu). Istota zjawiska „polityki historycznej” w każdym wydaniu jest jednak zaskakująco podobna. Istnieje francuskie powiedzenie „les extrêmes se touchent” (skrajności się stykają). W ramach praktycznie wszelkiej „polityki historycznej” przyjmuje się, że historia jest jedna. Chce się zapanować nad szkołą, edukacją i nauczaniem historii. Historia nie jest traktowana jako pole poszukiwania i refleksji, ale jako instrument wychowania, jednoczenia, władzy. W myśleniu o przeszłości uprzywilejowuje się ideę narodową jako łącznik wspólnoty. Działa się na rzecz zwarcia narodu wobec rzekomego pozbawiania nas tego co nasze i podważania podstawowych ram naszej egzystencji (jakoby gender!). Kładzie się nacisk na martyrologię, bohaterstwo, wspa-

niałość. Stoi się na stanowisku, że my jesteśmy dobrzy, wręcz lepsi (mniejsza od kogo). Historia ma podbijać „narodowy bębenek”. Namiętnie obchodzi się kolejne rocznice, zwykłą krytyczną refleksję nazywa się „pedagogiką wstydu”. Zawłaszcza się pojęcie „patriotyzm”.

W ramach „polityki historycznej” chce się promować, a nawet ustanawiać pewne treści; państwo posiada specjalną agencję dla ustalania wizji historii. Chce się zmieniać wystawy muzealne. Historię traktuje się instrumentalnie. Wszystko co dobre przypisuje się „nam”, a zwłaszcza obozowi rządzącemu. Objęcie przezeń władzy jest porównywalne z „początkiem historii”. Ustala się wykładnię genezy państwa/ustroju, pojawia się wizja ofiary inicjalnej, wręcz czczonego ojca-założyciela. Chce się likwidować ślady po poprzednim systemie (nazwy ulic, pomniki). Pojawia się idea „polityki cmentarnej” i przesunięcia niektórych zwłok w ramach cmentarza. Mylą się działania badawczo-historyczne i policyjne, także propagandowe. Wprowadza się karalność posiadania przedmiotów, nagrań, druków, będących nośnikami symboliki nurtów ocenianych negatywnie. Rozszerza się listę zagrożeń prawnych dla historiografii niezgodnej z ideami władzy. Stoi się na stanowisku, że ramami rozpatrywania i celem badania historycznego jest historia narodowa, a nie zjawiska społeczne. Marnie widzi się różnorodność narodów żyjących na terenie Rzeczypospolitej. Przypomina się „piastowski” Wrocław – jakby bardziej współczesna historia nie wystarczyła dla określenia jego polskiego charakteru. Przeszłość chce się widzieć w barwach czarno-białych w miejsce pokazywania skomplikowania i różnorodności racji. Miesza się wątki współczesne i dawne (katastrofa smoleńska włączana do apeli poległych!). Obciąża się dzieci rodzicami, szuka się w papierach, szuka się „haków”.

Takie zjawiska mnie się kojarzą – jak powiedziałem – z komunistycznym traktowaniem historii. Co oczywiste, pojawiały się one jednak także w innych ustrojach (faszizm włoski, niemiecki, hiszpański, portugalski, a skądinąd Izrael i niejednen kraj emancypujący się).

\* \* \*

Także różne inne, wyraźnie polityczne akcenty przypominają mi PRL, choć trudniej akurat mnie o nich mówić, skoro się nimi nie zajmuję. Odnoszę wrażenie, że zakłada się możliwość zmiany w państwie wszystkiego, ze szkolnictwem i prawem włącznie. Instrumentalnie podchodzi się do prawa oraz instytucji prawa. Dominuje się nad Sejmem. Wszystko chce się skontrolować. Pragnie się wpływać na prywatne życie, zwłaszcza na wybory dokonywane przez kobiety. Faktycznie kładzie się nacisk na jeden światopogląd... W obserwowanych działaniach widzę znaną mi z komunizmu chęć wyrwania różnych rzeczy z korzeniami, przeorania życia (choćby realnie komunizm potrafił być nawet wstrętne tradycjonalistyczny). Pojawiające się wezwanie do „narodowego czynu” też przypomina dawny dyskurs. Idea znienawidzonych wrogów zaklętych w pojęciach takich jak „gender”, podobnie pojawiała się w komunizmie (tylko kiedyś to był „imperializm”).

Z PRL kojarzy mi się dążenie do „odzyskania” instytucji i dziedziny życia społecznego, wymienianie kadry na swoich, wywindowanie pozycji szefa, który staje się

ważniejszy od prezydenta i premiera razem wziętych. Z komunizmem kojarzy mi się zrzucanie winy za negatywy nie na rozwiązania instytucjonalne, ale na poprzednie ekipy. Odnoszę wrażenie, że dziś chce się zlikwidować gimnazja przede wszystkim dlatego, że wprowadzali je poprzednicy. Niemniej jednak także takie zjawiska nie muszą wywodzić się z PRL; można wskazać dowolną liczbę państw i ustrojów, w których one występują.

Jest zresztą jedna, bardzo ważna różnica pomiędzy obecną sytuacją a PRL: za komunizmu bym nie opublikował takiego tekstu jak ten, a istnieje duże prawdopodobieństwo, że bym go w ogóle nie napisał. Nawet jeśli w Sejmie opozycja jest dziś nieefektywna, to kiedyś jej praktycznie tam nie było. Zachodu, zwłaszcza zachodniej Europy, obecna elita władzy najpewniej nie lubi, ale w końcu najróżniejsze kontakty nie napotykają trudności. No i jest prawdą, że wyborcy dali obecnej elicie władzy mandat, czego nie da się powiedzieć o komunistach. Jest też prawdą, że wielu wyborców ją wciąż popiera i podziela jej mentalność (nawet jeśli nie jest prawdą, jakoby komunizm nigdy i nigdzie w historii nie miał poparcia).

\* \* \*

Na zakończenie sięgnę do jeszcze jednego przykładu z mojego „ulubionego” terenu bojów. Toczę mianowicie własną wojnę stuletnią z redagowaniem i adiustowaniem tekstów przez redakcję, w wyniku których to działań autor marnie rozpoznaje własne „dziecko”. Za PRL robiono takie rzeczy bezpardonowo i mało przejmując się autorem. Cenzura nie kontaktowała się z nim, przez większość okresu działała bezśladowo. Teraz też się tak robi. Gotów jestem wskazać redakcję, które zmieniają artykuły i nawet nie przesyłają ich do aprobaty w ostatecznej wersji (chwilowo zatrzymajmy się na tym, bowiem chcę jeszcze publikować). Wzór wyniesiony z PRL czasem jednak modernizuje się. Niedawno dostałem do podpisania umowę autorską od czasopisma naukowego (!), gdzie powiedziano: „Jeżeli przedmiot umowy przedstawiony do odbioru posiadać będzie wady bądź wymagać będzie zmian lub uzupełnień, Wykonawca zobowiązany jest wady te usunąć bądź dokonać zmian w wyznaczonym terminie. Niewykonanie umowy w terminie bądź nieusunięcie wad w terminie wyznaczonym uprawnia Zamawiającego do naliczania kary umownej w wysokości 10% należności, o której mowa w §4 za każdy dzień zwłoki”.

Pomińmy już absurd takiej treści w odniesieniu do 300 zł. honorarium. Mógłbym w ogóle wzruszyć ramionami i powiedzieć, że szczęśliwie stać mnie na zapłacenie kary umownej 30 zł. dziennie (a po 10 dniach i tak nie będzie z czego ściągać). Ważne tu jest co innego. Każda redakcja ma prawo do odrzucenia tekstu, także do dyskusji z autorem, ale nie mogą zaakceptować ultymatywnego żądania zmian tekstu po jej myśli. Taka treść jest sprzeczna ze zdrowym rozsądkiem oraz z uznaniem prawa autora do poglądów. W tym wypadku redakcja staje na stanowisku, że autor musi się zastosować do jej woli – ale w odróżnieniu od stalinizmu instrumentem nie jest powiedzenie „Cicho bądź!”, lecz umowa prawna i kara finansowa. Dziękuję za taką modernizację stalinizmu. Nie każda modernizacja jest dobra. Zawsze powtarzałem, że szczęśliwie komunizm był mniej zmo-

dernizowany niż Zachód, gdyż późno wprowadzono tu komputery. STASI zrobiła to wcześniej i lepiej.

Takich „modernizujących” działań w sferze nauki jest więcej. W niektórych instytutach wywieszają się nazwiska pracowników, którzy uzyskali najwięcej punktów. No cóż, kiedyś wieszano portrety przodowników pracy, oni też otwierali pierwszomajową kolumnę Uniwersytetu. Prawda, że we współczesnych przedsiębiorstwach poza obszarem dawnego obozu „pokoju i socjalizmu” też nieraz podaje się zasłużone nazwiska do powszechnej wiadomości.

\* \* \*

No i na zakończenie epizod przyjemniejszy, choć też o dyskusyjnej genezie. Niedawno na warszawskim pl. Wilsona otoczyły mnie dzieci ubrane w białe koszulki i wręczyły mi kwiatek. Otworzyłem szeroko oczy. Po chwili jedna z dziewczynek zebrała się w sobie i powiedziała, że to dzień starszych osób, a zatem dają mi różyczkę. Oczywiście podziękowałem. W głębi duszy pomyślałem o 8 marca w PRL i o sobie samym, gdy jako dziecko dawałem kwiaty pierwszemu wyborcy o 6 rano (raz zasnęłam!). Obecnie jednak pomysł mógł się pojawić samoistnie. Dopóki się nie zbiurokratyzuje, będzie nawet miły – choć, prawdę mówiąc, zaniepokoiłem się swoim wyglądem „starszej osoby” i wyjąkałem, że czuję się młodo.

MARCIN KULA



Jerzy Nowakowski



URSZULA GLENSK

# MIĘDZY OBRAZEM A POLITYKĄ

Fotografie ulicy bywają intrygujące nawet wtedy, gdy pokazują miasta, po których sami chodzimy i dobrze je znamy. Pozwalają długo i bezkarnie przyglądać się ludziom, którzy zostali uchwyceni na zdjęciach. Pokazują więcej niż można zauważyć siedząc przy kawiarnianym stoliku albo na ławce i obserwując przechodzące osoby. Unieruchamiają ruch. **Wystawa zdjęć niemieckiej dokumentalistki Ursuli Arnold** ma jeszcze dodatkową wartość, ponieważ pokazuje świat miniony. Arnold fotografowała ulice wschodnioniemieckich miast kilkanaście lat po wojnie. Robiła zdjęcia przypadkowym ludziom, którzy nie zawsze mieli świadomość, że znaleźli się w obiektywie. Po prostu zwykli ludzie, którzy najczęściej stoją w małych grupach, coś załatwiają, albo coś kupują. Nie robią wrażenia, jakby się spieszyli. Żadnych ekstremalnych scen. Przeciętność. Ale oddalona w czasie, zatrzymana w latach 50. i 60, w pejzażu wschodnich Niemiec.

Ulice widoczne na zdjęciach są już uprzątnięte, ale nie wszystkie domy zostały odbudowane, w tle często widać tymczasowe konstrukcje albo rusztowania. Ludzie jakby nie pasują do tej przestrzeni. Są ubrani w kompletne ubrania na tle niekompletnych ulic. Przenoszą schludność z normalnych czasów w czas po katastrofie. Trudno oderwać od nich wzrok. Pozwalają podglądać to, co już przeminęło. Te obrazy narzucają również niepokojące pytania: gdzie ci ludzie byli kilkanaście lat wcześniej, jakie mieli sympatie polityczne. Czy oddali swój głos na Hitlera? Czy należeli do tych 33 procent wyborców, którzy utorowali dyktatorowi drogę do władzy? A może w kolejnych wyborach należeli do tych 44 procent wyborców partii nazistowskiej?

Na fotografiach Arnold patrzy się na ich twarze, ale myśli o ofiarach szaleństwa politycznego, w jakim mimowolnie lub aktywnie wzięli udział. Byli niemymi świadkami akcji T4, eliminującej psychicznie chorych i upośledzonych, byli świadkami wyrzucania Żydów i wywożenia ich w „nieznane”, słuchali przywódców agresywnego państwa, uwierzyli w reżim. Przeżyli wojnę, nie podzielili losu tych, którzy po dojściu Hitlera do władzy niemal masowo popełniali w Niemczech samobójstwa.

Patrzyłam na ich twarze z jakąś podświadomą niechęcią. Każdej schludnej starszej pani przypisywałam winę. Za co? Za to, że w ogóle żyje i robi zakupy? Za to, że ma wypastowane buty? Że te buty mogły przyjechać z Auschwitz, że mogły zostać ściągnięte ze stóp ofiar. Próbowałam się powstrzymać – przecież Arnold robiła te zdjęcia kilkanaście lat później, buty zostały już wyrzucone.

Zdjęcie eleganckiej perfumerii – można pielęgnować ciało jakby niedawno nie zdarzyły się te wszystkie udręki i tortury nad ciałami innych. Starłam

się powściągnąć – ostrzegawczo myślałam: przypisuję winy niewinnym. Pani ze zdjęcia nie musiała podziwiać Hitlera, może nawet nie wysyłała listów na front. Może nigdy nie odebrała przydziału ubrań, pochodzących z podbitych krajów, przewożonych do Hamburga i dystrybuowanych w Rzeszy.

Ale jednak pytania: czy postać ze zdjęcia przyczyniła się do wyborczego zwycięstwa narodowych socjalistów, czy korzystała z profitów, czy popierała reżim, zupełnie zdominowały moje refleksje z **wystawy w Museum der bildenden Künste w Lipsku**. Czy winy dyktatorów są sumą indywidualnych win ludzi, którzy ich wybierają, popierają, korzystają, milczą i w jakikolwiek sposób przyczyniają się do wytworzenia atmosfery sprzyjającej zmianie prowadzącej do katastrofy?

Jeszcze niedawno miałabym większą pewność, że to jest wina zbiorowa, choć tym samym trudno uchwytana, jakby rozcieńczona, poukrywana w twarzach zwykłych ludzi. Teraz, gdy widzę własną niemoc, całkowitą bezsilność, kiedy rząd, „narodowy rząd” demoluje system demokracji w Polsce, nabieram większej pokory





w ocenach. Kiedy zaczął się w Polsce paraliż Trybunału Konstytucyjnego i demontowanie trójpodziału władzy, profesor literaturoznawca z Krakowa powiedział do mnie pół żartem, pół serio: „Całe szczęście, że Polska nie jest mocarstwem, bo kto wie, do czego wówczas prowadziłoby rządy Kaczyńskiego”. Tak! Dobrze, że Polska nie jest mocarstwem. Nieodpowiedzialne wybory pójda tylko i wyłącznie na rachunek Polaków.

\* \* \*

*Można powiedzieć, że od tej chwili poczynszy, dzuma stała się sprawą nas wszystkich.*

Albert Camus

**Na ścianie jednej z warszawskich kamienic ukazały się plakaty.**

Pierwszy, swoją żółtą barwą przyciąga wzrok jak żarówka. Jest minimalistyczny i graficznie nawiązuje do tabliczek ostrzegawczych ze stacji elektrycznych wysokiego napięcia. Na plakacie na tle skrzyżowanych puszczeli widać podobiznę Putina stylizowaną na wzór trupiej czaszki oraz dwa napisy **Achtung i Russia!**, przy czym litery „ss” zapisane zostały czcionką łatwo kojarzoną z logo Waffen-ss.

Plakat ma kilka wariantów, kiedy ma być prezentowany na neofaszystowskiej manifestacji zamieniany jest w podłużny transparent. Jego autor, **Wojciech Korcuć** jeszcze niedawno był wzywany przez prokuraturę (przed nastaniem prokuratury Ziobry), która rozpatrywała, czy obraz nie szerzy nienawiści na tle „różnic narodowościowych i etnicznych”. Sprawa została umorzona. Niemniej prawicowe media wszczęły wówczas larum w obronie krakowskiego grafika i wychwały jego działalność w Reducie Dobrego Imienia, organizacji, której celem jest idealizacja i heroizacja polskiej historii. I niechęci do Rosji – co pokazuje plakat, ponieważ w prostym przekazie ostrzeżenie nie ogranicza się do Putina, ale do całej „Russii”. Gdyby rysunek był alternatywnym gestem street-artu pewnie nie budziłby mojego zażenowania, ale pokazywany jest jako **plakat na głównej ulicy Warszawy**, bez wątplenia z dzisiejsze-

go grantu ministerstwa kultury (zarządzanego przez Glińskiego).

Korcuć, dziwny twórca, który epatuje w zależności od zapotrzebowania ideologią konserwatywno-nacjonalistyczną albo plebejską wulgarnością, po wyborach stał się ulubieńcem nowej władzy – to on zaprojektował cukierkowe i wiele obiecujące postery wyborcze Andrzeja Dudy, prezydenta, którego elekcja stała się początkiem końca demokracji w Polsce. I zwycięstwa artystów w stylu Wojciecha Korcucia.

Tuż obok wisi **plakat, będący reklamą książki Tadeusza Mocarskiego, O Jedwabne, Jedwabne...** Pokazuje on dwa nakładające się obrazy, jeden z żydowską menorą zasłania drugi, na którym widać swastykę. Wymowa jest prosta – pokazujemy naszą prawdę o zbrodni w Jedwabnem. Książka Mocarskiego (od lat niezrealizowanego literata) zaprzecza wszelkim ustaleniom historyków i wielkiej debacie, która toczyła się w Polsce przez wiele ostatnich lat. Jedwabne stało się w niej synonimem polskich win wobec Żydów. Apokryf Mocarskiego próbuje podważyć obszernie udokumentowane ustalenia badaczy i proponuje alternatywną historię opartą na falsyfikacie – notatkach z dziennika mieszkańca Jedwabnego. A plakat może zadowolić tych wszystkich polskich „patriotów”, którzy nie chcą przyznać, że rodacy popełnili tę zbrodnię. We współczesnej Polsce nie może tego przyznać też minister edukacji Anna Zalewska. Pytania drażnącej o to dziennikarki, przełyka jak struś kamienie, ale nie przyzna, że w Jedwabnem Polacy zabili sąsiadów.

Plakaty nie znalazły się obok siebie przypadkowo, to nie zwykły zbiór posterów reklamowych, ale **ideologiczna wystawka „Reduty Dobrego Imienia”**. Takie sygnały prawicowej władzy i opłacanych przez nią twórców – manifest, że mamy inną wizję historii, potrafimy napisać swoje narracje, nie będziemy pudrowali naszej niechęci do innych.

No cóż, nowy wspaniały świat. Tylko czekać, aż pod Białym Domem, ktoś wywiesi finansowaną przez Senat wystawę, głoszącą, że to nie Lee Harvey Oswald zabił Kennedy’ego tylko spisek byłych prezydentów USA... ■

KRZYSZTOF MROZIEWICZ

# OPOWIEŚCI O POWIEŚCI

(na marginesie ponownej lektury *Doktora Faustusa* Tomasza Manna)

Motto z Hegla:

należy pojmować *Niepojęte jako takie*<sup>1</sup>.

## Wybór

Spośród książek kiedyś ważnych wybrałem kilka, żeby zobaczyć, czy nadal robią takie wrażenie jak dawniej i czy dalej są ważne. Oto one, dziesięć ich:

*Don Kichot*. Czytałem z musu w szkole, w skrótach, z francuskiego. Dziś czytam po hiszpańsku, także *Novelas ejemplares* Cervantesa, poznałem nieco świata hiszpańskiego. Najdowcipniejsza księga mądrości, jaką znam.

*Rękopis znaleziony w Saragossie*. Zachwycająca teraz, lecz w przekładzie starszym, całkowicie dowolnym. W nowym przekładzie brakuje Żyda Tułacza – wielka strata.

*Robinson Crusoe*. Nudziarstwo zachwalane przez Jana Kotta jako dobry wstęp do pozytywizmu socjalistycznego lat 50 PRL.

*Pod wulkanem*. Iredyński polecał jako wielkie dzieło stylistyczne. Trzeba popaść w alkoholizm, żeby wyczuć i zrozumieć Konsula. Doświadczenia z mezcalem i dyplomacją mam po temu wystarczające.

*Miłość w czasach zarazy* Garcii. Boję się wracać, bo może się rozlecieć jak *Rozmowa w »Katedrze«* Vargasa, kiedyś „książka do nabożeństwa” mojego pokolenia, która dziś kończy wyjaśniać świat na roku 1970.

*Cichy Don*. Miejscami literatura faktu, gdzie indziej – proza broszurowa.

*Lord Jim*. Traktat moralny dostępny na każdym lotnisku obok dwu innych polskich książek – *Malowanego ptaka* Kosińskiego i *Cesarza* Kapuścińskiego. Dziś zastanawia przede wszystkim, jak to jest, że cudzoziemiec nie znający słowa po angielsku do 17 roku życia, stał się około pięćdziesiątki klasykiem literatury angielskiej? Sam napisał po polsku w dzienniku, że równie dobrze mógł tworzyć po francusku. Czy przypadkiem nie mieliśmy do czynienia z genialną schizofrenią, dwu pisarzy w jednej osobie? Conrad to niewątpliwie wpływy Mefista.

*Bracia Karamazow* przy dzisiejszym stanie wiedzy o terroryzmie?

*Nędznicy*. Czytało.

Zostaje *Doktor Faustus*, tak samo ciężki, jak wtedy.

## „Zanikalność” powieści

Zanikanie ważnych kiedyś książek sprawia, że istnieje przymus poszukiwania nowych, które te wielkie kiedyś dzieła zastąpią. Przypomina to rozwój nauk ścisłych, jak matematyka i fizyka. O ile starzeją się powieści Balzaka, Dostojewskiego i Tomasza Manna, o tyle nie starzeje się geometria Euklidesa, nie starzeją się prawa Newtona ani teorie Kopernika czy



Einsteina, choć może zostaną kiedyś uogólnione. Z powieścią nie zdarzyło się jeszcze, żeby została uogólniona. Powieść, którą w młodości czytaliśmy z zafascynowaniem, przez 40 następnych lat leży bezczynnie na półce. Być może inne powieści rozwijają jej wątki i przemyślenia. Trzeba by czytać wszystko, żeby odkryć dalsze ciągi. Może to przełknąć nie człowiek, ale urządzenie. Czy jednak komputer nauczy się czytać, a robot zbierać wiśnie? Powieść wyjściowa, ta, do której wracamy po latach, nie zmienia się w czasie. Nie istnieje zatem coś takiego, jak „wewnętrzna szybkość narracyjna”, czyli zmiana akcji w jednostce czasu. Albo inaczej – nie istnieje coś takiego, jak zmiana tempa narracji w książce zależnie od upływu czasu, co by oznaczało, że książka jest martwa, a tymczasem mówimy, że inaczej się ją czytało przed wojną, a inaczej po wojnie. Nie umiemy sobie takiej zmiany wyobrazić, nawet gdyby była możliwa? Nie szkodzi. Nie można zobaczyć cosinusa ani przestrzeni Banacha. Nie można zobaczyć teorii, mimo że nasze wykształcenie, chcemy czy nie, doskonalili się z biegiem czasu nawet u nieuków. Uczy nas bowiem życiowe doświadczenie. Jedynie muzyka – przytoczonym przez Manna zdaniem Goethego – życiowego doświadczenia nie potrzebuje. Co jest nieprawdą.

Przemijalność i „zanikalność” powieści przy drugim czytaniu to jej cecha przyrodzona, bo wszystko wokół powieści rusza się, a ona nic przez ten czas nie robi.

*Doktor Faustus*<sup>2</sup> broni się trochę. Dostojewski – mniej. Ramotowaty. Bo i prawdy ostateczne zostały przedefiniowane. Rosjanie wymyślili nienawiść narodową po Powstaniu Styczniowym jako podstawę konstrukcji racji stanu. Dla nich nienawiść jest prawdą ostateczną. Żydzi stawiają pytanie: gdzie byleś wtedy Panie Boże? Może wyjechałeś na urlop? Może zachorowałeś?

Na ile reportaż, czyli opowieść o prawdziwych faktach, przeorał prozę? Czym jest reportaż eseizowany? Rad bym przeczytać wywiad-rzekę z Panem Bogiem o wymianie duszy na wiedzę, lub duszy na młodość. Ale jest to nie do napisania.

## Mit Fausta

Bajda. Jakaż wiedzę mógł w szesnastym wieku przejąć od Mefistofelesa („nienawidzącego światła”) cwaniak, któremu nie chciało się uczyć? W micie o Fauście nie tyle chodzi o wiedzę tajemną, co o sprawności intelektualne, nad którymi można zapałować samemu.

„Faustus” znaczy po łacinie „Błogosławiony”. W mitologii niemieckiej był czarnoksiężnikiem, który sprzedał duszę diabłu za całą wiedzę, jaka była wtedy dostępna na Ziemi. Mit ten znany jest w Europie Środkowej i Zachodniej. Nigdzie poza nią (nie ma go w mitologii indyjskiej). To bardzo niebezpieczny przejaw stosunku ówczesnego społeczeństwa do mądrości. Ktoś, kto wiele wiedział, nie mógł być mędrcom sam z siebie. Musiał wiedzieć dzięki ciemnym siłom. A dlaczego nie dzięki Bogu? Kościół nie nagradzał mędrców. Giordano Bru-

no jest przykładem. Upiętko się księdzu Kopernikowi. Na mędrców czekały stosy. Do dziś zresztą czekają. Nie można poprawiać natury, bo jest to wkraczanie w kompetencje Boga<sup>3</sup>. Nawet jeśli Bogu coś nie wyszło – nie szkodzi. Faust to nie Faustyna.

Interesujące, że Faust to jeden z najmłodszych mitów w historii mitologii. Przed średniowieczem, w starożytnej Grecji na przykład, za wiedzę nie karano.

Johannes Faustus był niemieckim pseudolekarzem. Był mniej więcej rówieśnikiem Lutra. Uzdrawiał za pomocą magii, czyli przednaukowej nauki. Opisał go Johann Spiess w roku 1587<sup>4</sup>. W jego opowieści Faust ma moc zdobycia każdej kobiety, jaka mu się zamarzy. Małgorzata Goethego jest taką kobietą. U niego Mefistofeles, jeszcze pośród archaniołów, ledwo się pojawił na scenie, już od razu widzi mankamenty Boga, który odczytał się śmiać. Bóg zezwała mu kusić Fausta. Nawet zachęca do tego, zamierzając eksperyment, aby sprawdzić doktora.

Jako drugi po Spiessie pisał na temat Fausta Christopher Marlowe, posądzany o autorstwo dramatów Szekspira. Po 220 latach od Spiessa wziął się do rzeczy Goethe. Pierwsza część *Fausta* Goethego ukazała się w 1808. Faust wie, że nic nie wie, że *ars longa vita brevis*, zawiera pakt z Mefistem, ale Istoty Rzeczy nie poznaje.

Pierwszą część *Fausta* tłumaczył na polski Leon Wahcholz, sam trochę doktor Faust, bo prekursor medycyny sądowej i tłumacz niemieckiej poezji romantycznej. Nawiasem mówiąc, krakowski specjalista dr P. Oczo wyliczył w bibliografii 20 tysięcy wersji *Fausta* w kulturze europejskiej.

Muzyków interesował Faust tak samo jak pisarzy. Kazali o nim słuchać Beethoven, Berlioz, Schumann, Liszt, Mendelssohn, Brahms, Mahler, Meyerbeer, Wagner, Antoni Rubinstein, Antoni Radziwiłł i Gounod, który był Lloydem Webberem XIX wieku. (Webber to ten od *Jesus Christ Superstar* i *Evity*, a Gounod to m.in. autor hymnu Watykanu). Onże, Gounod, skądinąd także udany pisarz, sam doktor Faustus co się zowie, skomponował operę *Faust* według bryku dla licealistów i starców. Doktor nie chce wiedzy, lecz młodości. Mefisto kusi go wizją Małgorzaty i jej miłością, dlatego grany jest w Niemczech tylko jako *Margerita*.

Mann pisze *Faustusa* o kompozytorze, dodekafonistę, który gotów zawrzeć każdy pakt, byle tylko uwolnić się od niemocy twórczej (po cichu snuje Mann myśl o Wagnerze, który splątał mu się z Nietzschem).

W literaturze, zamiast legendy, mit Fausta pojawia się jako zwrot idiomatyczny „sprzedać duszę”. Żeby nie szukać daleko, wypatrzmy to już u Conrada: „Mam wrażenie, że sprzedam duszę za pięćset funtów (tyle wniósł bohater do interesu – k.m.) – i będę w końcu potępiony na wieki wieków...”<sup>5</sup>.

Dziś Małgorzata musiałaby siedzieć okrakiem na barykadzie z Muru Berlińskiego a Mefisto w rezydenturze KGB tuż koło ambasady ZSSR lub na pięterku należącym do CIA.

2 Po raz pierwszy tytuł *Doktor Faustus* i w ogóle *Faustus* pojawia się jako dzieło wielkiego kompozytora niemieckiego z czasów przed Bachem, Heinricha Schütza.

3 W kompetencje Boga można bezkarnie wkraczać jedynie w teatrze, konstruując modele czyli paradygmaty. Ale teatr jest umową, konwencją.

4 Kenneth McLeish, *Leksykon mitów i legend świata*, Książka i Wiedza, Warszawa 2001 s. 180.

5 Joseph Conrad, *U kresu sił*, PIW, Warszawa 1956, s.267.

W *Upadku Fausta* Berlioza Opera Paryska (grudzień 2016) na miejscu doktora Fausta posadziła na wózku inwalidzkim profesora Hawkinga. Odbył przygotowania do lotu kosmicznego, po czym zniknął w czarnej dziurze, którą wcześniej sam odkrył i nazwał.

## Przestrzeń akcji

Wyobraźmy sobie, że w hotelu znajduje się szereg apartamentów jeden obok drugiego, które są zamkniętymi przestrzeniami Euklidesa, Banacha, Riemanna, Orlicza, Hilberta i przestrzeń z osią czasu urojonego Herberta Minkowskiego. Co prawda przestrzeń nie może być zamknięta jak apartament, lecz dla tego doświadczenia niech będzie ograniczona ścianami pomieszczenia euklidesowego. W każdej przestrzeni inaczej liczy się odległość od punktu do punktu. Jest to tak zwana metryka. (W literaturze można sobie wyobrazić brak punktu, w matematyce nie). Na końcu korytarza powinna być komnata zaprojektowana przez Gaudiego jako zakrycia kościoła Familia Sagrada, budowanego trochę tak jak dziecko robi babkę z piasku. Twarz Boticellego w jednej przechodzi w twarz Modiglianego w drugiej i Picassa w trzeciej przestrzeni. W każdej, poza osobiwą metryką, obowiązuje także własny czas. Komnata Minkowskiego jest stosem atomowym, który zanurzono w czasie urojonym. Co to takiego? *Niepojęte jako takie*. Ale bez tego nie byłoby równania Einsteina  $E = mc^2$ .

W literaturze mamy utwory Sofoklesa jako treść mieszczącą się dobrze w przestrzeni Euklidesa. Odpowiednikami długości, szerokości i wysokości komnaty – sceny jest jedność czasu miejsca i akcji. Uogólnienie Sofoklesa znajdziemy w dramatach Szekspira, których dzieła Ateńczyka są szczególnym przypadkiem. Żeby odkryć stopień komplikacji obrazu, potraktujmy Sofoklesa jako figurę, która łączy w sobie cechy pisarza, polityka, wojownika, dowódcy i kapłana, którymi był. Przestrzeń Euklidesa z pierwszego apartamentu jest na to wszystko za mała.

A teraz „zobaczmy” korytarze czasu u Kafki i Schulza. Czy nie prowadzą do przestrzeni Minkowskiego?

Tomasz Mann ze swoim mitem, którym jest opowieść o muzyce stającej się filozofią, o drodze od prostackiej w porównaniu z Chopinem orgii Tristana, od prowincjonalnego skryby do Nietzschego, jawi się jako porządny rzemieślnik zdolny swoją pracowitością wykrzesać arcydzieło bez mieszania porządków czasowych i przestrzennych. Nie wiadomo, czemu służyć ma kłamstewko umieszczone na innej stronie, że życie Chopina pozbawione było przygód.

Zaczęliśmy doświadczenie w laboratorium złożonym z różnych, sąsiadujących ze sobą przestrzeni, w którym panuje ład europocentryczny, oparty na Euklidesie i liniowej koncepcji czasu. Ale są przecież inne porządki, oparte na czasie kołowym, jak indyjski. Brahma w mitologii, która po części stała się religią, pojawił się na świecie jako syn własnego wnuka. W literaturze indyjskiej wszystko, co można było wymyśleć, wymyślono i napisano od razu. Przestrzeń, w której się to dzieje, jest od razu uogólnieniem wszystkich przestrzeni, które opisano jedna po drugiej, dużo później, w Europie.

## Sposoby kreacji

Fikcja to kłamstwo utylitarne, potrzebne w rozmowie. Fikcja mieści się w głowie, narracja – na papierze. García Márquez mówił, że gdyby sekretarka umiała przenieść jego powieści z głowy wprost na papier, byłoby ich mnóstwo. Pisanie wymaga czasu, podczas gdy proces twórczy według Garcii powinien trwać moment. Akt nie może trwać długo. A już na pewno nie 18 lat, których potrzebował na *Nie ma kto pisać do pułkownika*.

Bóg stworzył kobietę. Sztuczna kobieta to postać, którą tworzy narracja. *Ewa Jutra* de l'isle Adama to zbiór opowieści o stwarzaniu kobiety przez Edisona.

Gdzie rodzą się historie? Wyrastają z pragnień i obaw ludzkich. A jaki jest ich cel? Pomagają nam przetrwać. Scalają czas śmierci z czasem tych, którzy nadejdą. *Baśnie z tysiąca i jednej nocy* są produktem takiego scalenia.

Bajarz na dworze króla zarabiał w Indiach 1 000 *pana*<sup>6</sup>. Była to jedna pięćdziesiąta rocznej pensji ministra.

## Sposoby narracji

Spróbujmy kwestionariusz Reutera przymierzyć do powieści klasycznej: kto mówi, co mówi, kiedy i gdzie, kto to widział i co z tego wynika? Nałóżmy na to kwestionariusz Laswella: kto mówi, co mówi, do kogo, w jakim celu i z jakim skutkiem? Można nimi pokryć całą literaturę.

Mann w *Doktorze Faustusie* wziął od razu byka za rogi i na pierwszych stronach zapytał: Kto? Co? To pytania, na jakie odpowiada powieść swoją mechaniką pisarską. Czasami czytając mamy ochotę nie tyle śledzić narrację, a podglądać, jak to jest napisane. On sam zresztą podgląda Leverkühna seniora, żeby dowiedzieć się, jak można skonstruować muzykę widzialną. Synestezja to zdolność widzenia dźwięków. Wtedy jako jednostka chorobowa nie była jeszcze znana. Mann posunął się dalej: widzenie dźwięków to już nie pomieszanie zmysłów, a koncepcja kosmologiczna: ponadzmysłowy system dźwięcznych interwałów sferycznych.

Mann w *Faustusie* pisze najpierw o pisaniu. Pojawia się *paradigma* jako coś, co jest modelem życia. Tłumacze (Maria Kurecka i Witold Wirpsza) dziękowali profesorowi Kołakowskiemu, profesorowi Krzyżanowskiemu, doktorowi Żabińskiemu, ale nie muzykowi ani muzykologowi.

Po Mannie pojawiły się nowe techniki. Realizm magiczny. Kiedyś tego nie było. Stworzyliśmy także nowe techniki badawcze. Sztuczne – na przykład geopoetyka, która udowadnia, że inaczej pisze się wiersze w Holandii, a inaczej na Tahiti. Ale doświadczenie Gauguina tego nie potwierdza.

Beethoven nie umiał napisać fugi. Czy Mickiewicz umiał napisać nowelę? *Dziady* pisane są jak scenariusz filmowy. Czyli nowoczesnie. Zresztą Mickiewicz na wykładach w Paryżu przewidywał ewolucję teatru w stronę kina.

6 L.N. Rangarajan, *Kautilya. Arthashastra*, Penguin, New Delhi 1997, s. 291.

Odwoływanie się do dzieł poprzedników niesie zagrożenie parodią. „Czemu zdawać mi się musi, jako-by prawie wszystkie, więcej, wszystkie środki i konwencje sztuk nadawały się dziś już tylko do parodii?”<sup>7</sup>.

Powieść pisana w środku II wojny światowej dostrzega dopiero w rozdziale XXI, że ona się toczy. Figlarnie opowiada o atakach U botów na pasażerskie statki angielskie i brazylijskie, pełne pasażerów, którzy dzięki wymyślnej torpedzie idą na dno. Jakiej trzeba odporności, żeby tak wtedy pisać? Grypa przykuła go do łóżka. A we Włoszech obalano właśnie dyktatora. Podobnie było z Kafką: pod datą wybuchu I wojny światowej zapisał: „pływałem kilka godzin”. Do pytań Reutera – Laswella: kto mówi, co mówi, do kogo, w jaki sposób mówi o tym co się stało, kiedy się stało i kto to widział, trzeba jeszcze dodać pytanie: kiedy mówi ten, który mówi, co się stało? Bo może mówi rzeczy ważne w środku znacznie ważniejszych, o których w ogóle nie wspomina? Bohater Manna pisze w mieście, które znika z powierzchni ziemi. Ale przedmiotem tego co pisze, jest charakterystyka jednego z kompanów Leverkühna, która z wojną nią ma się w żadnym związku, a sama w sobie jest potrzebnym kamyczkiem w mozaice, lecz wyjęta – znaczy prawie nic. Bohater Manna pisze w jednym miejscu, a sam Mann w innym, leżącym po drugiej stronie oceanu, gdzie wojny nie ma. Jedyne, na co zdobywają się obydwaj, bohater Manna i sam Mann, to analiza napisana przez poczciwego i lojalnego Niemca, który widzi sąd ostateczny nad Monachium i zbliżającą się od Wschodu czerwona katastrofę. Z powodu wybuchu komunistycznego powstania w Neapolu „musieliśmy spalić bibliotekę i wycofać się z podniesionym czołem”. Szkatuła lub raczej przestrzeń w przestrzeni, jedna z tych, które znajdują się w służącym naszemu eksperymentowi laboratorium z apartamentami.

Sposób narracji mieści się w pojęciu „sztuka pisania”. Zdania Tomasza Manna to barokowe konstrukcje, z których każda wystarcza za doktorat, jeśli nie habilitację. Oto uwagi o dziele sztuki, które nie wydobywa się z głowy artysty jak *Pallas Athene z głowy Jowisza w pełnym rynsztunku swej cyzelowanej zbroi*.

„Nigdy żadne dzieło tak się nie ukazywało. Składa się na nie praca, artystyczna praca na rzecz pozorów – i nasuwa się pytanie, czy przy dzisiejszym stanie naszej świadomości, naszego rozeznania i poczucia prawdy ta gra jest jeszcze dozwolona, psychicznie jeszcze możliwa, czy można ją jeszcze traktować poważnie, czy dzieło jako takie, ów twór samowystarczalny i harmonijnie w sobie zamknięty, stoi jeszcze w jakimkolwiek legalnym związku z całkowitą niepewnością, problematycznością i brakiem harmonii naszych stosunków społecznych, czy wszelki pozór, nawet najpiękniejszy i właśnie najpiękniejszy, nie stał się dzisiaj k ł a m s t w e m”. (s.238).

Pozór występuje w zdaniu dlatego, że sztuka musi być sztuczna.

*Dzisiejszy stan naszego rozeznania* to odwołanie się do poziomu wiedzy, który rośnie być może szybciej od naszej umiejętności tworzenia.

*Gra* to właśnie sposób pisania.

*Twór* musi być *samowystarczalny* i *harmonijnie w sobie zamknięty*, a jakże, niezależnie od wątpliwości autora co do *pozorów*, poziomu wykształcenia i *gry*.

*Legalny związek z niepewnością* to probierz Manna.

*Kłamstwo* to wątpliwość każdego twórcy, obawa, że nie powieźdźał prawdy.

Tu pewnie mogłaby się zacząć druga rozprawa na temat tego, co rozumie się przez prawdę. Czy nie jest to aby subiektywny stan wiedzy o stanie rzeczy?

Szczegółowe rozważania Manna na temat warsztatu wprowadzone zostały do narracji bezszelestnie. Na tym polega sztuka pisania. Warto zarazem pamiętać o uwagach Władysława Tatarkiewicza, że kartka, którą trzeba przeczytać ponownie, aby ją zrozumieć, nie zasługuje na czytanie w ogóle. Vargas Llosa czytany i wykształcony nie gorzej od Manna, choć nie dorównujący mu wiedzą w dziedzinie muzyki klasycznej, napisałby cytowane zdanie z *Doktora Faustusa*, ale nie byłby to już cytat z dzieła o Fauście i diable.

Pozwolę sobie na parafrazę Vargasa:

Nigdy żadne dzieło nie wyskakiwało jak Filip z konopi. Rodziło się w męce władzy, która karze, a udają tylko, że słuchają. Postać skończona dzieła wynika na rozkaz karykaturą sprzedawaną na jarmarkach jako opowieść, którą snuje potem bajarz. Zaklina się przy tym, że opowiada najświętszą prawdę, której był uczestnikiem lub świadkiem.

García Márquez posługiwał się aforyzmami, które tworzył na poczekaniu i taki był budulec jego *Miłości w czasach zarazy*. Z doktoratu Manna zrobiłby jedno zdanie:

Jezusiczek z La Sierpe był duchem świętym, który w tawernie Dusz Przeklętych unosił się jak Muza nad kuflami piwa, aby w opowieści rozsnutej w dymie pojawił się choć jeden wydmuchany obłoczek kłamstwka: I gadali całą noc, śpiąc przy tym jak zabici.

Albert Camus bawi się jednym zdaniem przez całą *Dżumę* (a też pisał to w okolicach wojny). Mann nigdy by tak nie postąpił, bo brakowało mu poczucia humoru. Żeby bawić się zdaniem i chichotać w umierającym mieście, trzeba być Francuzem urodzonym w koloniach. Mann mówiąc o wojnie, która jest niczym innym jak dżumą powszechną, zachowuje powagę uczonego, który idzie na seminarium. Zdanie Camusa poprzedzone rozważaniami na temat wyższości „i” nad „potem” pojawia się po raz pierwszy na stronie 828 i brzmi: „W piękny poranek majowy wytworna amazonka, siedząc na wspaniałej kasztance, jechała kwitnącymi alejami Lasku Bulońskiego”.<sup>8</sup>

Opisywany przez Camusa autor tego zdania, pan Grand, chciał je skonstruować w taki sposób, aby wydawcy, przeczytawszy je, zakrzyknęli: Czapki z głów, panowie!

I Grand walczy do strony 105 odrzucając po kolei „tłusta”, „łśniąca” i z bólem „czarna kasztanka”, która bardzo mu się podobała, aby osiągnąć rezultat w postaci: „W piękny ranek majowy smukła amazonka siedząc na wspaniałej kasztance, jechała kwitnącymi alejami Lasku Bulońskiego”.

Po krótkiej dyskusji Granda z doktorem Rieux – a przez ten czas umarło pięć tysięcy chorych – zdanie przybiera postać: „W piękny ranek majowy smukła

7 Tomasz Mann, *Doktor Faustus*, Warszawa 1960, s. 177.

8 Albert Camus, *Dżuma*, Warszawa 1964.



amazonka, siedząc na okazałej kasztance, jechała pełnymi kwiatów alejami Lasku Bulońskiego”.

Na stronie 200 mamy już przedsmak zachwytu wydawców: „W piękny poranek majowy smukła amazonka, siedząc na wspaniałej kasztance jechała wśród kwiatów alejami Lasku...”

Camus doprowadził nas na razie do pytania, kiedy Grand wreszcie umrze (w mękach twórczych). Lub też: kiedy my umrzemy ze śmiechu.

Lecz Grand, mimo że dopadła go wysoka gorączka, a węzły chłonne zamieniły się w ropiejące wrzody, nie dał się. „Wyrzuciłem wszystkie przymiotniki” – powiedział w końcu.

Tak jak Zeitblom występuje w roli Manna, kiedy trzeba przeanalizować sytuację pokornych Niemiec w czasie II wojny światowej, tak doktor Rieux występuje w roli Camusa jako nauczyciel pisarstwa. Autor *Dżumy* powołał się *implicite* na rygory w *La Justice* pana Clemenceau, gdzie na jeden rzeczownik przypadają dwa czasowniki, a gdy ktoś chciał użyć przymiotnika, musiał mieć najpierw jego zezwolenie.

Czapki z głów!

## Technika montażu

Mann pisał *Doktora Faustusa* i zarazem pisał o tym jak pisze *Doktora Faustusa*. Nie wszystko włożył do książki, szkoda mu było widocznie mnóstwa drobiazgów, które do książki już się nie mieściły. Ale ratunkiem dla notatek była narracja „Jak powstawał”.

Mann potrzebował czterdziestu lat na napisanie *Doktora Faustusa*. Powieść rozrosła mu się. Z pomysłu na zwykłe opowiadanie zrodziło się dzieło o rozmiarach apokaliptycznych. Praktykując początkowo u naturalistów, zbierał wszystko, co tylko się dało. Potem techniką montażu pogodził cytaty, obrazy obejrzałe i puzzle wymyślone. Złożył to w całość. *Jak powstał Doktor Faustus* to jak gdyby notatki do Apokalipsy. Święty Jan by tego nie wymyślił.

## Pomieszanie zmysłów

„Słyszeć oczami” to z Szekspira. O tym, że tak bywa, świadczy piękno graficzne partytury Mozarta. Do wchłaniania muzyki Mann (Zeitblom) wymaga Innych zmysłów. Wymaga ciepła obory, które odbiera się dotykiem i węchem.

Matka Adriana Leverkühna miała głos mięsisty i kolorowy jak samodziałowa spódnica. Dziewka stajenna o rozłożystych i ugnojonych nogach uczyła kanonu. Ta dziewczka stajenna uczy w *Faustusie* piętnastowiecznej polifonii.

„Muzyka to połączenie teologii z matematyką” – mówi wprost Tomasz Mann (s. 173). A także z astronomią za sprawą gamy prawdziwej Ptolemeusza (s.210). A muzyka na granicy wykonalności to tak jak warunek brzegowy „o włos byłbym zdążył”. Muzykę da się zaplanować i wyrazić słowami, bo muzyka to mowa i na odwrót (s.215). Beethoven komponował za pomocą słów. Zapisywał w notesie parę słów i dorzucał nutę. A przecież obrazu czy rzeźby naszkicować nie można zawczasu, chociaż Tadeusz Kulisiewicz używał szkicownika w podróży i słowem posługiwał

się nader rzadko. Tyle tylko, że nie był malarzem, a szkic powstawał jako dzieło ostateczne. Niestety – słowo z muzyką łączy się u Wagnera jako ukoronowanie kompozycji niemieckiej.

W czytaniu równoległym, kiedy oczy przebiegają po tekście, a myśl krąży gdzie indziej, nie zawsze przetwarzając czytane informacje, muzyka może być trzecim (obok treści i marzeń) pasmem warkocza. Czytanie uchem to odpowiednik słuchania okiem.

O muzyce, przede wszystkim niemieckiej, równie porywająco pisał Romain Rolland. A syntezę kultury francusko-niemieckiej próbował skomponować Victor Hugo opisując Ren (*Ren*), jako nić chirurgiczną, która zszywa obydwie kraje – Matkę i Kulturę i wchłaniana jest przez obie.

## Wartości i prawdy

Godność i honor nie są już prawdami ostatecznymi. Podobnie prawo. Także Kościół. Najpierw Luter zastosował Odrodzenie do nauk Kościoła, potem Kierkegaard myślał o oddzieleniu Kościoła od chrześcijaństwa. Tymczasem Mann pisze: „Wiara w wartości absolutne, choć tak bardzo iluzoryczna, wydaje mi się warunkiem życia”. Dziś wiemy, że potrzeby elementarne: kobieta, schronienie, żywność, łup, zemsta<sup>9</sup> – uprzedziły zbiór wartości absolutnych.

Kiedy mowa o pisaniu, Zeitblom martwi się o cierpliwość czytelnika i słusznie, bo pisarzem jest szczegółowym i nudnym. Mann umiając pisać arcydzieła, musiał napisać dzieło, które napisał człowiek umiający pisać średnio. Jest to fragmentami metapowieść. Konstrukcja szkatułkowa, przy czym pierwsza szkatuła jest niewidzialna. Mamy zatem do czynienia z wykorzystaniem innej przestrzeni niż euklidesowa.

Pisząc w czasie wojny Mann myślał, że czymś gorszym od klęski Niemców byłoby tylko zwycięstwo Niemców. Niemców cechowała poczciwość, łatwowierność, posłuszeństwo, wierność i uległość. Co by było, gdyby cechy te ujawniły się u Polaków pod rządami Kaczyńskiego?

„Czy epoki, które posiadały kulturę, używały tego słowa?”

Rozważania o wolności w środku straszliwej przemocy, czyli w czasie wojny:

## Wolność

to możliwość popełniania grzechu, nieodłącznie przynależna do aktu stworzenia. („Zawsze przecież zdobywa się wolność w nadziei wyzwolenia twórczych sił” – s. 250)<sup>10</sup>. Wolność to niedoskonałość wszechmocy

<sup>9</sup> Piotr Kuncewicz, *Legenda Europy*, Warszawa 2005, s. 61.

<sup>10</sup> O wolności rozmawiają Zeitblom z Adrianem: „Tragicznym byłoby – powiedziałem – gdyby bezpłodność miała się kiedykolwiek okazać wynikiem wolności. Zawsze przecież zdobywa się wolność w nadziei wyzwolenia twórczych sił! (A więc wolność zdobywa się, trzeba o nią walczyć! – k.m.)— Prawda – odparł. — A wolność spełnia przez chwilę te pokładane w niej nadzieje. Lecz wolność jest tylko innym określeniem subiektywności, która pewnego dnia dość ma już samej siebie, zaczyna w jakiejś chwili wątpić w to, aby mogła być twórcza sama z siebie, i szuka osłony i bezpieczeństwa w obiektywizmie. Wolność zawsze się skłania ku przemianom dialektycznym. Bardzo szybko uczy się rozpoznawać sama siebie w ograniczeniu, wypełnia się w podporządkowaniu ustawie, normie,

i wszechdobroci Boga. Nie mógł on przydać stworzeniu niemożności popełnienia grzechu. Oznaczałoby to odmówienie owemu stworzeniu wolnej woli.

„Wolność” pochodzi od „wola”. Wolna wola to tautologia. Wolność jest przestrzenią, w której tkwią wszystkie skutki działania woli, a także wszystkie jej możliwości. Niezdolność do popełniania grzechu byłaby skutkiem niedoskonałego aktu stworzenia. Nie można mieć jednocześnie wolnej woli i niezdolności do popełnienia grzechu. Bóg wolał wydać stworzenie na pastwę grzechu niż pozbawić je wolności – filozofuje Mann.

A dlaczego dziecko, jak Zuzia, musi cierpieć na pęcherzycę, a telewizja publiczna, zwana skądinąd Kur-wizją – zbierać pieniądze na jej leczenie w USA? Czy Bogu pomyliły się próbówki z zarodkami? Papież Franciszek powiedział w Krakowie, że to dla niego tajemnica. Jeśli mylą się próbówki, to Bóg jest czasami omylny. Czasami, to znaczy w pewnym czasie jest, a w innym nie jest. Wolność Boga polega na zdolności do popełnienia (czasami) błędu. Na niemożności bycia (czasami) nieomylnym. Skutek dotknie kogoś według wyboru statystycznego, losowego, żeby było „uczciwie”. Czy Bóg przestaje być przeto Wartością Absolutną? Nie. Ale omylność papieża widoczna jest gołym okiem. Każdego papieża.

Wolność to przeciwieństwo bezgrzeszności. Bezgrzeszność zatem to niewola. Mann przypuszcza, że dzięki wojnie narodowi niemieckiemu zaświtało po raz pierwszy, co znaczy wolność. Wolność jest tym, co nie pozwoliło Bogu uzbroić nas w możliwość odwrócenia się od niego. „Pozwolić” także pochodzi od woli. Wolność jest możliwością popełnienia grzechu a pobożność – wyborem drogi, na której można nie skorzystać z tej szansy.

Na wszelki wypadek Mann przypisuje asekuracyjnie autorstwo wszystkich tych mądrości belfrowi, z którego po cichu się śmieje.

Zabobon to wszeteczne zadawanie się z kimś, od kogo oczekujemy łaski, której można spodziewać się tylko od Boga (s. 137). Ale to także mit Fausta i Mefista.

„Bycie wolnym oznacza bycie wasalem” mówi stare niemieckie przysłowie – to cytat z Łaskawych<sup>11</sup>, gdzie oficerowie SS w domu Eichmanna na herbatce i przy muzyce granej przez kwartet mundurowy z Eichmannem włącznie rozmawiają o Imperatywie Kanta, który w czasie wojny musi być zgodny z wolą genialną Fuehrera. Tego nawet Mann nie odważył się powiedzieć.

### Piękno absolutne

istnieje bez względu na brzydotę. Wszelkie inne piękna są relatywne. Istnieją, bo porównujemy je z brzydotami.

Bóg przyznał demonom większą moc w odprawianiu czarów nad sferą płci, niż nad jakąkolwiek inną dziedziną działalności ludzkiej. Może dlatego, że to sfera, w której człowiek konkurowałby z Bogiem co do

aktu tworzenia. Należało mu to uniemożliwić. Uważano akt za nieprzystojny. Nie wiedzieć czemu. Henry Miller próbował temu stawić czoło. Zapytamy: dlaczego czoło? Bo seks mieści się między uszami. Zepsucie przeszło przez akt erotyczny od człowieka na potomków jako grzech pierworodny. Grzech nie może być piękny, nawet jeśli jest przyjemny. Estetyczna ohyda aktu jest dziś co najmniej dyskusyjna. W czasie aktu instynkt góruje nad rozumem. W uniesieniu można dopuścić się czegoś, czego niepodnieceni nie bylibyśmy w stanie uczynić. W psychiatrii i kryminalistyce nazywa się to efektem krótkiego spięcia.

„Pokusa nie jest grzechem, lecz jedynie próbą cnoty” (s. 140). Przedmiotem pokusy jest kobieta. Mann stawia pytanie: a mężczyzna nie? Kobiety mają swoje piśmisko *Playgirl*. „Femina znaczy mniejsza wiara”. Jeśli mniejszej wiary, to nie może być kapłanką.

Miłość nie jest u Manna prawdą ostateczną. Akt miłości – błysk – jest. Wyraża się szyfrem dźwiękowym h-e-a-e-es, co autor tłumaczy: hetera esmeralda. Czart jest jej sutenerem.

„Lecz podziw i cierpienie, podziw i troska, czyż nie są już niemal definicją miłości?” (s.287). To rozwinięcie spostrzeżenia, że miłość jest cierpieniem. Kościół bez przerwy szermuje „miłością”, ale jej nie zna, bo celibat stoi temu na przeszkodzie.

„...w muzyce bynajmniej nie trzeba wszystkiego słyszeć...” (s.254).

### Epilog

Zakończmy eksperyment z przestrzeniami.

Na scenie euklidesowej mamy dość dramatów Medei, Antygony, Edypa, lecz jest tam także trochę śmiechu i dionizjów, które wycisły na ulicę. Jeśli te narracje przeciągnąć na granicę renesansu i baroku, i zanurzyć je w przestrzeni tamtoczesnej architektury – pojawią się Cervantes i Szekspir. Z teatru religijnego przechodzimy do teatru mieszczańskiego z trzema tysiącami miejsc jak w The Globe, gdzie można było grać wszystko, pasując się w aktach stworzenia świata z Bogiem. Ale na parterze śmierdziało od widzów tak, że trzeba było używać skórek z pomarańczy, żeby smród czymś „przykryć”. Potem, wraz z nastaniem przestrzeni filmowej, będziemy stwarzać światy, idąc do kolejnych przestrzeni Riemanna (wiek XIX), Banacha (lata 20. XX wieku) czy czasu Minkowskiego (lata 30. XX wieku). Nadejdzie czas w podsumowaniu na fabułę Fausta błąkającą się po papierach nutowych, ale też po kartkach, które uciekły spod gęsiego pióra i zamieniły w ekran komputera, robiąc przystanek dla maszynopisu niemieckiego prozaika.

Były pakt z diabłem. Nie było paktów z Bogiem.

Mit Faustusa na naszych oczach odchodzi do lamusa.

Za młodu zawierasz pakt, żeby za duszę dostać wiedzę. Na stare lata chcesz za duszę oddać starość. Czart u Manna sprzedaje czas.

Młodość przychodzi z wiekiem.

<sup>11</sup> przymusowi, systemowi – wypełnia się w nich, co znaczy: nie przestaje przez to bynajmniej być wolnością.

- (...)zrodzona z rewolucji dyktatura wolnością już nie jest”. (s. 250-1).  
11 Jonathan Littel, *Łaskawe*, WL, Kraków 2008.

STANISŁAW GĘBALA

# PEDAGOGIKA BEZWSTYDU

Jeden z najcięższych zarzutów, jaki postawili poprzedniej władzy zwycięzcy wyborów z jesieni 2015 roku, dotyczył uprawianej przez nią „pedagogiki wstydu”, po czym natychmiast po przejęciu sterów dokonali pierwszej „dobrej zmiany”, wprowadzając pedagogikę bezwstydu. „Oczywiście nie przyjmujemy żadnych ustaw o mowie nienawiści” – powiedział od razu Wielki Nauczyciel (czekam z niecierpliwością, kiedy to określenie, znane z historii różnych totalitaryzmów XX wieku, pojawi się i u nas w powszechnym obiegu). Pewnie zawodowi hejterzy ucieszyli się z tej gwarancji bezkarności, ale mnie najbardziej wzruszyła dziewczęca radość osoby (może nawet należałoby napisać: osobistości) nader dojrzałej i szczytującej się (w sposób niezupełnie uprawniony) tytułem profesora – poseł Krystyny Pawłowicz wykrzykującej: „Teraz jest czas! Pan prezes powiedział, że koniec z poprawnością polityczną. Niech żyje wolność słowa! Nie ukarze mnie żadna komisja sejmowa, bo w każdej mamy większość. Marszałek Kuchciński też nie, bo się boi prezesa. A pan prezes mi pozwolił”.<sup>1</sup>

Pozwolenie Pana Prezesa (będę jednak pisał te dwa słowa z wielkich liter) zostało powitane z entuzjazmem także przez ludzi, których ograniczenia wolności słowa, narzucone przez zniechęconą III RP, nie uwierały zbyt dotkliwie, gdyż całe bogactwo swoich myśli, ujętych w starannie zrymowane dwuwiersze, mogli bez przeszkód wykrzykiwać na ulicznych manifestacjach, wzmacniając je dodatkowo kilkoma ulubionymi słowami, stanowiącymi samo jądro ich mowy ojczystej. O wiele bardziej dotkliwe byto dla nich skrępowanie rąk... no, powiedzmy, niezbyt skuteczne próby takiego skrępowania – że wspomnę choćby pamiętną groźbę: „Idziemy po was!”. I oto nagle usłyszeli, jak sam Pan Prezes wskazuje imigrantów jako nosicieli pasożytów i jednokórkowców, niegroźnych wprawdzie dla nich samych, ale mogących stanowić poważne zagrożenie dla nas.

Nie, Pan Prezes nie zachęcał – broń Boże! – do żadnych rękoczynów, chciał tylko zamknąć drzwi polskiego domu przed nadciągającą zarazą i pewnie do głowy mu nie przyszło, że jego pojętni słuchacze zechcą ten dom uwolnić nawet od tych pojedynczych nosicieli pasożytów, którzy już w nim zamieszkali.

\* \* \*

Retrospekcja. Sporo lat temu oglądałem jakiś program telewizyjny, z którego utkwiła mi w pamięci wstawka filmowa z tłumnego spotkania z samym Ojcem Dyrektorem. Gościł na nim m. in. ciemnoskóry ksiądz, na którego widok wielebny Ojciec Dyrektor udał zdziwienie i zaprezentował swoje dobroduszne poczucie humoru, mówiąc z rozbawieniem (oczywiście, nie jestem w stanie po latach dokładnie przytoczyć jego słów, ale dobrze zapamiętałem ich esencję): O! Nie umył się! Dajcie mu mydło! Kto przyniesie mydło, żeby mógł się umyć? – Powtarzał ten koncept parokrotnie, wywołując pełny aplauz słuchaczy.

To pedagogika bezwstydu w wersji *soft*, natomiast po „dobrej zmianie” dominuje już niepodzielnie wersja *hard*; TVN coraz częściej pokazuje scenki z tramwajów i autobusów w różnych miastach Polski (małych, średnich i dużych), w których można usłyszeć np.: Czarnuchy je..., ku...! Trzeba was, ku..., zmieść z powierzchni ziemi!

Szczegółne nasilenie podobnych ekscesów nastąpiło na przełomie roku 2016 i 2017. W pierwszych dniach stycznia TVN24 pokazywała parokrotnie zamalowany na czerwono (kolor alarmowy!) kontur Polski z nazwami miast, w których od 31 grudnia do 4 stycznia dokonano ataków na ludzi o ciemnym kolorze skóry – gdzieś tam dwukrotnie w ciągu jednego dnia. To była mapa naszej polskiej hańby.

A min. Mariusz Błaszczak określał konsekwentnie podobne zdarzenia jako „margines marginesu”.



\* \* \*

Co się dzieje z naszym krajem? Ano stacza się na „margines marginesu” Europy, co – jak zawsze w takich sytuacjach – najlepiej widać z zewnątrz. Moim zdaniem, jedno z najciekawszych i najbardziej przenikliwych spojrzeń z zewnątrz zaprezentował nasz rodak Maciej Zaremba Bielawski (urodzony w 1951 roku w Poznaniu ale mieszkający w Szwecji, do której wyemigrował w 1969 r.) na łamach czołowego szwedzkiego dziennika „Dagens Nyheter” z 20 lutego 2016. Tekst zatytułowany *Urażeni wzięli rewanż* opublikowała (w przekładzie Mariusza Kalinowskiego) „Gazeta Wyborcza” równo miesiąc później<sup>2</sup>. Po upływie roku warto do niego wrócić choćby po to, żeby się zastanowić, czy zawarta w nim ocena sytuacji nie była jednak mimo wszystko nazbyt optymistyczna.

Zacznijmy od tytułu. Użyty w nim czas przeszły „wzięli rewanż” sugeruje, że to się dokonało jednorazowo i sprawa jest zamknięta; wzięli rewanż i już – życie potoczy się dalej swoim torem. Ale minął rok i nie możemy się dłużej łudzić: „urażeni” dziarsko niszczą tory – dalej najpewniej pójdziemy pieszo. Czy każde z dwóch plemion w swoją stronę? Tak byłoby zdrowiej, bo mentalnie są już tak odległe od siebie, że wspólna jazda w jednym pociągu stała się nieznosną torturą.

Maciej Zaremba Bielawski pisał:

„Kiedy się słyszy, że jakieś społeczeństwo »rozpada się na dwoje«, zazwyczaj myśli się o ekonomii. Ale to nie warunki życia przede wszystkim zrobiły z Polski najbardziej rozdartą kraj Europy. To kultura. Albo dokładniej: kompleks niższości przełożony na wojnę kulturową”.

I zaraz przypomniał dwa słowa, którymi ze szczególnym upodobaniem posługiwała się „pedagogika wstydu”: „słoi” i „mohery”. Zawarta w nich ironia widocznie kłuta bardzo boleśnie, skoro wywołała reakcję, którą można bez przesady określić jako polityczne trzęsienie ziemi:

„To właśnie to poczucie zlekceważenia Jarosław Kaczyński podsycy i wyzyskuje. Kluczowym słowem jego kampanii wyborczej była »pogarda«. Mówi się zatem, że »elity lewicowo-liberalne« gardzą swoim narodem: przedstawiają Polaków, którzy stoją na straży rodziny, wiary i tradycji, jako ciemnogród i zagrożenie demokracji. Ale my nie będziemy się wstydzili tego, że nie cierpimy pedałów, muzułmanów czy feministek, i w prostych słowach dajemy temu wyraz”.

Dwa wrogie plemiona posługują się dwoma skrajnie różnymi językami; „elity” językiem wyrafinowanej ironii – „naród”, „prawdziwi Polacy” prostymi i (dodajmy koniecznie) żołnierskimi słowami, które staną się skutecznym (jak walnięcie cepem w głowę) narzędziem pedagogiki bezwstydu. Właśnie moment i miejsce zderzenia się tych dwóch pedagogik znakomicie pokazał polsko-szwedzki autor.

\* \* \*

Nie zapomnę (pokazywanego wielokrotnie przez telewizję) spotkania na rogu Kruczej i Alej Ujazdowskich 13. grudnia 2016 roku, w 35. rocznicę wprowadzenia

stanu wojennego, manifestacji KOD-u (zmierzającej od gmachu dawnego KC PZPR w stronę siedziby władz PiS przy Nowogrodzkiej) z oczekującym na nią tłumem członków i sympatyków tej partii, którzy powtarzali swoje ulubione: „Raz sierpem, raz młotem...”, na co KOD-owcy odpowiadali skandując dwa nazwiska: „Mi-sie-wicze! Pio-tro-wicze!”. Przez dłuższą chwilę kamery TVN skierowane były na uduchowioną twarz mężczyzny stojącego w tłumie i recytującego jakiś wzniosły poemat („własnego wyrobu” – jakby to zapewne określił Tadeusz Różewicz). Nieodparcie nasuwało się skojarzenie z plenerowym przedstawieniem jakiejś tragedii antycznej, w której protagoniście chór odpowiada pieśnią – ale recytator nagle przerwał i, zwracając się wprost do kamery, powiedział z dumą, że mógłby tak rymować i trzy godziny. Wzniosły nastrój przysł, a tragedia w tym samym momencie stoczyła się do poziomu farsy.

Sławomir Mrożek ostrzegał już w *Tangu*: „Dzisiaj tylko farsa jest możliwa”. To „dzisiaj” – z połowy lat 60. ubiegłego wieku – najwyraźniej wróciło. Taki nasz, polski Dzień Świstaka.

Nieprzypadkowo w minionym – pierwszym – roku „dobrej zmiany” tak często przywoływana była postać Edka z tej sztuki Mrożka. Właśnie zajrzałem do tekstu i mój wzrok natrafił przypadkiem na trzy słowa: „Teraz moja kolej.” Prorocze, prawda? Pierwsze ich litery tworzą skrót TMK. Skąd my go znamy? Zostawmy jednak historię walk o władzę partii TMK z TKM i potraktujmy Edka jako eksperta z dziedziny pedagogiki bezwstydu. Posłuchajmy go z należną uwagą i (przede wszystkim!) respektem:

„EDEK Teraz moja kolej. Wy będziecie mnie słuchać.

STOMIL My? Ciebie?

EDEK A dlaczegoż by nie? Widzieliście, jaki mam cios. Ale nie bójcie się, byle cicho siedzieć, nie podskakiwać, uważać, co mówię, a będzie wam ze mną dobrze, zobaczycie. Ja jestem swój chłop. I pożartować mogę, i zabawić się lubię. Tylko posłuch musi być”.<sup>3</sup>

\* \* \*

Właściwie to samo mówi Wielki Nauczyciel. „JESTEŚ WIELKI” – te słowa z plakatu, przedstawiającego twarz Prezesa na tle falującej biało-czerwonej flagi, trzymanego wysoko nad głowami uczestników kolejnej miesięcznicy smoleńskiej na Krakowskim Przedmieściu, dość groteskowo kontrastowały z postacią stojącą na niewielkim podwyższeniu, złożonym z dwóch schodków. Aż chciało się wykrzyknąć: gdybyś wszedł na wyższą drabinę, byłbyś jeszcze większy! – co sugerował arcytrafnie rysunek Wojciecha Zimińskiego, wystawiony w styczniu na internetowej aukcji na rzecz Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy.

Posunąłem się za daleko, porównując Prezesa z Edkiem? Ależ Prezes ma naprawdę do powiedzenia tylko tyle, co on – choć bardziej pokrętnie: posłuch musi być! I jeszcze: teraz moja kolej! (czyli TMK).

Rzecz jasna, Prezes nieskończenie góruje nad Edkiem intelektualnie. Używa takich słów, jak „imposybilizm”, „dyfamacja”, „kondominium” (choć tu podejrze-

wam go czasem o pewną frywolność, bo w ten wyraz wpisany jest inny, który również Edka przyprawilby o rehot). Gdyby jeszcze nie powtarzał stale „Rzeczypospolita”... Ale za to raz powiedział po łacinie „non est” i zaraz wszyscy go cytowali. Choć jeśli już sięga po łacińskie cytaty, to pragnąłbym usłyszeć z jego ust np. ten: *Lex retro non agit*.

\* \* \*

„Jesteś wielki!” – od takiego aktu czołobitności zaczyna się zwykle kult jednostki. Dziennikarz „Gazety Wyborczej” pisał na przełomie roku 2016/17:

„Wokół prezesa PiS narasta dziś kult jednostki nieznaną w Polsce po upadku PRL. »Byłem u Naczelnika« – mówić mają między sobą politycy PiS. »Wielki strażak« – piszą bliskie mu media”.<sup>4</sup>

Jak i kiedy to się zaczęło? – można się spierać, ale nie sposób zakwestionować prekursorskiej roli w tym zakresie Pana Prezydenta RP, który 13 listopada 2015, przy okazji desygnowania Beaty Szydło („Moją dewizą jest praca i pokora”) na premiera, wypowiedział te historyczne słowa, skierowane do Jarosława Kaczyńskiego:

„Z całą pewnością jest Pan wielkim politykiem; jest Pan z całą pewnością wielkim strategiem; ja muszę dodać jeszcze jedno: jest Pan również wielkim człowiekiem”.

Trzeba przyznać, że Wielki Człowiek nie dostał zawrotu głowy i z całą skromnością przyznawał zasługi komuś innemu, zwracając się (przy innej okazji) z podziękowaniami do Ojca Dyrektora przyznając, że bez niego nie byłoby tego wielkiego wyborczego sukcesu. Oczywiście nie mam pojęcia, z jaką miną Prezes słuchał rok później na uroczystości 25-lecia Radia Maryja chóru śpiewającego słowa refrenu napisanej specjalnie na tę okazję pieśni: „Ojciec Tadeusz jak Prometeusz” (więcej, niestety, nie zapamiętałem). Mam pewność natomiast, że słuchając wykrzykującej prof.(!) Pawłowicz: „ja mówię, Polska mówi!”<sup>5</sup> – miał minę raczej rozbawioną.

Może zresztą w tych słowach nie było nawet cienia megalomanii, lecz wręcz przeciwnie – zalecana wielokrotnie przez panią premier pokora? Bo można je rozumieć i tak: ja to Polska, a Polska to pan Prezes.

\* \* \*

Od czasu do czasu ktoś przypomina sławne przejęzyczenie Wielkiego Nauczyciela: „nikt nas nie przekona, że białe jest białe, a czarne jest czarne” – wyrażając wątpliwość czy to naprawdę było przejęzyczenie. Ja też skłonny jestem doszukiwać się tu raczej najbardziej skrótowego zarysu celów politycznych, do których realizacji ma służyć pedagogika bezwstydu – beczelnie nicująca słowa, zacierająca i odwracająca ich podstawowe znaczenia. Te praktyki zostały dość gruntownie opisane, prosty mechanizm nadużyć odstonięty, a manipulatorzy, posługujący się nim, skompromitowani. I co się zmieniło? Nic. Po roku wytężonych prac sejmowych nad kolejnymi „ustawami

naprawczymi”, które doprowadziły do zniszczenia Trybunału Konstytucyjnego, Zbigniew Ziobro (w dniu 25 stycznia br.) zapowiedział wniesienie projektu ustawy zmieniającej zasady wyboru członków Krajowej Rady Sądownictwa, który ma być następnym krokiem prowadzącym do demokratyzacji (polegającej na tym, że wszystkich członków KRS będzie wybierał Sejm, bo tylko on ma mandat z demokratycznych wyborów). Parę dni wcześniej sam Prezes zapowiedział zmianę ustaw dotyczących samorządu terytorialnego, które zapewne doprowadzą do zlikwidowania samorządności – w imię praworządności.

\* \* \*

Nie doczekałem się wprowadzenia oficjalnego przyznania Prezesowi tytułu Wielkiego Nauczyciela, za to został on wybrany przez jeden z prawicowych tygodników Człowiekiem Wolności 2016 roku! Ogłoszono to na uroczystej gali 25 stycznia. Ta data już się wyżej pojawiła, ale w najnowszej historii zapisze się z jeszcze jednego powodu: otóż śpiesząc na wspomnianą galę do Warszawy aż z Torunia min. Antoni Macierewicz doświadczył szczególnej opieki Opatrzności (zapewne wymodlonej przez samego Ojca Dyrektora), wychodząc bez jednego draśnięcia z groźnego karambolu samochodowego.

W chwili, kiedy piszę te słowa, o jego przyczynach jeszcze niewiele wiadomo; mogę tylko powtórzyć informację, którą w *Szkle kontaktowym* podał tego samego dnia Grzegorz Miecugow: do karambolu doprowadziły cywilne samochody, które „agresywnie stały” przed czerwonymi światłami na skrzyżowaniu, blokując drogę pędzącym samochodom Żandarmerii Wojskowej. To ona zresztą natychmiast przejęła śledztwo w tej sprawie, dając gwarancję pełnego obiektywizmu, jako najbardziej zainteresowana (to już moje dopowiedzenie). I tyle.

\* \* \*

Wróćmy zatem do tytułu Człowieka Wolności, który trzeba koniecznie uzupełnić jednym słowem: Człowiek Prawdziwej Wolności, gdyż w przeciwnym wypadku tron elektoratu Prezesa, czyli prawdziwi Polacy i prawdziwi katolicy mogliby czuć się niepewni, o jaką to wolność chodzi? O taką zwykłą, najzwyklejszą?! Czy ona w ogóle jest coś warta?

Przywoływany tu Sławomir Mrozek i tę kwestię już dawno rozstrzygnął – w jednoaktówce *Na pełnym morzu*, napisanej parę lat przed *Tangiem*. W zakończeniu sztuki Mały – stojący od początku na straconej pozycji (jakżeby mogło być inaczej, skoro oprócz niego na trawie znaleźli się jeszcze Gruby i Średni?) – wygłasza taki monolog:

„Wolność to nic nie znaczy. Dopiero prawdziwa wolność to znaczy coś. Dlaczego? Bo jest prawdziwa, a więc lepsza. Wobec tego gdzie szukać prawdziwej wolności? Pomyślmy logicznie. Jeżeli prawdziwa wolność to nie jest to samo, co zwykła wolność, to wobec tego gdzie jest prawdziwa wolność? To jasne. Prawdziwa wolność jest tylko tam, gdzie nie ma zwyczajnej wolności”.

STANISŁAW GĘBALA

4 Jakub Majmurek, *Naczelnik na beczce prochu*, „GW” 31 grudnia 2016–1 stycznia 2017.

5 Por. cytowany artykuł *Bo pan prezes mi pozwolił*.

**MAREK WAWRZYŃSKI***Z cyklu: znaczki polskie – 2013***górnik**

wydobycie  
węgla kamiennego  
5 miejsce  
w świecie

**gomułka**

40–lecie  
ziem odzyskanych  
10 zł

**lenin**

pokój  
z widokiem  
na rynek  
krakowski

*Z cyklu: wiersze – 2013*

\* \* \*

jadą do raju  
żeby powtórzyć  
upadek

\* \* \*

kamień  
wtulony w siebie  
jak gołąb

**planty**

śnieg  
nagie drzewa  
zapalone lampy  
bezdolny pcha swój wózek

*Z cyklu: dziennik krakowski – 2015*

\* \* \*

picie kawy  
na tej ulicy  
gdzie zegar  
nosi datę  
1899 roku

**sierpień**

śpiący  
człowiek  
na ławce  
Turowicza

\* \* \*

śpi jak anioł  
który czuje wszystko  
i nic nie traci

\* \* \*

dziurawy  
ażurowy daszek  
pamiątka gradu  
minionego stulecia

**WIT JAWORSKI****Pamięci Staszka Wiśniewskiego**

Kładłeś farby na płótno i mówiłeś,  
„Życie artysty – malarza – jest pociągające”.  
Naprzeciw śmierci stawiałeś widmo gracji, ogrodów  
I anioła ze skrzydłami – paletą porannej zorzy  
Upadły w toń nie ochroni naszych ciał  
Pozostaną roztrzepotane pokrowce światła i barw  
Niechaj bronią lekkości piór i popiołów!  
Kładź między nie światło  
Z wetkniętym w cień kciukiem.



PAWEŁ SĘKOWSKI

# ZYGMUNT BAUMAN

## O „PŁYNNIEJ NOWOCZESNOŚCI”

I.

Odejsięcie prof. Zygmunta Baumana, wybitnego intelektualisty, przyjaciela „Kuźnicy” i laureata Honorowej Nagrody Kowadła „Kuźnicy” (2010) wydaje się być dobrym asumptem do ponownej lektury jego książek oraz do namysłu nad rozwijaną przezeń refleksją. Proponuję przyrzeć się pracy Baumana, która na mnie osobiście wywarła największe wrażenie, w której zasadniczym przedmiotem refleksji była *płynna nowoczesność* i związane z nią problemy współczesnego człowieka. **Mowa o książce *Razem, osobno*, która w Polsce ukazała się w 2003 roku.**\* Była to kolejna garść refleksji nad współczesną nam epoką *płynnej nowoczesności* po poprzedzających tę pozycję pracach Baumana *Liquid Modernity* (2000; wyd. polskie *Płynna nowoczesność*, 2006) oraz *Community. Seeking Safety in an Insecure World* (2001; wyd. polskie *Wspólnota. W poszukiwaniu bezpieczeństwa w niepewnym świecie*, 2008).

Zygmunt Bauman pisze w przedmowie, iż praca nie jest opracowaniem zwartym i nie aspiruje do miana monografii tematyki życia w *płynnej*. Bauman, socjolog i filozof, czołowy teoretyk postmodernizmu, ograniczył się bowiem do *sporządzenia teczki złożonej z roboczych i fragmentarycznych szkiców*. „*Razem, osobno*” jest zbiorem pięciu esejów o różnicowanej problematyce, zogniskowanej jednak wokół zagadnień nietrwałości, niestabilności i niezakorzenia współczesnych ludzi i ich życia. We wszystkich pięciu esejach widać wyraźnie dwukierunkowe wykształcenie autora oraz umiejętną przemianę obu perspektyw: filozoficznej i socjologicznej. W jednych tekstach i ich poszczególnych fragmentach Bauman snuje refleksje o wyraźnie filozoficznym charakterze, w innych zaś na pierwszy plan wychodzi jego warsztat socjologa (choć w partiach „filozoficznych” również bardzo silnie widoczny jest „socjologiczny background”, według trafnego określenia Pawła Goźlińskiego (*Bauman, celebryta od utopii*, „Gazeta Wyborcza”, 14 V 2011)). Chciałbym się skoncentrować na socjologicznych wątkach omawianej książki Baumana.

II.

1. Otwierający książkę szkic, zatytułowany *Zakończyć się – odkochać się*, w bardzo interesujący sposób ukazuje wpływ *późnej nowoczesności*, w której żyjemy na sferę związków miłosnych. Współczesny człowiek jest jak Mozartowski Don Giovanni, poszukuje coraz intensywniejszych bodźców, coraz silniejszych doznań i coraz mocniejszych uczuć. Jednocześnie nic nie od-

strasza go tak bardzo, jak perspektywa trwałego, stabilnego życia. Taka postawa, pisze Bauman, prowadzi do „wyćwiczonej niezdolności” kochania (s. 15). W tym eseju dominuje refleksja filozoficzna, jednak pozostaje ona cały czas osadzona w gruntownym kontekście socjologicznym.

Dzisiejsza miłość, czy raczej zakochanie, opiera się już nawet nie na „pożądaniu”, które przecież jest drogą do zaangażowania, ale coraz bardziej na „zachciance”. Ważne jest natychmiastowe wypełnienie potrzeby. Wiodące jest u Baumana zestawienie tego podejścia ze współczesnym konsumeryzmem. Przy czym, co zdaje się być jedną z bardziej frapujących myśli autora, najważniejsze jest nie tyle gromadzenie nowych doświadczeń miłosnych, ile możliwość zakończenia aktualnie trwającego związku. Tę intuicję potwierdza dokonana przez Baumana analiza rubryki porad sercowych w brytyjskim tygodniku „The Guardian Weekend”. Autor zwraca mianowicie uwagę na fakt, że największa liczba artykułów poświęcona jest tam kwestii, jak bez szwanku „wyjść ze związku”. W związku – podkreśla Bauman – „się wchodzi”, można więc z niego również „wyjść”.

Inną szczególnie interesującą myślą Baumana zawartą w tym eseju jest konstatacja, iż „wejście w związek”, które ma na celu między innymi spełnienie potrzeby bezpieczeństwa, jest w istocie źródłem jeszcze większego poczucia zagrożenia. Człowiek *późnej nowoczesności* boi się „zainwestować” zbyt wiele w relację, by nie „wyjść” z niej z uszczuplonym stanem posiadania. Najlepszym rozwiązaniem zdaje się zatem być „związek kieszonkowy”, a więc taki, który „trzyma się w kieszonce, skąd w razie potrzeby można go wyciągnąć” (s. 38). Innym omówionym przykładem współczesnej relacji są tzw. SDC (*semi-detached couples*), w których partnerzy „żyją ze sobą, lecz nie mieszkają razem” (s. 59–60).

Współczesne związki, pisze Bauman, oparte są na „zbieżności interesów”. „Wchodzi się” w nie i trwa w nich w oparciu o – analogiczną do rynkowej – analizę zysków i strat: w jakim stopniu związek spełnia moje potrzeby, jakie potencjalne straty odniósłbym wychodząc zeń oraz jakie są ewentualne alternatywy. Brak trwałego oparcia współczesnego człowieka potęgowany jest przez erozję związków pokrewieństwa i coraz mniejsze znaczenie więzi powinowactwa. Żyjemy bowiem w świecie, w którym „rodzina” trwa najczęściej krócej niż poszczególne jej członkowie.

Warto podkreślić, iż Bauman w ogóle nie zajmuje się problematyką trwałości / erozji instytucji małżeń-

stwa. Można powiedzieć, że erozję i nieprzystawalność tej instytucji do epoki  *płynnej nowoczesności* traktuje jako założenie, oczywisty punkt wyjścia do refleksji. Być może wynika to z faktu, że szkic pisany był w oryginale w języku angielskim, dla anglojęzycznego (zachodniego) czytelnika przez mieszkającego od lat w Wielkiej Brytanii naukowca. Być może, gdyby tekst pisany był w oparciu o realia polskie (w których małżeństwo zdaje się wciąż być najbardziej oczywistą formą związku partnerskiego) instytucji małżeństwa zostałyby poświęcone więcej miejsca. Należy wreszcie nadmienić, że Bauman analizując wpływ  *późnej nowoczesności* na współczesne związki międzyludzkie w żadnym miejscu tekstu nie formułuje jednoznacznych ocen.

2. Drugi esej traktuje o śmierci i związanym z tą problematyką pojęciu wieczności. Opatrzony został tytułem  *Stąd do wieczności – i z powrotem*. W tym najbardziej filozoficznym ze wszystkich zgromadzonych w książce tekście znajduje się wszakże wiele inspirujących przemyśleń natury socjologicznej. Już w pierwszym esejku wprowadza Bauman temat śmierci, wskazując, iż jest ona dzisiaj usuwana z przestrzeni publicznej i staje się tematem wstydliwym. Dlatego komentarze usuwa się dzisiaj z przykościelnych terenów na obrzeża miejscowości, z naszego krajobrazu znika obraz ulicznych procesji pogrzebowych, coraz rzadziej widzi się również zewnętrzne przejawy żałoby po najbliższych członkach rodziny. W esejku drugim Bauman zwraca z kolei uwagę na zróżnicowanie obieranych w dzisiejszym świecie strategii wobec śmierci. Najpowszechniejsze zdaje się być nie myślenie o niej, które prowadzi do tego, iż śmierć przestaje być „przeznaczeniem”, a staje się „wydarzeniem”, które z nagłą przerywa bieg ludzkiego życia.

Refleksja na temat wieczności, która niegdyś stanowiła cel ludzkiego życia, jest punktem wyjścia do analizy dzisiejszej kapitalistycznej racjonalności. To religijna idea wieczności stanowiła bodziec do gromadzenia dóbr (zawsze na przyszłość!) przez pierwszych kapitalistów. Ta zasada „odkładania zaspokojenia na później” (s. 91) jest całkowicie nieprzystawalna do epoki  *płynnej nowoczesności*, w której karierę robią coraz wymyślniejsze rodzaje  *fast-foodów*. Cechą naszej epoki jest – jak określa to sam Bauman – „syndrom niecierpliwości. Każda zwłoka jest przejawem niższości, nieprzystosowania. W cenie jest zmienność. Należy więc trzymać rękę na pulsie i zawsze wiedzieć nie tylko (i nie tyle), co jest dzisiaj modne, ale także co właściwie modnym być przestało. Zmienność staje się imperatywem tak mocnym, że nawet notujące stałe zyski przedsiębiorstwa, muszą co jakiś czas udowodnić rynkowi (konsumentom), że potrafią się zmieniać, wypuszczając nową linię produktów.

W tym miejscu czyni Bauman przejście do problematyki edukacji. Wykazuje, iż przestała być ona „produktem” (a zatem nabyta wiedza i zdobyte umiejętności nie są już „wieczne”), a stała się „procesem”. Problemem  *późnej nowoczesności* nie jest już istnienie „białych plam” braku informacji, lecz nadmiar informacji, które trzeba umieć umiejętnie selekcjonować i wykorzystywać. Informacje te mają coraz krótszy okres trwałości i w odpowiednim momencie należy je uznać za już nieaktualne, aby lepiej przyjąć informacje jeszcze nowsze. Nasza wiedza i umiejętności, jeśli są zbyt trwałe i nieodporne na zmiany, stanowią przeszkodę na drodze do osiągnięcia sukcesu. Solidność wiedzy, kompetencji podobnie jak

solidność wszystkich innych rzeczy (w tym więzi międzyludzkich) stała się zagrożeniem. Dlatego też, pisze Bauman, dziś nie wystarczy udowodnić, iż posiada się odpowiednie kompetencje na dane stanowisko (które wszak posiada wiele innych osób), ale należy umieć przekonywać, że posiada się wyjątkowe, innowacyjne pomysły i nietuzinkową osobowość. Nie istnieje bowiem nic takiego jak „doskonała organizacja”, a jedynie optymalne rozwiązania dostosowane do konkretnych warunków środowiska (s. 113). Tym co sprzedaje się najlepiej, jest różnica, nie zaś „to-samość” ( *sameness*).

Wydaje się, że drugi z esejów Baumana ma najmniej spójną strukturę wewnętrzną. Tym, co w zamierzeniu Baumana ma łączyć w całość myśli zawarte w szkicu, jest wątek trwałości (wieczności) zestawiony w opozycji do permanentnej zmienności.

3. Bardzo ciekawy wydaje się być trzeci szkic zatytułowany  *Socjalność narzędzi swych pozbawiona*. Składa się on z dwóch części, z których pierwsza traktuje o człowieku współczesnym jako  *homo sexualis*, zaś druga o wzajemności w relacjach międzyludzkich w epoce  *płynnej nowoczesności*.

W części pierwszej Bauman stwierdza, iż we współczesnej kulturze  *ars erotica* zastąpiona została przez  *scientia sexualis* (s. 128). Seksualność zamiast stawać się wyzwoleniem z niedoli, staje się źródłem osierocenia i zagubienia, niespełnienia i zawodu. Jest to bodaj jedyny fragment w całej omawianej książce, gdzie autor zdaje się współbrzmieć z tradycjonalistycznymi krytykami  *późnej nowoczesności* (wszędzie indziej albo trudno odnaleźć jednoznaczną opinię na temat opisywanych zjawisk, albo daje się wyczuć zrozumienie dla zachodzących przemian). Seks oddzielony od miłości musi stać się źródłem niespełnienia. Oddzielony od wszystkich form opresji, rzekomo zwolniony od obciążeń, jest w istocie „przeciążony”, gdyż nie jest w stanie sprostać wywołanym przez współczesność oczekiwaniom. Seks oddzielony również został od aspektu prokreacyjnego, zrywając w ten sposób z „modelem życia człowieka-wytwórcy” (s. 141), do którego odwiecznie przynależał.  *Homo faber* został zastąpiony przez  *homo consumens*. Znowu pojawia się inspirujący motyw „pozbywania się” jako w istocie ważniejszego od „gromadzenia” aspektu konsumeryzmu, tym razem w odniesieniu do sfery seksualnej (kolejnych doświadczeń, partnerów seksualnych).

Wobec wielokrotnie wspomnianego przez Baumana rozpadu więzi rodzinnych oraz strachu przed zaangażowaniem w relację z partnerem, ostatnim trwałym elementem pozostaje dziecko. Jednak nawet ono jest dziś przede wszystkim „elementem uczuciowej konsumpcji” (s. 132). Gdy jednak niewątpliwie atrakcje związane z posiadaniem dziecka zostają przesłonięte przez świadomość braku możliwości „wypowiedzenia umowy” – co przecież stoi w całkowitej sprzeczności z założeniami  *późnej nowoczesności*, pojawiają się typowa dla tej epoki depresja poporodowa oraz małżeńskie kryzysy. Można jednak wspomnieć, że ta skądinąd godna namysłu teza Baumana wydaje się jednak zbyt dużym uproszczeniem, nie uwzględnia bowiem w ogóle hormonalnego podłoża depresji poporodowej oraz wpływu nowej, wymagającej sytuacji życiowej na wzajemne relacje partnerów.

Dalej Zygmunt Bauman zastanawia się nad zmiennością tożsamości seksualnej i szerzej – wszelkich aspektów tożsamości w  *płynnie nowoczesnym* świecie.

To nie tożsamość definiuje dziś człowieka, lecz człowiek definiuje swoją tożsamość. Stwierdza Bauman, że seksualność nie jest już dziś sublimowana i tłumiona, by wytworzyć w ten sposób kulturę (jak pisał Zygmunt Freud), lecz jest sublimowana w inny sposób tak, by instynktu seksualnego nie tłumić, lecz odpowiednio go skierowywać. „Obiekty seksualne” nie muszą już dziś sublimować swojego instynktu seksualnego kreując się na „obiekty kulturalne”, ale mogą pozostać po prostu obiektami seksualnymi (a nawet się tym chełpić).

Traktujący o *homo sexualis* fragment eseju Baumana jest prawdziwą kopalnią niezwykle interesujących myśli i interpretacji.

Druga część szkicu zdaje się być skoncentrowana na zagadnieniu alienacji współczesnego człowieka w pozornie grupowych kontekstach. Pisze autor o telefonach komórkowych, które pozwalają być blisko z tymi, którzy znajdują się w dalekiej od nas odległości, ale zarazem pozwalają pozostawać w dalekiej odległości od tych, którzy są nam bliscy. Nastąpiło oddzielenie przestrzennej bliskości (*topographical closeness*) od poczucia bliskości (*proximity*).

Jeszcze ciekawsza jest refleksja Baumana nad rozdzielaniem komunikacji od relacji. Dotyczy to zarówno wspomnianego aspektu powszechnego użytkowania telefonów komórkowych, jak komunikacji wirtualnej (choćby internetowej). Refleksja ta prowadzi autora – w sposób bardzo przekonujący! – do niezwykle intrygującego wniosku, iż przyczyną współczesnej kariery telefonów komórkowych i rozmaitych komunikatorów internetowych (które Bauman nieco archaicznie określa jednolitym mianem „czatów”) jest to, że pozwalają nam tak łatwo zakończyć rozmowę, nie zaś aspekt ułatwienia podjęcia konwersacji. Więcej, ta zaleta jest przyczyną wyższości komunikacji wirtualnej nad bezpośrednim kontaktem, który jest nierozłącznie związany z ryzykiem opresji, a co najmniej dyskomfortu. Ten sam wniosek tłumaczy – zdaniem Baumana – również sukces internetowych randek.

W pewnym momencie tego bardzo ciekawego wywodu autor w sposób dość nagły przechodzi do kwestii ekonomicznych (s. 168). Demaskuje wskaźnik Produktu Narodowego Brutto jako rzekomo najdoskonalszego sposobu zmierzenia ludzkiego szczęścia. Wskazuje, iż w istocie wskaźnik ten mierzy przede wszystkim ludzką konsumpcję.

Nowoczesny rynek nie znosi tego, czego nie da się zamknąć w schemacie determinującym nieustanny przepływ kapitału. Tak więc zlikwidowana musi zostać wszelka „gospodarka moralna”, oparta na wzajemnej, nieodpłatnej pomocy międzyludzkiej, czy też wzajemnym świadczeniu usług bez pośrednictwa pieniędzy. Gdy nie da się w sposób jednoznacznie przekonujący udowodnić ekonomicznego bezsensu tego modelu, próbuje się go zożydzić poprzez ośmieszanie, akcentowanie jego archaizmu i ... anarchizmu. Tam, gdzie *communitas* wieździe prym nad *societas*, gdzie brak jest klarownych struktur i hierarchii, tam – pisze Bauman – zagrożony jest monopol rynku konsumenckiego. Tryumf nowoczesnego rynku jest nieodwołalnie związany z zerwaniem więzi społecznych. *Homo oeconomicus* to kolejna już w omawianej książce wersja *homo consumens*, gdzie kolejne sfery współżycia społecznego stają się tylko kolejnymi składowymi nowoczesnego sektora usług.

Tryumf nowoczesnego rynku przekłada się na sposób traktowania innych ludzi. Stają się oni środkiem do zaspokojenia potrzeb (zachcianek). Nawet jeśli towarzyszy konsumpcji nie jest bezpośrednio przedmiotem tejże, to jest nim w sposób pośredni – gdy wspólne konsumowanie wydaje się być bardziej atrakcyjne od samotnego, tak naprawdę ma na celu intensyfikację przyjemności. Człowiek przestaje być celem samym w sobie. I to jest chyba klamra spajająca (na samym końcu szkicu, s. 182) obydwie, pozornie tak różne części eseju – tę traktującą o *homo sexualis* z biorącą na warsztat zagadnienie komunikacji oraz analizę *homo oeconomicus*. Zgodnie z tytułem szkicu: socjalność zostaje na wszystkich tych polach pozbawiona swoich narzędzi i jako element sztuki życia jest w epoce  *płynnej nowoczesności* w zaniku.

4. Czwarty esej Zygmunta Baumana, zatytułowany *O kłopotach z miłowaniem bliźniego*, zawiera dużą porcję refleksji natury etycznej. Można pokusić się o stwierdzenie, iż jest on pogłębieniem i rozwinięciem wątków zawartych w szkicu pierwszym. Odwołując się do „czystego związku” Anthony’ego Giddensa, autor zwraca uwagę na „płynność, kruchość i przyrodzoną przejściowość” (s. 205) wszelkich więzi społecznych w  *płynnej nowoczesności*.

Pisze Bauman – „dzisiejszy świat, jak się zdaje, sprzysięga się przeciwko ufności” (s. 206). I przechodzi do analizy współczesnych przejawów odgradzania się od bezpośredniego otoczenia. Miasta, które niegdyś miały jednoczyć ich mieszkańców, w obliczu wspólnych zagrożeń stały się obszarem wewnętrznych murów, gdzie jedne grupy mieszkańców stanowią zagrożenie dla innych. Dom stał się twierdzą chroniącą domowników od zewnętrznego świata. W tę samą logikę wpisuje się współczesne zjawisko zamkniętych chronionych osiedli – nowoczesnych dobrowolnych gett dla elit, do których nie można wejść (w przeciwieństwie do reszty mieszkańców miasta, którzy żyją w gettach, z których nie mogą wyjść). Tworzone zamknięte przestrzenie mają segregować i wykluczać, czego się nawet nie próbuje ukrywać. Miasta są przestrzeniami, w których tuż obok siebie żyją ludzie sobie obcy. Stąd coraz większy nacisk kładzie się na fetyszizowane wręcz bezpieczeństwo. Bauman odwołuje się tu najmocniej do przykładu Stanów Zjednoczonych po 11 września (podejmowane wówczas nadzwyczajne środki były w 2003 roku, gdy autor pisał omawianą książkę, jeszcze zupełnie świeżą sprawą).

Aktualna stratyfikacja społeczna kreuje zainteresowanych (z przymusu!) sprawami lokalnymi biedniejszych mieszkańców miast oraz żyjące „wszędzie” (a tak naprawdę, co Bauman znakomicie ukazuje – „nigdzie”!) elity. Owe elity, podobnie jak wspomniane zamknięte osiedla niszczą tkankę wspólnoty lokalnej, nie oferując żadnej wspólnoty w zamian. Ten kierunek refleksji znajduje swoje niezwykle interesujące rozwinięcie w ostatnim eseju zamieszczonym w książce.

Omawiając zagadnienie fetyszu bezpieczeństwa analizuje Bauman zjawisko zrzucania odpowiedzialności za istniejące zagrożenia na obcych, przede wszystkim imigrantów. Stosuje przy tym termin „miksofobia” w sensie niechęci do inności. Te refleksje nie są jednak tak nowatorskie, jak stwierdzenie autora, iż „miksofobia” nieodłącznie koegzystuje (w tych samych ludziach!) z „miksofiliją”. To co odpycha, jednocześnie przyciąga „na przemian lub równocześnie – za sprawą tych sa-



mych aspektów życia” (s. 233). „Miksofobia” i „miksofilia” wzajemnie się podsycają i jest to współistnienie charakterystyczne dla *płynnej nowoczesności*.

W procesie nauki sztuki negocjacji w zróżnicowanym społeczeństwie współczesnym niezbędne jest poszukiwanie obszarów „fuzji horyzontów”, zgodnie z określeniem Hansa Gadamera. Fuzja ta może być jednak efektem jedynie wspólnego doświadczenia. Wnioskiem Baumana z niniejszego szkicu jest konstatacja, iż aby skutecznie rozwiązać wszelkie społeczne problemy lokalne, niezbędna jest świadomość globalnego charakteru coraz większej ilości niedomogań. A więc – można strawestować krytykowane przez autora hasło – należy poszukiwać „globalnych rozwiązań lokalnych problemów”.

5. Ostatni, piąty esej Zygmunta Baumana jest opatrzony tytułem *Bycie razem – rozwiązane; związane na nowo*. Łatwo zauważyć, że szkic ten nieco różni się od wcześniejszych. Jest w nim zawartych dużo więcej konkretnych przykładów, zaś autor zamienia neutralną perspektywę obserwatora na silnie zaangażowaną. Trzeba stwierdzić, że w żaden sposób nie ujmuje to wartości tej partii tekstu.

Zygmunt Bauman pisze o krążącym nad nami „widmie ksenofobii” (s. 245) i o wykorzystujących społeczny obawy politykach. Skupia się na podsycaniu strachu wobec imigrantów. Zwraca przy tym uwagę na interesujący fakt, iż w momencie pisania szkicu (2003 rok) szczególnie silny udział radykalnie antyimigranckich sił politycznych w rządach miał miejsce w państwach, które jeszcze do niedawna same legitymowały się pokaznym zastępem emigrantów zarobkowych (Portugalia, Włochy, Dania, Norwegia).

Współcześnie odtwarzany ład społeczny produkuje zastępy „odpadów” ludzkich, którym nie jest dany udział w postępie gospodarczym. Niegdyś, pisze Bauman, problem ten rozwiązywano za pomocą imperializmu i kolonizacji. Istniały obszary „ziemi niczyjej”, które wydawały się nieograniczone terytorialnie i zawsze łączyły się z obietnicą kanalizacji nadmiaru „odpadów”. Dziś brakuje już takich obszarów (a raczej cała kula ziemską stała się jednym wielkim obszarem „ziemi niczyjej”); nawiązuje tu Bauman to kwestii poruszanych w eseju czwartym), a cały glob pokrył się siecią państw narodowych, wykorzystujących takie nowoczesne wynalazki jak paszporty, kontrole graniczne i wizy.

Szczególnym przypadkiem ludzkich odpadów są imigranci, przede wszystkim zaś uchodźcy słończeni w obozach dla uchodźców. Burzą oni dobre samopoczucie autochtonów budząc w nich myśl, iż ich stabilność życiowa jest względna. Jednocześnie uchodźcy wymykają się wszechpanującej – jak pisze Bauman – „(nie)świętej trójcy” Państwa, Narodu i Terytorium.

O tej triadzie autor pisze z nieskrywaną niechęcią jako o przeszkodzie na drodze do urzeczywistnienia wymarzonego postulatów Kanta (a także Baumana): „powszechnej jedności rodzaju ludzkiego”. W sposób wręcz pasjonujący udowadnia, że Deklaracja Praw Człowieka i Obywatela, stojąca u podstaw nowoczesnej koncepcji praw człowieka, w istocie obejmuje głoszonymi hasłami jedynie ludzi wpisujących się w triadę państwa, narodu i terytorium – a zatem tylko obywateli państwa narodowego, członkowie narodu znajdujący się na określonym terytorium. Jak pisał zaś autor we wcześniejszym eseju, współczesne instrumenty polityczne mają charakter lo-

kalny, nie zaś globalny i nie są w stanie sprostać stojącym przed ludzkością w epoce *płynnej nowoczesności* wyzwaniom. Nie ma miejsca na naszej przeludnionej planecie dla narodów bez państwa, państw z więcej niż jedną narodowością i terytoriów bez państw narodowych.

Imigranci słończeni w obozach dla uchodźców, pozbawieni praw i traktowani z wrogością przez autochtonów to – pisze Bauman – obok ... współczesnych elit polityczno-gospodarczych najdoskonalsze przypadki ludzi *płynnej nowoczesności*. Obozy dla uchodźców stanowią laboratoria „ziemi niczyjej”, tak charakterystycznej dla *płynnej nowoczesności*. Cechuje je bowiem „desemantyzacja miejsca, kruchość i wymiennosc znaczeń, nieokreśloność i plastyczność tożsamości, a nade wszystko nowa permanencja przejściowości” – a więc, jak pisze sam Bauman, „wszystkie konstytutywne cechy „płynnej” fazy współczesności” (s. 287). Mieszkańcy obozów dla uchodźców znajdują się permanentnie w tymczasowym drugim stanie „rytuału przejścia” opisywanym przez Van Gennepa i Victora Turnera – już porzucili (kazano im porzucić) swoją starą tożsamość, a jeszcze nie mają (nie pozwala się im mieć) nowej.

Konkluzją Zygmunta Baumana jest stwierdzenie, iż „powszechna jedność rodzaju ludzkiego” jest wciąż nie wypełnionym obowiązkiem. Więcej, jesteśmy od tego ideału jeszcze dalsi niż dwieście lat temu, u progu epoki nowoczesnej. Wciąż nie istnieje „wspólnota globalna”, nie ma bowiem globalnego prawa, globalnej etyki, globalnych środków działania ani globalnych instytucji. Nie ma żadnej „historycznej konieczności”, która gwarantowałaby zwieńczenie poszukiwania owej jedności sukcesem. Jak pisze autor: „Póki co, widoki na przyszłość rysują się ponuro” (s. 299), ale nie ma alternatywy dla owego dążenia, gdyż „nigdy jeszcze potrzeba podjęcia działań na rzecz stworzenia powszechnej ludzkiej wspólnoty nie była tak pilna i niezbędna jak teraz” (s. 308).

### III.

Podsumowując: zbiór pięciu szkiców, z których składa się *Razem, osobno* Zygmunta Baumana to lektura ponadprzeciętnie inspirująca. Wydaje się, iż jest to pozycja dobrze oddająca istotę refleksji tego wybitnego myśliciela, powiedziałbym nawet bez wahania – mędrca, nad problematyką *płynnej nowoczesności*. Jest to lektura miejscami niełatwa, ze względu na mocno „impresyjny” charakter poszczególnych esejów. Jednak pozornie chaotyczna kompozycja dzieła tworzy spójną całość, co uważny czytelnik z pewnością stwierdzi po zakończeniu lektury. Uderzająca jest także aktualna wymowa wielu refleksji Zygmunta Baumana, opublikowanych – przypomnijmy – czternaście lat temu, choćby w kontekście dzisiejszego kryzysu migracyjnego.

Oczywiście, z wieloma tezami Zygmunta Baumana, mocno osadzonymi w teorii postmodernistycznej, można dyskutować, tym bardziej że nie mają one zazwyczaj konkretnej podbudowy empirycznej, nie można jednak z żadną z nich nie dyskutować, co najlepiej świadczy o wielkiej wartości i przenikliwości jego myśli.

Panie Profesorze, dziękujemy!

**PAWEŁ SĘKOWSKI**

\* Zygmunt Bauman, *Razem, osobno*, przeł. Tomasz Kunz, WL, Kraków 2006.

ANDRZEJ PACUŁA

# WOJTEK BELLON – WĘDROWIEC W LABIRYNCIE MIASTA...\*

## Kim jest wędrowiec

Kim jest Wędrowiec w piosenkach Wojtka Bellona, ten, wędrujący do wymarzonej Arkadii z „bukowym domem” (*Sielanka o domu*) i ten, którego więzi labirynt miasta, ten jasny, czuły i kochający, i ten mroczny, który sam dla siebie jest labiryntem dylematów, stojących przed wrażliwym i przerażonym zaborczym okrucieństwem rzeczywistości, odmieńcem, innym? Alter ego poety, projekcją jego wyobrażeń o człowieku wolnym, postacią realną, czy fikcją literacką ulepioną ze strzępków różnych biografii? Bellon, sam niestrudzony podróżnik, poeta w drodze, stroniący od rzęsiście oświetlonych, mieszczańskich salonów i pluszowych kanap, spotykał tych Wędrowców na miejskich i beskidzkich szlakach, w piwnicach artystycznych i w barach mlecznych, na autostopie i w pekaesie<sup>1</sup>, w przydrożnych knajpach i na stacyjkach kolejowych, z których ledwie jeden już pociąg odjeżdżał.

Znał tysiące ludzi i pamiętał ich historie. Jego poetycki teleskop skupiał się na obserwacji twarzy, na rozczuwaniu historii prawdziwych, mądrze opowiedzianych i tych ledwie przez zęby wyduszonych, bo mrocznych, i tych zmyślonych, z sekwencją zdarzeń tak nieprawdopodobnych, że aż możliwych. Poeci i Wędrowcy znają opowieści ciekawsze od życia i życie znają, ciekawsze od poezji. Nie wiem, co Bellon robił w wiosce podkieleciej, ale napisał o tym balladę *W Zagnańsku*, a w niej naszkicował portret krawca – Adama Gosa. Jednego z tych zwykłych, niezwykłych ludzi, którzy żyją w domu „pachnącym kapustą”, w pokoju „z dostępem do kuchni” – w rytmie codziennych nadziei i beznadziei. W świecie, w którym wydarzeniem jest kłótnia małżeńska sąsiadów, wypadek kumpla pokiereszowanego przez alkohol albo i aż – zakup pierwszego telewizora. I ten telewizor właśnie, zmienił życie krawca Gosa, gdy zobaczył w nim film o ludziach twardych jak lód i odważnych jak orły – zdobywcach niebosiężnych Himalajów. Wtedy coś w niego wstąpiło, siła jakaś, iskra boża, może mały bies? „Zapachniał pot w Zagnańsku / zaskrzył się śnieg z ekranu rozparła żądza walki / cherlawą pierś Adama”...

Co będzie dalej? Ale Bellon urwał balladę, jakby chciał powiedzieć: resztę dośpiewajcie sobie sami. O co i z kim zaczną walczyć krawiec Gos, gdy już zobaczył – przez pryzmat himalajskich herosów – tę całą nijakość, w której żyje, to szare swoje wiejsko-krawieckie życie? I co się stanie, czy potrafi to zmienić, czy przypomni sobie, że i on kiedyś miał marzenia?

Kumplem krawca Gosa był pewien piekarz, bohater *Ballady o Cześku Piekarczy*, opowieści o człowieku, którego nikt, prawie nikt nie znał, bo zastaniało go całkiem wspaniałe dzieło jego rąk – chleb. O chlebie Cześka wszyscy mówili, jedli i podziwiali, ale o nim samym? O Cześku, człeku wrażliwym, samotnie dłubiącym w drewnie smutne postaci. Co o nim wiedzieli, o jego tęsknotach, żalach, snach, marzeniach, o życiu innym niż tylko to piekarskie? Trzy lata temu w mieście K. rozmawiałem z niemłodym, ale rześkim jeszcze piekarzem, w jego małej, pachnącej chlebem nad chlebami, piekarence. Kiedy pochwalilem bochen kupiony i jaka to musi być przyjemność, taki chleb wypiekać, barczysty ów piekarz, mąką na rękach pobielony, spojrzał na mnie smutno i jak dziecko się rozżalił: „Łatwo się gada, a ja, co mam z tego? Koledzy to już dawno żony mają, w łóżku się z nimi grzeją, a ja? Wstaję w nocy, piekę chleb, potem w sklepie stoję, potem śpię, wstaję i znowu piekę. To kiedy się mam ożenić? I która będzie chciała z takim żyć, co śpi, albo chleb piecze?” Pocieszałem zdawkowo, ale on, wciąż patrzył na mnie litościwie i smutno kiwał głową: „mów se, mów, a ja swój pieski los znam”. Czy nie taki był też los Cześka Piekarza, który „czerniał na obraz razowca i kruszał jak bułka zleżała?” A jakaż mogła być tego przyczyna, jak nie brak kobiety właśnie? Mężczyzna bez kobiety ginie. Usycha bezszelестnie, zabija się powoli alkoholem, albo od jednego razu – na pasku wojskowym wieszka ciało ze wszystkimi zmartwieniami, z samotnymi dniami i nocami, i z duszą strapioną: „gdy go znaleźli na pasku z wojska / dłuto jak wbite w bochen miał w garści i nie wie nikt co Cześka wzięto”...

I pewnie nie wiedzą do dziś ci, co tylko chleb jego wspominają, i ci, co śpiewają o nim przy ogniskach, re-

<sup>1</sup> Wszystkie określenia z czasów PRL-u podaję w kolokwialnym brzmieniu.

fren „chleb się chlebie”, wielokrotnie powtarzany, żywot Czeška zamazując.

Do krawca Gosa i Czeška Piekarza lubił się dosiąść gość, który „nie wiadomo skąd przyszedł”, ciągle był w drodze i za cały majątek miał to, co nosił ze sobą – tytułowy bohater piosenki *Majster Bieda*<sup>2</sup>, sportretowany przenikliwie dwoma, trzema kreskami:

„czapkę z głowy ścierał, gdy / wiatr gałęzie chylił  
drzewom  
śmiał się do słońca, śpiewał do gwiazd / drogę bez  
końca, co przed nim szła  
znał jak pięć palców, jak szeląg zły / Majster Bieda”...

Zachwycał się chwilą, drobnym utłamiem wielkiego piękna Natury, jak autorzy haiku i mistrzowie japońskich drzeworytów z XVIII wieku. A kiedy już przyszedł do jakiejś kompanii, zgromadzonej przy ognisku „znużony drogą wędrowiec boży”, to się dosiadał, otulał płaszczem i „zasypiał, długo gapiąc się w noc”. Wpatrywał się w nocny mrok, jakby tam czegoś szukał, zachwycał się niebem rozgwieżdżonym nisko nad połoninami, nasłuchiwał pieśni lasu, czy rozmawiał z Bogiem gdzieś tam w ciemnościach ludzkie ścieżki prostującym? Rozumiał las jak nikt, i z lubił sobie z nim gwarzyć. A z ludźmi? Chyba też, bo tęsknili za nim, kiedy „pewnej wiosny” nie przyszedł, „a miejsca, gdzie siedał, zieliskiem zarosły”.

Trzech Wędrowców – wiejski krawiec, co zapragnął czegoś więcej niż życia nijakiego, Czesiek Piekarz, którego „nie wiadomo, co wzięło” i Majster Bieda, w mrokach nocy widzący – reprezentatywne postaci z Bellonowej galerii odmieńców, „białych plam poszukiwacze, wszędzie, w sobie, poza sobą”, jak pisał o im podobnych w *Pieśni łagodnych*. Wędrowcy i odmienicy poszukujący czegoś więcej niż tylko układowego życia. Ale dokąd wędrują? Do idyllicznej Arkadii, w mrok labiryntu miasta? I czego tam szukają: przyjaźni, miłości, spokoju?

### Do krainy łagodności

Bellonowa Arkadia<sup>3</sup>, gdzie wolność, miłość i zachwyty światem, to antynomia miasta – „studni bez dna” z *Nocnej piosenki o mieście*, miasta labiryntu. To wyidealizowana Bukowina, Ponidzie i Bieszczady, „krainy łagodności” (inspiracja z wiersza Harasymowicza), w których nie giną słowa poetów. Tam czytają ich wiersze i słuchają ich pieśni, o czym pisze w piosence *Niedokończona jesienna fuga*: „Beskid kołysz się i szumi / i chwiać się będzie drżeniem nieba i horyzontu zmieni drogi / i umrzeć moim słowom nie da” (podkr. AP).

W Bellonowej Arkadii piosenka *Tu przy piwie* – są „pola. jak pszczele plastry, późne żniwa, więc ludźmi rojne”. Ludzie są pożyteczni, bo czymś tak pożytecznym zajęci jak „późnymi żniwami”, a ze żniwa, wia-

domo, jest chleb. Tam też jest najpierwsza Arkadia, „w pozłacanych ramach dzieciństwa”.

W „krainie łagodności” mieszkają ludzie, których łączy szczególne porozumienie, wręcz wtajemniczenie. O nich pisze w *Sprzysiężeniu Górskiego Kamienia*. Mieszkają w mieście, ale pewnego dnia „zakładają brzemię i ruszają w drogę ku szczęściu”, w stronę idyllicznej Bukowiny, by tam odprawiać swoje rytuały, które można ułożyć choćby w taki ciąg zdarzeń: wyprawa–schronisko–gitara–ognisko–pieśń–wspólnota dusz: „sprzysiężeni – przyjazne dłonie /plotą węzeł nad ogniem watry i wpatrzeni w gasnący płomień /nucą pieśni pachnące wiatrem”...

I choć potem, wracają do miasta zostawiając za sobą „krainę łagodności”, zostają wspomnienia i marzenia o powrocie: „mija dzień koło się toczy / marzeniami kładą się cienie /i odradza się każdej nocy / sprzysiężenie górskiego kamienia”.

W centrum Bellonowej Arkadii jest chleb, stół, kobieta, ogień, przyjaciel i „dom bukowy”, ten z *Sielanki o domu*, pełen wędrowców i ich opowieści, bo gospodarz, jest „zbieraczem głosów”. Ale takiego domu Wędrowiec jeszcze nie znalazł. Tylko o nim marzy i wciąż go szuka, tak długo, że w końcu szuka już tylko samego szukania: „szukam szukania mi trzeba, domu gitarą i piórem, a góry nade mną jak niebo, a niebo nade mną jak góry”.

Więc skoro nie ma „domu bukowego”, to domem jest świat, niebo w nim dachem, ścianą – kurtyna bukowego lasu, a podłogą rudziejąca połonina.

Szczególną formą Arkadii, jest ta, do której trzeba odbyć wędrowkę w głąb siebie, wewnętrzna wolność, niezmacony zachwyty światem i życiem, wrażliwość na piękno i dobro. Motyw tej wędrowki do Arkadii wewnętrznej – do siebie, przez siebie – jest mocno zaakcentowany w *Letniej piosence o zajączku*: „biegnę wciąż biegnę (...) w siebie, tęczę roznamię rękami”.

Ale co trzeba zrobić, żeby „wbiec w siebie” do tej wewnętrznej Arkadii, czy wystarczy „tęczę roznamię rękami” i uwolnić się od mroku, który w nas „na dzień samym”? Czy też potrzeba czegoś więcej, o czym wspomina *Pieśń łagodnych*: „ile w nas zdumienia jeszcze”. Sic! Ile w nas zdumienia życiem, światem i ludźmi! Tego zdumienia, które otworzyło oczy krawcowi Gosowi, gdy pojął, że człowiek potrafi wyjść wyżej niż orły latają i tego, które odczuwał Majster Bieda, gdy „gapił się w noc”.

Z mitem arkadyjskim łączą się piosenki o miłości. O lirycznych relacjach kobiety i mężczyzny napisał Bellon co najmniej kilkanaście utworów. Można z nich ułożyć kronikę miłości, od pierwszego zachwycenia, aż do wypalenia, wygaśnięcia „płomienia miłości”, jak by to ujął poeta z Młodej Polski. W piosence *Między nami* są zapisane relacje najcieplejsze, „grające w muszlach, wypisane na korze, korytarze – myśli łączące”.

Kim jest ona? Najczęściej – Jasną (tak Wojtek nazywał swoją niezwykłą żonę, Joannę). Jasna jest najpiękniejsza i ma magiczny wpływ: jej oczy „rozwgiewdżają noc”, jej włosy „rozjaśniają myśli ciemne”, jej oddech „rozświetla powietrze”. Więc on też chce być dla niej magiczny, czuły, opiekuńczy i pożądanym: „weź oczy, daję w nich pragnienie mych ramion, weź przystań ciachą” (*Erotyk prosty*). Chce jej opowiadać – *Kołysanka*

2 Marek Lubaś-Harny, *Szkoda, że Wojtka już nie ma*, rozmowa z Grażyną Kulawik, „Gazeta Krakowska”, 15. 10. 2010.: „Na przełęcz Wyżnej, pod Poloniną Wetlińską, poniżej parkingu, miał budkę skleconą z desek człowiek (Władek N. - AP), który sprzedawał turystom grzyby, jagody, trochę rogów jelenich. Żył sobie, z dnia na dzień. Nie miał dowodu osobistego, prawdziwie wolny. Przy tym prosty, skromny i sympatyczny. I Wojtek napisał o nim pieśń. Zaprezentował Władkowi, a on nie był z niej zadowolony, jakoś mu ten Bieda nie bardzo pasował. Potem się przekonał, kiedy ta piosenka sprawiła, że i on stał się legendą bieszczadzką”.

3 Tamże: „Wojtek był zafascynowany górami, Bieszczadami, wtedy jeszcze bardziej dzikimi niż dziś. Bukowina była w jego rozumieniu raczej poetycką krainą, którą sam wykreował, taką jego Arkadią”. Patrz także: Małgorzata Siwek, *Kto go znał?*, „Gazeta Wyborcza” 29. 05. 2001 [za: <http://stachuriada.pl/bellon/artikul.htm>]



dla Joanny I – o swoim nią zauroczeniu, o tym, że myśli tylko o niej nawet gdy jest daleko. I wówczas jego „myśli szybują przez lufcik, żeby ją ujrzyć w ową chwilę, gdy włosy czesze przed lustrem”. A kiedy do niej wraca, to czuwa też nad jej snem: „śpij, moje myśli nad Tobą czuwają, na parapecie, za oknem”. Rano, kiedy zaświeci słońce *Piosenka wieczorna* ofiaruje jej swoje pieśni: „zagram dla ciebie na każdej gitarze świata, na ulic fletach, na nitkach babiego lata”. I będzie tak pięknie, jak tylko zakochanym się zdarza: „zatańczymy się w sobie do lata, zatańczymy się w sobie bez końca”. Idylla. Taka sama, jaką przeżywają kochankowie z piosenki *Zakochani*.

Życie we dwoje, czyli grań... Codzienny trud pokonywania znużenia, upływającego czasu, monotonii zdarzeń, kiedy miłość szarżeje i zmienia się w przystoiwowy popiół. Opowiada o tym piosenka *Wypaliło się coś w nas*: „wypaliło się coś w nas zgasło, ani z twojej, ani mojej winy, (...) skończyły się kartki<sup>4</sup> na miłość”. Dlaczego? Jest wyjaśnienie, przyczyn wygasania miłości:

„zapatrzyliśmy się w telewizor / rozmawiamy językiem gazety (...) przybyło kłopotów dzieci i gratów / skurczyła nam się dawna przestrzeń (...) znamy już każde swe kłamstwo / mijamy się oboje w tych kilku pokojach nie mając nic do powiedzenia”.

Ale spróbujmy jeszcze raz. Bo przecież ta miłość, gdzieś tam w nas głęboko wciąż jest, przyprószona, zmęczona, czeka, by ją odkryć na nowo, by znowu mogła załsnąć: „wysiłku trzeba niewiele, spróbujmy rozgarnąć ten popiół – nie darmo może tli się, płomyk w popiele”.

### Do milczenia do przyjaźni

W przyjaźni widział poeta głęboki sens, wielekroć o niej pisał i szukał jej tak samo jak Wędrowcy z piosenek. Bycia razem i w takim porozumieniu, którego nie rozdziela potok słów, mających więcej do ukrycia niż do powiedzenia: „i mówimy, mówimy, choć słowa, tylko składają się w zdania” – *Liryczna piosenka dla Wacka*.

O idealnym porozumieniu – kochanków? Przyjaciół? – którym nie trzeba słów, bo mówi już samo milczenie, śpiewał Bellon w *Piosence o poszukiwaniu*. W milczeniu widział prawdę i możliwość najgłębszego, najczulszego porozumienia ludzi:

„szukałem już w wietrze / w miłości szukałem nadziei zostało niewiele / gdzie znaleźć tę wiedzę o prawdziwie gdzie znaleźć / niech będzie to prawda w milczeniu”.

A co zrobić ze słowem, które nie chce milczeć? I zawsze chce coś znaczyć? Bellon jak każdy mądry poeta zadawał sobie pytanie o sens i cel komunikatu literackiego (estetycznego), szukał idealnego nośnika porozumienia międzyludzkiego. Był uczniem Sokratesa, filozofa w dialogu z ludźmi, przez „istotne” (Witkacy) z nimi rozmowy. Spotkania z Bellonem po zdawkowym co słychać? – przeradzały się dość często w dialogi filozofujące, niekiedy okraszane dyskursywnymi monologami Wojtka (kto słuchał, zapamiętał) i dotyczyły za-

gadnień ciekawszych niż męskie rozmowy „przy piwie”, z wachlarzem tematów ograniczonych do 3 x P – piłka nożna, polityka i plotki. Bellon, pomimo dość szybko porzuconych studiów filozoficznych (UJ), filozofem był przed nimi i po nich. Bo o tym, kto jest filozofem, na szczęście nie decyduje dyplom, tylko wrażliwość, inteligentna dociekliwość i odwaga stawiania trudnych pytań: po co i dlaczego jesteśmy?

Bellon uważał, że wiersz bez znaczenia nie może być dobrym tekstem piosenki. Bo piosenka to powieść, tyle że spisana w kilku zwrotkach. Musi być krystalicznie jasna, żeby była zrozumiała, w krótkim – trzy-czterominutowym wykonaniu. Na pewno jednak nie miał na myśli „piosenki turystycznej”, do której go, prawem kaduka, dopisywano. Oczywisty absurd. Bellon był poetą<sup>5</sup> i filozofem, pieśniarzem z potrzebą refleksji ontologicznej i epistemologicznej, głębszej niż dylematy, właściwe piosenkom z przymiotnikiem „turystyczna” czy „rajdowa”.

Przeczytajmy *Post scriptum jesiennej miłości*, nie tylko jako piosenkę o miłości i jesieni („porze czernienia traw”), ale także jako rodzaj filozoficznej zadumy:

„przyszło nam u drogowskazu / z napisem »donikąd«  
stanąć  
a w nas słowa jak ptaki zmoknięte / a w nas myśli  
strachliwe jak zając”...

Stoimy obok siebie, blisko, na wyciągnięcie ręki, ale myśli w nas „strachliwe”, i strachliwe o co: o siebie czy o nas, o jakieś dobro wspólne czy tylko swoje? Bo każdy z nas na tym rozdrożu „donikąd” obcy, wobec siebie i „stron świata” – czy można mocniej wyrazić samotność?

„stoimy na rozdrożu / z którego każde odejść osobną drogą może / i każde z nas obce pośród stron świata”...

Samotność i jeden z dwóch możliwych, obok miłości, na nią leków – przyjaźń. Ale jaka jest przyjaźń Wędrowców w piosenkach Bellona? Nie zawsze przyjazna. Czasem tak trudna jak w piosence *Chyli się dzień do kresu*: „w popielniczce niedopałków dym, ostatni z przyjaciół zamknął drzwi, ich drogi różne od moich dróg”.

Ich drogi różne od moich – stwierdza ze smutkiem Wędrowiec z tej piosenki. Ale nie tylko on, także i sam Bellon tego doznawał: znajomych miał tysiące, wielbicieli dużo więcej, a przyjaciół – ilu? Może kilku, nie licząc Jasnej. Więc ta anegdota z piosenki może być również prawdziwą relacją. Ale nie zawsze tak jest, że po przyjacielu zostaje „niedopałków dym”. W *Lirycznej piosence dla Wacka* jest przyjaciel, który nie tylko nie wychodzi, gdy jest potrzebny, nie tylko pomaga, ale też cierpliwie i ze zrozumieniem słucha nawet myśli niepięknymi: „i myślę dużo myślę – choć myśli, nie zawsze są dobre i piękne”. Przyjaciel, któremu można powiedzieć, nie narażając się na morały i pouczenia, co boli, gdy „brakuje mi w sobie tej siły / której braku nie dostrzegałem nigdy, by odróżnić raczej tych co są / od racji tych którzy byli”...

4 Patrz: strona z tekstami piosenek Bellona: [http://ulotniewiersze.host.sk/\\_spis/\\_baran.htm](http://ulotniewiersze.host.sk/_spis/_baran.htm). Wiersz powstał w latach 80. XX w., kiedy w Polsce Ludowej obowiązywały kartki na różne towary, od podstawowych, jak cukier i mąka, po tak niezbędne jak pieluchy i papier toaletowy. Stąd użyte przez poetę „kartki” - jako symbol miłości trudno dostępnej i reglamentowanej.

5 Piotr Bakaj, *Nigdy nie zdradzę majstra Biedy*. Ostatni wywiad Wojtka Bellona, 30 marca 1985 r. [za: <https://poema.pl/publikacja/16216-nigdy-nie-zdradze-majstra-biedy>]: „Nie lubię etykiet (...) piosenka studencka, piosenka turystyczna. Nie bardzo rozumiem, co znaczą. Z własnego doświadczenia wiem, że śpiewając te same pieśni raz byłem piosenkarzem turystycznym, raz studenckim, raz artystą uprawiającym piosenkę literacką, poezję śpiewaną, wreszcie folk, aż do akustycznego rocka. Nie trzymajmy się więc etykiet”.

### Do labiryntu miasta

Ważnym miejscem dla Bellona w labiryncie miasta był Bar na Stawach, który latami istniał sobie w rzeczywistości niższego rzędu (Kantor), aż go Harasymowicz w poemacie pod tymże tytułem, zmitologizował. Stał się *Bar na Stawach* trafił na mapę miejskich wędrówek Bellona, dla którego Harasymowicz był mistrzem, do którego zaadresował dwie piosenki: *Pejzaże Harasymowiczowskie* i *Bar na Stawach*. *Pejzaże...* to z jednej strony kolejna Bellonowa wizja Arkadii, a z drugiej – hołd dla mistrza, z wyraźnymi odwołaniami do jego poetyki dowodzący, co z niego Wojtek wziął i przetopił w swoim tyglu poetyckim. W piosence *Bar na Stawach* do mitycznego miejsca z Harasymowiczowskiego wiersza zaszli dwaj poszukiwacze poezji: poeta Bellon i najbliższy przyjaciel – Jan Hnatowicz (gitarzysta i kompozytor). Chcieli sprawdzić „co tu zostało z wierszy Mistrza?” Okazało się, że niewiele – palić nie wolno (trzeba wyjść na zewnątrz), piwo owszem, jest, ale zamiast mitycznych, zwierzynieckich Andrusów „klasa robotnicza” oraz wszechmocna bufetowa, która nie pozwala na rozmowy, i od razu „grozi gliną”, gdy tylko „ktoś coś powie głośniej”. W Harasymowiczowskim *Barze na Stawach* rzecz nie do pomyślenia. A na dodatek, kiedy w końcu pojawiają dwa typy „jak z wierszy Mistrza”, to świat współczesny Bellonowi i Hnatowiczowi ich odrzuca, wyrzuca z ich knajpy – sio! Narzędziem tego świata są „chłopaki z pobliskiej zawodówki”, którym się te „zgredy” nie podobały, więc je wyrzucili. „Chłopaki z zawodówki” mają gdzieś Harasymowiczowskie mity, Gombrem podszycie poszukiwania parobka (*Ferdydurke*), bratanie się poetów z lumpenproletariatem, jak drzewiej z chłopami z Bronowic i, mają gdzieś, samego Bellona i Hnatowicza z ich potrzebą poszukiwania poezji:

„chłodem powiało od drzwi niedomkniętych  
wyszliśmy z Hnatowiczem Janem /gdzie indziej szukać  
poezji”.

Bolesne zderzenie oczekiwań „poszukiwaczy poezji” z prząsną rzeczywistością, reprezentowaną przez „chłopaków z zawodówki”, to jedna z kilku antynomii w Bellona piosenkach o mieście. Mieście nieprzyjaznym dla Wędrowców, mieście – labiryncie „studni bez dna”, przeciwstawianym „krajnie łagodności”, gdzie szczęśliwość i wolność i, gdzie stoi wymarzony, ale nigdy w końcu nie zamieszkaany „bukowy dom”.

Symbolem arkadyjskiej szczęśliwości w miastach są istniejące jeszcze w epoce Bellona sady i ogrody. Ale już za jego życia zaczęto je wycinać, o czym pisze w piosence *Sad*: „W moim mieście wyrabiali sady, z dawien zwane od ich właścicieli mian”. Pozbawiony sadów, ogrodów miejski labirynt staje się coraz bardziej anonimowy. Sady nazywane od ich właścicieli, to były znaki kulturowe, punkty orientacyjne dla pokoleń, sady – ślady świata, w którym człowiek nazywał, rozumiał i dobrze znał przestrzeń wokół siebie.

Lecz kiedy już sady i inne znaki kulturowe usunięto pod naporem gigantomanii, anonimowe miasto, pozbawione punktów charakterystycznych czytelnych od pokoleń, zaczęło przerażać jego mieszkańców – stracili orientację i zaufanie do siebie. Zaczęli się odgradzać murami, ochroniarzami i wszechobecnym monitoringiem, w którym śledzeni śledzą śledzonych. Bellon jakby to przeczuwał, pisząc o wystraszonych przechodniach „chowających się po bramach”.

Jak się ma przed tym bronić miejski Wędrowiec? Doradza poeta: stwórzmy w sobie „sad własny, po horyzont” i chrońmy go, nie dajmy go w sobie wyciąć. W „*Piosence o przyjaciółach, wietrze, czasie, słońcu, itd.*” zachęca wręcz do buntu: „póki nie jest za późno / (...) wyjdźcie z domów do słońca, wpuście światło do mroku, poszukajcie prawd zapomnianych, a znajdziecie prawdziwych proroków”.

W *Bukowinie II*, przeciwstawia ludziom miejskim, którzy „chcą być szarzy”, ludzi, którzy zachowali wspomnienie arkadii, którzy zachwycają się urodą życia, są szczęśliwi i wolni:

„Dość wytoczyli bań próżnych przed domy kalecy / żyją  
jak żyli – bezwolni i głusi i ślepi / nie współczuj – szkoda  
łez i żalu / bezbarwni są bo chcą być szarzy  
ty wyżej, wyżej bądź i dalej / niż ci co się wyzygli marzeń  
niechaj załśni Bukowina w barwie malin /niechaj  
zabrzmi Bukowina w wiatru szumie”...

Nie każdy jednak Wędrowiec zdoła ocalić wewnętrzną Arkadię, kiedy go wciągnie labirynt miasta. Niektórzy z nich sami dla siebie staną się labiryntem dylematów, stojących przed wrażliwym odmieńcem w zderzeniu z twardą rzeczywistością. W piosence *Chyba że wspomnisz o mnie* miejski labirynt zaczyna się w taniej knajpie: „w klatce baru straciłem dzień, nowy w twarzy zamieszkał cień, w życie włączył się wsteczny bieg”. Knajpa to bezruch. To wędrówka nie w jasną stronę Arkadii, lecz w przeciwną, mroczną i na wstecznym biegu. Ratunek w tym, że ktoś o Wędrowcu pamięta, ktoś kto pomoże mu odzyskać smak życia, stępną w labiryncie knajpy arkadyjską wrażliwość, by znowu słyszał, „jak śpiewa las”. Ale las nie śpiewa w mieście, tu go nie ma. Tu nie ma nawet „zieloności”, której próżno szukać – *Bukowina II* – w labiryncie miasta „zastygłym w szkliwiu gwiazd neonowych”. Kolejny dzień i kolejna noc – piosenka *Tu przy piwie* – i kolejny korytarz miejskiego labiryntu – znowu knajpa. A w niej jakieś bez sensu „przy piwie snują się rozmowy”, mrzonki, ulotne i bez znaczenia. Zamiast życia nie-realne snucia, zamiast „bukowego domu” i idylli „dym zawieszony nad stołem”... Nie inaczej jest za drzwiami knajpy, tam na Wędrowca czeka posępny labirynt nocnego miasta, w którym tylko „brzmi echo kroków samotnych”, a mijani po drodze ludzie, to ani kumple, ani przyjaciele, ani współnicy wędrówki, to anonimowi przechodnie, „których cienie się kryją w bramach”. W końcu kiedy Wędrowiec dotrze do własnego mieszkania – też tam nie znajdzie nikogo. Przeszywający smutkiem obraz Wędrowca, który wrócił z labiryntu miasta, ale sam już jest labiryntem, labiryntem swojego lęku, bezradnej samotności, z której nie potrafi się wyplątać, która go przepęlnia. Nie ma jak przed nią się ukryć – „wraz z głową kocem się okryć”, przed nocnym strachem i koszmarem jutra.

Tam, poza labiryntem miasta i labiryntem wewnętrznych sprzeczności wciąż jest jakaś Arkadia, wolność i szczęśliwość (krajna dzieciństwa), a tu, w mieście, w samotnym mieszkaniu tylko „lęk przeszywa stukiem do okna”. Nie przypadkiem na drodze Bellona stanął kiedyś Adam Ziemiannin (może było odwrotnie?), poeta niższych regionów herezji, kronikarz ludzi niezwykłych w ich pozornej, zwykłości. Przyjaźnili się, jeździli razem na koncerty, tworzyli wspólne programy muzyczno-poetyckie z Wolną Grupą Bukowiną i bez. Obaj, przybyli

do miasta z własnym mitem arkadyjskim w kieszeniach poetyckiej kapoty i obaj nie mieścili się w labiryncie miasta. Adam z niego wyszedł, Wojtek tam pozostał.

Piosenka *Tu przy piwie* ma też typową narrację dla filozoficznego toku myślenia Bellona. Punktem wyjścia jest sytuacja mizerna, niepozorna, jakaś z pozoru błaha męska „rozmowa przy piwie”, która jednak, okazuje się nie taką zwykłą, bo się z niej właśnie wysnuwa wątek rozważań o naturze miasta, sieć przenikliwych obserwacji o życiu ludzi miejskich, tych wrażliwych, spēkanych od środka samotnością i strachem, z twarzami przez Muncha namalowanymi. I cóż się okazuje, że Wędrowcem z Bellonowych piosenek, może być Każdy (everyman), kto szuka swojej drogi w labiryncie miasta, a broni się przed labiryntem sprzeczności egzystencjalnych – w sobie, broni się także przed labiryntem knajpy. To też taki Wędrowiec, który już nie wie, czy majaczy, czy śni życie, czy niebo, które nad nim się pochyla w *Nocnej piosence o mieście* – widziane ze „studni miasta”, jest także tym niebem, które poświadcza istnienie lepszego, arkadyjskiego świata. To jest Wędrowiec nocny, samotny w labiryncie, w którym nie ma z kim pogadać, zapytać o coś – choćby o drogę. Pozostaje rozmowa z własnymi krokami.

„Nie śpię bo spotkać chcę w mieście / tę ciszę co gęsta  
jak noc rozmawiać z krokami swoimi krokami”...

Rozmawiać swoimi krokami z innymi krokami to jakby rozmawiać z kimś, kto idzie obok. Ale obok miejskiego nomady nikogo nie ma. Słyszał tylko jego kroki, widać jego cień przesuwający się po murach starych kamienic i wtedy ratunkiem znowu jest knajpa – „najlepszych z nas, ostatnia mekka”, jak śpiewał Kaczmarski, w *Epitafium dla Wysockiego*. Knajpa zawsze jest po drodze. W niej można przeczekać pustkę nocnego miasta i dotrzeć do dnia. Tylko czy dzień uwolni od samotności w „studni bez dna”? Wędrowiec ma nadzieję. Czeka, aż „neon przytłumi, rozmyta latarnia dnia – odnajdą się cienie i ludźmi ulice zatłumią”. No ale kiedy ulice „zatłumią” się ludźmi, to czy to będą ci ludzie, których nocny Wędrowiec szukał, czy ludzie, o których pisał Bellon w piosence *Chodzą ulicami ludzie*:

„Chodzą ulicami ludzie / (...) zagubieni wśród ulic bram  
przemarznięte grzeją dłonie / dokąd pędzą, za czymś  
gonią

i budują wciąż domki z kart”...

Ci dzienni ludzie nie mają czasu dla nikogo oprócz samych siebie – za czymś pędzą, za czymś gonią, za czymś tak kruchym jak „domek z kart”, Wędrowiec jest nadal sam. Nikt nie zwraca na niego uwagi. Miasto nocne i miasto dzienne – jednako bezludne. Trzeba się stąd wyrwać, uciec do krainy łagodności, gdzie „w mech odziany kamień, zaduma w wiatru granii, powietrze ma inny smak” (piosenka *Tu przy piwie*). Idź tam, namawia poeta swojego Wędrowca w *Nocnej piosence o mieście*, zostaw „domki z kart”, szukaj siebie i „bukowego domu”, uwolnij się z labiryntu miasta i z labiryntu w sobie: „porzuć kroków rytm na bruku, spróbuj – znajdziesz, jeśli szukać zechcesz, nowy świat, własny świat”.

Nie każdemu Wędrowcowi to się uda. Wielu zostanie w mieście i w swoim labiryncie straconych szans, jak Wędrowiec z piosenki *Zabierz mnie na stację*:  
„Zabierz mnie na stację / daj mi bilet w garść

czas na medytację nadszedł / bo nie mam już żadnych  
szans (...)

miałem stu przyjaciół / i otwarte wszędzie drzwi  
dzisiaj nie wiem czy majacze / czy życie moje mi się śni”...

#### Do kresu...

Miejski Wędrowiec z *Bluesa o powrocie* zbiera resztki sił i ucieka z labiryntu miasta. Na chwilę odzyskuje radość wędrówki i zachwyty nad światem: „mrok zostawiłem, jak łach znoszony, i znowu idę”. Staje się kimś innym: „kłania się drodze, niebu i znowu śpiewa, po dniach milczenia”. Spotyka przyjaznych ludzi, „czuje w sobie ludzką obecność”. Widzi coraz jaśniej, że prawdziwą Arkadię Wędrowców nie są ogrody Bukowin, idylliczne Ponidzia, ale drugi człowiek i wolność od wewnętrznego labiryntu, poplątanego życia, pomiędzy mieć i być?

Ale już nie ma spokoju i ciszy, nie ma nic z arkadyjskiej wiary w szczęśliwość. Jest zbyt wyczerpany wędrówkami w labiryncie miasta – piosenka *Zakończenie* – zbyt wypełniony suchym dudnieniem „studni miasta”, by usłyszeć las, pieśni, przebić wzrokiem nocny mrok. Pozwolił, by wyrąbano w nim sad, wygaszono zachwyty światem i ludźmi. Nie słyszy już siebie i innych, równie samotnych, nie potrafi już bez słów rozmawiać z przyjacielem, stracił też spokój greckich stoików, filozofów mądrzejszych od śmierci. Zostały mu tylko wątpliwości i gryzące przekonanie, że nie ocalił swojej wolności, nie trafił „ku sobie”:

„Ile pytań we mnie a ile / Pustych miejsc przy słowie  
odpowiedź  
W ilu drogach zanurzyłem się w pyle / By i tak nie móc  
trafić ku sobie”...

To co, było życiem Wędrowca, jego drogą, znika „jak wiele świetlnych lat”, a to, co przeznaczeniem, kresem podróży, przybliża jak „tyle ciemnych dni” i roślinie, roślinie żrącej niedosyt i poczucie niespełnienia:

„Gdzie zwykła pieśń człowieka / który spokoju  
pozbawiony?  
Gdzie ty i ja, ty i ja? / Gdzie dom nasz, domu  
spragnionych?”

Idzie dalej. Słabnie. W *Pieśni ślepeca* – jednej z ostatnich piosenek Bellona – Wędrowiec traci wzrok, nie widzi nawet drogi. Określa ją kolistym ruchem białej laski i „dłonią niepewną w ciemności”. Ale nie wie już, „dokąd krok zmierza...”

Krzyczy: „dokąd wiatr okrzyk niesie”. Lecz nikt nie odpowiada. Więc krzyczy w niebo, samotny, jak ewangeliczny Chrystus, „Eli, Eli, lama sabachthani”. Ale niebo też milczy. Jak milczała miasto labirynt. Rusza dalej. Maca laską przed sobą, „jak nieba, bliski ziemi”. Nie widzi drogi, więc pyta: „kto mnie zawiedzie, zaprowadzi?” Gdzie? „Tam, gdzie sen, jak słowo, Ciałem się stanie”. Gdzie sen, jak słowo Ciałem - więc to ten sen... Arkadia wszystkich Wędrowców, także tych, oślepionych w labiryncie miasta.

#### ANDRZEJ PACUŁA

*Długie Ogrody, 27 października 2015 r.*

\* **Wojciech Bellon** (ur. 14.03. 1952, Kwidzyn; zm. 3. 05. 1985, Kraków) – poeta i pieśniarz, autor wierszy, tekstów piosenek i muzyki, założyciel i lider Wolnej Grupy Bukowina.



KRZYSZTOF MIKLASZEWSKI

# NIEZALEŻNE, CZYLI JAKIE?

(o polskim kinie dokumentalnym)

1.

„Niezależność” – jako cecha podstawowa wolności – to wartość przynależna każdej ludzkiej istocie. Trudna jednak – na co dzień – do egzekucji. Dlatego taką nadzieję przykładać zwykliśmy do demokratyzacji naszego życia w społeczeństwie, zwłaszcza że doświadczenia najbliższych nam pokoleń przypominają, iż zapewnić ją są skłonne tylko instytucje państwa czysto demokratycznego. Inaczej: „niezależność” pozostanie jedną z idei czysto iluzorycznych, którą uwielbiają <mamić> swoich wyborców politycy wszelkich maści, szybko jednak zominających własne deklaracje, skoro tylko uda się im dojść do władzy.

„Niezależność” w sztuce ma znaczenie podstawowe. Praktyka życiowa uczy bowiem, że „niezależnością” – bez względu na ustrój – na pewno charakteryzują się twórcy bezkompromisowi, tak oddani swojemu posłannictwu, że są absolutnie głusi na koniunkturalne współuczestnictwo w grze kompromisów, którą próbuje im narzucić albo udająca kulturalnego liberała władza autokratyczna, albo sponsorujące ich i <wymagające> społeczeństwo konsumpcyjne. Wiemy też, że z takimi twórcami zarówno tzw. „władza”, jak i tzw. „lud” mają największe kłopoty.

2.

Z „niezależnością” jako skutkiem demokratycznych instrumentów egzekwowania wolności mieliśmy do czynienia w historii Polski XX-wiecznej niesłychanie rzadko, każde zjawisko, które – choć na chwilę – taką szansę zrealizowało, godne jest... uwiecznienia. Dlatego pozwalam sobie przypomnieć absolutnie unikatowy przykład, który w nie tylko niespodziewanie <ekspłodował> na początku lat 90. ubiegłego stulecia, a więc na samym początku naszej ustrojowej transformacji, a który – mimo oznak dręczącej go (jak większość demokratycznych odkryć III Rzeczypospolitej) zapaści trwa do dnia dzisiejszego. Zjawisko to określić można terminem „polska filmowa (i telewizyjna) forma dokumentalna”, używam tu – w opozycji do utrwalonej przez filmologów nazwy „polski film dokumentalny” – jako jej terminologiczne rozszerzenie, wynikające – zresztą – całkowicie z praktyki życiowo-artystycznej.

Tę praktykę wyznaczyła – o dziwo! – polska telewizja publiczna, dopuszczająca w pierwszych latach „wolności” elementy prywatyzacyjne w praktyce produkcyjnej. Te elementy nazywano początkowo skromnie: producentami <zewnętrznymi>, a była to naprawdę REWOLUCJA, bo dopuszczająca do <produkcyjnego stołu> telewizji

państwowej – osoby całkowicie prywatne, które powoli tworzyły prawdziwy medialny rynek. Najbardziej na tym skorzystał filmowy dokument, który nie tylko podtrzymał międzynarodową sławę kina realistyczno-aluzyjnego, ale spowodował prawdziwą ekspansję polskich form dokumentalnych na ekrany i do internetowych „prowajderów” całego świata (by się o tym naocznie przekonać – wystarczy śledzić comiesięczne doniesienia agencyjne o liczbie nagród dla polskich produkcji dokumentalnych na międzynarodowych festiwalach i konkursach). Telewizja bowiem była zawsze i jest matką dokumentu, ale też jest jego macochą. Matką – bo czasem produkuje go, ale zawsze – wspiera, macochą zaś dlatego, że szczególnie swego <dziecka> nie ceni, co widać dziś dosyć przenikliwie, jako że na całym już świecie daje mu niewielkie możliwości kontaktu z odbiorcą (przykładem nie tylko <abstrakcyjne> pory emisji rodzimych propozycji dokumentalnych w Telewizji Polskiej, ale zupełnie analogiczne praktyki w angielskiej BBC, która jeszcze w poprzedniej dekadzie była – podobnie jak brytyjska służba zdrowia, całkowicie dziś skompromitowana – <niedoścignym wzorem> dla nas – <prostaczków znad Wisty>!).

Zanim nasza polska niezależna produkcja zniknie, co zapowiada centralizacja państwa obecnie w Polsce rządzącej ekipy, warto prześledzić jej narodziny i rozwój w ostatnim ćwierćwieczu.

Wszystko zaczęło się w TVP, kiedy nazywano ją jeszcze w <komunistycznym slangu> Radiokomite-tem, a winni byli jego <zasłużeni pracownicy>. Jednym z pierwszych był <wieczny rewolucjonista> i marzyciel, twórca nowego typu polskiego reportażu telewizyjnego (społecznie interwencyjnego) Maciej Szumowski (1939–2004), kolejny znaczący – po Kuroniu, Michniku i Modzelewskim reformator i buntownik partyjny, zakładający swoją prywatną firmę produkcyjną (Shot-Szumowski) jeszcze za czasów komuny, służącą niedługo potem walczącej „Solidarności” związanej z nonkonformistycznym odłamem nowohuckiego duchowieństwa (przede wszystkim – Niezależna Telewizja Mistrzejowice, której Szumowski był przez dwa lata redaktorem naczelnym).

W sukurs tym „niewdzięcznikom wykarmionym przez naszą Matkę Partię” (takie głosy usłyszeć można było jeszcze w czasie „partyjnych spędów” czyli <dzielnicowych konwektykli> PZPR-owskiego aktywu) przyszli wytrawni producenci państwowych wytwórni. Z warszawskiej WFD odeszła grupa „myślących” kierowników produkcji i powołała do życia Studio Filmowe Kalejdoskop. W Łodzi <puste miejsce> po prywatyzowanej nieudolnie i pospiesznie „oświatowce” (WFO) postarało się wypel-

nić pełne inwencji Studio Filmowe Everest, prowadzone do dzisiaj dynamicznie przez Mirosława Dembińskiego. Kiedy zaś do ruchu dołączyli wreszcie dotychczas <beziemienni> twórcy polskiego podziemia dokumentalnego spod znaku „Solidarności” (np. późniejszy prezes TVP – za Wałęsy – Marian Terlecki i jego grupa, wtedy wspierające ich Video-Studio Gdańsk okazało się produkcyjnym potentatem. Dokumentalna rewolucja lat 90. oznaczała po prostu niczym nie ograniczoną wolność produkcyjną: każdy pasjonat dokumentu i twórca pragnący realizować własną, niekorygowaną przez nikogo wizję mógł się stać – po raz pierwszy w powojennej Polsce – własnym „sterem, żeglarzem, okrętem”, co – w praktyce – oznaczało konieczność posiadania autorskiej firmy producenckiej. I tak – dzięki tej możliwości zdołali „utrwalić” swe nazwisko i „zbudować” swój własny filmowy język wszyscy prawie znaczący dziś dokumentaliści, unikający tylko „jak diabeł – wody święconej” dotychczasowej ostoji polskiego dokumentu, czyli krakowskiego festiwalu, którego kabotyński błąd wyrzucenia na bruk w roku 1995 całej polskiej produkcji dokumentalnej jako <niegodnego> partnera międzynarodowej konfrontacji w kinie „Kijów” – zaowocował pogłębiającym się z roku na rok brakiem zaufania do jego praktyk selekcyjnych wstępującej w dorosłe życie debiutanckiej młodzieży. Ta zaczęła „oblegać” natomiast gremialnie inne nowe, rodzące się jak grzyby po deszczu, polskie przeglądy i festiwale, otwarte nie tylko na nowe nazwiska, ale przede wszystkim – na nowy język dokumentalnej opowieści. Tak pokazywali się najpierw Polsce, a potem – światu nie tylko tak znani reżyserzy jak Magdalena Łazarkiewicz (*California in blue* [1994] – impresja dokumentalna zainspirowana muzyką Jana A. P. Kaczmarska, z Zachodniego Wybrzeża USA, wyprodukowana przez warszawski Casting Service Film), Michał Bogusławski (*Wyrok* [1995] – zainspirowana wystawą dokumentacyjną sowieckich zbrodni lat 1937-38 filmowa próba rekonstrukcji losów ofiar KGB, zrealizowana przez A B Film Production z Krakowa), Maria Zmarz-Koczanowicz (*Prawdziwe życie* [1995] – przewrotny dokument ukazujący wpływ telewizyjnych seriali na życie zwyczajnych ludzi, nakręcony za pomocą warszawskiej Fundacji Sztuki Filmowej), Krzysztof Lang (*Adampol-Polonezkoy* [1996] – opowieść o niezwyklej osadzie w Turcji – mikroskopijnej wysepce polskości pośród „morza islamu”, produkcja warszawskiego Boby-Film Production) czy Bohdan Kosiński (*Dorsz czyli gdańskie miesiące* [1997], film dokumentalny o dziejach Gdańska, wyprodukowany przez Studio Filmowe „Kronika”). Ale – co ważniejsze – dzięki takiej możliwości zaistniało nowe pokolenie polskich dokumentalistów. Przypomnieć warto rozwój przynajmniej trzech karier. Tacy bowiem wtedy jeszcze młodzi zdolni jak Grzegorz Linkowski z Lublina, Mariusz Malec z Kielc czy tak doświadczony jak Stanisław Ryszard Kubiak z Wrocławia reprezentują nie tylko różne pokolenia, ale są przedstawicielami Polski <provincialnej>, w której formy dokumentalne zagościły po roku 1989 na dobre i na stałe.

Linkowski (rocznik 1957) np. – dzięki swojej lubelskiej firmie – Studio Voxmedia – dał się poznać jako twórca znanego dziś w całym świecie filmu o katolickim księdzu, który po 12 latach kapaństwa, dowiedziawszy się, że jest dzieckiem żydowskim, z getta uratowanym przez polską rodzinę – odtwarza całą swoją życiową

drogę (*Wpisany w gwiazdę Dawida – krzyż* z roku 1997), po latach pracy owocujących udanymi produkcjami, zadziwił tym razem zrealizowaną przez nową swą firmą producencką (LinkArtFilm) filmową <anatomią sukcesu> przywołującą i ujawniającą po latach kulisy niesłuchanie sprawnego i skutecznego działania podziemnej radiostacji „Solidarności” w Świdniku (*Hakerzy „Solidarności”* – 2015).

Malec natomiast (rocznik 1968), zarabiający na życie jako reżyser serialowych odcinków, swoje ambicje twórczo-życiowe zawarł w dokumentalnych koprodukcjach własnej kieleckiej firmy („Contra Studio”), a szczególnie we wstrząsających obrazach zza wschodniej granicy, jakim były na pewno dwa jego dokumenty: portret zbiorowy rosyjskich matek żołnierzy poległych w Czeczenii (*Matka nieznanego żołnierza* – 2000) oraz odnotowana od razu po zdarzeniu <anatomia zbrodni> czeczeńskich terrorystów dręczących przez wiele godzin i w rezultacie tej akcji – zabijających część widowni teatru muzycznego Na Dubrawce w Moskwie (*Teatr śmierci – Nord Ost* – 2003).

Kubiak – wreszcie – od wymienionej dwójki trochę starszy, pracowity wrocławianin – wykorzystał <życiową szansę> jako autor tryptyku dokumentalnego o Jerzym Nowosielskim (*Liturgia, Portret z lustrem i Retrospektywa* [2003–2004], prod. Q.B.A. Produkcja Filmów Wrocław), którym przebił się nie tylko na forum ogólnopolskie, ale słusznie zachwycił krytykę filmową. Nawet tak wymagająca Maria Malatyńska nie kryła zachwyty (zwłaszcza drugą częścią tego unikatowego <serialu>) podkreślając, że „film Kubiaka (...) objawił się jako dzieło prawdziwie nowe i pogłębione. Nowosielski nie występuje w filmie bezpośrednio, jest obecny jedynie na ekranie sfilmowanego telewizora. Ze względu na zły stan zdrowia profesora, Kubiak wykorzystuje archiwalne zapisy rozmów z Nowosielskim. Film w filmie. Ekran telewizora stanowi w kadrze jakby ramę dodatkowego obrazu otoczonego dziełami pędzla Nowosielskiego. Ale jest także swoistym głosem z przeszłości, jest świadomością i niezmiennością myśli Artysty. Dzięki tej metaforze rozumiemy, na czym polega zmienność sztuki i przemijalność życia.” („Film&TV Kamera” 2004, nr 1).

### 3.

Jak podkreślałem – geneza prywatnych produkcji to w gruncie rzeczy obrona własnej twórczej twarzy, to walka z urzędniczą ingerencją w scenariusz i realizację (<mecenatowe >wymagania bowiem zastąpiły cenzurę), to próba przeforsowania własnej wizji i własnego języka, a przede wszystkim – ucieczka od schematu „urawniówki”, przypisanego do każdej publicznej instytucji, zwłaszcza tej „wydzielającej” pieniądze na produkcję. Dlatego tak ochoczo skorzystali ambitni reżyserzy dokumentalni. Przynajmniej trzy przykłady są budujące.

Krakowskie egzemplum to twórczość zmarłego w roku ubiegłym Jerzego Ridana (1943-2016), duszą i ciałem oddanego Nowej Hucie i dokumentacji jej historii, twórcy unikatowego dzieła, jakim jest kontynuowana przez jego zespół z synem Krzysztofem na czele – Nowohucka Kronika Filmowa, emitowana stale przez OTV Kraków. Otóż Ridan – po doświadczeniach pracy w wytwórniach warszawskich i łódzkich – już jako absolwent łódzkiej PWSFTviT powrócił do Krakowa i w Ośrodku Kultury im. Norwida na osiedlu Teatralnym w Nowej

Hucie stworzył swoje własne „filmowe gniazdo”, dające mu szansę kształcenia młodzieży w zakresie realizacji filmów, a jednocześnie zaspokajające jego ambicje jako twórcy dokumentalnych form. Tym sposobem – obok DKF i AKF – powstała działająca w II połowie lat 90. Agencja Filmowa CrackFilm, przekształcona na początku nowego stulecia w ERFilm Studio. Z niezależnych produkcji CrackFilmu pozostają w pamięci dwie – jakże różne – autorskie propozycje Ridana: *Cinema Theatre* (1997) i *Lot kuli* (1999). Pierwszy bowiem to wyrafinowany <dokument kreacyjny>, który w siedmiu purenon-sensowych seansach pragnie dotknąć <sfery cienia> jako natury kinematografu; drugi zaś – to oparty na tragicznych wydarzeniach w Kopalni „Wujek” rodzaj <dokumentalnego protestu> przeciwko zabijaniu jako „formie rozwiązywania konfliktu między ludźmi”. W ERFilm Studio – Ridan swego bogatego warsztatu używał zarówno do utrwalenia życiowych przyjaźni (*Natan Gross* [2001] – to wzruszająca opowieść krakowskiego poety, pisarza i reżysera, który mieszkając od roku 1950 w Izraelu pozostał prawdziwym... krakusem), ale też – i to przede wszystkim – do obrony wartości, które na naszych oczach zanikają w procesach industrializacji i ustrojowej transformacji (*Orkiestra dęta* [2009], np. to <chwytający za serce> opis „kulturalnej katastrofy”, jaką dla robotniczej społeczności jest bezduszna decyzja hutniczego magnata, likwidująca pracowniczą orkiestrę nowohuckiego kombinatu stalowego). Ridan, podobnie jak jego bohaterowie z tym barbarzyństwem transformacji nie pogodził się nigdy, dlatego do tematu powracał jeszcze kilkakrotnie. „Nie byłby sobą” gdyby choć na chwilę zaniechał działania wobec każdej podjętej interwencji, zwłaszcza gdy dotyczyła ona Nowej Huty i jej historii. Dlatego jego ostatni film *Strajk na zgniataczu* [2013], zrealizowany tym razem przez inną krakowską firmę – APIO (założoną w roku 1996 przez Piotra Augustynka [ur.1954] – długoletniego operatora kamery z TVP Kraków) – to dokumentalna rekonstrukcja wydarzeń, jakie wywołał strajk pracowników nowohuckiego zgniatacza w roku 1988.

Augustynek – długoletni i wierny współpracownik Szumowskich, zwłaszcza w produkcjach Mistrzejowic, operator filmów zarówno Macieja, jak i jego syna Wojciecha [ur.1961], niemniej uzdolnionego dokumentalisty niż słynna na całym świecie dzięki swoim fabułom siostra Wojciecha – Małgorzata, to kolejny znakomity producent <niezależnego kina> w Krakowie, współtwórca tak znakomitych pozycji jak *Patent na przeżycie* [2000] – unikatowej rejestracji wspomnień tych uczestników pierwszego oświęcimskiego „strajku”, którym udało się przeżyć Auschwitz, a którzy tę nigdy niemożliwą do zaleczenia <obozową ranę> łagodzą ekspresją własnej malarskiej erupcji, czy *Czas próby* [2010], filmowej opowieści o nieznanym powszechnie kłopotach prawników „Solidarności” w czasie stanu wojennego

Pośród przykładowo wybranej trójcy reżyserów dokumentu, którzy – świadomi swego wyboru – postawili na trud produkcji własnej – obok Ridana – chciałbym przypomnieć dwóch twórców warszawskich: Grzegorza Skurskiego i Andrzeja Titkova, reżyserów dwóch pokoleń polskich dokumentalistów.

Skurski (1939–2009) – typowy „brat-łata <skumplowany> zarówno z całą filmową awangardą, z której najbardziej cenili Wojciecha Hasa i Krzysztofa Kieślowskiego,

był prawdziwym „spowiednikiem” i powiernikiem nie tylko <warsztatowych tajemnic> kilku pokoleń aktorek, gwiazd polskiego kina i sceny. Skurski, fanatyk filozofii życiowej *carpe diem* sam siebie traktował jako profesjonalistę tylko w zawodzie... taksówkarza, zawodzie, który – jak twierdził – „daje naprawdę możliwość prawdziwego kontaktu z ludźmi”. Skurski, wspaniały wielowarsztatowym filmowym „zawodowcem” – zarówno reżyser fabuły i dokumentu, jak i aktor (niezliczona liczba epizodów we wszystkich znaczących <dziełach> polskiego kina), scenarzystą, a w ostatnim okresie życia także producent. Skurski we wszystkich swych <wcieleniach> pojęcie „wolności” utożsamiał z procesem twórczym. Nic więc dziwnego, że „swoje wytwórnie” powoływane na użytek kolejnej produkcji kolejnego filmu, kreował ze szczególną pasją.

Tak było z jego Takt Filmem, kiedy zrealizował *Stan świadomości* [1997], kumulując w nim obraz samoświadomości polskiej młodzieży z różnych środowisk tłumaczący jej życiowe cele i postawy.

Tak było też z N-Artem, kiedy powstała 11-minutowa wstrząsająca *Krótką historia o zabijaniu w jednym ujęciu* [2001]. Wstrząsająca – i dzięki sile osobistego życiowego doświadczenia reżysera i dzięki formie filmowej notacji (jedno ujęcie). Była to bowiem opowieść przez lata katowanej kobiety, która z premedytacją i z wewnętrznym przekonaniem o „konieczności” popełnienia „zbrodni”, a także z pełną świadomością poniesienia „kary” zabiła swego wieloletniego oprawcę.

Przygoda produkcyjna Skurskiego powtórzyła się po raz trzeci z M. P. Production (choć – tym razem – Skurski był <tylko> współproducentem), kiedy reżyser stworzył dwa swoje ostatnie dzieła. Określenie „dzieła” nie jest tu wcale krytycznym <ozdobnikiem>, jako że zarówno *Chleb* [2003] jak i *Rytm życia* [2009] – to prawdziwe perły polskiego dokumentu. *Chleb* to odwołująca się do zjawiska „słuchowego widzenia” inscenizowana impresja dokumentalna, wykorzystująca zjawisko syntezy wrażeń do nowego typu przeżywania Holocaustu, natomiast *Rytm życia* to rodzaj filmowego epitafium odchodzącego reżysera, którego wizję przemijania tworzy dramaturgia filmowego dźwięku.

Twórczość dokumentalna Andrzeja Titkova (ur.1946) jest równie w tej mierze pouczająca: sprawdzony profesjonalnie we wszystkich możliwych gatunkach filmowej ekspresji twórca – pod koniec ubiegłego wieku <zakwestowany> znany mu z osobistego doświadczenia <układ produkcyjny> i w prowadzonym przez siebie Studiu Filmowym TAK zrealizował najciekawsze i najbardziej dla niego samego ważne filmy. Przynajmniej o dwóch nie wolno zapomnieć. Pierwszy wynika z wieloletniej fascynacji twórczością Tadeusza Konwickiego. Tu znacząca uwaga: sam Titkow, twórca fascynującego dokumentu o Gustawie Herlingu-Grudzińskim (*Dziennik pisany pod wulkanem*, 1995) znakomicie czuje jako filmowiec literaturę i potrafi dla jej fraz znajdować adekwatny ekwiwalent obrazowy. Na pewno pomaga mu w tym jego dojrzały poetycki warsztat zaprezentowany w kilku autorskich tomikach. Jeden z filmów o Konwickich, ten rzeczywiście „znaczący”, nosi tytuł *Całkiem spora Apokalipsa*, 2002) i stanowi najbardziej trafny w swej wielowątkowości i <gęstości> przywołanego materiału, a jednocześnie niesłychanie intymny we wnikliwości dokumentalnej obserwacji <konterfekt> twórczy jednego z najlepszych polskich prozaików XX wieku.



Filar drugi dokumentalnej twórczości Titkova <zbudował> jego *Album rodzinny* [2013]. Ten filmowy przekaz jest rzeczywiście najbardziej z jego dokumentów osobisty, podąża bowiem śladami lubelskich przodków ze strony matki: pradziadka Marka Arnsztajna, słynnego lekarza-społecznika, na którego pogrzeb w Lublinie przyszło 10 tysięcy osób oraz prababki Franciszki, działaczki niepodległościowej spod znaku Legionów (niewiarygodnej wprost <fanki> marszałka Piłsudskiego!), Żydówki <baptyzowanej> tuż przed wybuchem II wojny, ale w chwili założenia przez Niemców getta z własnej i nieprzymuszonej woli – w akcie solidarności z własnym narodem – podejmującej samobójczą decyzję zamieszkania w tej śmiercionośnej strefie.

Zrodzone w uporczywej walce ze Służbą Bezpieczeństwa, a korzystające w okresie konspiracji z gościny biskupa Gocłowskiego Video-Studio Gdańsk to przykład budującego otwarcia dla twórców dokumentalnych wszystkich pokoleń. Znaleźli tu swoje miejsce – obok Mariana Terleckiego (1954-2010), późniejszego prezesa Radiokomitetu za prezydentury Lecha Wałęsy, a rzeczywistego prawodawcy Video-Studia. W roku 1981 Terlecki powołał do życia prototyp Studia – Agencję Telewizyjną „Solidarności” i z jej pomocą zrealizował dokument *Kandydat* – pierwszy film o Wałęsie w związku z jego kandydaturą na szefa związku, reprezentujący różne pokolenia i estetyki – twórcy.

Ze Studiem współpracował np. związany całe życie z Wybrzeżem Krzysztof Kalukin (1945-2009), znakomity operator i reżyser m.in. tak przewrotnego filmu o „hołdzie narodu dla przywódcy”, czyli ceremoniach, w jakich co roku brali udział Irakijczycy, by deklorować „swą dozgonną wdzięczność dla Ojca Narodu, Saddama Husajna (*Daję ci wodę życia*, 2000).

Pojawił się na Wybrzeżu nawet tak znany, uznany i doświadczony autor, jak Andrzej Trzos-Rastawiecki (ur.1933) – i w roku 2007 dał znowu znać o sobie jako dokumentalista, kiedy to stworzył w Gdańsku *Balladę o prawdziwym kłamstwie* czyli bardzo pouczającą formę dokumentalnej rekonstrukcji, która w okrutnej wiwisekcji zachowanych materiałów rozliczała wszelkie przekłamania komunistycznej propagandy PRL-u, budowanej przez kolejne partyjne ekipy od Bieruta do Jaruzelskiego.

Podobnie było z kobietami, które wspomogły produkcje Video-Studio: Ewa Pytka-Chylarska, zanim <zabłysła> jako realizatorka telewizyjnej *Plebani*, dała się poznać dzięki filmom produkcji Video-Studio Gdańsk jako autorka biografii filmowych polskich prozaiczek. Najlepiej chyba wypadła analiza duszy Gretkowskiej, film z roku 1994 – *Manuela Gretkowska – pisarka nie-emigracyjna*.

Natomiast trochę od niej starsza szczecinianka – Iwona Bartólewska początkowo jako absolwentka Wydziału Nawigacji Wyższej Szkoły Morskiej, <zatopiona> w pasji dokumentowania swych podróży dookoła świata, w latach 90. przeżyła <szok ideowy>, a jej film *List do syna* [1996] był nie tylko pierwszym manifestem potrzeby nowej dokumentacji losów „żołnierzy wyklętych”, ale pokazał niespotykaną dotychczas inwencję w docieraniu do pozacieranej mocno prawdy. Bartólewska bowiem nie tylko „prześwietliła” raz jeszcze okoliczności morderstwa Antoniego Żubryda (oficera i dowódcy oddziału partyzanckiego NSZ „Zuch” zastrzelonego wraz z żoną przez UB w roku 1946 w Sanockiem), ale dotarła

do zbrodniarza, którym okazał się Jerzy Vaulin, powojenny reżyser... dokumentów wojskowych

Równie skuteczną, choć wychodzącą z innych genetycznych przesłanek (bardziej profesjonalnych niż politycznych), firmą produkcyjną nowego typu okazało się Studio Filmowe „Kalejdoskop”, pojawiające się na polskim rynku mediów już na początku 1989 roku. Konsekwencją i pracą swych założycieli i współwłaścicieli (czterech doświadczonych kierowników produkcji spod znaku WFD: Zbigniewa Domagalskiego, Janusza Skątkowskiego, Wojciecha Szczudło (1951-2015) i Piotra Śliwińskiego) „Kalejdoskop” niezmiennie przez 28 lat utrzymuje swój wysoki poziom artystycznych kreacji i dynamikę produkcyjnej ekspansji. Zapewnia je profesjonalizm celów i środków, określony jasno i realizowany z żelazną konsekwencją, zgodnie zresztą z <wyjściowym> manifestem, w którym „czterej muszkieterzy” z ulicy Chetmskiej 20 w Warszawie zadeklarowali: „Stworzyliśmy Studio Filmowe, bo chcieliśmy być niezależni. Dlatego (...) wspieramy przede wszystkim niezależnych i odważnych. (...) Nie boimy się podejmować ryzyka, bo wiemy, że tylko w ten sposób powstają rzeczy wartościowe, dzieła, które pozwalają nam zrozumieć czasy nam współczesne”.

Sukcesów polskich i międzynarodowych można „Kalejdoskopowi” wprowadzić pozazdrościć, bo 150 nagród prestiżowych festiwali (łącznie z nominacją do Oscara za film Łozińskiego *89 mm do Europy*, 1994) to osiągnięcie niebotyczne, nawet na skalę światową. Ale tak naprawdę to dopiero nawet największemu <zazdrośnikowi> najbardziej zaimponuje nie zestaw współpracowników ze wspomnianym Marcelem Łozińskim (ur.1940) na czele, ale konsekwencja w poszukiwaniu <trudnych> tematów i ich realizacja, okupiona zwykle wieloletnim trudem produkcyjnym. Warto przywołać jeszcze co najmniej dwa filmy Łozińskiego wyprodukowane przez „Kalejdoskop”: *Wszystko się może przytrafić* (1995) i *Jak to się robi* (2006). Pierwszy, obwołany ostatnio mianem Najlepszego Polskiego Dokumentu 100-lecia przez plebiscyt internautów, a oparty na serii wywiadów parkowych dziecka z nestorami dożywającymi swych ostatnich dni, Bożena Janicka określiła (na łamach „Kina”, 1995) mianem „niby dokumentu, w istocie nasyconego poezją, esejem filmowym o skutku przemijania i potędze życia”.

Film drugi, zahaczający o mechanizmy <polskiego piekietka politycznego>, w którym każdy może być politykiem, to dokument prowokacyjny, ale jednocześnie przerażający. Realizowany był przez trzy lata ze szwajcarską precyzją interpretatora i benedyktyńską cierpliwością, by na przykładzie sterowanej profesjonalnie kariery początkującego członka partii (w tym wypadku: Samoobrony) – obnażyć cynizm kreowania „nowej generacji” polityków jako „użytecznych produktów” wszelkich manipulacji.

Pośród plejady reżyserów, którzy w ostatnim ćwierćwieczu korzystali z usług „Kalejdoskopu” jako producenta, dostrzec można nestorów typu Stanisław Manturzewski (1928–2014), jeszcze większy ekscentryk aniżeli wspomniany przy własnych produkcjach Grzegorz Skurski, którego romans z „Kalejdoskopem” owocował przerażającym filmowym portretem kobiety z marginesu społecznego (*Historia Leokadii J.*, 2000).

Manturzewski natomiast, który – jak powiadał sam o sobie – do kinematografii trafił „tylnymi drzwiami”, stał się

nie tylko <mistrzem epizodu> aktorskiego polskiej fabuły, ale ten z wykształcenia archeolog ze specjalnością starsza epoka kamienia, przeszedł do historii polskiego dokumentu collageowym dokumentem ze „ścinek” o Himilbachu (*Himilbach: ploty, bujdy czarne dziury*, 2002).

Obok hołubionych przez „Kalejdoskop” twórców znanych i uznanych wytwórnia dała szansę młodym. Tak zaistniały dokumentalne <dzieci> „Kalejdoskopu”: Ryszard Kaczyński (ur.1941) i Piotr Morawski (ur.1948), para współrealizatorów ważkich i zauważonych w świecie produkcji unikatowego tryptyku dokumentalnego o dramatycznym losie adaptowanego przez amerykańskie małżeństwa pięciorga rodzeństwa z domu dziecka w Szklarskiej Porębie (*Tata, I love you*, 1999, *Dom nad Missisipi*, 2005 wraz z pointą po latach – *Obietnicą dzieciństwa*, 2013) oraz filmu montażowo-kreacyjnego, nicującego <podziemny świat> PRL-owskich służb specjalnych na przykładzie pobytu Roberta Kennedy’ego w Polsce w roku 1964 (*Amerikanin w PRL-u*, 2009).

Mniej <wierną> „Kalejdoskopowi” okazała się być święcąca z tą firmą w latach 90. pierwsze swoje sukcesy polskie i zagraniczne, a debiutująca, zresztą bardzo podobnie – bo i w roku 1983, i w WFD – para absolwentów Wydziału Radia i Telewizji Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach, dziś plasująca się pośród <tuzów> polskiego dokumentu. Stworzyli ją wspomniana już Maria Zmarz-Koczanowicz i Krzysztof Magowski, który np. w poszukiwaniu modelu zagospodarowania wolnego czasu polskiej PRL-owskiej młodzieży do historii ruchu studenckiego przeszedł jako autor dokumentalnego tryptyku o dziejach Zrzeszenia Studentów Polskich (2000).

Zmarz-Koczanowicz (ur.1954), autorka filmowych <konterfektów>, nie tylko znanych na całym świecie polskich ludzi kultury: rewolucyjnych artystów, jak Grotowski (*Jerzy Grotowski. Próba portretu*, 1999) i Miłosz (*Czarodziejska Góra. Amerykański portret Czesława Miłosa*, 2000), rewolucyjnych myślicieli jak Kołakowski (*Profesor. O Leszku Kołakowskim*, 2005) i Michnik (*Zwyczajny marzec*, 2008 i *Bądź realistą, chciej niemożliwego*, 2015), a także polityków, np. tak różnych sekretarzy PZPR jak przygłupawy Albin Siwak (*Ja, robotnik budowlany* (2001) i wyrafinowany <prawodawca> stanu wojennego – Wojciech Jaruzelski (*Noc z Generatem*, (2001) – z „Kalejdoskopem” zrealizowała tylko dwa filmy, i to w tym samym 2002 roku: *Miłość do płyty winylowej* i *Dzieci rewolucji*. Obydwa obrazy mają charakter wnikliwej analizy psychologiczno-socjologicznej nowego pokolenia wstępującej w dorosłe życie polskiej młodzieży. Pierwszy – optymistyczny, bo ukazujący „ciągłość pokoleń” poprzez m.in. resentymenty grupy diskdżokejów posiadających – jak się okazuje – <magiczny> wpływ na gusta najmłodszych, sięgających coraz częściej do muzycznej płytoteki ojców i dziadków; drugi – dość pesymistyczny, bo na próżno domagający się wyczerpującej odpowiedzi, dlaczego to rewolucja roku 1989 <pożarła> (w całej Europie) „własne dzieci”.

Warte podkreślenia, że Zmarz-Koczanowicz po znaczący epizodzie współpracy z „Kalejdoskopem” powróciła do swojej <macierzystej> firmy, jaką było naprawdę równie <niezależne> co znaczące dla polskiego dokumentu – krakowskie Studio „Largo” Agnieszki Traczewskiej, absolwentki teatrologii UJ, która po ukończeniu studiów zrealizowała w pełni swoje twórcze marzenie i stworzyła silną profesjonalną grupę produkcyjną.

Aktywność tej grupy wykorzystali od razu i skwapliwie zagubieni w <ogniu polskich transformacyjnych utarek> znakomici dokumentaliści.

Obok Koczanowicz – swe pełne możliwości zaprezentował w „Largo” i poprzez „Largo” Adam Sikora (ur.1960), świetny operator fabuły (autor zdjęć do m.in. filmów Lecha Majewskiego *Wojaczek*, *Angelus czy Młyn i Krzyż*) oraz Jerzego Skolimowskiego (*Cztery noce z Anną* czy *Essential Killing*). Sikora, dotychczas <nadworny> operator Studia, w roku 2005 okazał się twórcą wstrząsającego obrazu dokumentalnego. Było nim *Boże Ciało* – filmowy zapis jednego jedynego dnia w roku, kiedy to w Lipinach, miejscowości kiedyś traktowanej jako „raj na ziemi” zgodny z kodeksem Śląskich Wartości Życia, a dziś – miasteczka, którego mieszkańców ustrojowa transformacja Polski <skazała> na nudę, na przekór otaczającej rzeczywistości – ożywają w czasie ceremonii kościelnej rezurekcji – wspomnienia o niegdysiejszej świetności tej starej osady przemysłowej.

Dzięki Traczewskiej i „Largo” powstały obok wzmiankowanych portretów dokumentalnych Zmarz-Koczanowicz i *Bożego Ciała* Sikory jeszcze dwa znaczące dla polskiego dokumentu filmy. W 2011 roku Koczanowicz podjęła bardzo przekonującą próbę weryfikacji biografii Wiery Gran. Nie była to rzecz prosta ani łatwa w sytuacji całkowitego bojkotu tej żydowskiej piosenkarki – przedwojennej gwiazdy oskarżanej niesłusznie przez całe życie i napiętnowanej życiową izolacją za rzekomą (co podważyła całkowicie w swych badaniach współpracująca scenariuszowo z „Largo”, obok Teresy Torańskiej, Agata Tuszyńska) kolaborację z Niemcami w czasie okupacji.

Kolejny sukces grupy zaistniał za sprawą Sikory, który w roku 2014 przedstawił swoją interpretację życia i twórczości Brunona Schulza w filmowym obrazie z pogranicza dokumentu, animacji i inscenizowanej fabuły.

Wracając zaś do Magowskiego, popularnego dzięki dokumentom o muzycznych idolach dwóch pokoleń Polaków: Ryszardzie Riedlu (*Się macie ludzie*, 2004) i Czesławie Niemenie (*Sen o Warszawie*, 2014), jego „Kalejdoskopowa” najważniejsza produkcja, wiodąca go do tajemnic własnej rodziny, to *Świat moich wujków* (2000), fascynująca próba rekonstrukcji nieistniejącego już świata przez pozostałą przy życiu trójcę sędziwych potomków ziemiańskiej rodziny Doerferów, posiadaczy podpoznańskich włości powracających psychicznie (i fizycznie) do utraconego <raju> młodości.

O wiele bardziej istotną historią dla Magowskiego, potomka „wyrzuconej poza nawias” komunistycznej społeczności Polski powojennej – rodziny ziemiańskiej stało się jednak, obok doświadczeń rodzinnych (zaznaczonych subiektywnie w *Świecie moich wujków*, a rozwiniętych historycznie w jeszcze jednym bardzo rzetelnym dokumencie o powstaniu wielkopolskim – *Zapomniane powstanie*, 2008) jego osobiste młodzieńcze doświadczenie, robotniczej martyrologii poststalinowskiego Poznania, walczącego o godność ludzką podeptaną przez sowieckich siepaczy, polskich konformistów i zdrajców w rodzaju premiera Cyrankiewicza, który zapomniawszy szybko, że sam był więźniem Auschwitz, straszył wszystkich poznaniaków „obcięciem ręki”. Stąd film Magowskiego o drugim wielkopolskim powstaniu, tym razem – w czerwcu 1956 (*Poznańskie powstanie 1956*, 2006). Stąd też idea powołania do życia własnej wytwórni „Warta-Film”, której niezależność pozwoliła

mu na realizację tego życiowego projektu, jakim było dokumentalne utwalenie prawdy o obydwu pochopnie <zapominanych> wielkich zrywach wolnościowych w Wielkopolsce.

Powstanie Studia Video Gdańsk i „Kalejdoskopu”, i narodziny ich czysto <wytwórnianego> profilu zachęciło producentów z innych miast. Za sprawą <niespożytego> konspiratora Mirosława Chojeckiego – mitycznego wydawcy biuletynów KOR-u, a potem szefa podziemnej Niezależnej Oficyny Wydawniczej <NOWa>, zaczęła działać w Warszawie w roku 1991, po powrocie Chojeckiego z Paryża wytwórnia Media Kontakt (prowadzona przez niego wraz z operatorem Piotrem Weychertem, ur.1959). W Łodzi również w roku 1991 reżyser Mirosław Dębiński powołał Studio Filmowe Everest, w stolicy natomiast – do konkurencji z firmą Chojeckiego i Weycherta oraz „Kalejdoskopem” stanęli m.in. (by wymienić inicjatywy najważniejsze): Krzysztof Kopczyński jako twórca grupy produkcyjnej Eureka Media (zał.1997), a także (już w pierwszych latach XXI wieku) znani reporterzy prasowi Irena i Jerzy Morawscy, którzy zachęteni sukcesem ich telewizyjnych seriali (głównie *Ballady o lekkim zabarwieniu erotycznym*) dot. sytuacji i zachowań polskiej młodzieży zdecydowali się na realizację dokumentów i prowadzenie własnej produkcyjnej spółki, która w ostatnich dwóch dekadach kilkakrotnie już zmieniła nazwę. Do ogólnopolskiego <klubu niezależnych> przystąpiły też dwa młodsze duety: warszawski w osobach Małgorzaty Walczak i Marka Tomasza Pawłowskiego (Zoyda Art Production) w roku 1999 i łódzki Doroty Petrus i Bogdana Łęcznara (Baza Grupa Medialna) w roku 2003.

W Krakowie natomiast powstały – obok wzmiankowanych już firm prywatnych Szumowskich (Szoł-Szumowski), Ridana (Agencja Crac Film i ER Studio), Augustynka (Apio Film) i producenckiej spółki – AB Film Production – Krakowski Teatr Publicystyki Małgorzaty Czerwińskiej – wyspecjalizowany w produkcjach o życiu angielskiej emigracji, a także skupiony na dokumentacji polskiej rzeczywistości <podkrakowski> Dragon Film Krzysztofa Stawowczyka, telewizyjnego realizatora światła i operatora filmowego, dawnego współwłaściciela AB Film Production, która to spółka za jego kadencji współpracowała z Michałem Bogusławskim nad redagowaniem przez niego cyklem filmów *Małe Ojczyzny*.

Każda z tych firm, obfitujących w dziesiątki tytułów i nazwisk ciekawych twórców, wymaga osobnej uwagi, jako że bez filmów wszystkich wymienionych jednym tchem producentów dokument polski ostatniego ćwierćwiecza byłby bardzo ubogi. Dlatego też przywołuję produkcje nie tylko najbardziej dla tych grup twórczych charakterystyczne, ale najbardziej istotne dla całości naszego oglądu dokumentalnego kina niezależnego w Polsce ostatniego ćwierćwiecza.

W takiej perspektywie musi znaleźć się miejsce na „prostowanie ścieżek naruszonych mocno przez „polską bez troskę niepamięci” o niedawnej przeszłości. Dlatego też w przypadku np. Macieja Szumowskiego należy podkreślać nie tylko jego pionierski trud „zmuszania” telewizji publicznej do codziennej powinności, jaką jest dla każdej sieci praktyka reportażu społecznego (cykl *Polska zza siódmej między* realizowany przez OTvP Kraków jeszcze w II połowie lat 60. Trzeba też zauważyć, że zawdzięczamy mu nowy gatunek dokumentalnej formy zrodzonej <na styku> filmu, radia i telewizji (zob.

np. filmy z cyklu *Polski poślizg kontrolowany, Cena decyzji, Dokument dla syna*). Zaś syn Macieja – Wojciech związany z TVN przejdzie na pewno do historii jako autor filmów z „pierwszej linii frontu” krwawych wojen przelotu wieków (takim był cykl dokumentalny z roku 1994 ukazujący skutki wojny w Chorwacji i Bośni, takim jest głośny prywatny film Szumowskiego-juniora z roku 2014 *Aleppo. Notatki z ciemności*).

Pozostając na gruncie krakowskim nie sposób nie wspomnieć o filmowych cyklach Krakowskiego Teatru Publicystyki, dokumentujących życie polityczne londyńskiej emigracji (pierwszy i jedyny dokument o Rządzie RP na Uchodźstwie *Polscy włodarze londyńskiego Zamku*, 1990), dotyczących aktywności kulturalnej londyńskiej Polonii (filmy o POSK – *Cud nad Tamizą*, 1990 i o Teatrze Polskim ZASP – dyptyk *Pół wieku*, 1992), a także utrwalających angielską recepcję dokonań polskich artystów (jedyna monografia filmowa <międzynarodowego gwiazdora polskiego>, mistrza epizodu światowej kinematografii Vladka Sheybala – *Vladek*, 1993, a także dokument brytyjskiej adaptacji teatralnej prozy Brunona Schulza *Ulica Krokodyli nad Tamizą*, 1992).

Godne zauważenia są też produkcje wspomnianych spółek Stawowczyka. Najpierw – w AB Film Production, kiedy obok filmów cyklu *Małe ojczyzny* (filmy klanu rodzinnego Bogusławskich uzupełniały w Krakowie propozycje Ireny Wollen, np. *Na zielonej Bukowinie*, 1995) powstała polemizująca z samym Stevenem Spielbergiem kontrowersyjna opowieść o Oskarze Schindlerze, weryfikująca jego legendę poprzez te wspomnienia 14 byłych jego pracowników fabryczki emalii na krakowskim Zabłociu, które nie znalazły <uznania> w oczach scenarzystów nagrodzonej Oscarem *Listy Schindlera* (film *Oskar ... Oscar*, 1995), potem w nowej, osadzonej w podkrakowskich Bolechowicach spółce Dragon Film, w produkcyjnym gąszczu pojawił się również „mocny akcent” – zrealizowany w Anglii dokument upominający się o obecność Michała Kaleckiego w światowej myśli ekonomicznej (*Kalecki – geniusz zapomniany*, 2012).

Wymienione już dwukrotnie łódzkie Studio Everest godne jest natomiast naśladowania w swojej pasji dokumentalnej pomocy białoruskim sąsiadom. We współpracy z polskim kanałem telewizji publicznej Bielsat obdarzyło nas bowiem kilkoma wstrząsającymi dokumentami, z których przynajmniej dwa godne są zapamiętania nie tylko dlatego, że zrealizowano je w iście <konspiracyjnych> warunkach. Tu warto podkreślić, iż każdy, komu udało się nakręcić na Białorusi przynajmniej jedną dokumentalną sekwencję – doświadczyć musiał całego repertuaru „błogostawieństw” i „inwigilacji reżimu Łukaszenki.

Bardziej szeroki obszar dokumentalnej penetracji życia przyniosła działalność niezależnych firm producenckich w Warszawie, mimo że podziemny kontestator PRL-u i animator tysiąca niepodległościowych, antykomunistycznych akcji Mirosław Chojecki (Media Kontakt) pozostawiał wierny dokumentacji swoich działań „solidarnościowych”. Dlatego znaczącą manifestacją tej postawy były filmy, które Chojecki produkował. Produkcja z roku 2000 jest w tej mierze zadziwiająca. Dwa filmy Media Kontakt („*Solidarność*” – *jak zerwaliśmy żelazną kurtynę* Krystyny Mokrosińskiej, *Postulaty sierpniowe* Piotra Morawskiego) choć podjęty ten sam wysiłek dokumenta-



cji Solidarnościowego spadku, zadziwiły odmiennością i spojrzenia, i warsztatu.

W Media Kontakt powstał też jeden z najlepszych portretów filmowych. Rok później bowiem Antoni Krauze przypomniał sylwetkę życiowego i artystycznego nonkonformisty – Bohdana Kosińskiego (*Dłatego zrobiłem film*). Dobry to przykład dla następców, by pamiętali o swych mistrzach.

Wytwórnę Eureka Media zapamiętać warto nie tylko za horyzonty myślowe jej twórcy (Krzysztof Kopczyński, uczeń prof. Marii Janion, dał się poznać jako wytrawny humanista, autor kilku książek, m.in. o *Kręgu paryskiej „Kultury”*, ale i za grupę młodych reżyserów. W pamięci widzów pozostaną na pewno *Latawce* – film Beaty Działowicz, porażająca okrucieństwem życiowej prawdy wizja współczesnego Kabulu z perspektywy afgańskiego nastolatka.

Zaś Irena i Jerzy Morawscy, których popularność telewizyjnych seriali dokumentalnych denerwowała mocno otoczenie, oskarżające ich nawet o „brak etyki”, „poprawianie rzeczywistości” deklarowali: „My nie kreujemy rzeczywistości, ale chcemy – po prostu – ją udokumentować” – tak przekonywali o czystości swego dokumentalnego warsztatu. Najbardziej przekonujący efekt uzyskali w filmie *Czekając na sobotę* (2010), szokującym dokumencie o młodych ludziach z Trawniki (200 km od Warszawy), których „rytm życia” wyznaczają sobotnie <imprezy> lokalnej dyskoteki Nokaut.

Łódzka Baza Grupa Medialna, założona w roku 2003 przez aktora, reżysera i scenarzystę Bogdana Łęcznara, a której „napęd” twórczy utrzymuje partnerka twórcy Dorota Petrus, w odważnej penetracji świata zdołała zrealizować kilka unikatowych i „egzotycznych” filmów z *Domem* (2010) na czele.

Dlaczego ta zrealizowana w ogniu gruzińskiej wojny domowej produkcja zasługuje na szczególną uwagę? Po prostu dlatego, że ta rekonstrukcja krwawych wydarzeń odbywa się w czasie dorocznego spotkania towarzyskiego „cudownie ocalonych” w „domu na granicy” Osetii i Gruzji, a udział w nim biorą zaprzyjaźnieni, a nie – jak donosiła wojenna propaganda – „poważnieni obywatele walczących »na śmierć i życie« ze sobą narodów”.

Jeszcze ciekawiej rysuje się dorobek warszawskiej grupy Zoyda Art. Production (zał. 1999), która dała się poznać Polsce i światu dwoma ostatnimi filmami: *Jaster-tajemnica Hela* (2014) i *Dotknięcie anioła* (2015). Unikatowość obydwu propozycji polega na twórczym zmierzaniu się ze stereotypami interpretacji historycznej, które pociągają za sobą podjęte przez filmy przypadki. Pierwszy bowiem – to filmowa rekonstrukcja zbrodniczej pomyłki niepodległościowego podziemia polskiej okupacji, drugi – to krzepiące humanizmem przesłanie, jakie dociera do widza poprzez opowieść głuchoniemego już żydowskiego starca o cudownym ocaleniu z Holocaustu całej jego rodziny oświęcimskiego rabina.

#### 4.

A jako że „dobra zmiana” (czytaj: odwaga telewizji publicznej w pierwszych latach po 1989 roku) przyniosła rzeczywistości „dobre plony”, obrachunek niniejszy wymaga jeszcze uwzględnienia filmowo-dokumentacyjnej działalności takich, dopuszczonych do dokumentalnej produkcji instytucji użyteczności publicznej jak Salezjański Wolontariat Misyjny „Młodzi i Świat”, finansujący

„egzotyczne” produkcje dokumentalne (często interwencyjne) o sytuacji katolików i chrześcijan w świecie, np. ostatnie filmy Macieja Grabysy i Michała Króla *W pułapce wojny* (2014) czy *Uwolnić Asię Bibi* (2015), pierwszy podejmuje temat prześladowań chrześcijan w Syrii, drugi – tragiczny los wieśniaczki z Pakistanu, która za swoją wiarę ma zapłacić głową.

Podobnie „sprawdziły się” w tych latach, finansując dokumenty, takie wyspecjalizowane fundacje jak F, warszawski Dom Spotkań z Historią, Stowarzyszenie Auschwitz Memento z Oświęcimią, Muzeum Historii Polski czy też ostatnio Instytut Pamięci Narodowej (np. *Mit o Szarym* przywracający historii Polski postać Antoniego Hebdy, walczącego z „samozwańczą” władzą ludową w Świętokrzyskiem, autorstwa Grzegorza Królikiewicza, znakomitego reżysera fabuły i pedagoga, który dla wypełnienia swojej dokumentalnej pasji powołał w roku 1991 własne Studio Filmów „N”. W tym to zespole powstała m.in. wyróżniająca się formą zapisu filmowego nieznana otumanionemu przez propagandę ogółowi wersja życiorysu „Ognia” czyli Kazimierza Kurasia – film *A potem nazwali go bandytą* (2002).

Nasz „obrachunek” nie będzie się też liczyć bez uwzględnienia inspirowanych przez doświadczonych pedagogów dokumentalnych debiutów szkolnych zarówno uczelni filmowych (Łódzka PWSFTviT, katowicki Wydział Radia i Telewizji US, Warszawska Szkoła Filmowa B. Lindy i M. Ślesickiego, Mistrzowska Szkoła Reżyserii Filmowej Andrzeja Wajdy), jak i artystycznych (Łódzka Szkoła Projektowania czy warszawska ASP) oraz dziennikarskich (np. Wyższa Szkoła Dziennikarska im. Wańkowicza w Warszawie). Wśród „filmówek” na uwagę szczególną uwagę zasługuje półprywatna Warszawska Szkoła, obchodząca niedawno swe dziesięciolecie, a szczytująca się w zakresie dokumentu niedawną nominacją Oscarową (*Nasza klątwa*, 2013, Tomasa Śliwińskiego, czyli dramatyczna opowieść filmowa o pełnej miłości i profesjonalnej opiece nad upośledzonym dzieckiem, które źle rokując – dzięki tej opiece dożywa szczęśliwie pierwszego roku życia) i o siedem lat starsza Szkoła Wajdy, której sukcesy dokumentalne związane są z talentami pedagogicznymi Marcela Łozińskiego i Jacka Bławuta. Dominują obecnie w świecie uczniowie tego ostatniego, m.in. Grzegorz Szczepaniak, autor sięgających po kolejne festiwalowe laury Ślimaków (2016) – filmowej satyry dokumentalnej na nieprofesjonalne „chciejstwo” businessowe polskich „żółtodziobów”.

#### 5.

Zatem lata 1989 – 2016 to złoty okres rozwoju prawdziwie niezależnego polskiego dokumentu, który potrafił wykorzystać szansę, jaką mu dała niezależność produkcyjna, czyli dobrze pojęta prywatyzacja, sprzyjająca wolności tworzenia. Pamiętać o tym trzeba i należy zwłaszcza w czasie, kiedy akcja zawłaszczania jednostki przez coraz bardziej autorytarny styl rządów przypomina nam niepokój Irydiona – tytułowego bohatera dramatu jednego z naszych wieszczów – Zygmunta Krasińskiego, który w swoim czasie wieszczzył, że „ma się pod koniec wolnemu światu”.

KRZYSZTOF MIKLASZEWSKI  
Londyn, luty 2017 r.

TADEUSZ BUJNICKI

# SIENKIEWICZ

## CONTRA

# SIENKIEWICZ

Dobiegł końca rok jubileuszowy i znacznie powiększyła się polska (i zagraniczna) sienkiewiczologia. Na ile odnowiła ona nasz obraz Sienkiewicza, to pokaże dopiero przyszłość. Jak zawsze muszą najpierw przebrzmieć fanfary oraz kultowe działania na różnych polach. Jednak zanim do tego dojdzie, może warto spojrzeć na pisarza z innej niż powszechnie przyjętej perspektywy: monolitycznego wzoru postawy patriotycznej, piewcy wielkości historycznej oraz „ambasadora polskości”. I równocześnie nie popaść w przeciwną skrajność, tak sformułowaną w znanym eseju Witolda Gombrowicza:

„Trudno też w dziejach literatury o przykład podobnego oczarowania narodu, bardziej magicznego wpływu na wyobraźnię mas. Sienkiewicz, ten magik, ten uwodziciel, wsadził nam w głowy Kmicica wraz z Wołodyjowskim oraz panem Hetmanem Wielkim i zakorkował je [...] Gdyby historia literatury przyjęła jako kryterium wpływ sztuki na ludzi, Sienkiewicz (ten demon, ta katastrofa naszego rozumu, ten szkodnik) powinien by zajmować w niej pięć razy więcej miejsca niż Mickiewicz.” (W. Gombrowicz, *Dziennik 1953-1956*, esej *Sienkiewicz*).

Ponadstuletnie spory „o” czy „wokół” Sienkiewicza, skupione wokół jego „kultu” i „anatomy”, nie uchylają jednak zasadniczego pytania o znaczenie i formę jego obecności w polskiej kulturze i szerzej – w polskiej tożsamości. Bo dla kogoś kto wyjdzie poza stereotypowe określenia jego biografii i twórczości, kto przekroczy granice zakreślone przez szkołę i media, Sienkiewicz może okazać się twórcą fascynującym. Pisarzem niejednoznacznym, często wewnętrznie sprzecznym, o ironicznym dystansie wobec otaczającej go rzeczywistości; pisarzem obdarzonym wysokim poczuciem humoru i – wbrew przypisywanemu mu tradycjonalizmowi – niejednokrotnie zadziwiająco nowoczesnym. I dlatego wymagającym nowej i pogłębionej lektury.

Oto dziesięć lat temu na marginesie dyskusji o *Trylogii* pisał Jerzy Axer:

„Bo *Trylogia* nie jest dziś – w świecie kultury masowej – książką dla masowego czytelnika [...] Paradoksalnym zrzędzeniem losu *Trylogia* staje się teraz literaturą elitarną, baśnią dla wybranych, których duchowe potrzeby obejmują szkolenie w mistrzowskim posługiwaniu się zapomnianym językiem polskiej epiki; których wyobraźnia otwiera się na egzotykę świa-

tów minionych i po baśniowemu przeobrażonych [...] Ta baśń dla niektórych dorosłych, może być też doskonałą próbą intelektualną dla tych czytelników, którzy uczyć się chcą historii jako składnika współczesności [...] nie uczymy się od niego tzw. prawdy historycznej na poziomie faktów, uczymy się współuczestniczenia w przeszłości<sup>1</sup>.

Te zdania napisane dziesięć lat temu, dziś, gdy zamyka się fetowany na różne sposoby jubileusz pisarza, brzmią jak herezja. Przecież obchody stuletniej rocznicy jego śmierci miały potwierdzić jego „nieśmiertelność” w masowym odbiorze. Dokonać jego sakralizacji. Udowodnić jego „wieczne życie” jako wielkiego pisarza tworzącego prawdę „dla pocieszenia serc” dla narodowej zbiorowości. Pisarza monolitu, pisarza – z pomnika. Przecież Sienkiewicz jaki jest, „każdy widzi”.

Ale rzeczycywi Sienkiewicz to pisarz paradoksów, który na przekór wszelkim kwalifikacjom nie poddaje się jednowymiarowej (*in plus* czy *in minus*) definicji. I za nim spróbujemy się zmierzyć z jego twórczością, odpowiadamy na pytanie: z iloma Sienkiewiczami mamy obecnie do czynienia? Bo Sienkiewicz to twórca chyba najsilniej ze wszystkich polskich pisarzy zawłaszczany przez różne orientacje, tkwiący w stereotypach, utrwalanych zarówno przez szkołę, obchody, akademie, zloty, konkursy itp., jak i przez negatywne oceny w artykułach Aleksandra Świętochowskiego, Stanisława Brzozowskiego, Wacława Nałkowskiego, Olgierda Górki, Witolda Gombrowicza, Czesława Miłosza i wielu innych. Ta olbrzymia i emocjonalna w gruncie rzeczy wrzawa wokół autora *Trylogii* wytwarzała powtarzalne „klisze”, którymi później posługujemy się jak „prawdami” o pisarzu. Z nich się wywodzi tak wiele „wcielen” Sienkiewicza i przypisywanych mu ról narodowych i społecznych.

Aby jednak rozpoznać fenomen obecności pisarza w naszej kulturze i naszej tożsamości, należy uwolnić się od presji takiego jej postrzegania. Ten nowy tor z jednej strony wyznacza cytowana opinia Jerzego Axera. Jest jednak „sprawy Sienkiewicza” aspekt drugi. Wskazuje nań tytuł artykułu kierujący uwagę na wieloznaczność twórczości i biografii pisarza. Na te sprzeczności, których zbagatelizować ani przekreślić nie wolno. Określa ją nie tylko i nie tyle „rozchwiana osobowość” (sformułowanie Ryszarda Koziółka w fascynującej książce *Ciała Sienkiewicza*) autora *Bez dogmatu*, ile mocne osadzenie jego twórczości w epoce i poza nią. Na tą właściwość pisarstwa Sienkiewicza wskazywał cytowany Ryszard Koziółek:

„Ponadstuletnia popularność dzieła pokazuje, że wykracza ono poza historyczny horyzont oczekiwań jego współczesnych odbiorców. A to znaczy, że jest samą literaturą – odmianą języka, która ma zdolność przewyższania przygodności swego historycznego wypowiedzenia i wstąpienia w krąg kolejnych współczesności<sup>2</sup>.”

Słowem, kierunek współczesnej interpretacyjnej „przygody” z Sienkiewiczem powinien uwzględnić właśnie to, co jest „nieuchwytnie” dla ujęć, które pró-

bują go zamknąć w ramach stereotypu, legendy czy określonej ideologii. Więcej, wpychać w ciasne ramy kanonu szkolnego, który go infantyлізуje traktując głównie jako „lekturę młodzieżową”. I dlatego, wracając do szokującej opinii Axera o „elitarności” Sienkiewicza, dopowiedzmy od razu, że jest to „elitarność” pozbawiona stabilnego miejsca w strukturze społecznej, natomiast stanowiąca lekcję „trudnego czytania”. Idąc tym tropem chciałbym wskazać na miejsca w twórczości pisarza wymagające głębszej refleksji oraz pozwalające na odkrycie „innego” Sienkiewicza. Aby to osiągnąć trzeba się wydostać z „kokonu” superlatywów i schematów, w których zamknięto autora *Quo vadis*. Obecnie stało się to możliwe. Ostatnie lata przyniosły bowiem trzy fundamentalne dla badań nad pisarzem publikacje: rozszerzoną przez Marię Bokszczanin nową wersję książki Juliana Krzyżanowskiego *Henryk Sienkiewicz. Kalendarz życia i twórczości*, kilkunastotomowy zbiór listów Sienkiewicza (także opracowanego przez Marię Bokszczanin) oraz wydaną w serii „Nowego Korbuta” bibliografię pisarza przygotowaną przez zespół kierowany przez Dobrosławę Świerczyńską. Dzięki tym publikacjom możemy wkrazać na tereny dotąd nieznanne i mało znane, otwierać okoliczności, w jakich tworzył pisarz i presje, jakim podlegał.

Zwolennicy monolitycznego wizerunku Sienkiewicza mają zawsze na podorzędziu cytaty dowodzące ich racji. Jednakże z reguły w twórczości pisarza można odnaleźć cytaty przeczące poprzednim. I – co ważne – nie można ich taktować jedynie jako wyrazu niekonsekwencji czy koniunkturalizmu. Być może, że w niektórych wypadkach należy uwzględnić i te czynniki. Jednakże w zdecydowanej większości owe sprzeczności mają uzasadnienie głębsze. Wynikają z obecnego stałe w światopoglądzie Sienkiewicza sceptycyzmu, wyrażającego się najczęściej w ironii i humorystycznym dystansie wobec kwestii, które w innych wypowiedziach mogą być traktowane serio. Kiedy w liście do Marii Radziejowskiej pisał: „...Siedzi we mnie za dużo Petroniusza” ten właśnie, sceptyczny element swojej osobowości miał na uwadze.

Warto więc pamiętać, iż Sienkiewicz nie był pisarzem raz na zawsze ustalonego światopoglądu i trwających przez całe życie koncepcji estetycznych. Był twórcą, który się zmieniał, a na jego przemiany miały wpływ różne zewnętrzne i wewnętrzne okoliczności. „Młody” Sienkiewicz był niewątpliwie pozytywistą związanym z „młodą prasą”, autorem tendencyjnych *Humoresek z teki Worszytły* i „interwencyjnych” felietonów publikowanych w pozytywistycznej (wówczas) „Niwie” i „Gazecie Polskiej”. Związany towarzysko z „bohema” artystyczną i dziennikarską Warszawy, prowadził życie raczej swobodne, czego ślady można odnaleźć w jego listach. Taki właśnie Sienkiewicz wyjeżdża (jako korespondent i reporter „Gazety Polskiej”) do Ameryki. W „nowym” świecie, poddanym szybkim przekształceniom społecznym, formującą się nowoczesnej demokracji, świecie rozległych i nieznanymi przestrzeni oraz przedsiębiorczych traperów, światopogląd Sienkiewicza ulega istotnym i pełnym wewnętrznych napięć zmianom. Pisarz staje się – używając sformułowania Piotra Chmielowskiego – „radykałistą nieomal”. Jego ówczesna korespon-

1 W książce: *Po co Sienkiewicz? Sienkiewicz a tożsamość narodu: z kim i przeciw komu?*, Warszawa 2007, s. 350, będącej pokłosiem międzynarodowej konferencji.

2 R. Koziółek, *Ciała Sienkiewicza*, s.416.



dencja i twórczość dostarczają wielu dowodów na to, iż właśnie Ameryka „tworzy” późniejszego Sienkiewicza, autora *Trylogii* i *Bez dogmatu*. Tam kształtują się podstawy jego realistycznej metody: „naoczny” sposób formowania świata przedstawionego, sposoby kreowania bohaterów oraz przestrzeń przygody. Nie od razu jednak w tym kształcie, który można rozpoznać w jego powieściach historycznych. Teraz przede wszystkim w „drapiejnej” nowelistyce. Doświadczenie amerykańskie wzmacnia kontrastowe widzenie społecznych stosunków w kraju. Wypowiedane wówczas, głównie w listach do Juliana Horaina poglądy, w żaden sposób nie odpowiadają wykreowanemu przez apologetów obrazowi pisarza.

Sienkiewicz, którego później uznano za „hetmana dusz polskich” o szczególnym wpływie na społeczeństwo, z perspektywy amerykańskiej widział je niesłychanie krytycznie. Pisał o nim z szyderstwem:

„Jesteśmy narodem zdemoralizowanym do gruntu i upadłym. Cudzoziemcowi, który by to twierdził, wybiłbym zęby, ale między nami mówiąc: tak jest [...]”

U nas taki Palacki np. jest niemożliwy, tak jak niemożliwy był Wielopolski. Połowa ludzi powie, że to szpieg i zgubią go. Żebyście wiedzieli, jaką mam serdeczną nienawiść i pogardę dla tej nierządniczy, która się u nas opinią nazywa i jak beczelnie gotowy byłem i jestem zawsze plunąć jej w oczy, pozazdrościłibyście mi tych uczuć i tej odwagi.

Nie tracę nadziei, że ją jeszcze kiedyś wyświecę – może i niedługo” (list do Juliana Horaina z 1876 roku, bez daty).

A w liście późniejszym jeszcze bardziej gorzko:

„Nie wiem co się dzieje w kraju; czy zrobili już powstanie, czy jeszcze nie. Może tylko chodzą po kościołach i proszą Pana Boga o ojczyznę i wolność. Wyobrażam sobie, że słucha tego gryząc orzechy” (list z grudnia 1876).

Podobny kierunek (aczkolwiek stonowany przez pamięć o zaborczej cenzurze) można dostrzec w powstających wówczas (i projektowanych) utworach. Widać w nich także „spór” z własną wcześniejszą twórczością. Napisanym w kraju: *Sielance* i dwóm częścią cyklu „małej trylogii” (*Stary sługa* i *Hania*), a przede wszystkim ich aspektem sentymentalnym i melodramatycznym, przeciwstawia naturalistyczną część trzecią *Selima Mirzę*, a ziemiańskiej atmosferze dworu – satyryczny i karykaturalny obraz wsi w *Szkicach węglem*. Pisał o sobie w liście do redaktora „Gazety Polskiej” Edwarda Leo, iż urodził się na pamphleciście i zamierza kontynuować ten kierunek twórczości:

„Czy wiecie jakie mam zamiary? – donosił Edwardowi Leo – Oto napisać szereg szkiców bardzo śmiałych, w których przedstawiony by był rozmaity patriotyzm naszego społeczeństwa [...] Nie uwierzcie, jakie szeregi safandulów, kpów, durniów typowych jak złoto przemokają mi przez wyobraźnię, gdy o tym myślę. Cóż to mogły być za szkice! Ile jadu czuję w ustach, w piórze!...” (list z marca 1877).

W Ameryce także dochodzi do głosu agnostyczny czy nawet ateistyczny światopogląd pisarza. Być może ukształtowany jeszcze w kraju, ale wówczas nie ujawniany. Oto pisarz uważany przez wielu za twórcę ultrakatolickiego i „apologetę chrześcijaństwa”, autor *Quo vadis* i noweli *Pójdźmy za nim!*, w Ameryce dawał

dowody swego sceptycyzmu i fatalistycznej koncepcji świata:

„Nie wiem, czy to skutkiem samotności, czy skutkiem towarzystwa tylko z mewami i pelikanami – pisał Sienkiewicz w liście do Horaina z 1 sierpnia 1876 roku – ale nie uwierzcie, w jakiej gwałtownej jestem krysis suchot duszy w tej chwili. Sceptycyzm mój posunął się do tego stopnia, że wydaje się mi, iż zło i dobro to jest tylko humbug, a pojęcia o nich dwoma przeciwnymi tylko objawami głupoty ludzkiej. Wszeczeństwo zna jeden tylko porządek, tj. ślepą logikę. Jest to prawdziwa filozofia pesymizmu, która jednak jako zasada życia nie wystarcza. Nie mam się więc za co ucześcić – nie mam punktu wyjścia, osi życiowej [...]. Gdybym wierzył w Boga, rozmawiałbym z Nim w tej mojej samotności [...]”

Tego pesymistycznego wyznania nie sposób zlekceważyć ani tym bardziej uznać tylko za objaw przejściowego kryzysu. Wyrażało ono ówczesny „stan ducha” pisarza i zabarwiało wyraźnie jego utwory. Umożliwiało obecne w nich motywy nirwaniczne i mierzenie się z trudną do ogarnięcia przestrzenią prerii i Gór Skalistych; wpływało na świadomość ograniczeń europejskiej cywilizacji. Pogłosy tego panteistycznego na polu przekonania widać także w jego późniejszej nowelistyce np. w *Latamiku* czy pesymistycznym zamknięciu opowiadania *Przez stepy*. Ale na tym nie koniec. Edward Leo nie chce drukować w „Gazecie Polskiej” jako ateistycznego szkicu *Znad morza* (o którym słuch zaginął i tylko korespondencja pisarza wskazuje na jego istnienie).

Ta krańcowa, antyreligijna postawa pisarza nie oznacza jednak, iż te przekonania trwały w późniejszym okresie życia i twórczości pisarza. Przeciwnie, pisarz podkreślał często swój związek z Kościołem katolickim. Zachowywał jednak nadal „trzeźwe” spojrzenie pozytywisty na społeczne i etyczne funkcje religii, w niewielkim stopniu obchodziły go kwestie teologiczne, a z niechęcią odnosił się do wszelkich objawów mistycyzmu i mesjanizmu. Natomiast wielokrotnie podkreślał znaczenie i rolę cywilizacyjną chrześcijaństwa, a zwłaszcza znaczenie katolicyzmu w dziejach Polski i Europy. Pisząc o *Quo vadis* w listach do szwagierki Jadwigi Janczewskiej akcentował zamiar stworzenia „epopei chrześcijańskiej”, a już po jej druku w liście do Konstantego Marii Górskiego twierdził, iż jego powieść przyczyniła się „ogromnie do zwrotu nie tylko idealnego, lecz wprost religijnego” (list z dn. 14 VII 1895 r.). Ale... i w tym dziele można znaleźć dowody na to, że nie było to widzenie jednoznacznie apologetyczne „wiernego katolika”. Ambiwalencje tkwiły w samej powieści.

Uważna lektura *Quo vadis* odkryje, że nie okrutny i patologiczny Neron, lecz wytworny intelektualista Petroniusz reprezentuje cywilizację grecko-rzymską. Ów agnostyk i sceptyk, wygłasza sądy, które nie są degradowane w konfrontacji z wiarą chrześcijan; stanowią ich równoważną opozycję. Jest to tym wyrazistsze w zestawieniu jego samobójczej decyzji z melodramatycznym, ocierającym się o kicz rozwiązaniem losów Winićjusza i Ligii. Sienkiewicz zresztą wielokrotnie podkreślał swoje przywiązanie do antycznego ładu, do form klasycznych oraz zasadniczej roli lektur dzieł starożytnych (Tacyta).

Dowodem na znaczenie kultury antycznej było także zaniechanie przez pisarza zamierzonej powieści o Julianie Apostacie. Warto przytoczyć zanotowane przez Ignacego Chrzanowskiego zdanie pisarza o powodach rezygnacji:

„Już stanowczo powieści o Julianie Apostacie pisać nie będę. Chciałem podobnie jak w *Quo vadis*, wyzyskać kontrast między światem pogańskim a chrześcijańskim, a tymczasem teraz, kiedy te czasy poznałem, jasno widzę, że moralność ówczesnego ogółu chrześcijan nie stała wyżej od moralności pogan. A zresztą powiedz sam, czy ja mogę darować ówczesnym chrześcijanom, że niszczyli i palili cudowne greckie świątynie?”<sup>3</sup>.

Problemem, który wielokrotnie absorbował badaczy i uważnych czytelników dzieł Sienkiewicza, był jego „ideologiczny” przełom na początku lat osiemdziesiątych, kiedy to autor *Trylogii*, dotąd demokracja i radykał, porzuca środowisko pozytywistyczne i wiąże się z konserwatystami. Powodów można znaleźć wiele, ale nie są one rozstrzygające. Sienkiewicz był twórcą, odpowiednio hierarchizującym swoje cele, przede wszystkim pisarskie, a następnie społeczne, lecz uzależniał je w wysokim stopniu od spraw osobistych; rodzinnych i środowiskowych. W latach, o których mowa, te ostatnie – wiążąc się z projektowanym małżeństwem – wysunęły się na czoło. W liście do przyjaciela Stanisława Witkiewicza, można znaleźć wyznanie, iż od zakochania się w Marii Szetkiewiczównie wszystko „...co [...] robiłem przez ten czas, to dla niej robiłem i dla naszej wspólnej przyszłości”. A o wyrzeczeniach wywołanych przez „próbę przed-narzeczeńską”, pisał: „...dla niej gotowym przejść przez wszystkie wymagalne stadia i formy, i zwyczaję, i nie robić nic ubocznie jako narwany literat, ale zawsze jako stateczny człowiek” (list z 27 I 1881 r.).

Podobne wyznania można odnaleźć w listach do Mściława Godlewskiego. Na tych epistolarnych podstawach można także odtworzyć Sienkiewiczowski ideał życia rodzinnego; na poły mieszczański, na poły ziemiański. To już atmosfera *Rodziny Połanieckich*. Nie darmo żył na „filisterstwo” przyjaciela Witkiewicza: „On tylko myśli i mówi o atlasie koloru związanych liści, którym pokrył mebelki swojej Pani”<sup>4</sup>. Jednak zmiana „obyczajów” domowych, wizyty, bywanie w „salonach”, wreszcie praca na stanowisku redaktora w konserwatywnym „Słowie” – rodzą pragnienie „wolności”, którą mogłaby zapewnić „ucieczka” w egzotyczne i dzikie krainy; w pragnieniach pisarza pojawiają się coraz częściej podróże imaginacyjne w odległą egzotyczną przestrzeń. Jak świadczą listy do Witkiewicza, chęć ucieczki: do Kalifornii, do Afryki, do Azji, powtarza się coraz silniej, zwłaszcza w chwilach depresji czy zniechęcenia do „miejscowych stosunków”, w których pisarz się „dusił”:

„Co za pies ze mnie, że tak muszę harować i to w rzeczach, których nie cierpię. Prócz tego chodzi za mną tuman konkurencji, niechęci, złości, nienawiści, plotek, intryg, polemik – sama obecność tego czegoś

przy mnie, który jestem sobie z kanionu i kocham kanion – drażni mnie [...]” (list z 12 III 1882)

„Jestem [...] z kanionu” – to samookreślenie Sienkiewicza jest również składnikiem jego autokreacji jako nieustannego wędrownika, poszukującego dla siebie przestrzeni wolności.

Musiał jednak dokonać wewnętrznego kompromisu, zgodzić się na związek nie tylko uczuciowy, ale także – przynajmniej częściowo – ideowy z konserwatywnym ziemiańskim środowiskiem. Nie udawały się mu próby zreformowania „Słowa” w „duchu umiarkowanie postępowym”. Jego wcześniejsza deklaracja (także w liście do Witkiewicza) skierowana przeciwko „partyjnemu” doktrynerstwu („Wszelkie dopasowywanie ludzi i życia do doktryny nie tylko tych, co to czynią, zawodzi, ale dla innych staje się krzywdą”, list z grudnia 1880) traci znaczenie. Sienkiewicz – jak pisał Andrzej Stawar – nie był ideologiem, ale „...pozwał innym robić z siebie ideologa”. W rezultacie Sienkiewiczowski „eskapizm” zmienił kierunek z ucieczki w przestrzeń w ucieczkę w czas historyczny; w wiek siedemnasty.

Ale także słynny cykl „dla pokrzepienia serc” ujawnia sprzeczność w poglądach Sienkiewicza na historię Polski. Przekonanie wypowiedziane w cytowanym liście do Witkiewicza: „...sądzę, iż wyzwolenie się od teorii, niezależnie od obozów literackich, podawanie życia obiektywnie, zamiast naciągania do teorii, to sekret mego powodzenia.” (list ten sam), w jakimś stopniu określa koncepcję dzieła, która w początkowej fazie zmierzała w innym – bardziej tradycyjnym – kierunku. Dopiero w trakcie pracy nad *Ogniem i mieczem* rozbudowywała się fabuła i zmieniało wstępne założenie, a kolejne ogniwa cyklu rozrastały się w panoramiczne dzieło przedstawiające wielkie zdarzenia dziejowe, które w efekcie, dopiero przekształca się w „...książki pisane w trudzie niemającym dla pokrzepienia serc”. Dalekie od takiego założenia było jeszcze pesymistyczne zamknięcie *Ogniem i mieczem* zdaniem o nienawiści, która „...wrosła w serca i zatruwała krew pobratymczą i żadne usta długo nie mówiły: »Chwała na wysokościach Bogu, a na ziemi pokój ludziom dobrej woli«”. Bystry krytyk i powieściopisarz, Michał Kryspian Pawlikowski, nie bezzasadnie przeczył idei „krzepiącej” jako wyjściowej formule *Trylogii*:

„Sienkiewicz, jak każdy pisarz-artysta pisał wyjątkowo w celu napisania dobrej książki, Użycie przez niego zwrotu o »pokrzepieniu serc« było zwykłym dygiem przed pewnym gatunkiem czytelników »zaangażowanych«. Potem, z biegiem czasu sam zapewne w to »krzepienie serc« uwierzył”. (*Wojna i sezon*, Paryż 1965, s. 137).

Co się zatem stało, że wcześniejsza skromna koncepcja „zwykłej” powieści historycznej przekształciła się w cykl książek „pokrzepiających”? Zapewne miał rację Kazimierz Wyka wskazujący na symbiozę oczekiwań i zamówień czytelników potrzebujących po klęsce powstania styczniowego kompensacji. I dopowiedzmy, ten niezwykle sukces *Trylogii* wyrastał na zdemokratyzowanym „pozytywistycznym” gruncie, coraz szerszej obecności czytelniczej klas (przede wszystkim chłopów i plebejskiej zbiorowości miast) dotąd nie uczestniczących w kulturze.

Rozbrat Sienkiewicza z środowiskiem pozytywistycznym odbywał się więc na innym, ideologicznym

3 I. Chrzanowski, *O Sienkiewiczu. Z cudzych opowiadań i własnych wspomnień*, w: *Pisma wybrane*, Kraków 2003.

4 Z. Piasecki, *Nieznane listy Marii z Szetkiewiczów Sienkiewiczowej do Stanisława Witkiewicza*, „Zeszyty Naukowe WSP w Opolu. Filologia Polska” z. XXVII, 1989, s. 7.

i obyczajowym gruncie. Nie tylko z jego inicjatywy, lecz także przez niechęć „postępowców” (Świętochowskiego, Orzeszkowej, Asnyka) oraz „kaperowanie” go przez konserwatystów (przede wszystkim autora entuzjastycznego omówienia *Ogniem i mieczem* Stanisława Tarnowskiego). W rezultacie sam Sienkiewicz poddaje się owym naciskom i retrospektywnie stara się przedstawić swoją – rzekomą od początku – niechęć wobec pozytywizmu. W cytowanym często liście do Konstantego Marii Górskiego pisał: „Ja z tym nastrojem nie polemizowałem wprost – kręciłem się nawet w tym pozytywnym słoneczniku sam, ale byłymi on *sans le savoir* wstrętny [...]” (list z dn. 14 VII 1895 r). Niemniej owe antypozytywistyczne i antyracjonalistyczne („racjonalizm by nas zażydził (przepraszam), wysuszył i schińszczył”) przekonania są w znacznym stopniu dyktowane praktyczną potrzebą – „wymuszenia” na Górskim (cenionym krytyku literackim) omówienia *Rodziny Połanieckich* (do czego jednak nie doszło). A parę lat później w liście do Karola Potkańskiego Sienkiewicz z sarkazmem oceniał konserwatywne środowisko krakowskie:

„...w Krakowie znajdę parę osób, z którymi potrafię żyć, ale bardzo on mi się nie uśmiecha z powodu swojej dusznej, pańsko-klerykalnej atmosfery. Żle jest, jeśli w jakiej społeczności jest więcej Kościoła niż Chrystusa i więcej obserwacji niżli chrześcijaństwa, a w Krakowie tak jest, tego rodzaju pieczęć wyciśnięta została na umysłach, na kulturze, na sztuce, słowem na całym życiu”.

Takich sprzeczności w światopoglądzie Sienkiewicza, aż po koniec XIX wieku, można odnaleźć sporo. Dopiero rok 1900, rok jego jubileuszu, staje się właściwą cezurą w jego biografii i pisarstwie. Wtedy sytuacja Sienkiewicza jako autorytetu i dysponenta idei narodowej najmocniej się uwydatnia. Dyskontują je orientacje konserwatywne i nacjonalistyczne. Wówczas też zostaje „wyniesiony na urząd” „hetmana dusz polskich”. Górne granice apoteozy wyznaczyła książka Józefata Nowińskiego (*Sienkiewicz* 1901), kreująca go na wodza narodu i sakralizująca jego twórczość: „Tajemnice tworzenia w jednej osobie – człowieka i wcielenia idei tylko najwięksi artyści zdołali wykraść Bogu” – pisał Nowiński. I oczywiście – Sienkiewicz.

Sam Sienkiewicz – mimo niechęci – podejmuje się ról publicznych, do których zmusza go ten rodzaj uznania i apologii. Sam coraz częściej przyjmuje na siebie te narzucane mu role. Wypowiada się jako autorytet i reprezentant narodu. Píše „listy otwarte” (do baronowej Suttner, do ministra rosyjskiego, do cesarza Wilhelma); Wygłasza przemówienia (na zjeździe wychowanków Szkoły Głównej, tzw. „balkonowe” w czasie demonstracji 1905 roku, przemówienie po otrzymaniu Nagrody Nobla); píše odezwy i okolicznościowe artykuły. Podejmuje się różnych funkcji społecznych, przewodniczy spotkaniom i zebraniom. Przejściowo wiąże się politycznie z Narodową Demokracją. Przykłady takie można mnożyć w nieskończoność. Jednak konsekwencji jego wyniesienia na piedestał było oczywiście więcej i nie wszystkie miały pozytywne skutki. Prywatność Sienkiewicza zostaje upubliczniona, każdy gest, wypowiedź, podróż i stan zdrowia są podawane do ogólnej wiadomości, często w zniekształconej i zafałszowanej formie. Zarazem pi-

sarz coraz mocniej wchodzi w środowisko ziemiańskie i arystokratyczne, gdzie jest szczególnie adorowany i fetowany. W tych związkach ujawnia się pewien snobizm Sienkiewicza, goszczącego w arystokratycznych pałacach, a zwłaszcza chętnie biorącego udział w polowaniach. Uczestniczy w nich, chociaż narzeka (trudno orzec na ile szczerze) na owe „towarzystwo” obowiązków.

Natomiast jako pisarz przeżywa kryzys twórczy; píše stosunkowo mało i często na „zamówienie”; nie może skończyć zapowiadanej „trylogii wiedeńskiej” (powstaje jedynie pierwsza nieudana jej część *Na polu chwały*), na pierwszej części zamyka się również powieść *Legiony*. Z dużymi trudnościami tworzy współczesną (o roku 1905) powieść *Wiry*. Dopiero ucieczka w afrykańską egzotykę oraz znalezienie nowego młodzieżowego adresata pozwala Sienkiewiczowi po raz ostatni napisać powieść na miarę dawniejszych dzieł – *W pustyni i w puszczy*.

I jeszcze jedno zaskoczenie. Oto autor *Wirów* i wielu jednoznacznie negatywnych wypowiedzi o socjalizmie, w gruncie rzeczy przeciwnikiem socjalizmu nie był. Już w latach siedemdziesiątych XIX wieku przyznawał się do lektury Ferdynanda Lassalla, potem pisał w publikowanych w „Gazecie Polskiej” *Listach z Paryża* zjadliwy komentarz do obrazu przedstawiającego apoteozę Thiersa jako pogromcy Komuny Paryskiej. Ale – co najistotniejsze – wypowiadał się wprost o socjalistycznej idei:

„Muszę się zastrzec, że na socjalizm patrzę jak na poważną ewolucję, z której muszą się narodzić również poważne reformy społeczne, ale rozróżniam socjalizm od socjalistów, zwłaszcza od naszych socjalistów...” – pisał w liście z dn. 14 VIII 1905 roku do Bronisława Kozakiewicza.

Nie traktujmy więc Sienkiewicza jako ulepionego z jednej bryły monumentu. Uważna lektura i bliższe przyjrzenie się jego biografii pozwala bowiem w nich dostrzec zastanawiające opozycje. Nie są one po prostu „potknięciami” pisarza i „drzemką” Homera. Sienkiewicz jako twórca swojej epoki podlegał jej różnym ciśnieniom. Ale zarazem był pisarzem w pełni świadomym swej roli, pisarzem o zadziwiającym zmyśle nowoczesności, która nie rysowała się przed nim jednoznacznie. Co więcej, owe sprzeczności wynikały w znacznej mierze z ironicznego dystansu, swoistej refleksji nawet nad – wydawałoby się – rozstrzygniętymi definitywnie sprawami. Sienkiewicz nie był zwolennikiem jednej raz na zawsze danej aksjologii i dlatego do wielu kwestii powracał, aby je rozważyć raz jeszcze. Był realistą, który uznawał, iż problematyka „artyzmu” jest integralnie związana z formą przedstawiania świata. A co za tym idzie, także atrakcyjności opowiadania i w tym sensie „baśnią” dla dorosłych, o której znaczeniu pisał cytowany na początku Jerzy Axer. Z tych powodów warto czytać Sienkiewicza i pod atrakcyjną, przygodową powierzchnią odkrywać sensy znacznie głębsze oraz rozpoznawać „dialogowy” charakter jego pisarstwa.



MARIAN STĘPIEŃ

# DWÓR MIŁOSZA W KRAKOWIE

Moi amerykańscy studenci dowiedziawszy się, że 15 lutego 1984 roku na uniwersytecie w Fairfax pod Waszyngtonem będzie spotkanie z Czesławem Miłoszem, zwrócili się do rektora o mikrobus, a do mnie z prośbą, bym pojechał tam z nimi. Z Pensylwanii do Waszyngtonu nie jest tak blisko, ale jak na amerykańską wyobraźnię przestrzenną – to całkiem niedaleko. O Miłoszu i o jego twórczości dowiedzieli się ode mnie, słuchali moich wykładów. Ich koledzy, którzy nie chodzili na moje zajęcia, byli zdziwieni takim pomysłem. Miłosza nie znali, nie słyszeli o nim. Czytali wiersze Zbigniewa Herberta, nazwisko ich tłumacza nic im nie mówiło. Pismo poetyckie, które widziałem czasem w ich rękach nazywało się „Mister Cogito”. Było istotnie tak, jak w rozmowie Agnieszki Kosińskiej z Czesławem Miłoszem:

„Nie wytrzymałam i wyluszczyłam CM swoją tezę, że Polacy nie lubią swojego noblisty, mogą się nim chwalić, ale go nie lubią, bo nie spełnił polskiego mitu poety nieszczęśliwego: ma Nobla, dwa obywatelstwa, młodą żonę, rodzinę, urządził się, ciągle z powodzeniem pisze, pokazuje swoją pyzată (o pyzatej nie mówiłam, żeby go nie martwić), twarz w mediach, no i nie umarł młodo”. Miłosz się zasępił i odpowiedział: „Ma pani rację, mnie tu nie lubią. Bardziej niż w Ameryce”. Na to autorka: „(Zdecydowałam się na szach-mat, skoro tak daleko zaszliśmy): W Ameryce jest pan, zdaje się, raczej obojętny, trudno mówić o niechęci”.<sup>1</sup>(275-276).

Spotkanie moich studentów z Miłoszem było pozbawione akcentów politycznych. Czytał swoje wiersze we własnym przekładzie na język angielski. Niektóre po polsku. Wśród słuchaczy były też osoby znające język polski; najświeżsi „solidarnościowi” emigranci. Niektórzy upominali się o znane im wiersze, do których byli bardzo przywiązani prosząc o ich przeczytanie. Miłosz chętnie spełniał ich prośbę. Zamykając swój wieczór autorski wypowiedział zdanie, w którym zabrzmiał fałszywy ton. Nie pytany o to, powiedział na zakończenie: „In 1981 I returned to Poland, to Poland of »Solidarity«, but now I am again abroad”.

Miłosz nie wrócił do Polski w 1981 roku. On ją odwiedził. Powinien raczej powiedzieć: „I visited Poland”. Ale wówczas to zdanie nie zawierałoby tej treści, na której widocznie mu zależało, sugestii o prześladowaniu go, co zmuszało do dalszego przebywania na emigracji.

W 1981 roku, już jako laureat Nagrody Nobla Miłosz odwiedził Polskę, odbył triumfalne tournée po polskiej ziemi i powrócił do siebie, do Berkeley w Kalifornii. Do Polski się przeniósł dopiero po kilkunastu latach, gdy otrzymał tytuł Honorowego Obywatela Królewskiego Miasta Krakowa oraz dożywotnie mieszkanie na ulicy Bogusławskiego pod numerem 6.

I powstał tu swoisty dwór, na którym zasiadł podkreślający, że pochodzi z tej lepszej szlachty, Czesław Miłosz. Spędzał w nim połowę roku, drugą połowę w Kalifornii. Na dworze i wokół dworu kręciły się różne osoby. Godne i znane, obdarzone różnymi talentami, również mniej znane, mniej utalentowane, lub nawet pozbawione talentu, czy szczególnych właściwości. Pochlebcy, panegiryci, ogrzewający się w kręgu Miłoszowego blasku. Agnieszka Kosińska przenikliwiej ich oceniała niż sam Miłosz, który lubił zbierać pochwały i słowa uznania. Powiedziała mu kiedyś w zniecierpliwieniu: „Mam już dość tekstów banalnych o panu, ulizanych, pobekujących na wspólnym bekowisku”(459). I jak to bywa na różnych dworach – tego „piekła ludzkich interesów i ambicji”(592).

Między szczegółowymi zapiskami o spełnianiu codziennych obowiązków i załatwianiu niezbędnych spraw życiowych pojawiają się strzępy rozmów autorki z Miłoszem, w których dochodzą do głosu opinie poety, nie ujawniane w publikowanych tekstach, a interesujące i ważne. Wątpliwości wywołał *Sąsiedzi* [Natana] Jana Grossa. Zarzucił mu potraktowanie *Jedwabnego* bez uwzględnienia kontekstu. W tamtym czasie na Litwie i w Estonii robiono z setkami Żydów to samo, a w świetle publikacji Grossa zbrodnicze działania miałyby charakteryzować szczególnie Polaków. „A co z antysemityzmem Niemców, Francuzów” – zapytywał. Na odezwanie się przysłuchującej się rozmowie Carol: „Czesław, wiadomo, że Polacy to antysemita”, Miłosz dostaje „białej gorączki, na policzki występują mu czerwone plamy, podnosi głos: »Carol, you don't know what are you talking about«” (218). „Najbardziej – mówi Miłosz – mam za złe Grossowi, że nie napisał nic o pogromach Żydów na Litwie. To jednak jest brak kontekstu. No i ciągle myślę, jak mogło się tylu Żydów zmieścić w tej stodole” (220). Ta wątpliwość powracała parokrotnie w jego rozważaniach wywołanych *Sąsiadami*. Podzielał ją także jego syn, Toni: „Jak mogło się w stodole zmieścić 1600 Żydów?” Miłosz mówił do siebie: „Jak to jest możliwe? Jak to jest możliwe? To jest niemożliwe” (168). Ta kwestia dla nich (dla ojca i dla syna) o tyle była ważna, że wzbudzona przez nią wątpliwość podważała wiarygodność przekazu Grossa w ogóle, co

<sup>1</sup> Agnieszka Kosińska, *Miłosz w Krakowie*, Kraków 2015. Pojawiające się po cytatach cyfry będą oznaczać numer strony tej książki. Litera CM w cytatach oznaczają Czesława Miłosza.

potwierdziła refleksja autorki zanotowana na marginesie tej rozmowy: „Jest to według nich jakaś zasadnicza przeszkoda, która nie pozwala myśleć o całej reszcie spokojnie i logicznie, więcej, która podważa całość relacji” (168).

Zapowiedziane przez Kwaśniewskiego przeprosiny na rocznicę tej tragedii uznał Miłosz za „mądry i potrzebny krok” (194).

W Wilnie mówił o żyjących przed wojną w tym mieście Żydach. O wspólnej wobec nich winie. O tym, że kiedy tam mieszkał, nie zdawał sobie sprawy z istnienia też Wilna żydowskiego. Jego słowa Litwini słuchali w skupieniu, z akceptacją. Ale kiedy przemówił Litwin, Tomas Venclova – zakrzyczano go: „Żydzi dostali to, na co zasłużyli” (158).

Miłoszowi brakowało też w pracach Grossa uwzględnienia roli Niemców w wywoływaniu aktów nienawiści do Żydów, co prowadziło do fałszywego przedstawienia tragicznych wydarzeń. Myślał o polemice z Grossem. Zamierzał wykorzystać w niej książeczkę Michała M. Borwicza (Boruchowicza) *Jak naziszi sterowali antysemityzmem*, wydaną w 1947 roku ze wstępem Zofii Nałkowskiej.

Już dawniej, aczkolwiek nie w publikowanych tekstach, wypowiadał się przeciwko jednostronnemu oskarżeniu Polaków za zbrodnie popełnione na narodzie żydowskim. W liście do Giedroycia z 16 kwietnia 1968 roku pisał:

„Tu wczoraj był wieczór o antysemityzmie w Polsce zorganizowany przez związek żydowskich studentów. Przemawiał Jedlicki, Grynberg (przyleciał z Los Angeles) i ja – z obowiązku, z poczucia, że coś trzeba zrobić, żeby nie wyszło, że to Polacy wymordowali Żydów, jak na tymże wieczorze oświadczył profesor żydowsko-węgierskiego pochodzenia. Teraz zresztą to pójdzie całą parą – Polska najbardziej antysemicki kraj na świecie! To jest obłąd i czysty surrealizm. Grynbergowi w Los Angeles Żydzi zabronili odczytać wiersz o Warszawie na obchodzie getta – bo cokolwiek ma cień sympatii do Polski, jest potępione. [...] Jeszcze tak dalej, a Polska będzie odpowiedzialna za komory gazowe”.<sup>2</sup>

W rozmowie z autorką książki uściślał swoje intencje leżące u genezy wiersza *Campo di Fiori*. Chciał wypowiedzieć prawdę ogólną, że ludzie bawią się, mijają obojętnie męczeńskie stosy. A co do sporu, czy ta karuzela rzeczywiście się kręciła, czy stała nieruchoma, ustalono, że była nieczynna, została uruchomiona tylko w niedzielę wielkanocną i wtedy tam Miłosz przejeżdżał.

Najciekawszą i najbardziej przekonującą także dlatego, że powstała zaraz po wojnie, nie zdążyła wpisać się w późniejsze polityczne różnorodne powikłania opinią o *Campo di Fiori* jest ta, która została umieszczona w *Elegii* powstałej w 1945 roku:

„W ustosunkowaniu się Warszawy do getta była i niechęć i współczucie, i wstyd, i antysemityzm. Nad wszystkim górowała jednak bezmyślna nieczułość. Te karuzele pełne śmiechu, obracające się w dymach płonącego obok getta – to nie był objaw żadnego antysemityzmu, to była zupełna obojętność wobec losu bliźnich, taka obojętność, że nie pozwalała nawet skłonić głowy przed nieszczęściem, pójść do domu i poświęcić

choć godzinę milczenia tym, którzy giną i którym nie można pomóc”.<sup>3</sup>

Redakcja izraelskiej gazety „Haaretz” zwróciła się do Miłosza o artykuł, który by ukazał, jak różne narody próbują uporać się ze swoją przeszłością. Miłosz rozważał: „Nie chcę mówić prawdy, a musiałbym powiedzieć, że Żydów litewskich zamordowali Litwini [...]. Musiałbym też potępić syjonizm, bo uważam, że Żydzi sami złapali się w tę pułapkę. Proszę odpisać, że nie jest to moja dziedzina. Odmawiamy” (255).

Podczas dyktowania przez Miłosza tekstu o Stefanie Napierskim przeznaczonego do *Spizarni literackiej* doszło do głosu owo polskie anty-filo-semickie zapętlenie, działające na tym tle zniewolenia, nie pozwalające na swobodne formułowanie zdań dotyczących Żydów. W wahanich Miłosza odbijają się te szantaże i obawy rzeczywiste i urojone, które są udziałem wielu Polaków piszących na te tematy. Ostrożność „na wszelki wypadek”, by nie być posądzonym o antysemityzm, liczenie się z odbiorem przez Żydów i przez Polaków, przez anty- i filosemitów. (Jak w *Lekcji konwersacji* Kazimierza Wierzyńskiego: „Nie mów o Polakach i Żydach, to pole minowe”). Nie przypuszczałem, że te poplątane sprawy polskiego anty-i filo-semityzmu, te psychologiczne szantaże na różne sposoby wygrywane, również Miłosza będą ograniczać w swobodnym formułowaniu potrzebnych zdań:

„CM dyktuje nowy tekst do cyklu *Spizarnia literacka* o *Napierskim* i dochodzimy do jego pochodzenia.

CM: Był Żydem, ale jak to napisać?

CM: To jakoś nie wypada.

AK: No to żydowskiego pochodzenia” (459).

W książkowym wydaniu *Spizarni literackiej* (Kraków 2004) jest informacja normalna: „Prawdziwe nazwisko Stefana Napierskiego brzmiało Stefan Marek Eiger – był on Żydem, synem bardzo bogatej Diany Eiger, znanej warszawskiej damy i filantropki”<sup>4</sup>.

Z Ludwikiem Frydem podobny kłopot:

„CM czuł, że powinien Frydego jakoś dookreślić, szczególnie, że był on zwolennikiem tomizmu Maritaina, co wybrzmi w pełni dopiero wtedy, kiedy się wie, że był Żydem.

CM: Jeśli pominę, będzie to pominięcie znaczące. Szkoda, że nie można po prostu napisać, że był Żydem. [...] Sprawdzam dotychczas podyktowane *Spizarnie*.

AK: Tak, nigdzie nie mówi pan o nikim wprost, że był Żydem.

CM: Napiszmy, że pochodził z rodziny żydowskiej” (505-506).

W książkowym wydaniu *Spizarni...* – „Fryde, jako Żyd, dzielił z innymi strach przed hitleryzmem w Niemczech”<sup>5</sup>.

W wielu publikacjach spotykałem podobne wahania i obawy. Toteż pamiętam, z jaką przyjemnością rozpoczynałem lekturę książki Marci Shore *Kawior i popiół. Życie i śmierć pokolenia oczarowanych i rozczarowanych marksizmem*. Amerykańska autorka, wolna, nieznająca obawy przed wejściem „na pole minowe” polsko-żydowskich zapętleń, które nawet Miłosza obezwładniały, pisze w sposób po prostu normalny o związanych z lewicą Żydach tworzących nurty

3 Cz. Miłosz, *Elegia*, „Polityka” 1987, nr 26.

4 Cz. Miłosz, *Spizarnia literacka*, Kraków 2004, s. 67.

5 Tamże, s. 70.

awangardowe polskiej literatury w latach międzywojennych.<sup>6</sup>

Przewijają się w książce wątek dotyczący narodowości Miłosza. Sam przyczynił się do różnych komentarzy na ten temat. Jakby nie mógł się zdecydować, kim jest. Aż do ostatniego wywiadu udzielonego w grudniu 2003 roku.

W rozmowie z autorką: „My, Litwini, porządni, systematyczni, pracowici, w przeciwieństwie do koroniarzy, którzy nie mieli u nas dobrej opinii”. Na to autorka zapytaniem: „Myślał pan o sobie: Litwin mówiący po polsku?” Miłosz odpowiada krótko: „Tak”(402).

Gdy odwiedziłem go w Berkeley w 1978 roku (nie był jeszcze światowej sławy noblistą) na pytanie, za kogo się uważa, odpowiedział dłuższym wywodem, że wychował się i wyrósł w żywiole polskiej kultury, język polski był od dzieciństwa jego językiem ojczystym. „Że niektórzy Litwini – dodał – uważają mnie za spolonizowanego Litwina, to ich sprawa, ale ja czuję się Polakiem. A w czasie okupacji we wszystkich dokumentach miałem wpisane „narodowość polska”.<sup>7</sup> Oświadczenie poety przyjąłem jako wystarczające wyjaśnienie. Później jednak się okazało, że sprawa nie jest taka prosta. Wielokrotnie do niej wracano, dopatrywano się niejasności, niedomówień, które składały się na obniżenie zaufania do jego oświadczeń, zresztą także w innych kwestiach. A poza tym – co najważniejsze – poczucie świadomości narodowej Miłosza ulegało ewolucji, co nie wartościuję, tylko opisuję. Dowodem tego różnica między przytoczoną rozmową z sekretarką a odpowiedzią na podobne pytanie, które usłyszałem od Miłosza w 1978 roku. W ostatnim wywiadzie, jakiego Miłosz udzielił, na pytanie: „Jak po latach podróży, emigracji i różnych »geograficzno-kulturowych« doświadczeń określiliby Pan swoją tożsamość?” poeta odpowiedział: „Nie umiałbym jednoznacznie odpowiedzieć na to pytanie”.<sup>8</sup>

Po powrocie z Wilna w 2000 roku opowiadał: „No, lekko nie było: mnie bili, że jestem litewskim Polakiem, a Venclovę, że jest polskim Litwinem”(154). Autorka o tym pobycie pisarza w Wilnie pisze: „Miłosz wprawdzie bardzo się cieszył na to wczesnopaździernikowe Wilno (panel noblistów: CM, Grass, Szymborska, a z nimi Venclova) [...], ale teraz coraz bardziej jednak widzi wizytę Niemca, Polaka i Litwina w Wilnie Anno Domini 2000 sceptycznie. Chodzi jak struty. Nie pozostaje to bez związku z obecną polityką względem Litwy. Krótko mówiąc, dla Miłosza, z całym jego galimatiasem polsko-litewskim, z którego ciągle musi się tłumaczyć, sytuacja niezręczna i niewdzięczna z każdej strony”(128).

Na zarzucaną mu antypolskość odpowiadał, że pisarz jest po to, by jego ziomkowie czuli się z tym, co pisze, niewygodnie. A poza tym uważał, że „Polacy są antypolscy w swym rdzeniu”(205). Z myślą również o swojej sytuacji na emigracji charakteryzował ich: „Są narody, które trzymają się razem, szczególnie za granicą, czy w jakichś warunkach ekstremalnych. Polak Po-

lakowi jednak nie przepuści i z czystej zazdrości rodaka zniszczy. Praca u podstaw, praca dla wspólnoty to chyba ciągle są bardzo egzotyczne, niezrozumiałe cechy w naszych warunkach klimatycznych”(205).

Ciągłe wracanie do sprawy jego paszportu (mylnego z dowodem osobistym) wywołało wyjaśnienie:

„A oto, w skrócie, prawda o moim rzekomym paszporcie litewskim. Kiedy Wilno znalazło się w obrębie neutralnej Litwy, a więc w okresie 1939-1940, podzielnymi mieszkańcami na kilka kategorii. Obywatelstwo litewskie dawano tym, którzy figurowali od dawna w wileńskich księgach meldunkowych. Ponieważ należałem do tej kategorii, otrzymałem dowód osobisty litewski, podający, zgodnie z moją intencją, moją narodowość jako polską”. Ten wileński dowód osobisty poeta musiał zniszczyć, gdy przez kilka granic przedostawał się z Wilna do Warszawy, bo kolidował z fałszywą przepustką na przejazd z Suwałk do Generalnego Gubernatorstwa.<sup>9</sup>

Okazuje się, że również Miłoszowi (jak wielu – niestety – polskim pisarzom) łatwiej przychodzi własne dawne myślenie uznać za głupotę, niż poddać je analizie, rozwiniętej ocenie, wyjaśnić motywy własnego postępowania, ewolucję swoich poglądów, co powinno być nie tylko obowiązkiem względem samego siebie, wyrazem szacunku dla własnej biografii, ale również – w przypadku takich osobowości jak Miłosz – należy się do czytelnikom i komentatorom jego biografii i twórczości. Przeglądaniu korespondencji z 1951 roku towarzyszy komentarz Miłosza: „No proszę, czysta głupota. Pokazuje moją głupotę”. Autorce-sekretarce to nie wystarcza, chciałaby – czemu nie można się dziwić – czegoś więcej, pełniejszego komentarza. Oponuje: „Raczej stan osaczenia, który jest dla współczesnego czytelnika nie do wyobrażenia”(462).

Ta sytuacja przypomina to, co o Ważyku pisał kiedyś Gustaw Herling-Grudziński. Po opublikowaniu *Poematu dla dorosłych*, podczas podróży po Włoszech Ważyk chciał się spotkać z Ignazio Silone. Na prośbę Aleksandra Wata Herling-Grudziński podjął się pośrednictwa. Silone zaprosił Ważyka na kolację, zainteresowany opiniami i poglądami byłego polskiego komunisty. Rozmowa nie trwała długo, gdyż Ważyk powtarzał: „Kiedy byłem komunistą, czyli człowiekiem chorym umysłowo”.<sup>10</sup>

W komentarzu Herlinga-Grudzińskiego przejawia się szacunek dla pisarza włoskiego i daleko idąca dezaprobatą dla postawy Ważyka. Można je zresztą traktować jako *pars pro toto* – nie było ono odosobnione wśród tych polskich literatów, którzy z zadziwiającą łatwością zmieniali swoje poglądy, bez zażenowania uznawali siebie za głupich, za wariatów, za umysłowo chorych.

„Dla Silonego – mówił Herling-Grudziński – cały proces odchodzenia od komunizmu był wielkim dramatem ludzkim. Często dawał do zrozumienia, że było ono dla niego tym, czym dla księdza odejście od Kościoła. Opisał w sposób bardzo piękny, jak został komunistą i jak przestał nim być. Relacjonując powiedział mi nawet, że było to obrażające. Ja byłem komunistą

6 Odnotowałem to moje wrażenie w recenzji książki Marci Shore zamieszczonej w „Zdaniu” (2009, nr 1-2).

7 Pisałem o tym we wspomnieniu zamieszczonym najpierw w miesięczniku „Poezja”; później weszło do książki *Dalekie drogi literatury polskiej. Szkice o literaturze emigracyjnej*, Kraków 1989.

8 W służbie słowa. Z Czesławem Miłoszem rozmawiała Małgorzata Anna Packalén, „Relacja” (Sztokholm), 2004, nr 11.

9 Zob. Cz. Miłosz, *Mój litewski paszport*, „Tygodnik Powszechny” 1989, nr 4.

10 G. Herling-Grudziński, *Dziennik pisany nocą. 1973-1979*, Warszawa 1990.



– mówił – i nie wstydę się tego. Odejście było dla mnie procesem bardzo trudnym i głębokim. Opisałem to, a przychodzi ktoś i mówi: »Kiedy byłem komunistą, czyli wariatem«<sup>11</sup>.

Podobnej do Ważyka formuły użył, pisząc o sobie, Jan Kott: „Byłem w szpitalu dla wariatów”<sup>12</sup>. Nieświadom, że tego rodzaju diagnoza, sobie wystawiona, równa się autokompromitacji nawet większej, niż działalność w latach służby Polsce Ludowej, jak w przypadku Czesława Miłosza, który jako dyplomata w latach czterdziestych nieźle się przysłużył sprawom polskiej kultury w Ameryce.<sup>13</sup> Komentując *Przyczynek do biografii* Jana Kotta Gustaw Herling-Grudziński czyni złośliwą aluzję do *Zniewolonego umysłu* Miłosza i jego Nagrody Nobla (stały kompleks Herlinga-Grudzińskiego): „W jednym z rozdziałów mowa o »ukąszeniu« heglowskim”. To było do przewidzenia [...], że przypadnie ono bardzo do gustu ex-»zniewolonym umysłem« w stadium wyzwoleńczej rekonwalescencji. Ma dźwięk Nobliwy. Kto wie, może kiedyś powstanie ZUH, Związek Ukąszonych przez Hegla”<sup>14</sup>.

Herling-Grudziński spoglądał na Miłosza nie bez zawiści, świadom niewspółmierności przeżytych doświadczeń, ze szczyptą goryczy na myśl, jak długo czekał na docenienie *Innego świata* w stosunku do *Zniewolonego umysłu*, a także – co jest już nieco inną sprawą – *Jednego dnia Iwana Denisowicza* Aleksandra Solżenicyna.

Relacje między Miłoszem i Herlingiem Grudzińskim były od długiego czasu bardzo niedobre. Herling-Grudziński bardzo krytycznie pisał o *Zniewolonym umyśle*. Szydził z „ukąszenia heglowskiego”. *Umysł zniewolony* odbierał jako niefortunną próbę autorehabilitacji mającej na celu usprawiedliwienie życiowego konformizmu uzasadnieniami filozoficznymi.

Toteż wypowiedziane w rozmowie z autorką opinie Miłosza o Herlingu-Grudzińskim wydają się stosunkowo łagodne. Nawet dyktował autorce rekomendację dla niego do Nagrody Nobla. Ale sprawa nie nabrała biegu. Porządkując papiery Miłosza po jego śmierci autorka nie znalazła śladów tej inicjatywy. A napotkana jego notatka o autorze *Innego świata* utrzymana jest w trybie czasu przeszłego: „Gustaw Herling-Grudziński was one of the most important witnesses of twentieth century, a heroic man and truth-worthy writer”. (134).

Rozmowy autorki z Miłoszem wnoszą też kilka ważnych szczegółów do przebiegu znanego spięcia Miłosza ze Zbigniewem Herbertem podczas towarzyskiego spotkania w Paryżu u Bogdany i Johna Carpenterów. Herbert miał oskarżyć Miłosza o krytyczny stosunek do polskiego podziemia, chociaż z niego korzystał i o to, że miał paszport litewski. Powtarza się informacja, ciągle – niestety – jednostronna o telefonie pojednania przekazanym przez Miłosza Herbertowi. Pozostaje zawieszona nad tym niezaspokojone pytanie, jak na ten telefon zareagował Herbert.

Stosunek wzajemny Miłosza i Herberta był bardzo złożony. Na wzmiankę o wierszu *Chodasiewicz* Miłosz

westchnął: „Boże, jak on mnie nienawidził. Ale i kochał. To się często zdarza, to połączenie” (454). To „miłosne” wyznanie brzmiałoby bardziej wiarygodnie, gdyby padło z ust Herberta.

Miłosz tak tłumaczył jego ambiwalentny do niego stosunek: „Co do Herberta, to być może, robiąc jego sławę na gruncie anglosaskim przez swoje przekłady, jestem winien wielkopańskości. Gdybym był o niego zazdrosny, nie robiłbym tego – ale tu – że stać mnie na to, żeby chudopachołkowi jeden majątek puścić w dzierżawę, i za to teraz Herbert mnie nienawidzi” (549). „To był szalenie skomplikowany człowiek, ale przede wszystkim chory” (180). To chyba Seneka już zauważył, że ten, komu wyrządziliśmy dobro, ten, który czuje wobec nas obowiązek wdzięczności, paradoksalnie staje się nam nieprzyjazny.

Miłosz sceptycznie odnosił się do deklarowanego przez Herberta przywiązania do kraju. Większość bowiem swego życia spędzał poza Polską i to w czasie, gdy inni pisarze bezskutecznie starali się o paszport i wyjazd za granicę. Do Jerzego Giedroycia pisał o nim: „Co do Herberta, to właściwie można zapytać, kim jest, ja nie mam żadnych danych, żeby go o jakieś powiązania posądzać, ale doskonałość poetycka niektórych jego wierszy to nie dosyć i nie wiem, kim jest. Pewnie przykładem *mimicry*: jaką poezję pisze endek pozbawiony władzy”<sup>15</sup>.

Ciągnęła się za Miłoszem sprawa jego stosunku do polskiego podziemia zbrojnego w Warszawie podczas okupacji niemieckiej i do powstania warszawskiego. Usiłował przyjść mu w sukurs jego brat Andrzej. Zamieścił w „Gazety Wyborczej” wyjaśnienie, że brat nie mógł wziąć zbrojnego udziału w powstaniu, bo mieszkał w części Warszawy zajętej przez Niemców, gdzie powstania nie było. Autorka najdelikatniej jak mogła, bo czytelnikowi na wiadomość o takim wyjaśnieniu nasuwa się ostrzejszy komentarz, dodaje: „Nie za bardzo był CM zadowolony z tego wyjaśnienia” (184).

I nic w tym dziwnego. Lepsze byłoby wyjaśnienie po prostu, że Miłosz miał krytyczny dystans do zbrojnej konspiracji działającej w Warszawie, a już szczególnie wobec decyzji wywołania powstania. Natomiast tłumaczenie Andrzeja Miłosza było tym bardziej nieskuteczne, a nawet śmieszne, bo w czasie, gdy Miłosz mieszkał na Mokotowie, „było tam najgoręcej [...] 6 sierpnia Mokotów był już opanowany przez Armię Krajową”<sup>16</sup>.

Chętnie i nie bez moralnej satysfakcji można zgodzić się z opinią Miłosza o Ryszardzie Matuszewskim. Ten urzędowy krytyk w najgorszych latach PRL obruszył się na słowa Miłosza o nim zamieszczone w książce *Zaraz po wojnie*. W chwili, gdy ona się ukazała (w 1998 roku) Matuszewski chciałby zapomnieć, kim był dawniej, poczuć się czołowym bohaterem literackiej opozycji politycznej, zasłużonym bojownikiem przeciwko Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. A tu nieoczekiwanie, w krótkim wstępie do korespondencji z nim z pierwszych lat powojennych Miłosz przypomniał, że Matuszewski „pisał o polskich poetach i prozaikach zawsze w sposób zgodny z politycznymi wymaganiami

11 Cyt. za: Jagoda Jędrzychowska, *Widzieć Polskę z oddalenia*, Poznań 1990, s. 162.

12 J. Kott, *Przyczynek do biografii*, Warszawa 1998, s. 216.

13 Por. mój artykuł *Czesław Miłosz jako dyplomata*, „Zdanie” 2016, nr 3-4.

14 G. Herling-Grudziński, *Dziennik pisany nocą. 1984-1988*, Paryż 1989, s. 60.

15 Jerzy Giedroyc, Czesław Miłosz, *Listy... jw.*, s. 447.

16 Zob. Tadeusz Tanaś, kpr. pułku BASZTA, *Paszport litewski Miłosza*. „Argumenty” 12 II 1989.

chwili [...] Ilość głupstw, które powypisywał w swoich podręcznikach, jest zawrotna”.<sup>17</sup>

Matuszewskiego oburzyły słowa Miłosza. Skierował do niego odpowiedni list, na który Miłosz odpowiedział: „Obudź się i spójrz na siebie możliwie obiektywnie” (76). A do swej sekretarki dodał: „To jest człowiek o miedzianym czole. Tak nic nie pamiętać, co się wypisywało” (497). To „miedziane czoło” przypominało mi zorganizowane w 1986 roku z inicjatywy Anny Tatariewicz spotkanie członków Związku Literatów Polskich z tymi, którzy się od niego odłączyli i wkrótce mieli założyć Stowarzyszenie Pisarzy Polskich. Jako były student polonistyki, później badacz literatury polskiej dobrze znałem drogę krytycznoliterackiej kariery Matuszewskiego, toteż z wielkim zażenowaniem (a nie byłem w tym odczuciu odosobniony) musiałem być świadkiem, jak na tym spotkaniu Matuszewski z największym emocjonalnym wzburzeniem opowiadał się przeciwko jakemukolwiek porozumieniu między zebranymi tam pisarzami.

Nie zapominał Miłosz o partyjnej przeszłości Wisławy Szymborskiej. Gdy uchylała się od wystąpienia na Targach Książki we Frankfurcie nad Menem powiedział: „Jak była w partii, to się udzielała, bo trzeba było, a teraz...”. (149).

Związła, a trafna jest uwaga o Adamie Zagajewskim: „jakoś nie można uwierzyć „w ten wysoki rejestr” i „ten płaczący ton jego wierszy” (460).

Słuszne jest oburzenie Miłosza na Normana Davisa w związku z jego książką *Smok wawelski nad Tamizą*. Davis bowiem insynuuje, że Polacy ekonomicznie i kulturalnie kolaborowali z Niemcami, a jako przykład takiej „kulturalnej kolaboracji” podaje zatrudnienie Czesława Miłosza w Bibliotece Uniwersyteckiej, co niewątpliwie – i tu ma rację Miłosz – jest dowodem „kompletnego niezrozumienia specyfiki okupacji nazistowskiej w Polsce” (490). Davis nie zdaje sobie sprawy z istnienia „prasy gadzinowej”, z tego też, że Polacy byli jedynym narodem, który nie kolaborował z Niemcami. „Z niego taki historyk, jak z koziej dupy trąba. Nie wie, że Paweł Jasienica to nie Żyd, a Tatar” (204).

Zaskakująca natomiast jest jego opinia o poezji Tadeusza Różewicza: „Przeczytałem *Szarą strfę* i jestem zdruzgotany. To czysta grafomania. Te wiersze o poetach. Ale co teraz? Kto się odważy? Młodych można gnić, ale starych?... Kogo ja popierałem? Cały czas widziałem w nim prostactwo, a jednak go popierałem...” (344). W wywiadzie telewizyjnym udzielonym Katarzynie Janowskiej powiedział, że „Różewicz był stalinistą”. W rozmowie z autorką, która nie może się z tym zgodzić, nie wycofuje swej opinii; jeszcze ją potwierdza: „No tak, ale to prawda” (231). Zdziwiona i wzburzona autorka przywołuje różne dowody z przeszłości – listy, dedykacje – świadczące o wielkim uznaniu, jakim darzył Tadeusz Różewicz Miłosza, a także słowa Miłosza o Różewiczu z przeszłości, wobec których te drastyczne opinie z ostatnich lat życia poety wywołują jej największe zdziwienie. Niepogodzona pozostaje solidarna z Tadeuszem Różewiczem.

Można przypuścić, że na tak radykalną zmianę oceny poezji Różewicza wpłynął jego wiersz *Zaćmienie słońca*. Tadeusz Różewicz szydzi w nim z widzeń Swe-

denborga, z jego rozmów z aniołami i trzecimi zębami, które mu w starości wyrosły. W istocie szydzi z Miłosza, przejętego kontaktami Swedenborga z życiem nadprzyrodzonym, do czego Miłosz jeszcze w ostatnich dniach swego życia i w przedśmiertnych zapiskach powracał. Wiersz Różewicza miał taką pointę:

Wystawiam sobie  
Świadectwo ubóstwa  
Ale nie mogę  
Gasić światła rozumu  
Tak obelżywie traktowanego  
Pod koniec naszego wieku<sup>18</sup>

Autorka poświęca też uwagę postaci Carol, żonie Czesława Miłosza, z dużym zrozumieniem dla jej trudności znalezienia się w kraju, którego języka ani obyczajów nie znała. Była przy tym – jak się okazało – śmiertelnie chora. Nie dawała tego znać po sobie, nikomu o tym nie mówiła, mąż zajęty własnymi sprawami niczego nie wiedział, nie zauważył, nie domyślał się. Carol wyjechała do Ameryki, do swoich lekarzy, by potwierdzić swoje obawy i już nie wróciła. „Zostawiła sterty dokumentów do wysłania. Jakimi siłami to robiła? Listy do księgowych, zestawienia, prognozy, do firm ubezpieczeniowych, do agentów. Miałkość, choć starała się i w takiej chwili robić, co do niej należy, a właściwie, co wzięła sobie na głowę. Jakże na swój sposób nieszczęśliwa musiała być ta kobieta[...]. W Polsce nie była u siebie. Dla niego zgodziła się tu być. I ta niewdzięczna rola, rola drugiej żony, macochy, jakże brzemienny w skutki był wybór Miłosza na towarzysza życia” (320-321 i 669).

Agnieszka Kosińska miała niezwykłą sposobność oglądać Miłosza z bliska, w warunkach codziennego życia. Obdarzona zdolnością prowadzenia obserwacji psychologicznych, samodzielnością sądu, zachowując pełną lojalność wobec swego pryncypała i wysoki sposób uznania dla jego talentu literackiego napisała rzecz, która rzuca również światło na istotne cechy charakteru Miłosza. Nie były one całkiem nieznanne, ale zostają potwierdzone i uzupełnione przez spostrzeżenia, do których miała dostęp tylko sekretarka poety.

Zauważa u niego brak dyspozycji „współodczuwania, współczucia, takiego rodzaju czułości, przed którym człowiek nie broni się instynktownie” (698).

A ponieważ w rozmowach przewija się nazwisko Jarosława Iwaszkiewicza, autorce nasuwa się porównanie tych dwóch twórców. U Iwaszkiewicza dostrzeżę „czułe oko, które widzi człowieka z jego biedą, zawsze z jego biedą” (701). A u Miłosza? „Myślę, że wiem, co CM we mnie ceni najbardziej: zdolność do empatii, czego sam jest pozbawiony [...]. Ultraczyły, ma jednocześnie tę nieczułość, chłód i nakierowanie na siebie, co jest niezbędne do tworzenia, ale blokuje empatię” (348).

Wprawdzie Miłosz – zdaniem autorki – dobro cenił najbardziej, ale sam siebie nie uważał za dobrego. I rzeczywiście nie był do tego zdolny, chociaż się bardzo starał (496). W rozmowach nie umiał być prawdziwy, autentyczny. „Zawsze wycofuje się (obronnie) na z góry upatrzone pozycje, tworząc na użytek danej rozmowy konstrukt, twór fikcyjny »Czesław Miłosz« i opatruje go biografiami. I tylko wobec kobiet, które lubi, które uwodzi [...] jest odrobinę kokieterijny. Ale to też w gruncie rzeczy poza maskującą” (350-351).

17 Cz. Miłosz, *Zaraz po wojnie. Korespondencja z pisarzami 1945-1950*, Kraków 1998, s. 368.

18 „Odra”, 1996, nr 10

Oto komentarz autorki do emitowanego w programie telewizyjnym filmu *Uczta Babette*. Oglądali go oboje. „Ale nie rozmawiamy na jego temat, bo nie jestem pewna, czy mój zachwyt nie skrzywdzi CM. Bo jest to film o hojności. O tym, że można dawać szczęście, nawet kiedy nie ma się nic do dania. Uszczęśliwianie innych to umiejętność, ale nie bezmyślna i mechaniczna, wymaga naszej aury, promieniowania, radosnej współpracy, wtedy i tylko wtedy zgodne w działaniu są wszystkie elementy i wszystko, co człowiek zamierza, jest proste i naturalne. Ponieważ dawanie szczęścia to tworzenie nastroju, a więc poruszanie najdelikatniejszych, najczulszych strun w drugim człowieku. Dokładnie tak, jak strojenie instrumentu” (245).

Bez komentarza autorka informuje, że 22 listopada 1945 roku umiera w Gdańsku matka Miłosza. Cztery dni później (26 listopada) jest jej pogrzeb. Syn nie jest obecny przy jej śmierci ani na pogrzebie. Dokładnie w dniu śmierci matki podpisuje w Warszawie umowę z Ministerstwem Spraw Zagranicznych o służbie dyplomatycznej, czeka na wydanie paszportu, jest w pogotowiu do wyjazdu.

Matka Carol w liście „pisanym bólem matki” oskarżała Miłosza, że nie dbał o Carol w czasie choroby. Wyrzucała mu, jak mógł nie zauważyć objawów choroby. „Carol opiekowała się CM, dlaczego on nie opiekował się nią?” (394-395).

I autorka wprost o swym stosunku do Miłosza: „Czy może być dla mnie wyzwaniem intelektualnym człowiek, którego nie interesuje ani muzyka, ani malarstwo, ani film, ani taniec, ani sport. Drugi człowiek w gruncie rzeczy też nie [...] A do jakich uczuć jest zdolny taki okaz? Oto jest pytanie. [...] Mnie interesuje CM jako pewien okaz ludzki, dziwowisko, jak się mawiało na wsi. Jak taki człowiek robi takie wiersze?” (606).

Cenne są ostatnie, dyktowane autorce podczas intensywnej terapii myśli Miłosza w dniach odchodzenia. Był on zdania, że powinna powstać książka o umieraniu. Rozmawiał o tym ze Szczeklikiem, który zanotował słowa poety: „Trzeba koniecznie napisać nową książkę o umieraniu i o śmierci [...], przedstawić, jak przechodzimy tę ostatnią próbę [...] sposoby, jakimi śmierć dobiera się do nas”.<sup>19</sup> Powracał do tych motywów w utworach poetyckich pisanych w ostatnim okresie swego życia.<sup>20</sup> Miłosza interesowało pojawienie się i rozwój konfliktu umysłu z ciałem. Jego poezja poświęcona starości jest obrazem zmagania się jednego z drugim i nieuchronnemu godzeniu się z nieustępliwością tego drugiego, czyli ciała. Niekiedy ze szczyptą humoru, ze świadomością śmieszności pisze o własnym ciele, które przewraca się na równej drodze, nie chce wejść na schody powłóczącymi nogami.

Miłosz obserwował i zapisywał (ściślej: dyktował sekretarce, by zapisywała, bo już i dłonie nie były posłuszne i wzrok zawiódł) jeszcze jedno, ostateczne ludzkie doświadczenie, którego osobiście doznawał, jak ciało i umysł przestają być jednością. Rejestrował objawy nieposłuszeństwa ciała względem umysłu. Oczy są nadal nienasycone, żadne wrażeń, ale ich zdolności słabną. Uszy coraz mniej słyszą. W miarę tracenia władzy umysłu nad ciałem dochodzi do

rezygnacji z ambicji motorycznych, co nawet przynosi ulgę, bo oznacza rezygnację z walki z ciałem. To jednak demoralizuje, prowadzi do degeneracji woli człowieka. Pozostaje bezwład ciała przy jasności myślenia. „Piekielna kombinacja wymyślona chyba po to, żeby upokorzyć człowieka, bo upokorzenia są liczne” (601).

„Sytuacja jest następująca: straciłem wzrok, a tym samym zdolność pisania. Częściowo też straciłem słuch. Nie mówię tego po to, żeby się uskarżać, ale pewne fakty są konieczne do zrozumienia mojej techniki dyktowania, która jedynie mi pozostała jako środek porozumiewania się ze światem. W ten sposób powstała moja książka *Abecadło* i dwie następne książki. [...] Zawdzięczam wiele pani Agnieszce Kosińskiej, mojej sekretarce, która czynnie bierze udział w procesie zapisywania. Jest to z mojej strony uparte pływanie, byle się nie poddać” (574).

Autorka nazwała te zapiski roboczo: *Starość*.

Odnutowywał zmiany, jakie w świadomości człowieka powoduje pobyt w szpitalu, gdy ciało „przedstawia się jako niezależne od nas”, a w gorączce pojawiają się fantastyczne kontynenty, z których powrót „wymaga zamysłu i czasu”. „Pobyt w szpitalu jest wielką operacją współczucia czy miłosierdzia” (575), uświadamia, że jesteśmy we władzy fizjologii. W młodości też jej podlegamy, ale to podleganie jest intuicyjne i mało uciążliwe. Wiek czyni naszą zależność jawną, bezwstydną. Trzeba myśleć o środkach zaradczych, do których na przykład należą refleksje nad nędzą ciała. Przeniesienie się w sferę ducha wyzwala, przynajmniej częściowo. I o swoim pisarstwie, jakby wyznając istnienie jakiejś ważnej tajemnicy: „Do banałów należy przypisywanie czy tłumaczenie wybitności czyjś pisarstwa jakąś skazą losu. Tak zdarzyło się ze mną, ale tę skazę mógłbym wyznać tylko na spowiedzi. Natomiast dzieło trwa obiektywnie” (588).

„Koniec po życiu jest trudny do wyobrażenia, ale robi się z tego coś trudnego do wyobrażenia, a tymczasem jest możliwość, że przejście nie jest dziwne i właściwie jest podobne do dalszego ciągu życia, w czym Swedenborg miałby swoje racje” (591). Gdy myślał o życiu pozagrobowym, przypominał sobie Williama Blake’a, który umierając w wieku osiemdziesięciu lat śpiewał triumfalne hymny, bo wiedział, że przenosi się do „krainy wiecznych intelektualnych łowów, pogoni za nieustannie odnawiającym się sensem rzeczy” (wiersz *Niebiańskie*).

Wracał myślą do swojej pierwszej miłości, do Jadwigi Waszkiewicz-Tomaszewicz, z którą kiedyś postąpił bardzo bezwzględnie, co opisuje Sergiusz Piasecki w powieści *Człowiek przemieniony w wilka*. Wybaczyła mu, w późnym wieku, już po Noblu i pierwszej wizycie w Polsce podjęta z nim korespondencją. Chciał napisać coś w rodzaju miłosnej ody na jej cześć. Do swoich ostatnich zapisków wprowadził fragmenty jej listów.

A teraz kilka słów o ochmistrynii dworu Miłosza w Krakowie, czyli o autorce książki, o Agnieszce Kosińskiej. Jej dzieło jest dziennikowym zapisem czynności związanych z opieką nad poetą. To właściwie kalendarium za okres pobytu Miłosza w Krakowie, od czasu jego osiedlenia się w naszym mieście do śmierci. Autorka przygotowuje pełne kalendarium życia i twórc

19 Cyt. za: Andrzej Franaszek, *Miłosz. Biografia*, Kraków 2011, s. 750.  
20 Zob. M. Stępień, *Blaski i cienie starości. Późne wiersze Czesława Miłosza*, [w:] *tegoż Między literaturą a medycyną*, Warszawa 2015.



czości Czesława Miłosza. Książka *Miłosz w Krakowie* okaże się zapewne jego ważną, ostatnią częścią.

Skrupulatnie odnotowywane codzienne czynności, załatwianie spraw mieszkaniowych, konieczne naprawy domowych urządzeń, niezbędne zakupy, transakcje pocztowe i bankowe, ponadto czytanie Miłoszowi artykułów prasowych, zapisywanie pod jego dyktando utworów, listów, notatek; rozmowy z poetą na temat jego utworów i różnych spraw łączących go z jego twórczością i z innymi autorami – wszystko to, skrętnie, lakonicznie, bez zbędnych komentarzy zapisywane składa się na pokaźną książkę o objętości ponad 700 stron. Zapiski te nie tylko informują o życiu Miłosza w Krakowie, nie tylko zawierają pośrednią charakterystykę owego Miłoszowego dworu, kręcących się w nim i wokół niego osób, które tworzą grono pochlebców szczerzących się kontaktem z Miłoszem, a i jemu dostarczających samolubnej przyjemności w odbieraniu oddawanych mu hołdów.

Ale ponadto zapiski te dużo mówią o ochmistrzyni dworu. Jest nią dobrze wykształcona, inteligentna polonistka, osoba bardzo spolegliwa, o dużym poczuciu odpowiedzialności, rzetelna, sumienna w wykonywaniu swych obowiązków, niezawodna wśród różnych, ważnych i mniej ważnych codziennych kłopotów. Nie pozbawiona poczucia humoru, niezależna w wyrażaniu sądów, także niekiedy wobec swego chlebodawcy.

Przy licznych obowiązkach wokół Miłosza, przy częstym towarzyszeniu mu, opiekowaniu się nim, czytania mu, stałej przy nim obecności między domem a szpitalem w dniach jego odchodzenia, musi jeszcze znaleźć czas, siły i energię na prowadzenie własnego domu, opiekę nad dzieckiem. Rysuje się przed nami portret dzielnej kobiety zdolnej zarówno do załatwienia codziennych spraw życiowych, jak i prowadzenia z Miłoszem rozmów literackich. Czynione zapiski, ulotne spostrzeżenia, wymiana zdań z autorem – wszystko to składa się również na elementy jego portretu, co czyni książkę i pod tym względem interesującą.

Czynności swe wykonuje nie bez poświęcenia, z dużym oddaniem, z zadowoleniem płynącym z poczucia sprawiania komuś dobrych usług. Tych większych, i tych drobniejszych przez ich odbiorcę praktycznie niezauważalnych, a wymagających również niemałego wysiłku, niekiedy i poświęcenia. Nie spotyka się przy tym z właściwym odbiorem swych starań i oddania ze strony poety i jego najbliższego otoczenia jakiegoś skwitowania jej skutecznej, podejmowanej z niemałym trudem pracy. Po załatwieniu nie tak prostych spraw mieszkaniowych, rozwiązywaniu problemów związanych z psującym się ogrzewaniem i innymi kłopotami nie spotykają jej choćby drobne i niekosztowne odruchy wdzięczności. „Nie ma żadnego dziękuję. *Well done*. Gestu w tym rodzaju. Nawet wręcz przeciwnie. Jest jakaś złość, której się przede mną nie kryje, a nawet ją manifestuje. Czy chodzi o to, że muszą w końcu po tylu gadaniach wyłożyć kasę. A może to taki styl ludzi, którzy zawsze, cokolwiek by zrobili i jakkolwiek decyzję by podjęli, czują się niezadowoleni i ...oszukani? W sumie to biedni ludzie” (96).

Zawarta w tych słowach wzmianka o kasie dotyczy sprawy, z którą autorka po dwóch latach pracy odważyła się zwrócić do Miłosza i zaproponować jakiś racjonalny i uproszczony system rozliczeń między nimi.

Długo czekała na skutek tej rozmowy. Carol musiała się wprawdzie zorientować, poprzez wypytanie „na mieście”, jakie wynagrodzenie otrzymują sekretarki, nauczycielki. Kilka miesięcy autorka czekała na podwyżkę stawki z 20 złotych na 25 za godzinę pracy merytorycznej, nie za zwykłe techniczne czynności typu: poczta, rachunki bankowe itp.

Jej wysiłki, pracowitość, sumiennosc, oddanie jest przyjmowane jako coś zupełnie naturalnego, za co nie trzeba wyrażać wdzięczności ani zaznaczać, że zostało zauważone. Tym bardziej nie było zrozumienia dla jej zmęczenia, dla jej własnych trosk; ma przecież własną rodzinę. Właściciele dworu traktowali ją przedmiotowo. „Pod koniec dnia, tuż przed moim wyjściem: »Może by pani przysłała w sobotę. W końcu odpoczęła sobie pani dosyć?«. Trochę mnie to zabolowało. [...] Jak długo jeszcze będę udowadniać swoją przydatność oraz to, że coś robię” (325).

W pewnym momencie Miłosz jakby nie był zadowolony z dyktowania autorce, na co ona w myśli reaguje: „Czyżbym nie była dość spolegliwa i za mało chwałę?” (199). Bo również obowiązek chwalenia wchodził w zakres oczekiwanych od niej świadczeń.

Gdy Miłosz chciał nadać czynionej przez niego uwadze większego znaczenia, większej oficjalności, przechodził na język angielski; w tym języku wypominał jej spóźnienie. Oto reakcja sekretarki poety na odebraną uwagę: „Przestałam słuchać, bo to był jedyny sposób, by panować nad sobą. Tak, w sensie faktów CM ma rację – moje spóźnienia są bardzo nieprofesjonalne, choć wszystko jest zrobione na czas i on jest zadowolony, i prawie nigdy nie wychodzę przed czasem. Ale nie w tym rzecz. Ja po prostu nie mam już siły chodzić na Bogusławskiego. Robię wszystko, żeby się spóźnić. Nie mam siły towarzyszyć jego umieraniu. Choć to może byłoby do ułożenia, bo Miłosz jest naprawdę bez zarzutu. Ja nie mam siły być w Domu Miłoszów. [...] Wulgarność, arogancja i ignorancja, mizerne manipulacje w obronie ambicji i interesów własnych. Gdyby tak wszyscy zniknęli i gdybyśmy zostali sami: Miłosz i ja w funkcji sekretarki. To byłoby do uniesienia” (489). „Jestem w gnieździe os i szerszeni, w mateczniku mateczników, w jaskini Lwa, gdzie krzyżują się interesy interesów i gdzie naiwne owieczki zjadane są na zakąskę. Od czasu do czasu” (534).

„Teraz myślę, że moja naiwność i chęć zwyczajnej pomocy ludziom mnie chronią. Że gdyby było mi to (piekło ludzkich interesów i ambicji) odsłonięte wcześniej, nie dałabym rady” (592).

Słowa uznania dla jej pracy przysłały z zupełnie nieoczekiwanej strony. Gdy odbierała telefon od Aleksandra Schenkera, który dzwonił z Ameryki do Miłosza. Przy okazji wyraził jej uznanie dla jej pracy i opieki nad poetą. „Jestem mu bardzo wdzięczna – zanotowała – pielęgniarka też potrzebuje wsparcia. Od czasu do czasu” (534).

„Wieczorem Joanna odbywa ze mną nieprzyjemną rozmowę [...] Po, tuż przed moim wyjściem do domu, CM woła mnie do siebie: »Pani Agnieszko, proszę pamiętać, że pracuje pani dla mnie«. Ledwie mogę mówić z tłumionej wściekłej bezsilności. Mam dość tego domu: nie jestem przedmiotem, który można z kąta w kąta, od wulgarności i prymitywizmu po odpychającą enigmatyczność. »Panie profesorze, jest za

piętnaście ósma, jestem już po pracy. Dla pana pracuję do szóstej. A dziś byłam nawet dłużej» (595). Kiedy po śmierci Carol porządkowała jej korespondencje, znajdowała w nich dużo o życiu pielęgniarek, które służyły Miłoszowi, słowa pochwały za ich pracę, zainteresowanie ich domami, rodzinami. „Ani słowa o mnie. Ani o mojej rodzinie” – stwierdziła (441). A po śmierci Miłosza dowiedziała się, że zabezpieczył on panią Władzię, jej córkę. „O mnie miał powiedzieć, że sobie dam radę” (632).

Nie dla usprawiedliwienia tych słów, lecz na chwałę ochmistryni dworu Miłosza trzeba stwierdzić, że dała sobie radę. Stworzyła wartościową książkę ukazująca ostatnie lata życia Czesława Miłosza i otaczającą go atmosferę.

\* \* \*

Dużo w książce Agnieszki Kosińskiej występuje osób, dużo jest aluzji do literackich zdarzeń, do relacji między Miłoszem a innymi pisarzami. Nie ma jednak tego, co od obecnych w książce wzmianek jest znacznie ważniejsze i czego z dużą ciekawością oczekiwałem. Milczenie o tym jest głośniejsze od słów poświęconych innym osobom i faktom. Wprawdzie nie powinno się pisać o tym, czego w książce nie ma. Tu jednak muszę od tej zasady odstąpić.

W czasie objętym notatkami Agnieszki Kosińskiej, wkrótce po zjechaniu Mistrza do Krakowa zdarzyła się rzecz, o której autorka książki na pewno jest dobrze poinformowana. Musiała się też mocno wpisać w pamięć Miłosza. A w książce o nim – ku zdumieniu czytelnika – jest zupełnie przemilczana. Musiały tu zadziałać jakieś hamulce, które nie dopuściły do rozmów na ten temat, a jeśli one były – do ich wprowadzenia na karty książki. Trzeba więc to uzupełnić.

Chodzi o wystąpienie Czesława Miłosza w sprawie Osipa Mandelsztama. W artykule *Nie znając wstydu ni miary*<sup>21</sup> poddał on rewizji legendę Mandelsztama jako męczennika za wolność ducha. Pomniejszył znaczenie jego wiersza, w którym poeta odważył się przedstawić w satyrycznym świetle Stalina, i który stał się powodem wieloletnich cierpień poety, do zesłania włącznie i śmierci w łaźni łagrowej. Miłosz lekceważąco nazwał ten utwór „wierszykiem satyrycznym”.

Nazywając satyryczny wiersz Mandelsztama o Stalinie „małym wierszykiem”, pewnie nieświadomie użył Miłosz takiego słowa, jakim posługiwali się przerażeni słuchacze i czytelnicy tego wiersza, w obawie, że za samo jego słuchanie lub czytanie czeka ich sroga kara. Pomniejszyli więc jego rangę. Jednym z nich był Ilija Erenburg. To on go nazwał „wierszykiem”. „A przecież ten wiersz przyniósł straszną śmierć O.M.”<sup>22</sup>

Pod koniec swego wygnania, w Woroneżu, w 1937 roku Mandelsztam napisał poemat nazwany (nie przez niego) *Odą do Stalina*. O tym poemacie długo nie wiadano, po raz pierwszy został opublikowany w 1975 roku w Stanach Zjednoczonych, w periodyku „The Slavic Review”. A tymczasem – jak to ujmuje Miłosz

– krążył mit o Mandelsztamie jako o postaci cierpiącej, o jego ostatnich dniach, o jego paranoicznym obłędzie, mit wykreowany we wspomnieniach jego żony, Nadieżdy Mandelsztam. W świetle opisu Miłosza Mandelsztam prezentuje się jako poeta cierpiący z powodu odręczenia go przez ogół, który czcił Stalina i pragnący powrócić do wspólnego chóru autentycznie wielbiącego despotę. Aby to osiągnąć ułożył *Odę do Stalina*. Miłosz daleki jest od przypisywania *Odzie*... ukrytej ironii. Pisze wprost: „*Oda* to obrzydliwy bizantyzm, nie znający w pochlebstwach wstydu ni miary”. Mandelsztamowi po tej *Odzie* pozwolono powrócić do Moskwy, istnieć jako pisarz, publikować, stać się pełnoprawnym członkiem Związku Pisarzy. Wkrótce jednak, nie wiadomo dlaczego i na jakim szczeblu nastąpiła zmiana decyzji i zesłano go na Kołymę. Tu warto wtrącić słowa ze wspomnień Nadieżdy Mandelsztam: „O wiele trudniej jest czekać na »otłowiane ziarno« niż upaść na ziemię po strzale”.<sup>23</sup>

Tekst Miłosza, opublikowany najpierw w „NaGłosie” nie został szeroko zauważony. Został „nagłośniony” dopiero przez „Gazetę Wyborczą”, której redakcja, bez wiedzy autora skróciła go i nadała mu prowokacyjny tytuł: „Nie znając wstydu ni miary”. Autor więc ponownie zabrał głos w tej sprawie, w artykule *Dlaczego napisałem „Komentarz do »Ody do Stalina« Osipa Mandelsztama. Poeta i państwo*”<sup>24</sup>. Wyjaśnił, że chodziło mu o przedstawienie mentalności rosyjskiej inteligencji cechującej się instynktem państwowym. Rosja lat 30. – jego zdaniem – żyła budowaniem socjalizmu, w bezgranicznym optymizmie i kulcie Stalina „mimo milionów ludzkich istnień ginących w łażach”. Rosję z tego czasu porównywał do Niemiec hitlerowskich lat trzydziestych. Był zdania, że Mandelsztama nie można uznać za przeciwnika komunizmu. „Napisał swoją *Odę* mając nadzieję, że zmiłuje się nad nim władca, gdyby jednak to tylko nim powodowało, znaczyłoby, że powinniśmy mieć zrozumienie dla jego strachu i na tym rzecz by się skończyła. Jednak presja, jakiej ulegał, była innego rzędu”. Według Miłosza, żałował on swego satyrycznego wiersza, bo on go wyłączał z grona kolegów i przyjaciół. Prowadzi do konkluzji: „Niewspółmierność jednak środków [poetyckich] i wychwalanego obiektu spowodowała u mnie odruch wstrętu, którego nie myślę ukrywać”.

Artykuł Miłosza wywołał burzę. Odrzucono jego wyjaśnienia. A uwagi o mentalności inteligencji rosyjskiej z entuzjazmem odnoszącej się do budowy socjalizmu i Stalina podniosły atmosferę prowadzonych polemik. Od razu zareagował piszący po rosyjsku poeta abchaski, Fazil Iskander, artykułem *W nadziei na zmiłowanie*.<sup>25</sup> Zarzucił Miłoszowi jednostronność i tendencyjność. Prostował pogląd Miłosza na Mandelsztama jako poetę sowieckiego. Według Iskandera Mandelsztam nigdy nie był sowieckim poetą, chociaż zrobił kilka prób pogodzenia się z sowiecką rzeczywistością. „Czesław Miłosz [...] nie docenia wielkiego wiersza Mandelsztama przeciwko Stalinowi pisząc »wierszyk satyryczny«. Ten wiersz jest nie tylko odważny do szaleństwa, ale i genialny”. Podpisał nim wyrok śmierci

21 „Gazeta Wyborcza”, 23-24 1996. Był to przedruk eseju Miłosza *Komentarz do „Ody do Stalina” Osipa Mandelsztama*, który ukazał się w piśmie „NaGłos” (nr 22). Przedrukując go redakcja „Gazety” zmieniła jego tytuł, za co później autora musiała przeprosić (*Przepraszamy „Gazeta Wyborcza”* 2 XII 1996).

22 Nadieżda Mandelsztam, *Wspomnienia*. Przełożył Jerzy Czech. Warszawa 2015, s.196. OM znaczy Osip Mandelsztam.

23 Nadieżda Mandelsztam, *Wspomnienia*. Przełożył Jerzy Czech. Warszawa 2015, s. 254 (słowa ujęte w cudzysłów pochodzą od Anny Achmatowej).

24 „Rzeczpospolita Plus-Minus”, 1996, nr 49 (7-8 XII).

25 „Gazeta Wyborcza”, 23-24 XI 1996.

na siebie. A pozostaje zagadką, dlaczego Stalin nie kazał od razu zamordować poetę, lecz utrzymywać go w stałym strachu, zachować przy życiu i tylko skazać na zesłanie. I co najważniejsze: „Ody do wielkich tego świata od wieków pisano w nadziei otrzymywania nagrody. Mandelsztam napisał swoją odę w nadziei na zmiłowanie. Piekielna różnica”. Dlatego – zdaniem Iskandera – „łagodnie mówiąc, przykro czytać słowa Miłosza, że *Oda* to obrzydliwy bizantyzm niemający w pochlebstwach wstydu ni miary”. „Inni pisali ody w swoich mieszkaniach czy daczach i dostawali za nie nagrody, a O.M. zrobił to z pętlą na szyi... Achmatowa – kiedy pętlę zaciskano na szyi jej syna. Kto potępi ich za te wiersze”.<sup>26</sup>

Iskander podkreślał, że ten, kto nie doświadczył samotności dysydenta, szczególnie wtedy, kiedy władza radziecka była jeszcze w pełni sił, nie doświadczył niemal fizjologicznej chęci, aby organicznie zjednoczyć się z tłumem i choćby chwilowego wyzwolenia się od strasznych problemów, ten nie będzie w stanie zrozumieć, dlaczego nasi nawet wielcy poeci, wprawdzie rzadko, ale jednak się spotykali. „Totalitarny reżim rodzi narkomanię kolektywizmu, ukrytą panikę samotności. Pisząc *Odę* „przez zaciśnięte zęby, Mandelsztam ani na chwilę nie zapominał o tamtym strasznym wierszu napisanym przeciwko Stalinowi”.

„*Oda* mimo wszystko powstała – pisała Nadieżda Mandelsztam – ale nie spełniła oczekiwań, nie uratowała. W ostatniej chwili O. M. zrobił wszystko to, czego od niego żądano – napisał pieśń pochwalną. Może właśnie dlatego mnie nie zlikwidowano. Choć w pierwszej chwili próbowano. Zazwyczaj jednak wdowom zaliczano to, że mąż wykonał »zamówienie«, nawet jeśli nie zostało przyjęte. O.M. o tym wiedział”.<sup>27</sup>

Zareagował też Jerzy Pomianowski artykułem *Tematy nie do odstąpienia*<sup>28</sup>. Stanowczo nie zgadza się z „ryczałtowym potępieniem” zachowania się rosyjskich pisarzy w okresie terroru. „Trudno pojąć, jak Miłosz, poeta, któremu nie widzę równych, a nadto myśliciel bez złudzeń, godzi się stosować potoczne normy moralne dla postępków ludzi postawionych w sytuacji nieludzkiej, pod ciśnieniem śmiertelnej opresji [...] Wydaje się nieporozumieniem, że jego wypowiedź zabrzmiała unisono z innymi głosami, powtarzającymi sarmackie, lekceważące opinie o Rosji”. Przyłączając się do opinii Iskandera o różnicy między tymi, którzy uprawiali panegiryzm dla nagrody a tymi, dla których była to sprawa życia i śmierci, Pomianowski pisze: „Istotnie, przykładanie absolutnych miar bez względu na czas, miejsce, warunki, otoczenie, to zajęcie niemiłosierne, a nadto jałowe, skoro sędzia nie wie, jak sam zachowałby się w sytuacji ostatecznej. Wszyscy jesteśmy takimi sędziami [...]. Hańba – nie słabości ludzkiej, hańba władzy, co na tę słabość stawia, nią się żywi, własny gnój zostawiając historykom i krytykom, którzy biorą go z kolei za prawdziwą istotę pożartych i zgnojonych istot”.

Pod tytułem artykułu, zapewne za sprawą redakcji, przytoczone są wzięte z niego słowa, w których zawiera się aluzja do warunków, w jakich żył i tworzył Czesław Miłosz: „Sądzić Mandelsztama nie

za jego świetne dzieła, wydarte własnemu lękowi, tylko za ustępstwa – wydaje się grzechem. Zwłaszcza z pozycji ludzi zdolnych do wolnego bezkarnego wyboru”.

Adam Pomorski czyniąc aluzję do znanego wiersza Miłosza dał swemu artykułowi tytuł *Poeta nie pamięta*<sup>29</sup>. Wytknął Miłoszowi szereg błędnych opinii o społeczeństwie rosyjskim, o genezie państwowego myślenia rosyjskiej inteligencji. Zwrócił uwagę, że problemem dla niej nie jest stosunek do państwa, lecz stosunek do reformy państwa. Polemizuje z przedstawianiem Rosji jako państwa, którego obywatele żyli budowaniem socjalizmu, z bezgranicznym optymizmem i z kultem Stalina, mimo milionów ofiar. Przytacza na rzecz swego myślenia wiele przykładów z życia pod stalinowskim terrorem (Gułag, tłumy głodnych, masowe wysiedlenia, dziesiątki nazwisk pisarzy aresztowanych, zesłanych, pomordowanych). Odrzucił tezę Miłosza, że Mandelsztam nie był przeciwnikiem komunizmu. A jego słowa, że Mandelsztam „na wpał obłąkany, recytował swoje wiersze współwięźniom – urkom w łagrze” określił jako „typowe, na poły cliwe, na poły oszczercze legendy epoki terroru” składające się na obraz, który okazuje się ważniejszy od świadectw rzeczywiście wiarygodnych. Mandelsztam nie był obłąkany, lecz wycieńczony w trakcie etapów na zesłanie. Nie recytował wierszy urkom („Miłosz jakby nie zdawał sobie sprawy z charakteru tej bandyckiej łagrowej społeczności – najstraszniejszego, według Władłama Szałamowa elementu struktury Gułagu, warstwy bestialsko terroryzującej pozostałych więźniów, zwłaszcza politycznych identyfikowanych z bolszewicką elitą władzy”. A już „włączenie tragedii Mandelsztama w dzieje sporu o *Zniewolony umysł* wydaje się nadużyciem”.

I z artykułu Anatolija Najmana *Geniusz i poeta*:

„28 grudnia 1938 roku więźniów z baraku Mandelsztama wysłano niby do łaźni, a w rzeczywistości do dezynsekcji ubrań. Mandelsztam już ledwie chodził, pozostali czekali na niego. [...] Zrobił trzy, może cztery kroki, odwrócił się od komory dezynsekcyjnej, podniósł głowę tak dumnie, wysoko, głęboko odetchnął... Zdążył położyć lewą rękę na sercu i upadł. W obliczu takiego losu i takiej śmierci nie przystoi nam stawiać poecie stopni ze sprawowania, siedząc w wygodnych ogrodowych fotelach”.<sup>30</sup>

Gdyby Miłosz to co powiedział swej sekretarce o Tadeuszu Różewicz, uczynił publicznie dostępnym, reakcja opinii literackiej byłaby podobnie jednoznaczna i krytyczna wobec niego, albo nawet przybrałaby jeszcze szerszy zasięg.

Na dworze Miłosza w Krakowie i wokół jego dworu przewija się wielu bohaterów. Ale sympatię czytelnika zyskuje przede wszystkim – jeśli nie wyłącznie – społeczliwa, sumienna, bardzo odpowiedzialna sekretarka naszego Noblisty.

## MARIAN STĘPIEŃ

26 Słowa ze Wspomnień Nadieżdy Mandelsztam, jw., s. 254-255.

27 Tamże, s. 254.

28 „Gazeta Wyborcza”, 30 XI 1996.

29 „Rzeczpospolita – Plus-Minus”, 28-29 XII 1996.

30 „Gazeta Wyborcza”, 22-23 XII 1997.



JERZY STEFAN OSSOWSKI

# ŻEROMSKI

## – NASZ BLIŹNI?

Profesor Zdzisław Jerzy Adamczyk, od ponad ćwierćwiecza zajmujący się badaniami twórczości autora *Przedwiośnia*, podczas kwereń archiwalnych natknął się na list do M. Żeromskiej, napisany przez S. Lorentza, którego zbulwersował artykuł A. Bojarskiej, *Ekstremista Żeromski*, zamieszczony w „Tygodniku Powszechnym” (1986). Wzburzony profesor napisał do Turowicza, że rezygnuje z abonowania pisma i prosi, aby mu go więcej nie przysyłano. Wysyłając córce pisarza kopię tego listu, dopisał: „Gdy [...] zapytano mnie [...] kto z Polaków XX w. jest dla mnie największą postacią, odpowiedziałem, że jest to trzech ludzi: Piłsudski, Żeromski i polski Papież. I tak jest”. W takim porządku wspomniane postacie trzydzieści lat temu były składową *etosu* jednego z ostatnich pokoleń inteligencji polskiej. Z tych niegdysiejszych hierarchii wartości, po latach zostało niewiele.

Przy okazji sto pięćdziesiątej rocznicy urodzin autora *Przedwiośnia* głos zabrało grono polonistów o znanych nazwiskach oraz uznanym dorobku naukowym, niekiedy od lat zajmujących się badaniami twórczości pisarza oraz kulturą literacką jego epoki<sup>1</sup>. Trzydzieści referatów, dotyczących różnych aspektów historyczno-literackich, ideowo-artystycznych, krytycznych, biograficznych, językowych, komparatystycznych; recepcji,

czytelnictwa, ekranizacji dzieł twórcy *Dziejów grzechu*, przedstawiono w zbiorze *Stefan Żeromski. Kim był? Kim jest?*. Tom dopełniają odpowiedzi na postawione przez prof. G. Borkowską pytania: „Żeromski – nasz bliźni? Co myślimy o Żeromskim? Jak go postrzegamy? Czy jest nam jeszcze potrzebny?”.

W panelu A. Mencwel, autor głośnego studium o postawach polskich w XX wieku, *Przedwiośnie czy potop* (1997) oraz A. Zieniewicz odpowiedzieli, iż „dzisiaj Żeromski, to – nade wszystko – *Przedwiośnie*”, oczywiście pozbawione balastu idei wtłoczonych weń w epoce PRL-u. Podobnym kwestiom S. Żak poświęcił referat, *Spór o „Przedwiośnie” – wczoraj i dziś*, dowodząc, iż Żeromskiego nie można jednoznacznie zaszelegować światopoglądowo, ideologicznie, politycznie, bowiem tego typu klasyfikacjom wymyka się on jako artysta i społecznik. Przedwojenna krytyka prawicowa i powojenna lewicowa, wraz z cenzurą – która wyeliminowała z obiegu czytelniczego reportaż *Na probostwie w Wyszkowie* oraz list *W odpowiedzi Arcybaczewowi...* – bardzo niepomyślnie zaważyły na ogólnej i szkolnej recepcji *Przedwiośnia*. Przypomnę, że reportaż *Na probostwie w Wyszkowie* zrobił niebywałą karierę w drugim obiegu 1976-1989, gdzie osiągnął bez mała trzydzieści wydań!

J. Ławski w eseju, *Żeromski. Pisarz środkowoeuropejski*, polemizuje ze wspomnianą jednowymiarowością recepcji; przytacza argumenty, że w latach 1989–2015 od uniwersalnego artysty żyjącego misją polskości odwracali się pisarze i krytycy, którzy – cierpiąc na

<sup>1</sup> Stefan Żeromski. *Kim był? Kim jest?* Materiały ogólnopolskiej konferencji naukowej, Kielce 2-4 X 2014. Pod red. Z. J. Adamczyka. Słowo wstępne A. Dąbrowski. Panel konferencyjny przygotowała i wypowiedzi panelowe zredagowała G. Borkowska, Kielce 2015. s. 480.

„kompleks prowincjusza” – żywili jedynie korne uwielbienie dla reprezentantów „polskiej literatury nowoczesnej”. W tekście J. Snopka *Dwie lekcje polskiego: Żeromski, Gombrowicz* spór toczy się o przestrzeń kulturowo-artystyczną dzielącą autora *Szyzyfowych prac* od autora *Ferdydurke*. Pisarz, który złożył ofiarę z artyzmu „na ołtarzu ojczyzny”, nie współbrzmiał z dominującym w opiniotwórczych ośrodkach akademickich dyskursem, tzw. nowej lewicy, ponieważ wątki socjalne tego dyskursu zostały zmarginalizowane przez światopogląd neoliberalny. Autorowi *Trans-Atlantyku* zdarzało się potraktowanie Żeromskiego z respektem i uznaniem, że jest „głębszy od Sienkiewicza”, ale w imię wywyższenia własnego „Ja” bagatelizował „nieautentyczne”, „zdezaktualizowane” piśmiennictwo autora *Popiołów*. Studium porównawcze J. Sztachelskiej *Legiony Sienkiewicza i Żeromskiego* potwierdziło wyższość estetycznej rangi *Popiołów* w dziedzinie powieściopisarstwa historycznego.

S. Żak w najnowszej książce *Prometeusz, kameleon, narcyz* (2016) daje pogłębioną analizę kontestatorskiej postawy Gombrowicza. Ale od siebie zapytam, czy o sztuce pisarskiej Żeromskiego mógł – bez uprzedzeń – wypowiadać się ktoś, kto jako autor *Kronosa* stale uskarżał się na bolące i wypadające zęby, jęczmień na oku, zwyrodnienie nerwu usznego, skołatanie nerwy, chorobliwe starania o sławę, syfilis, tryper, „okropne ataki pederastii”, egzemę i wrzody (w różnych miejscach), ból w okolicach serca, lumbago w krzyżach, reumatyzm, niedowład nóg, alergię, trudności z oddychaniem, napady astmy, bronchit, bóle wątroby, ślepej kiszki, spuchliznę, sklerozę, demencję? Słowem – literat, którego interesowały tylko pierwsza wolna i wolna ostatnia erekcja?

Bądźmy sprawiedliwi, V. Wejs-Milewska w artykule *W 100-lecie urodzin Żeromskiego. Głos emigracji* przywołuje odpowiedź Gombrowicza na ankietę Radia Wolna Europa, w której wyznał, że jedynie młodzieńcze *Dzienniki* są – dla niego – książką prawdziwą, żywą, niezwykłą, wprowadzającą w prawdę katastrofy „żeromszczyzny”. Stosunek uczestników ankiety (m.in. K. Jeleńskiego, J. Stempowskiego, K. Wierzyńskiego) do Żeromskiego zależał od ich doświadczeń historycznych, przynależności pokoleniowej, afiliacji politycznych, przekonań światopoglądowych, uznania dla literackiej tradycji. G. Herling-Grudziński wspominał o uczuciowym, osobistym, stosunku do autora *Szyzyfowych prac*, ukształtowanym w latach kieleckiego gimnazjum, kiedy patron jego szkoły – jako inspirator buntu społecznego – miał wpływ na całe młode pokolenie. Kiedy „historia urwała się z łańcucha” dla autora *Innego świata* pisarz jego młodości był prozaikiem poruszającym, zniewalającym, ale nie wielkim. Z perspektywy pisarzy emigracyjnych „żeromszczyzna osiągnąwszy swój szczyt poniosła klęskę” (T. Terlecki).

Powojenni krytycy marksistowskie skrzyknęci pod sztandarami „Kuźnicy”, IBL-u czy „Nowej Kultury”: H. Markiewicz, A. Stawar, K. Wyka walcem socrealizmu przejechali spuściznę literacką Żeromskiego. Wtłaczana w „postępowy” nurt życia kulturalno-literackiego, miała się stać częścią genealogii komunistycznej teraźniejszości. Do *Grzechu* Żeromskiego, wystawionego w warszawskim Teatrze Kameralnym, Leon Kruczkowski, po usunięciu aktu czwartego, i naniesieniu – jak

obliczyła Maria Dąbrowska – 296 poprawek całej sztuki, dopisał akt końcowy, w którym zdradzona przez swą klasę burżuazyjną bohaterka pracuje wraz ze zdrowymi moralnie robotnikami w mieście (1951). E. Kościwicz w referacie *Żeromski socrealistyczny?* omówiła dylematy cenzorskie i recenzenckie związane z tą adaptacją sceniczną, uznaną przez Sokorskiego i Bierutę za „polską, rdzenną odmianę socrealizmu”. Tymczasem w podręczniku szkolnym w duchu tzw. „nowego literaturoznawstwa”, E. Korzeniewska o *Przedwiośniu*: „Realizm Żeromskiego był realizmem niepełnym. Autor bowiem nie przeszedł na pozycje rewolucyjne, i dlatego nie mógł dać pozytywnego programu przebudowy” (1951). Wedle tego „oświecenia” redaktorze zbiorowego tomu *Stefan Żeromski* (1951) chodziło o pozycje plebejskie, antyreligijne, antyszlacheckie, klasowe, materialistyczne. Takim pozycjom H. Markiewicz hołdował od pierwszych swoich książek marksistowskich: *Stefan Żeromski* (1951), *Przedwiośnie* (1953), przez kolejne: *Ludzie bezdomni* (1963), *Prus i Żeromski* (1964), aż po rozprawy ostatnie, *W kręgu Żeromskiego* (1977), i ich wybór *O Prusie i Żeromskim* (1995), wypracowując sobie przy tym trwałe systemy poglądów na literaturę i sposoby jej badania.

W okresie tzw. władzy ludowej dziełem Żeromskiego wydanym w ponad dwudziestu tomach wciąż manipulowano, mając przy tym wsparcie cenzury, która – aż po rok 1989 – obejmowała znaczące teksty publicystyczne pisarza, a bez nich niemożliwa była należyta wykładnia nie tylko *Przedwiośnia*. Przez ponad dwie dekady prof. S. Pigoń prowadził niestrudzoną batalię o pełne wydanie zbiorowe dzieł Żeromskiego. W roku 1964, będąc sygnatariuszem słynnego *Listu 34* pisarzy i uczonych w obronie swobód życia kulturalnego przed ograniczeniami władzy, profesor miał też osobistą odwagę napisania listu do Cyraniewiczza w sprawie pełnego wydania publicystyki, dzienników i listów Żeromskiego, a szczególnie – stale blokowanego przez cenzurę *Snobizmu i postępu*. Nie wyrażał też zgody na wykreślenia fragmentów traktujących o następstwach rewolucji sowieckiej. Pozostawał przy swoim, co dla niego, wielkiego edytora i filologa, prowadzącego korespondencję nie tylko w sprawach polonistycznych z M. Żeromską (1952-68), było zrozumiałe w sytuacji „oczyszczenia” księgozbiorów bibliotecznych z pozycji nieprawomysłnych w czasach niosących kolejne zagrożenia dla ciągłości rozwoju kultury polskiej. Referat Z. J. Adamczyka *Boje Stanisława Pigionia o pełne wydanie utworów S. Żeromskiego* odstąpił cenzorsko-wydawnicze meandry kilkuletniej historii tej niedosłej edycji *Dzieł*. A tekst T. Czerskiej *Według córki. Postać S. Żeromskiego we wspomnieniach M. Żeromskiej* przypomniał jej rolę w kultywowaniu pamięci o pisarzu.

W panteonie postępowych twórców narodowych, pomimo ostrej selekcji, rewizji biografii i dokonań, Żeromski nie znalazł uznania również z powodu – rzekomego – rozmijania się z tendencjami realizmu (podobnie: Norwid, Wyspiański czy Reymont). Aliści od lat sześćdziesiątych, pomimo niezmiernie trudnych okoliczności, ukazywały się znaczące prace na temat różnych aspektów jego twórczości: W. Borowego (1960), H. Janaszek-Iwanickowej (1970), W. Natanson (1970), A. Wilkonja (1970). Okolicznościowe artykuły

dedykowano pisarzowi w tomie *Stefanowi Żeromskiemu w setną rocznicę urodzin* (1967), a zbiór metodyczny *Żeromski w dzisiejszej szkole* (1964) adresowano do nauczycieli polonistów.

Pisarz doczekał się sporządzonego przez S. Kasztelanowiczę i S. Eilego *Kalendarza życia i twórczości* (1961, wyd. 2. popr. i uzupełn., 1976). Ponadto S. Eile zebrał i opracował tom *Wspomnienia o S. Żeromskim* (1961) oraz w *Legendzie Żeromskiego* (1965) dokonał przeglądu recepcji jego pisarstwa w latach 1892–1926, a przegląd ten modyfikując jego specyfikę dokumentacyjno-materiałową kontynuowali: J. Kucharski *Twórczość Stefana Żeromskiego w latach 1882–1895* (1974); Z. J. Adamczyk *Żeromski: z dziejów recepcji twórczości: 1895–1964* (1975). Pod red. Z. Golińskiego ukazały się studia *Stefan Żeromski w pięćdziesiątą rocznicę śmierci* (1977). J. Kądziela opracował siedem tomów *Dzienników* (1963–1970) i *Dziennika tom odnaleziony* (1973), napisał także doniosłą naukowo monografię *Młodość Stefana Żeromskiego* (1976, 1979). M. Białota krytycznemu przyjęciu inscenizacji teatralnych poświęcił prekursorską monografię *Dramaty Żeromskiego w Reducie* (1989). Wśród historyków literatury A. Hutnikiewicz wyróżniał się pionierskimi studiami *Żeromski i naturalizm* (1956) oraz niedościgną monografią *Żeromski* (1987), a przy tym rzetelną popularyzującą dzieł autora *Szyfówowych prac*. W eseju *Chiazma Żeromskiego: od niepoprzedniości do niepopularnej niepoprzedniości* J. Paszek przedstawił ponadpółwiekowy swój „romans z żeromskologią” w czasach, kiedy Żeromskiego wysoko ceniono w szkołach i uczelniach. Występował w roli twórcy krytycznych i popularnych wydań *Popiołów* (1988, 1996), *Szyfówowych prac* (1997), napisał monografię biograficzną *Żeromski* (2001), ale też ogłosił scjentyficzne studia *Tekst i styl „Popiołów”* (1992).

W dwadzieścia lat po śmierci S. Pigionia do pełnej edycji krytycznej *Pism zebranych* Żeromskiego przystąpił profesor Z. Goliński; pod jego kierunkiem wyszło kilkanaście z 39 tomów zaplanowanych (1981–1996), ale ostatecznie ukazało się 15 tomów utworów literackich i 6 tomów listów (2001–2010), nad którymi prace edytorskie kontynuował Z. J. Adamczyk (tomy 34–39). W tekście *Listy malarzy, rzeźbiarzy, architektów do S. Żeromskiego jako źródła do badania historii sztuki* P. Rosińskiego odkrył nowe fakty z dziedziny życia artystycznego, mecenatu, odbioru, krytyki i muzealnictwa doby polskiego modernizmu. Obecnie UJK w Kielcach we współpracy z IBL PAN – podjął edycję *Pism zebranych* (Tadeusz Kłak żartował, że są to „pisma zebrane”), od publikowania ośmiu zaległych tomów utworów literackich, przygotowywanych jeszcze za życia profesora Golińskiego i pod jego kierunkiem (tom 25, 2016). Godne najwyższego uznania jest także nowatorskie dzieło zespołowe pod kierunkiem K. Handke *Słownictwo pism Stefana Żeromskiego* liczące 16 tomów tematycznych (2002–2014). Część tych tomów językoznawczych, opracowanych przez eminentnych znawców przedmiotu, wydano pod auspicjami Stowarzyszenia im. S. Żeromskiego. W omawianym tomie M. J. Olszewska przedstawiła ekspresyjne możliwości języka pisarza – na podstawie całej jego twórczości – analizując słownictwo „świata powietrznego”, które na odbiorcę oddziałuje przez walory emocio-

nalne i nastrojotwórcze, służące wyrażaniu doświadczeń egzystencjalnych człowieka, a B. K. Obsulewicz opisała językowe wyobrażenia ogrodu w przestrzeni między estetyką i metafizyką Żeromskiego jako realizację refleksji o życiu, śmierci i nieśmiertelności.

Po roku 1989 krajowa i zagraniczna ekspansja Witkacego, Schulza i Gombrowicza sprawiała, że Żeromski sukcesywnie zniknął z listy lektur szkolnych, repertuarów teatralnych, warsztatów badawczych. Konsekwentnych obrońców i popularyzatorów miał jednak w środowisku polonistyki kieleckiej. Wspomnieć trzeba różnorodne pod względem dyscyplin naukowych i zadań poznawczych prace: *O Stefanie Żeromskim* (1976); K. Zapałowej *Miejsce zostało to samo. Biograficzno-literacka wędrówka śladami Żeromskiego po Ziemi Świętokrzyskiej* (2005); J. Paclawskiego [red.] *Żeromski na ekranie* (1997); S. Cygana *Świat roślin. Słownictwo pism Stefana Żeromskiego* (2007); pierwszy z wymienionych tytułów ukazał się pod patronatem Kieleckiego Towarzystwa Naukowego, a twórcami prac ostatnich, w tym tomu *W holdzie Aleksandrowi Patkowskiemu (w setną rocznicę urodzin)* (1991) byli pracownicy kieleckiej WSP im. J. Kochanowskiego. W ten sposób upamiętnili tytułową postać swojej publikacji, będącą także prototypem Przełęckiego, głównego bohatera dramatu *Uciekła mi przepióreczka*.

Dzisiaj tylko E. Chudziński w studiach i szkicach *Regionalizm – Kultura – Media* (2008) fakty te zasadnie przypomina dowodząc, że fundamentalną rolę w rozwoju polskiego regionalizmu odegrały idee *Snobizmu i postępu*. Manifest Żeromskiego zamykał konspekt wydawnictwa pt. *Nida*, które miało być wzorcową monografią naukową regionu świętokrzyskiego. Planów tych autor *Wiatru od morza*, uczestniczący jeszcze wspólnie z Patkowskim w dyskusjach nad projektem *Statutu Towarzystwa Powszechnych Uniwersytetów Regionalnych* (1924), nie zdążył zrealizować. Po jego śmierci, dzięki staraniom Patkowskiego, projekt doczekał się realizacji jako zbiorowy tom „Pamiętnika Świętokrzyskiego” (1931) nazywanego też „złotą księgą regionalizmu polskiego”, w nim bowiem widziano realizację testamentu pisarza. Regionaliści i krajoznawcy, pisze o tym także E. Chudziński w *Regionalizm. Idee – ludzie – instytucje* (2013), żywili kult Żeromskiego, a z jego późnej twórczości: *Wisły, Międzyzmorza, Wiatru od morza* oraz *Puszczy Jodłowej*, starali się wydobywać treści regionalistyczne. M. Żmudziak w tekście *Soplicowo utracone?* podjęta się wskazania, jakie transformacje, idealizacje i retrospekcje rodzinnego domu w Ciekotach oraz Ziemi Świętokrzyskiej, znaleźć się mogły w prozie autora *Szyfówowych prac*.

Warsztat ideowo-artystyczny Żeromski stale pogłębiał i doskonalił. Przemawiają za tym rezultaty analiz oraz zastosowanych hermeneutyk, których autorki skonfrontowały swoją wiedzę i kompetencje badawcze z konkurującymi interpretacjami: *Urody życia* (K. Badowska), *Dziejów grzechu* (A. Zalewska), *Promienia* (M. Meducka, G. Legutko), *Wiernej rzeki* (B. Szurgot, M. Szurgot) albo przedstawiły poczucie humoru w *Ludziach bezdomnych* (I. Mityk). A. Budrewicz w referacie *Rywal Dickensa? Stefana Żeromskiego lektury prozy Dickensa* wykazała, że czołowy pisarz epoki wiktoriańskiej i czołowy pisarz polskiego modernizmu podobnie, oczami pesymistów, widzie-



li pejzaże miejskie. B. Utkowska w referacie „*Mówić swoje cudzymi słowami*”. Żeromski i kultura remiksu przedstawiła wiele dowodów komparatystycznych, że zbyt rutynowe kopiowanie i modyfikowanie form gotowych do użycia obniżyło jakość artystyczną pierwszego tomu *Walki z szatanem*. Efektywnie poznawczo wypadła także charakterystyka stosunku autora *Snobizmu i postępu* do nowych kierunków literackich przełomu wieków (K. Jaworski), otwieranie się – poprzez scenariusz *Wiecznej fali* – na popularną kulturę filmową (M. Gabryś-Sławińska), co znalazło swoistą kontynuację w filmowych adaptacjach jego utworów (B. L. Gierszewska) oraz głosach krytyki na ten temat (M. Bator). Żeromski sprawdził się na ekranie równie dobrze jak Prus i Sienkiewicz.

Podobnie było z przedstawieniami teatralnymi, o jakich mówiła M. Napiontkowa. Do 1989 r. Żeromski, jak przystało na autora premier dla młodzieży szkolnej, znajdował się w czołówce. Z *Przepióreczką*, *Sułkowskim*, *Grzechem*, i – nieoczekiwanie popularnym w latach siedemdziesiątych – *Turoniem*, jakkolwiek wraz z całą dramaturgią młodopolską krytycy odsyłali go do lamusa. Pod reżyserską ręką Hanuszkiewicza, Dejmka, Jarockiego, Raczaka inscenizacje *Przedwiośnia* czy *Róży* miały znaczenie dla późniejszego dyskursu na temat „Polaków portretu własnego”, by przywołać *Sen o Bezgrzesznej* przedstawiający martyrologię powstańczą w Grottgerowskich obrazach, skonfrontowaną z mitem niepodległej (Piłsudski).

Być może owo krakowskie przedstawienie miał w pamięci F. Ziejka dowodząc w eseju *Stefan Żeromski – spowiednik duszy narodu*, iż jego genezę patriotyczno-społecznej postawy należałoby wywodzić z patriotycznych inspiracji cyklem *Lithuania*. Autor *Ech leśnych* prowadząc bolesne rozrachunki z naszą „mitologią narodową” pańszczyźnianą niewolę chłopów uznawał za istotną przyczynę klęski powstania 1863 roku. Z kolei w obrazie martyrologii powstańczej J. Kleiner na pierwszy plan wysuwał „bezmiar bolesnej daremności cierpienia człowieka” (A. Janicka, *Czy Żeromski był „poetą powstania styczniowego”?*), zaś A. Świętochowski w twórczości autora *Dziejów grzechu*, którego zasługi literackie cenił, uwypuklał krańcowy pesymizm, poczucie rozpadu, marność ludzkiego istnienia (B. Mazan, *Kim był Żeromski dla Pości Prawdy?*).

W referacie M. Dzikowskiego *Laboratorium czy obserwatorium? Żeromskiego projekt instytucji idealnej* idee wspólnotowe w *Organizacji inteligencji zawodowej* zostały skonfrontowane z antyrosyjską wymową *Mogily*, której bohater Maurycy Zych staje się żołnierzem „barbarzyńskiej bandy Moskali”. Intelktualna droga poszukiwań ideału instytucji przez autora *Początku świata pracy* w poglądach społeczno-filozoficznych modernistów (m.in. H. Spencera, E. Abramowskiego, G. Sorela) zmierzała do „inteligentckiego syndykatu”, w którym szlachetne jednostki są zdolne do „mądrzej, dobrowolnej, chrześcijańskiej ofiary” na rzecz rozwoju całego społeczeństwa. Wedle porównawczych ustaleń Ł. Pawłowskiego modernizacyjne idee Żeromskiego zostały wplecione w tkankę realistycznego i symbolicznego dyskursu państwowotwórczego w *Sztafecie* (1939) M. Wańkowicza, natomiast cykl powieściowy H. Boguszewskiej i J. Kornackiego *Polonez* (1936-939) stał się swoistą miarą rozczarowania, że idee spo-

łeczne autora *Przedwiośnia* nie zostały zrealizowane w końcu lat trzydziestych

G. Borkowska postawiła hipotezę, że źródłem pogłębiającej się z czasem rezerwy, niechęci do twórczości autora *Ludzi bezdomnych* mógł być jego resentment wobec Polski odrodzonej, obrona ideałów tego co narodowe, społeczne ponad tym co osobiste. Solidarność Żeromskiego z wykluczonymi, zawsze też u jego czytelników mogła wywoływać uczucie zawstydzenia, skrępowania? Z drugiej strony psychologia opisów miłości, znakomite obrazy przyrody, bogactwo języka, stanowią trwałe wartości jego prozy. A co z fobią antyrosyjską? Na to pytanie B. Utkowska odpowiedziała, że w niepublikowanych ze względów cenzuralnych fragmentach *Dzienników* odkryła świadectwa tego, iż Żeromski wprawdzie żywił pogardliwy stosunek do Rosjan („mongolów, kacapów, plugawców, moskiewskich wszawców”), ale jednocześnie za wybitną uznawał twórczości Dostojewskiego, Lermontowa, a największym podziwem darzył arcyzm Turgeniewa, do którego estetyki powieściowej twórczo próbował nawiązywać.

Przy pogłębiającym się kryzysie adnotowanych spisów bibliograficznych („Polska Bibliografia Literacka”), a zwłaszcza braku tomu „Nowego Korbuta” poświęconego Żeromskiemu, badania naukowe nad jego spuścizną nie mogą ugruntować się na podstawowym warsztacie dokumentacyjnym, służącym pomocą w szczegółowych poszukiwaniach materiałów źródłowych. W tej sytuacji niewiele zmienia rzetelne opracowanie przez Beatę Piotrowską z Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej im. W. Gombrowicza w Kielcach wyboru podmiotowo-przedmiotowej bibliografii Żeromskiego z okazji obchodów 150 rocznicy jego urodzin. Według prof. J. Paszka „degrengolada polonistów” doszła do tego, że I. Maciejewska przygotowując się do opracowania *Popiół* w kolekcji „Biblioteki Narodowej” nie wiedziała nic o istniejącym od kilku lat krytycznym wydaniu tej powieści napoleońskiej przez profesora Paszka, i była przekonana, że ostatnie słowo w tej kwestii należało do Pigionia. Jako kielczanin *in pectore* nie będę w tomie kieleckim wskazywał tych tropów „dekadencji”, o jakich wspomina słusznie ubolewający nad degradacją wiedzy o literaturze ceniony żeromskolog.

Warto mieć świadomość, że każdy z interpretatorów, udzielając odpowiedzi: kim był, kim jest Żeromski? porusza się w obrębie określonego „horyzontu humanistyki”. Przyznać trzeba słuszność „horyzontowi żeromskologii” prof. J. Ławskiego, że autor *Na probostwie w Wyszku* – z tytułu wartości ideowo-estetycznej swoich dzieł, wagi podejmowanej problematyki narodo-społecznej, narzucającej się wyobraźni twórczej kilku pokoleń pisarzy i czytelników znających go w języku polskim na Ukrainie czy w Izraelu – nie musi uchodzić tylko za fenomen literatury polskiej. Problemowy horyzont jego rzekomo staroświeckiego pisarstwa w niczym przecież nie ustępuje literackim horyzontom Flauberta, Dostojewskiego, Dickensa, Totstoja czy Baudelaire’a, temu, co jest złożonym przez nich wszystkich świadectwem poszukiwania filozofii ludzkiego losu, najgłębszej jedności duchowej z bliźnimi.

JACEK WOJCIECHOWSKI

# LITERACKIE NOWOŚCI Z ROSJI

Nasze z Rosją relacje, od dawna bardzo niedobre, zaprawione wzajemną niechęcią (żeby nie wyrazić się ostrzej), ulegają dalszemu pogorszeniu, jeśli to w ogóle możliwe. To jest sytuacja zła, bo w końcu nadal będziemy sąsiadami, nikt nie przeniesie się w kosmos, więc przydałaby się swego rodzaju racjonalna normalizacja wzajemnego o sobie myślenia. Czemu może i powinna sprzyjać obukierunkowa transmisja – przynajmniej – wytworów dobrej literatury i sztuki: żeby zasignalizować coś innego, aniżeli inwektywy i poafajki. Na użytek tej części obu społeczeństw, której nie jest obce niezależne myślenie i odczuwanie. Tylko tyle oraz zarazem aż tyle.

Taka mniej więcej idea przyświecała zmarłemu niedawno świetnemu tłumaczowi, **Jerzemu Pomianowskiemu**, który z tą intencją – dokładnie z współintencją: razem z Jerzym Giedroyciem – założył i redagował rosyjskojęzyczne czasopismo „Nowaja Polska”. Skierowane do tamtejszej inteligencji pewien odzew miało, chociaż nie twierdzą, że masowy. Ale dzisiaj rezonans piśmiennictwa przeważnie jest elitarny i ograniczony, bo nakłady wszystkiego co drukowane, są niewygórowane. Tak u nas, jak i nad Wołgą. Jednak jakiś jest.

Z podobnym założeniem pojawiają się przekłady literackie tutaj oraz tam, aranżowane przez ludzi myślących tak właśnie jak Pomianowski oraz Giedroyc i trzeba to cenić. Jakkolwiek literatura nie nadaje się do opisywania rzeczywistości, jest natomiast świadectwem określonej mentalności. Otóż dobrze wiedzieć, że nieraz otwartej, rozumnej i światłej. To nic, że w wydaniu tylko elitarnym. Na dłuższą metę (nieraz bardzo długą) to jednak elity ostatecznie kształtują rzeczywistość.

Dlatego zasługują na dobre słowo ci wszyscy, którzy wbrew rusofobicznym nastawieniom tutaj oraz antypolskim odruchom tam sprzyjają wzajemnej transmisji treści wartych rozpoznania. No bo na tym, a nie na warczeniu, najlepiej opierać obustronne relacje. Dobrze więc, że są jeszcze tacy, którym się chce.

## SOŁOWKI JAK ROSJA

**Zachar Prilepin, *Klasztor*, przeł. Ewa Rojewska-Olejarczuk, Poznań, Wyd. Czwartha Strona, 2016, s.656, ISBN 978-83-7976-431-0.**

Chciało się wydawnictwu z Poznania i świetnej tłumaczce, Ewie Rojewskiej-Olejarczuk, sprowadzić do Polski znakomitą powieść *Klasztor*. Doskonale narracyjną, niezwykłą, mocno symboliczną; naszkicowana w niej sołowiecka rzeczywistość to wszak metafora Rosji. Nie tylko, lecz także. Bo jest też wiele innych odniesień, zasignalizowanych również przez tłumaczkę.

Autorem jest dziennikarz i szeroko już na świecie znany prozaik **Zachar Prilepin**, niekiedy używający też pseudonimu Ławlinskij. A i pierwotnie inne miał imię, mianowicie Jewgenij, ale widocznie mu się nie spodobało. To zresztą postać niezwykle barwna i prowokacyjna – nawet z własnego życiorysu zrobił sobie *story*.

Ma teraz 41 lat, mieszka w Niżnym Nowogrodzie, jest sekretarzem stowarzyszenia rosyjskich pisarzy, publikuje dużo i często oraz nałykał się wielu prestiżowych nagród. Podczas obu wojen czeczeńskich walczył w *Specnazie* jako wolontariusz – teraz plecie, że był kapitanem, ale to lipa, bo miał raptem 21 lat – następnie zaś związał się z głośnym nacjonalistycznym ekstremistą, Eduardem Limonowem i z jego (już zdelegalizowaną) partią Narodowo-Bolszewicką. Prawie wszystkie te fakty pozostają jednak w skrajnej sprzeczności z treścią oraz z intencjami jego twórczości literackiej. Którą nieźle znamy w Polsce, bo to jest już jego czwarta powieść u nas wydana.

Scenerię *Klasztoru* usytuował na Wyspie Sołowieckiej nie przez przypadek – był tam zesłany jego dziadek. To największa z archipelagu około 100 wysp i wysepek na Morzu Białym, dokładniej w zatoce Onega. W tamtejszym Monastyrze Sołowieckim (dzisiaj zabytek klasy zero) carskie władze urządziły miejsce zsyłek, uważane za wyjątkowo ponure, a od 1923 roku funkcjonował tam obóz koncentracyjny, już pod auspicjami OGPU – największy wtedy spośród wszystkich sowieckich łagrów.

Na pierwszy rzut oka nasuwa się skojarzenie z opowieściami Warłama Szalamowa oraz Aleksandra Sołżenicyna, lecz jednak zwodnicze, bo czysto zewnętrzne. Prilepin osobistych doświadczeń łagrowych nie ma, wszystko tu jest zatem skonstruowane intencjonalnie, fikcjonalne, bez prostych odniesień do faktów i lokalizacji. Wysoka ekspresja została więc osiągnięta poza faktografią – przez drastyczną problematykę, jak też za sprawą sensacyjnej konwencji oraz w wyniku zaskakującego, poszatkowanego sposobu opowiadania. Mimo okazałych rozmiarów, powieść jest misternie i precyzyjnie skonstruowana: nie ma w niej żadnych dłużyzn, ani fragmentów zbędnych.

Jest też świetna fabularnie – wysoce czytelna, jakkolwiek ta lekturowa atrakcyjność okazuje się zwodnicza. Należy mianowicie być czujnym, bo nic nie jest takie, na jakie w pierwszym momencie wygląda. Postacie zachowują się w sposób nieprzewidywalny, a te same wydarzenia miewają w kolejnych odśłonach odmienny sens. Prilepin bowiem nieustannie prowokuje, tak jak częściowo zmyślonym życiorysem, również powieściowymi akcesoriami. Nic nie jest jednoznaczne, trwałe,

ani dobre bądź złe: wartości stają się antywartościami, a w tym co złe, samo zło ulega zamazaniu. Miłość miesza się z nienawiścią, religia przykleja się do bolszewickiej ideologii – powstaje długi tańcuch paradoksów i właśnie o to w tej powieści chodzi. Nie istnieje mianowicie stabilny fundament egzystencji. Nie było go dawniej, nie ma go też dzisiaj. Prawdopodobnie więc nie istniał nigdy, a był oraz jest jedynie oszukańczym wytworem wyobraźni. To ważna choć smutna wykładnia tej powieści, jedna z kilku możliwych.

Ponura jest również sceneria wyspiarsko-klasztorno-łagrowa, do której Prilepin wprowadza swojego głównego bohatera. Artiom Goriainow to niby ma być Rosjanin modelowy, baśniowy heros, uwspółcześniony Ilią Muro-miec, ale w autorskim przetworzeniu to jednak jest postacią dwuznaczną i chwiejną. Według wyobrażeń to powinien być ktoś niezłomny, który potrafi przetrwać wszystko z podniesioną głową, tymczasem w praktyce raczej jest zdolny prawie do wszystkiego. Ponieważ mechanizm łagrowy tak właśnie został skonstruowany – żeby złamać, zniewolić i sponiewierać każdego. Na to nie ma mocnych. Ale to przecież jest, w gruncie rzeczy, elementarny mechanizm życia. No więc zgadza się: na życie też nie ma mocnych.

Jak wiadomo, w baśniach snują się postacie już to niepokonane, albo odwrotnie – szczególnie w Rosji – bezwolne, przegrane, osaczone. Otóż Prilepin spróbował skonstruować antybaśń z takim Rosjaninem, który samodzielnie miałby kształtować swój los, ale mu nie wyszło. Nie pozwoliły okoliczności. W ten sposób wszystkie rosyjskie stereotypy własnej wielkości albo własnego dziadostwa uległy wyzerowaniu. Zamiast legendy o niezłomnym mocarzu bądź o mizernym słabeuszu ostał się wizerunek człowieka sponiewieranego. Owszem, Rosjanina, ale to przecież mógłby być i z pewnością byłby ktokolwiek. Każdy.

Sygnal tej kolejnej wykładni zawiera się w przewrotnej formule ronda. Fabuła powieści zaczyna się mianowicie od zbierania jagód w lesie oraz na zbieraniu jagód kończy. Tak jakby wszystko co wydarzyło się tymczasem, w istocie nie miało wydarzyć się wcale. Gdzieś daleko – na mitycznych Wyspach Sołowieckich, poniekąd zatem za siedmioma górami, jak w bajkach. Ale jednak przecież, chociaż symbolicznie, w Rosji.

Bo to jest metaforyczny portret Rosji. Klasztorno-łagrowej, więc innej, aniżeli cały świat. Na swój sposób pięknej i niepowtarzalnej, lecz zarazem bezdusznej, okrutnej i wrogiej. Ciekawe, że naszkicowany przez wojującego nacjonalistę.

Tak jak na Sołowkach, w Rosji wszystko jest niepewne, niestałe, bezmyślnie i bezproduktywnie zmienne, czasami ewentualnie dobre, ale częściej złe. Zdarza się też miłość oraz poświęcenie, lecz częstsze jest okrucieństwo, więc cierpienia górują nad radościami. Wyraźnie przeważa zło.

Jego źródłem jest owa nietrwałość właśnie, a szczególnie zmienność. Ofiary znienacka stają się oprawcami, a znowu oprawcom zdarza się niekiedy przejść rolę ofiar. Prawie każdy katowany trafia na kogoś, komu z kolei sam bywa katem, ci zaś, którzy rozstrzeliwują, też później zostają rozstrzelani. Zło jest immanentne, niezależne od religijnej wiary lub niewiary, ani od politycznej ideologii. Nie redukuje się też w zetknięciu z intelektual-

nym zaawansowaniem, nie ulega kulturalnemu obyciu. Nawet najokrutniejsi oprawcy bywają świetnie czytani, znają się również na muzyce albo na teatrze. Nie ma przeciwwagi, ani wymienności obszarów: zło to samoistne zło. Jak niezniszczalny wirus.

Być może nie tylko rosyjskie, chociaż Prilepin unika pozarosyjskich sugestii. Ale nie zabrania swoim czytelnikom myśleć. Że zło mianowicie, to zawsze zło. Wszędzie.

Poza tym jednak widzę w tej powieści jeszcze jedną sugestię wykładniczą, która zmierza do podważenia istotnych tamtejszych mitów. Wśród nich zwłaszcza legendy o niebywałej rosyjskiej spolegliwości – że niby każdy oddałby potrzebującemu ostatnią koszulę – ale również psychozy ogólnoswiatowej obstrukcji, że oto wszyscy dookoła chcą zetrzeć Rosję z powierzchni Ziemi i wymazać z mapy świata. Bzdura, zdaje się mówić Prilepin. Zawsze tak było oraz nadal jest, że to sami Rosjanie fundują sobie taki a nie inny los. Jak zresztą w ogóle na świecie – wszyscy również sobie, więc to nie jest przypadłość wewnątrznarodowa, lecz ogólnoludzka, z którą trzeba zmierzyć się w końcu, wykraczając poza samą umiejętność przetrwania.

Prilepin nie podpowiada – jak. Nie udaje, że wie, ani że zna sposób. Bo tego nikt nie wie. Natomiast uczciwie, nie antyrosyjsko, lecz z troską, sygnalizuje: wygląda na to, że jest do dupy. Trzeba coś zrobić, żeby położyć temu tamę. W jego mniemaniu – akurat w Rosji, bo to jego kraj. Ale to nie jest refleksja jednonarodowa. I w tym, być może trochę ponadintencjonalnym powieściowym przesłaniu ogólnym, ten rosyjski polityczny pseudochuligan oraz niby nacjonalistyczny agitator ma niepodważalną rację.

#### EASTERN

**Walerij Paniuszkin, *Rosyjski Robin Hood*, przeł. Agnieszka Sowińska, Warszawa, Agora, 2015, s. 200, ISBN 978-83-268-2306-0.**

Zupełnie inaczej postać legendarnego bohatera potraktował w swojej paradokumentalnej powieści **Walerij Paniuszkin**, narracyjnie znakomitej, natomiast w wykładni – dwuznacznej, ponieważ przejętej z westernów oraz z pokrewnych marzeń o herosach, którzy dowolnymi metodami uwolnią świat od wszelkiego zła.

Autor to moskiewski teatrolog (l. 48), wzięty dziennikarzas prasowy oraz internetowy, a ma też w dorobku kilkanaście już powieści. W tym prowokacyjną *Rublowkę* i równie bulwersujące opowieści o Chodorkowskim oraz o Gazpromie. Bez żadnych środków ostrożności specjalizuje się w drażnieniu establishmentu i z zapalem pakuje się pomiędzy polityczne lwy. Jednakże tamtejsze władze najwyraźniej nie przejmują się książkowymi zaczepkami wychodząc z założenia, że nakładowo ograniczone publikacje nie stanowią dla nich większego zagrożenia. Tak więc Paniuszkinowi nikt nie robi nic złego, a książki, chociaż niezwykle, w samej Rosji wywołują rezonans umiarkowany.

Tym razem za panegiryczny obiekt opisu wybrał sobie Jewgenija Rojzmana, mera półtoramilionowego ural-skiego miasta Jekaterynburga (d. Swierdłowski), faceta nie dosyć że z przeszłością gangsterską oraz złodziejską – za co w łagrze przesiedział kilka lat – to jeszcze żydowskiego pochodzenia, co w mocno antysemitycznej Rosji też ma charakter silnie prowokacyjny. Jednak po wyborczej



nominalni ten dwumetrowy olbrzym całe swoje zbójcze doświadczenie wykorzystał skutecznie dla zniszczenia miejscowych układów mafijnych i dla pokonania różnych *umoczonych* służb siłowych, których w Rosji jest więcej niż dużo. A wszystko w sposób, który z prawem nie wahał się nawet w windzie – za to efektywnie i nieodwracalnie (?). Przystawał więc świetnie do legend o Herkulesie, o Muroмку oraz o tytułowym Robin Hoodzie, a jeszcze bardziej do westernowych fantazmatów Sergia Leone, no i do masowej wyobraźni. Nie dało się utrafić lepiej.

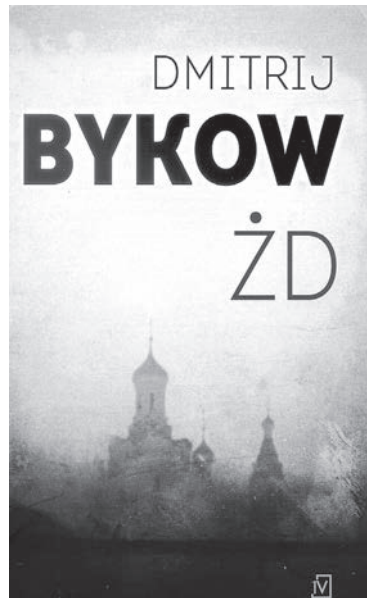
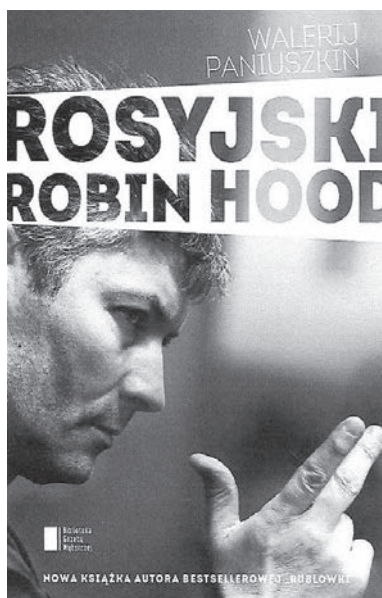
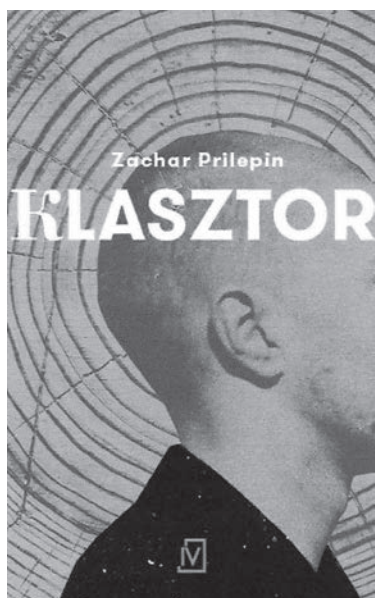
Co zaś szczególnie istotne: Paniuszkin zrobił to bardzo inteligentnie, przedstawiając drastycznie sprzeczne ujęcia oraz opinie binarne. W tym widzę niejaką zbieżność z pomysłami Prilepina.

No więc ów Rojzman, zanim został merem, ale już po odbyciu kary za gangsterkę, założył firmę konser-

ukryć, że taka idea może liczyć na szeroki aplauz i wydaje się bardzo chwytliwa.

Oczywiście Paniuszkin miał świadomość, że to koncepcja mocno podejrzana, dlatego dwuznaczność została w powieści silnie podkreślona. Ale nie założył się, że będzie przez czytających zawsze dostrzegana. W czytaniu albo w oglądaniu – każdy dostrzeże to, co chce. Tymczasem w rzeczywistości mer Jekaterynburga ma się tak do tytułowego Robin Hooda, jak hipopotam do słonia; dałbym sobie uciąć rękę, że w ogóle nie umie strzelać z łuku. Lecz jednak pokusa, żeby utożsamić obu oraz zaakceptować sposób merowskiego postępowania, jest silna. Jakkolwiek z elementarną etyką pozostaje w stanie wojny. Liczy się, że jest skuteczny.

Ale wyłącznie taka identyfikacja sensów tej powieści byłaby krzywdząca i uproszczona. Jest w niej



wującą cerkiewne ikony. Tylko on jeden wie, ile ich sprzedał na lewo, ale dochody musiały być niezłe. Dzięki temu współzałożył ośrodek odwykowy dla narkomanów i powyciągał z nałogu dziesiątki osób, przeważnie zresztą wbrew ich woli oraz z zastosowaniem metod najbrutalniejszych z możliwych. Lansując poza tym stereotyp (zaakceptowany również przez autora), że narkobiznesem w mieście zajmowali się wyłącznie Tadyżkowie, Azerowie oraz Cyganie – i to ich właśnie zneutralizował, a przy okazji również służby siłowe – natomiast miejscowi Rosjanie byli tylko ofiarami. Generalnie zaś, działał skutecznie na rzecz bezpieczeństwa w mieście oraz scalał środowiska i rodziny, mimo że sam był rozpoznawany jako uporczywy bigamista.

Jak widać, Paniuszkin nawet w opowieści nie stworzył postaci świetlanej jednowymiarowej, dość wiernie odtworzył rzeczywiste cechy swojego wybrańca. Jednak w perfidnej intencji. Zaproponował mianowicie schemat pod publiczność, szeroko akceptowany przez zwolenników westernów – mitycznego naprawiacza obyczajów, który przez walenie w mordę zaprowadza społeczny porządek i eliminuje zło. Jest to propozycja wysoce bulwersująca, niby bowiem skąd wiadomo co dla kogo jest dobre, a co zaś akurat złe, oraz kto ma prawo walić, a kto może być walony. Lecz nie da się

bowiem także smutna refleksja nad kondycją współczesnej Rosji, niekoniecznie w każdym calu nowa, natomiast pogłębiona i wysoce ekspresyjna. Paniuszkin, jak mało kto, zauważył postępujący tam rozpad społecznych więzi i narastającą tendencję do życia przeciwko sobie, nieomal wzajemnie wrogiego. No i ma też miejsce demontaż egzystencji obywatelskiej, która tam nigdy nie była zakotwiczona głęboko, ale z czasem w ogóle osiadła na płycznach.

Uniwersalne wartości etyczne są coraz bardziej deprecjonowane przez rozlaną demoralizację, nepotyzm i szalejącą korupcję, której przeciwstawić się nie ma jak. Nic nowego, żeby przypomnieć *Rewizora*? Owszem, ale to znaczy, że dziesiątki lat w takim kontekście bezpowrotnie zmarnowano. Tym bardziej że na to nakłada się jeszcze, oprócz pijaństwa, plaga narkomanii na niezwyklej skalę. Jeśli to wszystko pozbiera się razem, to finalny portret jest wyjątkowo ponury.

A skoro zabiegów naprawczych nigdzie nie widać, to przynajmniej mił zbawczego *pistolero*, mordobijcy o słusznym zamiarach, który w pojedynkę naprawi świat i usunie zło, stanowi mentalną rekompensatę. To prawda: chwilową – jak widok Gary'ego Coopera lub Clint Eastwooda, dziurawiącego złoczyńców z colta. Jednak w marzeniach kompensującą. Ponieważ zaś fil-

my są niekiedy po to, żeby pomarzyć niepoprawnie, to i z powieściami też tak może być.

#### MITY DAWNE I PRZYSZŁE

**Dmitrij Bykow, ŻD, przeł. Ewa Rojewska-Olejarczuk. Poznań, Wydawnictwo Czwarta Strona, 2016, s. 784, ISBN 978-83-7976-532-4.**

Całkowicie inna niż tamte dwie jest natomiast nowa powieść **Dmitrija Bykova** (l. 50). Różni się już na pierwszy rzut oka, zewnątrznie. Nawet samym tytułem, który na dobrą sprawę nic nie znaczy, a jego autorskie objaśnienie to prześmiewczy wygląd i nie jest to mój ulubiony gatunek humoru. Obydwie litery kojarzą się ze słowem Żyd i niewykluczone, że tak trochę jest – takie określenie (obok Jewreja) w języku rosyjskim też występuje, chociaż w pogardliwie antysemitycznej tonacji. Tu może sygnalizować etniczny paradoks – obcy jako swój albo swój jako obcy – w sumie jednak nie widzę powodu, żebym miał w eksplikacji wyręczać autora.

Drugi rzut oka również może skonfundować. Powieść jest bowiem opasła – przepraszam: jak autor we własnej postaci – liczy sobie prawie 800 stron i niewątpliwie nadawała się do kuracji odchudzającej. Bykow zawsze był niepoprawnym gadułą, ale tym razem przeliczył wszystko, co do tej pory napisał był. I wprowadził jest narratorem sprawnym, a dla możliwie płynnej lektury tłumaczka zrobiła wszystko, co uczynić mogła, jednak granice czytelniczej cierpliwości zostały wyraźnie przekroczone.

Bykow to znany już na świecie oraz nagradzany powieściopisarz i poeta, u nas tłumaczony nie po raz pierwszy. Jest też wysoce aktywnym dziennikarzem, a za granicą uważa się go za czołowego antyreżymowego opozycjonistę, ale chociaż nie całkiem bez racji, to jednak z wyraźną przesadą. To nie jest żaden ideolog ani sternik jakiegokolwiek politycznej frakcji.

Przy bardzo mozaikowym dorobku twórczym najwyższej oceniono (na razie) jego opowieści biograficzne: o Borysie Pasternaku, o Bułacie Okudźawie i o Maksymie Gorkim. Ale i książki prozatorskie, których doliczyłem się piętnastu – a zwłaszcza powieści reprezentują dobry poziom literacki. Jakkolwiek gadulstwo trochę je deprecjonuje. Jednak taki on już jest. Kiedy w maju 2014 roku pojawił się na publicznym spotkaniu w Auditorium Maximum Uniwersytetu Jagiellońskiego, potwierdził to ponad wszelką wątpliwość.

Zresztą umie opowiadać sprawnie, ale nie aż tak, żeby przykuć czytelniczą uwagę na blisko 800 stronach. I nie pomogły nawet wysiłki znakomitej tłumaczki. W sumie więc skłamałbym sugerując, że tę powieść czyta się łatwo. Zwłaszcza że jest sporo odautorskich utrudnień kompozycyjnych.

Choćby gatunkowe pomieszanie. Z jednej strony to ma być groteska, prześmiewczy pamflet, ale nie wszystko jest takie wesołe, sporo tam bowiem refleksji poważnych, istotnych i smutnych. Z drugiej zaś, nie wiadomo dlaczego, autor zastosował mozaikowe przemieszanie wątków fabularnych, gdzie nieoczekiwane cięcia i rozsypane fragmenty niekoniecznie układają się w jednolitą całość.

Lecz chyba największe zamieszanie wywołało nałożenie na siebie opowieści przyszłościowych, prospektywnych oraz retrospektywnych. Tu klarowność

upadła całkowicie. Takim zabiegiem wprowadzie udanie posłużyli się Pielewin oraz Głuchowski, jednak temu autorowi trochę do nich brakuje.

Wątek przeszłościowo-przyszłościowy jest ponadto na tyle niejasny, że nawet dla samych Rosjan prawdopodobnie słabo czytelny, cóż zatem dopiero mówić o nas. Żeby częściowo połapać się, o co chodzi, doradzam na samym początku przeczytanie notki z ostatniej strony okładki. Przynajmniej będzie wiadomo – w sensie grupowo-etnicznym – *who is who*.

A odniósł się Bykow do przedhistorycznych objaśnień rodowodu mieszkańców Rosji, co bywało również przedmiotem roztrząsań tamtejszej historiografii. Otóż z jednej strony początki sięgają podobno wtargnięcia skandynawskich Waregów, którzy utworzyli Ruś Kijowską, następnie cesarstwo Romanowów, a potem imperium komunistyczne (Lenin). W opozycji natomiast pozostali Chazerowie znad Dniepru, którzy z czasem przeszli na judaizm i zaserwowali inną opcję (Trocki), okresami liberalną i zdecydowanie destrukcyjną – jak koncepcje Gajdara i Czernomyrdina za rządów Jelcyna, do dziś wspominane w całej Rosji z nienawiścią i odrazą.

Wielowiekową bijatykę tych niby etnicznych społeczeństw w zmaganiach o władzę, złośliwie przeniósł autor w przyszłość, do Rosji już wtedy odizolowanej od reszty świata sugerując, że polityczne szaleństwo nie skończy się nigdy. Jest coś jeszcze. Otóż w powieści rdzenni Rusowie są jedynie dekoracyjnym dodatkiem: to półdzikusy, przeważnie z lasu, występujący (dosłownie!) w takiej samej roli, jak domowa fauna. No więc to już jest bezpośrednio szarganie świętości – absolutnie bulwersująca prowokacja. Tym dotkliwsza tam, że przecież w dodatku negująca mit panslawizmu i legendę rosyjskiego przywództwa w słowiańskiej rodzinie. No bo co to za rodzina, złożona głównie ze Skandynawów i przebarbowanych Semitów oraz z leśnych barbarzyńców? Bardzo nieładnie, Dmitriju Lwowiczu.

Ten rodowodowy konflikt wpisuje autor w przyszłą wojnę domową, która – mimo że ospała, bierna i zanurzona w lenistwie – jednak dewastuje kraj, niszczy ludzkie egzystencje i wynaturza świadomość. Na szczyblu elit nadal chodzi o przejęcie władzy, tymczasem przeciętna codzienność nurza się w nieróbstwie, chamstwie i bezrządzie; biurokracja osiąga apogeum, a do politycznych karier garną się same miernoty.

Obraz tej wojny jest parodystycznie przetransmitowany z dawnych frontowych doniesień Grossmana oraz Niekrasowa. Znowu pojawia się SMIERSZ, a do przełożonych mówi się *towarzyszu*. Jednak sama batalistyka to już czysta karykatura. Żołnierze spędzają czas na konsumpcji alkoholu w nieumiarkowanych ilościach oraz na udanych polowaniach na dziewczyny. Kiedy zaś, nieczęsto, dojdzie już do jakiegoś zbrojnego starcia, to z relacji przypominają się szarże siedemnastowiecznej kawalerii. Poza tym dowódcy to bez wyjątku jełopy, a prawosławni kapelani – jeden w drugiego – sadyści.

Na moje wyczucie, minister marszałek Szojgu powinien być nagrodzić Bykova wysokim odznaczeniem wojskowo-obronnościowym, za wspaniałe maskujący kamuflaż, który opinii publicznej na temat rosyjskiej armii bardzo udanie wciska kit. Biada temu, kto taką panoramę tamtejszej militarnej potęgi potraktowałby poważnie.

Równoległe przez całą powieść przewijają się też wątki odliterackie. To są takie gry z literaturą, być może nie dla wszystkich czytelne, więc nie każdy sobie pogra. Bykow mniej lub bardziej zręcznie naśladuje Prilepina (no właśnie!), Głuchowskiego, Pielewina, Jerofiejewa oraz przedrzeźnia Limonowa, który jest nie tylko chuliganem politycznym, ale również bardzo sprawnym literatem. Żeby przywołać chociaż jeden konkret: przydługi opis zagranicznego Kaganatu żywcem przypomina scenerie rosyjsko-izraelskich powieści Diny Rubiny.

Jednocześnie zaś autor przyprawia rosyjskim literatom paskudną gębę. Bez ogródek i z odrazą powiada, że to banda lizusów – sami intryganci, którzy dla osobistych pożytków zrobią absolutnie wszystko. Wyobrażam sobie, że wobec tego w moskiewskiej siedzibie stowarzyszenia pisarzy – w kawiarniano-wódczanym segmencie – kiedy wejdzie tam Bykow, robi się nagle całkiem pusto.

Ale jest jednak w powieściowej narracji taki moment, kiedy odrzucając maską kpiarza, przedrzeźniacza bądź ironisty – oraz nawet literacką przekładnię i metafory-

kę – Bykow wypowiada się nagle wprost, otwartym tekstem. Ani to już nawet nie eseistyka, ani publicystyka, lecz ponure ostrzeżenie. Sugeruje mianowicie, że dzieje Rosji od zarania układają się w identyczny cykl, jakby z piekła rodem: zamordyzm – odwilż – rewolucja – zamordyzm... I nie ma żadnych sygnałów, żeby ta powtarzalność miała ulec przerwaniu.

Na samą myśl przechodzą ciarki. Raz na sto lat bowiem wystarczy jedna rosyjska rewolucja, która w sumie cały świat wyrzuciła do góry nogami. Powtórki mógłby nikt już nie przetrzymać. A poza powieściową sugestią pozostaje – bardzo nieprzyjemny – pomysł, że właściwie nie ma żadnego powodu, aby taki cykl ograniczał się tylko do Rosji. Skąd ewentualna pewność?

W każdym razie mało budującą refleksją dzieli się Bykow na koniec swojej powieści. I wprawdzie robi to w sposób zakamuflowany, lecz jednak w sumie czytelny, pozostawiając czytelników w rozterce, no bo nie wiadomo – dziękować mu, czy raczej przeklinać.

JACEK WOJCIECHOWSKI

List do redakcji

## RACJA STANU – CO TO TAKIEGO?

Szanowny Panie Redaktorze,

przesyłam przypis do „Zdania” o racji stanu, a *propos* tekstów z konferencji *Między Niemcami i Rosją. Problemy polskiej racji stanu w XX wieku i współcześnie* („Zdanie”, nr 3-4 (170-171)2016, s. 26-42.

Pojęciowy zakres terminu „racja stanu” ma treść doktrynalną, a normatywną jest on tylko na gruncie filozofii politycznej. „Racja stanu” nie jest terminem prawnym. Każdemu wolno definiować rację stanu dowolnie, lecz nie każda definicja jest jednakowo przydatna, jeżeli nawet da się ją racjonalnie uzasadnić.

Terminem ogólniejszym jest „formuła racji stanu”. Pozwala ona uwzględnić rozmaite treści nadawane terminowi „racja stanu”, zależnie od programowej orientacji organu władzy wykonawczej prowadzącego politykę państwa, lecz jednak na podstawie założenia, że w demokratycznym państwie praworządym (prawnym), organ ten określa rację stanu w nawiązaniu do zasad konstytucyjnych, dzięki czemu formuła racji stanu jest swoistym najmniejszym wspólnym mianownikiem programowym wszystkich rządów.

Politykę państwa polskiego prowadzi Rada Ministrów (art. 143 Konstytucji RP). Prezes Rady Ministrów w swym wniosku do Sejmu o udzielenie wotum zaufania Radzie Ministrów powinien przedstawiać program rządu posługując się właśnie taką formułą.

Formuła racji stanu to doktrynalna dyrektywa naczelną prowadzenia przez Radę Ministrów suwerennej polityki demokratycznego państwa prawnego, preferująca zapewnienie: (1) bezpieczeństwa (zwłaszcza nienegocjowalnego, czyli egzystencjalnego), (2) trwałego i zrównoważonego rozwoju, (3) sprawiedliwości społecznej oraz (4) ochrony praw człowieka i podstawowych wolności. Konkretny rząd określa konkretnie treść tych składników formuły racji stanu, tym samym podając w swym programie treść swojego programowego, konkretnego pojmowania racji stanu. (Rząd nie musi stosować terminu „racja stanu”, może wybrać „interes” czy „interesy narodowe”, kierując się praktyką polityczną USA, czy dawną radą Andrzeja Walickiego, *Spotkania z Miłoszem*, Aneks 1985, s. 180-181. Nie zmienia to sensu moich wywodów.)

Ponieważ prowadzenie polityki państwa stanowi całość, gdyż wiąże się z całokształtem (sic) stosunków społecznych konstytucyjnie unormowanych, także formuła racji stanu odnosi się do całości polityki państwa, a więc racja stanu w zaakceptowanym przez Sejm programie rządu – także do całości programu rządu się odnosi. Zatem ograniczanie treści racji stanu, a tym bardziej jej formuły, do polityki zagranicznej jest błędem. Polityka zagraniczna to tylko to, co w polityce państwa całościowo pojmowanej może też zostać odniesione do podmiotu zagranicznego. Zrozumienie tego odniesienia wymaga uwzględnienia całości. Konstytucyjne rozróżnienie polityki wewnętrznej i zagranicznej ma za cel pragmatyczne określenie całości w jednym, krótko zredagowanym przepisie i nie implikuje dychotomii. Nawet kiedy autor skupia się na pytaniu o położenie geopolityczne państwa, powinien widzieć całość i to adekwatnie zaznaczyć, żeby potem większość tekstu poświęcić problematyce polityki zagranicznej czy stosunków między państwowymi.

Oczywiście, w analizowaniu określonej racji stanu w danym okresie (kadencji, odnośnie do konkretnego rząd itp.) można stosować rozmaite kryteria pomocnicze, np. kryterium etyczne tak pojmowane, żeby ułatwić zrozumienie (a także projektowanie) stosunku organu prowadzącego politykę państwa do innych podmiotów, poprzez określanie środków urzeczywistniania celu obranego w racji stanu i zwrócenie uwagi na związaną z tym hierarchię wartości społecznych.

Szerzej o tym piszę w trzecim wydaniu *Wprowadzenia do analizy polityki zagranicznej Rzeczypospolitej Polskiej*, Scholar, Warszawa 2015, s. 126-143, 224-228.

Z pozdrowieniami,

Ryszard Stemplowski



JAN GÜNTNER

## DYBUK

## PRZEŚLADOWCA? POKUTNIK? ALBO TO TRZECIE...

Niewątpliwie mamy do czynienia z *eventem* wydawniczym – książką Włodzimierza Hermana *Mój Dybuk – w poszukiwaniu tożsamości: drogi, bezdroża, dygresje* (Wydawnictwo Naukowe Scholar). To książka o niezwykłym, pełnym dramatycznych i tragicznych meandrów losu człowieku, Żydzie urodzonym w XX wieku. Ryszard Marian Stemplowski, profesor, prawnik, historyk i dyplomata pisze o nim w Postłowiu: „Włodzimierz Herman, Żyd z urodzenia, Polak z wyboru, ale doznający nieraz poczucia przynależności do... prześladowanej grupy ludzi, lojalny i szanowany obywatel duński dobrze pamiętający o swym pochodzeniu etnicznym i klasowym oraz całym swym doświadczeniu polskim, traktujący z dojrzałym dystansem nawet najważniejsze strony swej biografii, odważnie stawia ogólny problem tożsamości człowieka i ogłasza to w swoim kraju ojczystym...”.

Ani w Polsce, ani na obczyźnie Włodzimierz Herman nie skrywa swego pochodzenia. Wybitny malarz, Mosze Kisling, ujął to następująco: „Tu w Ameryce uważają mnie za polskiego malarza. W Polsce jestem po prostu Żydem, a polscy Żydzi zwą mnie malarzem francuskim. A we Francji? We Francji jestem wolnym człowiekiem, pozbawionym jednak praw obywatelskich”. Można powiedzieć, że wyraża to uczucia nieobce wielu ówczesnym i dzisiejszym Żydom, nie tylko artystom.

Ale po kolei: Powiedzmy od razu: dostajemy do ręki nowy przekład dramatu Szlomo Zajnwela An-skiego (Rapoporta) *Między dwoma światami, Dybuk - legenda sceniczna w czterech aktach*. Książka składa się trzech samoistnych części. Pierwsza: Dybuk, czyli początek wędrówki niespokojnej duszy oznaczona jest hebrajską literą *‘alef’*. Schemat fabularny *Dybuka* jest transpozycją starej legendy żydowskiej. Jej trzon stanowi dramat miłosny między dwojgiem kochanków: ubogim chłopcem, uduchowionym studentem jesziwy (Chananiem) a piękną dziewczyną (Leą), córką bogatego chasyda (Sendera). Sender, niepomny danego kiedyś swemu dawno zmarłemu przyjacielowi słowa („jeśli będziemy mieli syna i córkę, połączymy nasze dzieci węzłem małżeńskim”) szuka dla córki bogatego męża, zmuszając ją mocą władzy ojcowskiej, by poślubiła nie tego, który był jej pierwotnie przeznaczony. Kiedy Chanana dowiaduje się o zaręczynach Lei, umiera rażony tą wieścią jak gromem.

W dniu, w którym ma się odbyć ślub (wszystko jest już przygotowane, zaproszono zgodnie z nakazem obyczaju do uczy weselnej nawet „biedaków”), Lea udaje się ze swą piastunką na cmentarz. Zaprasza ducha zmarłej dawno matki, a także ducha ukochanego

chłopca. Przywołany duch Chanana wstępuje w ciało Lei, przecież niegdyś ojcowie podjęli wzajemne zobowiązanie. W folklorze żydowskim „dybuk” znaczy tyle, co dusza grzesznika złączona z ciałem osoby żyjącej. Wezwany na ratunek Sprawiedliwy (Cadyk) mocą tajemnego zaklęcia nakazuje dybukowi opuścić ciało ukochanej. Dybuk musi być posłuszny. Opuszcza je, zabierając na zawsze jej duszę, zaś Lea umiera nagle przed ślubnym baldachimem.

Wschodniożydowska opowieść ludowa nie cofa się przed żadną drastycznością. Tych, którzy są zobowiązani do posłuszeństwa, wyrok autorytetu religijnego karze bez litości za nieposłuszeństwo, sztyderstwo, samowolę, wynoszenie się nad innych. Grzeszność człowieka została mu dana wraz z człowieczeństwem, tzn. wyposażono go w wolną wolę. I dlatego żaden człowiek nie może być bez winy. W ten schemat wpisany został system filozoficzny i teologiczny, który stanowi podstawową materię tej sztuki. Stanowi o jej bogactwie myślowym: ważności pytań i odpowiedzi, dotyczących kondycji ludzkiej, miejsca i przeznaczenia człowieka w świecie, a więc tożsamości, stosunku do Boga i tego wszystkiego, co pojmujemy również jako etykę.

Przekład Hermana jest równocześnie zamysłem inscenizacyjnym, co zrozumiałe ze względu na jego długoletnie i wszechstronne doświadczenie reżyserskie. Nie razi mnie także ograniczenie hermetycznych dziś wątków etnicznych i rodzajowych, odwołujących się do tradycji rytuałów i terminów judaistycznych, w szczególności chasydzkich. Autor przekładu wyznaje: „nie jestem człowiekiem religijnym, ulegającym mistyce, a jest wprost przeciwnie. Tajemnice, surrealizm i inne zjawiska pozaracjonalne uznaję i jestem ich zwolennikiem, ale tylko w sztuce, i to we wszystkich jej rodzajach. Ani literatura, ani teatr, ani malarstwo drobiazgowo realistyczne nie przemawiają do mnie. W sztuce, jak to się dzieje w snach, musi kryć się jakaś niezgłębiona, i niewytłumaczona do końca tajemnica. I to mnie zafascynowało w *Dybuku*”. Rozumiem, o czym mówi autor i do czego się odwołuje. Sztuka An-skiego jest wielką metaforą losu, wszystkich wędrujących przez świat dybuków. Towarzystwo tej wędrówce do czasu utraczonego, którego nic nie przywróci ani nie cofnie, jest dolą każdej kondycji ludzkiej, każdej świadomej egzystencji.

Przekładowi towarzyszą w książce *Mój Dybuk* dwa eseje Hermana. Pierwszy to *Krótki zarys historii, języka jidysz, religii, kultury, teatru, sztuki i obyczajów żydowskich* oznaczony hebrajską literą *‘bejt’*.

To, co dla człowieka pochodzącego z ubogiej rodziny żydowskiej (ojciec był szewcem, łataczem w warsztacie o powierzchni 14 metrów kwadratowych), od

dziecka zanurzonego w sposób naturalny w tzw. jidysz-kajt jest oczywiste, dla czytelnika „goja”, niewtajemniczonego w zawłości tradycji żydowskiej, może być trudne do zrozumienia, a dla wielu stanowi przysłowio-wą „kwadraturę koła”. W ostatnich latach ukazało się wiele niezwykle wartościowych pozycji wydawniczych na ten temat. Rozumiem, że autor nie chce utonąć w szczegółach. Szanuję skromność, jeśli chwilami obawia się braku kompetencji. Herman dokonał przekładu polskiego z oryginału w jidysz. Dodam, że Rapoport napisał ten utwór po rosyjsku, dopiero później ogłosił go w jidysz. Wersja hebrajska była trzecia, tłumaczona z rosyjskiego przez wybitnego poetę żydowskiego, Chaima Nachmana Bialika. Z kolei tekst hebrajski stał się podstawą późniejszych przekładów na jidysz. Przekład Bialika posłużył wtórnie jako podstawa późniejszych przekładów na jidysz. Powstają dziwne (nie używając słowa dziwaczne) hybrydy. Tłumaczeń polskich mamy kilka: J. Joelona i J. Rottersimana z początku lat dwudziestych, Ernesta Brylla i Michała Friedmana z lat osiemdziesiątych. Utwór Brylla nie jest filologicznym przekładem, lecz poetycką transkrypcją, nowym tekstem napisanym na motywach sztuki An-skiego. Powrót do oryginalnej wersji z jidysz staje się więc trwałą zasługą Hermana. Jakby mimochodem, przy okazji, dokonał również przekładu z jidysz na język duński, publikując go w 2011 roku.

I jeszcze jedna ważna dygresja: tematem wszystkich opowiadań żydowskich jest boski sąd nad człowiekiem. Dopelnia się on jako kara w postaci wędrówki dusz, po hebrajsku, *gilgul*. Tak wierzą chasydzi. Skazane są na nią te dusze ludzkie, których grzechów nie może umorzyć czyścić, bo nie spełniła się w nich duchowa doskonałość, albo nie potrafiły jej sprostać. Dusza skazana na *gilgul* powtarza nieszczęsny los, wcielając się w ciała zwierząt, w rośliny lub minerały, może też powrócić ponownie do ludzkiego bytu w innym człowieku. Teologicznym i antropologicznym tłem opowiadań o *gilgule* stała się kabała Icchaka Lurii, (1534-1572), która rozprzestrzeniła się z Palestyny przez Włochy do Europy Środkowej i Wschodniej, i opanowała żydowską teologię (imienia Boga nie wolno wymieniać, posiada ono u żydów ponad 80 synonimów).

Kabała luriańska głosi, że w procesie stworzenia światłość emanująca z (hebr.) *sz En-sof* miała ukształtować świat objawiony i cały kosmos. Wydarzyła się jednak katastrofa: naczynia, które miały ograniczyć to, co bezimiennie, pękły. Nie były w stanie utrzymać nieskończonego boskiego światła i popłynęło ono na powrót do tajemniczej boskości. Skorupy wpadły w głąb i stały się królestwem skorup i zła. Druga próba boskiej emanacji powiodła się i mogły się utworzyć trwalsze struktury. W ten sposób powstał świat rekonstrukcji, świat *tikkun*, świat naprawiony. Chasydzi przypisują cadykom *dar teurgii*, tzn. władzę wywierania wpływu na boski zamysł, na świat boski. Dzięki rytuałom, modlitwie i medytacjom nad *Torą* i hebrajskim alfabetem cadyk może, tak wierzą, wyjednać zmianę zamysłów Przedwiecznego. Życie w *gilgule* to życie przed Sądem Boskim (czytaj: Martin Buber: *Opowieści chasydów*, przeł. i wyd. Paweł Hertz; J. Langer, 9 bram do tajemnic chasydów, przeł. Anna Golewska, Znak 1988; Henryk Halkowski: *Opowieści rabina Nachmana z Braclawia*, Wydawnictwo Mercury, Kraków 1999).

Trzecią integralną częścią książki stanowi drugi esej autora *Mój polsko-żydowski życiorys, wspomnienia i dygresje, czyli ciąg dalszy i zakończenie wędrówki*, oznaczony hebrajską literą 'szin' (mamy w tej triadzie hebrajską Alfę i Omegę). Choć z pewnością do „zakończenia wędrówki” jeszcze autorowi daleko, widzimy obraz losu człowieka, wzbogacony dygresjami (pisanymi kursywą), wzruszający szczerością i ujmujący prostotą: los dziecka (w czasie wybuchu wojny niemiecko-radzieckiej autor ma cztery lata). Rozpoczyna odyseję syberyjską prowadzoną za rączkę przez babcię, dzięki której żyje i może przetrwać katorgę. Nie pamięta poprzedniego życia. Klimat Syberii przyjmuje jako naturalny, innego przecież nie zna. Chłopczyk staje się chłopcem, młodzieńcem, mężczyzną, poznaje kraje, języki, świat, rozpoczyna i kończy historyczne studia uniwersyteckie, a przede wszystkim, jak niegdyś Maksym Gorki w *Moich uniwersytetach*, poznaje świat, by w pewnej chwili odkryć, że stał się artystą. Herman opowiada nam o ludziach, o wiernych przyjaźniach „na zawsze”, o pracy w teatrze, z ludźmi, wśród ludzi spotkanych na swojej drodze, opowiada szczerze, empatycznie, zawsze życzliwie. Narracja jest swobodna, nierzadko okraszona humorem. Autor opisuje środowisko, przed naszymi oczami przesuwają się galeria postaci znanych z ekranów kin i telewizorów, scen polskich i zagranicznych. Herman wkracza w dojrzałość, snuje pełne niuansów refleksje o twórczości, jej funkcjach społecznych i ideowych. Cały czas poszukuje, próbując zdefiniować własną tożsamość, a może odnaleźć na nowo? Kim jestem? Kim jesteśmy? Po co żyję? Po co w ogóle żyjemy? Poznaje miłość, trwałe związki z ukochaną kobietą, przeżywa sukcesy, rozczarowania, radości i tragedie. A kiedy ów świat rzeczywisty, odrzucając go, legnie na jego oczach w gruzach, wobec moczarowskiej pały i gazurki Witaszewskiego, Włodzimierz Herman znajduje w sobie dość sił, by zacząć od nowa życie w innym miejscu, w innym kraju. Dramatyczny opis rozczarowań „pomarcowych” i rozterek dowodzi, że wobec krzywd, które stały się jego i wielu ludzi Bogu ducha winnych udziałem, jednostka ludzka jest bezradna. Narasta w nim dręczące poczucie odrzucenia, życiowej porażki. Píše o tym wszystkim naturalnie, bez cienia nienawiści, widać, że zdążył się wewnętrznie uładzić ze sobą, choć na dnie duszy, jeśli coś takiego istnieje, czuje do dziś posmak gąbki nasyczonej żółcią i octem podanej Ukrzyżowanemu.

Nadmiar wiadomości o ludzkim cierpieniu wołuje w każdym człowieku w końcu zobojętnienie; z psychologicznego punktu widzenia jest to mechanizm obronny. Bywamy smutni, choć właściwie nie wiemy, dlaczego. Człowiek pociesza się, że jutro, może już jutro będzie inaczej. W poczuciu zmienności tkwi zawsze nadzieja na coś lepszego. Poczucie to broni człowieka przed beznadziejnością nawet w tych sytuacjach, które obiektywnie biorąc... są beznadziejne. Tylko nad światem depresji napis jest identyczny jak zawieszony u bram piekielnych przez Dantego: „Porzućcie wszelką nadzieję”. W depresji nie ma już przyszłości, panuje w niej wieczność mrocznej teraźniejszości i równie ciemnej przeszłości. Czas depresji jest złym czasem, od którego chciałoby się uciec, ale nie ma dokąd; chory czuje się w nim uwięziony, przygnięciony przeszło-

ścią, terażniejszością i w poczuciu niemożności wyjścia z matni. Nic się nie dzieje, przeżycia monotonnie obracają się koło tych samych wątków: beznadziejności, poczucia winy, lęku przed katastrofą. Wisielcy, topielcy, ci, co skoczyli z wysoką głową w dół; każdy się z tym zatknął albo prędeż, czy później zetknie... Czy samobójstwo młodych jest wołaniem o pomoc, a wśród starych tylko wołaniem o śmierć?

Czemu czasem nas samych albo naszych bliskich niekiedy „bez przyczyny” ogarnia smutek, czy to już depresja, zły czas? Bywają ludzie, przygniecenii przeszłością, terażniejszością, brakiem perspektyw monotonnie obracający się wokół tych samych wątków, beznadziejności, poczucia winy, lęku przed niedefiniowalną katastrofą. Czy już trzeba iść na kozetkę „do psychologa”, czy do konfesonatu? Wezwać psychiatrę albo egzorcystę? A może poszukać pomocy u obydwóch?

Może odwołajmy się najpierw na wszelki wypadek do autorytetu: ks. Michał Olszewski, opierając się na swym doświadczeniu w walce z mocami ciemności, przedstawia istotę i przebieg rytuału egzorcyzmu. Podkreśla, że to przede wszystkim wyraz miłości Boga i Kościoła do cierpiących wskutek zniewolenia przez złego ducha. Pojawiają się mrozące krew w żyłach nadnaturalne fenomeny, których doświadczył autor, jednak ukazane są one zawsze w perspektywie objawiania niezwykłej mocy Bożej, która przewyższa nieskończenie wszelkie sztuczki demonów. Ks. Olszewski, jezuita – egzorcysta diecezji kieleckiej, prowadzi popularnego bloga z komentarzami liturgicznymi na każdy dzień i jest jednym z redaktorów portalu ewangelizacyjnego *profeto.pl*. Autor kilku książek wydanych w Wydawnictwie eSPe.

Pod ogólnie rozumianą nazwą egzorcyzmu można rozumieć egzorcyzm uroczysty (wielki, publiczny), który ma na celu wyrzucenie złego ducha z opętanej osoby oraz uwolnienie od wpływow demonicznych. Odprawia się go wedle zaleceń ordynariusza diecezji odwołujących się do rytuału rzymskiego. Egzorcystą może być także każdy kapłan, który działa jako egzorcysta w imieniu Kościoła i posługując się jego autorytetem, na mocy władzy otrzymanej w święceniach kapłańskich oraz za zezwoleniem ordynariusza diecezji. Tak stanowi prawo kanoniczne. Egzorcyzmy prywatne (mniejsze, proste) to modlitwy do indywidualnego odmawiania przez wszystkich wiernych, np. w chwilach pokus i dręczeń pochodzących od złego ducha. Obsesją duchowieństwa polskiego jest przykazanie szóste: *Nie cudzołóż* (zapoznajmy się na wszelki wypadek z książką Tadeusza Antoniego Bilikiewicza *Klinika nerwic płciowych*, 1959; zob. również Eugen Drewermann: *Kleriker Psychogramm eines Ideals*, Walter-Verlag).

Choć te modlitwy mają za zadanie uwolnienie od wpływów demonicznych, to nie są egzorcyzmami w ścisłym tego słowa znaczeniu. Modlitwy takiej nie powinno przeprowadzać się w przypadku stwierdzenia opętania, kiedy potrzebny jest egzorcyzm uroczysty. Takie modlitwy nie zawierają formuł egzorcyzmu uroczystego z rytuału rzymskiego. Egzorcyzm chrzcielny został włączony od początków chrześcijaństwa w sakrament chrztu świętego jako specjalna modlitwa (wypędzajmy profilaktycznie złego ducha już z noworodka!). Egzorcyzmowanej wody, oleju, soli i kadzidła może użyć każdy wierny w odpowiednich sytuacjach, jeśli pobło-

gostawił je kapłan (nie tylko egzorcysta) zgodnie z modlitwą rytuału rzymskiego.

Pójdziemy do psychiatry. *Panu Bogu świeczkę i diabłu ogarek. Pokorne ciele dwie matki ssie*. Może będzie nim światowej sławy polski psychiatra? Antoni Kępiński (1918–1972) był wybitnym humanistą i filozofem, prekursorem psychoterapii indywidualnej i grupowej w Polsce. Jako pierwszy na świecie w schizofrenii rozpoznał chorobą społeczną, a nie biologiczną. Swoją książkę *Schizofrenia* opatrzył następującą dedykacją: „Tym, którzy więcej czują i inaczej rozumieją i dlatego bardziej cierpią; a których często nazywamy schizofrenikami”.

Uważał, że by wejść w świat chorego, trzeba przede wszystkim zdobyć jego zaufanie. Psychiatra powinien być dla chorego zawsze tym człowiekiem, przed którym cierpiący może się bezpiecznie odstąpić; nie będzie go osądzał ani potępiał, a postara się go zrozumieć i w miarę możliwości mu pomóc. Swoistość kontaktu psychiatrycznego stanowi, jak się zdaje, ze strony psychiatry zafascynowanie światem chorego i chęć ulżenia w jego cierpieniu, a choremu towarzyszy poczucie bezpieczeństwa, jakie psychiatra stwarza. Prawdopodobnie trafiliśmy pod właściwy adres. Jeśli istnieją dybuki, prawdopodobnie każdy z nas, ludzi, dźwiga własny ciężar mniejszych lub większych rozterek istnienia. Kępiński pisze: „Świat schizofreniczny wypełniają tajemnicze energie, promienie, siły dobre i złe, fale przenikające ludzkie myśli i kierujące ludzkim postępowaniem. W percepcji chorego na schizofrenię wszystko wypełnia boska lub szatańska substancja. Materia zmienia się w ducha. Z człowieka emanują fluidy, fale telepatyczne. [...] Wszelkie nowe odkrycia i wynalazki bardzo szybko zostają włączone w temat świata schizofrenicznego. Lasery, promienie kosmiczne, bomby atomowe, podróże międzyplanetarne, mózgi elektroniczne, próby badań zjawisk telepatycznych itp. absorbują nieraz całkowicie wyobraźnię chorych. Podobnie ma się sprawa z ważniejszymi wydarzeniami politycznymi. Stają się one bliskie, bezpośrednio dotyczące chorego, niejednokrotnie identyfikują się oni z ich bohaterami. [...] Magia schizofrenicznej ontologii polega na zbyt bliskim zetknięciu się ze światem. Jest to jakby karykatura prawa łączności zjawisk. Nie ma zjawisk niezależnych, jedno od drugiego zależy i na siebie wzajemnie wpływa; Oczywiście chory jest punktem centralnym tej zagęszczonej struktury świata. Najdalsze wydarzenia mają wpływ na niego lub on nią wpływ na nie. Wystarczy jego ruch palcem, by zmienić kierunek lotu ptaków, by słońce się zatrzymało, by nastąpił koniec świata, by ktoś zginął. I odwrotnie, czyjś gest, złe spojrzenie może mu zaszkodzić”. Może jednak, zanim poddamy się rytuałowi rzymskiemu, warto także, jeśli będzie potrzebny ratunek, udać się do Antoniego Kępińskiego.

Czy rozumiemy teraz lepiej, co zawdzięczamy spotkaniu z książką Włodzimierza Hermana? Żywię nadzieję, że tak właśnie jest.

#### JAN GÜNTNER

Włodzimierz Herman, *Mój Dybuk – w poszukiwaniu tożsamości: drogi, bezdroża, dygresje*, Wydawnictwo Naukowe Scholar, Warszawa 2016.



PAWEŁ KOZŁOWSKI

# DZIENNIK PROFESORA NADZWYCZAJNEGO

## (kontynuacja)

### Wyjaśnienie wstępne

Dziennik pisze się sam. Tak jak chodzenie lub leżenie. Trzeba tylko przyjąć odpowiednią pozycję. Robię to niecodziennie. Efekt ponownie widać. Ten tom jest kontynuacją poprzedniego. Ów związek wyraziłem w tytule. Zawiera on jeszcze inne wyrazy, mało istotne. Metodę pisarską także zachowałem tę samą: posługuję się kartkami i piórem. Ono jest równie wieczne jak długopis, którego czasami używam. Pozycję przyjmuję wówczas leżącą. Na lewym boku, bo ruszam prawą ręką. Gdybym był mańkutom, byłoby zupełnie inaczej. Wszystko co się w nim znajduje, jest rezultatem zespolenia, czyli symbiozy. Mnie i jego, a także odwrotnie. On to świat, którego obejmuję. Oraz przeciwnie. W rejestracjach tego staram się być dokładny.

Piszę dziennik, żeby wypisać. „Wy -” zwane przedrostkiem, ma tutaj takie samo zastosowanie jak przy wyrazach krztusić, mówić, lecieć czy dać, a zwłaszcza dalić. Po napisaniu nie czytam i nie oglądam. Pozbawiony jestem takich skłonności. Czasami jednak coś się pojawia. To prawdopodobnie ulga. Nie mam pewności, bo trwa krótko. W każdym razie próbuję żyć naturalnie.

Będę zdziwiony, jeśli ktoś zechce następne strony przeczytać. Wydaje mi się jednak, że wiele osób robi coś innego niż ja. Dziennik jest szczery. Wyrażam w nim potrzebę oraz próbę jej zaspokojenia. Można ją nazwać dopasowaniem, wcieleniem, złączeniem lub jakoś podobnie. Niektórzy mówią w takich okolicznościach o zrozumieniu. Mają na myśli zatem to, czego teraz zrobić się nie da.

### Kręcący się młot

Rozmawiałem w gronie. Omawialiśmy wydarzenia kulturalne. Prawdopodobnie. Najpierw trochę posłuchałem o zmianach klimatycznych. Zabrałem głos. Też mnie zastanawia, z jakiego powodu raz jest ciepło, a innym razem zimno oraz dlaczego pada. Kiedyś tak nie było. Na razie nie mam wyrobionego stanowiska w tych sprawach. Zauważyłem jednak, że deszcz ludziom przeszkadza, a brak deszczu również. Śnieg wywołuje reakcje podobne. Słońce również. Najmniej konfliktowy bywa księżyc, może dlatego, że występuje głównie w nocy.

Przedstawiam ustalenia niepełne, nie ma w nich ścisłości. Jeszcze. Wiedza klimatyczna pozostaje dla mnie na ogół niedostępna. Sformułowałem zatem inny problem: czy mamy powody do zadowolenia z rzutu młotem? Wśród znawców nastąpił podział, jedni byli zadowoleni, a inni nie. Na ogół uzależniali zdania od płci: inaczej oceniali młot męski, a inaczej kobiecy. Słuchałem wymiany myśli i miałem wrażenie skrępowania. W szczególności swoją niewiedzą. Skupiłem się jednak oraz pomyślałem. W efekcie osiągnąłem wniosek, że u nas przeważa młot męski, a innym razem damski czyli kobiecy. To wahanie osłabia całość. Naszą siłę koncentruje młot podwójny. Tę myśl innowacyjną zastąpiłem inną, którą zaprezentowałem w formie zdania głębokiego: byliśmy najlepsi, choć mogło być lepiej. Dyskutancki skoncentrowali się na słowie „byliśmy”. Odczułem potrzebę porozumienia. Tezę zmodyfikowałem i dodałem „będziemy”. Od razu odważnie uzupełniłem „jesteśmy”. Tym razem nikt nie zgłaszał sprzeciwu i w ogóle nie zgłaszał czegokolwiek.

Porzuciliśmy młot i przeszliśmy do zagadnień lżejszych. Już nie kulturalnych, ale nieco artystycznych. Wyznałem, że tu mnie sporo nurtuje. Szczególnie dlaczego jakiś Karol skoczył z Giewontu, po drodze miał widzenie i został dziadem. Stwierdził to w Dreźnie, czyli na Litwie. Dodałem, że o to zapytał mnie student, więc człowiek młody, mózgowo energiczny, świeżo po maturze, którą osiągnął już w wieku 34 lat. Zapadła cisza, bo koleżeństwo pragnęło mi przyjść z intelektualną pomocą. Ktoś nabrał roztropności oraz erudycji, nimi błysnął i udzielił wskazówki: należy odesłać młodzieńca do literatury. Do książki napisanej przez panów Tadeusza i Konrada, tego ostatniego podobno zapisuje się przez C. Ucieszyłem się z odpowiedzi. Szczerze stwierdziłem, że ja o tym wszystkim wiem, ale brakuje mi niekiedy właściwych środków wyrazu. Przeszkadza mi – o tym już nie powiedziałem – Bogactwo myśli własnych, które się kłębią.

Ośmielony postanowiłem skorzystać z pokładów zbiorowej głowy i uzyskać następne wyjaśnienie. Zapowiedziałem, że wykraczam poza literaturę i wchodzę w malarstwo. Najpierw koleżeństwo wprowadziłem w temat. Wszyscy wiemy – bez ryzyka mówiłem – że Chopin był malarzem wybitnym. Zwłaszcza gdy malował konie, które pływają w morzu, a nad nimi fruwać bociany. To symbolizuje ojczyznę. Dlaczego jednak na morzu

wszystkie fale z pianą zmierną w naszym kierunku? A przecież przynajmniej część mogłaby przemieszczać się w stronę przeciwną.

Czy chwyt artystyczny Chopina nie zakłóca harmonii dzieła? A także osłabia jego wymowę. Narodową oraz ogólną. Co prawda wśród bocianów, tylko niżej, w wodzie kąpią się bażanty, ale przecież gdyby jedynie niektóre fale skierowały się do nas, a inne przeciwnie, to moglibyśmy bażanty zobaczyć zarówno z przodu jak i z tyłu. Tym bardziej że bażant jest to zwierzę waleczne i często służy. Zwłaszcza za przykład. Pytanie o obrazy i ich wymowę okazało się trudne. Po trwającej dwie godziny analizie zostało uchylone. Wróciliśmy do literatury wzbogacając ją muzycznie. Dążymy zawsze do syntezy. Zagaiłem ponownie. Wszyscy dużo wiemy ze szkoły, w której niektórzy z nas bywali. Pamiętamy o znakomitym jazzmanie Mieczysławie Reju, który był z Nagła. Stąd nagłośnienie – wtrąciłem. Żył na przełomie XIII i XVIII wieku i wiele z kolegami nagrywał. Szczególnie lubił Urszulę, która puściła zupełnie jednego z nich. Wtedy wśród członków zespołu wykonawczego pojawił się problem wyrażony pytaniem: dlaczego? To pytanie przy pomocy dramatyzmu zawisło w powietrzu. Tak zostało wraz z niepokojem.

Chciałem jeszcze poruszyć temat wielkości sztuki malarskiej od strony modelu, głównie, czyli wyłącznie Karola. Wstrzymałem się, żeby zagadnienie koleżeństwa nie porwało. Zrodził się jednak sam i z siebie inny przedmiot rozważań. Okazał się nim telewizor, a zwłaszcza ekran. Wielu mu się przygląda, ale nie znam nikogo, komu się podoba. Mnie zupełnie przeciwnie. Lubię obserwować przód telewizora, bo mam go trwale wyłączono i nie migocze. W każdym razie dowiedziałem się, że teraz ciągle w nim gości ten sam człowiek. U góry ma grymas, a jeszcze wyżej nieco włosów. Twarzy nie ma. Niżej znajduje się krawat. Specjalnością krawata, grymasu i reszty są wystąpienia reklamujące mydło ze skrzydełkami. Koledzy, a także koleżanki błyskawicznie rozpoznają obiekt. Wiedzą, o czy będzie mówił. Ja wiem także bezbłędnie. Rozwlekle nic nie będzie mówił, z użyciem rąk i zmrużonych oczu.

Wróciliśmy do specyfiki młota. Oni trzymają go na uwięzi. Chodzi o to, żeby się nie urwał, bo jest okrągły. Przed wypuszczeniem należy się trochę pokręcić. Później sobie leci, za nim sznurek czyli uwięź, a młociarz stoi. Jeżeli młot znajdzie się daleko od młociarza, to młociarzowi przysługuje medal. Znaczą, że dobrze pracował zimą. Dla pewności jest badany. Młoty latają późną wiosną i latem, przestają, gdy zamrznie woda. Dla latania ważna jest również długość dnia. Gdy jest krótka, młoty zanikają, a jak się wydłuży – występują.

Na koniec podsunąłem koleżeństwu sprawę do zastanowienia: są nią Psalmi przyszłości oraz odzyskanego czasu. Nawiązałem w ten sposób do poezji Zygmunta Prusa, dość znanego narodowi.

*30 sierpnia 2016, godz. 18.14*

Ciepło i wilgotno.

## Noga na nogę i odwrotnie

Padło i wiało. Było zimno oraz ciemno. W moim mieście latarnie świecą. Zawsze tak samo. Słabo. W ten sposób w dzień nie zużywają dużo prądu, w nocy

też nie. Oszczędności są na przełącznikach, których nie ma. W ten sposób władza wygrywa ciągle w wyborach, choć zapowiada, że już w nich nie wystąpi. Później jest proszona o zmianę decyzji. Prosi samą siebie. Nie wytrzymuje napięcia i ulega. Kiedyś przyszła mi do głowy podobna myśl: należy oszczędzać na tym czego się nie ma. Oszczędzam na samolocie, gumie do żucia i na ubezpieczeniu. Ostatnio zwiększyłem oszczędności, gdyż powiększyłem je o organy. Duże. Brałem pod uwagę też skrzypce, fortepian i wulkan. Ale zmieniłem zdanie, nie mogę zrezygnować ze wszystkiego. Wpadłem wtedy w ascezę, a coś takiego uważam za najgroźniejszą przypadłość. W życiu, moim i powszechnym. Znam taki przypadek. Osobnik jest nerwowy, nie śpi, gimnastykuje się, często sika i kultywuje systematyczność. Nikt nie chce się z nim kontaktować, mimo że ma emeryturę.

Postanowiłem zareagować na napięcie klimatyczne. Wyszedłem na spacer. Przypomniałem sobie, że mam odebrać indyka. Dwukrotnie zwiększyłem rozmaitość jedzenia, spożywam teraz nie tylko łososia, ale też indyka. Podobno jedno pływa, a drugie chodzi, choć powinno latać. Koleżanka mi wyjaśniła, że nie ma motywacji. Miała na myśli coś innego, ale to również tutaj się stosuje. Indyki wymagają przerobienia i dobrego uformowania. Dostałem bestię właśnie taką. Nie lubię kur za sposób spędzania wolnego czasu. Ciągłe się schylają. Drażnią i nie zasługują na bliższy kontakt. Podobno mają hierarchię, a więc tym bardziej. Indyk utrzymuje dostojność i występuje bez tłuszczu. Czynem podkreślam jego rangę. Miałem go odebrać zapakowanego we wnętrzu. Dużym i jeszcze bardziej dostojnym. Przed wejściem stało kilka osób. Płci zmieszanej. Kobiety odróżniały się od reszty szpilkami. Pochwalam ich używanie. Lepiej wtedy wygląda głowa i jej podstawa. Mężczyzn obowiązują tylko ostrogi. Ominąłem ich i wszedłem. W środku nie padało, nie wiało, było ciepło i widnieją. Dużo światła. Zainstalowano specjalne lampy. Odrażające, nikt nie ma ochoty ich wziąć. Mój kolega ma taką żonę. Odpychająca i nikomu nie przypada do gustu. Między innymi. Stanowią nierozwalny związek i go ciągle utrwalają.

Zrobiło się jeszcze ciepło. Postanowiłem zdjąć szalik, a przy okazji płaszcz. Następnie usunąłem kapelusz. Urządzili specjalne przechowalnie. Inni też się rozbierali. Wysoka temperatura to powoduje. Niska wywołuje co innego. Do morza wchodzi ubrany, bo jest zimne. Przed wejściem zakładam kostium płetwonurka. Ten, w którym chodzę do lasu. Chroni też przed wodą i chłodem. Można być dzięki niemu w wannie dłużej. Przy okazji głębiej. Tutaj zostałem trochę ubrany. Rozejrzałem się, panie były ubrane mniej. Stosunkowo. Wskazano mi miejsce siedzące. Przed wejściem z boku ktoś przykleił litery. Na stałe. Srebrne. Układały się w wyraz dziwny. Część znałem: teatr. Ale przed tym umieszczono jeszcze amfi. Widocznie, żeby wydłużyć napis. Dobrze wyglądał na ścianie. W środku sporo ludzi. Oni się znajdowali. Większość siedziała, niektórzy chodzili. Czekali aż przestanie lać. Domyśliłem się w lot. Na zewnątrz jednak ciągle padało, wiało i nie chciało skończyć. Przede mną, na wprost jednej ściany nie było. Przesunęli ją w głąb. Żeby zrobić się dalej. W ten sposób zwiększyli metraż. Poza tym otworzyli górną część piwnicy. W niej siedzieli ludzie i każdy

coś trzymał. Rozpoznałem po chwili, że to instrumenty. Prawdopodobnie. Rzecz jasna muzyczne. One służą do wydawania dźwięków. Przejmujących. Szczególnie skrzypce. Stosuje się je w szpitalach. Odwracają pacjentom uwagę. Nie boli ich przed operacją. A zwłaszcza po. To są cenne przedmioty i dlatego tutaj nie zostawili ich w szatni. Wzięli ze sobą i ukryli wszystko na dole. O bezpieczeństwo teraz wszyscy dbają. Oni również czekali. Trochę im było nudno i czasem coś z tymi instrumentami robili. Nie widziałem dokładnie co, ale chyba dmuchali zwłaszcza w skrzypce. Wyraźnie wypatrywali muzykantów, bo oni potrafią robić melodię.

Patrzyłem w przestrzeń dolną. Na ubiory. Zauważyłem wcześniej, czyli uprzednio, że mężczyźni mieli spodnie. Wszyscy. Nosili także gładkie twarze. Na ogół. Kobiety prezentowały się inaczej. Raczej nie używały spodni. Co spotkało się z moim uznaniem oraz aprobatą. Starsze nosiły wąsy. Niektóre. Kolor włosów im z biegiem lat się ujednoliciła. Kasztanowy, czyli etap pośredni między fryzurą jasną a czarną. Jedna kobieta była panią i miała odkrytą górę. Prawie zupełnie, gdyż w połowie. Lewe ramię i okolice nosiła gołe, prawą stronę przeciwnie. Przypominałem sobie, co było kiedyś. W tym celu sięgnąłem pamięcią. Jakies pięćdziesiąt lat po wojnie. Też byłem goły, podobnie jak ta kobieta. Jednak konsekwentniej. Później bolało. Zapytałem fachowców i ci odkryli przyczynę. Weszła we mnie kluczowa lwa. Chyba raczej lwica, ale ekspert mówił niewyraźnie. Przyglądałem się teraz uważnie tej kobiecie. Czekałem aż wejdzie w nią lew. Nie zauważyłem, bo na sali ściemniało. Oszczędzają zawsze prąd. Zapytałem obsługę, czy nadal pada. Nadal padało. Siedzieliśmy. Ja również, między innymi.

Nagle przed tymi pilnującymi pojawił się mężczyzna. Stał tyłem do mnie, ale przodem do nich. Zrozumiałem szybko, dlaczego. Chciał zrobić porządek i uciszyć towarzystwo. Wprowadzić kulturę albo coś w tym rodzaju. Podniósł ręce, w jednej trzymał patyk i wygrażał nim. Słusznie. Ci siedzący przed nim byli niesforni. Zaczęli używać tych swoich instrumentów. W odpowiedzi. Robiło się groźnie. Hałas powstał okropny. Kiedyś słyszałem jak ktoś przed moim oknem próbował odjechać samochodem. Być może własnym. Zapalał go, a on nie chciał się palić. Nie ruszył. Oni też nie. Za to z tyłu, za nimi, czyli z przodu coś się stało. Pojawiły się dymy. Zapalili tam światło. Czekałem na straż pożarną. Lubię ich oglądać. Szczególnie w działaniu. Tymczasem dymy się obniżyły i z boku weszła łódka. Mężczyzna stał w jej środku i szedł. Był jednocześnie pasażerem i napędem. Świetny pomysł. Wypróbuję jak się ociepli, na wakacjach. Tutaj pomagał sobie kijem. Chodził w kółko. Wpadł w wir. Chyba rozgrywał się dramat. Zaczął krzyżeć. Ci na dole specjalnie go zakłócali, a facet przed nimi podskakiwał i ciągle im groził. Nie wiedziałem, co robić. Więc nic nie robiłem. On się zwierzał, a może skarżył. Informował, że ją kocha i to robić musi. Rozumiałem człowieka i współczułem. Był w łódce, miał ją na nogach i trochę wyżej, wokół dym, trzymał w ręku kij, całość oświetlili, a jemu wybuchło. Uczucie. Podglądałem z niesmakiem. Przy okazji wyciągnąłem wniosek oraz postanowienie. Przyrzekłem sobie trzymać się z daleka od łódek w dymie. Żeby mi się coś podobnego nie przytrafiło.

Krótko się męczył w samotności. Miał szczęście. Trochę. W dym weszły dwie kobiety. Z pomocą albo z propozycją. Zamknąłem oczy, bo jestem dyskretny. W razie czego przecież mogę włączyć powtórkę. Albo zastosować zwolnione tempo.

Jak je otworzyłem, to tam zrobiło się sporo ludzi. Trwała impreza. Szkoda, że mnie nie zaprosili. Śpiewali sobie. Głośno. Podczas zabawy ludzie śpią, a niektórzy śpiewają. Oraz w trakcie golenia. Kobiety cienie, mężczyźni grubiej. Śpiew odchudza. Tutaj robili to kiepsko. Melodia im się rwała, ich to denerwowało. Lub co innego. Ten facet ciągle na nich patrzył i groził. Niżej gromada siedziała i zagłuszała. Im zaś brakowało słów, powtarzali te same. Głośniej. W którymś momencie weszła ponownie łódka. Tym razem stała krótko. Wtedy zginęła w niej kobieta. Nie utonęła, ale zabiła ją druga. Powiało dymem i grozą. Nikt się nie ruszał, a oni tam ciągle śpiewali. Nadal tak samo. Ucieszyłem się, że jednak nie jestem na tej imprezie. Trochę przesadzili. W każdym razie ta w łódce umarła od razu. Jak tylko skończyła śpiewać. Nie męczyła mnie. Wydobyłem z siebie współczucie oraz chusteczkę. Spojrzałem niżej. Kobieta z gołym ramieniem siedziała nadal. Sprawdziłem swoje. Moje też siedziało ze mną. Czekałem aż zreperują prąd i włączą lampy. Chciałem jakoś pomóc i rozmasować tę częściowo gołą. Ciągle jednak było prawie ciemno. Popatrzyłem ponownie na imprezę. Oni też nie wiedzieli co dalej robić. Wbiegła dziewczynka. Mała. Miała kapelusz, który umieściła na głowie. Skądś wzięła dzbanek. Nieduży, bo czerwony. Szukała rodziców, a w każdym razie kogoś. Bezskutecznie. Widać została sierotką. Łódka stała jeszcze i dym się snuł. Gdyby była starsza, to łatwiej byłoby jej pomóc. Ale ona jeszcze nie urosła.

Zastanowiłem się, czy nie warto zacząć myśleć. Chciałem się tym zająć, by nie ulec przygnębieniu. Musiałem ustalić, o czym mam myśleć. Tu pojawiła się niewiadoma, która tkwiła w mojej głowie. Postanowiłem zatem rozwikłać problem nóg. Moich. Mam je dwie, tak bywa. Na ogół. Gdy siadam, to nie wiem, gdzie je umieszczać. W szczególności muszę rozstrzygać, czy prawą zakładać na lewą, czy lewą na prawą. Odczuwam wtedy kłopoty z decyzją. Najlepiej byłoby jednocześnie: lewą na prawą i prawą na lewą. Zacząłem to robić, ale przeszkadzali mi sąsiedzi. Usiedli specjalnie obok. W każdy razie dowiedziałem się z własnych myśli, co należy zrobić. Teraz tylko jak. Powstało we mnie napięcie, ale ustąpiło. Wstałem i wyszedłem. W ogóle.

28. 10. 2016, godz. 23. 41.

Ciemno

#### Wyjaśnienie końcowe

A właściwie wyjaśnienie późniejsze. Otóż stron mogłoby być więcej. Może będzie, ale na razie nie. Teraz wystarczy.

Dzisiaj nakarmiłem wiewiórki. Jak codziennie. Mam dwie stołowniczkę, w porze śniadania. Gdy jedna z nich weźmie orzeszek (laskowy), to odwraca się i tak zwrócona kica kilkanaście centymetrów. Zatrzymuje się i je. Jest u siebie. A mnie nie ma, bo mnie nie widzi.

PAWEŁ KOZŁOWSKI



# MUHA RUHA CARALUHA

Ten sześciomiesięczny okres od ostatniego *Listu z Wójtowic* był jak festiwal ogni sztucznych.

I tak, w pierwszą rocznicę pożaru, tj. 3 grudnia zaczęliśmy się przegrupowywać ze stodoły do odtworzonego domu. Dorota biega wokół śpiewając, a ja ślizgam się na podłodze z – za przeproszeniem – daglezi. Ładne, nowe, sympatyczne, mimo że jak na razie bez duszy. No i typowa polska inwestycja, chociaż w Niemczech też mają aż 3 białe słonie. Bez względu na to czy to drewniana wygódka, czy elektrownia atomowa, budżet przekroczonego o 50 proc. Na ścianach się trochę zaludniło. Sasza z Michałowic, malarz, który ma dom w Ramatuelle (między Antibes a St. Tropez) malując tam od ponad 30 lat dał nam w depozyt dwa pejzaże i małą martwą naturę. Światło Prowansji – jakże przyjazne człowiekowi. Proszę bardzo, do kupienia...

11 grudnia, jak co roku obchodziliśmy Światowy Dzień Gór w Bielicach, w gospodarstwie Ani Sobańskiej–Maj. Tym razem pod hasłem „tożsamości regionalnej i różnorodności kultur”. Dałem głos w imieniu FAO i World Mountain Forum. Mowa była krótka, jako że wygłoszona z za stołu, gdzie cudownie dymity trzy zupy – wszystkie podobno górskie – dyniowa, z soczewicy i walpolinese, zaś na środku, w brytfannie wielkości dziecinnej wanienki, czekała jagnięcina z marchewkami i małymi cebulkami. Czterdziestu przedstawicieli górskich organizacji pozarządowych wysłuchało, jak się mądrze o nierozzerwalnej więzi świętych gór i kultury – o ludach proszących o deszcz: Kikuyu u stóp góry Kenya, czy Inków w świątyni zbudowanej w Andach na wys. ponad 5000 m, o religiach i legendach, czyli o znaczeniu góry Synaj, Olimpu, góry Kailash, gdzie rezyduje Shiva, czy Koyasan z najświętszym klasztorem buddyjskim w Japonii. Ktoś przypomniał, że w Polsce skromniej; na Łysej Górze szekspirowskie wiedźmy mają twarze Pawłowicz, Przedpeńskiej, Zalewskiej, etc.... i pichcą jakiś napar, któremu daleko do zupy dyniowej, ale blisko do koktajlu przyrządzanego na obozach ZMS: pół litra spirytusu, litr kapuśniaku i 2 jabole – wszystko wymieszać, wypić i...zwymiotować.

Ktoregoś ranka o szóstej nadszedł od K. Mrozowicza SMS, który jak nekrologi zawarł trzy dramatyczne słowa „Fidel nie żyje”. Kuba wiele znaczy dla naszego plemienia. Obudziłem mieszkającego za górką b. przewodniczącego Grupy Parlamentarnej Polska – Kuba, pośła Czesława Pogodę. Przywiózł kiedyś osobistą butelczynę od Brata Raula – niewystępującego normalnie w przyrodzie rumu, omszała i zalakowana. Przed laty, na dużej peluzie między kościołem a plebanią zorganizowaliśmy za amerykańskie pieniądze festyn *Cuba Libre – marzenie dysydenta czy koktajl karaibski?* Najpierw w wójtowickim kościółku zespół latynoski odpalił *Mszę kreolską* Ariela Ramireza, potem za zgodą poprzedniego proboszcza wygłosiłem z ambony (!) mowę o historii, kuchni, klimacie i demokracji kubańskiej. Ponad 500 ludzi „kupiło wszystko” nie tylko dlatego, że „naród ciemny wszystko kupi”, ale przede wszystkim dlatego, że pod wiatr czekało 50 litrów ponczu, półmiski schabu z pieczonymi ananasami,

i że do występu przygotowywał się „chór agentów FBI ze swoją rumbą *Dzikie banany* (z czego to, kocetku?)

Po przerwie pojawił się na nowo w tym półroczu Bruno Schulz, którego związków z Bystrzycą szukaliśmy do Teatru Podwórkowego. Profesor Krzysztof Lorenz, człowiek miejscowy, z którym przyjaźnimy się od niemal pięćdziesięciu lat, wpadł na esej Schulza o rysowniku Lilianie, dobrał się do ostatnich tematów maturalnych z drohobyckiego liceum, skomponował listę znanych drohobyczan. Wszystkie te znaleźiska opublikował w wydawanym przez siebie *Biuletynie Stowarzyszenia Przejaciół Ziemi Drohobyckiej*. Dwa razy do roku, lakierowana okładka, format A4, drukowany dzięki ludziom dobrej woli... Czy to nam czegoś nie przypomina? Dziś słowo o ostatniej klasie i tematach maturalnych w 1939 r. w drohobyckim liceum. Lektura pasjonująca! Z polskiego poszedłbym na łatwiznę i wybrałbym *Dążenia wolnościowe w polskiej literaturze romantycznej*, z francuskiego *Le role de l'Eglise en France medievale*, z niemieckiego zawałałbym się między *Die Wassenixe in Sage und Dichtung* a *Die Bedeutung der Luftschiffe im Fieden und im Kriege*. I tu, gdybym miał wtedy do dyspozycji YouTube'a to bym załączył znany filmik z pożarem Hindenburga. A jakież fin-de-sieclowy ten temat o rusałce. Pani Minister Zalewskiej dedykuję natomiast temat dla gimnazjalistów z łaciny: *System nauczania i szkoły Rzymian*. Wybrał go goj Karol Skrezyna oraz starozakonny Izio Falk. Maturę zdało 21 (na 30) – 5 rzymskokatolików i 16 wyznania mojżeszowego. Najmłodszy Marceli Gasser nie miał jeszcze 17 lat. Nie jest jasne, czy ta aryjska piątka więziona była w getcie ławkowym i czy za opuszczenie rezerwatu mogła oberwać kijem baseballowym. Żeberka od kaloryferów pojawiły się na uzbrojeniu dopiero parę lat później w Kielcach. Pewnie nie było tam już żadnego z żydowskich maturzystów z Drohobycza.

Przez kilim tych 6 miesięcy wiła się nić dyskusji o polityce. Opozycja wychodziła z niej zazwyczaj sfilekowana a to za faktury, a to za sylwestra w Portugalii, a to za opuszczenie przyczółka na sejmowej mównicy. Nawet Ziobrze za oszukańczy podpis po sesji tak się nie dostało. A powinien był zwinąć swą biało-czerwoną chorągieweczkę–zabaweczkę i z nosem na kwintę udać się do najbliższego aresztu (oczywiście wydobywczego). Catering zapewnił mu panie z Łysej Góry. W ostatnim wójtowickim marszu KOD-u uczestniczyło 6 osób, zaś aż 21 podniosło rękę w czasie ostatniego zebrania wiejskiego, by oddać 2 ha na wójtowicką Berezę. Kandydat na Kostka–Biernackiego już jest. To ten specjalista od trotylu, co zatweetował podobno z Berlina, „by może po prostu spuścić im wpierdol”.

## KRZYSZTOF KOMORNICKI

PS. Biblioteka powoli się wypełnia. Pocztą przyszła ciekawa i osobista książka Profesora Mariana *W kręgu polityki*, gdzie z radością znaleźliśmy opis naszej procesji z feretronem na 5-lecie „Zdania”. Zaś miejsce po Olewiczu ciągle puste...

TOMASZ GOBAN-KLAS

# STÓŁ Z POWYŁAMYWANYMI NOGAMI

„Fotografia wielkiego, okrągłego stołu w kształcie obwarzanka, widzianego z góry, obiegła, jak mówią, cały świat. A konkretniej – obiegła Europę Wschodnią” – pisał przed laty brytyjski historyk polskich najnowszych dziejów, Timothy Ash. To miejsce rozpoczęcia obrad, a w istocie negocjacji, pomiędzy dwoma siłami ówczesnej peerelowskiej Polski: rządowo-partyjnej i solidarnościowo-opozycyjnej, czyli Okrągły Stół wiosną 1989 roku. Kto go jeszcze wspomina? Kto go w ogóle pamięta? I jakie ma dzisiaj dla Polski i Polaków znaczenie? Jedynie dla niewielu i to niewielkie. I to jest właśnie wielki znak nowych czasów i podstawa niedobrej zmiany.<sup>1</sup>

Jeszcze w 2009 roku odbyło się wspólne posiedzenie posłów i senatorów, poświęcone 20 rocznicy odzyskania przez Polskę wolności i demokracji, potem już było gorzej. 25 rocznica miała być uczczona uchwałą sejmową, ale konflikt wobec jej treści, wywołany przez PiS, opóźnił ją o ponad miesiąc, a treść zbanalizował. W ostatnią, 28 rocznicę, już nie było nawet wzmianek w mediach, a historycy zorganizowali konferencję... *W trzechsetną rocznicę Sejmu Niemego 1717-2017!*

A przecież niepamięć i milczenie nie zmienia znaczenia przyjętych przy Okrągłym Stole ustaleń. „Okrągły Stół jest czymś, czym się zachwycam po dziś dzień”, mówił Władysław Markiewicz, nestor polskiej socjologii, niedawno zmarły w wieku 96 lat. W rozmowie-rzecz z Pawłem Kozłowskim i Jerzym Ślabickim – *Sto lat przeciw głupocie*<sup>2</sup>, przyznał: „Żałowałem ogromnie, że nie brałem udziału w pracach Okrągłego Stołu, ale byłem i jestem entuzjastą tego pomysłu. Moim zdaniem pomysł był genialny”. I wyjaśniał: „Polegał on na tym, że obie strony ustąpiły z czegoś i na coś się wzajemnie zgodziły. I dzięki temu powstał projekt ustanowienia rządów niesocjalistycznych, pochodzących z powszechnych wyborów, w socjalistycznym nadal państwie”.

Wybory czerwcowe, wrześniowy rząd premiera Mazowieckiego, zmiany prawne, zmiany instytucjonalne – ekonomiczne i polityczne. Z oporami, z podskokami, z zakrętami polska demokracja posuwała się naprzód, aż do 2016 roku. I ta data oznacza koniec pokręconej, niemniej rozwojowej linii Okrągłego Stołu.

Były na niej groźne wyboje, które doprowadziły do złamania resorów polskiej demokracji, odpadnięcia kół, a w metaforze Okrągłego Stołu – pozbawienia go nóg, czyli filarów umowy. Rzecz nie w tym, że nie realizowano wielu uzgodnień tzw. podstolików, zwłaszcza w sferze gospodarczej. Rzecz w tym, że niezwykle szybko zakwestionowano zasadę zakończonych porozumieniem negocjacji – *Pacta sunt servanda*.

Mimo nieformalnych uzgodnień, już latem 1989 roku, gdy wybierano gen. Jaruzelskiego na prezydenta w Zgromadzeniu Narodowym, praktycznie połowa była przeciwko jego kandydaturze. Ogłoszenie nowych wyborów zakończyło przedwcześnie jego kadencję pod koniec 1990 roku. Nowym prezydentem został Lech Wałęsa, a po nim na całe 10 lat wybraliśmy Aleksandra Kwaśniewskiego.

Powołanie IPN nie tylko było legitymizacją działań Macierewicza w poszukiwaniu „agentów”, ale dało zaplecze dla spisu katalogowego 160 tys. nazwisk funkcjonariuszy i agentów oraz osób wytypowanych do współpracy. Ujawniono go w 2005 roku. Potem podejmowano różne wysiłki, aby ten zbiór rozszerzać, modyfikować, eksponować wybrane nazwiska. Nowelizowano ustawę o IPN (ostatnia w 2016 roku).

Najgrubszym zwierzem, na którego polowano, był... Lech Wałęsa – przewodniczący „Solidarności”, przewodniczący strony solidarnościowej Okrągłego Stołu, pierwszy prezydent III RP. Po wielu nieudanych próbach, w materiałach pozyskanych od wdowy po gen. Kiszczaku, w 2017 roku zbliżono się do celu, który Amerykanie nazywają dosadnie *character assassination*, w moim przekładzie „zabójstwo etyczne”. Okrągły Stół już się nie tylko chwia, ale stracił kluczową nogę i runął na ziemię. Jak pisał poeta: „Ideał sięgnął bruku”.

I nie zmieni tego smutnego faktu sondażowe poparcie milionów Polaków tak dla Lecha Wałęsy, jak i idei oraz osiągnięć Okrągłego Stołu. Nie zmienią go słowa znanych intelektualistów starszej daty ani uznanych artystów popkultury, jak np. Maryli Rodowicz, która niezwykle rzadko wypowiada się w tematach politycznych.

Cóż, jakby powiedział gen. de Gaulle, legendy jak róże trwają, dopóki trwają. Legendą jest nie tyle sam Lech Wałęsa, człowiek nie tyle z żelaza czy z nadziei, co z krwi i kości związkowiec, przywódca, negocjator. Ku dobrej przyszłości.

A tytułowy Okrągły Stół? Też jest nie tyle legendarny, co realny jako mebel. Jeden ze stolarzy pracujących przy jego konstrukcji po latach wspomina: „Okrągły Stół jest podbarwiony na brązowo, ale tylko z jednej strony. Od spodu lakieru już nie ma. Nie zdążyliśmy. Zależało nam, żeby zrobić ten stół solidnie i szybko. Mieliśmy nadzieję, że dzięki naszej robocie coś w Polsce może się zmienić. Że będzie żyło się lepiej. Lepszej motywacji do pracy chyba nie trzeba. Choć szczerze mówiąc, przy robocie nie raz gadaliśmy, że to przecież niemożliwe, żeby komuniści pogodzili się z »Solidarnością« i oddali władzę. Żartowaliśmy, że dlatego ten stół taki duży, by jedni nie napluli na drugich, gdy już razem siądą”.

Jako puentę zapodam (co za piękne, acz zapoznane słowo) informację z afisza Centrum Księży Palotynów: „Stanisław Piotrowicz – obrońca ładu konstytucyjnego w Polsce”.

Okrągły Stół i jego uczestnicy – *Requiescat in pace!*  
Konstantyn-Jeziorna, 13 lutego 2016.

<sup>1</sup> Dedykuję zmarłym i żyjącym uczestnikom obrad Okrągłego Stołu: 6 lutego - 5 kwietnia 1989 r., z którymi przez dwa intensywne miesiące dzieliłem nadzieje na przełom w kształtowaniu nowego demokratycznego i pluralistycznego ładu społeczno-polityczno-medialnego.

<sup>2</sup> Władysław Markiewicz, *Sto lat przeciw głupocie. Rozmowa z przyjaciółmi Pawłem Kozłowskim i Jerzym Ślabickim*, Universitas, Warszawa 2016, s. 354 + 8 s. zdjęcia

więc  
wątynie  
jestem

# KŁĘSKA, CZYLI ZWYCIĘSTWO

„Dobra zmiana” trwa już półtora roku i coraz częściej pada pytanie, komu ją zawdzięczamy. Oczywiście nie chodzi o tych, co pod szyldem owej zmiany bez opamiętania demolują budżet, sądownictwo, szkolnictwo, media publiczne i dowództwo armii, a przy okazji także rządowe limuzyny, lecz o pośrednich sprawców nieszczęścia, które nas spotkało. Powie ktoś: suweren sam sobie zgotował ten los, stawiając na PiS w ostatnich wyborach. I będzie miał rację! Co więcej – 1/3 narodu jest z tego wyboru zadowolona, o czym świadczą sondaże.

Ale krajobraz po wyborach w 2016 roku nie musiał tak wyglądać, gdyby ci wszyscy, co majstrowali przez 25 lat przy transformacji mieli więcej wyobraźni, a przede wszystkim wykazali się większą mądrością i odpowiedzialnością. Tymczasem niemal do ostatniej chwili słyszeliśmy z ust liderów Platformy Obywatelskiej, że nie mają z kim przegrać. Najpierw więc „odpuścili” wybory prezydenckie, no bo sondaże jasno wskazywały zwycięzcę, a później wzięli się za łby w walce o schedę po Tusku. Chwilami miało się wrażenie, że niektórym ambicjonatom tej partii na rękę było przegranie wyborów i obciążenie kierownictwa odpowiedzialnością za utratę władzy, żeby samemu objąć przywództwo. I w rezultacie tak się właśnie stało, choć z nowym liderem trudno wróżyć Platformie jakieś spektakularne sukcesy. Do łotu z PiS-em się nadaje, ale żeby on nas poprowadził w świetlaną przyszłość, to jest mało prawdopodobne. Nie ten rozmiar kapelusza. Być może zwolennikom tej partii nie pozostaje nic innego, jak czekać na powrót Tuska z Brukseli.

\* \* \*

No więc mamy to co mamy. Nieformalnego naczelnika państwa na Nowogrodzkiej, malowanego prezydenta w Pałacu Namiestnikowskim i panią premier dojeżdżającą do roboty w URM-ie z Brzeszcz. Jak na państwo operetkowe w środku Europy to wygląda całkiem nieźle. Zwłaszcza po marcowym szczycie w Brukseli, na którym odnieśliśmy historyczne zwycięstwo, co odrząbiła na wszystkie możliwe sposoby partia rządząca oraz narodowo-prawicowe media. Ale nie z tego powodu, że Polak został wybrany stosunkiem głosów 27:1 na przewodniczącego Rady Europy, tylko dlatego, że reprezentująca nas tam ob. Szydło skorzystała z polskiego patentu pn. *liberum veto* i powiedziała: nie! W ten sposób ocalała honor Polaków i – jak orzekł w orędmu powitalnym na lotnisku prezes – przeszła do historii. Zapomniał dodać – pisanej przez historyków z IPN.

\* \* \*

W tzw. procesie transformacji ustrojowej, czyli przechodzenia z realnego socjalizmu do kapitalizmu końca XX wieku różne niedobre rzeczy się zdarzyły, o których dopiero teraz zaczyna się głośno mówić, ale – niezależnie od tego kto rządził – polityka zagraniczna po 1989 roku zasadniczo nie podlegała zmianom. Cel był jeden: wejść do NATO i Unii Europejskiej, a potem robić wszystko, żeby swoją tam obecność uwiarygodnić i umocnić. Ironia losu historycznego sprawiła, że ten cel zrealizowały postkomuchy i dlatego nazwiska Kwaśniewskiego i Millera – sygnatariuszy wymienionych aktów – w naszej historii najnowszej pozostaną, bez względu na to, jak obydwu gentlemanów za całokształt oceniamy. Natomiast o pani Szydło nie tylko Europa, lecz i wielu rodaków szybko będzie chciało zapomnieć, choćby z powodu zażenowania, jakie wywołały jej występy w Brukseli. I tego uczucia nie jest w stanie zmienić prezes, który niby stawia pomnik pani premier, a w istocie uczynił z niej powolne narzędzie realizacji swoich mocarstwowych aspiracji w Europie. A to budzi nie tylko śmiech pusty, lecz i trwogę.

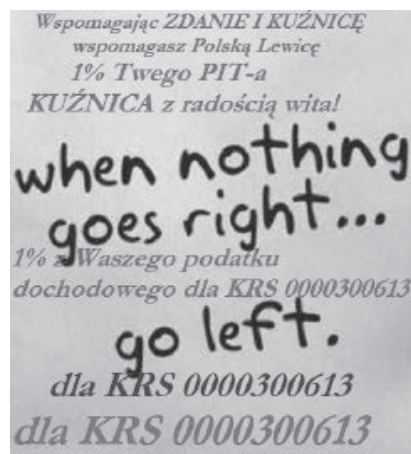
Ciągłość bowiem naszej polityki zagranicznej przewała dopiero dobra zmiana. Jak się dowiadujemy, teraz będzie to polityka negatywna w stosunku do Unii Europejskiej i do każdego państwa, które ośmieli się nie zgodzić z ministrem Waszczykowskiem, *notabene* w różnych sprawach. Na przykład nasz minister sprawdzi znanymi sobie metodami, kto na kogo wywarł nacisk, żeby głosowanie w Radzie Europy zakończyło się klęską naszego rządu. Ale oficjalna wykładnia jest inna: w Brukseli odnieśliśmy ponoć historyczne zwycięstwo. A skoro tak, to po co prowadzić śledztwo w sprawie nacisków? Czy nie lepiej i rozsądniej byłoby podziękować tym co wywierali presję, czyli Niemcom, że dzięki nim uzyskaliśmy wynik 1:27 i to jest nasz powód do dumy?

Nie jest jednak łatwo nadażyć za takim rozumowaniem min. Waszczykowskiego, skoro w tej sprawie jak i w wielu innych rozumie używa rzadko. Może jednak dotrze do niego opinia na temat tego, co się wydarzyło w Brukseli, wyrażona przez b. przewodniczącego Parlamentu Europejskiego Hansa-Gerta Pöttinga: to nie było tak, że wszyscy byli przeciwko Polsce, to Polska była przeciwko wszystkim.

Od siebie zaś dodajmy: dlatego przegrała z kretelem. Ale nie Polska, tylko rząd, który reprezentowała Beata Szydło.

SCEPTYK





Przypominamy, że **„Zdanie” jest dostępne w sieci empik** w 80. polskich miastach. **Szukajcie nas w megastorach oraz salonach I i II kategorii.** Informujcie o tym wszystkich, którzy są zainteresowani kupnem oraz lekturą naszego pisma. Egzemplarze archiwalne można otrzymać w sekretariacie Stowarzyszenia „Kuźnica” (Kraków, ul. Miodowa 41) oraz w Klubie Księgarza (Warszawa, Rynek Starego Miasta 22/24).

**„Zdanie” jest też w internecie:** w Małopolskiej Bibliotece Cyfrowej (za lata 1994-2016) oraz w internetowym Katalogu Czasopism Kulturalnych (okładki i spisy treści wszystkich numerów za ten sam okres). Bieżące informacje można znaleźć na stronie internetowej „Kuźnicy” oraz na facebooku.

REDAKCJA

## ZDANIE

PISMO STOWARZYSZENIA >>KUŹNICA<<

Redaguje zespół:

Edward Chudziński (redaktor naczelny), Tomasz Goban-Klas, Krzysztof Komornicki, Adam Komorowski, Paweł Kozłowski, Krzysztof Mroziewicz, Lech M. Nijakowski, Filip Ratkowski, Andrzej Ruchałowski (sekretarz redakcji), Paweł Sękowski.

Makieta wg projektu Mściwoja Olewicza

**Adres Redakcji: 31-052 Kraków, ul. Miodowa 41**

**www.kuznica.org.pl; e-mail: kuznica41@interia.pl**

Wydawca (na zlecenie Stowarzyszenia „Kuźnica”):

Neurokwiat, 30-057 Kraków, ul. Chocimska 7/4

Skład komputerowy i łamanie: Joanna Byczyńska

Druk: Toruńskie Zakłady Graficzne „Zapolex” sp. z o.o.

Nakład: 1000 egz.

